

TAD WILLIAMS

POWRÓT CIENIA

TOM TRZECI

Przełożył Paweł Kruk



NSB 2011

Tytuł oryginału
Shadowrise. Volume Three of Shadowmarch

Copyright © 2010 by Tad Williams
All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by REBIS Publishing House Ltd.;
Poznań 2010

Redaktor
Agnieszka Horzowska

Opracowanie graficzne serii i projekt okładki
Jacek Pietrzyński

Ilustracja na okładce
John Howe/via Thomas Schlück GmbH

Wydanie I

ISBN 978-83-7301-772-6

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

Podobnie jak pierwsze tomy, *Powrót Cienia* dedykuję naszym dzieciom, Connorowi Williamsowi i Devon Beale, które nieustannie „zameńczają” mnie swoją ogromną miłością. Najwspanialsze dzieciaki pod słońcem.

Podziękowanie

Jak zawsze składam podziękowania moim redaktorkom Betsy Wollheim i Sheili Gilbert oraz pracownikom Wydawnictwa DAW Books, mojej cudownej żonie Deborah Beale, naszej asystentce Denie Chavez i przebiegłemu agentowi Mattowi Bialerowi. Dziękuję też Lisie Tveit, która bohatersko zajmuje się naszą stroną internetową www.tadwilliams.com. Odwiedźcie nas tam, proszę. Jest zabawnie, a skutki uboczne są przeważnie nieszkodliwe.

Nikt od przybycia Doroty do Oz nie miał wokół siebie tylu magicznych ludzi, ilu mnie otacza każdego dnia, z czego jestem bardzo dumny.

Nota autora

Powrót Cienia miał być ostatnim tomem trylogii *Marchia Cienia*. Jednak moja ogromna nieporadność w planowaniu i nieumiejętność liczenia czegokolwiek, co wykracza poza palce moich kończyn, po raz kolejny mnie zwiodły: gdy doszedłem do tysiąc pięćsetnej strony rękopisu, zrozumiałem, że ostatni tom musi zostać podzielony na dwie części.

Tak więc trzymacie w ręku pierwszą część końca opowieści. Druga (i ostatnia), *Serce Cienia*, powinna wkrótce się ukazać. Obiecuję, że któregoś dnia nauczę się pisać ostatni tom, który nie będzie się odróżniał niczym szczególnym od pozostałych.

Streszczenie *Marchii Cienia*

Zamek Marchii Cienia, najdalej wysunięte na północ miasto ludzi, przez dwieście lat odgrywał rolę przedmurza chroniącego przed nieśmiertelnymi Qarami – czarodziejskim ludem, który wcześniej dwukrotnie walczył z ludźmi. Nastąpiły złe czasy dla Marchii Południowej, królestwa, którego władca OLIN EDDON został uwięziony dla okupu w innym królestwie, na skutek czego troje jego dzieci, najstarszy KENDRICK i bliźniaki BARRICK i BRIONY muszą opiekować się krajem i jego mieszkańcami. Niepewną sytuację pogarsza jeszcze to, że Granica Cienia – dzieląca ziemie ludzi i spowitą mgłą i wiecznym zmierzchem krainę Qarów – zaczęła się przybliżać do Marchii Południowej.

Kendricka zamordowano w zamku. SHASO DANHEZA, mentor Briony i Barricka, został oskarżony o tę zbrodnię i uwięziony. Briony żywiła pewne wątpliwości, lecz zaprzętały ją inne troski, między innymi sprawy państwa, które dzieliła z Barrickiem, chorowitym, zagniewanym bliźniakiem.

Z każdym dniem w Marchii Południowej wszystko komplikowało się coraz bardziej. ROGOWIEC i OPAL, para Funderlingów, małych ludzi, którzy mieszkają pod Zamkiem Marchii Południowej, znaleźli dziecko porzucone przez tajemniczych jeźdźców przybyłych zza Granicy Cienia. Chłopiec należy do Dużych – ludzi normalnych rozmiarów – lecz oni nadali mu imię Funderlingów, KRZEMIEN, i zabrali do swojego domu w podziemnym mieście. Tymczasem CHAVEN, nadworny medyk, bardzo się interesuje tajemniczym lustrem, a jeszcze bardziej zagadkową istotą, która wydaje się przebywać w jego wnętrzu.

Księżniczka Briony o śmierć starszego brata w dużej mierze obwinia FERRASA VANSENA, kapitana straży królewskiej, który jej zdaniem nie zrobił wszystkiego, co należało, by obronić Kendricka. Vansen darzy Briony Eddon uczuciem, które wykracza poza granice zdrowego rozsądku. W milczeniu przyjmuje jej rozkaz, po części mający być karą, i udaje się do miejsca rzekomego ataku Qarów za Granicą Cienia.

YNNIR, ślepy król Qarów, zaczął realizować złożony plan dotyczący zamku i panującego rodu; podrzucenie chłopca Krzemienia było tylko jednym z jego elementów. Akt ten miał swoje konsekwencje: gdy podczas pogrzebu Kendricka stryjeczna babka bliźniaków KSIĘŻNA MEROLANNA zobaczyła chłopca, omal nie zemdląca. Była przekonana, że oto ujrziała swoje nieślubne dziecko, którego narodziny trzymała w tajemnicy, a które znikło przed ponad pięćdziesięcioma laty.

Ynnir nie jest jedynym Qarem, który snuje skomplikowane plany. Pani YASAMMEZ, jedna z najpotężniejszych osób wśród czarodziejskich ludzi, zgromadziła armię i poprowadziła ją za Granicę Cienia, by zaatakować ziemie śmiertelników.

Tymczasem Barrick i Briony znaleźli się w bardzo dziwnej sytuacji. Ich główny doradca, AVIN BRONE, wyznał im, że TOLLY'OWIE, najpotężniejszy ród w Królestwach Marchii, przyjmują agentów SULEPISA, AUTARCHY XIS, wrogiego króla-boga z południa, który, jak się wydaje, zamierza podbić cały północny kontynent, opanowawszy wcześniej południowy. (Mielśmy już okazję przekonać się, jak jest szalony, widząc, jak traktuje QINNITAN, niewinną świątynną nowicjuszkę, którą autarcha wybrał na swoją najnowszą żonę i przeniósł do haremu zwanego Samotnią. Tam jednak interesowali się nią tylko kapłani, którzy udzielili jej czegoś w rodzaju religijnej instrukcji i zmuszali do picia dziwnych mikstur.)

Na północnym kontynencie działo się coraz gorzej. Ferras Vansen i jego oddział zostali

zwabieni za Granicę Cienia. Kilku z nich zostało zabitych przez różne istoty, a zanim znaleźli drogę powrotną do kraju śmiertelników, Vansen ujrzał armię, którą Yasammez prowadziła na Królestwa Pogranicza.

MATT TINWRIGHT, poeta z Marchii Południowej, któremu nie wiedzie się najlepiej, został poproszony o napisanie listu do Eddonów w imieniu Gila, pozornie głupawego pomocnika karczmarza. Chęć łatwego zarobku stała się przyczyną aresztowania poety oskarżonego przez Avina Brone'a o zdradę. Księżniczka Briony okazała mu jednak wyrozumiałość i uwolniła Tinwrighta, a nawet pozwoiliła pozostać na zamku w charakterze nadwornego poety. Wydaje się, że tylko on jeden spośród pogrążonych w licznych kłopotach mieszkańców zamku zaznał odrobiny szczęścia.

Qarowie niszczą Candlerstown i księżniczka Briony postanawia wysłać armię, by powstrzymać marsz czarodziejskich wojowników. Ku jej zdumieniu Barrick pierwszy zgłosił się na ochotnika. Wyznał siostrze, że ich ojciec Olin cierpi na ataki swego rodzaju obłądki i że przed laty podczas jednego z nich go okaleczył. Barrick wierzy, że i on cierpi na podobną dolegliwość, dlatego uważa, że skoro i tak nie jest mu pisane długie życie, równie dobrze może udać się na wojnę, by bronić kraju. Briony, nie potrafiąc odwieść go od tej decyzji, nakazała Ferrasowi Vansenowi, który wreszcie wrócił zza Granicy Cienia, by bronił jej brata za wszelką cenę.

Pod zamkiem, w Mieście Funderlingów, znika dziwny chłopiec o imieniu Krzemień. Przy pomocy jednego z malutkich DACHOWCÓW Rogowiec odnalazł go w świętym miejscu pod podziemnym miastem, w świętych głębiach zwanych Tajemnicami. Krzemień w jakiś sposób dotarł tam i znalazł drogę na wyspę na podziemnym jeziorze, na której stoi dziwna kamienna postać nazywana LŚNIACYM CZŁOWIEKIEM, którego czczą Funderlingowie. Rogowiec przyprowadził chłopca z powrotem do domu. Później, razem z pomocnikiem karczmarza Gilem, Rogowiec zaniósł magiczny przedmiot, który Krzemień zabrał z Tajemnic, od Yasammez, mrocznej pani dowodzącej wojskami Carów oblegających Zamek Marchii Południowej.

Jest środek zimy, mimo to armia wyruszyła na spotkanie Qarów. Briony została publicznie wyszydzona przez HENDONA TOLLY'EGO, który zarzucił jej rodzinie porażkę. Księżniczka straciła głowę i wyzwalała go na pojedynek. Hendon odmówił walki z nią, upokarzając ją w obecności dworzan, spośród których wielu uważa, że jest zbyt młoda i niepewna – także zbyt kobieca – by rządzić Marchią Południową. Później Briony niespodziewanie spotyka medyka Chavena, który zniknął jakiś czas wcześniej.

Na południowym kontynencie Qinnitan, niechętna panna młoda autarchy, ucieka z królewskiego pałacu w Xis i wsiada na pokład statku udającego się na północny kontynent.

Tymczasem Qarowie okazują się zbyt silni i zbyt podstępni dla armii Marchii Południowej, tak więc księżę Barrick i pozostali ponieśli sromotną klęskę. Księżę omal nie zginął z rąk olbrzyma, lecz uratowała mu życie sama Yasammez. Po krótkiej rozmowie odesłała go, księżę zaś pojechał w kierunku Granicy Cienia, pogrążony w czymś w rodzaju transu. Ferras Vansen nie potrafił powstrzymać oszołomionego księcia, dlatego udał się za nim, by go chronić zgodnie z prośbą księżniczki Briony.

Tymczasem na zamku spotkanie Briony z macochą przeradza się w koszmar, gdy pokojówka Anissy okazuje się morderczynią Kendricka i teraz powtórnie posługuje się magicznym kamieniem, by zmienić się w demoniczną istotę gotową zabić także Briony. Tylko odwaga księżniczki ją uratowała i magiczna istota została zabita. Anissa, w szoku spowodowanym tymi wydarzeniami, zaczęła rodzić.

Briony pozostawia macochę pod opieką medyka, a sama udaje się uwolnić Shasa, który okazał się niewinny śmierci Kendricka. Oswobodziła go, lecz zostali przechytzeni przez Hendona Tolly'ego, który manipulował wydarzeniami od samego początku. Tolly pragnie teraz

stworzyć wrażenie, że Shaso zamordował Briony, tak by on mógł przejąć tron. Briony i Shasowi udało się jednak wyrwać na wolność i uciec z zamku przy pomocy lojalnych MUSKAJĄCYCH WODĘ, ludu kochającego wodę i zamieszkującego okolice zamku. Briony jest zmuszona pozostawić dom w rękach swoich najgorszych wrogów, jej brat przepadł bez wieści, a Yasammez i dzicy Qarowie oblegają siedzibę jej rodu.

Streszczenie Rozgrywki Cienia

BRIONY i jej bliźniak BARRICK, ostatni potomkowie królewskiej rodziny EDDONÓW z Zamku Marchii Południowej, zostali rozdzieleni. Zamek i kraj pozostają pod kontrolą HENDONA TOLLY'EGO, ich okrutnego krewnego. Zamek Marchii Południowej został otoczony przez czarodziejskich ludzi nazywanych Qarami.

Po ucieczce przed Hendonem Briony i jej mentor SHASO znaleźli schronienie w pobliskim mieście u jednego z ziomków Shasa, lecz niedługo potem dom został zaatakowany i spalony. Tylko Briony udało się uciec, była zdana na samą siebie. Głodna i chora ukrywała się w lesie.

Barrick, wiedziony impulsem, którego nie rozumie, zmierza na północ przez kraj czarodziejskiego ludu, w towarzystwie żołnierza FERRASA VANSENA. Niebawem dołączył do nich trzeci kompan GYIR BURZOWA LATARNIA, jeden z najbardziej zaufanych sług YASAMMEZ, który został przez nią wysłany z misją, by dostarczyć YNNIROWI, królowi Qarów, lusterko – to samo, które KRZEMIEN' zniósł do głębi pod zamkiem i zostawił u stóp Lśniącego Człowieka. Barrick i jego towarzysze zostali pojmani przez potwora o imieniu JIKUYIN, półboga, który ponownie otworzył Wielkie Głębie, usiłując znaleźć sposób na zdobycie mocy śpiących bogów.

Briony Eddon spotyka LISIYE, leśną półboginię, której przyszło żyć w trudnych czasach i która doprowadza Briony do LUDZI MAKEWELLA, trupy aktorskiej zmierzającej na południe do potężnego państwa Syanu. Briony przyłączyła się do nich, nie wyjawiając prawdziwego imienia ani swojej sytuacji.

W Qul-na-Qar, siedzibie czarodziejskiego ludu, umiera KRÓLOWA SAQRI, a król Ynnir nie potrafi jej pomóc. Wydaje się, że jego jedyną nadzieją jest plan związany z magicznym lusterkiem, które obecnie znajduje się w rękach Gyira Burzowej Latarni. Lusterko oraz ugoda z nim związana, nazywana Paktem Lustra, to jedyne, co powstrzymuje żądną zemsty Yasammez i czarodziejskich ludzi przed zniszczeniem Zamku Marchii Południowej.

W tym samym czasie QINNITAN, zbiegła panna młoda SULEPISA, AUTARCHY XIS, zatrzymała się w Hierosolu, najbardziej na południe wysuniętym porcie północnego kontynentu. Nie wie, że autarcha wysłał za nią DAIKONASA VO, najemnego mordercę, zwiąawszy go ze sobą bolesną magią. Wciąż pozostaje tajemnicą, dlaczego potężny autarcha interesuje się Qinnitan.

Zamek Marchii Południowej nadal jest oblegany przez Qarów. W zamku poeta MATT TINWRIGHT zakochał się w ELAN M'CORY, kochance Hendona Tolly'ego, który nią pomiata. Domyśliwszy się uczuć Tinwrighta, Elan prosi go, by pomógł jej się zabić. Niechętny temu, oszukuje ją i podaje tylko tyle trucizny, by straciła przytomność, a potem przemycą nieprzytomną Elan poza mury królewskiej rezydencji, by już nie wróciła do Hendona.

Tolly utrzymuje władzę głównie dzięki temu, że ogłosił się protektorem nowo narodzonego ALESSANDROSA, potomka nieobecnego KRÓLA OLINA. Hendon Tolly wydaje się nie przejmować oblężeniem Qarów ani niczym innym.

Tymczasem Olin pozostaje w niewoli w południowym Hierosolu, gdzie udaje mu się zobaczyć Qinnitan, która pracowała w pałacowej pralni. Dostrzegł w niej coś znajomego. Zanim się nad tym zastanowił, przypłynęła z południa ogromna flota autarchy i rozpoczęła oblężenie Hierosolu. Porywacz Olin sprzedał go autarsze, by ratować własną skórę, choć nie wiadomo,

dlaczego król-bóg z Xis interesuje się małym północnym królestwem.

W Wielkich Głębiach Barrick Eddon i pozostali więźniowie półboga Jikuyina mają zostać złożeni w ofierze podczas ceremonii, która otworzy drogę do krainy śpiących bogów, lecz Gyir poświęcił życie, pokonując półboga zdobytymi materiałami wybuchowymi. Gyir zmarł, a Vansen wpadł przez magiczne drzwi do nicości. Barrick został sam, lecz udało mu się uciec z lusterkiem, które Gyir miał zanieść Ynnirowi, królowi czarodziejskich ludzi. Bez kompanów, tylko w towarzystwie kruka SKURNA, księżę rozpoczął samotną podróż przez krainę cienia, zmierzając do miasta Qul-na-Qar. W snach odwiedza go dziewczyna, Qinnitan, której nigdy nie spotkał, a która z jakiegoś powodu potrafi przenikać jego myśli.

Briony wraz z trupą aktorską dociera do ogromnego miasta Tesis, stolicy Syanu. Razem z innymi aktorami spotkała tam DAWETA, który kiedyś służył u Ludisa Drakavy, porywacza króla Olina, lecz wszystkich zaskoczyli syańscy żołnierze i aresztowali. Tylko Dawetowi udało się uciec. Aktorzy i Briony zostali oskarżeni o szpiegostwo. By ratować przyjaciół, Briony wyjawiała swoją tożsamość i przyznała się, że jest księżniczką Marchii Południowej.

Ferras Vansen, który wcześniej wpadł w pozornie bezkresną ciemność, odbywa dziwną, surrealistyczną podróż przez ziemię zmarłych u boku swego nieżyjącego ojca. Gdy wreszcie udało mu się uciec, stwierdził, że już nie znajduje się za Granicą Cienia, ale w Mieście Funderlingów pod Zamkiem Marchii Południowej. CHAVEN, który ukrywa się przed Hendonem Tollym, także przebywa u Funderlingów.

Daleko na południu, w Hierosolu, Qinnitan zostaje schwytała przez Daikonasa Vo, który zabiera ją do autarchy Sulepisa, lecz ten zdażył już wypłynąć z Hierosolu, udając się do Marchii Południowej, małego królestwa na północy. Vo przejął statek i wyruszył za swoim okrutnym panem.

Autarcha nie płynie sam na swoim flagowym okręcie. Oprócz jego wiernego pierwszego ministra PINIMMONA VASHA przebywał z nim też na pokładzie więzień – władca z północy, OLIN EDDON. Przeznaczeniem Olina, jak go poinformował Sulepis, jest śmierć, dzięki której autarcha będzie mógł zdobyć moc śpiących bogów.

Wstęp

- Ptaszysko, dokończ swoją opowieść.
- Kruk uniósł łepkę.
- Opowieść?
- O bogu Kupilasie czy Szachraju, jak go nazywasz. Opowiedz mi o nim do końca. Leje jak z cebra, jest mi zimno, jestem głodny i zagubiony w najgorszym miejscu świata.
- Tak jak my, przemoczeni i głodni – upomniał go Skurn. – Niedużo jedliśmy, jeden albo dwa tłuczone kokony.
- Wiadomość ta wcale nie poprawiła samopoczucia Barrickowi.
- Po prostu... dokończ opowiadać. Proszę.
- Trochę udobruchany kruk wygładził dziobem pstrokate pióra.
- Może i tak. A na czym skończyliśmy?
- Na tym, jak spotkał swoją prababkę. A ona miała go nauczyć...
- Och, tak. Przypominamy sobie. „Nauczę cię, jak się poruszać po krainie Pustki – powiedziała prababka do Szachraja – która jest poza wszystkim, a jednocześnie w każdym miejscu, tak bliska jak myśli, tak niewidzialna jak modlitwa”. Czy na tym skończyłem?
- Dokładnie.
- A może najpierw poszukałbym czegoś do jedzenia dla ciebie? – Skurn znowu był w dobrym nastroju. – W tej części lasu jest mnóstwo świszczących ciem... – Widząc minę Barricka, dodał: – No cóż, panie zbyt-dobry-na-wszystko, tylko nie wiń Skurna, gdy w nocy będziesz się budził przy dźwiękach marsza, którego zagrają ci własne kiszki...

Szachraj spędził wiele dni u boku Pustki, swojej prababki, poznawał tajemnice jej krainy i jej dróg i nabierał mądrości. Podróżując, poznał wiele sztuczek i zobaczył wiele rzeczy, gdy nikt się nie spodziewał, że ktoś Patrzy. I choć ciało miał okaleczone, jedną nogę krótszą od drugiej, przez co kolebał się jak wóz z zepsutym kołem, wędrował szybciej niż ktokolwiek inny – nawet jego kuzyn Oszust, którego ludzie nazywają Zosimem.

Oszust, podstępny pan dróg, poezji i szaleńców, był najszybszy z całego klanu Trzech Braci. Sam poznał niektóre tajemnice prababki Pustki i nazwał ją Starym Wiatrem w Studni, przekonany, że ona tego nie słyszy. Potem Pustka zadbała, by Oszust nie dowiedział się już niczego o jej krainie i dziwnych sekretach.

Za to Szachraj pozostał bliski jej sercu, dlatego solidnie go uczyła. Im więcej poznawał, im więcej zdobywał słów i mocy, tym bardziej umacniał się w przekonaniu, że niesprawiedliwie się stało, iż zginął jego ojciec, porwano jego matkę, a jego wuja i krewnych wygnano na niebo, podczas gdy ci, którzy to uczynili, a w szczególności trzej najwięksi bracia – Perin, Kernios i Erivor, jak ich nazywacie – żyją szczęśliwi na ziemi. Szachraj długo nad tym rozmyślał, aż wreszcie podjął decyzję – obmyślił niezwykle sprytny plan, jakiego nikt wcześniej nie wymyślił.

Trójki braci pilnowało wielu strażników mających wielką moc, tak więc nie wystarczyło tak po prostu na nich napaść. Pana Wody Erivora strzegły morskie wilki, które pływały wokół jego tronu, a także toksyczne meduzy i wodni żołnierze, chroniący go przez cały zielony dzień i zieloną noc. Pan Nieba Perin mieszkał w pałacu na szczycie najwyższej góry świata w otoczeniu swoich krewnych i nosił ogromny młot Gromotrask, wykonany dla niego przez Szachraja, którym mógłby roztrzaskać cały świat, gdyby uderzał wystarczająco długo. Pan Kamienia (nazywany przez was Kerniose) nie miał tylu sług co inni, lecz mieszkał w swoim zamku w głębi ziemi

pośród zmarłych, a strzegły go sztuczki i słowa, które mogły wypalić ci oczy albo zamienić twoje kości w kruchy lód.

Lecz wszystkich braci łączyła jedna słabość powszechna wśród mężczyzn, mianowicie ich żony. Bo nawet Pierworodni, jak się mówi, nie są lepsi w oczach swych kobiet.

Długo mądry Szachraj nawiązywał przyjaźń z żonami swoich braci: z Nocą, królową Pana Nieba, i Księżycem, odrzuconą przez Pana Kamienia i przyjętą przez Pana Wody, jego brata. Obie żony zazdrościły mężom wolności i także pragnęły swobodnie wędrować po świecie, robić, na co przyjdzie im ochota, i kochać tego, kto im się spodoba. Tak więc Szachraj podsunął im miksturę, by wlały ją mężom do pucharów, tak przy tym mówiąc: Ona sprawi, że prześpią całą noc i ani razu się nie obudzą. Wtedy wy będziecie mogli robić, co zechcecie.

Noc i Księżyc ucieszyły się z podarunku Szachraja i obiecały, że doleją miksturę do wina mężów jeszcze tego wieczoru.

Trzeci z braci, zimny i twardy Pan Kamienia, odnalazł matkę Szachraja, Kwiat – wy, jak się zdaje, nazywacie ją Zorią – gdy wędrowała samotna i smutna po zakończonej wojnie, i zabrał ją do siebie, po czym uczynił swoją żoną, wypędziwszy wcześniej Księżyc, by szukała szczęścia w świecie. Pan Kamienia nadał matce Szachraja nowe imię, Jasny Świt, i choć obsypał ją złotem, klejnotami i innymi darami czarnej ziemi, nigdy się nie uśmiechnęła i nie przemówiła, tylko siedziała nieruchoma jak wszyscy zmarli, nad którymi Pan Kamienia sprawował władzę ze swojego mrocznego tronu. Szachraj udał się do matki pod osłoną ciemności i wyjawił jej swój plan. Nie musiał jej okłamywać ten, który widział, jak zabijają jej męża, jak torturują syna i wypędzają rodzinę. Gdy podawał matce miksturę, nic nie powiedziała ani nawet się nie uśmiechnęła, lecz złożyła pocałunek na czole Szachraja, zanim odwróciła się i odeszła niekończącymi się korytarzami domu Pana Kamienia. Potem widział się z nią jeszcze tylko raz.

Działając według swojego planu, Szachraj udał się najpierw do domu Pana Wody w głębi oceanu. Podróżował drogami krainy prababki Pustki, tak jak go nauczyla, dlatego nie zobaczył go nikt z domu Pana Wody. Szachraj przemknął obok wiecznie czuwających morskich wilków, niczym zimny prąd, i choć domyślały się, że jest w pobliżu, nie mogły go dopaść i rozerwać na strzępy ostrymi zębami. Nie zaszkodziły mu także toksyczne meduzy – Szachraj przebrnął przez nie, jakby to były unoszące się na wodzie lilie.

Gdy wreszcie znalazł Pana Wody, uśpionego w swojej komnacie, pijanego, zamroczonego miksturą, którą podała mu Księżyc, zamyślił się i popadł w dziwny nastrój. Pan Wody nie przyłożył ręki do jego tortur, tak jak jego bracia, dlatego Szachraj nie darzył go równie wielką nienawiścią, jaką odczuwał wobec Pana Nieba i Pana Kamienia. Pan Wody doprowadził do wojny z rodziną Szachraja i przyczynił się do tego, że matka Szachraja została wdową, a potem razem z braćmi wypędził klan Szachraja na niebo. Co więcej, gdy jeszcze mieszkał na ziemi, pozwolił, by klan Wilgoci żył swobodnie. Jakby w geście łaski, Szachraj nie obudził Pana Wody, by ten poznał swój los, lecz otworzył drzwi do Pewnej części krainy Pustki, gdzie nigdy wcześniej nikt nie zaglądał, tajemnego miejsca, o którym zapomniała nawet jego prababka, i wepchnął przez nie uśpionego Pana Wody. Gdy Erivor odszedł ze świata, Szachraj zamknął drzwi.

Tajemnymi ścieżkami opuścił podwodny dom, zastanawiając się, czy udać się do Pana Nieba czy do Pana Kamienia. Spośród Trzech Braci Pan Nieba był najpotężniejszy i najbardziej okrutny i to on uczynił siebie władcą wszystkich bogów. Sprawował władzę nad nimi ze swojego palacu na szczycie góry Xandos – Berła – a boski dwór chronił go lepiej niż najtwardsze mury. Jego synowie, Myśliwy, Jeździec i Noszący Tarczę, mieli niemal taką samą moc jak ojciec, a córki, Mądrość i Las, mogły pokonać prawie każdego wojownika, nie wspominając o kalekim Szachraju. Uznał on, że nie ma sensu zostawiać na koniec Pana Kamienia w jego potężnej twierdzy.

Ale prawda była taka, że to zimnego milczącego Pana Kamienia, a nie jego wojowniczego brata, Szachraj obawiał się najbardziej.

Tak więc Szachraj udał się do Berła ścieżkami Pustki. Cały klan Wilgoci wyczuwał jego kroki, ale go nie widział. Jedynie bystrooki Myśliwy i szybkonoga Las domyślali się, gdzie jest. Okrutna i piękna Las pobiegła za Szachrajem, ale go nie dogoniła, i tylko oddarła strzęp jego tuniki. Myśliwy wypuścił magiczną strzałę, która przecięła ścieżki Szachraja i musnęła jego ucho, tak że krew skapnęła mu na bark i dłoń białą jak kość słoniowa. Nie powstrzymali go jednak, tak więc niebawem zakradł się do pałacu Pana Nieba, gdzie spoczywał odurzony władca. Szachraj zaryglował drzwi.

– Obudź się! – zawołał do śpiącego Pana Nieba. Chciał, żeby jego wróg wiedział, co się dzieje i kto go zaskoczył. – Obudź się, Donośny Głosie – nadszedł twój koniec!

Pan Nieba był bardzo silny nawet po wypiciu mikstury, którą sporządził dla niego Szachraj. Zerwał się więc z łóżka i sięgnąwszy po swój ogromny młot wielki jak bela siana, zamierzył się na Szachraja. Chybił i roztrzaskał wielkie łożo.

– Nie martw się – rzekł Szachraj. – Łóżko już nie będzie ci potrzebne. Już niebawem zaśniesz w innym... w zimnym łożu w zimnym miejscu.

Pan Nieba ryknął, że Szachraj jest zdrajcą, a potem cisnął młot z ogromną siłą. Gdyby jego celem był inny bóg albo człowiek, Gromotrzask zmiażdżyłby go i spalił na węgiel. Teraz jednak młot zatrzymał się w powietrzu.

– Myślałeś, że zrobię ci broń, której mógłbyś użyć przeciwko mnie? – spytał Szachraj. – Nazywasz mnie zdrajcą, ale to ty zaatakowałeś mojego ojca – własnego brata – i podstępem go pokonałeś. Teraz dostaniesz to, na co zasługujesz.

Po tych słowach Szachraj odwrócił młot w kierunku Pana Nieba, a odgłosy uderzeń przypominały grzmoty piorunów. Pan Nieba zaczął wołać rodzinę i sługi, aby mu pomogli. Wszyscy, którzy żyli na szczycie Berła, przybiegli mu na pomoc. Wtedy Szachraj otworzył drzwi prowadzące do Pustki i zanim Pan Nieba zdążył powiedzieć coś jeszcze, zadał mu kolejny cios młotem i pchnął za próg. Kraina Pustki wciągała Pana Nieba niczym wietrzny wir, lecz on chwycił się mocno desek podłogi i trzymał całą siłą mocarnych dłoni. Nie puścił się, ale też nie potrafił wciągnąć z powrotem z krainy, w której panowała jego prababka. Szachraj tylko się uśmiechnął i wycofał się. Otworzył drzwi komnaty Pana Nieba i schował się za nimi. Do środka wpadli wszyscy pozostali bogowie mieszkający na górze, Mądrość, Noszący Tarczę, Chmury i Opiekun. Widząc swojego pana w opalach, ruszyli mu na pomoc i chwyciwszy za ramiona, próbowali wciągnąć z powrotem, lecz magia prababki Pustki miała ogromną moc i nie potrafili jej przezwyciężyć. Gdy tak się zmagali, Szachraj wyszedł zza drzwi i podszedł do chudego Starego Wieku, który stał z tyłu. Stary Wiek nawet nie dotykał Pana Nieba, ale ciągnął Mądrość, która ciągnęła Myśliwego, ten zaś trzymał za rękę Pana Nieba.

– Pamiętam, jak splunąłeś na ciało mojego ojca – powiedział Szachraj do Starego Wieku, a potem uniósł dłoń z brązu i dłoń z kości słoniowej i pchnął starca.

Stary Wiek zatoczył się i wpadł na Mądrość, która upadła na Myśliwego, i tak wszyscy, którzy zbiegli się z całego pałacu na ratunek swojemu panu, wpadli do krainy Pustki. Wtedy Pan Nieba puścił deski podłogi i wszyscy runęli w zimną ciemność już na zawsze.

Szachraj roześmiał się na ten widok i śmiał się, gdy krzyczeli i złorzeczyli mu, a zaśmiał się jeszcze głośniejsze, gdy już odeszli. Wcześniej dużo rozmyślał o tym, ile zła mu wyrządzili, dlatego teraz nie współczuł bogom.

Lecz jeden z krewnych Pana Nieba nie przybiegł do komnaty. Był to Oszust, który nigdy nie brał się do czegoś, co mogli zrobić inni. Teraz się przestraszył, gdy zobaczył, jak Pan Nieba, najpotężniejszy z bogów, został pokonany i wypędzony. Wybiegł z pałacu, by ostrzec swego ojca,

Kamiennego Człowieka.

Gdy Szachraj zszedł wreszcie z wielkiej góry Xandos i pobiegł w kierunku domu Kamiennego Człowieka, szybki Oszust go uprzedził. Szachraj nie miał już niczego, czym mógłby zaskoczyć przeciwnika, tak więc gdy dotarł do wrót domu Kamiennego Człowieka, zastał je zamknięte i zaryglowane przez licznych żołnierzy. To go jednak nie powstrzymało. Obszedł wszystkich, poruszając się po drogach znanych tylko jemu i jego prababce, aż znalazł się przed komnatą Kamiennego Człowieka. Oszust ostrzegł ojca i już się wymykał, lecz Szachraj zastąpił mu drogę. Walczyli. Szachraj chwycił przeciwnika za gardło i trzymał mocno. Wtedy Oszust zamienił się w byka, w węża, w sokoła, a nawet w żywy płomień, mimo to Szachraj nie zwolnił uścisku. Wreszcie Oszust się poddał i zaczął błagać o życie.

– Próbowałem ratować twoją matkę – jęczał. – Próbowałem pomóc jej uciec. I zawsze byłem twoim przyjacielem! Kiedy wszyscy inni zwrócili się przeciwko tobie, ja się za tobą wstawiłem. Czy nie przygarnąłem cię i nie napiłem winem, gdy cię wypędzono?

Szachraj tylko się roześmiał.

– Chciałeś mieć dla siebie moją matkę i tak by się stało, gdyby nie uciekła. Nie wstawileś się za mną i nie stanąłeś po niczyjej stronie – zawsze tak postępujesz, żeby móc się przyłączyć do tego, kto wygra. Owszem, przygarnąłeś mnie i napiłeś winem, bo chciałeś mnie upić i wydobyć ze mnie wiedzę o tym, jak zrobić magiczne przedmioty, które podarowałem Panu Nieba i innym, lecz dzięki mojej dłoni z kości słoniowej rozbiłem puchar. – Uniósł Oszusta i zaniósł go do komnaty Kamiennego Człowieka. Szachraj wciąż bał się Pana Czarnej Ziemi, ale wiedział, że tak czy inaczej zbliża się koniec.

Kamienny Człowiek nie ufał nikomu, dlatego nie wypił mikstury, którą przygotowała dla niego matka Szachraja. Teraz stał w swojej strasznej szarej zbroi z włócznią zwaną Gwiazdą Ziemi w ręku. Miał też inną broń i gdy Szachraj zjawił się nagle przed nim, podszedłszy drogami Pustki, Kamienny Człowiek mu ją pokazał.

– Oto twoja matka – rzekł – którą sprowadziłem do swojego domu, a która odplaciła mi zdradą. – Trzymając ją mocno, przyłożył grot włóczni do jej gardła. – Jeśli się nie poddasz i nie skrepujesz samego siebie tymi samymi zaklęciami Pustki, które pozwoliły ci zamordować moich braci, ona umrze na twoich oczach.

Szachraj nawet nie drgnął.

– Twoi bracia otrzymali więcej łaski, niż okazali moim krewnym. Nie umarli, lecz tylko śpią w zimnej pustej krainie, w której i ty niebawem zaśniesz.

Kamienny Człowiek roześmiał się, a jego śmiech, jak mówią, przypominał wiatr wiejący z grobowca.

– Czy to lepsze niż śmierć? Wieczny sen w Pustce? Nie, nie dostaniesz takiego podarunku. Zniszczysz samego siebie albo twoja matka wykrwawi się tu na śmierć, a potem i tak cię zabiję.

Szachraj podniósł jeszcze wyżej Oszusta, którego wciąż więził w uścisku swojej spiżowej dłoni.

– A co z twoim synem?

Głos Kamiennego Człowieka przypominał dudnienie drżącej ziemi.

– Miałem wielu synów, a jeśli przeżyję, spłodzą ich więcej. Jeśli nie, to nie obchodzi mnie, kto inny zachowa życie. Rób, co chcesz.

Szachraj cisnął Oszusta na bok. On i Kamienny Człowiek długo mierzyli się wzrokiem niczym wilki stojące nad ofiarą, a żaden nie chciał zrobić pierwszego kroku. Matka Szachraja przyłożyła drżące dłonie do ostrego grotu włóczni i przebiła sobie szyję. Osunęła się na podłogę i legła w ogromnej kałuży krwi.

Kamienny Człowiek nie zwlekał. Gdy Szachraj patrzył, jak z każdym oddechem wycieka

życie z jego matki, Pan Czarnej Ziemi cisnął włócznię, jeszcze mokrą od krwi, celując w serce przeciwnika. Szachraj spróbował zmusić do posłuszeństwa Gwiazdę Ziemi, lecz Kamienny Człowiek wcześniej zabezpieczył włócznię swoją mocą, tak więc Szachrajowi nie udało się nad nią zapanować. Miał tylko tyle czasu, by uskoczyć do pustej krainy. Włócznia przemknęła obok i uderzyła w ścianę z taką siłą, że cały pałac się zawalił, a ziemia dokoła się zatrzęsała.

Gdy Szachraj powrócił z dróg Pustki, Kamienny Człowiek od razu go zaatakował. Długo się zmagali pośród walących się ścian pałacu, gdyż tak wielką mieli siłę i walczyli z taką zaciekłością, że popękały skały ziemi, i tam, gdzie przedtem wznosiły się nad domem Kamiennego Człowieka skaliste szczyty, ziemia się zapadła i otoczył ich ocean, oni zaś walczyli dalej na kamiennej wyspie pośród jego wód.

Wreszcie chwycili się za gardła. Kamienny Człowiek był silniejszy, a Szachraj mógł tylko wycofać się na drogi ciemności, lecz Kamienny Człowiek nie puścił go i obaj się w niej znaleźli. Gdy wpadli do Pustki, Kamienny Człowiek zgął kark Szachraja i niemal go złamał. Szachraj nie mógł już oddychać i z trudem zbierał myśli, gdy Kamienny Człowiek wyciskał z niego życie.

– A teraz spójrz mi w oczy – rzekł Kamienny Człowiek. – Zobaczysz w nich ciemność większą, niż potrafi stworzyć czy choćby sobie wyobrazić Pustka.

Szachraj znalazł się w potrzasku, bo wiedział, że jeśli chociaż na chwilę spojrzy w oczy Pana Czarnej Ziemi, zostanie wciągnięty w śmierć, tak więc odwrócił głowę i zatopił zęby w dłoni Kamiennego Człowieka. Ten boleśnie zraniony, poluzował uchwyt, dzięki czemu Szachrajowi udało się wyrwać z jego uścisku. Pchnął Kamiennego Człowieka, który spadł w wypełnioną chmurami zimną ciemność.

Przez jakiś czas Szachraj wędrował po najbardziej oddalonych zakątkach Pustki, oszołomiony i zdezorientowany, lecz wreszcie znalazł drogą powrotną do domu Kamiennego Człowieka, gdzie pozostało ciało jego matki. Przyklęknął nad nim, lecz poczuł, że nie jest zdolny do płaczu. Zamiast tego dotknął dłonią miejsca, w które wcześniej go pocałowała, a potem się pochylił i ucałował jej zimny policzek.

– Zniszczyłem twoich dręczycieli – przemówił do nieruchomej postaci.

A potem nagle poczuł przeszywający ból, gdy ogromna włócznia Kamiennego Człowieka przebiła mu pierś. Szachraj z trudem dźwignął się na nogi. Oszust wyszedł z cienia, gdzie się schował. Mistrz intrygi śmiał się i podskakiwał.

– A teraz ja zniszczyłem ciebie – zawołał Oszust Zosim. – Wszyscy wielcy z wyjątkiem mnie nie żyją i tylko ja zostałem, by rządzić całym światem i po siedmiokroć siedmioma górami i po siedmiokroć siedmioma oceanami!

Szachraj zacisnął spierzoną dłoń i dłoń z kości słoniowej na drzewcu. Ogromna włócznia buchnęła płomieniem i spaliła się na popiół.

– Nie zniszczyłeś mnie – powiedział, choć był ciężko ranny. – Jeszcze nie... jeszcze nie...

Dopiero gdy cisza trwała tak długo, że głowa opadła Barrickowi sennie na pierś, książkę podniósł wzrok.

– Ptaszysko? Skurn? Co się stało potem? – Otworzył szerzej oczy. – Gdzie jesteś?

Kilka chwil później coś czarnego opadło z trzepotem skrzydeł z wiecznie szarego nieba z czymś okropnym, co wiło się w jego czarnym dziobie.

– Hm... – mruknął ptak, podczas gdy większość nóg ofiary wierzgała bezradnie, wystając z dzioba. – Smakowite. Później dokończę opowieść. Wypatrzyłem całe gniazdo tego, a jakże. Smakuje jak zdechła mysz, zanim ją rozedmie za bardzo i pęknie. Mam ci przynieść jednego albo dwa?

– Och, bogowie – jęknął Barrick i odwrócił się z obrzydzeniem. – Bez względu na to, gdzie

jesteście, żywi lub martwi albo uśpieni, proszę, dajcie mi siłę.

Kruk prychnął, słysząc taką bzdurę.

– Modlitwa nie wystarczy. Żeby zachować siłę, musimy jeść.

CZEŚĆ PIERWSZA

WELON

Fałszywa korona

O ile wiem, nie ma takiego miejsca na obu kontynentach ani na wyspach na morzu, gdzie by nie opowiadano legend o czarodziejskim ludzie. Ale czy oni kiedyś żyli w tych miejscach, czy też wspomnienia o nich zostały tam przyniesione przez przybyszów, nie wiadomo.

– z Traktatu o czarodziejskich narodach obojga kontynentów Eionu i Xandu

Dzwony świątynne wzywały na południową modlitwę. Briony poczuła ukłucie wstydu, ponieważ była spóźniona o dobrą godzinę, w dużej mierze za sprawą lorda Jina, który zasypał ją gradem wnikliwych pytań.

– Wybacz, lordzie – przerwała mu, wstając. – Przepraszam, ale naprawdę muszę odwiedzić przyjaciół. – Po długich miesiącach wędrówki trudno jej było wcielić się na powrót w damę, dlatego miała poczucie, że wytworne zachowanie to kolejna rola, którą odgrywa na scenie z aktorami.

– Mówiąc o przyjaciółach, masz na myśli aktorów? – Erasmias Jino uniósł stylowo wyskubaną brew. Syański lord wyglądał fircykowato, ale taka moda panowała w Syanie. Tak naprawdę Jino był znany ze swojej bystrości, zabił też trzech ludzi w pojedynkach zatwierdzonych przez Sąd Honorowy. – Oczywiście, Wasza Wysokość, już nie musisz udawać, że naprawdę zaprzyjaźniłaś się z tymi... ludźmi. Pomogli ci podróżować w przebraniu – bardzo rozsądne posunięcie, kiedy ktoś porusza się po niebezpiecznych drogach niebezpiecznego kraju – ale już można skończyć z tą błazenadą.

– Tak czy owak, muszę się z nimi spotkać. To mój obowiązek. – Briony pomyślała, że w zasadzie mówi prawdę. Wcześniej nie traktowała aktorów jak prawdziwych przyjaciół, zatrzymując dla siebie najważniejsze szczegóły swego życia. Oni otworzyli się przed nią, lecz Briony Eddon nie odwzajemniła ich zaufania, wręcz przeciwnie, na ich uczciwość odpowiadała kłamstwem.

Przynajmniej większość z nich była uczciwa.

– Rozumiem, że uwolniliście wszystkich poza Finnem Teodorosem, który twierdził, że ma wiadomości od lorda Brone'a dla waszego króla. Jestem jego prawowitą władczynią, tak więc nie może niczego przede mną ukrywać. Chciałabym usłyszeć, co miał do przekazania.

Jino uśmiechnął się i musnął palcami brodę.

– Być może tak się stanie, ale o tym zdecyduje król Enander, księżniczko Briony. Przyjmie cię później. – Nieprzypadkowo lord użył królewskiego tytułu. Najwyraźniej chciał jej przypomnieć, że syański król stoi nad nią i byłoby tak nawet w jej ojczystym kraju, w którym przecież się nie znajdowała.

Lord Jino podniósł się z wdziękiem, którego mogłaby mu pozazdrościć niejedna kobieta.

– Chodź. Zaprowadzę cię do aktorów.

Nie ma ojca, nie ma Kendricka, a Barrick... Próbowwała powstrzymać łzy, które nagle wezbrały w jej oczach. Shaso, a teraz Dawet. Większość z nich nie żyje, a może wszyscy... Starła się nad sobą zapanować, tak by Syańczyk nie zauważył jej nastroju. Teraz zaś musi się

pożegnać z trupą Makewella. Dziwna była ta jej samotność. Wcześniej traktowała ją jako stan przejściowy, jako coś, co trzeba przetrzymać, aż sytuacja się poprawi. Teraz jednak po raz pierwszy dotarło do niej, że to wcale nie jest tymczasowe, że być może powinna nauczyć się żyć w ten sposób, wyniosła niczym posąg i twarda jak kamień, lecz wydrażona w środku. Całkowicie pusta...

Jino poprowadził ją przez królewską rezydencję i dalej przez jeden z wielkich pałacowych ogrodów do pograżonych w ciszy podcieni, które ciągnęły się wzdłuż muru. Jakże ogromna rezydencja – sam pałac tak duży jak Zamek Marchii Południowej razem z przyległym miastem. A ona nie знаła tam nikogo, nikomu nie mogła zaufać...

Sprzymierzeńcy. Potrzebuję sprzymierzeńców na tej obcej ziemi.

Aktorzy z Marchii Południowej siedzieli na ławce w komnacie bez okien, której strzegło kilku strażników. Wyglądali na przestraszonych, a widok Briony, ich władczyni ubranej w kosztowny strój, który dostarczył jej Jino, wcale nie przyniósł im ulgi. Estir Makewell, która w ostatniej rozmowie z Briony wyraziła swój gniew, wręcz pobladła i skuliła się, jakby spodziewała się uderzenia. Ze wszystkich siedzących na ławce tylko młody Feival nie wyglądał na przestraszonego. Obrzucił ją spojrzeniem od stóp do głów.

– Patrzcie, ależ cię wystroili! – zauważył z aprobatą. – Tylko wyprostuj się, dziewczyno, i noś stosownie do swojej pozycji!

Briony uśmiechnęła się mimowolnie.

– Wyszłam z wprawy.

Rozpustny Nevin Hewney także przyglądał jej się z uwagą.

– Na bogów, prawdę mówili. I pomyśleć, że gdybym trochę bardziej się postarał, to zaliczyłbym księżniczkę!

Estir Makewell głośno wciągnęła powietrze, jej brat Pedder spadł z ławki, a dwaj strażnicy opuścili halabardy na wypadek, gdy oznaczało to początek buntu.

– Błogosławiona Zorio, miej nas w opiece! – zawołała Estir ochryłym głosem, spoglądając na ostrza halabard. – Hewney, ty głupcze, przez ciebie wszystkich nas powieszają!

Briony poczuła pewne rozbawienie, lecz uznała, że nie powinna się zbyt spoufalać z aktorami w obecności Jina i strażników.

– Bądźcie pewni, że gdybym uznała to za obrazę, to tylko Hewney poniósłby karę za swój niewyparzony język – rzekła i posłała aktorowi surowe spojrzenie. – A gdybym miała odczytać całą listę przewinień, mogłabym zacząć od tamtego dnia, kiedy to nie wiedząc, z kim rozmawia, nazwał mnie i mojego brata „parą bliźniaczych szczeniąt spłodzonych przez Przywilej, który ujeździł sukę Głupotę”. Wspomniałabym też, że mojego uwięzionego ojca nazwał „królewską zabaweczką miłosnych gier Ludisa Drakavy”. To by wystarczyło, żeby oddać go katu.

Nevin Hewney jęknął, odrobinę zbyt głośno jak na kogoś, kto szczerze wyraża skruchę. Aktor był zupełnie niezdolny do odczuwania strachu albo całkowicie ogłupiony wieloletnim nadużywaniem alkoholu.

– Widzicie? – zwrócił się do kamratów. – Oto, co dają młodość i trzeźwość. Co za pamięć. To prawdziwe przekleństwo nie móc zapomnieć choćby najdrobniejszej głupoty. Wasza Wysokość, współczuję ci.

– Och, zamknij się, Hewney – rzuciła Briony. – Nie mam zamiaru karać cię za słowa, które wypowiedziałeś, nie wiedząc, kim jestem, ale powiem ci, że nawet w połowie nie jesteś taki bystry i czarujący, za jakiego się uważasz.

– Dziękuję, Wasza Wysokość. – Dramatopisarz i aktor w jednej osobie skłonił głowę. – Jako że mam o sobie wygórowane mniemanie, mimo wszystko pozostawiłaś mi sporo uroku.

Briony tylko pokręciła głową. Spojrzała na Dowana, olbrzyma o łagodnym głosie, którego

darzyła szczególną sympatią.

– Przyszłam się pożegnać. Postaram się, żeby wypuścili Finna jak najszybciej.

– A więc to prawda? – spytał olbrzym. – Naprawdę jest tak, jak mówią, pani? Wasza Wysokość?

– Obawiam się, że tak – odpowiedziała. – Nie chciałam was okłamywać, ale bałam się o swoje życie. Za to nigdy nie zapomnę, z jaką życzliwością mnie przyjęliście. – Spojrzała na pozostałych i nawet Estir obdarzyła uśmiechem. – Wszyscy. Tak, nawet mistrz Nevin, choć jego uprzejmość maciły trochę lubieżność i zamiłowanie do brzmienia własnego głosu.

– Ha! – zawołał Pedder Makewell, który już siedział na ławce. – Hewney, znowu ci dopiekła.

– Co mi tam – rzucił dramaturg pogodnym tonem. – Skoro pani Marchii Południowej ogłosiła mnie w połowie najbardziej czarującym mężczyzną na świecie.

– Nie jestem panią Marchii Południowej. – Briony zerknęła na Erasmiasa Jina obserwującego całą scenę z uprzejmym uśmiechem na ustach, niczym widz, który poprzedniego dnia oglądał lepsze przedstawienie. – I z tego właśnie powodu nie wolno wam tam wracać, jeszcze nie teraz. – Spojrzała na syańskiego szlachcica. – Wieści o mojej obecności tutaj dotrą do Marchii Południowej, nieprawdaż?

Syańczyk wzruszył ramionami.

– Nie zamierzamy trzymać tego w tajemnicy. W końcu nie jesteśmy w stanie wojny z twoim krajem, księżniczko. Co więcej, powiedziano nam, że Tolly jedynie strzeże tronu do powrotu Olina albo... twojego.

– To kłamstwo! Próbował mnie zabić.

Jino rozłożył ręce.

– Nie wątpię, że masz rację, księżniczko Briony. Ale sprawa jest... złożona...

– Widzicie? – zwróciła się do aktorów. – Musicie zostać w Tesis, przynajmniej do czasu, aż postanowię, co robić. Pokażcie swoje przedstawienia. Musicie tylko znaleźć nową aktorkę, która zagra Zorię. – Uśmiechnęła się. – Z łatwością znajdziecie kogoś lepszego niż ja.

– Moim zdaniem radziłaś sobie nie najgorzej – rzekł Feival. – Oczywiście nie tak dobrze, żeby o mnie zapomnieli, dzięki Zosimowi i innym bogom, ale nieźle.

– To prawda – odezwał się Dowan Birch. – Gdybyś jeszcze trochę popracowała, byłaby z ciebie wielka aktorka. – Spojrzał na pozostałych i zaczerwienił się, gdy się roześmiali.

Oblicze Briony pozostało jednak poważne. Poczula bolesne ukłucie, gdy usłyszała jego słowa, i przez chwilę pomyślała o tym niedostępnym dla niej życiu, w którym wszystko jest inne i w którym mogła robić to, co chciała.

– Dziękuję ci, Dowanie – odpowiedziała i wstała. – Nie martwcie się. Wkrótce znajdziemy wam dach nad głową. – Póki co, może mieć ich blisko siebie i rozważyć pomysł, który przyszedł jej do głowy. – A zatem żegnajcie. Do następnego razu.

Gdy strażnicy wyprowadzali aktorów, Hewney odłączył się od pozostałych i podszedł do Briony.

– Powiem szczerze – wyszeptał. – Wolę cię w tej roli, dziecko. Grasz królową niezwykle przekonująco. Widzę przed tobą wielką przyszłość, tak trzymaj. – Cmoknął ją w policzek i wrócił do pozostałych. Jego całus pachniał winem i Briony zastanawiała się przez chwilę, skąd Hewney wziął trunek, będąc więźniem króla Enandera

– Na świętą Sierotę – zdumiał się lord Jino – to było wielce... interesujące. Opowiesz mi kiedyś, jak to jest podróżować z takimi ludźmi. Ale teraz czas na poważniejszy występ – jak to mówią: występ na rozkaz monarchy.

Dopiero po chwili do Briony dotarło znaczenie tych słów.

- Król?
- W rzeczy samej, Wasza Wysokość. Jego Królewska Mość pragnie cię zobaczyć.

Briony była jedną z osób, które gotowe były przyznać, że sala tronowa Zamku Marchii Południowej jest okazała, a nawet wspaniała, ale nie zapiera tchu w piersiach. Sufit pokrywają wspaniałe stare płaskorzeźby, które zazwyczaj są słabo widoczne w mroku, poza uroczystymi okazjami, kiedy to zapala się mnóstwo świec. Sam sufit jest wysoki, lecz tylko w porównaniu z większością pozostałych komnat – w wielkich domach Marchii Południowej widuje się wyższe pokoje. Także witrażowe okna, które w dzieciństwie przywodziły Briony na myśl niebiosa, nie są tak piękne jak te w świątyni trygonackiej w twierdzy zewnętrznej za Kruczą Bramą. Mimo wszystko Briony zawsze uważała, że jej dom i inne królewskie rezydencje na kontynencie Eionu nie różnią się zbytnio od siebie. W końcu jej ojciec był królem, podobnie jak jego ojciec i dziadek – ich ród miał wielowiekową historię. Uznała więc, że monarchowie Syanu, Brenlandii i Perikalu nie wiodą wspanialszego życia. Pozbyła się tych złudzeń w momencie, gdy przybyła do słynnego Latarnianego Pałacu.

Poczuła się głupio od pierwszej godziny jej pojmania, gdy powóz, w otoczeniu straży, przejechał pod opuszczaną kratą i znalazł się na terenie pałacu. Jakże plebejski wydał jej się ród Eddonów. Pomyślała o swojej rodzinie tak samo, jak niegdyś oboje z Barrickiem traktowali prowincjonalną szlachtę, naśmiewając się z niej. I oto teraz stała obok Jina w sali tronowej, ogromnej komnacie, która przez wieki była sercem całego kontynentu i wciąż odgrywała rolę stolicy jednego z najpotężniejszych krajów świata; Briony poczuła, jak dławi się swoimi nieuzasadnionymi arystokratycznymi pretensjami.

Sala była ogromna, a jej sufit wznosił się dwukrotnie wyżej niż sklepienie największej świątyni w Marchii Południowej, do tego pokrywały go płaskorzeźby i malowidła pełne zdumiewających szczegółów, jakby przez stulecie pracowało nad nim całe pokolenie Funderlingów. Później księżniczka dowiedziała się, że tak właśnie było, choć tutaj, w Syanie, mały lud nazywano Kallikanami. Każde okno mieniące się wszystkimi kolorami tęczy dorównywało wielkością Bramie Bazyliszkowej, a były ich dziesiątki, dzięki czemu komnata zdawała się wysklepiona tęczowymi łukami. Na podłodze z białego i czarnego marmuru ułożono okrągłą mozaikę zwaną Okiem Perina i znaną na całym świecie, jak poinformował Briony Erasmas Jino, prowadząc ją przez komnatę. Minęli pusty tron strzeżony przez żołnierzy nieruchomych jak posągi, ubranych w błękit, czerwień i złoto.

– Kiedyś musisz pozwolić, abym ci pokazał nasze ogrody – zwrócił się do niej lord. – Oczywiście sala tronowa jest piękna, ale królewskie ogrody są niezwykle.

Rozumiem cię, kolego – chcesz powiedzieć, że tak wygląda prawdziwe królestwo. Księżniczka powściągnęła uśmiech, w głębi duszy urażona wyniosłością Jina. Masz kiepskie mniemanie o Marchii Południowej i naszych błahych problemach i pragniesz mi uzmysłowić, jak wygląda prawdziwa wspaniałość i prawdziwa moc. Tak, dobrze cię rozumiem. Sugerujesz, że nasza korona przypomina taką fałszywą, wykonaną z drewna i pomalowaną złotą farbą, jaką nosiłam na scenie.

Tylko że serce królestwa wcale nie musi być małe jedynie dlatego, że samo królestwo takie jest, pomyślała.

Jino poprowadził ją przez drzwi w głębi sali tronowej strzeżone przez żołnierzy w innych barwach, choć odcienie błękitu i czerwieni dopełniały kolory strażników z sali tronowej.

– Prywatny pokój króla – wyjaśnił Jino. Otworzył drzwi i dał znak, by weszła. Herold w

błękitnym płaszczu z wyhaftowanym słynnym syańskim mieczem i kwitnącą gałązką migdałowca zapytał ją o imię i tytuł, po czym uderzył w podłogę kijem ze złotym końcem.

– Briony te Meriel te Krisanthe M’Connord Eddon, księżniczka regentka Królestw Pogranicza – oznajmił obojętnym tonem, jakby anonsował przybycie którejś już z kolei księżniczki. Co mogło być prawdą, bo spośród licznych strażników, służących i wystrojonych dworzan obecnych w tej bogato wyposażonej komnacie tylko nieliczni okazali zainteresowanie jej przybyciem.

– Ach, oczywiście, córka Olina! – powiedział brodaczy siedzący na kanapie z wysokim oparciem i dał znak, by podeszła bliżej. Ubrany był w ciemny strój i mówił niskim, silnym głosem. – Rozpoznaję jego rysy w twojej twarzy. Co za nieoczekiwana radość.

– Dziękuję, Wasza Królewska Mość. – Briony dygnęła. Enander Karallios był najpotężniejszym władcą na kontynencie Eionu, co potwierdzał też jego wygląd. Ostatnimi czasy trochę przytył, ale mimo ogromnej postury zachował proporcje. Włosy miał ciemne, niemal czarne, tylko trochę przyprószone siwizną, a twarz, choć zaokrąglona z powodu wieku i nadwagi, wciąż robiła wrażenie: szeroko osadzone oczy osłonięte wysokimi łukami brwi, kształtny nos. Patrząc na niego teraz, wciąż można było dostrzec dziarskiego i przystojnego młodzieńca sprzed lat. – Chodź tu, dziecko. Usiądź. Miło nam cię widzieć. Twój ojciec jest nam drogi.

– Szanuje go cały Eion – odezwała się kobieta w pięknej sukni wyszywanej perłami. Briony domyśliła się, że to Ananka te Voa, potężna szlachcianka, lecz także, a może przede wszystkim, kochanka królów. Zdumiała się, gdy zobaczyła, że kobieta tak otwarcie występuje u boku króla. Jego druga żona zmarła przed kilkoma laty, lecz Briony dowiedziała się z plotek powtarzanych przez ludzi Makewella, że Enander związał się z tą kobietą niedawno, po tym jak Ananka rzuciła poprzedniego kochanka, Hespera, króla Jaelu i Mionu.

Hesper, ten zdrajca o zakrwawionych rękach...!

Briony, będąc w połowie dygnięcia, omal nie straciła równowagi ogarnięta falą wściekłości. Hesper należał do tych nielicznych ludzi, którym życzyła okrutnych tortur. Była ciekawa, czy Ananka towarzyszyła mu jeszcze, gdy ten postanowił uwięzić jej ojca, a potem sprzedać go Ludisowi Drakavie. Była skłonna uwierzyć, że tak, widząc przenikliwe spojrzenie kobiety.

– Oboje jesteście bardzo mili – rzekła Briony, starając się zapanować nad głosem. – Królu Enanderze, ojciec zawsze wyrażał się o tobie w najlepszych słowach.

– A jakże on się miewa? Miałś wieści od niego? – Uwagę Briony rozpraszało coś na kolanach Enandera, czym się bawił. Po chwili dostrzegła małe oczka spoglądające spod ciężkiego aksamitnego rękawa. Było to jakieś małe zwierzę, piesek albo fretka.

– Tak, kilka listów, ale było to, zanim opuściłam Marchię Południową. – Zastanawiała się, co myślą tamci dwoje. Zachowywali się, jakby to była najzwyczajniejsza audyencja. Czyżby nie znali jej sytuacji? – Wasza Królewska Mość wie zapewne, że opuściłam dom... powiedzmy, że nie z własnej woli. Jeden z moich poddanych... niejeden z poddanych mego ojca, Hendon Tolly, podstępnie przejął tron Królestw Pogranicza. Podejrzewam, że zamordował mojego starszego brata, a także jednego ze swoich braci. – W rzeczywistości śmierć Kendricka była jedyną zbrodnią, której nie mogła z całą pewnością przypisać Hendonowi, natomiast on sam przyznał się do współodpowiedzialności za śmierć Gailona.

– Wiesz pewnie, że lord Tolly mówi co innego – odparł Enander nieco zmieszany. – Nie możemy stawać po czyjejkolwiek stronie, nie dysponując dokładniejszą wiedzą. Z pewnością mnie rozumiesz. Lord Tolly utrzymuje, że uciekłaś, a on tylko chroni następcę tronu Alessandrosa, bo tak chyba ma na imię ten chłopiec? – zwrócił się do Ananki.

– Tak, Alessandros. – Kobieta odwróciła się do Briony. – Biedne dziecko. – Ananka była

ładna, ale używała za dużo pudru, co podkreślało linie jej szczupłej twarzy, zamiast je maskować. Ale i tak należała do tego typu kobiet, przy których Briony czuła się niezdarną, głupią dziewczynką. – Ileż musiałaś wycierpieć. Doszły nas straszne wieści! Czy to prawda, że czarodziejski lud zaatakował Zamek Marchii Południowej?

Król Enander posłał jej pełne irytacji spojrzenie, być może dlatego, że nie chciał, by przypominano mu o dawnym długu wobec rodu Anglina, jaki Syan zaciągnął jeszcze za czasów wojen z czarodziejskim ludem.

– To prawda, pani – odparła Briony. – Stało się tak, o ile mi wiadomo...

– Słyszeliśmy, że ukryłaś się w grupie wieśniaków i uciekłaś. Przebyłaś pieszo całą drogę z Marchii Południowej! Co za spryt! Jaka odwaga!

– W rzeczywistości była to trupa aktorska... pani. – Briony nauczyła się, kiedy trzeba przełknąć gorzką pigułkę, ale nie był to jej ulubiony smak. – I wcale nie uciekłam przed obłąkaniem, lecz przed zdradzieckim...

– Tak, słyszeliśmy, co za historia! – przerwał jej Enander, bynajmniej nie przypadkiem. – Choć znamy tylko ogólny zarys sytuacji. Musisz przedstawić nam pełen obraz. Ach... – westchnął i uniósł dłoń na wypadek, gdyby Briony chciała coś powiedzieć. – Ale dość rozmów, moja droga. Musisz być wyczerpana po tak ciężkich doświadczeniach. Znajdziemy czas na wszystko, gdy już odpoczniesz. Zjemy dziś razem kolację.

Briony podziękowała i dygnęła. To kim ja tu jestem, zastanawiała się, gościem czy więźniem? Nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie.

Idąc za lordem Jinem, tłumiała gniew i niezadowolenie. Enander okazał jej dworską uprzejmość i ogólnie Syańczycy traktowali ją tak dobrze, jak się tego spodziewała. Czy oczekiwała, że król się zerwie i deklarując lojalność wobec rodu Anglina, wyprawi ją z powrotem do domu na czele armii, żeby obaliła Tollych? Oczywiście, że nie. Co więcej, obserwując zachowanie Enandera, odniosła wrażenie, że nic takiego nie nastąpi ani teraz, ani później.

Zaabsorbowana własnymi myślami Briony niemal wpadła na wysokiego mężczyznę przemierzającego salę tronową i kierującego się ku komnacie, którą ona właśnie opuściła. Gdy cofnęła się gwałtownie, wyciągnął rękę, by ją podtrzymać.

– Wybacz, pani. Wszystko w porządku?

– Wasza Książęca Mość – zwrócił się do mężczyzny Jino. – Wróciłeś, zanim zaczęliśmy cię szukać.

Briony poprawiła suknię, by ukryć zmieszanie. Książęca Mość? W takim razie ten młodzieniec musi być księciem Eneaszem. Podniosła wzrok i wstrzymała oddech. Czy to naprawdę ten chłopak, o którym tyle rozmyślała tamtego roku, gdy była jeszcze dziewczynką? Był przystojny jak książę, którego sobie wyobrażała, wysoki i smukły w talii, za to szeroki w ramionach, z czupryną potarganych czarnych włosów podobnych do końskiej grzywy splątanej po długim galopie.

– Długo by opowiadać – rzekł książę. – Spieszyłem się. – Skierował na Briony pytające spojrzenie. – A to jest...?

– Wasza Książęca Mość, pozwól, że ci przedstawię Briony te Meriel te Krisanthe... – zaczął Jino.

– Briony Eddon? – przerwał mu książę. – Naprawdę jesteś Briony Eddon? Córka Olina? Co tu robisz? – W tym momencie zmiętygował się i ująwszy jej dłoń, podniósł ją do ust, nie odrywając wzroku od twarzy księżniczki.

– Później ci wszystko wyjaśnię, Wasza Książęca Mość – rzekł Jino. – Ojciec z pewnością czeka na wieści o armiach południowych. Wszystko poszło dobrze?

– Nie – odparł Eneasz. – Spojrzał na Briony. – Będziesz nam towarzyszyła przy kolacji? Powiedz, że tak.

– T-tak, oczywiście.

– Świetnie. A zatem wtedy porozmawiamy. Zdumiewające, że cię tu spotykam. Dopiero co myślałem o twoim ojcu. Bardzo go podziwiam. Czy ma się dobrze? – Nie czekając na odpowiedź, mówił dalej: – Jino ma rację, powinienem już iść. Ale spodziewam się, że dokończymy naszą rozmowę. – Ponownie ucałował jej dłoń, musnąwszy zaledwie spierzchniętymi wargami, lecz wciąż wpatrywał się w Briony, jakby chciał dokładnie zapamiętać rysy jej twarzy. – Mówiłem im, że wyrośniesz na piękność – rzucił. – I miałem rację.

Briony patrzyła, jak księżę odchodzi, i dopiero po długiej chwili zorientowała się, że pewnie stoi z rozdziawionymi ustami niczym wieśniaczka, która pierwszy raz zobaczyła prawdziwe miasto.

– Co on miał na myśli? – zapytała głośno właściwie samą siebie. – Przecież on nawet nie wiedział o moim istnieniu.

Jino zmarszczył brwi, lecz ostatecznie wygiął usta w uśmiechu.

– Och, księżę nigdy nie kłamie, Wasza Wysokość. Nie zniżyłby się też do pochlebstw. – Uśmiechnął się smutno. – Nie miał nic złego na myśli. Przystojny z niego młodzieniec, ale jego maniery pozostawiają trochę do życzenia. – Wyprostował się i podał jej ramię. – Pozwól, że odprowadzę cię do twoich pokoi, księżniczko. Uczynisz nam zaszczyt, siadając z nami do stołu, lecz teraz powinnaś odpocząć po uciążliwej podróży.

Może Briony wydawała się Syańczykom nieco prostacka, ale doskonale rozumiała, co Erasmas Jino usiłuje jej powiedzieć: Proszę, dziecko, zejź mi już z oczu, żebym mógł się zająć ważniejszymi sprawami – sprawami prawdziwego królestwa, a nie jakiegoś zaścianka.

Po raz kolejny Briony uzmysłowiła sobie, że w najlepszym razie stanowi pewną rozrywkę dla Syańczyków, choć bardziej prawdopodobne było, że jest dla nich irytującym problemem. Tak czy inaczej, nie miała tu żadnej władzy ani przyjaciół, na których mogłaby liczyć. Tak więc pozwoliła się poprowadzić przez wspaniałą, rozbrzmiewającą echem salę, a gdy tak szła między gapiącymi się otwarcie dworzanami i bardziej dyskretnymi służącymi, zastanawiała się, w jaki sposób może poprawić swoją sytuację.

Droga pod morzem

Według Rhantysa i innych uczonych z czasów przed Wielką Śmiercią, czarodziejski lud twierdził, że nie został stworzony przez bogów, ale że raczej to on „sprowadził bogów”.

– z Traktatu o czarodziejskich narodach obojga kontynentów Eionu i Xandu

Krzemień podniósł nadłamany krążek biały jak kość i pomachał nim do Rogowca.

– Co to jest? – zapytał, lecz jego przybrany ojciec był oddalony o kilkanaście kroków i nie widział, co chłopiec znalazł.

– Staruszk, czy my idziemy pieszo do Silverside? – zawołała Opal za ich plecami, a gdy zobaczyła, że chłopiec trzyma coś w ręku, zwróciła się do niego: – Co tam masz? – Wyjęła kamień z ręki chłopca i wytarła starannie z kurzu, a potem podstawiała błądy półksiężyc pod światło lampy koralowej. – Spójrz, Rogowcu, to kawałek morskiego imperiala. Powinien leżeć gdzieś na plaży, a nie tutaj. Czy jest możliwe, że ktoś go tu zgubił, jak myślisz?

– Pewnie tak. – Długą chwilę Rogowiec badał wzrokiem skałę nad ich głowami, ale wyglądała na solidną i suchą. – Nic tu nie przecieka. A poza tym morze nie ciurka sobie, jeśli już znajdzie drogę. Woda wypełniłaby całe to miejsce w czasie jednego uderzenia serca. – Od razu przypomniały mu się straszne historie, jakie opowiadał mu ojciec o tragedii przy Ławicy Kamieniarza nazwanej tak od cechu, który powiększał swoją siedzibę.

W Mieście Funderlingów od zawsze obowiązywało prawo, aby nie prowadzić poważnych prac poniżej linii wody, ponieważ jeden błąd mógłby spowodować, że morze wleje się do głębi i zniszczy obszar Tajemnic oraz świątynię Bractwa Metamorficznego i wszystko w niższych pieczarach. Lecz tamtego ranka, sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt lat wcześniej, załoga Cechu Kamieniarzy straciła orientację co do głębokości robót. Wdarli się zbyt głęboko, a ponadto, jak ustalono później, dotarli zbyt blisko krawędzi wielkiej wyspy zwanej Wyspą Midlana, na której stoi Zamek Marchii Południowej.

Tamtego dnia zagrzecotały obruszone kamienie, a zaraz potem trysnął strumień zimnej morskiej wody, ścinając z nóg Funderlingów, którzy tam kopali. Napierająca woda szybko powiększyła szczelinę i z cienkiej strużki stała się strugą szerokości beczki. Kamieniarze bezskutecznie próbowali zamknąć otwór, zmagając się ze straszną mocą samego boga morza, lecz wydrążone komory nieubłaganie wypełniały się wodą. Jeden z pracowników, wbrew poleceniom brygadzysty, uciekł na górny poziom, by powiadomić ludzi, co się dzieje. Wszyscy członkowie cechów, jacy byli w pobliżu, pospieszili na miejsce katastrofy i przełożeni cechów podjęli decyzję, by odciąć dostęp do całej Ławicy. Z zalanego poziomu wyciągnięto kilkunastu Funderlingów, lecz wielu innych zostało odciętych przez wodę w bocznych korytarzach i nie było czasu, żeby ich szukać. Mieliśmy wybór, powiedział mu ojciec z gorzką satysfakcją: dwudziestu trzech straconych przez głupiego brygadzystę albo setki innych poniżej poziomu morza w pozostałej części Miasta Funderlingów.

Na szczęście trochę wcześniej Cech Kamieniarzy zezwolił na rozsądne używanie czarnego prochu przy najtrudniejszych pracach: gdyby mieli przerzucać cały kamień ręcznie, opowiadał ojciec Rogowcowi, nie uratowano by niższych poziomów. W uszach uwięzionych ludzi wybuch

zabrzmiał zapewne niczym uderzenie młota Pana Bezczesnego Nieba; za pomocą czarnego prochu doprowadzono do zawalenia się komory przylegającej do miejsca robót w Ławicy. Potem słyhać już było tylko wołanie przerażonych ludzi i szum wody wypełniającej zamkniętą komorę.

Tamte chwile długo powracały w koszmarach młodego Rogowca, a i teraz dzieci Funderlingów opowiadały sobie szeptem o nawiedzonych, ukrytych komorach Ławicy Kamieniarza.

– Nie, nie ma tu żadnego przecieku – uspokoił Rogowiec rodzinę i pokręcił głową, by otrząsnąć się ze wspomnień z dzieciństwa, które wciąż sprawiały, że serce zaczynało mu bić szybciej. Zdobył się nawet na uśmiech. – To dobrze, bo jesteśmy sporo poniżej poziomu wody, a nie chciałbym się zamoczyć.

– Ale nie ma wątpliwości, że chłopak znalazł morskiego imperiala. – Opal oddała monetę Krzemieniowi i poczochnęła mu włosy. Znała się na muszlach. Podczas zimnej pory zawsze lubiła wychodzić na górę z innymi kobietami Funderlingów i razem zbierały małże w kałużach pozostawionych przez odpływ na brzegu Zatoki Brenna. Przynosiła je do domu i gotowała z gorącymi kamieniami. Stanowiły ulubioną potrawę Rogowca – były nawet słodsze niż wielonogie kraby, które przemykały od szczeliny do szczeliny po mokrych kamieniach przy Słonym Stawie. Opal też je lubiła, lecz od dawna już nie chodziła ich zbierać. Od czasu znalezienia Krzemienia.

– Imperial...? – powiedział chłopiec wpatrzony w wyszczerbiony krążek.

– Tak, bo wygląda jak moneta, widzisz? W rzeczywistości to muszla, szkielet małego morskiego zwierzęcia. – Rogowiec ścisnął delikatnie łokieć Krzemienia. – Chodźmy dalej. Opowiem ci o tym miejscu.

– A ja miałam nadzieję, że powiesz, iż jesteśmy już prawie u celu – odezwała się Opal. – Kto mógł wykopać tak długi i tak głęboki tunel? Tylko szaleńcy moim zdaniem.

Rogowiec roześmiał się.

– I owszem, staruszek, jesteśmy prawie u celu, prawie. – Poklepał węzełek, który niósł na plecach. – Pamiętaj, że to ja niosę nasz bagaż.

Opal zmarszczyła brwi.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że mój worek jest lekki?

– Oczywiście, że nie. – Zanim wyruszyli, prosił ją, żeby nie brała połowy wszystkich tych rzeczy, ale jakby namawiał kota, żeby zostawił swój ogon i wąsy. Jakżeby Opal mogła dokądś się wybrać, nie zabrawszy chociaż kilku garnków? A także dobrych łyżek, ślubnego prezentu od swojej matki? – Nieważne – powiedział w równym stopniu do siebie jak do swojej rodziny. – Idźmy dalej, a ja wam opowiem o tym szlaku – dlaczego tu jest i kto go wydrążył. Otóż za czasów drugiego króla Kellicka, o ile dziadek nic nie pomylił, żył wielki Funderling imieniem Lazuryt z klanu Miedziaków, lecz wtedy kryształ lazurytowe powszechnie nazywano „burzowymi kamieniami” i tak właśnie wszyscy na niego mówili. Jak już wspomniałem, Burzowy Kamień Miedziak był wielkim Funderlingiem – wyjątkowym – co było dobre, bo urodził się w trudnych czasach.

– Kiedy? – zapytał Krzemień. Rogowiec zamyślił się.

– Jeszcze przed moim dziadkiem. Ponad wiek temu. Pierwszy król Kellick sprzyjał Funderlingom, szanował zawarte z nimi umowy i traktował ich na równi z innymi mieszkańcami królestwa, a czasem nawet lepiej, ponieważ ceniał ich spryt.

– Masz na myśli kunszt – wtrąciła Opal.

– Mam na myśli spryt, co oznacza coś więcej niż tylko umiejętność przyłożenia dłuta do kamienia. Musi za tym iść wiedza. Kellick I był jednym z nielicznych królów, którzy potrafili nas docenić. Tylko on walczył z czarodziejskim ludem i nie traktował nas jak goblinów, które

uciekły zza Granicy Cienia. – Rogowiec pokręcił głową. – Rozpraszasz mnie, kobieto. Próbuje opowiedzieć ci o tunelach, którymi idziemy.

– Ach! Wybacz, mistrzu Liderycie! Mów dalej – odpowiedziała jego żona, lecz on wyczuł wesołą nutkę w jej głosie. Przeszli już kawał drogi i byli zmęczeni, dlatego uznał, że dobrze będzie ich czymś zająć.

– Tak więc po śmierci Kellicka I wszyscy się spodziewali, że rządy jego syna Barina będą równie pomyślne, ponieważ wydawał się podobny do ojca. I tak było, ale różnił się od niego w jednym – nienawidził czarodziejskiego ludu i nie lubił Funderlingów. Za jego panowania zamknięto Osiem Bram Miasta Funderlingów, pozostawiając nam tylko jedną drogę wyjścia na górę, tę, którą idziemy dzisiaj. Co więcej, przy jedynej bramie postawiono strażników, którzy sprawdzali nasze wozy i czepiali się nas bez powodu, żeby nam pokazać, że nie jesteśmy tak ważni jak ludzie. Był to dla nas ogromny szok, bo przecież za czasów ojca Barina dobrze nam się żyło z dużymi. Barin rządził dłużej niż Kellick I, prawie czterdzieści lat, i choć wciąż zatrudniano nas do pracy w Zamku Marchii Południowej, nie były to szczęśliwe lata. Wielu naszych ludzi wywędrowało do innych miast i krajów, szczególnie tutaj, na północy, gdzie armia Qarów dokonała takich zniszczeń.

Gdy Barin wreszcie zmarł i na tronie zasiadł jego syn – Kellick II, który otrzymał imię po dziadku – mądry stary Burzowy Kamień Miedziak spotkał się z innymi starszymi Cechu i zapytał, czy wiedzą, w jaki sposób duzi zabijają króliki. Blokują wejścia do ich nor z wyjątkiem jednej, a potem wpuszczają do niej fretki, żeby wykurzyły na Powierzchnię wszystkie króliki, młode i stare. Kiedy Funderlingowie zapytali go, dlaczego im o tym opowiada, zamiast rozmawiać o nowym królu, Burzowy Kamień się roześmiał.

– A jak myślicie, dlaczego król Barin zamknął wszystkie nasze wejścia? – spytał. – Bo w ten sposób, jeśli zechcą się nas pozbyć, wystarczy, że wyślą na dół żołnierzy z włóczniami i pochodniami, tak jak wpuszczają fretki do króliczych nor, i to będzie koniec Miasta Funderlingów. Głupio postąpiliśmy, pozwalając im zamknąć pozostałe bramy, i pozostaniemy głupcami, jeśli czegoś nie zrobimy.

Rozgorzały dyskusje, a wielu nie chciało uwierzyć, że duzi mogliby chcieć wyrządzić nam krzywdę, lecz Burzowy Kamień powiedział:

– Ten Kellick nie jest taki jak pierwszy, tak jak jego ojciec Barin był inny. Nie widzicie, jak duzi patrzą na nas, jak o nas szepczą? W ich oczach nie bardzo różnimy się od czarodziejskiego ludu, który teraz oblega miasto. Jeśli duzi przestraszą się jeszcze bardziej, to kto wie, do czego się posuną powodowani strachem albo gniewem.

– Ale co możemy zrobić? – zapytał ktoś. – Czy będziemy błagać nowego króla, żeby zmienił prawo i pozwolił nam otworzyć pozostałe siedem bram?

Burzowy Kamień znowu się roześmiał.

– A czy lis pyta ogara, czy wolno mu uciec? Nie, zrobimy to, co trzeba, i nikomu o tym nie powiemy. – I poszli za jego radą.

Rogowiec chrząknął.

– Widzicie, teraz idziemy w górę, a to znaczy, że niebawem dotrzemy na miejsce. Przyznaję, że to określona droga, za to bezpieczna. – Położył dłoń na ramieniu Krzemienia, lecz poczuł się rozczarowany, gdy chłopiec się odsunął. – Jeśli chcesz, to dokończę opowieść. Chcesz?

Po dłuższej chwili Krzemień odpowiedział ledwo dostrzegalnym skinieniem głowy.

– Starsi Cechu Kamieniarzy posłuchali mądrego Burzowego Kamienia. Wzięli pieniądze ze skarbcza i w ciągu następnych kilkunastu lat znaleźli kilku dużych, którzy lubili złoto i nie zadawali pytań, i potajemnie kupili kilka domów w najbiedniejszych dzielnicach na skraju

miasta. Potem zaczęli kopać tunele, poczynając od nowych domów, i połączyli je z przejściami ciągnącymi się skrajem Miasta Funderlingów na końcu pewnych dróg bez nazw, o których istnieniu wiedzieli duży, lecz których nie potrafiliby znaleźć, nawet gdyby mieli mapę. I wreszcie tunele były gotowe. Grupa naszych ludzi, którzy mieli pozwolenie króla Kellicka II na przebywanie poza miastem po zachodzie słońca, ponieważ pracowali w królewskim spichlerzu otwartym w ciągu dnia, przyprowadziła powiększoną załogę, co było możliwe dzięki temu, że zmylili strażników, kręcąc się to w jedną, to w drugą stronę. Po zapadnięciu zmroku połowa z nich wyszła ze spichlerza i bocznymi uliczkami udała się do domów zakupionych potajemnie przez Cech, gdzie zdjęli ostatnią warstwę ziemi i przebili się do tuneli. Potem zamaskowali wejścia, a nad każdym umieścili płytę.

Nie wszystkie nowe przejścia kończyły się w twierdzy zewnętrznej, choć większość z nich właśnie tam się znajdowała. Niektóre prowadziły pod wodą do różnych miejsc na stałym lądzie. – Rogowiec, nie chcąc niepokoić Opal, nie wspomniał, że sam przeszedł jednym z nich do obozu Qarów, niosąc lusterko Krzemienia Ludziom Zmierzchu. – Mówi się, że Burzowy Kamień doprowadził nawet jeden z tuneli do samej twierdzy wewnętrznej, a jego wyjście znajduje się gdzieś w sali tronowej!

Po kilku miesiącach, gdy nasi ludzie ukończyli remont spichlerza, skończyli też wejścia do Nowych Bram, jak po cichu nazywali je starsi Cechu. Od tamtej pory zawsze istniały tajemne wyjścia i wejścia do Miasta Funderlingów. Czarodziejski lud siedział spokojnie przez kolejne sto lat albo i dłużej, dlatego wiele z nich uległo zniszczeniu, ale powiedziano mi, że wciąż mamy domy i inne miejsca, od których odchodzą sekretne tunele.

– Mam nadzieję, że nie opowiesz nam tego wszystkiego dlatego, że zamierzasz zmusić nas do wędrówki na powierzchnię – ostrzegła go Opal.

– Nie, moja kochana. Jesteśmy prawie na miejscu. Opowiadam wam o tym, ponieważ idziemy jednym z tych tuneli.

– Prawie na miejscu? – zapytał Krzemień.

– Udajemy się do świątyni Braci Metamorficznych.

– Dlaczego szliśmy taki kawał drogi? – Wydawało się, że chłopiec pyta bardziej z ciekawości, niż by robić Rogowcowi wymówki.

– Bo żołnierze dużych sprawdzają wszystkich przy bramie i głównych drogach Miasta Funderlingów – wyjaśnił Rogowiec. – Szukają osobnika o imieniu Rogowiec i jego żony Opal, a także chłopca dużych, Krzemienia, który u nich mieszka.

– Przecież to nasze imiona – zauważył z powagą Krzemień.

Rogowiec nie miał pewności, czy chłopak żartuje, czy mówi poważnie.

– I to właśnie próbuję ci powiedzieć. Nas szukają, synu, i wcale nie mają dobrych intencji.

Brat Antymon czekał na nich na środku ścieżki przed świątynnymi grzybnymi ogrodami, a jego młodą nalaną twarz wykrzywiały grymas niepokoju, tak rzadko na niej oglądany. Za jego plecami, z cienia między kolumnami świątyni Braci Metamorficznych, wyglądały inne zatroskane twarze.

– Bracia się niepokoją – zwrócił się mnich do Rogowca. – Mówię to, żebyś wiedział. – Dziadek Siarka pomstował przez całą noc, że nadchodzi Dni Powodzi. – Przywitał Opal skinieniem głowy. – Witam panią. Niech cię błogosławią Starsi. Miło panią znowu widzieć.

Funderling rozejrzał się za Krzemieniem, który się oddalił, goniąc jaskiniowego świerszcza.

– Martwią się z powodu chłopaka?

Antymon wzruszył ramionami.

– Raczej niepokoją ich tamci dwaj duzi. – Roześmiał się, lecz niezbyt głośno, bo czuł na sobie spojrzenia innych, którzy obserwowali ich z cienia w głębi wejścia do świątyni. – Że nie wspomnę o wydarzeniach na powierzchni, wojnie z czarodziejskim ludem i niebezpieczeństwem, że możemy zostać w nią wciągnięci. Ale niektórzy z nas uważają, że trochę fermentu nie zaszkodzi. – Kiwnął głową energicznie. – Być może cię zaskoczę, mistrzu Liderycie, ale świątynia nie jest najbardziej ekscytującym miejscem, w jakim można mieszkać. Nie narzekam, zauważ, ale za sprawą twojej osoby życie tutaj wyraźnie nabrało tempa ostatnimi czasy.

– Miło mi to słyszeć... jak sądzę.

Opal wreszcie odnalazła Krzemienia. Rogowiec dał im znak, żeby podeszli do wejścia do świątyni. Jego żona, idąc powoli, wpatrywała się z zachwytem w kolumnadę budowli.

– Zapomniałam już, jaka jest ogromna! – W którymś momencie niemal się zatrzymała, jakby powstrzymał ją podmuch wiatru. W pewnym sensie tak było, pomyślał Rogowiec: wieki niepisanej tradycji, według której w świątyni mogli przebywać tylko Bracia Metamorficzni i nieliczne ważne osoby z zewnątrz.

Rogowiec wcześniej odwiedzał to miejsce dwukrotnie, lecz nie wchodził do świątyni, dlatego teraz, gdy Antymon poprowadził go przez portyk do pronaos, wyraził swój podziw dla rozmiarów i kunsztu ozdób. Sufit w pronaos wznosił się niemal tak samo wysoko jak słynne sklepienie samego Miasta Funderlingów, choć nie był tak misternie wykończony. Budowniczości świątyni wyznawali zasadę prostoty, idąc za wskazaniem przodków, którzy hołdowali niewymyślnym obrazom. Tak więc krzyżowe sklepienie świątyni zdobiły nie liście, kwiaty czy zwierzęta, lecz szerokie linie i pięknie zaokrąglone krawędzie. Wydawało się, że coś płynnego zastygło w bezruchu, jakby sam Pan wylał świątynię z ogromnego kubła pełnego roztopionego kamienia, który stęzał w jednej chwili.

– Jest... piękna – wyszeptała Opal.

Antymon wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Niektórym się podoba, droga pani. Jak dla mnie jest trochę zbyt... surowa. Gdy się tu przebywa na co dzień, człowiek oczekuje, że coś zatrzyma jego spojrzenie, tymczasem w moim przypadku ono wciąż się ślizga i zsuwa...

– Antymonie – odezwał się ktoś – nie masz nic lepszego do roboty, niż paplać? – Był to brat Nikiel, osobnik o kwaśnej minie, którego Rogowiec zapamiętał ze swojej pierwszej wizyty w tym miejscu, a który teraz nie wyglądał ani trochę słodziej.

Młody mnich drgnął.

– Wybacz, bracie. Tak, oczywiście. Coś lepszego do roboty...

– W takim razie zajmij się tym. Wezwiemy cię, jeśli będziesz nam potrzebny.

Antymon, wyraźnie posmutniały – bynajmniej nie z powodu swojej paplaniny, jak się domyślał Rogowiec, lecz dlatego, że przerwano im rozmowę – skłonił lekko głowę i się wycofał.

– Dobry z niego chłopak – rzekł Rogowiec.

– I trochę hałaśliwy. – Nikiel zmarszczył brwi. Kiwnął głową w stronę Opal, zupełnie ignorując Krzemienia. – Jak sądzę, uprzedził cię o tym, co się tu dzieje. – Poprowadził ich do drzwi wielkiej sali i dalej bocznym korytarzem z licznymi wnękami. Ich półki były puste, lecz rozmieciony na nich kurz sugerował, że niedawno zdjęto z nich to, co na nich spoczywało. – Powiem ci, Rogowcu Liderycie, że wiedliśmy spokojniejsze życie, zanim się tu pojawiłeś.

– Och, nie tylko ja jestem temu winny.

Nikiel zmarszczył czoło.

– Pewnie nie. Nieprzyjemne rzeczy wszędzie się zdarzają. Nastaly najgorsze dni od czasów

Burzowego Kamienia.

– Tak, właśnie opowiadałem o nim mojej rodzinie...

– Szkoda, że duzi nie mogą nas po prostu zostawić w spokoju. Trzymamy się od nich z daleka – powiedział Nikiel zagniewanym głosem. – Pragniemy żyć tak jak dawniej, służyć Starszym Ziemi.

– Może duzi są częścią wielkiego planu Starszych Ziemi – zauważył skromnie Rogowiec.
– I robią to, co im nakazują Starsi.

Nikiel przyglądał mu się przez długą chwilę.

– Zawstydzasz mnie, Rogowcu Liderycie. – Nie był to głos człowieka zadowolonego z siebie. Chwilę później Nikiel zatrzymał się i otworzył drzwi. Na ścianach pomieszczenia za nimi umieszczono liczne koszyki z rozjarzonymi koralami, dlatego w porównaniu z ciemnym holem wydawało się płonąć rześkim blaskiem. – Wejdźcie i dołączcie do swoich przyjaciół. Są w przedsiönku biblioteki.

Było to bardzo skromne pomieszczenie w porównaniu z główną salą, dlatego obaj mężczyźni – duzi, nie Funderlingowie – sprawiali wrażenie groteskowych olbrzymów. Medyk Chaven uśmiechnął się, lecz nie wstał, może dlatego, że bał się uderzyć głową o sufit. Za to Ferras Vansen, mimo że wyższy o pół głowy, podniósł się, nienaturalnie zgarbiony, i uściśnął dłoń Opal.

– Miło mi znowu widzieć panią i pani rodzinę. Wciąż pamiętam ucztę, jaką pani przygotowała w dzień mojego powrotu – nigdy wcześniej nie jadłem lepiej.

Śmiech Opal przypominał dziewczęcy chichot.

– Żadna w tym moja zasługa. Ugościć wygłodzonego mężczyznę to jak...

– Złapać oślepioną słońcem salamandrę? – wtrącił Rogowiec i zaraz pożałował swoich słów. Dostrzegłszy urażone spojrzenie Opal, dodał pospiesznie: – Umniejszasz swoje zasługi, kobieto. Powszechnie wiadomo, że gotujesz wybornie.

– O tak, wspaniale mnie ugościła – dorzucił Chaven. – Nigdy wcześniej nie sądziłem, że polubię dobrze przyrządzonego kreta. – Uśmiechnął się do Krzemienia, który jak zawsze przyglądał mu się z powagą. – Ach, witaj, chłopcze. Rośniesz. – Odwrócił się do Rogowca. – Czekamy na ostatniego gościa...

Zaskrzypiały drzwi, a w szparze ukazała się głowa wyraźnie zatroskanego akolity.

– Bracie Niklu? – bąknął przybysz. – Jeden z magistrów z miasta chce wykorzystać twój gabinet w kartuzji jako salę narad!

– Mój gabinet? – jęknął Nikiel i popędził, by bronić swego terytorium.

– To chyba on – dokończył Chaven. – No cóż. Obawiam się, że magister Cynober i brat Nikiel nigdy się nie zaprzyjaźnią.

Rogowiec wyjął z kieszeni stary tępy nóż i dał Krzemieniowi razem z kawałkiem saponitu, żeby zająć czymś chłopca.

– Zobaczmy, co z tego wystrugasz – powiedział. – Pomyśl, zanim zabierzesz się do pracy, bo szkoda by było zmarnować taki ładny surowiec.

Drzwi znowu się otworzyły i wszedł Cynober Rzęciowiec, a zza jego pleców płynął natarczywy głos Nikla.

– Myśli, że już jest opatem – rzucił Cynober, marszcząc brwi. – Rogowiec Lideryt, jak miło cię widzieć... i pani Opal! Czy bracia dobrze was przyjęli?

– Dopiero co przybyliśmy – odparła Opal.

– Obmyjcie się z kurzu – mówił dalej Cynober – lecz męża od razu porwę pani na chwilę. Choć i panią byśmy mile widzieli. Mój Vermilion potrafi w mig przejrzeć sprawę na wylot, na co starsi Cechu zazwyczaj potrzebują godziny.

Wszedł Nikiel z miną kogoś, kto zastał obcego siedzącego w jego ulubionym fotelu.

– Zaczęliście beze mnie? Już rozmawiacie? Nie zapominajcie, że gospodarzem jest tu Bractwo Metamorficzne.

– Jak moglibyśmy zapomnieć o tobie, bracie Niklu. Przecież mamy przenieść naradę do twojego gabinetu, pamiętasz?

Gdy mnich posłał magistrowi spojrzenie, które mogłoby skruszyć blok granitu, medyk poruszył się niespokojnie.

– Obawiam się, że czeka nas długa dyskusja – rzekł – a kapitan Vansen i ja czekamy tu już dość długo. Może więc moglibyśmy najpierw trochę się posilić?

– Zjecie razem z braćmi o wyznaczonej porze – rzucił Nikiel oficjalnym tonem. – Zostało tylko kilka godzin do wieczornego posiłku. Uznaliśmy z mistrzem Cynobrem, że będziemy was traktować jak swoich. Jemy prosto, ale zdrowo.

– Tak – odpowiedział Chaven nieco zasmucony. – Nie wątpię.

...i oto nieoczekiwanie znalazłem się tutaj, nie gdzieś daleko za Granicą Cienia, ale w samym sercu Miasta Funderlingów, stojąc na ogromnym lustrze. – Vansen zmarszczył czoło. – Chociaż nie, działa się coś pomiędzy moim pobytam tam a przybyciem tutaj... ale nie potrafię sobie tego przypomnieć... uciekło jak sen...

– Twoja obecność to istny dar dla nas, kapitanie – rzekł Chaven. – Jak też informacja, że gdy widziałeś go po raz ostatni, księżę Barrick był cały i zdrowy. – Mimo swoich słów medyk wyglądał na strapionego. Rogowiec zauważył, że mężczyzna otworzył szerzej oczy, gdy Vansen wspomniał o tym, że znalazł się na lustrzanej podłodze w sali narad Cechu, między dwoma wizerunkami patrzącego groźnie Pana Ziemi Kerniosa.

– Cały to pewne – odparł żołnierz. – Ale trudno powiedzieć...

– Za pozwoleniem, wysłuchajcie moich wieści, gdyż dotyczą one młodego księcia – wtrącił Cynober. – Nieliczni z naszych ludzi mają przywilej przebywania na zamku, wykonując różne prace dla Tollych, i jeden z nich, podejmując wielkie ryzyko, poinformował o twoim przybyciu Avina Brone'a.

– Lord konstabl – powiedział Vansen. – Dobrze się miewa?

– Już nie jest lordem konstablem – odparł Cynober. – A reszty sam się dowiesz. Mój człowiek przemycił wiadomość dla ciebie.

Vansen przebiegł wzrokiem po liście, poruszając bezgłośnie ustami.

– Mogę wam przeczytać? – zwrócił się do Cynobra, ten zaś kiwnął głową.

Vansen,

z radością dowiedziałem się, że jesteś bezpieczny, a jeszcze bardziej ucieszyły mnie wieści o potomku Olina. Nie rozumiem, co się stało ani w jaki sposób się tu dostałeś – ten człowieczek przyniósł list od innego człowieczka...

– Przepraszam za lorda – rzucił Vansen, czerwieniąc się.

Cynober machnął ręką.

– Gorzej już nas nazywali. Czytaj dalej.

...ale trudno mi to wszystko pojąć. W każdym razie najważniejsze jest, żebyś nie wychodził na powierzchnię. T. – chodzi oczywiście o Hendona Tolly'ego – szpieguje mnie i nie wykończył

mnie jeszcze tylko dlatego, że żołnierze wciąż mi ufają i stoją przy mnie, lojalni strażnicy.

Czarodziejski lud, niech bogowie go przeklą, uspokoił się, ale myślę, że tylko się przyczył. Opieramy się oblężeniu, ponieważ nie mają statków, ale mają więcej broni niż tylko to, co widzimy. Dobrze wiesz, że każdy, kto z nimi walczy, musi pokonać ogromny strach.

– O tak – rzekł Vansen, podnosząc wzrok – Strach i sianie zamieszania to ich najgroźniejsza broń.

Po chwili wrócił do listu.

Wciąż nie ma wieści... – urwał, jakby coś utkwilo mu w gardle – ...nie ma wieści o księżniczce Briony, choć niektórzy twierdzą, że Shaso wziął ją jako zakładniczkę, zanim uciekł. Nie daje znaku życia od tak dawna, że nie wróży to nic dobrego. – Vansen wziął głęboki oddech, zanim zaczął czytać dalej: – A zatem tak się sprawy mają. T. sprawuje rządy na Zamku Marchii Południowej w imieniu najmłodszego syna Olina, infantu Alessandrosa. Czarodziejski lud oblega zamek i dopóki nam zagrażają, T. nie odważy się mnie zabić albo uwięzić. Póki co, musisz pozostać w ukryciu, Vansen, choć mam nadzieję, że niedługo będę mógł osobiście uściskać ci rękę. Sam mi opowiesz swoją historię, a ja podziękuję ci za służbę.

Żołnierz chrząknął trochę zażenowany.

– Reszta nie ma znaczenia. Znacie to wszystko. Qarowie siedzą cicho, ale się nie wycofali. Mury długo jeszcze będą nas bronić, nawet przed zakłęciami czarodziejskiego ludu...

– Jeśli Qarowie zamierzają dostać się do zamku, to nie będą zawracać sobie głowy murami – rzekł Rogowiec. – Wejdą przez Miasto Funderlingów... a konkretniej przez świątynię, w której przebywamy.

Vansen spojrzał na niego, jakby ten postradał zmysły.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Jak to? – Nikiel zerwał się na nogi mocno poruszony. – Co ty mówisz? Czemu mieliby się interesować nami albo naszą błogosławioną świątynią?

– To nie ma nic wspólnego ze świątynią – odparł Rogowiec.

– W takim razie dlaczego Miasto Funderlingów? – zapytał Cynober. – Czemu akurat nas mieliby zaatakować, gdy już pokonają mury zamku? – Zamilkł i otworzył szerzej oczy. – Och! Na Starszych! Ty nie miałeś na myśli ataku z powierzchni ziemi...!

– Teraz rozumiesz, magistrze. – Rogowiec spojrzał na Vansena. – Kapitanie, nie znasz jeszcze wielu szczegółów dotyczących nas i naszego miasta. I chyba nadszedł czas, żebyś...

– Nie masz prawa o tym mówić! – niemal wrzasnął Nikiel. – Nie przed tymi... dużymi! Nie w obecności obcych!

Cynober uniósł ręce.

– Uspokój się, bracie. Ale być może on ma rację, Rogowcu. To nie jest zwykła sprawa i tylko starsi Cechu mogą zdecydować...

Funderling rąbnął pięścią w stół, czym zaskoczył prawie wszystkich.

– Czy wy nic nie rozumiecie? – Rogowiec był naprawdę rozgniewany intrygami dużych, którzy wciągnęli Funderlingów w swoją wojnę, a także tchórzliwą niechęcią Nikla i innych do zobaczenia prawdy. Był zły nawet na Opal, z czego właśnie zdał sobie sprawę, za to, że sprowadziła do ich domu Krzemienia, tego dziwnego cichego chłopca, od którego zaczęło się to całe zamieszanie w życiu Rogowca. – Nie widzicie? Już nic nie jest normalne! Niklu, nie możemy dłużej ukrywać takich sekretów, jak tunele Burzowego Kamienia. Nie możemy udawać, że wszystko jest tak jak dawniej. Osobiście spotkałem czarodziejskich ludzi, widziałem ich z

bliska, prawie tak jak teraz widzę kapitana Vansena. Rozmawiałem z ich Panią Yasammez, której widok sprawia, że człowiek zaczyna się ślinić ze strachu. Nie ma w niej nic zwykłego! Ten tu chłopak przyniósł zza Granicy Cienia czarodziejskie lustro, które według słów Vansena księżę Barrick być może niesie teraz do wielkiego miasta Qarów. Czy to jest zwykłe wydarzenie? Czy w tym wszystkim w ogóle jest jeszcze coś zwykłego?

Rogowiec zamilkł zdyszany. Zebrani przy stole wpatrywali się w niego, przeważnie zdumieni; tylko Opal przyglądała mu się z troską, a mina Chavena wyrażała wręcz pewną radość.

– Rogowcu, zdaje się, że wciąż nie odpowiedziałeś na pytanie kapitana Vansena. Dlaczego uważasz, że Miasto Funderlingów jest w niebezpieczeństwie? W jaki sposób miałoby tu przybyć Qarowie, jeśli nie przez mury zamku?

– Rogowcu Liderycie – powiedział brat Nikiel ochryłym, drżącym od gniewu głosem. – Nie masz prawa. Przyjęliśmy cię pod swój dach.

– W takim razie wyrzucicie mnie, a ja zaprowadzę tych ludzi gdzie indziej i tam im wszystko opowiem. Bo Qarowie już wiedzą, więc inni też powinni się dowiedzieć. Cicho, Opal, nie zaczynaj znowu. Ktoś musi zrobić pierwszy krok i równie dobrze mogą to być ja. – Odwrócił się do Chavena. – Ale nie sądz, doktorze, że oszczędzę twoje tajemnice. Jeśli chcesz, to sam wszystko opowiedz, bo inaczej ja zdradzę to, czego się dowiedziałem od ciebie.

Oblicze medyka spochmurniało.

– Moje tajemnice...?

– Dotyczące lustra. Przecież to ono ściągnęło na nas kłopoty i strażników dużych myszkujących po naszym mieście, czy nie tak? A mój chłopak znalazł się tu za sprawą innego lustra, tego, które niósł czarodziejski przyjaciel kapitana Vansena, a które przekazał księciu Barrickowi. Tak więc jeśli będziemy mówić o tunelach Burzowego Kamienia, to porozmawiamy też o lustrach. Ja zacznę. Słuchajcie.

Już po raz drugi tego dnia zaczął opowieść:

– Sto albo i więcej lat temu, za czasów Kellicka II, żył bardzo mądry Funderling o imieniu Burzowy Kamień...

Gdy Rogowiec kończył opowieść, brat Nikiel siedział pogrążony w ponurym milczeniu, a Ferras Vansen słuchał z otwartymi szeroko ustami.

– Niewiarygodne! – rzekł kapitan. – Twierdzisz zatem, że moglibyśmy przejść pod wodą tymi ukrytymi korytarzami?

– Raczej ten przeklęty czarodziejski lud przyjdzie nimi do nas – wtrącił Cynober. – I to właśnie my, Funderlingowie, pierwsi będziemy musieli stawić im czoło.

– Tak, ale przecież droga prowadzi w obie strony – zauważył Vansen. – W razie potrzeby moglibyśmy w ten sposób opuścić zamek. Czy to rzeczywiście możliwe?

– Jasne. – Rogowiec odczuwał coraz większe zmęczenie i głód. – Sam tamtędy szedłem. Przeprowadziłem osobnika o imieniu Gil jednym z tych starych ukrytych tuneli. Przeszliśmy pod Zatoką Brenna i dotarliśmy do stóp tronu mrocznej pani.

– A zatem cała ta skała jest podziurawiona tajemniczymi przejściami, o których istnieniu nic nie wiedziałem, będąc kapitanem królewskiej straży! – Vansen pokręcił głową. – Ten zamek kryje w sobie więcej tajemnic, niż przypuszczałem. A ten chłopak przeszedł Granicę Cienia z magicznym lustrem zapewne jako ktoś w rodzaju szpiega Qarów – i to pod naszym nosem.

– Jaki szpieg? – oburzyła się Opal. – To jeszcze dzieciak!

Vansen zmierzył Krzemienia groźnym spojrzeniem.

– Kimkolwiek jest, wciąż tego nie rozumiem. Co się dzieje? Czy otacza nas pajęcza sieć, w której każda nić splata się z inną?

– A wszystkie są lepkie i niebezpieczne – dodał Chaven.

Ferras Vansen spojrział uważnie na medyka.

– Ach, tak. Nie myśl, że o tobie zapomniałem, panie. Rogowiec mówił coś o tobie i lustrach. Twoja kolej. Opowiedz nam wszystko, co wiesz. Nie możemy już dłużej niczego przed sobą ukrywać.

Medyk jęknął cicho i pogładził się po mocno skurczonym brzuchu.

– Moja opowieść jest długa i wielce niepokojąca, przynajmniej dla mnie. Miałem nadzieję najpierw trochę się pokrzepić, by nabrać sił.

– Przyznam, że i ja zgłodniałem – rzekł Cynober – ale uważam, że będziesz mówił zwięźle i rzeczowo, panie z Ulos, wiedząc, że nie dostaniesz nic do jedzenia, dopóki nie skończysz. Wygląda na to, że mamy sobie wiele do opowiedzenia tego wieczoru, tak więc zaczynaj, Chavenie. Najpierw opowieść, potem kolacja.

Medyk westchnął.

– Domyślałem się, że tak powiesz.

Jedwabny Las

Według innej relacji, którą soteriański uczonec Kyros zasłyszał od starego goblina, „bogowie przybyli tu za nami z jakiejś ojczyzny poza granicami morza”.

– z Traktatu o czarodziejskich narodach obojga kontynentów Eionu i Xandu

– Mam pewien plan, ptaku. – Barrick Eddon zaczął odczepiać od ramienia gałąź kolczastego pnącza, ostrożnie, kolec po kolcu. – Bardzo mądry plan. Ty znajdziesz drogę, która nie prowadzi przez każdy ciernisty krzak na ziemi czarodziejskiego ludu, a ja nie roztrzaskam kamieniem twojej paskudnej czaszki.

Skurn zeskoczył na niższą gałąź, lecz przezornie pozostał poza zasięgiem ręki Barricka. Nastroszył brudne skrzydła.

– Z góry wszystko wygląda inaczej, no nie? – zauważył kruk ponuro. – Nie zawsze potrafimy dobrze zobaczyć.

– To leć niżej. – Barrick wstał i potarł ramię oznaczone krwawymi punkcikami, po czym zsunął postrzępiony rękaw koszuli.

– Mówi „leć niżej” – utyskiwał Skurn. – Jakby był panem, a Skurn sługą, a przecież są równymi sobie partnerami na mocy obopólnego porozumienia. – Zatrzepotał skrzydłami. – Obopólnego porozumienia!

Barrick jęknął.

– W takim razie dlaczego mój partner prowadzi mnie przez najbardziej kłujące zarośla tej ziemi? Zmitrężyliśmy cały dzień, żeby przebyć kilkaset kroków. W tym tempie, zanim przyniesiemy... – Nagle przyszło mu do głowy, że ten mroczny las, pełen nie wiadomo czyich ani ilu czujnych uszu, nie jest najlepszym miejscem do rozmowy o lusterku Pani Jeżozwierz, które obiecał dostarczyć do sali tronowej Qarów. – W tym tempie, zanim ich znajdziemy, zdążą wymrzeć nawet nieśmiertelni.

Skurn przestał stroszyć pióra.

– Przez gęste korony drzew nie widzę dobrze tego, co jest na ziemi. Szczególnie tam, gdzie rosną porożniny. A niżej boimy się lecieć. Nie rozumiesz? Między konarami czyhają rozpięte jedwabne nici, a niektóre nawet powiewają nad drzewami, żeby schwytać takich dostojnych podróżników jak my.

– Jedwabne nici? – Barrick ruszył powoli przed siebie, torując sobie drogę przez gęste krzewy starym skorodowanym grottem włóczni, znalezionym przy drodze prowadzącej z Wielkich Głębi. Nie był to najgęstszy las, jaki książę widział od chwili przekroczenia Granicy Cienia, za to pełno w nim było złośliwie czepliwych pnączy, które spowalniały marsz i sprawiały, że idący czuł się, jakby brnął przez błoto. W połączeniu z wypełniającym tę krainę wiecznym zmierzchem działało to zniechęcająco nawet na największego zucha.

– Tak, idziemy przez Jedwabny Las – zaskrzeczał kruk. – Tu żyją jedwabiny.

– Jedwabiny? Co to za stworzenia? – Nazwa nie wskazywała na szczególnie groźne stworzenia, co stanowiło przyjemną odmianę po spotkaniu z Jackiem w Łańcuchach i jego monstualnymi sługami. – Czy to czarodziejskie istoty?

– Jeśli pytasz, czy to Wysocy, to nie. – Skurn podfrunął do przodu i przysiadł na gałęzi, przyglądając się, jak Barrick brnie powoli. – Nie mówią one i nie wychodzą do innych.

– Nie wychodzą?

– Nie tak jak właściwi czarodziejscy ludzie. – Ptak uniósł głowę. – Pst! – rzucił. – Zdaje się, że usłyszałem coś małego i na tyle głupiego, by mogło umrzeć. Zbliży się kolacja! – Kruk wzbił się w powietrze i poleciał między drzewami, pozostawiając Barricka samego z nową zagadką.

Książę znalazł miejsce, gdzie cierniste pnącza nie wiły się tak gęsto, i usiadł. Jego niesprawne ramię od dawna pulsowało boleśnie, więc nawet się ucieszył, że ma chwilę wytchnienia, lecz pomimo całego zniecierpliwienia obecnością ptaka, ze Skurnem przynajmniej można było porozmawiać w tym miejscu wiecznego cienia, szarego nieba i drzew porośniętych czarnym mchem. Teraz zaś, gdy ptak odleciał, cisza zdawała się spowijać Barricka niczym mgłą.

Podciągnął kolana i objął je mocno rękoma, by powstrzymać drżenie ciała.

Barrick ocenił, że minęło więcej niż pół dekanoksu od dnia odejścia Gyira i Vansena oraz jego ucieczki z podziemnego królestwa półboga Jikuyina. W wiecznym zmierzchu za Granicą Cienia trudno było oszacować upływ czasu, ale książę pamiętał, że kładł się spać więcej niż sześć razy – za każdym razem był to długi, ciężki i w jakimś sensie pozbawiający energii sen. Kiedy przebywali uwięzieni pod ziemią, w świecie zewnętrznym nadszedł czas Kernejów – Barrick wiedział o tym, ponieważ monstrualny Jikuyin zamierzał świętować dzień Pana Ziemi, składając w ofierze Barricka i jego towarzyszy. Pamiętając, że razem z innymi opuścił Zamek Marchii Południowej w miesiącu Ondekamene, gdy wyruszał na wojnę z czarodziejskim ludem, wyliczył, że nie widział domu od ponad kwartału. Co się mogło wydarzyć w tym czasie? Czy czarodziejski lud już tam dotarł? Czy Briony jest w obleganym zamku?

Chyba pierwszy raz od tamtego strasznego dnia na Polu Kolkana Barrick Eddon dostrzegł wyraźnie pewien rozdźwięk w swoich myślach: wciąż odczuwał niewyjaśnioną, niemal niewolniczą lojalność wobec tamtej wspaniałej i zarazem przerażającej kobiety-wojownika, która zabrała go z pola walki i wysłała za Granicę Cienia – choć wciąż nie pamiętał, dlaczego ani jakim zadaniem go obarczyła – a jednocześnie wiedział, że ta mroczna pani to Yasammez Jeżozwierz, bicz Qarów, która z całego serca nienawidzi mieszkańców kraju słońca... jego ludu. Jeśli Carowie oblegają w tej chwili Zamek Marchii Południowej, jeśli jego siostra i inni znajdują się w niebezpieczeństwie albo już nie żyją, stało się to za sprawą tej mrocznej pani.

A teraz otrzymał drugą misję związaną z Yasammez i Qarami. Nie pamiętał pierwszej, którą obarczyła go w dniu, gdy darowała mu życie na polu walki: wydawało mu się, że Yasammez wlała w niego swoje pragnienie, jakby wlewała oliwę do dzbana, a potem zamknęła go korkiem tak szczelnie, że nawet on sam nie potrafił go wyjąć. Drugą misję książę przyjął, mając słowo jej sługi Gyira, który przysiągł, że wypełniając ją, Barrick przysłuży się zarówno istotom ludzkim, jak i czarodziejskiemu ludowi, a uczynił to na krótko przed tym, jak poświęcił własne życie, by ratować Barricka. Tak więc teraz, gdy książę wreszcie odzyskał wolność, zamiast zrobić to, co zrobiłby każdy roztropny człowiek – czyli zamiast jak najszybciej wrócić do granicy Kraju Cienia, by znowu poczuć na twarzy ciepło słońca – Barrick brnął coraz dalej w głąb krainy mgły i szaleństwa.

Mgły, która – jak zauważył – znowu pojawiała się coraz częściej. Po tym jak odleciał Skurn, świat wokół Barricka jakby się ochłodził, a z ziemi zaczęły się podnosić mgliste macki. Wydawało mu się, że siedzi na polu porośniętym kołyszającą się, upiorną trawą. Jeszcze trochę i

mgła sięgnie jego głowy. Niezbyt zadowolony z takiej perspektywy dźwignął się na nogi.

Mgła gęstniała tuż nad ziemią, wijąc się wokół szarych pni drzew niczym wodne wiry, a nawet wspinała się w górę. Niebawem wypełni całą przestrzeń. Gdzie to przekłete ptaszysko? Jak kruk mógł tak po prostu odfrunąć i zostawić swojego towarzysza – to ma być lojalność? Kiedy zamierza wrócić? Czy w ogóle chce to zrobić?

Myśl ta przypominała zimną dłoń, która ścisnęła serce księcia w połowie uderzenia. Stare ptaszysko nigdy nie przysięgało Gyrowi, tak jak Barrick. Skurna nie obchodziły pragnienia mieszkańców kraju słońca ani Qarów, a właściwie to nic go specjalnie nie obchodziło poza brzuchem pełnym tego paskudztwa, które lubił pożerać. Może w końcu uznał, że marnuje czas z Barrickiem.

– Skurn! – Głos księcia zabrzmiał słabo, rozchodząc się niemrawo niczym strzała wypuszczona z zerwanej cięciwy, by zniknąć w mroku wiecznego wieczoru. – A niech cię, paskudne ptaszysko, gdzie jesteś? – Usłyszawszy gniew we własnym głosie, Barrick zaraz się poprawił: – Wracaj, Skurn, proszę! Pozwolę... pozwolę ci spać u mnie pod koszulą. – Zabronił tego krukowi wcześniej, kiedy się oziębilo: na samą myśl o tym, że to cuchnące ptaszysko żywiące się padliną i wszystko, co żyje w jego piórach, miałoby się przytulać do jego piersi, poczuł zimny dreszcz i wyraził swoje obrzydzenie wobec ptaka – i to bardzo zdecydowanym tonem.

Teraz zaczął żałować swojej pochopnej decyzji.

Sam. Wcześniej unikał tej myśli, by go całkowicie nie przytłoczyła. Całe dzieciństwo spędził jako „połowa bliźniaków”, bytu, o którym ojciec, starszy brat i służba wyrażali się, jakby nie mieli na myśli dwojga dzieci, a jedno, niezwykle trudne i dwugłowe. A bliźniaki, najczęściej otoczone przez służbę albo dworzan, szukały przed nimi ucieczki; większość dzieciństwa Barrick Eddon poświęcił na szukanie kryjówek, w których on i Briony mogliby się schować. I oto dożył chwili, w której zatęsknił za zamkiem pełnym ludzi.

– Skurn? – zawołał, lecz zaraz przyszło mu do głowy, że może nie powinien krzykiem oznajmiać wszem i wobec swojej samotności. Wcześniej podczas podróży nie spotkali prawie żadnych innych istot, lecz było tak zapewne za sprawą Jikuyina i jego wygłodniałej armii sług, która oczyściła teren na wiele mil ze wszystkiego, co było większe niż polna mysz. Teraz jednak znacznie oddalił się od terytorium półboga...

Barrick zadrżał. Wiedział, że powinien zostać na miejscu, lecz mgła wciąż się podnosiła, a jemu się wydawało, że dostrzega jakiś ruch w kłębiącej się szarości, jakby niektóre z perliście białych włókien poruszały się z własnej woli, a nie za sprawą podmuchów.

Wiatr wzmógł się trochę i stał chłodniejszy. Wydawało się, że przez korony drzew płynie ponury szept. Barrick zacisnął dłoń na złamanym drzewcu włóczni i ruszył przed siebie.

Mgła znacznie ograniczała widoczność, mimo to rzadko się potykał i tylko od czasu do czasu sprawdzał włócznią ciemną plamę na ziemi, czy aby nie jest to dziura, w którą mógłby wpaść i skrócić stopę w kostce. Ze zdziwieniem stwierdził, że teraz ścieżka przed nim jest zaskakująco łatwa do przebycia, pozbawiona kolczastych pnączy, przez które musiał się przedzierać wcześniej. Przeszedłszy kilkaset kroków, uznał, że to nie on wybiera drogę, a tylko nią podąża: mogąc iść z łatwością, zmierzał tam, dokąd prowadziła.

A jeśli ktoś... lub coś... chce, żebym tędy szedł?

Gdy tylko sformułował tę myśl, dostrzegł kątem oka szybki ruch. Obrócił się błyskawicznie w tamtą stronę, lecz zauważył tylko wijące się macki mgły, którą sam poruszył. Gdy znowu się odwrócił, coś szarego przecięło ścieżkę w pewnej odległości przed nim, lecz poruszało się zbyt szybko, by mógł zobaczyć kształt postaci.

Zatrzymał się i uniosł grot nad głową w drżącej dłoni. Bez wątplenia coś się ruszało we

mgle między najdalszymi drzewami, jakieś postacie wielkości człowieka, blade i umykające spojrzeniu. Znowu usłyszał nad głową szept, lecz teraz bardziej niż pozbawiony słów głos wiatru przypominał on syk jakiegoś niezrozumiałego, niemal bezdźwięcznego języka.

Usłyszał szelest gdzieś z tyłu, zaledwie muśnięcie ściółki stopą – Barrick obrócił się i przez chwilę patrzył na coś zdumiewającego: postać wysokością dorównywała człowiekowi, lecz była powyginana jak korzeń mandragory, owinięta od stóp do głów, niczym zmarły członek rodziny królewskiej, nicią i strzępami szarobiałymi jak mgła, a może nawet to była mgła, która przyjęła postać człowieka, pomyślał przerażony książę. W miejscach niezasłoniętych mglistym okryciem ciało wybrzuszało się i ociekało lśniąca szaroczarną mazią. Choć pozornie pozbawiona oczu, zjawą zdawała się wyraźnie widzieć Barricka; chwilę po tym, jak ją zobaczył, zanurzyła się we mgle przy ścieżce. Wokół głowy Barricka popłynęły kolejne szepty. Odwrócił się szybko, przekonany, że został otoczony, lecz wydawało się, że istoty ze splątanej nici wycofały się w wirującą mgłę.

Jedwabiny. Tak powiedział kruk, a całe to dziwne miejsce nazwał Jedwabnym Lasem.

Poczuł na twarzy coś cieniutkiego i lepkiego jak pajęcza sieć. Machnął ręką, lecz nic w jakiś sposób oplotła jego ramię. Nie próbował już przybliżyć do policzka drugiej dłoni, by także nie została unieruchomiona, lecz uderzył grotem włóczni w krępujące go nici i zaczął piłować, aż się rozerwały z gwałtownym trzaskiem. Zobaczył kolejne nici, jakby niesione wiatrem w jego stronę, które szybko oplotły go z przerażającą precyzją. Wsadził pod nie włócznię, lecz poczuł, że grot się zaplątał, a nici coraz bardziej się napinają; gdy spojrział do góry, ujrzał jedną z tych owiniętych w białe strzępy istot przyczajoną w koronie drzewa i trzymającą w rękach jedwabne nici niczym lalkarz. Zaskoczony wydał okrzyk obrzydzenia i strachu, a potem dźgnął istotę i poczuł, jak grot wchodzi w coś bardziej solidnego niż mgła czy nawet jedwabna nić, ale nie całkiem materialnego jak zwierzę czy człowiek: jakby wbił grot w kupkę patyków zatkniętych w mokry pudding.

Jedwabin wydał dziwne zawodzące westchnienie i wycofał się wyżej w gąszcz korony drzewa, kryjąc się za oparami mgły i zasłoną rozciągniętych między gałęziami jedwabnych włókien. Barrick zaryzykował spojrzenie przed siebie i zobaczył, że ścieżka, która jeszcze niedawno wydawała się tak zachęcająco szeroka, teraz skurczyła się ledwo na szerokość jego osoby niczym tunel biegnący wśród białych nici przypominających gniazdo polującego pająka. Jedwabiny próbowały zapędzić go w głąb swojej pułapki, aż już nie będzie mógł wrócić, opleciony nicią niczym schwytna mucha.

Jak to możliwe, że wszystko stało się tak szybko? Słyszał w głowie szum pędzącej krwi. Dopiero co siedział, wspominając dom, a teraz zaglądał śmierci w oczy.

Dostrzegłszy ruch po lewej stronie, zamachnął się włócznią w desperackiej próbie utrzymania intruzów na bezpieczną odległość. Poczuł na szyi delikatne muśnięcie nici opuszczonych przez kolejnego jedwabina. Wyraził krzykiem swoje obrzydzenie i przesunął dłonią po karku, by się pozbyć lepkich macek.

Wiedział, że całkiem się pograży, stojąc tak na środku ścieżki. „Znajdź schronienie w murze albo chociaż oparcie dla pleców” – powtarzał mu zawsze Shaso. Barrick uskoczył ze ścieżki i zaczął się przedzierać przez zarośla. Wiedział, że wszędzie dokoła rosną drzewa, ale przynajmniej będzie mógł wybrać miejsce, gdzie się zatrzyma. Uchylając się przed napływającymi ku niemu jedwabnymi włóknami, przemknął między nimi na niedużą polankę, na której rosło tylko jedno drzewo; czerwono-żółte liście miały kształt talerzy, a kora przypominała skórę jaszczurki. Barrick przywarł plecami do masywnego pnia. Ponieważ drzewo rosło w pewnym oddaleniu od pozostałych, książę uznał, że jego przeciwnikom, kimkolwiek byli, nie będzie łatwo dostać się do korony.

Mgła łąsiła się wokół jego stóp, a w innych miejscach, jak widział, podnosiła się na wysokość pasa. Niesprawne ramię pulsowało rwącym bólem w miejscach, gdzie zostało złamane dawno temu, lecz Barrick ścisnął mocno drzewce włóczni w obu dłoniach, żeby nikt mu nie wyrwał broni.

Blade, upiorne postacie, tylko trochę bardziej rzeczywiste niż sama mgła, wynurzały się teraz z mroku i zbliżały do niego. Były jednak wystarczająco prawdziwe, o czym się przekonał, gdy wbił grot w jednego z jedwablinów. A skoro były na tyle rzeczywiste, że dało się ugodzić je włócznią, to musiały być też na tyle prawdziwe, by można je zabić.

Barrick poczuł muśnięcie na twarzy. Skupiony na postaciach przed sobą, odruchowo machnął ręką i zaraz drgnął, gdy zobaczył, z czym ma do czynienia. Inna z atakujących istot zakradła się za pień drzewa, by zarzucić na Barricka jedwabne włókna. Kiedy obszedł drzewo i stanął naprzeciwko nie-całkiem-ludzkiego napastnika, ten uniósł owiniętą w białe strzępy bulwę głowy w niemal komicznym geście zaskoczenia, zupełnie jak pies przyłapany na złym zachowaniu. Barrickowi wydało się, że dostrzegł wilgotny błysk czegoś ciemnego, co mogło być oczami patrzącymi spomiędzy zwojów jedwabnej płataniny. Pchnął mocno włócznią, wbijając niemal cały jej zniszczony grot w brzuch jedwabina. Broń zanurzyła się tak głęboko, że książę nie miał wątpliwości, że zabił napastnika, lecz gdy spróbował wyszarpnąć złamane drzewce, przyszło mu to z dużym trudem. Wreszcie wydostał grot, a z dziury widniejącej w jedwabnej osłonie istoty popłynęło, bulgocząc, trochę lepkiej ciemnoszarej substancji. Jedwablin zachwiał się, bez wątpienia poważnie ranny, a potem odwrócił i zniknął we mgle.

Barrick obrócił się szybko i zobaczył kolejnego napastnika, który szedł ku niemu przez polankę, z powiewającymi mackami jedwabnych nici zwisającymi z palców. Barrick zrobił unik i lepkie macki przyłgnęły do kory drzewa tuż obok jego głowy, tak że przez chwilę istota stała unieruchomiona własną bronią. Szarpnęła powyginaną rękę, zrywając nici, lecz Barrick zdążył wbić włócznię w jej pierś. Nie udało mu się wykorzystać całej swojej siły, tak więc grot zanurzył się płytko, ale książę zaraz przesunął dłoń w górę drzewca dla lepszego chwytu i pociągnął grot w dół, rozorując tułów jedwabina od piersi po brzuch. Tym razem, ku jego zdumieniu, rana niemal bluznęła szarą mazią, a ranny jedwablin osunął się na ziemię; drgał konwulsyjnie niczym pozbawiony głowy wąż, rżąc i bulgocząc.

Istoty wewnątrz były prawie całkowicie mokre, niczym szpik z ugotowanych kości. Może to, czym są owinięte, to nie ubranie, a bardziej skóra czy skorupa, która chroni ich miękkie ciało, pomyślał Barrick. Jeśli tak, to włócznia będzie mało skuteczna w walce z nimi. Potrzebował czegoś z długim i ostrym ostrzem – miecza albo noża – ale nie miał niczego takiego. Książę wiedział, że jeśli któryś z kilku zbliżających się jedwablinów zdoła go chwycić, szybko powalą go na ziemię i owina nicią, jak pajak oplata schwytanego w sieć owada...

Pomyślał o Briony, która pewnie już nie żyła, jak wierzył. Przypomniawszy też sobie ciemnowłosą dziewczynę ze snów, która być może jest tylko zjawą. Jakże niewiele będzie go opłakiwać! A potem pomyślał o Gyryze i lusterku, które pozbawiony twarzy czarodziejski wojownik włożył mu do ręki, a także o Vansenie, który spadł w ciemność na pewną śmierć, próbując go ratować. Czy w takim razie Barrick Eddon pozwoli się zabić jak bezmyślne zwierzę? Pozwoli się pokonać tym... tępych istotom?

– Jestem księciem z rodu Eddonów. – Jego głos, najpierw cichy i drżący, nabierał siły. Uniósł włócznię, tak by zobaczyły ją nadchodzące istoty. – Z rodu Eddonów! – Opuścił broń nisko i wbił grot w pień tuż nad korzeniami drzewa, po czym stanął na drzewcu, łamiąc je zaraz za grot. To, co podniósł zdrową ręką, bardziej przypominało sztylet. – Jeśli wierzycie, że banda takich nędznych obszarpanych duchów jak wy pokona dom Eddonów, to chodźcie! – zawołał głośno.

Istoty podeszły, powiewając jedwabnymi nićmi. Gdyby ruszyły na niego wszystkie jednocześnie, atakując z góry i z przodu, z pewnością już by nie żył: poruszały się szybko i bezgłośnie, niemal nierozpoznawalne we mgle. Lecz sposobem myślenia nie przypominały człowieka i w ataku zachowywały się bardziej jak banda wygłodniałych stworzeń, próbując na przemian go chwycić i uwięzić lepkiemi nićmi. Barrickowi udało się przytrzymać jedno z jedwabnych włókien i przyciągnąć do siebie napastnika, a potem jednym ruchem grotu rozpruł tułów jedwabina. Ohydna istota osunęła się na ziemię obok trupa swojego towarzysza, zawodząc niczym wiejący w oddali wiatr i bluzgając szarą mazią wypływającą z rany.

Wtedy skoczyły na niego pozostałe jedwabiny. Barrick bardzo się starał przypomnieć sobie wskazówki, jakich dawno temu udzielał mu Shaso – kiedy jeszcze świat miał sens – lecz stary tuański mistrz niewiele wspominał o posługiwaniu się nożem. Barrick robił, co mógł, by nie stracić broni. Walczył jak we śnie, oblepiony białymi nićmi, które przywarły do jego nóg, ramion i twarzy, zasłaniając mu częściowo widok. Mocował się z jedwabiniami, szarpiąc grotem ich postrzępione okrycia. Za każdym razem gdy udało mu się któregoś powalić na ziemię, pojawiał się następny, tak że księżę widział już tylko to, co znajdowało się bezpośrednio przed nim, jakby reszta świata pograżyła się w ciemności. Zadawał kolejne pchnięcia, aż poczuł, że uchodzi z niego resztką sił, i osunął się na ziemię nieprzytomny, niepewny, czy jeszcze żyje, czy już umarł, co było mu zupełnie obojętne.

– Ego se uyleś? – Głos powtarzał wciąż to pytanie, a on nie umiał na nie odpowiedzieć.

Barrick otworzył oczy i zobaczył koszmar – istotę podobną do lalki zrobionej z gnijącego jabłka. Chciał krzyknąć, lecz z jego zaschniętego gardła wydobył się ledwie cichy syk. Kruk odskoczył, trzepocąc gwałtownie skrzydłami, i opadł na ziemię w pewnej odległości, upuszczając okropieństwo, które zwisało z jego dzioba.

– Dlaczego się ruszyłeś? – zapytał Barricka ponownie. – Zostać miałeś i czekać, jak mówiliśmy. Że wrócimy, też mówiliśmy.

Barrick przeturlał się na bok i usiadł, wodząc dokoła przerażonym spojrzeniem, lecz nie zobaczył nigdzie napastników.

– Gdzie one są? Te jedwabne istoty? Gdzie się podziały?

Kruk pokręcił łepkiem, jakby miał do czynienia z wyjątkowo głupim pisklęciem.

– No właśnie, tak jak mówiliśmy. To ziemia jedwabiniów i nie powinieneś po niej łązić.

– Ty głupie ptaszysko, ja z nimi walczyłem! – Barrick stanął na chwiejnych nogach. Wszystkie jego mięśnie drżały z bólu, a niesprawne ramię bolało bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. – Chyba zabiłem je wszystkie. – Nie widział nigdzie nawet trupów. Czy one parowały po śmierci jak rosa?

Dostrzegłszy coś w trawie, pochylił się, nadział na grot i podniósł.

– Aha! – Podsunął grot krukowi. Nawet zdrowe ramię Barricka zadrżało ze zmęczenia. – I co na to powiesz?

Ptak spojrział na czarną grudę oblepioną spletanymi białymi nićmi.

– Gówno czegoś, co się pochorowało. – Skurn przyglądał się z zainteresowaniem. – Tak się domyślamy.

– To pochodzi z jednego z tych jedwabiniowatych! Ugodziłem go, rozprułem mu brzuch i wypłynęło z niego to paskudztwo.

– Ach, w takim razie trzeba się zbierać – odparł kruk. – I zjeść to, szybko w miarę. Jedwabiny wrócą i przyprowadzą więcej swoich.

– Ha! Widzisz! A jednak kilku zabiłem! – Barrick zamilkł i spojrzał na ptaka. – Zaraz, co zjeść?

Skurn trącił pazurem to, co upuścił na ziemię.

– Szpiegus to jest. Młody, ale cholernie ciężki.

Martwy szpiegus był wielkości wiewiórki, miał mały zaokrąglony łeppek i szeroki, nierówny pysk, przez co przypominał przydepniętego melona. Guzy przebijających się przez brudne futro kości, przybierające postać stwardniałych szarych wyrostków u dorosłych osobników, które Barrick oglądał w dniu spotkania z Gyirem, były jeszcze miękkie i różowawe, co nie dodawało urody stworzeniu.

– Chcesz, żebym... – Barrick wpatrywał się w martwe zwierzę. – Żebym to zjadł...?

– Nic lepszego raczej dzisiaj nie znajdziesz – odparł kruk urażonym tonem. – Przysługę ci wyświadczyć chcieliśmy.

Barrick bardzo się starał opanować mdłości.

Gdy już wreszcie zebrał siły, dźwignął się na nogi. W jednym zdecydowanie zgadzał się z krukami: nie byłoby rozsądnie siedzieć zbyt długo w miejscu, w którym zabił jedwabiny.

– Jeśli zamierzasz zjeść to okropieństwo, to proszę bardzo – rzekł. – Tylko żebym nie musiał na to patrzeć.

– Zabiorę go w takim razie, bo może zmienisz zdanie...

– Nie będę tego jadł! – Barrick uniósł dłoń, by trzepnąć ptaka, lecz zabrakło mu sił. – Pospiesz się, bo musimy iść.

– Za duży – stwierdził kruk z zadowoleniem. – Powoli trzeba jeść, się delektować. Ale za duży dla nas, żeby go nieść daleko. Może ty...?

Barrick wziął głęboki oddech. Ze wstydem musiał przyznać, że potrzebuje Skurna. Przypomnił sobie nieprzyjemne poczucie osamotnienia, jakie go ogarnęło, gdy pomyślał, że kruk go zostawił.

– Dobra! Poniosę go, tylko znajdź jakieś liście albo coś, w co da się go owinąć. – Zadrzał. – Ale jak zacznie śmierdzieć...

– Wtedy pewnie już zgłodniejesz, jak przypuszczamy. Nie obawiaj się, do tego czasu znajdziemy jakieś miejsce na postój.

Gdy oddalili się już na tyle, że Barrick poczuł się trochę bezpieczniej, wtulili się w zagłębienie, osłonięci przed wiatrem i mgłą skalnym występem, który sterczał w zboczu zalesionej doliny. Barrick wiele by oddał za ogień, ale zgubił krzesiwo i metal w Wielkich Głębich, a w inny sposób nie potrafił skrzesać iskry.

Kendrick by potrafił, pomyślał rozgoryczony. Ojciec też.

– Przynajmniej opuszczamy ziemię jedwabiniów, jak się zdaje – powiedział głośno. – Nie spotkaliśmy żadnego od kilku godzin.

– Jedwabny Las ciągnie się daleko – odpowiedział kruk. – Naszym zdaniem nawet nie doszliśmy do jego środka.

– Na krew bogów, chyba żartujesz! – Barrick poczuł się, jakby w jednej chwili gradowa chmura zasłoniła mu słońce. – A musimy iść przez sam środek? Nie da się go obejść? Czy to jedyna droga do... – miał trudności z wypowiedzeniem obcych słów – Qul-na-Qar?

– Moglibyśmy pójść dokoła lasu, tak myślimy – wyjaśnił Skurn – ale zajęłoby to szmat czasu. Potem moglibyśmy pójść ku słońcu i przejść przez ziemię Ślepego Żebraka. Albo w drugą stronę i dalej na Robala. Jak by patrzeć, wszędzie kłopoty.

– Kłopoty?

– Jak na słońce, przez ziemie Żebraka, to trzeba by wypatrywać Starego Płonącego Oka i sadu Metalowych Nietoperzy.

Barrick przełknął ślinę. Nie chciał wiedzieć nic więcej.

– W takim razie idźmy w drugą stronę.

Skurn kiwnął głową.

– Jak tak, to znajdziemy się w bagnistym miejscu nazywanym, jak słyszeliśmy, Topi-Ci-Kości, i nawet jeśli unikniemy spotkania z leśrobalami, trzeba będzie wyglądać mądrze, żeby nas nie złapały wsysożuje.

Barrick zamknął oczy. Po chwili zorientował się, że próbuje się modlić, choć po spotkaniu z półbogiem Jikuyinem wciąż trudno mu było uwierzyć, że bogowie zawsze mają na myśli dobro. Uznał jednak, że nie zaszkodzi się pomodlić, mając do wyboru mordercze jedwabiny, metalowe nietoperze albo wsysożuje.

– O bogowie... O wielcy w Niebiosach. – Spróbował wymyślić coś innego. – Zaledwie przed kilkoma dniami odkryłem, że będę musiał podróżować przez straszną, nieznaną ziemię demonów i potworów w towarzystwie tylko dwóch kompanów, wojownika czarodziejskiego ludu i kapitana mojej straży przybocznej. Teraz mam tylko jednego kompana – żywiącego się gównem, aroganckiego ptaka. O wielcy, jeśli chcieliście mi ulżyć, to mogliście się bardziej postarać.

Barrick wiedział, że niezbyt przypomina to modlitwę, ale przynajmniej znowu rozmawiał z bogami.

– Obudź mnie, gdyby coś chciało mnie zabić. – Już wyciągnięty na nierównej ziemi, usłyszał mlaskanie Skurna, który zabrał się do martwego szpiegusa. Bolały go żebra i czuł ból w ramieniu, jakby ktoś wbił w nie mnóstwo kawałków szkła. – Albo nie zwracaj sobie głowy budzeniem. Może dopisze mi szczęście i umrę we śnie.

Bez serca

Wybitny filozof Phayallos takie wspominał, że słowa czarodziejskiego ludu oznaczające „boga” i „boginię” są bardzo bliskie ich słowom oznaczającym „wuja” i „ciotkę”...

– z Traktatu o czarodziejskich narodach obojga kontynentów Eionu i Xandu

Chłopiec ujął jej dłoń i przycisnął do swojej cherlawej piersi, co – jak wiedziała Qinnitan – oznaczało „boję się”. Przytuliła go do siebie i przez chwilę poddała się kołysaniu statku.

– Nie martw się, Gołębiu. On cię nie skrzywdzi. Zabrał cię tylko dlatego, żebym nie wyskoczyła za burtę i nie spróbowała popłynąć wpływ z powrotem do Hierosolu.

Popatrzył na nią z wyrzutem, bo przecież nie bał się o siebie.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała, lecz oboje wiedzieli, że sama w to nie wierzy. Zniżyła głos do szeptu: – Zobaczysz, znajdziemy jakiś sposób, żeby uciec, zanim dogonimy autarchę.

Drzwi kajuty otworzyły się gwałtownie. Na progu stanął człowiek, który porwał ich z ulicy w Hierosolu. Jego twarz była pozbawiona wyrazu, jakby myślami był zupełnie gdzie indziej. Kiedy występował w przebraniu staruszki, bardzo przekonująco naśladował uczucia, lecz teraz odrzucił pozory, jakby ludzka natura była tylko maską, za którą czasem się chował.

– Czego chcesz? – zapytała. – Boisz się, że się wymkniemy z zamkniętej na klucz kajuty? A potem może wdrapiemy się na maszt i wejdziemy na chmurę?

Minał ją z obojętną miną. Szarpnął kraty w oknie, sprawdzając je, i rozejrzał się po malutkiej kajucie.

– Jak masz na imię? – zapytała Qinnitan.

Usta mężczyzny drgnęły.

– A jakie to ma znaczenie?

– Będziemy razem na statku do momentu spotkania z autarchą, kiedy to dostaniesz swoją zbójcką zapłatę. Ty znasz moje imię i z pewnością wiesz o mnie dużo więcej. Pewnie długo mnie śledziłeś, obserwowałeś każdy mój krok. Na Święty Ul, nawet przebrałeś się za starą babę, żeby mnie szpiegować! Mógłbyś przynajmniej się przedstawić.

Nie odpowiedział, a jego twarz wciąż przypominała kamienną maskę. Po chwili odwrócił się i wyszedł; poruszał się z wdziękiem i płynnością świątynnego tancerza. Patrzyła na niego niemal z podziwem, lecz wiedziała, że to podziw myszy zachwycającej się zwinnością kota.

Poczuła wilgotnego na ramieniu i zobaczyła, że Gołąb płacze.

– Już dobrze – uspokoiła chłopca. – Nie bój się. Opowiem ci pewną historię. Chcesz? – Nie czekając na odpowiedź, zaczęła mówić: – Słyszałeś prawdziwą historię Habbilego Szachraja? Na pewno go znasz. Był synem wielkiego boga Nushasha, lecz gdy jego ojciec znalazł się na wygnaniu, Habbili został bardzo źle potraktowany przez Argala i innych bogów-demonów. Wydawało się, że nie przeżyje, lecz ostatecznie pokonał wrogów i uratował ojca, a nawet same Niebiosy. Chcesz posłuchać, jak to było?

Gołąb pociągnął mocno nosem, lecz wydało jej się, że też skinął głową.

– Momentami to straszna historia, więc musisz być dzielny. Dobrze? W takim razie

posłuchaj.

I opowiedziała mu całą historię tak samo, jak przekazał ją jej ojciec.

Dawno, dawno temu, kiedy konie jeszcze latały, a wielką czerwoną pustynią Xandu porastały trawa i kwiaty, jechał wielki bóg Nushash i spotkał Suyę Kwiat Świtu. Oczarowała go jej uroda. Udał się do jej ojca Argala Mrocznego, który był jego przyrodnim bratem, i poprosił o jej rękę. Argal zgodził się, choć planował okrutny podstęp, gdyż razem z braćmi zazdrościł Nushashowi.

Gdy Nushash zabrał Suyę, by poznała jego rodzinę, Argal przywołał swoich braci Xergala i Efiyala i powiedział im, że Nushash porwał jego córkę. Wtedy bracia zebrali swoją służbę i wojowników i pojechali do Księżykowego Kła, domu Xosha, brata Nushasha i władcy księżycy, gdzie zatrzymał się Nushash z narzeczoną.

Rozpętała się straszna wojna, a podczas długich lat zmagania nowożeńcom narodził się syn. Otrzymał imię Habbili i był pięknym, dzielnym chłopcem, skarbem rodziców, miłym i mądrym ponad swój wiek.

Xosh, władca księżycy, zginął podczas walk. Wielki Nushash dostał się do niewoli, lecz był zbyt potężny, żeby go zabić, tak więc Argal i pozostali pocięli jego ciało na kawałki, które rozrzućili po całej ziemi. Młody Habbili, syn Nushasha, został poddany torturom przez Argala, jego dziadka i inne demony z klanu. Okaleczyli go, a potem wycięli mu serce i wrzucili do ognia. Pozostawili jego ciało w ruinach Księżykowego Kła.

Pojawiła się tam samica węża. Szukała miejsca, gdzie mogłaby złożyć jaja, co zrobiła w zagłębieniu piersi Habbilego. Ten ocknął się do życia z zatrutym jajem w piersi, przepelnięny gniewem i pragnieniem zemsty.

– Jak możesz mi to robić? – zapytała samica węża. – Przywróciłam ci życie, lecz moje potomstwo w twojej piersi nie może się wykluć. Jeśli teraz zaatakujesz wroga, odpłacisz mi złem za dobro.

Habbili po chwili namysłu uznał, że usłyszał prawdę.

– Dobrze – powiedział. – Zaufam ci, mimo że moja rodzina zdradziła mnie wielokrotnie. Zabierz swoje jajo, weź węgiel z ognia i połóż na mojej piersi. – Potem Habbili zdjął jajo z piersi i padł martwy jak wcześniej.

Samica węża zachowała się honorowo. Mogła go wtedy zostawić, lecz przyniosła węgiel z żaru ruin wieży, choć bardzo parzył ją w pysk, dlatego od tamtej chwili węże syczą, zamiast mówić. Habbili ożył, gdy położyła mu kamień na piersi. Podziękował jej i poszedł w swoją stronę, mocno kulejąc z powodu licznych ran, dlatego śmiertelnicy, którzy go spotkali, nazywali go czasem Kulasem.

Wędrował przez lata, miał wiele przygód i dużo się nauczył, lecz zawsze powracał myślą do zła, które wyrządzili mu jego dziadek i wujowie. Wreszcie uznał, że jest gotów dokonać świętej zemsty i przywrócić do życia swojego ojca, Nushasha. Niestety, ciało jego ojca zostało pocięte na kawałki i rozrzucone na północ i na południe, tak więc Habbili musiał długo szukać szczątków. Wreszcie zebrał wszystkie, poza głową ojca, którą złożono w kryształowej szkatule w domu Xergala, boga głębokich miejsc i zmarłych, którego mieszkańcy północy nazywają „Kerniosem”. Habbili udał się do twierdzy Xergala i za pomocą zaklęć i uroków, których się nauczył, minął strażę i wszedł do środka. Gdy się skradał w jego mrocznym wnętrzu, napotkał żonę Xergala. Nie poznał jej, lecz ona rozpoznała jego – przecież była to Suya Kwiat Świtu, jego matka, którą Xergal porwał i zniewolił.

– Musisz uciekać, mój synu – ostrzegła go. – Pan Ziemi niebawem wróci, a wtedy się rozgniewa i będzie chciał cię zniszczyć.

– Nie – odparł Habbili. – Przybyłem po głowę mego ojca, by go przywrócić do życia. Suya bardzo się bała, ale nie udało jej się przekonać syna, by zmienił zdanie.

– Mroczny Xergal trzyma głowę twego ojca w najgłębszej piwnicy swojego domu – powiedziała wreszcie – w kryształowej szkatule, którą rozbije tylko młot jego brata Argala Gromowładcy. Lecz nie zdołasz wykraść młota bez sieci Efyala, władcy morza, ich brata. Wszyscy trzej bracia udali się na łowy i zostawili swoje skarby niestrzeżone, idź więc po nie teraz, bo niebawem wrócą oni do swoich domów, a wtedy na nic twoje wysiłki.

Tak więc Habbili Kulas opuścił siedzibę Xergala i zgodnie z instrukcją matki zanurkował w głębiny wielkiej rzeki i popłynął do domu Efyala. Pokonawszy krokodyle, które strzegły tronu boga rzeki, ukradł sieć. Potem wspiął się na szczyt Xandosu, ogromnej góry, gdzie Argal miał swój dom. Gdy przykrył siecią stu upiornych wojów, ci zasnęli na jego rozkaz, wtedy zabrał wielki młot umocowany na ścianie przy drzwiach. Potem Habbili zszedł w głąb ziemi, do domu Xergala, jego wuja, władcy głębi.

– Bądź ostrożny, synu – zwróciła się do niego matka. – Xergal cię zniszczy, jeśli cię tu zastanie. Jest panem martwej ziemi. Zaciągnie cię do cienia i zostaniesz tam na zawsze. – Pomimo ostrzeżeń matki Habbili zszedł na sam dół zamku pana śmierci, gdzie odnalazł głowę ojca w złocistej kryształowej szkatule, która unosiła się na powierzchni rtęciowego stawu. Gdy Habbili podniósł głowę, Nushash otworzył oczy, lecz mając tylko oczy i usta i będąc pozbawiony serca, nie poznał swojego syna i zaczął wołać:

– Ratunku! Xergalu, wielki panie! Ktoś próbuje mnie ukraść!

Xergal właśnie wracał z polowania. Usłyszawszy krzyki głowy Nushasha, podążył szybko tunelem prowadzącym do lochów, a echo jego kroków rozległo się jak dudnienie grzmotów. Habbili przestraszył się, mimo że w jego piersi płonął węgiel – wiedział, że okaleczone nogi nie poniosą go tak szybko, by zdołał umknąć przed panem śmierci – tak więc położył głowę ojca na podłodze i czekał z młotem Argala i siecią Efyala w dłoniach. Gdy Xergal wpadł do pokoju, czarny jak noc pozbawiona gwiazd i księżycy, z oczyma roziskrzonymi jak dwa rubiny, Habbili zarzucił na niego sieć. Xergal, spowolniony na chwilę magią brata, zatrzymał się zdumiony. Wtedy Habbili uderzył go młotem i Xergal, Pan Ziemi, padł nieprzytomny. Habbili podniósł młot, zabrał głowę ojca w kryształowej szkatule i popędził schodami na górę ścigany przez Xergala, który szybko się ocknął i zaczął go doganiać.

Suya, matka Habbilego, chwyciła za płaszcz Xergala, gdy ten przebiegał, i zawołała:

– Mężu, zjedz kolację, zanim całkiem wystygnie.

Pan Ziemi próbował się wyrwać, lecz ona mocno go trzymała.

– Puść mnie, kobieto. Ktoś ukradł coś, co należy do mnie.

Suya przywarła do niego.

– Pościeliłam już nasze łóże. Chodź i połóż się przy mnie, zanim się wychłodzi.

Xergal wciąż się wyrывał.

– Puść mnie! Ktoś ukradł coś, co należy do mnie!

Suya nie ustępowała.

– Zostań ze mną! Zmogła mnie choroba i mogę umrzeć niedługo.

Na to Xergal zawołał:

– Umrzesz już teraz! – Zadał jej cios, tymczasem Habbili Kulas zdążył już uciec z podziemnego pałacu i umknął na południe do lasów, które rosły wokół góry Xandos. Tam, za pomocą młota Argala, uwolnił ze szkatuły głowę ojca, a wtedy wszystkie szczątki Nushasha Białego Ognia połączyły się i pan słońca wrócił do życia.

– Ojcze! – zawołał Habbili. – Znowu żyjesz!

– Dobry z ciebie i wierny syn – odparł Nushash. – Uratowałeś mnie. A gdzie twoja matka?

Nie mogę się doczekać, kiedy ją zobaczę.

Kiedy Habbili opowiedział mu, że Suya Kwiat Świtu poświęciła życie, by oni mogli uciec od Xergala Pana Ziemi, wielki Nushash ogromnie się zasmucił. Potem udał się do swojego domu na wyżynach Niebios i jak dawniej wsiadł do słonecznego rydwanu, by jak co dzień przemierzyć w nim niebo. Habbili pozostał na ziemi, gdzie uczył synów ludzkich, by poznali prawdę o Argalu Mrocznym i pozostałych zdradzieckich bogach, wrogach Nushasha Białego Ognia. Dlatego ludzie wypędzili wyznawców Argala i odtąd na całej ziemi wokół Xandosu wielbiono Nushasha, prawdziwego króla nieba.

Gołąb ścisnął jej dłoń. Gdy spojrzała na niego, dostrzegła pytanie w jego spojrzeniu.

– Tak – odparła – to prawda. Dlatego opowiedziałam ci tę historię. Habbili Kulas nie żył, miał wycięte serce, a mimo to wrócił, by pokonać wrogów – nie byle jakich, bo bogów i demony! Pewnie, że się bał, ale nie poddał się strachowi. Dlatego wszystko dobrze się skończyło.

Chłopiec jeszcze raz ścisnął jej dłoń.

– Nie ma za co. Więc nie bój się, malutki. Coś wymyślimy. Bogowie nam pomogą. Niebiosa nas uratują.

Tuliła go długo, aż usłyszała, że jego oddech się uspokoił. Gołąb wreszcie zasnął.

Na przekór wszystkiemu kulawy chłopiec Habbili przeżył, pomyślała. Na przekór wszystkiemu. Ale by on przeżył, jego matka musiała umrzeć.

– Czy jesteś wyznawcą, królu Olinie? – Żłociste oczy autarchy wydawały się jeszcze bardziej roziskrzane niż zwykle.

– Wyznawcą?

– Tak. Czy wierzysz w Niebiosa?

– Wierzę w moich bogów.

– Ach, zatem nie jesteś wyznawcą, a przynajmniej nie w dawnym znaczeniu tego słowa.

– Co masz na myśli, Xandyjczyku? Powiedziałem ci, że wierzę w...

– „W moich bogów”, tak powiedziałeś. Słyszałem. – Sulepis uniósł odwrócone wnętrzem do góry dłonie, jakby to były szalki wagi. – Tym samym przyznajesz, że inni ludzie mają inne wierzenia... innych bogów. Lecz ci, którzy naprawdę wyznają swą wiarę, uważają, że inni bogowie nie istnieją, że wierzenia innych to tylko przesady, diabelskie sztuczki. – Autarcha uśmiechnął się. Jak na przystojnego mężczyznę miał straszny, przerażający uśmiech; Pinimmon Vash wciąż nie mógł się do niego przyzwyczaić, mimo że pełnił służbę już od ponad roku. – Mniemam, że nie należysz do tego rodzaju ludzi.

Olin wruszył ramionami i odpowiedział powoli, starannie dobierając słowa:

– Staram się zrozumieć świat, w którym żyję.

– Chcesz przez to powiedzieć, że trudno ci uwierzyć w coś tak głupiego jak stwierdzenie, że wszystko, co napisano w *Księdze Trygonu*, jest prawdą. Ach, nie złość się, Olinie! To samo mówią o *Objawieniach Nushasha* czytanych przez mój lud. Bajki na dobranoc dla dzieci.

Nawet Vash, doświadczony dworzanin w służbie, nie potrafił powstrzymać cichego chrząknięcia, które wyrażało zdumienie. Autarcha spojrzał na niego z uśmiechem.

– Czyżbym cię obraził, ministrze?

– N-nie, Żłocisty. Cokolwiek zrobisz, nigdy nie będzie to dla mnie obrażą.

– Hm, to brzmi jak wyzwanie. – Sulepis zaśmiał się niczym rozbawione, beztroskie dziecko. – Ale w tej chwili toczą filozoficzną dysputę z królem Olinem, więc może znajdzie sobie jakieś zajęcie, żebyś poczuł się swobodniej. – W jednej chwili uśmiech zniknął z jego ust. – Innymi słowy, idź stąd, Vash.

Minister uklonił się i wycofał tyłem poza krąg Złocistego. Mijając skotarchę Prususa, który kołysał się na krześle, Vash spojrzał w jego wilgotne oczy i wydało mu się, że dostrzegł w nich coś innego niż strach i zagubienie, które zwykle wycierały ze spojrzenia skotarchy. Czyżby zainteresowanie kaleki zostało zmacone nieostrożnym bluźnierstwem autarchy? Czyżby ta niespełna rozumu istota poczuła się urażona? Vash poczuł chłodne rozbawienie. Może Sulepis odesłał niewłaściwą osobę.

Zaraz po tym, jak wrócił do głównej kajuty, Vash wspiał się na pokład, zmuszając do maksymalnego wysiłku swoje stare nogi, i zbliżył się ostrożnie, tak by mógł słyszeć głos autarchy. Nikt nie dożywał sędziwego wieku jako pierwszy minister, ignorując najważniejsze rozmowy, a ponieważ na królewskim statku nie dysponował środkami, które zwykle wykorzystywał do zdobywania wiadomości, sam musiał zająć się szpiegowaniem, choć było to poniżające i niebezpieczne zajęcie.

Gdy odpowiednio się przysunął, usłyszał, że wciąż mówi Sulepis.

– ...Ależ porzuć swą skromność, królu Olinie – rzekł autarcha. – Mądrzy ludzie wiedzą, że starożytni w świętych księgach opowiadali o tajemnicach zbyt potężnych, by poznawali je zwykli ludzie. Ta wiedza jest przeznaczona dla elity, dla takich jak ty i ja, którzy zgłębiając wielkie sztuki, poznali prawdę kryjącą się za barwną fasadą historii.

Vash pochylił się do przodu, aż zobaczył tył głowy Olina, który stał przy relingu na niższym pokładzie. Nie widział autarchy, ale domyślał się z napiętej postawy króla z północy, że Sulepis musi siedzieć tuż obok swojego rozmówcy: jakże dobrze minister znał ten nerwowy strach, jaki wywoływał Sulepis podczas pozornie przyjacielskiej rozmowy.

– Źle mnie zrozumiałeś... – zaczął Olin, lecz autarcha tylko się roześmiał.

– Nie sprzeczasz się, dobry człowieku. Ktoś, komu zostało już tak niewiele życia, nie powinien marnować nawet jednego oddechu. Wiem o tobie dużo więcej niż ty o mnie, Olinie Eddonie. Widzisz, obserwowałem ciebie i twoją rodzinę.

Król zastygł w bezruchu. Gdyby nie fakt, że zielone niespokojne fale Morza Ostejańskiego rytmicznie wznosiły się i rozbijały w białą pianę za plecami Olina, Pinimmon Vash pomyślałby, że świat zamarł nagle niczym przestraszone serce.

– Obserwowałeś nas...?

Sulepis mówił dalej, ignorując swojego rozmówcę:

– Wiem, że ty, twoi nadworni medycy i inni badacze filozoficznych tajemnic studiowaliście dawne nauki, badaliście wymarłe sztuki... czasy bogów.

– Nie wiem, o czym mówisz – odparł Olin oschłym tonem.

– Możliwe, że początkowo zajmowałeś się tym z powodów osobistych – by lepiej poznać tajemnicę skażonej krwi twojego rodu – lecz z czasem z pewnością dowiedziałeś się więcej o tym, jak naprawdę działa świat, niż wszyscy ci prostacy, których masz wokół siebie i którzy nazywają cię monarchą namaszczonego przez bogów, nic o tych bogach nie wiedząc. – Sulepis pojawił się na chwilę w polu widzenia Vasha i ten cofnął się gwałtownie, lecz autarcha tylko przysunął się do Olina i teraz obaj stali odwrócenymi plecami do szpiega. Vash nie widział nigdzie strażników, ale wiedział, że nie byłiby zachwyceni, widząc obcego więźnia tak blisko autarchy.

Minister pomyślał, że oto ma przed sobą dziwnie zwyczajną scenę: dwóch mężczyzn obok siebie, opartych o reling, i gdyby nie obrzędowy strój Sulepisa – wysokie nakrycie głowy zwane lulkową koroną, ponieważ przypominało nasiona tej trującej rośliny, ogromny złoty amulet w

kształcie słońca na piersi i oczywiście złociste osłony na palce – można by go wziąć za zwykłego xandyjskiego kapłana, który rozprawia o dziesięcinach i utrzymaniu świątyni ze swoim odpowiednikiem z północy. Lecz Vash wiedział, że wystarczy jedno spojrzenie w te złociste oczy, żeby się zorientować, kim jest autarcha.

Król z północy sprawiał wrażenie bardzo odważnego człowieka: każdy inny, poczuwszy z tak bliska żar autarchy, gorączkę myśli Złocistego, z pewnością by się cofnął. Na Sadowym Dworze szeptano, że tak bliska obecność Sulepisa jest niczym żar pustynnego słońca, od którego skwierczy umysł, skóra i kości każdego, kto odważy się pozostać zbyt długo w pobliżu monarchy.

Vash zadrżał. Kiedyś śmiałyby się z takiego gadania. Teraz jednak czuł, że jest w stanie uwierzyć niemal we wszystko, co mówią o jego panu, tym przerażającym bogu na ziemi.

– Może jest to mimo wszystko zbyt trudne do pojęcia. – Autarcha wyprostował długie palce, kierując je na zachód, jakby chciał chwycić w dłoń zachodzące słońce. – Pewnie poświęciłem tym sprawom więcej czasu niż ty, Olinie, ale nie wątpię, że potrafisz je pojąć, że zrozumiesz prawdę, a gdy to się stanie... no cóż, być może wtedy spojrzysz inaczej na mnie i na moje plany.

– Wątpię.

Autarcha westchnął zadowolony z siebie.

– Znasz historię Melarkha, króla-herosa ze starożytnego Jurr? Na pewno ją słyszałeś. Jego żonę nękał zły los, dlatego nie mogła dać mu syna. Król uratował sokoła przed wielkim wężem, a ptak w dowód wdzięczności zaniósł go do Niebios i pomógł skraść bogom Nasienie Narodzin.

Olin spojrzał na autarchę, lecz Vash nie potrafił odczytać wyrazu jego twarzy.

– Słyszałem podobną opowieść o wielkim herosie Hiliometesie.

– Ach, potwierdzasz moją teorię. Większość tych, którzy słyszeli tę opowieść, mówi: „Tak, to prawda. Tak właśnie zrobił wielki bohater Melarkh – albo Hiliometes, jeśli tak im powiedziano. – Król-bóg uniósł na chwilę dłoń, a jego ochraniacze na palce błysnęły w blasku zachodzącego słońca. – Lecz oni mają na myśli najprostszą wersję opowieści. Ludzie mądrzejsi, kapłani i inni mędrcy, przywódcy pospólstwa, powiedzą: – Może i Melarkh nie wzniósł się do Niebios na grzbiecie sokoła i nie przyniósł Nasienia Narodzin, lecz historia ta mówi o tym, że dzielni ludzie muszą odkryć tajemnice bogów, że śmiertelnicy mogą zmienić swój los. A najbardziej szalone umysły, samotni filozofowie żyjący z dala od innych, mogą nawet pomyśleć: „Jako że nie ma takiego sokoła, który byłby w stanie ponieść na swoim grzbiecie dorosłego mężczyznę, można mniemać, że historia Melarkha, który wzniósł się do Niebios, jest nieprawdziwa. A skoro tak, to inne też są fałszywe. W takim razie wszystkie religijne opowieści są kłamstwem. W takim razie może bogowie nie istnieją!”. Na takie bluźnierstwa wzdrygają się nawet najmądrzejsi, ponieważ wiedzą, że podobne poglądy mogą pozbawić człowieka Niebios, pozostawiając go w próżni.

Ton głosu autarchy zmienił się, stał się bardziej poufny, dlatego Vash, przeklinając swój wiek, musiał się pochylić tak mocno, że jego plecy zaczęły protestować. Bał się też, że reling zatrzęszczy pod naporem jego masywnego ciała i go zdradzi.

– Wtedy ja mówię im wszystkim, głupcom, ciekawskim i bohaterom – kontynuował autarcha – że wszyscy mają rację! A zarazem wszyscy się mylą. Tylko ja rozumiem prawdę. Tylko ja, jedyny wśród żywych istot, potrafię nagiąć wolę bogów do mojej woli.

Vash wziął głęboki oddech. Wcześniej słyszał wiele dziwnych i obrazoburczych wypowiedzi autarchy, lecz pierwszy raz był świadkiem tak szalonej mowy.

– Ja... nie pojmuję twoich słów – powiedział Olin głosem człowieka chorego i osłabionego.

– Ach, myślę, że mnie rozumiesz. A przynajmniej ogólny zarys mojej myśli, bo przecież

sam prowadziłeś podobne rozważania. Przyznaj, Olinie, że jesteś zaskoczony, bo choć moje idee są bardziej wzniosłe, nie różnią się bardzo od twoich, choć pochodzą od kogoś, kogo uważasz za tak odmiennego od siebie. I rzeczywiście, masz rację – jestem inny. Bo podczas gdy ty poznawałeś te tajemnice i snułeś podobne myśli, pogrążony w rozpacz, usiłując się dowiedzieć, dlaczego ty i twój ród jesteście przeklęci, ja poszedłem dalej i powiedziałem: „Tak, pragnę odkryć te tajemnice, ale będę młotem, a nie kowadłem”. To ja będę nadawał kształt rzeczom. – Po raz kolejny z ust autarchy popłynął radosny śmiech. – Widzisz, wiem, co jest pod twoim zamkiem, Olinie, władco Zamku Marchii Południowej. Znam przekleństwo, które od pokoleń prześladowuje twój ród, wiem też dlaczego. Lecz w przeciwieństwie do ciebie, ja okiełznam tę moc. W przeciwieństwie do ciebie, nie pozwolę, by manipulowały mną prastare legendy Niebios i ich infantylne ostrzeżenia...! Posiadam moc bogów, a potem ukarzę same Niebiosy za to, że mi się sprzeciwiały!

Po tych słowach autarcha wrócił do swojej kajuty, a król Olin pozostał na pokładzie wpatrzony w morze. Pinimmon Vash, który ledwo stał na nogach, nie odważył się ruszyć w obawie, by nie zauważył go król z północy. Wreszcie Olin odwrócił się i pozwolił strażnikom odprowadzić się do małej kajuty. Przez chwilę Vash widział wyraźnie oblicze obcego króla, umęczone i upiornie blade, jakby Olin już nie żył. W rzeczywistości obcy monarcha wyglądał tak, jakby ujrzał nie tylko własną śmierć, lecz także koniec wszystkiego, co kocha.

Ujrawszy pobladłe oblicze Olina, Pinimmon Vash, który nigdy nie marnował ani odrobiny współczucia dla innych, tym razem pomyślał, że bogowie okażą łaskę królowi z północy i tej nocy pozwolą mu zasnąć głębokim snem.

Kropelka pokoju

Wczasach Wielkiego Pomoru większość czarodziejskich ludzi została wypędzona z ziem zamieszkałych przez człowieka, oskarżona o szerzenie strasznej plagi. Lecz Phayallos i inni twierdzą, że natrafiono na czarodziejskie osady, takie jak miasto pieczar w pobliżu Falopetris w Ulos, zupełnie opustoszałe, jeśli nie liczyć ciał zmarłych Qarów, których zabiła zaraza, zanim pojawili się tam ludzie.

– z Traktatu o czarodziejskich narodach obojga kontynentów Eionu i Xandu

– Nie. – Barmanka rzuciła monetę na mokry, brudny kontuar i odeszła.

Matt Tinwright chciał, żeby ją zatrzymała, choć musiał przyznać, że się wahał. Nie zostało mu już nic więcej poza tym pożyczonym srebrnym jesiotrem – który razem z trzema innymi wydał w ciągu ostatnich dwóch tygodni – wyłudzoną podstępnie od starego Zagadki, zdobytą podłym pochlebstwem i mazgajską litanią, o której przez wieki będą opowiadać w cechu żebraków. Wyłudziwszy wszystko, co było do wyłudzenia ze śmierdzącej sakiewki, którą Zagadka trzymał w bucie, Tinwright wiedział, że ma nóż na gardle.

– Proszę, Brigid – zaczął barmankę, która akurat go mijała. O tej porze w Kuźnicy Quillera nie było dużo gości, a ci, którzy tam przebywali, nie rozróżniali głosów w swoich głowach i tych na zewnątrz, lecz to, co poeta chciał jej powiedzieć, należało do wyznań, których nie czyniło się głośno. – Proszę. Tylko ty możesz mi pomóc.

– A co mnie to obchodzi. – Barmanka zatrzymała się przy nim, zacisnąwszy dłoń w pięści wsparte na biodrach, i pochyliła się, tak że jej twarz znalazła się tuż przy jego twarzy. W zwykłych okolicznościach skupiłby uwagę na jej odsłoniętym biuście, lecz w tej chwili nawet jego najbardziej aktywne instynkty poddały się poczuciu odpowiedzialności. – Moi bracia pomogli ci ją przenieść w inne miejsce. Nawet ja niosłam tę egoistyczną krowę, podczas gdy ty uciekałeś, lejąc w pantalonny.

– Szkaradne kłamstwo! – zawołał i zaraz ściszył głos. – Musiałem odwrócić ich uwagę. Przecież to byli kapłani – urzędnicy z zamku. To trzeźwo myślący ludzie, którzy od razu by się połapali, że coś jest nie tak. – Przypomniawszy sobie tamtą chwilę, kiedy przerażony słyszał, jak nadchodzą, podczas gdy on i pokojówka ciągnęli bosą, otumanioną Elan M’Cory do pokoju, który poeta wcześniej wynajął tuż przy Lagunie Muskających Wodę. Wtedy bał się jeszcze bardziej niż w momencie, gdy – jak mu się zdawało – miał zostać stracony przez Avina Brone’a: wówczas Tinwright wiedział, że znalazł się w kłopotach, lecz tym razem pomógł młodej szlachciance się otruć, choć nie całkiem. Tak więc teraz musiał zapewnić schronienie wracającej do zdrowia Elan, by uchronić ją przed Hendonem Tollym i jego poplecznikami. Niemal został przyłapany, o czym świadczyło jego ubranie. O czym nie wspomniawszy Brigid.

– Wiesz co, Matty, jakoś mnie to nie wzrusza. – Brigid potrząsnęła czupryną kręconych włosów. – Twoje problemy już mnie nie obchodzą. Mam kogoś innego, kto ma pieniądze. Nie jakieś tam drobniaki, jakie wyłudzasz od tego staruszka, ale porządne utrzymanie. Ma dom w Ocastle i sklep, a także przyzwoite ubranie i laskę z gałką zrobioną z kła wieloryba...

– A także żonę w domu? – przerwał jej Tinwright niezbyt miłym tonem.
– I co z tego? To głupia krowa – tak mi powiedział. Urządzi mnie i nie będę musiała mieszkać w tej cholernej norze, gdzie Conary maca moje cycki, zanim wypłaci mi dniówkę.
– Ale, Brigid, znalazłem się w strasznych kłopotach...
– A kto cię w nie wpakował, Matcie Tinwright? Ty i tylko ty. A kto cię z nich wypłaci? Ta sama osoba. Gdy już opanujesz tę lekcję, staniesz się w połowie mężczyzną, a nie chłopcem i głupcem.

Odwróciła się i ruszyła przed siebie zwawym krokiem, lecz po chwili przystanęła i odwróciła się, a jej oblicze wyraźnie złagodniało.

– Nie życzę ci źle, Matty. Mieliśmy swoje pięć minut, nie jesteś taki najgorszy. Ale nie możesz budować zamków na piasku. Musisz znaleźć swoje miejsce.

Tinwright, mimo że przez tyle lat słuchał poetyckiej muzy, nie znalazł odpowiedzi.

– Och, to ty. – Jej ciemne oczy napadły na niego jak duch. Elan M’Cory była przerażająco chuda, ponieważ nie zjadła porządnego posiłku od chwili, gdy przyjęła truciznę. – Myślałam, że to ta okropna rumiana kobieta.

Tinwright westchnął.

– Brigid nie jest okropna.

– Nie broń jej dlatego, że się z nią zabawiałeś. Nie jestem dzieckiem. Wiem, że świat potrzebuje równowagi. Ale ona jest okrutna. Próbowwała utopić mnie w zupie.

– Próbowwała cię nakarmić. Musisz jeść, Elan. – Przysiadł w nogach łóżka, które zaskrzypiało i ugięło się pod jego ciężarem. – Proszę, pani, załódzisz się...

– Załódzę? A kto mnie do tego nakłonił? Kto mnie podstępnie namówił?

Tinwright zwiesił głowę. Elan zachowywała się tak od chwili przebudzenia, rozgniewana i kłótniwa albo smutna i milcząca, a zawsze posepna. Nie dziwił się, że Brigid nie wytrzymała. Nie winił siebie za to, że nie chciał patrzeć, jak ukochana kobieta odbiera sobie życie, ale przecież sprawy mogły się trochę lepiej ułożyć.

– Ja – odpowiedział krótko. Uznał, że nie ma co dyskutować. Gdy się rozstawali, jeszcze długo w jego głowie rozbrzmiewał jej smętny głos. Od dawna już nie napisał ani wersu, i to teraz, gdy wydawało się, że nadszedł jego czas.

– Zwróciłam się do ciebie z prośbą, najmniejszą z możliwych, poprosiłam o miły podarunek. – Zamknęła oczy i opadła na poduszkę. – Mówisz, że mnie kochasz, wciąż to powtarzasz, a przyniosłeś to, o co cię prosiłam? Kropelkę spokoju duszy, nic więcej. Prosta sprawa.

– Nie jest prostą sprawą zabić kogoś – odparł. – W szczególności gdy chodzi o osobę, która jest mi tak droga jak ty, pani.

Elan znowu otworzyła oczy i przez chwilę Tinwrightowi wydawało się, że zacznie krzyczeć, lecz jej oblicze złagodniało, a z oczu popłynęły łzy.

– Gdyby twoja miłość i troska mogły mnie uratować, Matcie Tinwright, to już by się to stało. Tymczasem mój los jest przesądzony. Należę do Kerniosa i jego mrocznego królestwa.

– Wcale nie! – Uniósł dłoń, by uderzyć o pościel, lecz w ostatniej chwili się rozmyślił. – Zostałaś wykorzystana przez podłego człowieka. Gdybym miał moc, żeby zabić Hendona Tolly’ego, tobym to zrobił, ale nie jestem katem, tylko poetą, i to miernym, jak często myślę.

Jeśli spodziewał się, że temu zaprzeczy, to się rozczarował.

– Tak trudno żyć... – powiedziała cicho. – Trwam w koszmarze, z którego nie mogę się

obudzić. Czasem myślę, że wszyscy jesteśmy sługami śmierci, która tymczasowo oddaje nas w służbę innym panom.

Nienawidził, gdy tak mówiła.

– Jesteś bezpieczna, Elan. Hendon Tolly nawet cię nie szuka.

Jej oblicze znowu stężało gniewem.

– Och, Matthiasie Tinwright, jesteś głupcem! Oczywiście, że mnie szuka. Ale nie dlatego, że za mną tęskni, ani nawet nie dlatego, że mnie nienawidzi – z tym mogłabym żyć. Szuka mnie, bo do niego należałam, a on nie pozwala nikomu ukraść niczego, co należy do niego.

– Ty nie...

Uniosła dłoń.

– Proszę. Nie mów o rzeczach, o których nie masz pojęcia. – Wyraz jej twarzy zmienił się po raz kolejny i stał się jeszcze bardziej niepokojący. W Elan nie było już nic twardego – wydawała się zupełnie bezbronna, jak zwierzę o miękkim ciele pozbawione pancerza. – On ma lustro. Potrafi... w tym lustrze są... różne istoty. Które... śmieją się i... mówią. Znają straszne tajemnice. – Jej wątłym ciałem wstrząsnął dreszcz, a dłonie drżały mocno, gdy złożyła je przed sobą. – Kazał mi w nie patrzeć...

Tinwright nie był w stanie wydusić z siebie słowa ani nawet się poruszyć, choć pragnął wziąć Elan w ramiona i osłonić przed strasznymi wspomnieniami, które tak ją dręczyły, lecz beznadzieja w jej głosie zupełnie odebrała mu siły.

– Kazał mi patrzeć – powtórzyła szeptem. – Zabierał mnie do piwnicy i trzymał mi głowę, a to... mówiło do mnie. Mówiło do mnie i wiedziało, kim jestem! Znało szczegóły z mojego życia, o których nikt nie powinien wiedzieć, nawet Hendon Tolly ani matka czy ojciec! Próbowałam... Cokolwiek to było, trzymało mnie i bawiło się mną jak... kot, który osacza mysz, przyciska ją łapą, potem pozwala jej trochę pobiec i znowu ją łapie. Ja... ja... – Teraz już rozplakała się rzewnie, lecz nie podniosła dłoni, by otrzeć twarz. – Matcie Tinwright, nie chcę żyć w takim świecie. W świecie, w którym żyją takie... ohydne i straszne istoty ukrywające się za każdym lustrem... za każdym odbiciem...

Wreszcie poeta odzyskał głos.

– To była sztuczka... żeby cię przestraszyć...

Elan pokręciła głową, nie przestając płakać.

– Nie. On też się tego boi. Pewnie dlatego mnie tam zabierał. Tamta istota jest jak bestia w klatce. Zamierzał ją trzymać jak psa, ale jest wymagająca. Chciał ją mną nakarmić. To jeszcze jeden powód, dla którego tak łatwo się ze mną nie rozstanie. Miałam... odwrócić uwagę bestii.

Upłynęło jeszcze trochę czasu, zanim Tinwrightowi udało się uspokoić Elan M’Cory na tyle, by wypić trochę zimnego rosołu, a potem zasnąć. Poczul ulgę, widząc, że dziewczyna wreszcie pozbyła się najgorszych trosk i odpoczywa, ale jak długo mógł tam siedzieć i jej strzec? Ile jeszcze razy uda mu się wykraść potajemnie, zanim ktoś z ludzi Hendona Tolly’ego zauważy jego zniknięcie? W twierdzy wewnętrznej aż się roiło od szpiegów i pochlebców zabiegających o względy pana, a niektórzy zazdrościli nawet i Mattowi Tinwrightowi, który nawet w najlepszych chwilach na koniec zawsze lądował w końskim gównie.

Skoro Brigid nie przyjdzie, muszę znaleźć kogoś innego do pomocy przy Elan. Tylko czy znam kogoś, komu mógłbym zaufać? A co ważniejsze, na kogo byłoby mnie stać? Spojrzał na srebrnego jesiotra, który będzie musiał mu wystarczyć na następne dwa tygodnie, jeśli Onir Diotrodos cudownie nie rozmnoży piwa. Wydawało się to raczej niemożliwe. Każdy, kto zgodzi

się na pracę za taką zapłatę, zorientuje się, że Elan to nie zwykła plebejka, i z pewnością zechce go szantażować, wyczuwszy jego potrzebę zachowania tajemnicy. Potrzebował kogoś bez pieniędzy i niemającego skrupułów, kto jednak nie spróbuje od razu zadać mu ciosu w plecy albo przynajmniej poczeka trochę, zanim zdecyduje się zaatakować.

Pozornie wydawało się niemożliwe znalezienie kogoś takiego, lecz ku swej rozpaczy, Tinwright przypomniał sobie, co może zrobić.

Musiał przyznać w duchu, że w całym mieście jest jedna osoba, która spełnia te warunki. Jego matka.

Tylko zanim ją zatrudni, najpierw musi ją odnaleźć.

Pomimo wygody i pełnego przepychu widowiska syańskiego dworu czas płynął Briony niemilosierdzie powoli. Nie miała powodów, by narzekać na traktowanie – otrzymała lokum stosowne do swojej pozycji, komnaty we wschodnim skrzydle Latarnianego Pałacu, których okna wychodziły na rzekę. Oddano do jej dyspozycji pokojówki i damy dworu oraz liczne kosztowności i stroje, wszystkie wybrane, jak jej powiedziano, przez królewską faworytę lady Anankę. Briony, wychowana na opowieściach o zazdrosnych wiedźmach i złych wróżkach, sprawdziła dokładnie każdy klejnot, wypatrując zatrutej szpili, zanim go włożyła.

W bezpośrednich kontaktach dworzanie traktowali ją z szacunkiem, choć początkowo właściwie nie opuszczała swoich komnat. Dziwnie się czuła w tym świecie ani takim, ani siakim – nie występowała jako prawdziwa księżniczka, ale nie była też zwykłą aktorką pośród innych aktorów, choć momentami czuła, że znowu odgrywa jakąś rolę. Wymieniając uprzejmości z napuszonymi i wystrojonymi mieszkańcami lśniącego dworu Enandera, czuła, że w jakimś sensie zdradza swoją rodzinę i naród. Lecz tylko w ten sposób mogła zebrać choćby strzępy informacji, przebywając na obcym dworze bez zaufanych przyjaciół. Dowiedziała się, że czarodziejski lud kontynuuje oblężenie, lecz ponieważ w ostatnich miesiącach nie doszło do żadnych bezpośrednich ataków, Syańczycy coraz mniej mówili o Zamku Marchii Południowej. Tolly wciąż sprawował rządy jako nominalny obrońca Alessandrosa, najmłodszego potomka króla. Także sama Briony stanowiła dla wielu zagadkę – niektórzy w Marchii Południowej uważali, że została porwana, może nawet przez autarchę Xis. Jeszcze do niedawna panowało powszechne przekonanie, że została zabita, a jej ciało ukryto, lecz jej pojawienie się w Latarnianym Pałacu ostatecznie obaliło te plotki.

Cztery młode dziewczęta, które królewska kochanka przysłała, by jej usługiwały – czy raczej ją szpiegowały, w co Briony nie wątpiła – okazały się całkiem miłe, lecz trudno jej się z nimi rozmawiało, a o zaufaniu nie było mowy, nawet w przypadku najmłodszej z nich, małej Talii, która nie skończyła jeszcze dwunastu lat. Briony czuła się tak samotna po śmierci Shasa i ucieczce z Landers Port, że marzyła o tak prostych przyjemnościach, jak czesanie włosów ręką pokojówki szczebiocącej o tym i o tamtym, lecz teraz uznała, że albo tutejsze dziewczyny są o wiele głębsze niż jej ulubione pokojówki Rose i Moina, albo też straciła upodobanie do tego typu rozmów. Ani trochę nie interesowała jej gorączkowa paplanina dotycząca tego ambitnego dworzanina czy tamtego romansu, uszczypliwe uwagi o tym, kto się wynosi ponad stan, czy nieustanne spekulacje na temat księcia Eneasza, jego przygód i romansów. Oczywiście Briony była pod wrażeniem podczas pierwszego spotkania z księciem, lecz zależało jej tylko na uzyskaniu pomocy dla swojego narodu i królestwa. Niestety, nie wiedziała, w jaki sposób zbliżyć się do księcia, nie wspominając już o prośbie o pomoc. A jeśli chodzi o zwrócenie się do samego króla... no cóż, lady Ananka dała jej jasno do zrozumienia, że Enander to jej prywatne terytorium.

Uwięziona na samotnej wyspie swoich komnat, niczym rozbitek, Briony poczuła, że tęskni za czymś bardziej konkretnym niż dworskie plotki i za lepszym towarzystwem niż to, które oferowały jej damy szańskiego dworu.

Aż któregoś ranka Agnes, jedna z dam dworu, przybiegła do Briony wyraźnie ożywiona.

– Wasza Wysokość, nigdy nie zgadniesz, kto tu jest!

– Tu, to znaczy gdzie? – Briony się wyprostowała. Czyżby księżę zaszczycił ją swoją obecnością? Jeśli tak, to w jaki sposób ma sprowadzić rozmowę na Zamek Marchii Południowej i jego potrzeby?

– Na dworze – odparła dziewczyna. – Przyjechał wczoraj w nocy. Okutany w futro jak jakiś vuttski kupiec.

– Nie mam pojęcia, kto to może być. – Domyśliła się, że nie chodzi o księcia, ponieważ on przybył wcześniej. Z pewnością chodziło o innego szlachcica, jakiegoś bohatera dworskich plotek. Briony pomyślała, że nawet gdyby sam Perin zstąpił na ziemię, wywijając swoim świętym młotem, mieszkańcy tego kraju i tak rozprawialiby tylko o tym, jakie miał buty. I może jeszcze trochę mówiliby o tym, czy był ubrany odpowiednio do pory roku. Słodka Zorio, a brat i ja myśleliśmy, że szlachta w Marchii Południowej to skończona płycizna...

Agnes wręcz podskakiwała w miejscu.

– Och, Wasza Wysokość, powinnaś zgadnąć. Przecież to twój ziomek!

– Co? – Serce Briony zabiło szybciej, a ona najpierw pomyślała bez nadziei o Barricku, potem o Shasie, a nawet sięgnęła pamięcią do Ferrasa Vansena – wszyscy straceni, każdy w inny sposób, lecz bezpowrotnie. Poczula nagle falę bezbrzeżnego smutku i przestraszyła się, że wybuchnie płaczem. Dopiero po dłuższej chwili udało jej się uspokoić oddech. – Mów szybko. Kto to?

– Nazywa się Jenkin Crowel! – Dziewczyna przycisnęła dłonie do podołka, jakby nie potrafiła się opanować. – Znasz go?

W pierwszej chwili to imię nic nie powiedziało Briony – minęło wiele czasu, odkąd ostatni raz myślała o tamtych ludziach czy świecie, który wraz z nimi zamieszkiwała – lecz zaraz sobie przypomniała i natychmiast jej smutek zmąciła gorycz gniewu.

– Och, tak, znam. To brat Durstina Crowela, barona Greylock, choć domyślam się, że teraz Durstin jest kimś więcej, ponieważ należał do największych pochlebców Hendona Tolly’ego. – Na myśl o Crowelach miała ochotę coś kopnąć. – Skąd się tu wziął?

– Przybył na nasz dwór w charakterze posła twojego brata Alessandrosa.

Briony prychnęła.

– Alessandros nie ma nawet pół roku. Chciałaś powiedzieć posła tego uzurpatora o zakrwawionych rękach, Hendona Tolly’ego.

Młoda kobieta otworzyła szeroko oczy.

– Jak chcesz, Wasza Wysokość.

Briony ze wszystkich sił starała się opanować złość. Przecież ta dziewczyna nie była winna zdrady Tollych, nawet jeśli szpiegowała dla Ananki.

– Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś, Agnes.

– I co zamierzasz, Wasza Wysokość? Prosił o spotkanie z tobą.

– Tak? Naprawdę? Na bogów, ci ludzie nie mają... – Urwała. Uprzymiotniła sobie, że używając języka, który uchodzi wśród wędrownych aktorów, da powód do kolejnych plotek na swój temat. Kwaśna gorycz w jej żołądku przeszła niemal w strach, lecz zarazem poczuła, że przepełnia ją gorąca, silna złość. – Bardzo dobrze. Spotkam się z nim, oczywiście. Skoro jest człowiekiem Tollych, to mamy wiele do omówienia. Ale najpierw się przygotowuję.

Życie ją nauczyło, że nie można ufać panu Crowela. Skoro ma przyjąć jego posła, poprosi

króla Enandera o straże w pokoju i na zewnątrz.

Ktoś, kto ich nie znał, mógłby pomyśleć, że to Jenkin Crowel wyświadcza przysługę Briony i łaskawie udziela jej audiencji. Przyprowadził ze sobą dwóch strażników i chudego kapłana o kwaśnej minie, całego w czerni, jakby mieli zawierać jakąś umowę.

Crowel był pulchnym, lecz nie otyłym mężczyzną, o rumianej twarzy, z wydatnym nosem i dołkiem w podbródku. Miał na sobie strój, który – jak zapewne sądził – jest szczytem syańskiej mody: gdy wykonał skomplikowany ukłon, jego sztywne pantalone i marszczone obfite rękawy zaszeleściły i zachrzęściły.

– Wasza Wysokość, cóż za miła niespodzianka! Nie mogłem uwierzyć własnym uszom, gdy usłyszałem nowinę. Twoi poddani ucieszą się niezmiernie, gdy się dowiedzą, że nic ci nie jest. Skąd tutaj? Natychmiast wyślę do domu posłańca z wieścią o tym, że żyjesz, co, nie wątpię, uraduje pogrążonych w smutku mieszkańców twojego kraju!

Briony spojrzała na pokojówki. Wszystkie pilnie wyszywały. W porównaniu z tym idiotą dziecinne obsesje i drobne okrucieństwa syańskiego dworu nagle wydały jej się czymś o wiele łatwiejszym do strawienia.

– Bardzo tęsknię za domem, lordzie Crowel – odpowiedziała. – Powiedz, jak się ma mój malutki brat Alessandro? I macocha Anissa? No i oczywiście mój drogi kuzyn Hendon, który tak troskliwie opiekuje się nimi wszystkimi?

Crowel się zawahał.

– Czy zarządca... czy Hendon Tolly naprawdę jest twoim kuzynem? Ja, ach, nie sądziłem, że łączy was tak bliskie pokrewieństwo.

Briony machnęła ręką.

– Co tam, Tolly'owie zawsze byli mi bliżsi niż rodzina. Dlatego nazywam Hendona „kuzynem”. Wiesz, w noc, w którą opuściłam Zamek Marchii Południowej, odbyliśmy niezwykle pouczającą rozmowę. Hendon wyjawiał mi swoje plany dotyczące mnie, mojej rodziny i tronu. Byłam poruszona, gdy się dowiedziałam, jak dużo zrobił w naszym imieniu, och, bardzo byłam wzruszona. Powiem więcej: bardzo mnie zasmuciło, że dotąd nie okazałam mu wdzięczności. Ale wierz mi, dobrze się zastanowiłam, jak powinnam wynagrodzić lorda Tolly'ego i jego popleczników. Tak, dużo o tym myślałam i zaplanowałam kilka niespodzianek, których, jak sądzę, nie domyśla się nawet sam Hendon.

Crowel wpatrywał się w nią z lekko rozchylonymi ustami.

– Ach – mruknął wreszcie. – Tak, oczywiście, Wasza Wysokość.

– Tak więc, gdy będziesz pisał do drogiego Hendona, nie omieszkaj mu o tym wspomnieć. Jak się przekonasz, mam tu w Syanie wielu przyjaciół, potężnych, a wszyscy oni zgadzają się ze mną, że taki szlachetny i lojalny protektor powinien zostać odpowiednio nagrodzony.

Spośród setek ludzi przebywających na dworze Enandera tylko nieliczni zadali sobie trud, by porozmawiać z Briony czy też zadbać o to, żeby stała się dla nich kimś więcej niż tylko znajomą z widzenia. Jedną z nich była Ivgenia e'Doursos, młoda córka wicehrabiego Teryonu, niedużej prowincji w środkowej części Syanu, położonej na południe od stolicy. Briony wiedziała, że nie może ufać dziewczynie, gdyż to ona sama zbliżyła się do niej i należało przypuszczać, że działa na polecenie kochanki króla, mimo wszystko polubiła towarzystwo Ivgenii.

Poznały się podczas jednego z tych mało przyjemnych posiłków w głównej sali, pełnej stołów, służby i jazgotu biesiadników. Ivgenii wyznaczono miejsce naprzeciwko Briony, którą

posadzono obok starszego szlachcica; jej sąsiad, mocno podchmielony winem, wciąż próbował zajrzeć jej w dekolt. Trochę później spadł z siedziska i musiał się ratować przy pomocy służby. Gdy barona odprowadzano do łóżka, ciemnowłosa dziewczyna pochyliła się nad stołem w kierunku Briony i powiedziała z poważną miną:

– My, prowincjusze, musimy się jeszcze tyle nauczyć od tych wyrafinowanych tessian. – Briony zaśmiała się tak gwałtownie, że omal nie zakrtusiła się kawałkiem chleba, i tak zaczęła się ich bliższa znajomość.

Ivgenię posłano na dwór, by zdobyła wykształcenie, a ona szybko nauczyła się zwracać uwagę na to, co się dzieje dokoła: okazała się skarbnicą plotek i błyskotliwych spostrzeżeń, a swoją wrażliwością bardzo przypominała Briony Barricka. Ivgenia trzymała się z boku, nie z powodu urodzenia, które było właściwe, lecz ze względu na swoje poczucie humoru, której to cechy specjalnie nie ceniono u syańskich dziewcząt, a przynajmniej nie w przypadku tych młodych i na tyle ładnych, by jej nie potrzebowały. Poczucie humoru, jak głosiło powszechnie znane powiedzenie, było cechą mężczyzn albo brzydkich kobiet.

W pewnym sensie Syan był bardziej swobodny niż rodzinne strony księżniczki – kobiety odsłaniały więcej ciała, a mężczyźni pokazywali więcej odkrytych nóg niż dworzanie z Zamku Marchii Południowej – lecz pod innymi względami było to miejsce bardziej konserwatywne, być może z powodu silnego wpływu wiary trygonackiej. Słynna świątynia samego trygonarchy stała na skalistym wzgórzu w samym sercu Tesis, a jej wieże wznosiły się nawet nad iglice Latarnianego Pałacu, co obrazowało ogromny wpływ Kościoła we wszystkich dziedzinach życia. Wszyscy nosili Triskelion i niemal każdego dnia obchodzono jakieś święto. Tak jak po lewej ręce króla Enandera niezmiennie siadała lady Ananka, tak po jego prawicy zasiadał najpotężniejszy kapłan Trygonarchii hierarcha Phimon. Panowało powszechne przekonanie, że jeśli komuś udało się szepnąć słówko do ucha Trygonarchy szybciej od niego, to chyba samym Trzem Boskim Braciom.

– Jeśli chcesz tu coś załatwić – powiedziała któregoś dnia Ivgenia w komnatach Briony – to musisz mieć poparcie hierarchy. Wszyscy twierdzą, że trygonarcha postąpi tak, jak mu podpowie hierarcha. Może pomoże ci odzyskać królestwo! – Ivgenia, podobnie jak reszta dworzan, znała chociaż trochę historię Briony i wiedziała, że niecodziennie spotyka się księżniczkę zmuszoną do ucieczki z własnego kraju, nawet w mieście tak dużym i ważnym jak Tesis.

Briony poczuła dreszcz. Czyżby nią manipulowano? Czy Ivgenia zamierza przekazać Anance wszystko, co od niej usłyszała?

– Hierarcha Phimon z pewnością ma ważniejsze rzeczy na głowie – odpowiedziała ostrożnie. – Zaczekam, aż król Enander zdecyduje, jak postąpić w sprawie Marchii Południowej. Nie wątpię, że podejmie mądrą decyzję.

Ivgenia wzruszyła ramionami.

– No i dobrze, bo i tak nie jesteś w typie osób, które interesują hierarchę. Mówią, że Phimona interesują tylko chłopcy z ładnym głosem, bogate staruchy i trygonarchowie.

– Jak to, Ivvie, przecież jest tylko jeden trygonarcha! – zaprotestowała Briony i zaśmiała się głośno.

– Owszem, dlatego ta ostatnia kategoria jest bardzo wąska – odparła Ivgenia. – Młodym chłopcem też nie jesteś, chociaż słyszałam, że podszywałaś się pod kogoś takiego. A zatem musisz szybko zebrać dużą fortunę, babciu.

– Ach, ty! – Briony rzuciła w dziewczynę poduszką. Jeśli nawet Ivgenia miała złe zamiary, to z pewnością była bardzo zręczną zdrajczynią, dlatego Briony uznała, że przyjemne towarzystwo fałszywej przyjaciółki jest lepsze niż życie w odosobnieniu. Pomimo otaczającego

ją przepychu wciąż pamiętała, że znajduje się daleko od skradzionego jej królestwa, co ani trochę nie pomagało jej zasnąć.

– Już kilka razy dzisiaj słyszałam, jak ktoś mówi o Kallikanach – rzekła Briony. – Kto to jest?

Niektóre damy dworu wydały pomruki zgorzzenia, lecz Ivgenia odpowiedziała ze spokojem:

– Chcesz ich zobaczyć? Na pewno cię zainteresują.

Opuścili Kwietną Łąkę, największy rynek w Tesis, a Briony była oszołomiona. Już same rozmiary tego miejsca ją zdumiały – wydawało się, że jest tam więcej ludzi spacerujących między rzędami straganów i rozłożonych koców, niż żyje we wszystkich Królestwach Pogranicza, a cudowna różnorodność oferowanych dóbr sprawiła, że Briony poczuła się zupełną ignorantką, ponieważ wcześniej nie słyszała nazw połowy płodów wystawionych na sprzedaż i nie знаła nazw miejsc, z których pochodziły.

– Zainteresują...? – powtórzyła powoli, obserwując ciągniony przez wołu wóz pełen pomalowanych na złoty kolor kapliczek. Zbliżało się święto Wielkiego Zosima, kiedy to obchodzono koniec zimy. W jej rodzinnych stronach obwieszano pnączami i obsypywano suszonymi kwiatami posągi bogów, lecz w Syanie najwyraźniej obchody były o wiele bardziej uroczyste. – Boję się, że jeśli zobaczę jeszcze kilka ciekawostek, to moja głowa napęcznieje i pięknie jak bańka... ale pooglądajmy jeszcze. Strażnicy nam pozwolą?

Ivgenia spojrzała na czterech żołnierzy w niebieskich płaszczach i przewróciła oczami.

– Oni mają cię szpiegować, a nie mówić nam, dokąd możemy iść – rzuciła. – Pójdą tam, dokąd ich poprowadzimy.

Briony nachyliła się do przyjaciółki.

– Myślisz, że to prawda? – zapytała ściszym głosem.

– Co? Że pójdą za nami czy że nas szpiegują? – Ivgenia się skrzywiła. – Może nie wszyscy nas szpiegują, ale na pewno co najmniej jeden z nich pójdzie do królewskiej faworyty i opowie, co robiłaś. Zadbajmy o to, żeby miał o czym mówić.

Z suknią podniesioną wysoko, żeby nie ciągnęła się po błotnistej drodze, czarnowłosa dziewczyna wyprowadziła z rynku Briony, jej damy dworu i żołnierzy, lecz zamiast udać się z powrotem do domu, przecięła szeroką aleję Latarnianą w pobliżu placu Fontanny Devony i skręciła w uliczkę, wąską i niepozorną, która, sądząc po linii dachów, pięła się wyżej niż inne. Dopiero gdy przebili się przez płynący tłum, Briony się zorientowała, że to nie ulica, lecz most prowadzący na drugą stronę rzeki.

– To tutaj – powiedziała Ivgenia. – Po drugiej stronie rzeki Ester. Nazywają to miejsce „Podmościem”.

– Kto je tak nazywa?

– Zobaczysz. Chodź! – Ivgenia znowu zanurzyła się w strumieniu ludzi płynącym przez most, a za nią podążyła Briony, zachowujący stoicki spokój żołnierze i niespokojne damy dworu. Wciąż panował chłód miesiąca Dimene, bo przecież niecałe dwa miesiące wcześniej zaczął się nowy rok, dlatego Briony się zastanawiała, skąd tam tylu ludzi. Próbowwała sobie wyobrazić, jak to miejsce wygląda w miesiącu Hexamene, gdy rozgrzany słońcem targ wypełnia się świeżymi owocami, warzywami i kwiatami.

Widok tego niezwykłego, pobudzającego wyobraźnię miejsca sprawił, że zatęskniła za domem – za własnym skromnym Rynkiem, który wydawał się zaledwie aleją w porównaniu z

głównymi drogami Tesis, nie wspominając już o alei Latarnianej, która szerokością przypominała pochyły dziedziniec; ulicą tą biegly pośrodku szerokie kamienne chodniki, na których ludzie mogli się schronić przed licznymi wozami. Na tych podniesionych chodnikach tu i tam wzniesiono nawet małe domki! Briony patrzyła zdumiona: droga tak szeroka, że na jej środku można było postawić niewielki budynek!

Wspaniałe, tylko że to nie był jej dom. Co więcej, nikt jej tam specjalnie nie potrzebował, wręcz jej nie chciano.

Gdy znaleźli się po drugiej stronie mostu, Ivgenia nakazała żołnierzom, żeby się zatrzymali. Obiecała, że Briony i ona pozostaną w zasięgu ich wzroku, i dalej poszły same, pozostawiwszy za sobą damy dworu, co te przyjęły z zadowoleniem, gdyż jak się wydawało – uważały towarzystwo Kallikan, kimkolwiek byli, za nieciekawe. Ivgenia poprowadziła Briony między domami i sklepami tak małymi, że początkowo księżniczka uznała, iż są to domki postawione tam dla uciechy królewskich dzieci – taka ulica dla lalek zamiast domku dla lalek. Drzwi rzadko sięgały jej barków.

Patrząc w dół miniaturowej ulicy, Briony żałowała, że nie ma stołka, z którego mogłaby zajrzeć w okna wyższych pięter. W którymś momencie z jednego z domów przed nimi wyszła kobieta, by wylać pomyje; nie była nawet w połowie tak wysoka jak Briony, a towarzyszyła jej dwójka malutkich dzieci. Te od razu zauważyły księżniczkę i Ivgenię i zaczęły im się przyglądać, nie ukrywając zainteresowania, lecz ich matka zdążyła wytrząsnąć resztki z garnka, zanim się zorientowała, że ktoś ją obserwuje. Otworzyła szeroko oczy, nieruchoma jak zaskoczona mysz, po czym chwyciwszy dzieci, popchnęła je przed sobą z powrotem do domu i szybko zamknęła drzwi.

– Gdybyśmy byli mężczyznami albo przyszły tu w eskorcie żołnierzy, uderzono by w dzwon. – Ivgenia pokazała na świątynną wieżę zaledwie w połowie tak wysoką, jak zwykle się buduje, tak jak wszystko w tej dzielnicy.

– Wtedy pewnie ktoś by wyszedł. Wszystkie ulice tutaj są zamieszkane przez takich właśnie jak tamta kobieta. Jest ich tu mnóstwo.

– Funderlingowie?

– Kallikanie, głuptasie! Przecież chciałaś ich zobaczyć.

– W naszym królestwie nazywamy ich Funderlingami. Nie wiedziałam, że ich tu macie. – Briony pokręciła głową, miała wrażenie, że śni. – Czy to nie dziwne? Nawet nazywają się inaczej! Nasi mieszkają w dużym mieście pod Zamkiem Marchii Południowej. Wykuli je w surowej skale i mają słynne sklepienie, które wygląda jak prawdziwe liście, ptaki i...

– U nas na polecenie króla zbudowali nasz zamek, tu, na górze, gdzie wszyscy mogli ich oglądać – powiedziała Ivgenia. – Wiesz, potrafią być niegodziwi. I kradną.

Briony nie słyszała wcześniej podobnych opinii o Funderlingach, jeśli kogoś krytykowano, to raczej Muskających Wodę, rasę o dziwnym języku i wyglądzie.

– A Muskający Wodę też u was mieszkają? – zapytała.

Lecz Ivgenia poszła już dalej wąską i krętą uliczką dzielnicy Kallikan, kiwając na Briony, żeby udała się za nią. Teraz zaniepokojeni strażnicy pospieszyli za nimi, a Briony usłyszała trzask zamykanych okien i grzechot okiennic, za którymi mali ludzie chowali swoje tajemnice przed dużymi.

Gdy wróciły do pałacu, było już po kolacji i Ivgenia udała się na poszukiwanie czegoś do jedzenia, lecz Briony była zbyt zmęczona. Ponieważ także doskwierał jej głód, posłała do kuchni

Talię, najmłodszą pokojówkę, by poprosiła o miskę zupy i trochę chleba, podczas gdy pozostałe damy pomogły jej się uwolnić z ciasnej kurtki, którą włożyła, udając się na rynek, i zdjęć buty i pończochy. Gdy usłyszała trzask ognia w kominku, zapagnęła usiąść przy nim i ogrzać zziębnięte stopy.

Usadowiła się wygodnie i może nawet zdrzemnęła na chwilę, bo niespodziewanie usłyszała straszny hałas za drzwiami. Jedna z pokojówek wyrzała na korytarz i krzyknęła przerażona.

Briony odsunęła przestraszoną dziewczynę i zobaczyła Talię, która leżała twarzą do podłogi w kałuży zupy i okruchów porcelany. Gdy odwróciła dziewczynę na plecy, ujrzała siną twarz z wybałuszonymi oczami. Briony zerwała się na nogi, powstrzymując mdłości. Nie miała wątpliwości, że młoda pokojówka nie żyje.

– Trucizna! – Nogi pod nią tak bardzo się trzęsły, że musiała oprzeć się o ścianę. W drzwiach zebrały się pozostałe pokojówki i damy dworu, które patrzyły oniemiałe. – Biedactwo, pewnie spróbowała zupy, którą niosła. Mówiła, że jest głodna. Och, litościwa Zorio, ta zupa była przeznaczona dla mnie.

Polamane zęby

Księga skruchy to kronika czarodziejskiego ludu, która rzekomo zawiera zarówno historię, jak i wydarzenia przyszłości. Według Rhantysa każda jej strona jest z kutego złota, a obwoluta z czystego diamentu. Niektóre dawne przekazy mówią, że przyczyną teomachii albo walki bogów była raczej kradzież tej księgi niż porwanie Zorii.

– z *Traktatu o czarodziejskich narodach obojga kontynentów Eionu i Xandu*

Barrick często krytykował Briony za niechlujstwo. W ciepłe noce pozwalala psom spać w swoim łóżku, buty zostawiała tam, gdzie je zdjęła, i lubiła przytulać najbardziej ubłocone i obrzydliwe stworzenia, gdy były jeszcze małe – szczeniaki, źrebaki, kocięta, jagnięta albo kurczęta. I choć w przeszłości doprowadzała swojego porządnickiego brata do białej gorączki, teraz Barrick pragnął znów z nią porozmawiać i przeprosić za to, że nazywał ją najbardziej nieporządną istotą na świecie, ponieważ... zmienił zdanie. Żadna istota, nawet ślepy robal żyjący w wygodce samego Kerniosa, nie był bardziej odrażający niż kruk Skurn ze swoimi brudnymi skrzydłami, zajadający się żabią ikrą czy rozkładającą się myszą i wiecznie cuchnący krwią, zgnilizną i odchodami. Wielkie ciemne ptaszysko nieustannie jadło, a jego głowa podnosiła się i opadała nad jakimś obrzydlistwem z denerwującą regularnością młyńskiego koła poruszanego prądem bystrego strumienia. A Skurn pożerał wszystko – robaki schwyte w locie, odchody innych ptaków, ślimaki, te nagie i te w skorupach, wszystko, co było zbyt powolne, by uciec przed jego mocnym czarnym dziobem. Do tego był strasznie niechlujny: na jego piersi zawsze pozostawały zasychające resztki tego, co akurat jadł, często jeszcze nie całkiem martwe. A inne jego nawyki były jeszcze bardziej obrzydliwe. Nawet w najlepszych momentach miał zwyczaj załatwiać się byle gdzie, a gdy coś go przestraszyło, wyzbywał się resztek przyzwoitości, dlatego zdarzało się, że jego odchody spadały na ramię albo na głowę Barricka.

– Ale nie sramy na ciebie celowo – tłumaczył się Skurn po jednym z takich incydentów, gdy przestraszył się spadającej gałęzi. – I musisz przyznać, że jak na razie udało nam się zachować cię przed jedwabiami.

To była prawda. Od swojego powrotu Skurn prowadził Barricka przez Jedwabny Las tak, że nie natknęli się na istoty, od których wziął on swoją nazwę. Kilka snów wcześniej para jedwabiniów podążała za nimi przez jakiś czas, lecz nie odważyły się opuścić poniżej ostatnich gałęzi. Być może dowiedziały się, jak się rozprawiłem z ich kolegami, pomyślał Barrick z pewną dumą. Choć musiał przyznać, że było bardziej prawdopodobne, iż po prostu czekały na przybycie posiłków.

Nie dostrzegł żadnego jedwabina od poprzedniego dnia i nawet udało mu się przespać kilka godzin z krukiem na straży – tak przynajmniej twierdził Skurn, że pilnował, lecz oprócz tego, że dbał przede wszystkim o swoje interesy, to jeszcze był stary. Raz Barrick zobaczył, jak ptak zasnął w locie i straciwszy kontrolę, wyrznął w pień drzewa, po czym osunął się na ziemię niczym kupka czarnych liści. Barrick pospieszył mu wtedy na ratunek, przekonany, że ptak złamał sobie kark.

Czy nie jest herezją modlić się do bogów, których istnienie podaje się w wątpliwość, podobnie jak dobroć, błagając ich o bezpieczeństwo dla ptaszyska, którego się nawet nie lubi? – pomyślał Barrick.

– Wydaje mi się, że nie wiesz, którędy iść – zawołał do kruka. – Chodzimy w kółko!

– Żadne kółko – zaprotestował Skurn. – Tu wszystko wygląda tak samo, a my idziemy przed siebie.

– Nie wierzę ci.

Otoczony gęstym lasem i zanurzony we mgle i wiecznym zmierzchu, Barrick ani przez chwilę nie potrafił się zorientować, gdzie jest ani jak wygląda ta część krainy cienia, lecz wędrowali już tak długo przez niekończący się i wiecznie taki sam las, że zapragnął zobaczyć coś, co by mu odpowiedziało, gdzie się znajduje. Dlatego wbrew protestom Skurna zaczął się wspinać na wzgórze, licząc na to, że znajdzie przerwę między drzewami, która pozwoli mu spojrzeć dalej.

– Trzymaj się z dala od miejsc wysokich i niskich – rzekł Skurn, trzepocąc nerwowo skrzydłami, by uniknąć zwieszających się nisko gałęzi. – To brzmi sensownie. Wszyscy o tym wiedzą.

– Ja nie wiem. – Barrick nie miał ochoty na rozmowę, bolało go ramię i chciał oszczędzić oddech na wspinaczkę.

Pomstując cicho, kruk poleciał kawałek w górę zbocza, lecz niebawem wrócił.

– Wydaje nam się, że znamy to miejsce. Kaśliwe Duszki tu są. Gniazdują tu wszędzie.

– Kaśliwe Duszki? Gniazdują? – Barrick pokręcił głową. – Są bardziej niebezpieczne niż jedwabiny?

Kruk wcisnął głowę między pierzaste barki, co stanowiło kruczy odpowiednik wzruszenia ramion.

– Nie sędzę. Są może bardziej siorbliwe, jak już się udaje oddzielić od broni...

– No to niech sobie będą.

– Nie gorsze niż jedwabiny – mruknął kruk. – Ale nie powiedziałem też, że są miłe.

Jakaś godzinę później, a przynajmniej tak się wydawało, Barrick wciąż mozolnie się wspinał; nie zwracając uwagi na pulsujące bólem ramię, pokonywał pnie zwałonych drzew i przedzierał się przez gąszcz zarośli składających się głównie z pnączy, których łodygi pokrywały małe kolce, a na końcach tych większych wyrastały aksamitno-czarne kwiaty wielkie jak kapusta. Pnącza ciągnęły się na całych połaciach terenu, a ich łodygi były niekiedy tak grube, że trzeba by kosić, żeby je przeciąć, a i tak nie byłoby to łatwe. Wszędzie, gdzie napotykał pnącza z czarnymi kwiatami, a porastały zbocza wszystkich okolicznych wzgórz, Barrick mógł tylko skręcić i je obejść. Jedynym atutem wiecznego zmierzchu było to, że tak jak nigdy nie robiło się zupełnie jasno, podobnie nigdy nie zapadała całkowita ciemność, dzięki czemu księżę nie musiał się obawiać, że noc zastanie go na odsłoniętym zboczu.

Tylko skąd ten wieczny zmierzch? Barrick rozumiał, że mgła i chmury mogły spowić ziemię, zakrywając słońce, ale w jaki sposób po zachodzie słońca utrzymywało się słabe światło w tym świecie? Czy zachowując tę krainę cienia w stanie zmierzchu, nasiąkały promieniami słońca, jak mokra szmata wrzucona do kałuży nasiąka wodą, i potem w niebo sączyło się światło, gdy już zabrakło jego źródła?

Jakie to ma znaczenie? Wszystko to pewnie sprawka czarów magicznego ludu. Snując te rozważania, Barrick pomyślał o bogach, którzy – z tego, co słyszał – niewiele się różnią od ludzi, przynajmniej stylem życia. Może Perin, Kernios i inni nie stali się panami rodzaju ludzkiego dlatego, że są bogami – może są bogami, bo byli na tyle potężni, by uczynić z siebie panów ludzkości...

Skurn sfrunął nieoczekiwanie z góry i usiadł na ramieniu Barricka, który, zaskoczony, drgnął i zaklął głośno.

– Cicho teraz – syknął ptak do ucha księcia. – Cosik się rusza między drzewami przed nami.

Serce Barricka zabiło szybciej. Wyciągnął zza pasa grot włóczni i ruszył do przodu, odgarniając gałęzie. Ujrzał niedużą polankę, trochę mniej zarośniętą plamę na zboczu wzgórza. Rzeczywiście dostrzegł ruch między gałęziami i szelest liści, lecz uwijające się tam postacie były mniejsze niż mały palec księcia.

– To... ludziki! – rzekł zdumiony. – Jak w baśni!

Ledwie to powiedział, rozległ się przenikliwy dźwięk rogu i z listowia wokół posypał się grad malutkich ostrych szpilek. Dwie lub trzy wbiły się w grzbiet dłoni Barricka, który krzyknął z bólu i potrząsnął ręką, próbując pozbyć się miniaturowych strzał, lecz już nadleciały kolejne, kłusząc go w twarz i głowę niczym rój gzów.

– Przestańcie! – zawołał i odwrócił się, lecz zewsząd nadlatywały kłuszące strzałki. Zasłonił twarz dłonią i pobiegł przed siebie, aż dotarł do pierwszej gałęzi, którą miał przed sobą. Zanim ludziki zdążyły się rozpierzchnąć, udało mu się zobaczyć chitynowe zbroje podobne do skorup żuków. Chwycił za gałąź i potrząsnął nią, przyglądając się, jak spadają z niej malutkie postacie. Złapał w rękę kilka, chyba sześć, więcej nie dał rady, i zasłonił twarz tą żywą, wijącą się tarczą. Spomiędzy gałęzi popłynęły przeraźliwe piski i zaraz strzały przestały lecieć.

– Tak! Powiedz im, Skurn, żeby przestali do nas strzelać! – zawołał. – Powiedz im, że nie mamy złych zamiarów!

– Mówiliśmy, żeby trzymać się z dala od wysokich miejsc – rzucił kruk ponurym tonem, lecz chwilę później Barrick usłyszał, jak ptak mówi coś głośno, a przypominało to serię trel przeplatana cmoknięciami. Po chwili ciszy Skurn ponownie przemówił, a Barrick domyślił się, że głos rozmawiającego z ptakiem ludzika jest zbyt cichy, by mógł go usłyszeć. Jeszcze przez jakiś czas słychać było kruka odzywającego się po chwilach pozornej ciszy.

– Myślmy, że Kaśliwe Duszki pozwolą nam przejść bezpiecznie, jeśli puścisz tych, których trzymasz w garści. Powiedzieliśmy im, że zatrzymasz najwyżej dwóch albo trzech do zjedzenia.

– Trzech do zjedzenia? Czego trzech...? – Dopiero teraz Barrick zrozumiał. – Niech cię przeklną bogowie, parszywe ptaszysko! Nie zjemy ich!

– Ty nie – odparł Skurn wyraźnie urażony. – Wiedziałem, że nie będziesz chciał. Myślałem bardziej o sobie...

– Posłuchaj samego siebie, jaki jesteś plugawy! Przecież oni są ludźmi... w pewnym sensie. W każdym razie bardziej, niż można by to powiedzieć o tobie. – Barrick spojrział w dół. Jeden z malutkich ludzików w zbroi z kory wisiał uczepiony jego rękawa, przebierając wściekle nogami. Człowieczek zgubił hełm z ptasiej czaszki i widać było jego wytrzeszczone z przerażenia oczy. – Na miłość Trzech Braci, oni nawet noszą zbroję! – Wciąż osłaniając twarz, księżę przysunął ramię do ciała, tak by mały osobnik mógł się przedostać na jego postrzępioną kurtkę.

– Łatwo się zdejmuję, a pod spodem są całkiem apetyczni. Szczególnie ci młodzi...

– Och, zamilcz. Ależ z ciebie odrażające ptaszysko. Nie wspomnę już o tym, że sam gadasz, siedząc w górze, za to ja zaraz dostanę strzałę w oko, jeśli coś pójdzie nie tak. Powiedz im, że ich postawię na ziemi, jeśli tego chcą, tylko żeby przestali mnie atakować. Powiedz, że ich puszcze, wszystkich. Powiedz im to, Skurn, albo na bogów, wyrwę ci wszystkie pióra z ogona.

Podczas gdy kruk przekazywał jego słowa Kaśliwym Duszkom, Barrick powoli odsłonił twarz, przykucnął i opuścił dłonie. Ludziki, które ze strachu albo z rozsądku przestały się miotać, zeszyły ostrożnie na ziemię. Księżę miał nadzieję, że nie zabił żadnego, nie dlatego, że byłoby mu

wstyd – w końcu strzelali do niego z łuków – ale dlatego, że wtedy sprawy by się skomplikowały. Jedną z lekcji jego ojca brzmiała: „Nie wgniataj twarzy wroga w ziemię, gdy już go powaliłeś” – mawiał często Olin. – „Nie wtedy, gdy wiesz, że pozwolił ci wstać. Zniewagi goją się o wiele dłużej niż rany”. Wcześniej Barrick nie bardzo rozumiał, o co w tym chodzi, ponieważ miał wrażenie, że to on zwykle leży z nosem przy ziemi, lecz teraz dotarło do niego znaczenie słów ojca. Życie przypominało chyba trochę wędrówkę przez ten straszny las: im mniej zostawiasz za sobą istot, które cię nienawidzą, tym mniej energii musisz zużyć na obronę swoich tyłów, a bardziej możesz się skupić na tym, co przed tobą.

Gdy więźniowie stanęli bezpiecznie na ziemi, pozostałe Kąśliwe Duszki zeszły z drzew i wynurzyły się spod krzaków – była ich co najmniej setka. Patrząc na nich, Barrick uznał, że nie tylko rozmiarami różnią się od prawdziwych ludzi, także rysy mieli trochę inne: długie spiczaste nosy i podbródki, a kończyny niektórych były cienkie jak odnóża pająka. Poza tym wyglądali jak wielokrotnie pomniejszeni ludzie. Nosili zbroje idealnie wykonane z kory, łupin orzechów i owadzych pancerzy, a ich włócznie zdawały się wystrugane z kości. Wyraz ich twarzy przypominał minę wojowników, którzy znaleźli się w sytuacji niepewnego zawieszenia broni: kiedy Barrick się do nich zbliżył, przyglądali mu się nieufnie, gotowi zapewne czmychnąć w zarośla na pierwszy podejrzany ruch z jego strony.

Kiedy księżę znieruchomiał, jeden z Kąśliwych Duszków wystąpił z tłumu i przemówił głosem podobnym do pisku pisklęcia. Pomimo słabego głosu minę miał wojowniczą i spoglądał groźnie znad tarczy zrobionej z migocącej zielononiebieskiej skorupy chrząszcza; na głowie miał hełm z czaszki zębiastej ryby, a jego niedużą brodę zdobiły wplecione wstążki.

– Mówi, że respektuje zawarty pokój – relacjonował Skurn – lecz jeśli przyszedłeś tu ukraść święte złoto z uli jego ludu, to on i jego podwładni będą walczyć do śmierci. Bo przysięgali swoim przodkom, że będą bronić uli i miodnych koni.

– Uli? – powtórzył zdziwiony Barrick. – Miodnych koni? Czy on ma na myśli pszczoły? – Niemal poczuł smak miodu: od miesięcy nie miał w ustach niczego słodsze od kwaśnych jagód, szybko przełknął ślinę. – Powiedz im, że nie mam złych intencji – zwrócił się do kruka. – Próbuję tylko dostać się do Qul-na-Qar.

Po krótkiej i piskliwej wymianie zdań Skurn odwrócił się do Barricka.

– Mówi, że jeśli nie zamierzasz ukraść ich skarbu, to się wycofają, żeby mieć oko na innych, którzy mogliby próbować. – Skurn skubnął pióro na piersi, przeganiając pchłę. – Oni nigdy nie przebywają długo na otwartym terenie. Już się niepokoją, że na tak długo wyszli z cienia. – Kruk przechylił głowę, słuchając małego wodza. – Ponieważ jesteś człowiekiem honoru, nie chcą, żebyś zginął straszną śmiercią, i ostrzegają: nie zbliżaj się do Przekłętego Wzgórza.

– Przekłętego Wzgórza? Co to jest?

– Słyszeliśmy o nim – odparł ptak z powagą. – Nic dobrego. Powinniśmy iść dalej.

Lecz wódz ludzików najwyraźniej miał im coś jeszcze do przekazania. Odzywał się kilkakrotnie piskliwym głosem, pokazując żywo na Skurna.

– O co mu chodzi?

– Nic takiego – rzucił kruk zdawkowo. – Takie tam pożegnalne androny. Bywajcie i żegnajcie, coś w tym rodzaju.

Wódz mówił coraz wyższym głosem i można było odnieść wrażenie, że jego lud żegna się w bardzo natarczywy sposób.

– Dobrze, w takim razie podziękuj im w moim imieniu i... – Barrick zmrużył oczy. – Skurn, a co tam masz pod łapą?

– Co? – Ptak spojrział w górę zamiast w dół. – Nic. Nic takiego, panie.

Nawet gdyby Barrick nie zauważył ludzika szarpiącego się niemrawo, zorientowałby się, że coś jest nie tak, gdy ptak zwrócił się do niego w ten sposób.

– To jeden z nich, prawda? Jeden z rannych. Niech cię przeklną bogowie, puść tego biedaka, bo naprawdę wyskubię ci wszystkie pióra i jeszcze każe wyrwać dziób!

Kruk posłał mu pełne wyrzutu spojrzenie i podniósł czarną pokrytą łuskami łapę. Kilka Kąśliwych Duszków natychmiast przyskoczyło do rannego i zaniósło go do swoich. A potem cała grupa znikła w zaroślach.

– Jesteś obrzydliwy.

– I tak był mocno pokiereszowany – bronił się Skurn. – Niewiele mu pomogą... a widziałeś, jaki był tłusciutki?

Cofam moją wcześniejszą modlitwę, zwrócił się w myślach Barrick do bogów. Nie miałem prawa prosić was o pomoc dla takiego skrzydlatego łajdaka.

Trudno było do końca zrozumieć słowa przestraszonych chochlików przetłumaczone przez naburmuszonego kruka, lecz o ile Barrick zdołał się zorientować, znajdowali się na jednym ze wzgórz pasma, które ciągnęło się przez las, i powinni zejść w dół, by uniknąć miejsca zwanego Przeklętym Wzgórzem. Nie wiedział, dlaczego tak je nazwano. Skurn Mruczał coś nadąsany i Barrick zrozumiał tylko, że „ci, którzy tam się zapuszczają, wracają ogarnięci obłędem albo odmienieni”.

Ze słów malutkich ludzi wynikało, że jeśli tylko miną tamto cieszące się złą sławą miejsce, znajdą się o jakiś dzień drogi od bezpieczniejszych terenów i opuszczą terytorium jedwabników.

Barrickowi nie uśmiechała się perspektywa naszpikowania twarzy setką strzał, z drugiej strony z zalem rozstał się z Kąśliwymi Duszkami. W dzieciństwie słyszał wiele opowieści o małych ludzikach, ale nigdy nie przypuszczał, że kiedyś ich spotka, bo przecież nie biegali tak po prostu po korytarzach zamku. I oto były tutaj, a on je widział. Kolejny dowód na to, że jego życie okazało się dziwniejsze, niż się spodziewał.

Oczywiście ostatnio najczęściej bywało gorzej, niż przypuszczałem, pomyślał.

Wspięli się na szczyt wzgórza i wreszcie znaleźli skalny występ, który wystawał trochę ponad wierzchołki drzew, dzięki czemu Barrick mógł się rozejrzeć po okolicy. Stając ostrożnie na skale, pomyślał, że jego przeświadczenie o upływającym czasie, choć może w ogólnym sensie prawdziwe, jest iluzją: słońce nie zajdzie niebawem, bez względu na to, jak ciemne jest niebo. Prawdą było, że niedługo będzie musiał się zatrzymać i przespać, ale nie nastąpi to w ciemności. Po kilku godzinach wstanie. On wstanie, ale nie słońce. W tym miejscu nic się nie zmieniało.

Może w Marchii Południowej i w innych Królestwach Pogranicza jest już tak samo, pomyślał. Może Qarowie nakryli kocem cienia całą ludzką ziemię. Może Briony i inni w Zamku Marchii Południowej też widzą tylko tyle. Była to straszna i bardzo zniechęcająca myśl.

Spojrzał nad pofalowanym morzem spowitych mgłą wierzchołków drzew. Mali ludzie mieli rację: znajdował się na jednym ze szczytów długiego pasma, które ciągnęło się przez las niczym wysoka grobla. Na horyzoncie przed nim, w miejscu gdzie mgła była najgęstsza, ponad inne wzgórza i wierzchołki drzew wybijał się pojedynczy szczyt, samotna zielona gruda otoczona pióropuszcami mgły, na której krawędzi dokoła wznosiły się nierówne skały podobne do połamanych zębów. Może przez to, że wzniesienie wystawało ponad morze mgły, a samo też było owinięte jej płaszczem, wydawało się bardzo stare i tajemnicze, niczym starzec okutany w łachmany tak szczelnie, że nie sposób go odróżnić od otoczenia, dopóki się nie poruszy.

Barrick zrozumiał, że musi posłuchać rady Kąśliwych Duszków: nie miał najmniejszej

ochoty zbliżyć się do miejsca zwanego Przeklętym Wzgórzem.

Księżę był wyczerpany, ale rozbudzony; patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem, pragnąc zasnąć. Stary kruk spał przytulony do jego boku, poświstując przez sen. Liście nad głową księcia podskakiwały uderzane kroplami deszczu, a za nimi rozciągał się szary koc zmierzchu.

Kiedy ostatni raz widziałem słońce? – zastanawiał się. Albo księżyc? Na Trzech, jak te istoty z kraju cienia mogą tak żyć? Nawet gwiazd nie widzą!

Według legendy Ludzie Zmierzchu stworzyli całun cienia przed dwoma wiekami i rozciągnęli go nad sobą niczym koc, gdy nie powiódł się ich drugi atak na świat ludzi – ale dlaczego? Czy aż tak bardzo obawiali się zemsty ludzi, że wybrali życie bez słońca pod wiecznie takim samym niebem, pozbawieni nawet dni i nocy? Widział Qarów na polu bitwy; choć nie tak liczni jak ludzie Barricka, pokonali ludzką armię. Z pewnością nie można było nazwać ich tchórzami. Czyżby przed dwoma wiekami było ich znacznie mniej, czy też nie potrafili wtedy tak dobrze walczyć...?

Jego myśli przerwał ruch wysoko w gałęziach. Barrick leżał nieruchomo z mocno zmrużonymi oczami, jakby spał. Jest! W koronie drzewa przesuwano się coś podobnego do ogromnego białego pająka – jedwabiny.

Do pierwszej istoty dołączyła druga biała postać i obie znieruchomiały przyczajone, patrząc w dół. Barrick nie był w stanie dłużej leżeć bez ruchu. Ziewnął i udał, że się przeciąga, jakby właśnie się obudził. Jedwabiny trwały przez chwilę nieruchomo, a potem wycofały się szybko w wyższe partie korony drzewa, lecz serce księcia długo jeszcze biło mocno i szybko.

A więc wciąż tam były. Na co czekały te paskudztwa? Skoro szły za nim, z pewnością szukały okazji, by go zaatakować. Z drugiej strony spał już kilkakrotnie i nic się nie wydarzyło. Na co czekały?

Pewnie na posiłki.

Krople drobnej mżawki bębniły o liście nad jego głową i czasem spadały, łaskocząc go po twarzy, lecz jemu było to obojętne, bo wiedział, że i tak nie zaśnie.

Przez jakiś czas Barrick i Skurn trzymali się pasma skalistych wzgórz, lecz teraz kolejne wzniesienia coraz bardziej się obniżały i teren się wyrównywał. Przekłete Wzgórze widniało przed nimi, zasłaniając niebo, niczym kopuła ogromnej świątyni, milczące i tajemnicze. Barrick nie miał ochoty schodzić w ciemne doliny, gdzie drzewa zasłaniały słabe światło, jakie rozjaśniało tamtejszy świat, lecz jeśli w ten sposób mogli ominąć miejsce o tak złej sławie, gotów był to zrobić.

Nawet Skurn jakby stracił animusz.

– Pachnie coraz gorzej, ta góra, w miarę jak się zbliżamy – próbował tłumaczyć swój nastrój. – Cuchnie dawnymi czasami i martwymi bogami, gorzej niż Wielkie Głębie. Nawet jedwabiny się tam nie zapuszczają.

Gorzej niż Wielkie Głębie... Barrick zadrżał i spojrzał w bok. Wiedział, że nigdy nie zapomni okropieństw związanych z tunelami i jednookim Jikuyinem, strasznym królem głębokich miejsc.

Ruszyli więc w dół zbocza, przemoczeni, posuwając się zalesionymi wąwozami

wrzynającymi się w podnóże wysokiego wzniesienia, którego szczyt majaczył nad nimi niczym pogrążony w zadumie olbrzym. W ciemnych dolinach Barrick czuł się o wiele bardziej bezbrony niż na wzgórzach. Nawet Skurn, który zwykle zapuszczał się daleko do przodu, znikając na długo, nieraz na godzinę, jak się wydawało, teraz trzymał się blisko księcia i podfruwiał tylko kawałek, po czym czekał na gałęzi. I to on pierwszy zauważył, że nie są sami.

– Trzy te jedwabiny! – szepnął do ucha Barricka. – Za tamtymi drzewami – dodał, pokazując dziobem. – Nie patrz!

– A to sobie znaleźli przyjaciół – rzucił książę, zbierając się na odwagę. Wcześniej zaatakowało go chyba sześciu i sobie poradził, więc trzech to nic dla Barricka Eddona, pogromcy jedwabiniów! Tylko że jeśli jest trzech, może przyjść ich więcej...

Kiedy wreszcie wyjdziemy z tego przekłętogo lasu? Mam go już dość. Zaraz jednak przypomniał sobie morze wierchołków drzew za Przekętym Wzgórzem – wiedział, że nieprędko staną pod gołym niebem.

Skurn pofrunął do przodu, by znaleźć w miarę bezpieczne miejsce na nocleg. Barrick odczuwał coraz większy głód. W ostatnich dniach zjadł tylko trochę jagód i kilka ptasich jaj, które wypił surowe. Mięso i ogień wydawały mu się już tylko mglistym wspomnieniem.

Wszyscy książęta powinni spędzić rok zagubieni za Granicą Cienia, pomyślał. Wtedy nauczyliby się doceniać to, co mają. O tak, bardzo by to docenili!

Kątem oka dostrzegł ruch między drzewami. Gdy podniósł głowę, zobaczył, że coś białego znika za pnem, i zaraz zauważył inną bladą plamę poruszającą się dalej w głębi lasu. Podchodzą coraz bliżej. Może myślą, że jestem ranny i dlatego się zatrzymaliśmy. Podniósł kamień i z obojętną miną zaczął ostrzyć grot złamanej włóczni, tak by go widzieli obserwatorzy. Złamane drzewce owinał kawałkiem materiału, dzięki czemu broń lepiej leżała w ręku, lecz wciąż marzył o mieczu albo chociaż o nożu.

Spomiędzy koron drzew wynurzył się Skurn i bijąc mocno skrzydłami, przysiadł na ziemi obok Barricka.

– Czterech – wysapał. – Uch, biedne, umęczone skrzydła. Lecieliśmy szybko, żeby ci powiedzieć. Czterech i mają sieć.

– Widziałem ich – odpowiedział cicho Barrick, pokazując kciukiem. – Tam.

– Tam? Nie, moje są tutaj, przed nami. Skoro widziałeś ich tam, to muszą być inni.

Barrick wykonał znak Trzech i zerwał się na nogi.

– Sukinsyny! Próbuja nas otoczyć. – Jego ciałem wstrząsnął dreszcz bezradności, jaką poczuł w lesie na skraju Pola Kolkana, gdy razem z innymi uzmysłowił sobie, że czarodziejscy wojownicy wzięli ich podstępem i wcale nie uciekali, lecz tylko się rozdzielili, a potem wrócili, by zaatakować z obu stron. Wciąż miał w uszach krzyki swoich ludzi, którzy w ciągu jednego oddechu zamienili się z myśliwych w zwierzyne. – Ruszamy!

Pobiegł przed siebie, oddalając się po skosie od miejsca, w którym według relacji kruka czekała czwórka jedwabiniów z siecią, a także od pozostałych, których sam zauważył. Chwilę później nadleciał Skurn.

– Kupa ich za nami! – zawołał.

Barrick obejrzał się. Kilka istot owiniętych jedwabnymi nićmi przemykało z gałęzi na gałąź, inne sunęły po ziemi swoim dziwnym podskakującym krokiem, niby-mały, niby-owady.

Spojrzał przed siebie w samą porę, by zauważyć dwóch innych jedwabiniów wyłaniających się z cienia między dwoma sękatymi drzewami, trzymających między sobą coś, co przypominało

sieć rybacką. Barrick w ostatniej chwili rzucił się w bok – poczuł, jak lepka nić sieci ociera się o jego ramię. Skurn musiał podfrunąć gwałtownie w górę, by uniknąć schwywania, i zniknął wśród konarów.

Coraz więcej bladych postaci sunęło wśród gałęzi wokół nich. Nierówne podłoże było bardzo zdradzieckie, dlatego Barrick musiał wciąż patrzeć pod nogi. Mimo to udało mu się zlustrować wzrokiem okolicę i naliczył kilkunastu wrogów. Jedwabiny próbowały utworzyć przed nim ruchomy mur, cofając się wolniej na skrzydłach niż pośrodku: Barrick wiedział, że niebawem zostanie otoczony.

– Nie! – zawołał i zatrzymał się gwałtownie, chwytając się gałęzi, by nie upaść. Na krótką chwilę jego stopy straciły kontakt z ziemią, a z obciążonego niesprawnego ramienia popłynął piekący ból, przez łokieć, do barku i do karku. Grupa jedwabiniów, których wcześniej nie widział, opuszczała się z korony drzewa – jeszcze kilka kroków i na nich wpadnie. – Wracaj, ptaku! – zawołał Barrick, licząc na to, że Skurn go usłyszy, po czym odwrócił się i zaczął biec tam, skąd przybył, w górę zbocza. Pochyłość okazała się bardziej stroma, niż pamiętał, a on biegł wbrew wcześniejszym ustaleniom, więc należało przygotować się do walki. „Jeśli nie masz wyboru” – mówił mu zawsze Shaso – „to chociaż wybierz miejsce do walki. Nie pozwól, żeby wróg ci je narzucił”.

Shaso. Przez chwilę Barrick poczuł się sparaliżowany smutkiem, poczuciem straty i przerażeniem, nie dlatego, że miał zginąć w lesie, lecz dlatego, że uzmysłowił sobie, jak wielu rzeczy już nie pozna, nie zrobi, nie zrozumie.

Może człowiek uczy się wszystkiego w chwili śmierci. Albo niczego.

– Nie tędy! – Skurn leciał przy nim, starając się nie wpaść na pień albo konar. – Biegniesz prosto na Przekłętą Wzgórze! Nie pamiętasz, co mówiły Kaśliwe Duszki?

Barrick potknął się o wystający korzeń, lecz zdołał utrzymać równowagę i dalej piął się w górę zbocza. A dlaczego nie? Czy kruk nie mówił, że nawet jedwabiny się tam nie zapuszczają? A skoro już ma stawić im czoło, to czy znajdzie lepsze miejsce niż otwarta przestrzeń, gdzie będzie mógł oprzeć się plecami o jeden ze skalistych występów?

– Panie! – zaskrzeczał Skurn, widząc, że Barrick z jeszcze większą zawziętością pnie się pod górę. Kruk sfrunął i przysiadł na kamieniu przed księciem. – Panie, leziesz na pewną śmierć!

– Rób, co chcesz! – odpowiedział. – Ja idę w tę stronę.

– Nie chcę cię zostawić, ale tam zginiemy jak nic!

Pochyłość stała się tak stroma, że Barrick prawie musiał posuwać się na czworakach. Parł do przodu, podciągając się na najniższych gałęziach. Słyszał za sobą odgłosy przemykających między gałęziami jedwabiniów i coraz głośniejszy szept dziwnej pieśni myśliwych.

– Kraaa! – odezwał się zdesperowany kruk. – Czy wszyscy mieszkańcy kraju słońca to takie... uparte zasrane głąby? – Nie czekając na odpowiedź, wzbił się w górę i zniknął w koronach drzew.

Przy królewskim stole

Kyros Soteriańczyk, podając kolejny dowód na to, jak świętokradcze są wierzenia czarodziejskiego ludu, wspomina, że ich wersja teomachii jest bliska herezji z Xandu, w której bogowie Trygonu ukazani są jako wrogowie ludzkości, a pokonani bogowie Zmeos Biały Ogień i jego rodzeństwo jako dobroczyńcy człowieka...

– z *Traktatu o czarodziejskich narodach obojga kontynentów Eionu i Xandu*

– Z żalem i gniewem wysłuchałem tych strasznych wieści, Wasza Wysokość – rzekł Finn Teodoros. – Twoja służąca zamordowana! Nawet tutaj nie mówi się o niczym innym.

– O wiele gorsze to wieści dla rodziny Talii, tej biednej dziewczyny, która nie żyje. – Briony uśmiechnęła się smutno. – „Wasza Wysokość”, dziwnie się czuję, gdy się tak do mnie zwracasz.

– Ale chyba jeszcze dziwniej było słyszeć, jak wołamy do ciebie „chłopcze” albo „Timie”. – Roześmiał się. – Zorio w ukryciu, a to dobre!

Briony westchnęła.

– Szczerze mówiąc, tęsknię za tamtym czasem. Może i Tim nie zjadał się frykasami, za to nikt nie próbował go otruć.

– To naprawdę szokujące, Wasza Wysokość. Domyślasz się, kto za tym stoi?

Spojrzała na drzwi pokoju Teodorosa, które Erasmias Jino celowo zostawił uchylone. Widziała skrawek kolorowego płaszcza jednego ze strażników. W takich okolicznościach głupio byłoby powiedzieć coś, co nie miałyby być przeznaczone dla uszu innych.

– Nic nie wiem poza tym, że biedaczka umarła od trucizny przeznaczonej dla mnie. Lord Jino obiecał, że znajdzie winnego.

– Lord Jino? – Finn Teodoros uśmiechnął się w zamyśleniu. – Znam go, to wytrwały człowiek. Dość groźny. Z pewnością dopnie swego.

– Och, Finn, czy źle cię tu traktowano? – W ostatniej chwili Briony powstrzymała się przed objęciem go, bo przecież znowu była księżniczką i nie uchodziło jej takie zachowanie. – Powiedziałam im, że dobry z ciebie człowiek.

– W takim razie wybacz, Wasza Wysokość, ale twojemu słowu też nie wierzą.

Briony zerknęła na drzwi, po czym wstała i zamknęła je cicho. Niech znowu je otworzą, jeśli tak bardzo chcą posłuchać.

– Powiedz mi jeszcze raz – odezwała się cicho. – Może nie będzie więcej okazji. Co kazał ci tu zrobić Brone?

Dramatopisarz spojrzał na nią wyraźnie skonfundowany.

– Wasza Wysokość, nie karz mnie za to, że się mieszam w wasze rodzinne sprawy, ale wykonywałem tylko polecenia lorda Brone’a. Przysięgam, że nie pomagałbym mu, gdybym wiedział, że ma złe intencje!

– Myślę, że nie dał ci łatwego wyboru – odpowiedziała Briony, uśmiechając się kwaśno. – Pewnie zaoferował ci zapłatę i zaraz czymś zagroził, jeśli się nie zgodzisz.

Teodoros przytaknął z poważną miną.

– Powiedział, że nie pozwoli nam więcej występować w Marchii Południowej.

– Powiedz, co miałeś dla niego zrobić.

Teodoros wyjął chusteczkę z rękawa i otarł lśniące od potu czoło. Stracił trochę na wadze od czasu uwięzienia przez Syańczyków, lecz wciąż był korpulentnym mężczyzną.

– Dostarczyłem listy na tutejszy dwór, jak już wiesz, ale nie mam pojęcia, co w nich było. Polecono mi także zostawić wiadomość dla Daweta dan-Faara w pewnej gospodzie, co też uczyniłem. Przekazałem mu, że zatrzymamy się pod Fałszywą Kobietą i że mam dla niego wiadomości z Marchii Południowej. Niestety, nie udało mi się z nim porozmawiać. Nie mam pojęcia, w jaki sposób zdołał uciec przed tamtymi żołnierzami...

– Myślę, że pozwolili mu zbiec – rzekła Briony. – Nie przyglądałam się uważnie, ale wyglądało to na... – przyłożyła palec do ust – ...na ciche porozumienie między Dawetem i strażnikami. – Pokręciła głową. Szpiegostwo to zatrwajająco nieprzyjemne bagno. – A co miałeś powiedzieć Dawetowi, gdybyś miał okazję?

– Miałem mu przekazać, że... umowa jest wciąż aktualna, lecz Drakava musiałby nie tylko uwolnić Olina, ale także przysłać z nim zbrojnych, by zapobiec zdradzie Tollych, którzy próbują przejąć tron.

Briony słuchała zszokowana.

– Umowa z Drakawą? Miał na myśli sto tysięcy delfinów w złocie czy moją rękę? Czy Brone proponował moją rękę Drakawie, czego nie ośmielili się zrobić nawet mój ojciec ani brat?

Teodoros wzruszył ramionami.

– Wcześniej też wypełniałem misje Avina Brone'a. Zawsze przekazuje mi tylko to, co niezbędne, najczęściej zapieczętowany list. W przypadku kontaktów z dan-Faarem nie ufał słowu pisanemu i przekazał mi wiadomość ustnie, ale tylko to, co konieczne.

Briony wyprostowała się z twarzą czerwoną z oburzenia.

– A więc to tak! Może hrabia Landsend ma własne plany... a nawet własne tajemnice.

Dramatopisarz miał bardzo nieszczęśliwą minę.

– Ja... ja nie wiem nic więcej o tym, czego mógł chcieć od tego Tuańczyka Daweta. Nie gniewaj się na mnie, Wasza Wysokość.

Dopiero teraz Briony zorientowała się, że przestraszyła Teodorosa, jednego z nielicznych ludzi, którzy potraktowali ją jak przyjaciółkę, choć nie musieli. Dramatopisarz drżał wyraźnie, a na jego czole lśniły kropelki potu.

Znowu jestem kobietą z Edonów, a jakże. Zupełnie jak mój ojciec, często chcę, żeby ludzie nie traktowali mnie jak członka rodziny królewskiej, lecz zapominam, że swoim temperamentem potrafię przestraszyć na śmierć...

– Nie martw się. – Usiadła wygodniej. – Nie wyrządziłaś żadnej krzywdy ani mnie, ani mojej rodzinie.

Teodoros, wciąż mocno stropiony, zdołał wydusić:

– Dziękuję, Wasza Wysokość.

– Lecz twoja służba dla Marchii Południowej jeszcze się nie skończyła, mam dla ciebie nowe zadanie. Potrzebuję sekretarza. Nie ufam Syańczykom, a muszę mieć kogoś, kto się wtopi w tłum dworzan i kto ma ucho i wyczucie... do plotek.

Finn Teodoros podniósł głowę, a jego spojrzenie wyrażało zarazem ulgę i niezrozumienie.

– Chyba nie masz na myśli mnie, Wasza Wysokość?

Briony się roześmiała.

– Szczerze mówiąc, myślałam o Feivalu. Grał role dworzan obu płci, czemu więc nie miałby zagrać w moim przedstawieniu? Nie, Finnie, wobec ciebie mam inne plany. Chcę, żebyś

razem z innymi członkami trupy był moimi uszami w Tesis. Nasłuchujcie wszystkiego, co mówią Syańczycy, szczególnie na temat Marchii Południowej, albo nowin o wojnie lub o Tollych. – Briony wstała. – Potrzebuję informacji, zanim podejmę decyzje. Pozbawiona własnych kanałów, będę słyszała tylko to, co zechcą król Enander i jego popiecznicy.

– Oczywiście, Wasza Wysokość, tylko jak mam to zrobić, skoro wciąż jestem więźniem?

– Już niedługo. Zajmę się tym. Bądź dzielny, mój przyjacielu. Teraz jesteś moim poddanym, a ja się tobą zaopiekuję.

Briony podeszła do drzwi i otworzyła je energicznym ruchem.

– Aktorzy! Och, jak dobrze, że pozbyłam się ich towarzystwa! – powiedziała na tyle głośno, by usłyszeli ją strażnicy. – Odprowadźcie go do celi! Mam już dość zawodowych kłamców.

Skłonił głowę, wchodząc.

– Dzień dobry, pani. Czy dzisiaj mnie zabijesz?

– A co, Kayyinie, miałeś inne plany?

Witali się tak już zwyczajowo, lecz ton ich głosów nie do końca był żartobliwy.

Pani Yasammez miała zamknięte oczy. Wcześniej oddaliła się bardzo myślami i dopiero teraz wróciła do siebie w tym obcym miejscu, w mieście kraju słońca na brzegu oceanu będącego też ciemnym, pozbawionym słońca morzem, którego fale uderzają o skały u stóp Qul-na-Qar, a jednocześnie jakże innego w ogólnym odczuciu. Tak, Płaszcz bardzo się zmienił w ciągu zaledwie kilkuset krótkich lat, wielki całun, który ich osłaniał, a który nauczył ich rozciągać Szachraj. Ale czy tylko Płaszcz spowodował zmiany? Czy aby nie zrodziło się coś w sercach samych ludzi – jej ludzi – którzy już nie kochali słońca? Spojrzała zamyślona na Kayyina, który stał przed nią ze swoim dziwnym smutnym uśmiechem na twarzy. Czy to był wyraz twarzy Qara? Taki strach, poczucie winy i rezygnację widziało się tylko w twarzach śmiertelników. Oni wcale tak bardzo się od nas nie różnią, jak sądzimy, powiedział jej wcześniej sam Kayyin. Wtedy zignorowała jego słowa, przekonana, że po raz kolejny próbuje ją rozżłościć i zmusić, by go zabiła i skończyła to jego nienaturalne półżycie. Ale później zastanowiła się nad tym, co usłyszała. A jeśli mówił prawdę?

Przyszła jej do głowy inna myśl, równie niespodziewanie jak tamta o ciemnych falach rozbijających się bezustannie u stóp Qul-na-Qar: a jeśli mieszkańcy kraju słońca, te śmiertelne robaki, o których zagładzie od dawna marzyła, od których miecza z chęcią by zginęła, pokonawszy wcześniej odpowiednio wielu wrogów... a jeśli śmiertelnicy nie są nawet tacy jak jej lud, lecz lepsi? Jak długo istota może chodzić ze zgiętym karkiem, by już więcej nie mogła go wyprostować? Jak długo jaskiniowe zwierzęta potrafią żyć tak, jakby się spodziewały, że kiedyś znowu ujrzą światło, zanim ich oczy oślepną na dobre, a skóra zblednie jak u trupa? Jak długo można wieść życie kogoś gorszego, zanim stanie się kimś gorszym?

– Nie ruszyłaś jeszcze do walki, pani – odezwał się Kayyin, przerywając ciszę.

– Do walki?

– Przed kilkoma dniami przysięgałaś, że zniszczysz miasto śmiertelników. Pamiętasz? Gdy wzięłaś do niewoli tamte dwie kobiety z Zamku Marchii Południowej. Byłem pod wrażeniem, pani, wyglądałaś groźnie. „Z radością usłyszę krzyki waszych ludzi” – powiedziałaś im. Tymczasem siedzisz tutaj, a ja nie słyszę żadnych krzyków. Czyżbyś zastanowiła się nad swoją irracjonalną nienawiścią?

– Irracjonalną? – Odwróciła się do niego poirytowana. Już samo zirytowanie było dla niej

irytujące, gdyż Kayyin wciąż ją prowokował, a ona nie cierpiała, kiedy mu się to udawało. Lecz te jego słowa zabrzmiały dziwnie, wręcz złośliwie. – Żyj tylko dlatego, że zachowałam zdrowy rozsądek. Jedyne głupiec nie ma wątpliwości, gdy trzeba zrobić coś niewykonalnego – a tak właśnie mają się sprawy, jeśli chodzi o moje plany wobec śmiertelników. Gdy umrze bóg, umrą też śmiertelnicy. – Spojrzała na swego rozmówcę i zamrugła, tylko raz, co wyrażało lekkie zdziwienie. Naprawdę chcesz, żebym dzisiaj zaatakowała, Kayyinie? Tak bardzo nie możesz się doczekać ich końca? Sądziłam, że się z nimi żyłeś.

– Pragnę wiedzieć, co myślisz, pani. Bo wiele, jak sądzę, będzie od tego zależało.

– Cóż to za bzdury?

– Bzdury, które wsączono mi do ucha, zanim się zorientowałam. – Kayyin zamilkł na chwilę, jakby szukał odpowiednich słów. – Nieważne. Może w to nie wierzysz, ale martwię się o nasz lud, matko. Boję się twoich decyzji. Dlatego cię wypytyuję. Jak niegrzeczne dziecko, które czeka na powrót rodzica do domu, mniej się boję kary niż samego czekania.

– A to dlatego, że wciąż jesteś dzieckiem w porównaniu ze mną. Gdy zdecyduję się na atak, będzie to szybkie, mocne i decydujące uderzenie. Zaatakuję z mocą, która zabije wszystko, co tu żyje, nawet ptaki na drzewach i krety w ich korytarzach.

Teraz spojrzenie Kayyina wyrażało zaskoczenie, a na jego twarzy pojawił się strach.

– Jak to? Co zrobisz?

– Już ty się nie dowiesz, mały zdrajco. Ale ponieważ może dojść do całkowitego zniszczenia, nie zaatakuję, dopóki nie będę miała pewności.

– A zatem masz wątpliwości?

– Wątpliwości? Ha. – Podniosła z kolan Biały Ogień i wstała, a po chwili położyła miecz na stole. W wielkiej sali, w której niegdyś obradował rząd, nie było nawet duchów. Czekwały na zewnątrz. Podobnie jak Kayyin, stały się niespokojne i niecierpliwe, gdy nastąpiła długa przerwa po pierwszym ataku. W przeciwieństwie do niego były żołnierzami i lubiły dyscyplinę. – Opowiem ci pewną historię.

– Prawdziwą?

– Irytujesz mnie bardziej, niż ci się wydaje, choć zachowujesz pozory uprzejmości. Twój ojciec byłby zawstydzony, gdyż należał do istot niezwykle wrażliwych.

– Opowiesz mi o moim przodku?

– O bitwie na Drżącej Równinie. Tak się składa, że brał w niej udział twój prapradziadek Ayyam. Tam go spotkałam. Była to jedna z ostatnich bitew między klanami Powiewu i Wilgoci i ich śmiertelnymi sprzymierzeńcami. Walczyliśmy o Biały Ogień przeciwko jego zdradzieckim trzem braciom przyrodnim, których wielbią ci idioci śmiertelnicy.

Byłam jednym z trzech generałów króla Numannyna, Numannyna Ostrożnego, bo taki otrzymał przydomek. Toczyliśmy długą walkę po stronie wielkiego boga Białego Ognia przeciwko półbogom i armiom śmiertelników i byliśmy bardzo zmęczeni. Zapadała noc i nasze wojska pragnęły już rozbić obóz. Wcześniej zginął brat Białego Ognia, Pan Księżycy, i księżyc, cały czerwony, ledwo był widoczny na niebie. Bogowie mogli walczyć bez światła, lecz nam sprawiało to trudność. Numannyn miał przy sobie wieszczkę, która powiedziała królowi, że jeden człowiek ucieknie z pola walki pod osłoną nocy, strzeżony przez kilka tysięcy śmiertelnych wojowników.

– Musi to być ktoś ważny – rzekł Numannyn. – Jeden z ich królów albo posłaniec śmiertelników udający się do bogów z Xandosu. Trzeba go zatrzymać.

– Twoi żołnierze są zmęczeni – ostrzegł go jeden z generałów.

Także się niepokoiłam, lecz wtedy jeszcze nie śmiałam przemawiać przeciw królowi. Moi żołnierze ciężko walczyli, a kolejny dzień miał być jeszcze krwawszy. Nawet najzacieklejsi

wojownicy muszą czasem odpoczywać.

– Nie wróży to nic dobrego – powiedział trzeci generał. – Czy możemy nie wysłać oddziału Strażników Pierwiastków, żeby śledzili uciekiniera? Wyczuwam pułapkę.

– Jeśli żaden z moich generałów nie podejmie się tego zadania – rzekł rozgniewany Numannyn – to sam pójdę z moimi ludźmi.

Zawstydził nas. Ponieważ byłem najmłodsza i jako jedyna nie wyraziłam wcześniej sprzeciwu, czułam się zobowiązana podjąć tę akcję. Zebrałam ludzi, Wyciskaczy Łez, i dosiedliśmy koni.

Natknęliśmy się na wroga, który przekraczał rzekę Srebrzysty Szlak u podnóża wzgórz okalających ogromną zlodowaciałą łąkę. Tak jak przepowiedziała wieszczka, ujrzelśmy mniej więcej stu śmiertelnych wojowników na koniach. Byli to silni i dobrze uzbrojeni żołnierze, lecz wydawało się, że ich jedynym celem jest ochrona lektyki niesionej przez półnagich niewolników. Oczywiście gdy wezwaliśmy ich do poddania się, stanęli do walki – tak jak się spodziewaliśmy. Domyślaliśmy się, że nie ustąpią, skoro chroniona przez nich osoba jest na tyle bogata albo ważna, by osłaniał ją tak duży oddział. Lecz pomimo swojej siły i waleczności byli tylko śmiertelnikami i nieznacznie przewyższali nas liczebnie. Dla nas było to jak walka z silnymi, lecz nieporadnymi dziećmi.

Gdy już pokonaliśmy żołnierzy, niewolnicy zostawili lektykę i uciekli. Wtedy wyszedł z niej, chwając się, nieduży ciemnowłosy mężczyzna. Nie rozpoznałam jego twarzy, choć rysy wydały mi się znajome.

– Nie krzywdźcie mnie – powiedział słabym głosem. – Pozwólcie mi odejść, a uczynię was bogaczami.

– Co mógłbyś nam oferować? – zawołali moi ludzie, śmiejąc się. – Złoto? Bydło? Jesteśmy Ludźmi – prawdziwymi Ludźmi. Nie ma niczego, co mógłbyś nam ofiarować, a czego wcześniej byśmy wam nie dali, kamienne mały!

– Nasz król chce cię widzieć, więc pójdziesz z nami! – krzyczeli inni. – Nie będziemy dłużej z tobą rozmawiać. – Związali więźnia i wrzucili go na grzbiet konia.

Gdy stanął przed królem, przemówił powtórnie i choć wciąż mówił błagalnym tonem, coś się zmieniło w jego głosie.

– Proszę, królu Numannynie, władco Qarów, Panie Wiatru i Myśli, pozwól mi odejść, a hojnie cię obdaruję. Nie pragnę kłopotów dla siebie ani dla ciebie.

Król odpowiedział chłodnym uśmiechem, co mnie przeraziło, choć nie wiedziałam dlaczego, lecz byłem jak wędrowiec, który wyczuwa, że wielki kamień się obruszył i zaczyna toczyć zboczem.

– Nie możesz oferować mi niczego poza swoją wiedzą – odparł Numannyn – i przekażesz mi to bez względu na to, czy ci się to podoba czy nie. Teraz należysz do mnie. Kim jesteś i dokąd zmierzałeś?

Śmiertelny król spuścił wzrok i trwał tak długo, jakby był zawstydzony albo przerażony, lecz gdy podniósł głowę, jego oblicze nie zdradzało żadnego z tych uczuć. Spojrzenie miał promienne, a uśmiech tak samo zimny jak uśmiech Numannyna.

– Powiem ci, mały królu. Zamierzałem jedynie opuścić to miejsce nieustannej walki, która nie jest dla mnie, i wrócić do mojego domu na szczycie Xandosu. Ale zatrzymałeś mnie i schwytałeś w sieć pytań. Chcesz mnie uwięzić. Dobrze. – Podniósł dłoń. Pilnujący go strażnicy wyciągnęli miecze, lecz obcy więcej się nie poruszył. – Pragniesz poznać moje imię? Moi służący nazywają mnie Zosimem, lecz wy znacie mnie jako pierwszego i największego Oszusta.

I rzeczywiście był to sam bóg pod postacią człowieka. Jeszcze nim skończył mówić, zaczął się zmieniać i przybrał prawdziwą postać. Stawał się coraz większy. Jego oczy płonęły ogniem, a

wokół głowy igrały błyskawice. Wtedy byłam młoda i nie tak silna jak teraz, dlatego nie mogłam nawet spojrzeć na niego, gdy się nam ukazał taki straszny. A przecież należał do najmniej wojowniczych bogów! Pochwyciliśmy go, gdy próbował się wymknąć z pola walki, lecz teraz wiedzieliśmy, że zechce walczyć i nas ukarać.

Jego skóra przybrała kolor kruczonych skrzydeł, a oczy przypominały rozżarzone węgle. Zbroja, wykonana z czerwono-niebieskiego metalu, rozrastała się na jego ciele niczym mech na pniu drzewa, aż cały się w niej schował od stóp do głów. Gapiliśmy się na niego niczym zahipnotyzowane przez węża ptaki. Gdy uniósł dłoń, zobaczyliśmy, że trzyma w niej ognisty bicz. W jego drugiej ręce pojawił się kryształowy pręt. A potem zaatakował – straszna była nawet pieśń, którą śpiewał. Nigdy nie widziałeś boga, Kayyinie. Przynależony do walki bóg to najgorszy widok, jaki można sobie wyobrazić. Mam nadzieję, że do końca mojego długiego życia nie zobaczę już niczego takiego. Boga takiego jak Oszust, pana tajemnic i nastrojów, sam wygląd czyni groźnym, a nasze przerażenie jeszcze wszystko wyolbrzymiło.

Nie zrozum mnie źle – jego moc była jak najbardziej prawdziwa. Niektórzy twierdzą, że bogowie ulepiani są z tej samej gliny co my – że pochodzą z tego samego nasienia i z tej samej kości, a różnią się tym, czym mogą się stać, nad czym potrafią zapanować. Inni mówią, że to zupełnie inna rodzina istot. Nie wiem, Kayyinie. Jestem tylko żołnierzem i choć jestem stara, to bogowie byli już starzy, zanim przyszedłam na ten świat. I bez względu na to, czy w jakiś sposób są naszymi kuzynami, ojcami czy przodkami, nigdy nie wierz, że są podobni do nas, bo tak nie jest.

Król Numannyn poległ jako jeden z pierwszych, rozłupany turkoczącym berłem Oszusta niczym kawałek drewna. Pozostali dwaj generałowie zginęli w jego obronie, podobnie jak wielu innych żołnierzy, którzy zawadzili jak największe śmiertelne żółtodzioby. Gdyby strażnicy Oszusta nie uciekli, wrzeszcząc z przerażenia, gdy bóg ukazał swoje prawdziwe oblicze, byłiby w stanie roznieść połowę naszej armii, tak wielkiego zniszczenia dokonał rozgniewany bóg. Powiedział jednak prawdę, gdy stwierdził, że nie lubi wojny. Tak więc gdy opadła pierwsza fala jego gniewu, Oszust odwrócił się i odszedł. Oddał się, coraz mniejszy, niczym pergamin trawiony płomieniem świecy, aż znowu przybrał ludzką postać. Żaden z tych, którzy jeszcze żyli, nie ruszył za nim. Wątpię, by komukolwiek przyszło to do głowy.

Ja zostałam powalona już na samym początku; ognisty bicz Oszusta roztrzaskał mi tarczę, a ja zostałam odrzucona w głąb pola zaledwie muśnięciem boskiej dłoni w rękawicy. Długo leżałam nieprzytomna, a gdy się ocknęłam, zobaczyłam, że niesie mnie z powrotem do moich żołnierzy twój prapradziadek Ayyam. Był służącym-wojownikiem u jednego z generałów i został ranny, gdy próbował ratować swojego pana. Myślę, że poszedł za mną powodowany lojalnością, bo czuł, że zawiódł swojego generała i króla.

W każdym razie zaprzyjaźniliśmy się, a z czasem połączyło nas coś więcej niż przyjaźń. Nigdy później nie wracaliśmy w rozmowie do tamtej nocy. Wspomnienie to było niczym brzydka blizna na naszych myślach...

Zamilkła, wydawało się, że powie coś jeszcze, ona jednak milczała.

– Dlaczego opowiadasz mi to wszystko? – przerwał ciszę Kayyin. – Czy mam wyciągnąć wnioski z lekcji lojalności udzielonej mi przez przodka?

Powoli podniosła głowę, jakby zapomniała o jego obecności.

– Nie, nie. Pytałeś, dlaczego nie ruszam, by zniszczyć śmiertelników, gdy ogłosiłam już światu, że to uczynię. Mój ukochany sługa Gyir nie żyje, a Pakt Lustra nie został zrealizowany, tak jak się obawiałam. Tak więc zniszczę zamek śmiertelników, kamień po kamieniu, jeśli znajdzie taka potrzeba, żeby dostać to, czego potrzebuję. Ale to nie znaczy, że będę działała pochopnie, choć się niecierpliwisz... podobnie jak ja.

Przechylił głowę, oczekując jej dalszych słów.

– Ponieważ istota, która śni i cierpi w niespokojnym śnie pod zamkiem, jest bogiem, głupi dzieciaku. Jest też moim ojcem, ale to ma znaczenie tylko dla mnie. – Teraz oblicze Yasammez było blade i straszne niczym niebo, na którym zaraz rozpęta się burza. – Nic nie zrozumiałeś z mojej opowieści? Bogowie nie są tacy jak my: różnią się od nas tak bardzo, jak my różnimy się od biedronek, które obsiadają liście. Tylko głupiec spieszy się, by obudzić coś, czego nie rozumie i nad czym nie potrafi zapanować. Teraz pojmujesz? To będzie pieśń naszego ludu, pieśń na łożu śmierci. Chcę mieć pewność, że bez względu na to, jak wszystko się zakończy, będziemy mogli przynajmniej zanucić melodię, którą sami wybierzemy.

Kayyin skłonił głowę. Po chwili Yasammez odpowiedziała tym samym gestem. Gdyby zobaczył ich ktoś obcy, mógłby pomyśleć, że to dwoje pogrążonych w modlitwie śmiertelników.

– Naprawdę chcesz to włożyć na spotkanie z księciem, Wasza Wysokość? – zapytał Feival z wyraźną dezaprobatą w głosie.

Dobrze się czuje w nowej roli – zbyt dobrze, pomyślała Briony. Teraz zrzędził jej nad uchem na temat stroju tak samo jak wcześniej ciotunia Merolanna czy Rose i Moina.

– Żartujesz sobie, Wasza Wysokość! – zawołała jej przyjaciółka Ivgenia. – Dlaczego nie mi nie powiedziałeś? Naprawdę się tu wybiera... księżę Eneasza?

Briony uśmiechnęła się, widząc reakcję dziewczyny. Eneasza był tylko królewskim synem i w niczym się nie różnił od braci Briony – choć musiała przyznać, że jest księciem o wiele większego i ważniejszego kraju. Wszystkie kobiety na dworze traktowały go jak boga.

– Tak, przyjdzie tu. – Odwróciła się do swoich dam dworu. – Tylko nie gapcie się na niego jak sroki w gnat, gdy się zjawi. Zajmijcie się wyszywaniem. – Niemal w tej samej chwili Briony pożałowała swoich słów, bo po raz pierwszy od śmierci małej Talii dziewczęta zainteresowały się czymkolwiek. – A przynajmniej udawajcie, że wyszywacie, proszę. Nie chcę, żebyście go spłoszyły. – Intuicja podpowiadała jej, że Eneasza, podobnie jak Barrick, nie lubi, gdy się nad nim pieje z zachwytem, choć pewnie z zupełnie innego powodu.

Pojawieniu się księcia nie towarzyszyły nawet pozory ostentacji. Przybył bez straży i eskorty, ubrany bardzo skromnie jak na obyczaje tutejszego dworu: prosty kaftan i kubrak, obszerne spodnie do kolan, bardzo modne, płaszcz podróżny, jeszcze nieodświeżony po podróży, i szeroka płaska czapka, która także wyglądała, jakby była zbyt długo wystawiona na działanie żywiołów. Briony zauważyła, że Feival podziwiał urodę księcia, za to z wyraźną dezaprobatą patrzył na jego powszedni strój.

– Pewnie ma garderobę wielkości całego Oscastle – szepnął do księżniczki – ale chyba rzadko do niej zagląda.

Eneasza jest pewnie jedyną osobą na całym dworze, która nie darzy miłością swojego lustra, pomyślała Briony. Nie przeszkadzał jej taki strój: księżę włożył schludne i przyzwoite ubranie, udając się z wizytą do kobiety, a zarazem musiał się zająć różnymi rzeczami, więc włożył podróżny płaszcz i czapkę.

– Księżniczko Briony – przywitał się Eneasza i skłonił głowę. – Jak wszyscy zatrwożyłem się na wieść o tym, co się wydarzyło tutaj, w samym sercu królestwa mego ojca.

– Na szczęście nic mi się nie stało, księżę Eneaszu – odpowiedziała łagodnym tonem. – Jednak biedna Talia, moja pokojówka, nie miała tyle szczęścia.

Księżę zarumienił się czarującą.

– Oczywiście – powiedział. – Wybacz mi. Domyślam się, w jakim smutku pogrąży się jej rodzina, gdy się dowie. To był straszny dzień dla nas wszystkich.

Briony odpowiedziała skinieniem głowy. Księżę zdjął czapkę, odsłaniając włosy ciemnym suszone goździki; widać było, że choć nie całkiem zaniedbane, rzadko zaznają pieszczot szczytki. Briony wskazała na miękkie siedzenie.

– Usiądź, proszę, Wasza Wysokość. Naturalnie znasz lady Iwgenię e'Doursos, córkę wicehrabiego Teryonu.

Księżę skinął głową, spoglądając na dziewczynę z poważną miną.

– Oczywiście – odparł, choć Briony podejrzewała, że raczej nie pamięta, z kim ma do czynienia, pomimo nieprzeciętnej urody Iwgenii. Księżę Eneas zany był z tego, że nie zostawał na dworze ani chwili dłużej, niż to było konieczne, przez co jego wizyta była szczególnie intrygującym i schlebającym wydarzeniem.

– Powiedz szczerze, księżniczko, jak się miewasz – poprosił, gdy już oboje usiedli. – Nawet nie wiesz, jakim ciosem było dla mnie to straszne morderstwo. Świadomość, że ktoś pomyślał, iż może tego dokonać w naszym domu...!

Briony już dawno doszła do wniosku, że Latarniany Pałac nie jest bezpieczniejszy niż gniazdo żmij, lecz teraz trudno jej było podejrzewać księcia o brak szczerości. Co Finn powiedział o nim zaraz po ich przybyciu do Syanu, już tak dawno temu? „Czeka cierpliwie. Mówią też, że jest dobrym człowiekiem, gorliwym i odważnym. Oczywiście opowiadają tak o wszystkich księżętach, nawet tych, którzy okazują się potworami...” Briony przyznała w duchu ze smutkiem, że wie coś na ten temat, bo poznała już kilku potworów, wątpiła jednak, by ten mężczyzna stał się jednym z nich. Księżę był autentycznie czarujący i jego wizyta w jej pokojach z pewnością wywoła zazdrość wszystkich kobiet w pałacu, młodych i starych.

– Miewam się tak, jak można się spodziewać – odpowiedziała. – Wróg zasiadł na moim tronie. Próbował mnie zabić, stąd moja obecność tutaj. Zamordował mojego starszego brata Kendricka. – Nie miała co do tego pewności, podobnie jak Shaso, lecz w tej chwili nie składała zeznań w świątyni pod okiem bogów-sędziów, tylko rozmawiała z potencjalnym sojusznikiem. – A teraz wyciągnął swe macki i próbuje zabić mnie tutaj, przynajmniej takie żywią podejrzenia.

– Nie... – Eneas nie zaprzeczał jej, raczej dał wyraz zdumieniu i obrzydzeniu. – Naprawdę? Myślisz, że Tolly'owie odważyliby się zrobić coś tak głupiego pod samym nosem króla?

Wydaje się, że nos króla jest zwrócony w inną stronę, pomyślała Briony, lecz nie powiedziała tego głośno. Przebywając w towarzystwie frywolnych aktorów z trupy Makewella, nie stała się słodsza księżniczką, za to posiadała umiejętność maskowania swoich uczuć.

– No cóż, mogę tylko powiedzieć, że mieszkałam tu bezpiecznie przez jakiś czas, a potem, w dzień po przybyciu posła Hendona Tolly'ego, ktoś próbował mnie zamordować.

Eneas zacisnął w pięści duże dłonie. Wstał i zaczął się przechadzać. Zajęte wyszywaniem damy mogły się wreszcie pogapić bezkarnie, gdyż księżę pozostał jakiś czas odwrócony do nich plecami.

– Przede wszystkim od dzisiaj wszystkie posiłki będziesz otrzymywać prosto ze stołu króla, księżniczko – powiedział. – W ten sposób skorzystasz z usług degustatorów mojego ojca. Jeśli nie będziesz jadła z nami, wtedy jeden z moich służących przyniesie ci posiłek, co zagwarantuje bezpieczeństwo. – Zamilkł na chwilę w zamyśleniu. – Jeśli się nie obrazisz, zostawię także moich ludzi, by pilnowali twoich komnat. Znowu muszę wyjechać i nie mogę osobiście zadbać o twoje bezpieczeństwo, lecz kapitan mojej straży dopilnuje, byś była bezpieczna zarówno tutaj, jak i poza swoimi komnatami.

Briony nie miała pewności, czy jej się ten pomysł podoba – bystrooki lord Jino napawał ją niepokojem – uznała jednak, że nie należy sprzeczać się z tym silnym, młodym mężczyzną, który próbuje jej pomóc. Mimowolnie poczuła ukłucie smutku, gdy usłyszała o dowódcy straży,

ponieważ przypomniała sobie Ferrasa Vansena, który według wszelkich źródeł informacji zniknął razem z Barrickiem po strasznej bitwie na Polu Kolkana. Poczuli się wręcz dziwnie zawstydzona, jakby zgodziła się położyć do łóżka z tym przystojnym księciem, zamiast po prostu pozwolić mu siebie chronić – jakby była coś winna Vansenowi, a przecież tak nie było. Już sama ta myśl wydała jej się absurdalna. To bolesne i smutne uczucie długo jej nie opuszczało, milczała więc, aż wreszcie Eneasza spojrzano na nią zaniepokojony.

Ivgenia, starając się przerwać niezręczną ciszę, odważyła się zapytać:

– A dokąd udajesz się tym razem, księżę Eneasza, jeśli wolno wiedzieć? Wszyscy na dworze z utęsknieniem wyczekują twoich powrotów.

Księżę skrzywił się, lecz Briony wydało się, że Eneasza wyraża w ten sposób swoją dezaprobatę nie dla słów Ivgenii, lecz dla myśli, że ludzie w ogóle o nim rozmawiają.

– Muszę jechać na południe. Margrabia Akyonu jest oblegany przez ludzi z Xis, jadę więc ze Świątynnymi Psami i resztą armii, by przerwać oblężenie.

– A potem uwolnisz sam Hierosol? – zapytała Ivgenia.

Księżę pokręcił głową.

– Obawiam się, pani, że Hierosol jest już stracony. Mówią, że zostały tylko mury wewnętrzne i że uciekł nawet Ludis Drakava.

– Co? – Briony omal nie spadła z krzesła. – Nic o tym nie słyszałam. Czy są jakieś wieści o moim ojcu, królu Olinie?

– Przykro mi, księżniczko, nic nie słyszałem. Nie chce mi się wierzyć, by nawet taki barbarzyńca jak autarcha Xis poważał się podnieść na niego rękę. Nie sądzę też, by hierosolczycy zostawili twego ojca Sulepisowi. Pamiętaj, że jeszcze nie poddali miasta i długo mogą się bronić. Prawdopodobnie któryś z wielmożów zastąpił Drakavę. Żałuję, że nie mogę przekazać ci lepszych wieści.

Briony poczuła pieczenie łez. Zwykle potrafiłaby nad nimi zapanować, ale okoliczności były wyjątkowe.

– Och, niech bogowie mają w opiece mojego biednego kochanego ojca! Tak bardzo za nim tęsknię!

Feival podsunął jej chusteczkę.

– Wasza Wysokość, łzy zmyją ci puder jak deszcze świeżo nałożoną farbę.

Eneasza czuł się niezręcznie.

– Wybacz, pani. Proszę, nie bierz sobie zbyt do serca tego, co mówię na temat twojego ojca czy Hierosolu. Mamy wojnę i niewiele rzeczy można powiedzieć z całą pewnością. Możliwe, że Ludis, uciekając, zabrał twojego ojca ze sobą, by móc się targować.

Briony pociągnęła nosem i roześmiała się cicho.

– Księżę Eneasza, stwierdzenie, że zdesperowany Ludis Drakava wlecze za sobą mojego ojca przez pole bitwy jest mało pocieszające.

Księżę speszył się jeszcze bardziej.

– Och, na honor bogów... naprawdę, Briony, to znaczy księżniczko, wybacz, że w ogóle wspomniałem...

Nie zamierzała torturować go w nieskończoność.

– Proszę, księżę Eneasza, nie zamartwiaj się. Okazujesz mi dobroć, a ja zostałam tyle razy oszukana przez ludzi, których uważałam za przyjaciół, że mogę być ci tylko wdzięczna za słowa prawdy. A teraz nie będziemy cię już zatrzymywać. Wiem, że jesteś bardzo zajęty. Dziękuję ci za wszystko.

Po wyjściu Eneasza, który wciąż był lekko zmieszany, Briony wytarła oczy i machnięciem dłoni powstrzymała wysiłki Ivgenii usiłującej ją pocieszyć oraz Feivala, który próbował

doprowadzić do porządku jej twarz. Odesłała oboje, tłumacząc się zmęczeniem, choć wiedziała, że bardzo chcieliby z nią porozmawiać o księciu Eneasz.

Briony nie cierpiała aż tak bardzo, jak to okazywała. Oczywiście z niepokojem myślała o ojcu i bała się o niego, lecz te uczucia towarzyszyły jej już od dawna – w rzeczywistości bardzo się bała, czuła się słaba i bezradna. Tak więc już wcześniej powzięła pewien plan, zamiast mocować się z własną słabością, i teraz przystąpiła do jego realizacji.

Sokół i latawiec

Istnieje wiele wzmianek albo wspomnień o legendarnych ludziach zamieszkujących południowy kontynent, od Xis aż po mityczny Sirkot na najdalszych krańcach wysp południowych. Mówi się też, że niektóre zalesione wyspy Oceanu Hespera wciąż są zamieszkałe przez Qarów, lecz nie ma na to dowodów.

– z Traktatu o czarodziejskich narodach obojga kontynentów Eionu i Xandu

Pinimmon Vash wytarł pióro o bibułę i napisał zawijastą literę bre. Po chwili znowu wytarł pióro i przeszedł do kolejnej litery. Precyzja była ważniejsza niż szybkość.

Pierwszy minister Xandu pisał swój kalendarz.

Niektórzy z młodych wielmożów, potomkowie rodzin prawie tak starych jak ród Vasha, drwili z niego, że zmarnował tyle młodości na litery. Jakie inne prawdziwe dziecko pustyni, w którego żyłach płynie czerwona krew, zechciałoby tak ślęczyć godzinami ze skrzyżowanymi nogami, najpierw ostrząc pióra, mieszając atrament i przygotowując pergamin, by potem z mozołem wypisywać na stronie kolejne słowa? Nawet jeśli dotyczyły one rzeczy męskich, jak bitwa, to nijak się miały do prawdziwej walki, a przecież najczęściej ćwiczenia kaligraficzne młodego Pinimmona obejmowały przepisywanie domowych rachunków.

Nie żeby Vash nie umiał jeździć konno czy strzelać z łuku. Był w tym na tyle dobry, żeby uniknąć ataków najbardziej agresywnych kompanów. Nigdy nie zdobywał laurów podczas zawodów, ale też nie był ostatni i nie musiał się wstydzić. I tak jego rówieśnicy skończyli gdzieś w armijnym tłumie na poziomie oficera albo pograżyli się w beczynności w rodowych majątkach, podczas gdy on zaszedł wyżej, najpierw za pierwszego autarchy, a potem w służbie u następnego jako skryba, księgowy i urzędnik, aż wreszcie osiągnął wysokie stanowisko, które piastował obecnie, będąc drugim najpotężniejszym człowiekiem w największym na świecie imperium.

W praktyce sprowadzało się to do tego, że pełnił rolę sekretarza najbardziej niebezpiecznego na świecie szaleńca.

Vash westchnął, zapisawszy całą stronę. Podczas długich dni na pokładzie statku miał czas, by nadrobić zaległości, uporządkować liczne sprawy natury politycznej i ekonomicznej, odpowiedzieć na listy, mimo to nie potrafił się wyzbyć pewnego przygnębienia: miał wrażenie, jakby przygotowywał się na śmierć, porządkując swój majątek i spisując spuściznę. Już od dłuższego czasu czuł się niezręcznie w towarzystwie swojego monarchy, lecz sytuacja znacznie się pogorszyła od sprawy tamtej dziewczyny ze świątyni, którą Sulepis, nie wiedząc czemu, wybrał na swoją sto siódmą pannę młodą. Było widać coraz wyraźniej, że monarcha żyje w świecie, do którego inni, tacy jak pierwszy minister, nie mają dostępu. Sulepis rozprawiał chaotycznie o różnych dziwnych artefaktach, często religijnych, albo też podejmował działania, takie jak ta podróż morską na północ, których natury nie raczył nikomu wyjaśnić, a które i tak pozostałyby niezrozumiałe, nawet gdyby to uczynił.

Ale co można na to poradzić? Wielu spośród poprzednich autarchów Xis było trochę szalonych, przynajmniej w porównaniu ze zwykłymi ludźmi. Było to zniwo kolejnych pokoleń

małżeństw między bliskimi krewnymi, choć prawdą było też i to, że nawet najsilniejsi i najbardziej zrównoważeni mężowie nie umieli sobie poradzić z władzą absolutną. Jeden z tych, którzy przeżyli rządy Vaspisa Mrocznego, stwierdził, co powszechnie powtarzano, iż przebywanie w obecności autarchy można było porównać do spania u boku wygłodniałego lwa. Lecz Sulepis wydawał się inny niż jego najokrutniejsi poprzednicy. Nawet gdy miał poważne zamiary, nie oznaczało to, że da się zrozumieć jego poczynania.

Vash klasnął w dłonie i wstał, pozwalając, by poranna szata zsunęła się z jego wątego ciała. Natychmiast podbiegli młodzi służący, by go ubrać, a na ich przystojnych twarzach malowała się powaga, jakby opiekowali się jakimś bardzo ważnym artefaktem. W pewnym sensie tak było, ponieważ pierwszy minister mocą swej władzy mógł kazać ich zabić, gdyby go zranili lub stali się powodem jego niezadowolenia. Choć nie zdarzyło się, by pozbawił kogoś życia za to, że nie był z niego zadowolony. Nie należał do tego typu ludzi. Jakieś dziesięć lat wstecz dbał nawet o to, by wybierać chłopców z werwą, służących, którzy potrafili się z nim droczyć czy wręcz udawali nieposłuszeństwo – sprytni, psotni, uwodzicielscy. Lecz gdy skończył osiemdziesiąt lat, jego cierpliwość trochę się skurczyła. Już nie oddawał się – jakże kiedyś ożywczym, a teraz uciążliwym ćwiczeniom ujarzmiania takich służących. Teraz każdego nowego częstował dyscypliną, dwa, trzy baty, a jeśli nie nauczył się okazywać milczącego posłuszeństwa, które Vash zdecydowanie teraz wolał, przekazywał go po prostu komuś takiemu, jak Panhyssir czy obecny regent autarchy w Xis Muziren Shah, kto lubił łącać niepokornego ducha i nie miał skrupułów, jeśli chodzi o zadawanie bólu.

Zbyt dużo cierpienia widziałem w życiu, pomyślał Vash. Już mnie nie bawi ani nawet nie szokuje. Teraz ból wydawał się czymś, czego pierwszy minister wręcz unikał.

Vash udawał, że przypadkiem natknął się na Panhyssira przed ogromną kajutą autarchy. Korpułentny kapłan i akolita najwyraźniej dopiero co otworzyli kaplicę Nushasha.

– Dzień dobry, przyjacielu – powiedział Vash. – Widziałeś już dzisiaj Złocistego? Czy ma się dobrze?

Panhyssir skinął głową, który to ruch polegał głównie na spłaszczeniu kilku podbródków. Na statku ubierał się mniej formalnie i nie nosił wysokiego nakrycia głowy, które wkładał tylko podczas odprawiania rytuałów. Jego głowa, teraz przykryta jedynie prostym czepkiem, wydawała się dziwnie i nieprzyzwoicie naga. Sam Panhyssir miał na sobie okazałą czarną szatę, której nie zdobił wyhaftowany sokół autarchy czy złote koło Nushasha, lecz płonące złociste oko.

– Cóż to takiego? – zapytał Vash. – Nie widziałem wcześniej tego symbolu.

– Nic takiego – rzucił Panhyssir zdawkowo. – Wymysł Złocistego. Dzisiaj dogadza małym królowym. – Chodziło o żony sto jedenastą i sto dwunastą, dwie młode i szlachetnie urodzone siostry, bratanice króla Mihanu przysłane Sulepisowi w formie daniny. Autarcha wykazywał umiarkowane zainteresowanie nimi, w przeciwieństwie do zbiegłej dziewczyny ze świątyni. Umiarkowane jak na niego: podczas ostatnich kilku nocy melodia ich wrzasków co i rusz wyrwała pozostałych pasażerów ze spokojnego snu.

– Ach, dobrze – rzekł Vash. – Niech bogowie napelnią go zdrowiem i wigorem.

– Tak, zdrowiem i wigorem – powtórzył Panhyssir. Gotowy do odejścia, obdarzył Vasha jeszcze jednym spłaszczeniem podgardla.

– Ach, mam do ciebie jedno pytanie, dobry Panhyssirze. Masz chwilę? Czy moglibyśmy porozmawiać w jakimś miejscu osłoniętym od wiatru? Moje stare kości łatwo chłoną chłód. Jeszcze nie przywykłem do tych północnych wód.

Główny kapłan skierował na niego puste spojrzenie, lecz zaraz się uśmiechnął.

– Oczywiście, stary przyjacielu. Chodźmy do mojej kajuty. Każę ci podać dobrej, gorącej herbaty.

Kajuta kapłana była większa niż Vasha, za to nie miała okna. Po dziesięcioleciach towarzyskich kalkulacji na dworze Vash odruchowo zaczął się zastanawiać, co to może oznaczać, i z zadowoleniem doszedł do wniosku, że jego pozycja jeszcze tak bardzo nie osłabła, mimo że przez ostatnie pół roku Panhyssir spędzał dużo czasu w towarzystwie autarchy.

W kajucie wielkiego kapłana był kominek, co oznaczało, że można tam rozpalić niewielki ogień. Akolita przyklęknął, zanim zabrał się do przyrządzania herbaty. Tymczasem Vash opadł na ławę, świadomie unikając zwyczajowego zabiegu nakłonienia niemal równego w sensie społecznym Panhyssira, by pierwszy zajął miejsce. Zależało mu, żeby kapłan Nushasha był w dobrym nastroju.

– A zatem co mogę zrobić dla ciebie, mój drogi stary przyjacielu? – spytał Panhyssir, gdy już obaj trzymali w rękach czarki z herbatą.

Vash odpowiedział uśmiechem, przypominając sobie wszystkie te chwile, kiedy rozważał pomysł sprowadzenia z prowincji któregoś ze swoich kuzynów, by wpakował Panhyssirowi nóż w oko. Dworskie życie nieoczekiwanie uczyniło z nich zarówno przyjaciół, jak i wrogów. W tej chwili Vash myślał o kapłanie niemal z sympatią. Panhyssir może i był samolubnym psem, ale należał do starej gwardii, z której niewielu już zostało, w szczególności po katastrofie, jaką było przejęcie władzy przez Sulepisa.

– Chodzi o Złocistego, naturalnie – rzekł pierwszy minister. – W dzień i w nocy rozmyślałem, jak najlepiej mógłbym mu służyć.

Panhyssir odpowiedział skinieniem głowy mędrca.

– Tak jak my wszyscy. Niech Pan Ognia ma go zawsze w opiece. Ale jakże mogę ci pomóc?

– Dzieląc się swoją mądrością – odparł Vash i napił się herbaty, by zwolnić przebieg rozmowy. – I obdarzając mnie zaufaniem. Ponieważ nie chciałbym, abyś myślał, że wtykam nos w twoje, i tylko twoje, sprawy.

– Mów dalej.

– Mam na myśli twoje relacje ze Złocistym i rady dla niego w kwestii bogów. Nie chcę się wtrącać do tak poważnej funkcji, bo oczywiście nie pojmuję całej materii życia boga na ziemi, nie wspominając już o nieśmiertelnych bogach w Niebiosach.

Panhyssir sprawiał wrażenie lekko rozbawionego.

– Zgadza się. W jakim sensie mogę cię wspomóc swoją... mądrością.

– Będę szczery, stary przyjacielu. W ten sposób okazuję ci zaufanie i dobrą wiarę. Obaj wiemy, że wielu na naszym dworze chętnie wykorzystałoby jakąkolwiek słabość lub niepewność innego ministra – być może by go zadenuncjowali albo spróbowali szantażu.

– Ach, straszni są ci młodzi ministrowie – zauważył ze smutkiem Panhyssir. – Nie mają pojęcia o służbie czy lojalności.

– Właśnie. Lecz ja ufam, że po tylu latach mądrej służby potrafisz odróżnić kwestionowanie mądrości autarchy od zwykłej – całkowicie uzasadnionej – troski o jego dobro.

Oblicze Panhyssira wyrażało coraz większe zadowolenie.

– Intrygujesz mnie, Vash. Niestety w swoim pragnieniu spełnienia się w służbie wybiegasz myślami daleko przed nas wszystkich.

Vash machnął ręką, bo nie chciał rozpoczynać licytacji na pochlebstwa, które na xiskim dworze trwały godzinami.

– Pragnę jedynie dobra Xis i zależy mi na tym, by wypełniać wolę bogów, a w

szczególności Nushasha, który jest królem Niebios, tak jak autarcha jest władcą ziemi. Ale dochodzimy do mojego pytania. – Napił się herbaty i po raz pierwszy poczuł powagę sytuacji, ryzyko, jakie podejmował. Dokąd zmierzamy, dobry Panhyssirze? Co planuje autarcha? Dlaczego towarzyszą nam tak nieliczne wojska, skoro znajdujemy się daleko poza zasięgiem naszej armii w drodze do tego dziwnego północnego kraju?

Wiedział, że gdy wreszcie dał głośno wyraz swoim wątpliwościom, nie ma już odwrotu. Zakotłosał czarką i patrzył, jak listki podnoszą się i układają w różne wzory, złożone i piękne niczym ładnie wykaligrafowany poemat. Przez chwilę Vash wyobraził sobie zupełnie inne życie, w którym odwrócił się od bogactwa i władzy i kreślił tuszem wykresy między ziemią a wiecznością, kopiując słowa wielkich poetów i myślicieli tylko po to, by wyglądały pięknie i tchnęły prawdą zgodnie z zamiarem autorów. Starzeję się, to fakt.

– Ach, tak, nasza podróż na północ. – Wielki kapłan zmarszczył brwi, lecz nie dlatego, że był rozgniewany czy oburzony, raczej jak ktoś, kto rozważa ciekawe wyzwanie. – A co ci powiedział Złocisty?

„Nic” – chciał w pierwszej chwili odpowiedzieć Vash, lecz się powstrzymał. To by oznaczało jego wykluczenie z tej sprawy.

– Niewiele. Obawiam się jednak, że czasem go nie rozumiem, gdyż jego wypowiedzi są zbyt górnolotne dla mego skromnego umysłu. Myślałem, że ty mnie trochę oświecisz.

Panhyssir uśmiechnął się i skinął głową. Ty zadowolona z siebie ropucho, pomyślał Vash. Dlatego zostałeś kapłanem, prawda? Żeby móc traktować nas wszystkich z góry i powtarzać, że tylko ty znasz wolę bogów.

– Przede wszystkim – zaczął wielki kapłan – musisz zrozumieć, że Złocisty jest w równej mierze uczonym co władcą. Znalazł i przeczytał księgi pełne starej wiedzy, o których istnieniu wie niewielu uczonych. Przyznam uczciwie, że w badaniach nad bogami i ich życiem zaszedł dalej niż ja, wielki kapłan największego z bogów.

Vash nie wątpił, że to prawda: Panhyssir nie był głupcem, lecz jego zadowolenie z władzy znacznie przewyższało umiłowanie wiedzy.

– A te... studia? W jakiś sposób prowadzą nas na północ, do jakiegoś zmarzniętego, sieczonego deszczem dzikiego kraju. Dlaczego?

– Ponieważ Złocisty przystąpił do realizacji planu tak śmiałego i zdumiewającego, że nawet ja ledwo go pojmuję. – Kapłan pogłaskał się po wydatnym brzuchu. – I na całych kontynentach Xandu czy Eionu jest tylko jedno miejsce, gdzie można go wcielić w życie – jest to zamek w malutkim kraju zwanym Królestwem Pogranicza, którym rządzi pogański król Olin.

– Cóż to za plan, Panhyssirze?

– Pan Wielkiego Namiotu, nasz błogosławiony autarcha, zamierza obudzić z długiego snu samych bogów. – Kapłan dopił herbatę i uniósł dłoń z czarką, po którą zaraz przyszedł jeden ze służących. – Uczyni to za cenę życia północnego króla. Śmieszna zapłata za to, że sprowadzi Niebiosa na naszą zepsutą ziemię, zgodzisz się chyba ze mną, drogi pierwszy ministrze...?

Pinimmon Vash nie wiedział, co myśleć. Gdy wchodził powoli po stopniach prowadzących na górny pokład, poczuł, jak spływa na niego fala znużenia, równie ciężka jak spienione grzywacze za burtą statku. Co można było poradzić na takie szaleństwo, co mógł zrobić jeden starzec? Oczywiście Panhyssir i jego kapłani cieszyli się z obłędu autarchy – najwyższy kapłan podchwycił te ezoteryczne pomysły jak kot, który biegnie za kłębkami wełny. Czy to z tego powodu wciąż wdzierali się w głąb Eionu ogromnym kosztem, na skutek czego zgromadzili

armię tak ogromną, wygłodniałą i niebezpieczną, że trzeba było nieustannie ją kierować na kolejne pola walki, by nie narobiła kłopotów w domu. Jeśli tak, to skąd ta nagła zmiana planów: najpierw kosztowny atak na Hierosol, a teraz ten dziwny wypad, niczym sztuczka magika, daleko na północny kontynent?

Czy autarcha i kapłani naprawdę wierzą, że bogowie czekają w zamku północnego króla, aż ktoś ich obudzi? Czy może pragną zdobyć coś bardziej prawdopodobnego – jakiś przedmiot niezwykle cenny albo obdarzony wielką mocą? Tylko czego mógłby aż tak pożądać autarcha? Przecież już był najpotężniejszym człowiekiem na świecie. Czy byłby gotów doprowadzić do upadku całego Xis z powodu jednej zachcianki, zapędzić do walki wszystkich dorosłych mężczyzn, może nawet zniszczyć całe pokolenie tylko po to, żeby zdobyć jakiś bardziej świecący miecz czy okazalszy dom?

A jaka jest w tym wszystkim moja rola – czy mam mu pomóc spełnić ten kaprys, czy spróbować w jakiś sposób go powstrzymać? Jest nieustannie strzeżony, nawet na tym małym statku, przez degustatorów, służbę i żołnierzy Lampartów, a poza tym nawet gdybym znalazł się z nim sam na sam, to jest o wiele młodszy i silniejszy niż ja. Nie, niedorzecznością było myśleć, że pierwszy minister mógłby w jakikolwiek sposób zaatakować autarchę, a nieudana próba z pewnością skończyłaby się okrutnymi torturami, po których wykonano by egzekucję. Vash przypomniał sobie, co spotkało Jeddina, byłego dowódcę Lampartów, i aż zadrżał.

Nie, nie można niczego robić pochopnie...

Zastał obcego króla na pokładzie dziobowym, gdzie ten siedział na ławce, z odkrytą głową, delektując się porannym, jeszcze nie tak gorącym słońcem. Wzdłuż relingu, po obu stronach władcy, rozstawiono po kilku strażników, a dwóch innych pilnowało wyżej wejścia na pokład działowy. Dziwne było to, jakie towarzystwo wybrał sobie północny władca: zaledwie kilka kroków od Olin Eddona siedział kaleki skotarcha Prusus w swojej lektyce, której zasłonki odsunięto, by wpuścić do wnętrza trochę słońca. Skotarcha przechorował pierwszych kilka dni morskiej podróży, lecz nawet teraz, gdy już wydobrzył, wciąż wyglądał, jakby zaraz miał umrzeć, bo jego kończyny drgały, a głowa kiwała się na boki. Już sam widok Prususa zirytował Vasha i go przestraszył. Wybór takiej żalostnej istoty stanowił jeden z pierwszych zwiastunów niepokojących i niezrozumiałych pomysłów nowego autarchy.

Vash ponownie skierował spojrzenie na króla z północy. Bez względu na to, jak szalone plany miał Złocisty, było jasne, że oznaczają one śmierć Olin, o czym powinien pamiętać, gdy będzie z nim rozmawiał. Przypominało to głaskanie zwierzęcia przeznaczonego na ofiarę – zwykle czyniono to tylko po to, by je uspokoić, bo nie było sensu przywiązywać się do niego.

Vash posłał królowi uśmiech.

– Witaj, królu Olinie. Ufam, że miło ci siedzieć w słońcu?

– Jakże miałoby mi być miło, skoro za każdym razem, kiedy zachodzi, myślę, że może oglądam je po raz ostatni?

Pierwszy minister skłonił głowę, doskonale udając żal.

– Bądź dobrej myśli, Wasza Wysokość. Może Złocisty cię oszczędzi. Nasz wielki pan jest zmienny. – Co było prawdą, lecz raczej nigdy z korzyścią dla ofiary.

Olin uniósł brew.

– Czemuż więc miałbym się obawiać? – Spojrzał znowu na horyzont. Bładość więźnia ustąpiła lekkiej opaleniznie. Nawet jego rudawe włosy jakby zjaśniały i nabrały połysku. Vash pomyślał, że to wielka ironia, bo oto Olin Eddon, w miarę jak zbliżał się do śmierci, coraz bardziej przypominał żywego człowieka.

– Niczego ci nie trzeba? – zapytał króla.

– Nie, czuję wiatr na twarzy i na razie niczego więcej nie pragnę. Ale mógłbyś

odpowiedzieć na moje pytanie. – Pokazał na Prususa w lektyce. – Spytałem go, lecz... skotarcha, bo tak go chyba nazywacie, nie jest zbyt... rozmowny.

– Nie, Wasza Wysokość, masz rację. – To żalosny dziwoląg, którego należało udusić zaraz po urodzeniu. Tylko kobieta tak bogata jak jego matka mogła sobie pozwolić na to, żeby go zachować przy życiu. Głupotą było tak myśleć, lecz Vash zawsze był poirytowany, czując na sobie spojrzenie wiecznie błędzących załzawionych oczu Prususa. – Zaspokoję twoją ciekawość, jeśli tylko będę umiał.

– Dobrze. Kim jest skotarcha? Rozumiem, że ten tutaj osobnik jest w pewnym sensie następcą autarchy.

– Tak. Domyślam się, jak dziwne może ci się to wydawać. – Jego nogi coraz wyraźniej protestowały przeciwko tak długiemu staniu, więc podszedł do ławki naprzeciwko króla z północy i usiadł. – Mówią, że zwyczaj ten wywodzi się z dawnych czasów, gdy jeszcze mieszkaliśmy na pustyni i wędrowaliśmy zebrani w plemionach nomadów. Raz w roku spotykaliśmy się wszyscy przy *xawadis*, miejscu, w którym woda nigdy do końca nie wysycha, świętym miejscu, i wybieraliśmy wodza wszystkich plemion – Wielkiego Sokoła. Ale wybieraliśmy też Kanię, drapieżnego ptaka pustyni. Był to zwykle starszy członek klanu, odpowiedzialny i mądry, lecz bez ambicji. Wędrował z klanem Sokoła, by zająć jego miejsce, gdyby coś złego spotkało wodza klanów.

Z upływem wieków, gdy osiedliliśmy się w miastach, łączące ich relacje stały się bardziej subtelne i złożone i z czasem Sokół i Kania, teraz nazywani autarchą i skotarcha, wręcz walczyli ze sobą, wspierani przez swoich popleczników, swoje klany i armie. Po upadku pierwszego xiskiego imperium przywódcy klanów, które jeszcze istniały, zebrali się w miejscu, gdzie powstało miasto Xis, i ustanowili Kodeks Shakh Xis. Zawarte w nim najważniejsze prawa określały role autarchy i skotarchy. A może opowiadam ci rzeczy, które już znasz, Wasza Wysokość?

– Och, nie, mów dalej, proszę.

– Dobrze. Tak więc Kodeks Shakh Xis mówił, że autarcha zawsze będzie wybierał skotarchę i że skotarcha nigdy nie będzie rządził Xis, chyba że umrze autarcha, a i wtedy będzie panował tylko do momentu, aż zbierze się rada szlachetnie urodzonych rodów i poprze kolejnego autarchę, który przeważnie jest następcą tego zmarłego.

– Nie widzę w tym nic niezwykłego – rzekł Olin. – W niektórych Królestwach Pogranicza mamy podobne prawa.

– Tak, lecz ciekawie wygląda to dopiero wtedy, gdy sprawy potoczą się odwrotnie – wyjaśnił Vash. Zerknął szybko na Prususa, lecz wydawało się, że skotarcha zasnął; cienka strużka śliny łączyła jego dolną wargę z kołnierzem. – Jeśli umiera skotarcha, autarcha musi ustąpić i dopiero rada decyduje, czy może kontynuować swoje rządy. W tym czasie nie cieszy się on opieką bogów. Szlachetnie urodzeni mogą pozbawić go władzy i stracić. Nieraz tak się zdarzało.

Olin uniósł brew.

– Jeśli skotarcha umrze, to autarcha może zostać zdetronizowany? Czemuż to?

Vash wzruszył ramionami.

– W ten sposób pilnowano, by żaden z zazdrosnych klanów nie przejął władzy. Nie ma sensu być skotarchą, jeśli pragnie się tylko władzy, bo gdy umiera autarcha, skotarchą będzie rządził tylko do momentu wyboru nowego autarchy. Nie ma też sensu mordować autarchy, szczególnie jeśli jest się niecierpliwym spadkobiercą, ponieważ wmiesza się skotarchą i może pokrzyżować plany.

– Tak więc każdy autarcha wybiera nowego skotarchę – rzekł Olin, spoglądając na

Prususa, który pochrapywał, lecz wciąż podrygiwał lekko nawet we śnie, tak że jego ręce poruszały się jak trącane silnym wiatrem kwiaty maku. – Lecz skoro autarcha jest choćby tymczasowo pozbawiony władzy po śmierci swojego skotarchy, to czy nie byłoby rozsądniej wybrać najmłodszego i najzdrowszego skotarchę, jakiego da się znaleźć?

– Naturalnie, Wasza Wysokość – odparł Vash. – W przeszłości autarchowie organizowali wielkie uroczyste zawody, których uczestnicy siłowali się na matach, ścigali albo walczyli w pojedynkach, by wybrać najzdrowszych i najsilniejszych kandydatów spośród szlachetnie urodzonych.

– Ale ten autarcha wyłamał się, jak widać.

Vash pokręcił głową.

– Złocisty różni się od swoich poprzedników pod wieloma względami, niech żyje długo. – Minister zniżył głos, tak by nie usłyszeli go żołnierze. Podczas ceremonii wręczenia Prusowi Korony Kani jego wielka miłość Sulepis powiedział do nas: „Niech ci, którzy nie wierzą we mnie, patrzą, kogo bogowie wezmą pierwszego – tego oto Prususa czy też moich wrogów”. – Vash się wyprostował. – Od tamtej pory wielu spośród wrogów Złocistego opuściło tę ziemię, a Prusus wciąż żyje i oddycha. – Pierwszy minister podniósł się z ławki, nie bez pewnego wysiłku. Teraz czuł się lepiej. Rozmowa z tym obcym człowiekiem pozwoliła mu poukładać myśli i pozbyć się wcześniejszych trosk. Oczywiście, to bogowie powinni zdecydować, czy powstrzymać Sulepisa, a nie Pinimmon Vash. Jeśli zechcą ugodzić Złocistego czy choćby mu przeszkodzić, wystarczy, że złamią tę kruchą trzcinę, jaką było życie kalekiego Prususa. Dla nich to będzie jak trzepnięcie muchy.

– Jeszcze jedno pytanie, proszę – odezwał się Olin.

– Oczywiście, Wasza Wysokość.

– Gdyby ktoś – niech bogowie bronią – po prostu wypchnął skotarchę Prususa za burzę, czy wtedy autarcha straciłby władzę?

Vash skinął głową.

– Inni też o tym myśleli. To możliwe.

– Możliwe? Myślałem, że takie jest wasze prawo.

– Ale powszechnie wiadomo, że Sulepis stanowi prawo dla samego siebie. Istnieje też inny powód, dla którego, jak sądzę, nikt się dotąd na to nie odważył.

– Jaki?

– Bez względu na to, co by się wydarzyło, morderca skotarchy zostałby ukarany i byłaby to okrutna kara – jeśli pamiętam, rzucono by do klatki lwa bebechy tej osoby, jeszcze żywej, wciąż z nią połączone. Tak więc nie zdarzyło się, by ktoś zamordował skotarchę, nawet przed wstąpieniem Sulepisa na tron.

– Dziękuję ci – rzekł Olin. – Twoja opowieść dała mi dużo do myślenia, ministrze.

– Cieszę się, że mogłem być pomocny, Wasza Wysokość – odparł Vash i skłoniwszy głowę, odwrócił się i udał do swojej kajuty. Po nieoczekiwanie pracowitym poranku i przygnębiającym towarzystwie człowieka, którego los był już przesądzony, poczuł, że ma ochotę coś zjeść i napić się słodkiego wina.

Człowiek, który nigdy się nie uśmiechał, stanął w drzwiach kajuty. Zwykle w takiej sytuacji Gołąb zasłoniłby sobą Qinnitan, niczym wierny pies, lecz teraz schował się za nią, wydając nieartykułowane odgłosy przerażenia. Dziewczyna starała się nie okazać, że czuje się podobnie.

– Czego chcesz? – warknęła.

Nieusmiechający się nigdy mężczyzna ledwie na nią zerknął, po czym omiół spojrzeniem małą kajutę, okropnie duszną pomimo zimnej pogody, ponieważ okiennice były zabite gwoździami, przepelnioną smrodem ich niemytych ciał i moczu w nocniku, który opróżniano tylko raz dziennie.

– Idę do miasta – odezwał się wreszcie. – Nie próbuj żadnych sztuczek podczas mojej nieobecności.

– Jakiego miasta? – Znając jego nazwę, może mogłaby się zorientować, gdzie są. Z odgłosów i ruchów statku odgadła, że rzucili kotwicę, i strasznie się przeraziła, że dogonili statek autarchy. Ale może chodziło o coś innego. Starła się nie robić sobie zbyt dużych nadziei.

Mężczyzna nie odpowiedział na jej pytanie i jeszcze raz się rozejrzał.

– Jeśli nie wrócę do zachodu słońca, jeden z członków załogi przyniesie wam jedzenie. Ostrzegłem ich, że nie wolno im cię zabijać, dziewczyno, ale gdybyś próbowała jakichś sztuczek, mogą się zabrać do chłopaka. – Skierował spojrzenie bladych oczu na Gołębia. – Taka jest jego rola. Żebyś robiła, co ci każę. Rozumiesz?

Qinnitan przełknęła ślinę.

– Tak.

Mężczyzna odwrócił się do niej. Jego oczy były tak samo puste jak oczy czerwono-srebrnych ryb w stawach Samotni.

– Chciałabym się wykapać – powiedziała. – Umyć. Przecież nie chcesz przekazać autarsze takiej śmierdzącej niewolnicy.

Podszedł do drzwi.

– Zobaczymy.

– Dlaczego nie chcesz wyjawic mi swojego imienia?

– Bo martwi nie potrzebują imion – odpowiedział i wyszedł.

Usłyszała zgrzyt zamykanej zasuw.

Ktoś coś do niego mówił w korytarzu. Sądząc po głosie, mógł to być kapitan – jeden z najlepszych kapitanów autarchy, jak podsłuchiwała Qinnitan w rozmowie członków załogi. Dowiedziała się też, że kapitan niechętnie przyjmuje rozkazy od ich porywacza, kimkolwiek był. Wyswobodziła się z uścisku Gołębia i podeszła do drzwi. Przyłożyła ucho do szczeliny.

– ...Nic na to nie poradzimy – mówił kapitan do bezimiennego mężczyzny. – Nie obawiaj się. Mamy szybszy statek i w ciągu kilku dni dogonimy flotyllę autarchy.

– Skoro nie da się inaczej, niech tak będzie – odpowiedział porywacz po długiej chwili milczenia. W jego głosie pojawiła się nuta emocji – zniecierpliwienia, może nawet gniewu. – Wrócę przed nocą. Dopilnuj, żebyśmy do tej pory byli gotowi do wypłynięcia.

Teraz kapitan nie potrafił ukryć irytacji.

– Nie da się tak szybko wstawić nowego steru, nawet w takim porcie jak Agamid. Staram się, ale bogowie chadzają własnymi ścieżkami.

– Nieprawda – zaprzeczył porywacz. – Jeśli nie uda nam się dogonić autarchy, wtedy nawet bogowie ci nie pomogą. Mogę ci to obiecać, kapitanie.

Qinnitan wycofała się na palcach do łóżka i usiadła na nim obok Gołębia. Pościel była wilgotna, podobnie jak skóra chłopca. Czyżby zachorował? Omal się nie ucieszyła. Spłataliby niezłego figla mordercy, który ich porwał, gdyby oboje umarli na jakąś chorobę, zanimby ich dostarczył do miejsca przeznaczenia.

– Ciii – szepnęła do drżącego chłopca. – Wszystko będzie dobrze, kurczaczku. Zobaczysz... – W jej głowie kłębiły się myśli. Zaczumowali w Agamid, powiedział kapitan, a ona słyszała o tym mieście z łaski Świętych Pszczół z Ula, położonym na południowo-wschodnim

wybrzeżu Eionu, na północ od Devonisu. Pochodziła stamtąd jedna z dziewcząt służąca w umywalni w Cytadeli. Qinnitan zaczęła przetrząsać zakamarki pamięci w poszukiwaniu czegoś, co tamta mogła powiedzieć o swoim rodzinnym mieście, lecz przypomniała sobie tylko informację, że do miasta bardzo długo rościły sobie prawo zarówno Devonis, jak i Jael, dlatego tamtejsza ludność mówiła kilkoma językami. Lecz to w niczym nie mogło jej pomóc. Musiała znaleźć sposób na wydostanie się ze statku podczas nieobecności mężczyzny. Gdyby potrafiła odwrócić uwagę...

– Ufasz mi? – zwróciła się do niemego chłopca. – Gołębiu? Ufasz mi?

Przez długą chwilę wydawało się, że jej nie słyszy, a ona przestraszyła się, że choroba za bardzo go już zmoęła i nie jest zdolny do żadnego ruchu, a co dopiero do próby ucieczki, która mogła kosztować go życie, lecz on wreszcie otworzył oczy i skinął głową.

– Dobrze – powiedziała. – Bo mam pewien pomysł, ale wydaje się trochę groźny. Obiecuję, że nie będziesz się bardzo bał, bez względu na to, co się stanie.

Wysunął chudą dłoń spod cienkiego wytartego koca i ścisnął jej rękę.

– W takim razie posłuchaj. Będziemy mieli tylko jedną szansę. – A jeśli nam się nie uda, zginiemy oboje. Tego już mu nie powiedziała, lecz chłopiec i tak się domyślał. Żyli na kredyt od momentu, gdy bezimienny mężczyzna zawłókł ich na pokład statku flagowego autarchy.

Zaraza albo ogień, pomyślała. Tak czy inaczej, prędzej zginę w ogniu, niż znowu pozwolę dotknąć się autarsze.

Śmierć w zewnętrznych korytarzach

Gobliny, szczególnie te większe, wiodące samotniczy tryb życia, były spotykane w odległych zakątkach Eionu nawet po drugiej wojnie z czarodziejskim ludem. Kroniki podają, że zabito goblina w Kertewall w Królestwach Pogranicza za panowania króla Ustina, a jego ciało pokazywano gościom, którzy zgodnie twierdzili, że nie jest to istota naturalna.

– z Traktatu o czarodziejskich narodach obojga kontynentów Eionu i Xandu

– Przyznam, że nic z tego nie rozumiem, Chavenie. – Ferras Vansen pokręcił głową. – Bogowie, półbogowie, potwory, cuda... a teraz jeszcze lustra! Myślałem, że z czarami wiąza się trucizny i parujące kotły.

Medyk uśmiechnął się, lecz jakby trochę nieszczercze.

– Nie rozmawiamy o czarach, kapitanie. To jest nauka – powiedział. – Różnica polega na tym, że uczeni ludzie obserwują pewne rzeczy i dzielą się spostrzeżeniami z innymi uczonymi, powiększając wiedzę. Dlatego potrzebuję twojej pomocy. Opowiedz mi wszystko jeszcze raz.

– Powiedziałem już wszystko, co pamiętam. Wpadłem w ciemność Wielkich Głębi. Długo spadałem. Wydawało mi się, że zasnąłem i śnię. Przypominam sobie tylko strzępy tego snu i wszystko ci opisałem. Potem wyszedłem z ciemności i... tak, tę część dobrze pamiętam. Zanurzyłem się w cień, lecz wyszedłem na własnych nogach. Znalazłem się w środku Miasta Funderlingów – choć nie od razu to wiedziałem, bo przecież nigdy wcześniej tam nie byłem.

– Ale stałeś na lustrze, dobrze pamiętam? Wielkim lustrze, które odbija oblicze boga nazywanego przez Funderlingów Panem Gorącego Mokrego Kamienia, Kerniosa, bo tak nazywamy go my, trygonaci.

Vansen, coraz bardziej zmęczony, nie rozumiał, dlaczego Chaven wciąż zadaje mu tyle pytań dotyczących jego powrotu na Górę Midlana. Czyż nie wyjaśnił już wszystkiego pierwszego dnia?

– Owszem, stałem na lustrze. I ujrzałem oblicze Kerniosa, choć nie wiedziałem, że Funderlingowie nazywają go inaczej. Gdy teraz o tym wszystkim myślę, przypominam sobie, że ten jednooki potwór Jikuyin to właśnie planował – chciał otworzyć drzwi domu Kerniosa, cokolwiek to mogło znaczyć. Nie zastanawiałem się nad tym zbyt długo, bo miałem inne rzeczy na głowie. – Uśmiechnął się. – Hordę Funderlingów wymachujących różnymi ostrymi przedmiotami. Jeśli mnie pamięć nie myli, to ty, Chavenie, nimi dowodziłeś, więc wiesz, co było potem.

– Wszystko brzmi dość sensownie – powiedział powoli medyk, jakby już nie słyszał końca wypowiedzi Vansena. W rzeczywistości wydawało się, że przestał słuchać w momencie, gdy kapitan wspomniał o domu Kerniosa. – Może w ciemności Wielkich Głębi było inne lustro – zastanawiał się – albo coś, co działało podobnie... nie mamy pojęcia, jak wielką wiedzę posiadają Qarowie, którzy współlistnieli z bogami. – Chaven zaczął się przechadzać po refektarzu, który w świątyni Braci Metamorficznych był jednym z nielicznych miejsc, poza świętą kaplicą, na tyle wysokim, że obaj mężczyźni mogli się wyprostować i poruszać swobodnie. – A na drugim końcu

mamy święte miejsce w Mieście Funderlingów, co prawda poświęcone bogu o innym imieniu. Jakby ten sam dom miał drzwi prowadzące do Eionu i inne, przez które wychodzi się do słonecznego Xandu!

– Znowu cię nie rozumiem, doktorze. – Ferras Vansen nie miał głowy do długich dywagacji i rozważań. W końcu był żołnierzem i pragnął zrobić coś dla kraju, który znalazł się w niebezpieczeństwie. – Ale już nie marnuj swoich sił na wyjaśnienia. Jestem zbyt prostym człowiekiem na takie rzeczy.

– Jak zawsze nie doceniasz swojego poczucia humoru, kapitanie – odparł Chaven pogodnym tonem. – Problem w tym, czy przekonałeś samego siebie? W każdym razie nie zwracaj na mnie uwagi. Mam wiele do przemyślenia, zanim w ogóle spróbuję to ułożyć w jakąś sensowną całość. Przerazające jest to, że brat Okros należał do jednych z najlepszych znawców tych spraw i bardzo bym chciał podzielić się z nim swoją wiedzą, a także usłyszeć, co on sam ma do powiedzenia, choć z drugiej strony jakaś część mnie pragnie wyrwać mu serce.

– Obawiam się, że go nie znam.

– Brata Okrosa? To zdrajca, podły zdrajca. Uważałem go za przyjaciela, a okazało się, że przez cały czas wysługiwał się Hendonowi Tolly'emu. – Wzburzony medyk zamilkł.

Chwilę później otworzyły się drzwi i wszedł Cynober.

– Dzień dobry, panowie – powiedział i pozdrowił zebranych uniesioną dłonią.

Vansen rozmawiał z nim wcześniej tylko dwukrotnie, ale polubił tego małego Funderlinga i domyślał się, dlaczego Rogowiec tak dobrze się o nim wyraża.

– No cóż, musimy uwierzyć ci na słowo, magistrze Cynobrze. Nie że dzień jest dobry, ale że już jest dzień. Zanim tu przybyłem, długo pozostawałem uwięziony w kopalniach krainy cienia i nie widziałem nieba. – Bardzo pragnął znowu zobaczyć słońce. Śniło mu się czasem, tak jak nieraz ktoś widzi we śnie niedawno zmarłego ukochanego krewnego.

– A to dlatego, że ludzie tam na górze prędzej posłaliby ci strzałę w plecy, niż pozwolili pooddychać świeżym powietrzem, kapitanie – rzucił przywódca Funderlingów pogodnym tonem. – Ale to chyba nie jest moją winą? Przyszedłem tu po Rogowca Lideryta i widzę, że się spóźniłem.

– Pomaga swojej rodzinie się rozlokować – wyjaśnił Vansen. – A Chaven i ja rozmawialiśmy o różnych rzeczach. Muszę przyznać, że nie miałem pojęcia, jak dużo się dzieje w Mieście Funderlingów – ukryte tunele, Rogowiec i Opal z synem znalezionym za Granicą Cienia, czarodziejskie lustra. I pomyśleć, że tak długo mieszkałem nad tak egzotycznym miejscem, nie mając o niczym pojęcia!

– Znowu lustra? – zapytał Cynober. – Co to za gadanie o lustrach?

– Nic takiego – odezwał się szybko Chaven. – Lustra nie są ważne. – Wydawało się, że pomimo wcześniejszego zainteresowania i licznych pytań, którymi zamęczał Vansena, teraz nagle pragnie zmienić temat rozmowy. – Najważniejsze, że jest nas tu niewielu i pozostajemy uwięzieni między Qarami, którzy czekają za murami, a tym zdrajcą Hendonem Tollym, który siedzi w zamku nad naszymi głowami. I jeśli Qarowie wiedzą o istnieniu tuneli Burzowego Kamienia, jak sugerował Rogowiec, to może nie pozostaną już długo za murami...

Zanim medyk skończył mówić, do refektarza wszedł Rogowiec Lideryt. Posuwał się powoli, jakby dźwigał pokaźny ciężar.

W pewnym sensie tak jest, pomyślał Vansen. Rogowca wciąż wypychano na pierwszą linię podczas kolejnych rozmów, choć on wcale nie był zadowolony z takiej odpowiedzialności. Mimo wszystko Funderling wywarł duże wrażenie na Vansenie. Kapitan dostrzegł w nim swojego dawnego mistrza Donala Murroya, szczególnie pod względem cierpkiego humoru, który kiepsko maskował jego dobry charakter.

Cynober rozłożył ramiona.

– Ach, jesteś, Rogowcu, mój dobry przyjacielu! Zapewne przybywasz prosto od stołu. Ma za żonę wspaniałą kucharkę, wiedzieliście o tym?

– Z tego, co dali jej ci skąpi mnisi, może w najlepszym razie uwarzyć kamieniówki – rzekł Rogowiec. – Bracia Metamorficzni traktują radość jedzenia jako jedną ze ścieżek prowadzących do upadku. – Funderling przewrócił oczami. – Nikiel powiedział mi: „Ciesz się, że możecie upiec sobie świerszcze. Nasi akolici dostają świerszczołygę tylko raz w tygodniu i bardzo się cieszą...”

Zjawił się Nikiel we własnej osobie, nachmurzony jak zwykle.

– Żadnego pożytku dzisiaj z naszych braci. Wolą plotkować o dużych i czarodziejskim ludzie, zamiast zajmować się sprawami Starszych.

– Nadeszły dziwne czasy – rzekł Cynober. – Nie traktuj ich zbyt surowo, bracie Niklu.

Rtęciowiec reprezentował cechowych mistrzów i to właśnie Cech miał zdecydować, czy Nikiel zostanie wybrany na opata. Nawet Ferras Vansen, mimo że był kimś z zewnątrz, zauważył zmianę na twarzy kapłana Funderlingów.

– Masz rację, magistrze – odpowiedział posłusznie Nikiel. – Oczywiście.

Vansen dostrzegł grymas obrzydzenia na twarzy Rogowca Lideryta i szybko przygryzł wargę, by nie wybuchnąć śmiechem.

– Twierdzisz zatem, że obrona Miasta Funderlingów nie jest możliwa? – zapytał Vansen.

– Nie, kapitanie – odparł Cynober. – Ale nie mówimy o mieście obwarowanym murami, takim jak to nad naszymi głowami. Im bliżej do Miasta Funderlingów, tym więcej dróg do obrony. Dziesiątki!

– W takim razie powinniśmy skupić się na obronie świątyni – odezwał się niespodziewanie Rogowiec.

– Co ty wygadujesz, Liderycie? – Nikiel bez wątpienia odwzajemniał niechęć Rogowca. – To jest święte miejsce, a nie pole bitwy!

– Pole bitwy jest tam, gdzie dochodzi do bitwy, bracie Niklu – zauważył Cynober. – Staramy się zapobiec temu, by świątynia Braci Metamorficznych i Miasto Funderlingów stały się polem bitwy. To miał na myśli Rogowiec, jak sądzę.

– Mniej więcej. – Mały Funderling rozejrzał się, jakby nagle speszony uwagą pozostałych skierowaną na niego. – W każdym razie sprawy mają się tak: Starożytne tunele, które prawdopodobnie wykorzysta czarodziejski lud, te, które przechodzą pod zatoką, mijają świątynię daleko przed miastem. Co więcej, zarówno te, jak i inne tunele, z którymi się łączą, rozchodzą się dokładnie nad naszymi głowami, tak że na peryferiach miasta jest ich co najmniej setka – zbyt dużo, by dało się wszystkie obronić.

– A może by je zablokować? – zaproponował Vansen. – Macie dość kamienia, mnóstwo. W Wielkich Głębiach widziałem, jak niewolnicy Jikuyina używają prochu...

Cynober pokręcił głową z dezaprobatą.

– My mówimy proszek wybuchowy. Tak, mamy coś takiego i dość kamienia, ale trzeba by roku i armii ludzi, żeby odciąć wszystkie dojścia do Miasta Funderlingów. Stąd odchodzą drogi do różnych kamieniołomów, do stawów z wodą pitną, do kilkunastu innych okolicznych miejsc, że nie wspomnę o naturalnych pieczarach i tunelach, które powstały samoistnie. Trzeba by zamknąć wszystkie przejścia, co do jednego. – Westchnął. – Rogowiec ma rację. Jeśli czarodziejski lud przejdzie pod zatoką drogami Burzowego Kamienia, to będziemy musieli powstrzymać ich tutaj, gdzie istnieje możliwość zredukowania liczby tuneli do kilku, albo w

ogóle ich nie powstrzymamy.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że zamierzasz zamienić świątynię w obóz wojskowy...! – zawołał Nikiel, lecz w tej samej chwili rozległo się głośnie pukanie do drzwi i do refektarza wpadł krzepki brat Antymon z twarzą zaognioną rumieńcem.

– Wybaczcie, panowie, proszę! Chodzi o to, że... niektórzy z braci... coś... oni słyszeli jakieś hałasy...

Cynober uniósł brew.

– Na śmiertelne osuwisko, o czym ty mówisz, chłopcze? Hałasy? Jakie hałasy? Gdzie? I co w tym dziwnego?

Antymon wyraźnie próbował pozbierać myśli.

– W Przewiertach w zewnętrznych korytarzach, magistrze – to ciąg połączonych tunelami komór, jeszcze za najdalszymi świątynnymi ogrodami. Kilku akolitów usłyszało głosy dochodzące z głębi i przysłało do nas jednego z wiadomością.

– Dlaczego nie przyszli prosto do mnie? – dopytywał się Nikiel.

Cynober uciszył starszego kapłana gestem dłoni.

– Nie jestem pewny, czy mamy powód do niepokoju, bracie Antymonie. Ci akolici teraz poszczą, prawda? Gdy żołądek jest pusty przez długi czas, często się zdarza, że ktoś słyszy różne rzeczy albo ma zwidy.

Antymon skłonił głowę.

– Zgadza się, magistrze – mówił odważnie dalej. – Poszczą i rzeczywiście czasem słyszą i widzą różne rzeczy. Rzecz w tym, że kilku z nich słyszało to samo: głosy podobne do szeptu wiatru, które przemawiały językiem niezrozumiałym dla naszych akolitów.

Rogowiec nachylił się do przodu.

– Antymonie, czy te tunele dochodzą w którymś miejscu do Dróg Burzowego Kamienia?

Antymon skinął głową.

– Za Przewiertami, tak, oczywiście, magistrze Liderycie. Niżej biegnie uliczka Czarnej Lampy, a za nią zaczyna się droga Burzowego Kamienia.

– A zatem jeśli czarodziejski... Qarowie zdecydują się przejść pod zatoką, tak jak mówiliśmy, to możliwe, że pójdą właśnie tędy – rzekł Vansen.

– A my nawet nie zaczęliśmy zabezpieczać dróg wokół świątyni – zauważył Cynober. – Na zawały i osuwiska! Jak mamy bronić wszystkich tuneli, skoro czarodziejscy ludzie są tuż-tuż? Za dużo przejść! Nie damy rady, nawet gdybyśmy mieli do pomocy wszystkich powierzchniowców z ich armatami i końmi!

– Tak czy inaczej, ktoś musi iść i sprawdzić te Przewierty, jak je nazwaliście. Odwagi. Może to rzeczywiście tylko wytwór wyobraźni wygłodniałych mnichów. Ale trzeba działać szybko, na wypadek gdyby się okazało, że jest inaczej.

– Funderlingowie nie mają armii, kapitanie Vansen – przypomniał mu Cynober.

– Na pewno macie ludzi zdolnych do walki. – Vansen się rozejrzał. – A kim byli ci, którzy mnie zaatakowali, gdy tu przybyłem? Większość miała szufle i kilofy, ale widziałem też kilku młodych uzbrojonych w coś, co przypominało prawdziwą broń.

– To Strażnicy Cechu – wyjaśnił Cynober. – Pełnią rolę wartowników... nie, bardziej sędziów. Pomagają strzec Domu Cechowego i innych ważnych miejsc. Ale zwykle mają do czynienia tylko z pospolitymi przestępstwami, jak kradzież, pijaństwo w miejscu publicznym czy jakieś rozruchy.

– Nieważne. – Serce Vansena biło coraz szybciej. Oto znowu mógł się na coś przydać, naprawdę pomóc, zamiast tylko odpowiadać na niekończące się pytania Chavena o lustra. – Na pewno mają pewne przygotowanie i przynajmniej noszą broń. Przyślijcie mi oddział tych

strażników, jak najliczniejszy, a ja, za zgodą Cechu, poprowadzę ich na dół, żeby sprawdzić, kto tam szeptuje i szpieguje.

– Wysłanie posłańca do Cechu i jego powrót zajmie dużo czasu – powiedział Cynober wyraźnie zniechęcony.

– Może mnisi mogliby pójść z kapitanem Vansenem – zaproponował Rogowiec.

– Nie ma mowy! – zawołał Nikiel. – Ślubowali służyć tylko Starszym!

– Tak? I myślisz, że Starsi woleliby w świątyni Qarów dokazujących pośród Tajemnic? – zwrócił się do niego Rogowiec.

– Wystarczy – wtrącił się magister Cynober. – Mamy tu kilku strażników, którzy przyszedli ze mną w charakterze gwardii honorowej na cześć astionu.

Astion odgrywał podobną rolę jak królewska pieczęć u Eddonów, jak dowiedział się Vansen. Jeśli ktoś okazywał ten kamienny krążek, to znaczyło, że działa z polecenia Cechu.

– Mogą pójść z kapitanem Vansenem, a w tym czasie posłańcy zainoszą list ode mnie do ratusza i poinformują Cech o naszych obawach i potrzebie większej liczby ludzi.

– To brzmi sensownie, magistrze – rzekł Vansen i kiwnął głową z uznaniem. – Czy mnich, który przyniósł wieści, może zaprowadzić nas tam z powrotem?

– Biegł przez cały dzień – odpowiedział Antymon. – Zupełnie opadł z sił i leży w lecznicy.

– W takim razie wymyślimy coś innego. Rogowcu, pomożesz mi się przygotować? Tak mało wiem o was i o tym miejscu.

Wyraźnie niepokojony Rogowiec wzruszył ramionami.

– Oczywiście. Bracie Antymonie, czy będziesz tak dobry i poinformujesz moją żonę, że mogę nie wrócić na wieczorny posiłek? – Popatrzył za wychodzącym mnichem. – Lepiej, żeby on to zrobił – powiedział cicho do Vansena. – Staruszce się to nie spodoba.

Cynober przedstawił nowo przybyłego Funderlinga z miną kogoś, kto prowadzi niebezpiecznego psa na bardzo krótkiej smyczy.

– To jest Jaspis Młot – dowódca ludzi, którzy idą z tobą. Chciał się z tobą spotkać.

Przybysz nie był wyższy od Cynobra, co oznaczało, że ledwo sięgał Vansenowi do pasa, za to aż pęczniał od mięśni, przez co był prawie tak samo szeroki jak wysoki. Miał długie ramiona i duże dłonie, równie duże albo nawet większe niż kapitan. Otaczała go aura agresywności – ogolona głowa przypominała kulę armatnią, a twarz okalały krzaczaste brwi i najeżone bokobrody.

Funderling długo patrzył groźnie na Vansena, aż w końcu zapytał:

– Dowodziłeś wojskiem?

– Tak. Byłem... wciąż jestem kapitanem straży królewskiej na Zamku Południowej Marchii.

– W bitwie?

– Ostatnio na Polu Kolkana, ale chwalić bogów, nie wszystkie akcje, w których brałem udział, kończyły się tak fatalnie. – To surowe przesłuchanie rozbawiło trochę Vansena, który już długo czekał na powrót Cynobra i zaczynał się niecierpliwić. – A twoi strażnicy wykonają rozkazy?

– Jeśli będę z nimi – odparł Młot, wciąż mierząc Vansena groźnym spojrzeniem. – Gdy im każę, to wydrążą dziurę w granicie gołymi rękami. Dlatego idę z nimi. Chodzi o to, kto tu dowodzi: ja czy ty?

Vansen nie zamierzał wdawać się w irytujący spór z tym małym opryskliwym goblinem.

– To ustali magister.
– Kapitan Vansen dowodzi, Młocie – zwrócił się Cynober do dowódcy strażników. – Wiedziałeś o tym.

Vansen powstrzymał uśmiech, bo jakoś nie był zaskoczony.

– Jednakże liczę na twoją pomoc, Jaspisie. Zadbamy o bezpieczeństwo twoich ludzi. Nie spodziewam się walki, w końcu idziemy tylko coś sprawdzić.

Młot prychnął i skrzyżował masywne ramiona na potężnej piersi.

– Myślę, że jednak się spodziewasz, bo inaczej wziąłbyś ze sobą oddział tych hodowców grzybów ze świątyni, uzbrojonych w koszyki i skrobaczki. Magister wybrał moich strażników, co oznacza, że trzeba będzie kogoś przywołać do porządku.

– Zobaczymy. – Vansen spojrzął na Cynobra. – Potrzebuję jakiejś broni, bo przyszedłem tu bez niczego. Gdzie są pozostali?

– Czekają na zewnątrz – odparł magister. – Znajdziemy ci coś i możecie ruszać, kiedy zechcesz.

– Pożegnaj się tylko z Opal – powiedział Rogowiec i podniósł się z miejsca.

– Dlaczego? – zdziwił się Vansen. – Ty nie idziesz.

– Przecież chciałeś, żebym ci powiedział..

– Żebyś odpowiedział na moje pytania, co też uczyniłeś. Na przewodnika przydzielono mi brata Antymona. Jest młody, bardzo dobrze zna to miejsce i nie ma rodziny... w przeciwieństwie do ciebie. Więc przestań już gadać, mistrzu Liderycie, i wracaj do żony i chłopaka, przynajmniej na ten wieczór.

Rogowiec spojrzął na niego z wdzięcznością, szukając odpowiednich słów, lecz Vansen nie czekał, aż Funderling całkiem się speszy. Za drzwiami stali strażnicy Jaspisa, ludzie, których miał poprowadzić w niebezpieczeństwo, może nawet na śmierć, przynajmniej niektórych. W tym momencie nie miało znaczenia to, że sięgają mu ledwie do pasa.

Wydawało się to równie dziwne jak wszystko w Wielkich Głębiach – nie, nawet dziwniejsze, gdy Vansen pomyślał, że podobne rzeczy miał pod stopami przez cały czas swojego pobytu w Marchii Południowej...! Kaskadowe Schody były ogromne i tworzyły pionowy tunel w kształcie wielkiej spirali, jakby kamień stwardniał wokół wiru, z którego wyciekła woda. Podskakujące koralowe lampy idących przed nim ludzi przypominały małe gwiazdy osadzone w burzowej chmurze.

Mamy tu swoją Granicę Cienia, pomyślał. Lecz zamiast dwóch krain przylegających do siebie są tu dwie jedna pod drugą, z Zamkiem Marchii Południowej na wierzchu.

– Patrz pod nogi, kapitanie – mruknął Jaspis. – Jeśli tutaj się potkniesz, to nic się nie stanie, lecz dalej możesz spaść w dół i długo byś leciał. Patrz uważnie.

– Jasne. – Vansen zatrzymał się na chwilę i oparł o ścianę broń, którą przyniósł mu Cynober, „strażniczy topór”, jak nazwał ją magister, z bulwiastym młotem po przeciwnej stronie ostrza. Poprawił małą lampę koralową, którą miał umocowaną na czole, i znowu sięgnął po broń. Zielonkawożółte światło było bardzo słabe, a Funderlingowie widzieli w ciemności o wiele lepiej niż on. Żałował, że nie ma starej dobrej pochodni, ale gdy o tym wspomniał, dowódca Funderlingów popatrzył na niego z obrzydzeniem.

– Och, coś takiego wyczuliby i usłyszeli z daleka, zgodzisz się ze mną? Poza tym szybko zużyłaby powietrze potrzebne do oddychania w ciasnych miejscach. Nie, kapitanie, myślenie pozostaw staremu Młotowi.

Przecież Funderlingowie używają ognia, pomyślał Vansen. Gotują na nim, grzeją się przy nim – sam widziałem! A ich kuźnie? Oczywiście, Chaven opowiadał, że mają bardzo złożony system odprowadzania dymu z Miasta Funderlingów – obracające się leniwie wentylatory, które zasysają powietrze do góry, a potem wydmuchują je nad kamienne wzgórze, na którym postawiono Zamek Marchii Południowej.

Kominy sięgające naszych domów, pomyślał rozbawiony, drogi biegnące na stały ląd pod zatoką i Funderlingowie, którzy kopią głęboko pod wodą, jeśli Rogowiec Lideryt mówił prawdę. Oni posiadają więcej tej skalistej wyspy niż my!

Na dole Kaskadowych Schodów, gdzie kamienne ściany ginęły w mroku, gdyż marne lampy nie były w stanie oświetlić ich górnej części, Vansen i pozostali wyszli do ogromnej pieczary pełnej białych kamiennych kolumn, które zwęzły się na środku, a u góry znowu rozszerzały. Szli przez jakiś czas, a potem zatrzymali się przed ścianą, w której ziały wyloty kilku tuneli.

– Pięć Łuków – wyszeptał Jaspis.

Brat Antymon odmówił krótką modlitwę w języku, którego Vansen nie rozumiał, pełnego zgrzytliwych kah i zzz, podczas gdy strażnicy pokornie opuścili głowy.

– Za nimi znajdują się zewnętrzne korytarze – wyjaśnił Vansenowi akolita po skończonej modlitwie. – Odtąd idziemy od Tego, Co Zostało Zbudowane, Do Tego, Co Urosło.

Ferras Vansen nic z tego nie zrozumiał, ale przyzwyczał się już do tego uczucia.

– Daleko jeszcze do tego miejsca... które nazwaliście... gdzie byli mnisi?

– Przewierty? Niedaleko.

– Na tyle blisko, że powinniśmy już się zamknąć – wtrącił Jaspis, po czym uniósł długie owłosione ramię i trzepnął jednego ze swoich strażników, który szeptał coś do swojego towarzysza. – Wszyscy.

Skarcony przez dowódcę młodzian posłał mu urażone spojrzenie. Vansen martwił się, że pomimo całej surowości Jaspisa Młota jego strażnicy mogą nie sprostać zadaniu, gdy coś się wydarzy.

– Tu za zakrętem – wyszeptał Antymon. – Pójdę pierwszy i znajdę kogoś, kto będzie mógł udzielić nam informacji. Nie należy niepokoić ich bardziej niż to konieczne – w końcu podążają ścieżkami Starszych – tak nazywamy czas rekolekcji i modlitwy.

– Nie pójdziesz sam. Surówko, idź z nim – zwrócił się Jaspis do strażnika, którego wcześniej skarcił surowo. – Uważaj na niego i wróćcie bezpiecznie.

Funderling o imieniu Surówka wydawał się zadowolony z przydzielonego mu zadania: wypiął pierś pod ciężkim płaszczem i opuścił krótką halabardę Funderlingów, która bardziej przypominała zakończony kolcem kij niż prawdziwą broń. Surówka nie miał zbroi ani hełmu i gdyby nie halabarda, można by go wziąć za zwykłego mnicha.

Jak mamy walczyć? – zastanawiał się Vansen. Nasza armia sięga mi do pasa i jest opatulona w wełnianą zbroję.

Obaj Funderlingowie znikli w mroku korytarza. Vansen, mocno przygarbiony, ponieważ w wielu miejscach musiał się schylać, zdążył zaczerpnąć kilka głębszych oddechów, zanim Funderlingowie wrócili.

– Nie żyją! – Oczy Antymona były tak wielkie, że wydawało się, iż nigdy się nie zamkną. – Wszyscy, w swoich celach.

– Jak to? – zawołał Jaspis, zanim Vansen zdołał się odezwać.

– Nie wiem – odpowiedział Surówka. – Ale był wśród nich Mały Cyna. Znam go, skończył zaledwie trzynaście lat.

– Co ich zabiło? – zapytał Jaspis Młot. – Widzieliście krew?

Ferras Vansen był tam obcy, a Jaspis był dowódcą znanym przez wszystkich: Vansen rozumiał, że strażnicy chcą się teraz trzymać tego, co jest im znane, tylko że później mogło to kosztować kogoś życie.

– Pozwól, że cię o coś zapytam – powiedział cicho, lecz zdecydowanie. – Bracie Antymonie, co widziałeś? Opowiedz, co widziałeś, a nie mów o tym, co jak sądzisz, się wydarzyło. I zachowuj się cicho.

Antymon wziął głęboki oddech.

– Cele niemal przylegają do siebie i mają otwarte wejścia. Mnisi siedzą w nich nieruchomo, jakby umarli na siedząco. Czterech, nie, pięciu. Pozostałe cele były puste. – Zamilkł na moment, a Vansen widział, że zbiera myśli. – Pozostałe cele, na ile zdołaliśmy się zorientować, były puste. – Jakiś tuzin. Potem zawróciliśmy.

– Znalezliście ślad tego, co ich zabiło? Ostygli już?

Zaskoczony Antymon otworzył szeroko oczy.

– Ani śladu krwi, ale wszyscy martwi. Niektórzy leżeli z otwartymi oczami. Nie dotykaliśmy ich. Nie wiedzieliśmy, kto może nas tam obserwować...

Vansen zmarszczył brwi.

– Wydaje się to bardzo dziwne. Jeśli wszyscy zmarli w swoich celach, to znaczy, że nie stawiali oporu. Mogli zostać zaskoczeni. Ale żadnych śladów krwi? Dziwne. – Wytrzeł dłonie o spodnie, by lepiej chwycić broń. Żona Rogowca przez ostatnie dwa dni zszywała kawałki odzieży Funderlingów, by wykroić mu parę spodni. – Surówko, prowadź dalej, ale na miejscu ja pójdę przodem. – Spojrzał na pozostałych i zobaczył ich zatroskane miny, tylko Jaspis Młot obdarzył go złowieszczym uśmiechem. – Odtąd idziemy w ciszy. Jeśli naprawdę chcecie coś powiedzieć, mówcie cicho. Jeżeli mamy przed sobą Ludzi Zmierzchu, to oni są cichsi, mądrzejsi i okrutniejsi, niż sobie wyobrażacie, i potrafią usłyszeć szept na sto kroków. – Gdy to powiedział, poczuł ukłucie wstydu. Czyż Gyir nie był jego przyjacielem w pewnym sensie? Jednak stracił zbyt wielu swoich ludzi na Polu Kolkana i podczas innych potyczek, by traktować Qarów inaczej niż jak śmiertelnych wrogów. – Rozumiecie? Dobrze. Jaspisie, idź za mną. Pokaż swoim, jak wojownik idzie walczyć.

Ferras Vansen nie chciał zginąć między niewyćwiczonymi ludźmi – a przynajmniej takimi, którzy nie są żołnierzami – uwięziony między nimi, niezdolny do ruchu, dlatego chciał prowadzić tak długo, jak będzie to możliwe. Ale wiązało się z tym pewne ryzyko: jeśli natknie się na ciasne przejście, oni nie będą mogli pomóc jemu.

Przypomniawszy sobie słowa Murroya: „Jeśli nie możesz być żołnierzem, zgiń szybko, byś mógł posłużyć za tarczę komuś innemu”. Vansen pomyślał, że jeśli utknie w wąskim miejscu, to przynajmniej umożliwi odwrót pozostałym, by mogli zanieść wiadomość do Miasta Funderlingów.

Mimo wszystko dobrze byłoby mieć odpowiednią osłonę. Szczególnie w wąskich i tak ciemnych przejściach jak tutaj. Ich ciche kroki w jego uszach coraz bardziej brzmiały jak bicie bębnow. Qarowie na pewno już dawno usłyszeli, że nadchodzą.

Vansen i jego niewielki oddział wyszli z wąskiego przejścia na otwartą przestrzeń Przewiertów, jak nazywał to miejsce Antymon. Była to podziemna komora wielkości górskiej doliny, której boki żłobiły bruzdy, niewidoczne w ciemności poza światłem koralowych lamp. W ogromnych kamiennych fałdach między wybrzuszeniami widniały otwory, jedne naturalne, inne wyżłobione albo przynajmniej powiększone czyjąś dłonią. Vansen nie widział dobrze w słabym

zielonkawym świetle, lecz mógł porównać ten widok z wyżynami Settlanii, gdzie wiedli życie trygonaccy mistycy, którzy chcieli uciec od radości codziennego życia. Lecz egzystencja w tych ciemnych brudach pozbawionych światła była trudna nawet dla onirów. Vansen nigdy nie przypuszczał, że można tęsknić za niebem tak, jak wygłodniały człowiek tęskni za jedzeniem. Och, bogowie w Niebiosach, pozwólcie mi dożyć chwili, w której ujrzę światło dnia! – pomyślał.

Antymon pokazał najbliższą fałdę podziurawioną otworami. Po raz pierwszy Vansen pożałował, że ma na czole koralową lampę. Jeśli znaleźli się w pobliżu czegoś, co żyło tam w dole bez światła, albo w obliczu magicznych ludzi poruszających się w ciemności, to ich lampy, choć bardzo słabe, czyniły z nich poruszające się wolno cele.

Vansen wysunął się na czoło pochodu, omijając ciemne miejsca w podłożu, które, jak wiedział, groziły upadkiem do wnętrza ziemi. Gdy podszedł bliżej, zobaczył, że pierwszy otwór nie jest pusty, a przebywająca w nim osoba jest wysunięta częściowo na zewnątrz, z rozrzuconymi i dziwnie wykręconymi ramionami. W upiornym świetle koralowych lamp widać było, że ofiara była bardzo młoda. Vansen przysunął się jeszcze bliżej i dotknął akolity. Ciało było ciepłe, bezwładne jak lalka, oczy na wpół otwarte. Przystawił ucho do piersi Funderlinga, lecz nie usłyszał bicia serca. A zatem nie żyje, lecz od jak dawna?

Tak jak powiedział Antymon, w każdej z niżej położonych cel znajdowała się nieruchoma postać, a jedna była tak mała, że nawet zahartowane serce Vansena zabiło mocniej na ten widok. Gdy Jaspis i inni przykucnęli przy Małym Cynie, pomstując gniewnie pod nosem, Vansen przeszedł na skraj kamiennego występu, zastanawiając się, czy w innych celach zostanie kolejne ciała i w jaki sposób ofiary zginęły, skoro nie miały na sobie żadnych śladów agresji. Każda z ofiar znajdowała się w swojej celi, co mogło oznaczać, że śmierć dosięgła wszystkich jednocześnie, cicho i szybko.

Pierwsza cela w następnym kamiennym zboczu była pusta i Vansen miał już pójść dalej, gdy jego uwagę zwróciło coś, czego nie widział w poprzednich celach – w głębi pomieszczenia dostrzegł otwór, który prowadził w głąb skały. Podszedł bliżej. W innych pomieszczeniach podłoga była idealnie wysprzątana, tutaj zaś zaśmiecały ją kamienne odłamki. Krawędzie dziury były nierówne, jakby ktoś wykuł ją pospiesznie za pomocą drewnianego młotka i dłuta. Tylko dlaczego...?

I nagle Vansen zrozumiał. Wrócił szybko do Funderlingów, którzy teraz, gdy pozbyli się złości, spoglądali na niego ze strachem.

– Chyba znalazłem miejsce, któredy przeszli – wyszeptał. – Chodźcie.

Pierwszy ruszył za nim Jaspis, trochę później Antymon, lecz pozostali nie ruszyli się z miejsc. Vansen znowu poczuł niepokój. Po raz kolejny przypomniał sobie, że ci niezaprawieni w boju Funderlingowie nie są żołnierzami i nie można na nich polegać. Powinien o tym pamiętać.

Jaspis Młot odwrócił się i zgromił spojrzeniem swoich strażników; w świetle ich lamp jego rozgniewana twarz przypominała groteskową maskę. Jego ludzie wyprostowali się, lecz ich spojrzenia wciąż wyrażały niechęć.

– Otwór wybity z drugiej strony – stwierdził Antymon wpatrzony w dziurę widoczną w głębi celi.

– Z pewnością nie narzędziami Funderlingów – dodał cicho Jaspis. – Ani z wykorzystaniem ich umiejętności. Straszna fuszerka. Spójrzcie na te nierówne krawędzie.

– Te tunele, o których wspominał Rogowiec, tunele Burzowego Kamienia – zwrócił się Vansen do Antymona. – Daleko do nich?

– Nie wiem. Niech pomyślę. – Antymon wyprostował się i odwrócił od dziury. – Tak, tak myślę, choć pewnie nie dotrzemy do nich, idąc przez Przewierty. Istnieje korytarz bliżej świątyni. Tylko że... tak, biegnie za tą formacją.

– W takim razie bardzo możliwe, że ta dziura to robota Qarów – rzekł Vansen. – Może już rozpoczęli inwazję. Musimy przejść na drugą stronę i sprawdzić, co tam jest. Żebyśmy wiedzieli, co mamy powiedzieć Cynobrowi i innym. Idźcie za mną. Trzymajcie się razem. I pamiętajcie – absolutna cisza!

W niskim tunelu za całą szło się po osypisku i luźnych większych kamieniach, a czasem korytarz kurczył się tak bardzo, że Vansen musiał posuwać się na kolanach, nie mając pewności, czy uda mu się przecisnąć przez kolejne zwiężenie. W którymś momencie jego lampa zamigotała i zgasła, pograżając go w niemal całkowitej ciemności, aż jeden z Funderlingów odłamał kawałek swojego korala i podał mu. Wreszcie tunel się powiększył i Vansen stanął na nogi, a gdy uszedł kolejnych kilkaset kroków, potykając się często, zanurzył się w kolejny otwór wybity w kamiennej ścianie, za którym znowu mógł się wyprostować.

Gdy Funderlingowie przeszli za nim do szerszego tunelu, światło ich lamp ukazało korytarz szeroki na kilka kroków, do tego starannie wykuty, którego ściany – poza okolicą niestarannie wybitej dziury – podłogę i sklepienie wypolerowano do gładkości.

– Droga Burzowego Kamienia – powiedział Antymon z zachwytem. – Pierwszy raz ją widzę, tak daleko nawet od świątyni.

– Cech powinien teraz lepiej ich strzec – rzekł Vansen. – Nie ma wątpliwości, że w tym miejscu ktoś wdarł się do Przewiertów. Musimy zawiadomić Cynobra i innych.

Odwrócił się i poprowadził Funderlingów nowym tunelem, który wydawał się jeszcze bardziej prymitywny po tym, jak zobaczyli przykład fachowej roboty swoich mistrzów. Uszli zaledwie kawałek, gdy Vansen zauważył przed nimi błysk światła. W pierwszej chwili pomyślał, że może któryś z jego towarzyszy wysforował się do przodu, lecz zaraz zobaczył, że w miejscu, w którym stoją, niemal dotyka ramionami ścian.

Chwilę później istota idąca w ich kierunku wyprostowała się i zasłoniła sobą światło, a Vansen cofnął się gwałtownie. W ogólnym zarysie miała postać człowieka, była większa niż kapitan i miała skórę pokrytą łuskami. Jej głęboko osadzone oczy, pod nawisem krzaczastych brwi, prawie nie odbijały światła lampy Vansena. Miał tylko chwilę, by się przekonać, że grubo ciosana twarz przypomina trochę podobne do małej sługi z Wielkich Głębi, bo zaraz dostrzegł ogromną jak szufla pięść, która zmierzała ku jego głowie. W ostatniej chwili zdołał unieść topór, lecz dłoń napastnika siłą rozpędu uderzyła w jego broń, która huknęła go w głowę; oszołomiony poleciał do tyłu, wspierając się częściowo na Funderlingach, którzy krzyknęli przerażeni.

– Aa-iyah Krjaazel! – wrzasnął ktoś. – To niemożliwe!

– Głębiowy ettin! – zawołał Antymon. – Biegnij, kapitanie, to ettin!

Lecz Vansen nie miał dokąd biec. Istota przed nim chrząknęła głośno, aż poczuł drżenie w piersi. Ponownie uniósł topór, lecz w tej samej chwili zza pleców monstrum wysunął się długi, wydrażony patyk, który kołysał się jak wąż. Z otworu popłynął strumień dymu i nagle Vansen poczuł, że nie może oddychać. Upuścił broń i chwycił się za gardło, szukając dłoni, które go duszą, lecz ich nie znalazł, za to jego płuca wypełniały się coraz szczelniej czerwoną pustką. Ferras Vansen osunął się na ziemię, czując, że jego myśli zaczynają migotać i gasną niczym płomień wrzuconej do studni świecy.

10

Śpiący

Według Kaspara Dyelosa istnieje kilkanaście rodzajów goblinów. Te najmniejsze nazywane są myanmoi albo myszoludźmi, średnie nazwano Chowankami, a jest jeszcze kilka innych gatunków wielkości dziecka, które żyją bardzo długo.

– z Traktatu o czarodziejskich narodach obojga kontynentów Eionu i Xandu

Początkowo Barrick potrafił jedynie utrzymać się na nogach. Zbocze było nierówne, a przestrzeń między drzewami często wypełniała płatanina pnączy i ciemnych krzewów, do tego co kilka kroków z podłoża wyrastał guz bladej żółtej kamienia podobnego do złamanej kości, który zagradzał mu drogę. Tymczasem jedwabiny nie zamierzały się wycofać. Wciąż widział je za sobą: białe postacie przemykające z gałęzi na gałąź niczym upiorne małpy, lecz teraz poruszały się spokojnie, bez agresywnego pośpiechu, jaki okazywały wcześniej.

Ptaszysko miało rację, pomyślał. Jedwabiny boją się tego miejsca tak samo jak wszyscy.

Co oczywiście nie wróżyło nic dobrego dla Barricka, może tylko tyle, że miał szansę na krótki odpoczynek i zastanowienie się. Napastnicy się przyczają, gdy on się zatrzyma, a poza grotem złamanej włóczni nie miał żadnej broni, by im stawić czoło. I gdzie się podział Skurn? Czyżby kruk definitywnie go opuścił?

Wspinaczka stromym zboczem okrutnie zmęczyła Barricka. Nie widząc swoich prześladowców, zatrzymał się, by odpocząć, choć nie potrafił przestać myśleć o istotach pozbawionych konkretnych rysów, owiniętych jedwabnym włóknem twarzach o galaretowatych czarnych oczach, istotach, które być może skradają się gdzieś w koronach drzew, by go okrążyć, więc po kilku chwilach zmusił się do wstania i ruszył dalej pod górę w nadziei, że wyjdzie na otwartą przestrzeń i znajdzie lepszy punkt obserwacyjny.

Zbocze stawało się coraz bardziej strome. Barrick często musiał chwytąć się niskich gałęzi i kamiennych występów, by wdrapać się wyżej, przez co jego niesprawne ramię nadwężężyło się do granic możliwości, pulsując bólem, aż w oczach księcia zalśniły łzy. Czuł, że powoli ogarnia go beznadzieja. Znajdował się na obcej ziemi – w niebezpiecznej, nieznannej krainie pełnej demonów i monstrualnych istot – do tego właściwie sam. Jak długo jeszcze da radę iść, bez pomocy, bez jedzenia, broni czy choćby mapy? Wystarczy chwila nieostrożności, a spadnie i będzie mógł już tylko czekać na śmierć...

Nieoczekiwanie Barrick potknął się i runął na ziemię tak gwałtownie, że aż krzyknął. Po chwili podparł się na łokciach z twarzą tuż nad ziemią. Nie widział wyraźnie przez łzy i pot, lecz to, co zobaczył, wydało mu się dziwne... bardzo dziwne.

Bo oto ujrzał jakieś pismo.

Wyprostował się. Zobaczył, że kłęczy na płycie płaskiej skały w kolorze bladej ochry. W jej powierzchni wyryto znaki, których nie rozpoznawał, lecz mimo że były ledwo widoczne, mocno wytarte przez wiatr i deszcz, to nie miał wątpliwości, że są dziełem inteligentnej istoty. Barrick szybko dźwignął się na nogi. Spojrzał w górę i zobaczył, że grzbiet wzniesienia widnieje bliżej, niż przypuszczał, może o niecałą godzinę wspinaczki, nawet w tak wolnym tempie. Wziął głęboki oddech i rozejrzał się, szukając spojrzeniem jedwabiniów, lecz nie dostrzegł żadnych

śladów ich obecności i słyszał tylko zawroźenie wiatru w koronach drzew. Podniesiony na duchu ruszył w górę zbocza. Pomyślał, że nawet gdyby miał umrzeć na Przeklętym Wzgórzu, to byłoby miło najpierw zobaczyć kawałek płaskiego terenu. Może szare niebo pojaśniej trocęg na szczycie, a to już coś. Barrick Eddon miał serdecznie dość mgły i cienistych zakamarków.

Znalazłszy się blisko szczytu, zobaczył, że mieszkańcy tego miejsca albo jego goście zrobili coś więcej poza ozdobieniem żółtego kamienia symbolami: tu i ówdzie wykorzystano skalne występy jako prowizoryczne dachy, do których doklejono ściany, by zbudować schronienie, choć z tych ostatnich zostały tylko nieliczne murki ze starannie ułożonych kamieni. W miarę jak Barrick zbliżał się do wierzchołka wzniesienia, widział coraz więcej żółtawych skalnych występów, których kamienne łuki pokrywał szorstki koc roślinności. Prymitywne budowle stawały się też coraz bardziej złożone, gdyż guzy wygładzonej wiatrem skalnej opoki wzgórza rozciągały się między nagromadzonymi głazami, a tu i ówdzie widać było nawet prowizoryczne drewniane ściany i dachy, lecz wszystkie pomieszczenia były opuszczone i pozbawione jakichkolwiek śladów zamieszkania poza pojawiającymi się czasem wyrzeźbionymi symbolami podobnymi do poroża jelenia.

Tutaj, na tym wiecznie zielonym wzniesieniu, mgła była co najmniej tak samo gęsta i śliska jak u stóp wzgórza, lecz panowała tu jeszcze bardziej przenikliwa cisza, w której ginęły nawet głosy ptaków słyszane niżej. Mimo że od dobrej godziny, jak zdawało się Barrickowi, nie widział on jedwabiu, to czuł, że przytłaczająca cisza coraz bardziej go rozstraja, dlatego uznał, że nie ma sensu się tu zatrzymywać. Pozostało mu więc tylko pójść dalej, ku wyższemu szczytowi łańcucha wzniesień, który majaczył niedaleko na tle nieba powleczonego perłście szarym zmierzchem.

Gdy wciągnął się na kamienne podwyższenie, zobaczył, że między nim a wierzchołkiem pozostało ostatnie skalne wybrzuszenie, porośnięte krzewami i pokryte błotnistą ziemią, i że stoi tam najdziwniejsza budowla ze wszystkich tu zbudowanych: kamienna kopuła wystająca pomiędzy krzewów i drzew pod dziwnym kątem, w pobliżu której widniało ogromne prostokątne okno wychodzące z płataniny zarośli. Kamienna ścieżka prowadziła z miejsca, w którym pośród pnączy stał Barrick, do ciemnego nawisu skalnego tuż pod oknem. Nad dziwną budowlą sterczał murek z potłuczonych kamieni, widoczny z daleka i podobny do połamanych zębów.

To dziwne miejsce spowijały opary niczym korony ze złotowłosa noszone przez dzieci podczas obchodów święta Onira Zakkasa. Mgła tutaj była gęstsza niż na dole i wydawała się mieć inny kolor i konsystencję. Barrick długo się przyglądał, aż wreszcie się zorientował, że po części nie jest to mgła, lecz dym, który płynie pomiędzy drzew rosnących na samym szczycie.

Dym. Kominy. Ktoś mieszkał w tym zapomnianym przez bogów miejscu. Na szczycie Przeklętego Wzgórza.

Odwrócił się – jego serce biło teraz szybciej niż podczas morderczej wspinaczki – lecz nim zdołał zrobić choćby krok w dół, usłyszał głos, który dochodził znikąd i zewsząd, wplatając swe echo w zawroźenie wiatru snującego się po zboczu, lecz także rozbrzmiewał w głowie Barricka.

– *Chodź* – wyszeptał głos. – *Czekamy na ciebie.*

Barrick poczuł, że nie sprawuje już kontroli nad własnymi kończynami, choćby na tyle, by nakazać im, aby zabrały go dalej od tego dziwnego domu na szczycie, domu, który czekał na niego niczym opuszczona studnia, do której mógłby wpaść i się utopić.

– *Chodź. Chodź do nas. Czekamy na ciebie.*

Ku swemu zdumieniu Barrick poczuł nagle, że stał się biernym obserwatorem. Jego ciało obróciło się i podjęło wspinaczkę, aż stanął na kamiennej ścieżce, a potem obserwował bezradnie, jak idzie do kamiennej budowli niczym pchany wiatrem obłok. Długie okno i skalny

występ zbliżały się. Przez chwilę jeszcze księżę widział wznoszący się nad nim szczyt wzgórza, a potem zanurzył się w ciemność wnętrza budowli.

Po kilku krokach mrok rozjaśniło czerwonawe światło. Barrick zapanował wreszcie nad kończynami na tyle, by na chwilę się zatrzymać, podczas gdy jego serce galopowało wściekle, lecz zaraz znowu poczuł, że jakaś nieodparta siła ciągnie go do przodu.

– *Chodź. Czekamy na ciebie od dawna, synu ludzi. Baliśmy się już, że źle zrozumieliśmy to, co otrzymaliśmy.*

Kamienna pieczara zaokrągląła się u góry, przybierając kształt kopuły widocznej na zewnątrz; dziwne blade pomieszczenie wysokością kilkakrotnie przewyższało wzrost Barricka, a najwyższą część zdobiły niezrozumiałe rzeźby, zawijasy i zakrętasy, ledwo widoczne pod warstwą czarnego osadu pozostawionego przez dym. Zarówno czerwonawe światło, jak i dym pochodziły z niedużego ogniska rozpalonego w kamiennym kręgu na ziemi. Na podeście za ogniskiem siedziały trzy skulone postacie mniej więcej wzrostu Barricka.

– *Jesteś zmęczony* – zwrócił się do niego głos. Kto to powiedział? Postacie przed nim nie poruszyły się nawet. – *Możesz usiąść, jeśli przyniesie ci to ulgę. Niestety, nie bardzo mamy czym cię ugościć, ale żyjemy inaczej niż ty.*

– *Dajemy mu dużo* – odezwał się inny głos, który zabrzmiał niemal identycznie jak pierwszy, tak samo bezcieleśnie, lecz przebijała w nim ostra nuta, która pozwalała sądzić, że przemawia ktoś inny. – *Dajemy mu więcej, niż daliśmy komukolwiek innemu.*

– *Bo takie jest nasze przeznaczenie. A to, co od nas dostanie, nie będzie niczym miłym* – powiedział pierwszy głos.

Barrick miał ochotę uciec, bardzo tego pragnął, lecz wciąż z trudem panował nad swoim ciałem. Kruk miał rację – głupio postąpił, przychodząc tu. Wreszcie poczuł, że odzyskał głos.

– Kim... kim jesteście?

– *My?* – zapytał drugi głos, ten bardziej natarczywy. – *Nie ma imienia, którym moglibyśmy się nazwać, a które ty potrafiłbyś zrozumieć lub rozpoznać.*

– *Powiedzcie mu* – odezwał się trzeci głos, podobny do poprzednich, lecz jakby starszy i łamiący się. – *Powiedzcie mu prawdę. Jesteśmy Śpiącymi. Odrzuceni, niechciani. Jesteśmy tymi, którzy widzą i którzy nic nie mogą na to poradzić.* – Głos przypominał ducha szepcącego na szczycie opuszczonej wieży. Ciałem Barricka wstrząsał dreszcz strachu, lecz nie potrafił się zmusić do ucieczki.

– *Nie strasz dziecka z kraju słońca* – przemówił pierwszy z głosów, jakby upominał swojego przedmówcę. – *On cię nie rozumie.*

– Nie jestem dzieckiem. – Barrick nie chciał słyszeć istot w głowie, ponieważ przypominało mu to ostatnie chwile przed przestąpieniem progu Kerniosa, kiedy to poczuł, że Gyir umiera. – *Pozwólcie mi odejść.*

– *Nie rozumie nas* – powiedział najsłabszy głos. – *Wszystko stracone. Tego się obawiałem. Świat obrócił się za mocno...*

– *Zamilknij!* – powiedział ostrzej brzmiący głos. – *Przychodzi z zewnątrz. Jest mieszkańcem kraju słońca. Krew nic nie znaczy w świetle gwiazdy porannej.*

– *Przecież wszelka krew ma ten sam kolor w świetle Srebrzystego Błysku* – odparł pierwszy głos. – *Odpuść, dziecko. Nie zrobimy ci krzywdy.*

– *Mów za siebie* – odpowiedział pierwszy głos. – *Mógłbym spalić jego myśli jak suchą trawę. Zrobię to, jeśli mi zagrozi.*

– *Teraz ty powinieneś zamilknąć, Hikacie* – rzekł pierwszy głos. – *Twój gniew jest nie na miejscu.*

– *Cały świat nas odrzucił* – odparł głos należący do Hikata. – *Mieszkamy w szpiku kości*

tych, którzy gotowi są nas zniszczyć, gdyż unoszą się na krawędzi czuwania. Mówisz, Hau, że mój gniew jest nie na miejscu? To ty jesteś bezużyteczny z tymi twoimi absurdalnymi planami i snami.

– Kiedy przyjdzie dziecko? – zapytał trzeci, drżący głos. – Mówiliście o dziecku?

– Już przyszło, Hoorooen – odparł pierwszy. – Jest tutaj.

– Ach. – Drżący głos wydał w głowie Barricka coś na podobieństwo westchnienia. – Zastanawiałem się...

– Dlaczego mi to robicie? – Po raz kolejny Barrick spróbował wyjść z pieczary, lecz nie potrafił zapanować nad ciałem. – Czyście poszaleli? Nie rozumiem ani słowa z tego, co mówicie. Kim jesteście?

– Jesteśmy braćmi – zaczął Hau – dziećmi...

– Braćmi? – To był głos tego o imieniu Hikat. – Głupia! Przecież ty jesteś moją matką, a on jest twoim ojcem.

– Miałam syna, kiedyś... – powiedział drżący głos Hoorooen.

Siedząca pośrodku postać podniosła się powoli. Gdy jej szata rozsunała się na moment, Barrick ujrzał pomarszczone pozbawione płci szare ciało. Jego serce przestało bić na chwilę, jakby zupełnie ostygło. Gdyby mógł oddalić się od ogniska, z pewnością by to zrobił. Podobny kolor skóry, kolor kamienia, miał okrutny sługa Jikuyina Ueni'ssoh, lecz ciało tej istoty wydawało się tak wysuszone i skurczone, jakby to była mumia.

– Lecz nie jesteśmy tacy jak on, nie jesteśmy twoimi wrogami, Barricku Eddonie – rzekł Hau, jakby czytał w myślach chłopca. – Nie jesteśmy twoimi wrogami.

– Skąd znacie moje imię? – Wydawało mu się to absolutnie niemożliwe tam, na końcu świata, gdzie sam prawie zapomniał, jak się nazywa, dlatego tak się przeraził. – A niech was, mówcie, skąd mnie znacie?

– On nas atakuje! – zawołał Hikat. – Musimy go zniszczyć...!

– Kto tam jest? – jęknął Hoorooen.

– Spokój, bracia. On się tylko przestraszył. Usiądź, Barricku Eddonie, i wysłuchaj, co mamy do powiedzenia.

To, co dotąd powstrzymywało księcia przed ucieczką, teraz pomogło mu zająć miejsce przy ogniu. Pełgające płomienie sprawiały, że trzy postacie wydawały się falować przed jego oczami jak obrazy, które się ogląda tuż przed przebudzeniem.

– Urodziliśmy się dawno temu w mieście zwanym Snem – zaczął Hau. – To prawda, że Hoorooen jest najstarszy, i nic więcej nie można powiedzieć na pewno. Nawet Hikat, najmłodszy z nas, jest tak stary, że nie pamiętamy, kiedy przyszedł na świat.

– Przyszła – rzekł Hikat, lecz teraz już bez gniewu w głosie, wręcz tęsknym tonem. – Z jakiegoś powodu czuję, że byłem kobietą.

– To nie ma znaczenia – rzucił Hau uprzejmie. – Jesteśmy starzy. W naszych żyłach płynie ta sama krew. Urodziliśmy się wśród ludu zwanego Tymi, Którzy Nie Śpią w mieście Sen, lecz zostaliśmy z niego wyrzuceni...

Barrick po raz kolejny poczuł dreszcz strachu.

– Ci, Którzy Nie Śpią!

– Poczekaj, aż usłyszysz całą naszą historię. Nie wszyscy, którzy chodzą w blasku ciemnych światel miasta Sen, są tak okrutni jak ten, którego spotkałeś, lecz my jesteśmy inni niż wszyscy. Jesteśmy Śpiącymi.

– Wyrzucili nas – opowiadał dalej Hoorooen. – Tylko ja to pamiętam. Przestraszyli się tego, że śpimy. Śniliśmy...

– Tak – potwierdził Hau. – Spośród Tych, Którzy Nie Śpią tylko my śniliśmy, a nasze sny nie były zwykłymi fantazjami, lecz prawdziwym migotaniem ognia w otchłani. W swoich snach

zobaczyliśmy upadek bogów i to, że Ci, Którzy Nie Śpią zwrócą się przeciwko swoim panom w Qul-na-Qar. Widzieliśmy też śmiertelników na naszej ziemi. Widzieliśmy to wszystko i przepowiedzieliśmy, lecz nasz lud nas nie słuchał. Bali się nas i wypędzili.

– Nigdy nie widziałem ciemnych światel – rzucił Hikat ze złością. – Odebrano mi dom.

– Widziałeś je – odparł Hau. – Tylko nie pamiętasz. Wszyscy straciliśmy tak dużo, tak długo czekaliśmy...

– Ja... nie rozumiem – wyjąkał Barrick. – Wy... jesteście Tymi, Którzy Nie Śpią? Myślałem, że skoro oni nigdy nie śpią...

– Spójrz. – Postać siedząca w środku odrzuciła kaptur. Podobnie jak u szarego człowieka w Wielkich Głębiach, kości wychudłej twarzy opinała skóra delikatna i cieniutka jak jedwab, lecz u Hau pokrywała ją siateczka drobniutkich zmarszczek, przez co wydawało się, że jest z pajęczej sieci. Ale największa różnica polegała na tym, że podczas gdy oczy Ueni'ssoha, srebrzystoniebieskie, patrzyły nieruchomo, nie mrugając, to u postaci, na którą patrzył Barrick, pod brwiami widać było tylko pomarszczoną skórę w pustych oczodołach.

– Jesteś ślepy...!

– Nie widzimy tak samo jak inni – poprawił go Hau. – Gdybyśmy byli tacy sami jak nasi nieśpiący bracia, też bylibyśmy ślepi. Lecz my widzimy w snach dużo więcej niż inni.

– Męczy mnie oglądanie tylu rzeczy – powiedział Hoorooen ze smutkiem. – Nikt nigdy nie jest dzięki temu szczęśliwy.

– Prawda nigdy nie uszczęśliwia – rzucił Hikat. – Bo wszelka prawda zawsze kończy się w śmierci i ciemności.

– Uspokójcie się, moi kochani. – Hau znowu usiadł i podsunął dłonie towarzyszom. Po chwili wahania Śpiący ujęli je i teraz znowu byli połączeni. Potem Hikat i Hoorooen wyciągnęli ręce na boki. Barrick wpatrywał się w nich z drugiej strony ogniska, nie rozumiejąc, czy też nie chcąc zrozumieć, czego się domagają.

– Chwyć nas za ręce – zachęcił go Hau. – Nie przyszedłeś tu bez powodu.

– Przyszedłem tu, bo zablądziłem, bo jedwabiny próbowały mnie zabić...!

– Przybyłeś tu, ponieważ się urodziłeś – rzekł Hikat, a w jego głosie ponownie zabrzmiała nuta zniecierpliwienia. Wyciągnięte dłonie wciąż czekały. – A może to zaczęło się jeszcze wcześniej. Lecz jesteś tutaj, co znaczy, że tu jest twoje miejsce. Nikt nie przybywa na Wzgórze Dwóch Bogów bez powodu.

– Księga Ognia w Otchłani zawiera stronę poświęconą tobie – rzekł Hau. – Poczytajmy ją.

– Zaczekaj! Inna dusza próbuje cię osiągnąć – powiedział Hoorooen. – Bliźniacza dusza, która cię szuka.

Briony. Uznał ostatecznie Barrick – na bogów, jakże za nią tęskni! Przysunął się trochę do ognia, tak by mógł dosięgnąć szarych dłoni. W pieczarze nie było zimno, lecz wydawało się, że palący się w niej ogień nie daje ciepła, bo księżę nie poczuł go, nawet gdy się przybliżył, a migające światło gasło, nie docierając do najdalszych zakątków. Pomimo nagłego przerażenia, większego niż wynikałoby to z sytuacji, księżę zacisnął ręce na suchych, śliskich palcach Hikata i Hoorooena. Chwilę później jego powieki zamknęły się, bez udziału woli i poczuł, że spada... spada! Opadał bezradnie w ciemność, wymachując rękami i nogami!

Tylko gdzie one były? Dlaczego wydawało mu się, że jest pojedynczą ciężką myślą?

Spadał. Wreszcie zobaczył w dole pod sobą coś innego niż ciemność. Przez chwilę wydawało mu się, że dostrzega migotanie okrągłego morza, a potem pomyślał, że to ogromny staw wypełniony srebrzystą wodą, obłożony bladymi kamieniami. I wreszcie ujrzał prawdziwy obraz – lusterko, które przekazał mu Gyir, tyle że powiększone. Tylko przez chwilę pomyślał, że zaraz wpadnie w coś, co mieści się w kieszeni, bo zaraz przeleciał przez zimną powierzchnię na

drugą stronę.

Przestał się poruszać, lecz lusterko pozostało, chociaż teraz wisiało przed nim na czarnym tle jak obraz w Sali Portretowej w Zamku Marchii Południowej, a księżę widział w nim odbicie własnej twarzy.

Nie, nie swojej: rysy zmieniły się niepostrzeżenie, ich linie płynnie przybierały inne kształty, niczym rteć, i kolory, zupełnie jak wieże zamku Marchii Południowej, gdy poranne słońce pojawiało się na niebie. I oto zobaczył twarz dziewczyny o ciemnych włosach i ciemnej skórze, bardzo młodej, wyraźnie zaniepokojonej i zmęczonej. Mimo to wydała mu się piękna. To była ona, naprawdę ona – nigdy wcześniej nie widział jej tak wyraźnie! Z lustra patrzyła na niego dziewczyna, która od dawna pojawiała się w jego snach.

– To ty – odezwała się zdziwiona. Zatem też go widziała. – Bałam się, że odszedłeś na zawsze.

– Niewiele brakowało. – Widział i słyszał ją lepiej niż kiedykolwiek wcześniej, lecz wciąż wydawało mu się, że to sen, w którym niektóre szczegóły są zrozumiałe, choć nie zostały wypowiedziane, inne zaś pozostają niepojęte, mimo że zostały wyartykułowane. – Kim jesteś? I dlaczego... dlaczego cię teraz widzę?

– Czy jesteś z tego powodu nieszczęśliwy? – zapytała jakby trochę rozbawiona. Była młodsza, niż sądził; po jej twarzy błąkało się jeszcze wspomnienie dzieciństwa, a spojrzenie, choć bystre i łagodne, pozostawało lekko zamglone, być może wspomnieniem ran, które jej niegdyś zadano, lecz o których nie zapomniała. Wydawało się, że stoi tuż przed nim, ale zamigotała i niemal znikła, gdy mrugnął, jak coś oglądanego przez gęstą mgłę, widzianego we śnie.

Wszystko to jest snem. Barrick przeraził się, że zapomni tą drogą mu i jakże znajomą teraz twarz, gdy znowu się obudzi.

Obudzi? Przecież nawet nie potrafił powiedzieć, gdzie jest, a co dopiero czy śni. Jeśli tak, to gdzie leży jego ciało? Jak się tam znalazł?

– Zdradź mi swoje imię, przyjacielu-duchu – zwróciła się do niego dziewczyna. – Powinnam je znać, lecz tak nie jest! Czy jesteś *nafaz* – duchem? Taki jesteś bladej. Och, jeśli jesteś duchem, to mam nadzieję, że umarłeś szczęśliwy.

– Nie umarłem. Ja... żyję... na pewno!

– To jeszcze lepiej. – Uśmiechnęła się, błyskając śnieżnobiałymi zębami. – Ach twoje włosy – są rude, jak mój kosmyk czarownicy! Jakże dziwne są sny!

Miała rację, pasemko jej włosów było tak samo rude jak jego czupryna. Odniosł wrażenie, jakby to było coś więcej niż zwykłe podobieństwo.

– Nie jestem też snem. A ty śpisz?

Zastanawiała się przez chwilę.

– Nie wiem. Tak myślę. A ty?

– Nie mam pewności – odpowiedział, lecz gdy tylko jego myśli zaczęły się oddalać od zawieszonoego w ciemności lustra, ogarnął go strach, że może już nigdy go nie odnaleźć. – Dlaczego się widzimy? Po co?

– Nie wiem. – Jej oblicze spoważniało. – To musi coś znaczyć. Bogowie nie obdarowują nikogo takimi darami bez powodu.

Miał wrażenie, że przed chwilą to samo usłyszał albo nawet sam pomyślał.

– Jak masz na imię? – zapytał ją, a przecież zna jej imię... zna? Bo jak to możliwe, że jest tam blisko, taka prawdziwa i... ważna, a wciąż pozostaje bezimienna?

Roześmiała się, a on odebrał to jak dotyk chłodnego wiatru na rozgrzanej skórze.

– A ty jak masz na imię?

– Nie pamiętam.

– Ja też nie. W snach trudno jest zapamiętać imiona. Ty dla mnie jesteś po prostu... nim. Błędym, rudowłosym chłopakiem. A ja... no cóż, to po prostu ja.

– Czarnowłosa dziewczyna – powiedział i poczuł smutek. – Chcę poznać twoje imię. Muszę je znać. Muszę wiedzieć, że jesteś prawdziwa, że żyjesz. Straciłem jedyną drogą mi osobę...

– Siostrę – dopowiedziała i zaraz posmutniała. – Ale skąd ja to wiem? – dodała.

– Może ci mówiłem. Nie chcę stracić i ciebie. Jak masz na imię?

Wpatrywała się w niego z lekko rozchyłonymi ustami, jakby chciała coś powiedzieć, lecz nic takiego się nie stało. Wydawało się, że lustro zaczyna się kurczyć na tle ciemności, choć Barrick wciąż widział gęste rzęsy dziewczyny, długi wąski nos, a nawet malutki pieprzyk na górnej wardze. Bał się, że jeśli dłużej zachowa milczenie, lustro skurczy się i zniknie. Już otwierał usta, lecz nagle zrozumiał, że jeśli dziewczyna nie przypomni sobie teraz swojego imienia i mu go nie wyjawí, to już nigdy tego nie zrobi. Musiał jej zaufać.

– Byłam kapłanką Ula – odezwała się wreszcie, powoli, jak ktoś, kto czyta starą zniszczoną książkę. A potem mieszkałam z innymi kobietami. Tyle ich tam było! Wszystkie snuły intrygi, spiskowały. Ale najgorsze było to, że wszystkie należałyśmy do... niego. Był straszny. A potem uciekłam. Och, bogowie, miejcie mnie w opiece, nie chcę do niego wracać!

Barrick znowu zapragnął się odezwać, lecz czuł, że nie powinien. Sama musi dotrzeć do swojego imienia.

– Nie wrócę. Pozostanę wolna. Będę robić, co zechcę. Prędzej umrę, niż pozwolę, by wykorzystał mnie jako zabawkę albo jako broń. – Zamilkła. – Qinnitan. Mam na imię Qinnitan.

W tym momencie Barrick poczuł nagły przypływ siły, czegoś, co go zakorzeniło pomimo ciemności, w której się zanurzył, co go utwierdziło w jego własnej osobie, historii i imieniu.

– A ja jestem Barrick. Barrick Eddon.

– Przyjdź więc do mnie, Barricku Eddonie, albo ja przyjdę do ciebie – rzekła Qinnitan. – Bo tak bardzo się boję być sama...!

Teraz lustro rzeczywiście zaczęło się oddalać i opadało, wirując w ciemności, jak wrzucona do studni moneta, jak jasna muszelka ciśnięta z powrotem do morza, jak spadająca gwiazda znikająca w bezmiarze nocy...

– Qinnitan! – Na próżno wołał, bo już był sam w ciemności. Spróbował znowu odnaleźć w sobie siłę i pewność, które przywróciły mu jego imię, świadomość swego istnienia niesionego strumieniem krwi pędzącej w jego żyłach niczym rozgrzany metal...

Moja krew...

Zobaczył ją jako rzekę, czerwoną rzekę, która rozchodzi się w dwie strony. Jedna odnoga ginęła w nieprzeniknionej srebrzystej mgłę. Druga zawracała zakosami z powrotem w ciemność, lecz była to ciemność pełna ruchu i sugestii. Wydawało się niemal, że może jej dotknąć, tak jak przesuwa się palcem po linii wymalowanej na papierze, linii, która oznacza ruch, drogę, szlak, coś, co go doprowadzi do... do...

Srebrny błysk i zaraz jeszcze jeden, który go oślepił. Wpadł do gorącej czerwonej rzeki przeświadczony, że go zniszczy, że zwarzy w nim wszystko, czym był, nawet imię, które wcześniej odkrył.

Barrick, powtarzał sobie, jakby stał na brzegu i wołał do innej części swojej osoby, która tonęła w szkarłatnym nurcie. Barrick Eddon. Jestem Barrick Eddon. Barrick z Rzeki Krwi...

I nagle ujrzał inną twarz, która wynurzyła się z czerwieni, tak jak twarz dziewczyny przybyła do niego z czerni. Twarz mężczyzny, na wpół starego, na wpół młodego, o długich siwych włosach, z opaską na oczach, twarz mgliście znajoma, niczym wizerunek widziany kiedyś

na starej monecie.

– *Przybądź zaraz, chłopcze – rzekł ślepiec. – Wkrótce wszystko popędzi zbyt szybko, by zmienić kierunek. Mknijemy ku ciemności. Zmierzamy ku końcowi wszystkiego. Przybądź zaraz albo będziesz musiał się nauczyć pokochać nicość.*

I wtedy wszystko dokoła Barricka zapadło się w głębszą ciemność, a on sam także zaczął spadać w głąb niekończącej się czarnej otchłani, pozbawiony jakiegokolwiek czucia czy myśli, muskany jedynie zawodzącym przeciągle wiatrem i słabnącym szeptem oślepiętego mężczyzny:

– *...Będziesz musiał się nauczyć pokochać nicość...*

Cięcie i pchnięcie

W starożytnych czasach Zmeos i jego brat Khors porwali córkę Perina, Zorię. Wojna, która się potem rozpetala, zmieniła kształt ziemi, a nawet długość dnia i nocy. Uczeni niemal jednomyślnie przyznają, że czarodziejski lud wziął stronę Zmeosa, Starego Węża. Z tego to powodu Kościół Trygonacki wciąż uważa Qarów za „wyklętych i objętych ekskomuniką”.

– z *Traktatu o czarodziejskich narodach obojga kontynentów Eionu i Xandu*

– Księżniczko Briony – powiedziała lady Ananka, gdy służba uprzątnęła naczynia po kolejnym daniu – czy możesz mi powiedzieć, jak się wychowuje dzieci na północy?

Wzdłuż królewskiego stołu popłynęła fala szeptów i uprzedzającego śmiechu. Briony żałowała, że nie ma przy niej przyjaciółki, lecz Ivgenii przydzielono miejsce przy jednym z mniejszych stołów w drugim końcu sali, a była to tak, jakby wyjechała do innego kraju.

– Wybacz, baronowo, ale nie usłyszałam twojego pytania.

– Jak się wychowuje dzieci na północy? – powtórzyła królewska kochanka. – Czy są puszczane samopas, tak jak wypuszcza się na pastwisko owce lub inne zwierzęta?

Briony uśmiechnęła się smutno.

– Nie wszystkie nasze zwierzęta chodzą samopas, pani, lecz dla tych, które żyją na terenach trawiastych, to jedyne rozsądne rozwiązanie, bo jakże nie wykorzystać darów bogów.

– Ale mnie interesują dzieci, moja droga – rzuciła Ananka z kwaśnym uśmiechem. – Bo mówiono mi na przykład, że potrafisz walczyć mieczem i tarczą. To bardzo ekscytujące, choć nam wydaje się trochę... barbarzyńskie. Mam nadzieję, że cię nie obraziłam.

Briony czuła, że coraz trudniej przychodzi jej zachować uśmiech. Nie spodziewała się ataku tak szybko, gdy wieczór ledwie się zaczął – dopiero zjedli zupę – lecz nikt nie był w stanie powstrzymać rozwoju wypadków poza królem, a Enander wydawał się bardziej zainteresowany winem i rozmową z atrakcyjną kobietą, która siedziała z jego drugiej strony.

To przypomina ćwiczenie walki na noże w wykonaniu Shasa, pomyślała Briony. Połączone z jedną z ról wymyślonych przez Finna. Skoro przyjął tamte wyzwania, to i teraz dam sobie radę.

– Jakżeby to było możliwe, pani? – odpowiedziała, tłumiąc ironię. – Przecież wraz z Jego Królewską Mością użyzyliście mi schronienia i obdarzyliście przyjaźnią.

– Oczywiście – odpowiedziała Ananka powoli, jakby rozważała, jaką obrać strategię. Przez stół przetoczyła się kolejna fala szeptów. Ci, którzy wcześniej towarzysko ignorowali Briony, teraz gapili się na nią otwarcie, zadowoleni, że mogą wreszcie zaspokoić ciekawość. – Pytałam, ponieważ chciałam się czegoś od ciebie dowiedzieć. Miałam nadzieję, że pomożesz mi to zrozumieć.

Bez względu na wszystko nie daj się wciągnąć w utarczkę, upomniała samą siebie Briony w myślach. Ona ma uprzywilejowaną pozycję.

– Oczywiście, lady Ananko.

Przystojna, pociągła twarz Ananki spoważniała.

– Czy to prawda, że wyzwalaś Hendona Tolly’ego na pojedynek? Szermierczy?

Szepty się nasiliły i przeszły w wybuchy śmiechu i zduszone okrzyki, będące wyrazem niedowierzania i oburzenia. Kobiety, które nigdy nie miały się zająć cięższych niż szycie, wpatrywały się w Briony, jakby ujrzały jakieś dziwadło, efekt niezadowolenia bogów – dwugłowego tryka albo beznogiego kota. Wyraz ich twarzy rozpałił w Briony płomień gniewu i przez chwilę powstrzymywała się, by nie wstać i nie zrzucić naczyń ze stołu.

Ta kobieta dręczy mnie każdego wieczoru. Bogowie, gdybym tak miała miecz...!

Jeśli stracisz panowanie nad sobą, prawdopodobnie przegrasz pojedynek. Usłyszała szorstki głos Shasa, jakby ten stał tuż za nią. Wojownik, który panuje nad swoimi myślami, jest zawsze uzbrojony. Briony wzięła głębszy oddech. Żeby zagrać spokojnie, musisz myśleć spokojnie. To z kolei była rada Nevina Hewneya, której udzielił jej w jednej z trzeźwych chwil swojego życia. Podsuń to uczucie swoim myślom. Delektuj się nim jak najlepszym owocem. Przypomniała sobie, jak wjechali do Syanu, a ona ujrzała rozległą dolinę rzeki Esterian, która witała ich jak przyjaciel z otwartymi ramionami.

– Rzeczywiście, rzuciłam mu wyzwanie, pani – powiedziała spokojnym głosem. – Teraz tego żałuję. To było nie na miejscu i wywołało zamieszanie wśród gości. – Drobnym pozorowanym atak chyba można przeprowadzić? – Gospodyni nie powinna zmuszać swoich gości, by zachowywali się równie niepoprawnie jak ona.

Znowu brzegiem stołu popłynęła strużka śmiechu, lecz teraz Briony się wydało, że zabrzmiało jakby bardziej sympatycznie.

– Przystawiłaś mu miecz do gardła, czy tak? – zapytała Ananka słodkim głosikiem, jakby i ona chciała zneutralizować niezręczną sytuację.

– Owszem, pani. – Briony z zadowoleniem poczuła, że prawie cały gniew przetoczył się przez nią niczym burza. – Zrobiłam to, jak już mówiłam, i wstydzę się tego. Lecz nie zapominajmy, że jest to człowiek, który przywłaszczył sobie tron mego ojca. Jak ty byś się czuła, pani, gdyby któryś z twoich lojalnych wielmożów – Briony z uśmiechem na ustach spojrzała wzdłuż stołu – okazał się zdrajcą? Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale my także ufaliśmy Tollym.

Po raz pierwszy Enander okazał zainteresowanie ich rozmową.

– Niczego nie podejrzewałaś? – zapytał. – Czy ten książę Hendon nie mieszkał na waszym dworze?

– Księciem był jego brat Gailon, Wasza Królewska Mość – Briony poprawiła go łagodnie. – I Gailon okazał się, muszę przyznać, lepszym człowiekiem, niż sądziłam. Hendon zabił i jego.

Teraz śmiech przycichł i słyszeć było tylko szepty.

– To straszne – powiedziała jedna z kobiet, stara księżna w peruce podobnej do ptasiego gniazda. – Biedactwo. Jakże musiałas się bać.

Briony odpowiedziała uśmiechem, udając onieśmienie i pokorę. Oblicze Ananki, usadowionej na końcu stołu, pokryła maska uprzejmego współczucia, lecz Briony nie miała wątpliwości, że baronowa wcale nie jest zadowolona z tego, iż rozmowa wymknęła jej się spod kontroli.

– Bałam się. Byłam przerażona. Ale postąpiłam tak, jak by postąpiła każda szlachetnie urodzona niewiasta, gdyby ktoś chciał zagarnąć tron jej ojca. Uciekłam, by poszukać przyjaciół. Godnych zaufania, takich jak król Enander. Dziękuję mu więc po raz kolejny... i lady Anance... za to, co dla mnie zrobili. – Uniosła puchar i skłoniła głowę, nie odrywając wzroku od Enandera. – Niech Trzej Bracia obdarzą cię długim życiem i dobrym zdrowiem w zamian za twą dobroć, Wasza Królewska Mość.

– Zdrowie Jego Królewskiej Mości – zawtórowali jej zebrani przy stole i napili się wina.

Enanader wyglądał na zaskoczonego, ale i zadowolonego, Ananka zaś starannie ukryła irytację.

Briony uznała, że odniosła zwycięstwo na obu frontach.

Odesławszy pokojówki, Briony wyjęła kartkę z wiadomością i przeczytała ją po raz piąty czy szósty, odkąd ją otrzymała poprzedniego wieczoru.

Przyjdź do ogrodu na Dziedzińcu pod Wiatrowskazem godzinę po zachodzie słońca w Lapisar.

Zastała wiadomość na biurku, obwiązana zwykłym sznurkiem zamiast pieczęci. Mimo że nie rozpoznała charakteru pisma, domyślała się, od kogo pochodzi liścik. Pragnąc się mimo wszystko zabezpieczyć, podeszła do kufra i wyjęła z niego chłopięce ubranie, które nosiła, gdy podróżowała z Ludźmi Makewella. Wcześniej oddała je do prania i spakowała wraz ze swoimi rzeczami, bo nie wiedziała, kiedy znowu mogą jej się przydać. Nawet to miejsce, chyba największy pałac na Eionie, wydawało się mało bezpiecznym schronieniem po wydarzeniach minionego roku.

Pod zgrzebnym ubraniem leżały noże Yistich. Briony podciągnęła długą spódnicę, sapiąc i chrząkając, gdy tak się pochylała ściągnięta fiszbinowym gorsetem, i już miała przypiąć do nogi mniejszy nóż, gdy uświadomiła sobie, że głupio postępuje.

I co, poproszę wroga, żeby zaczekał, aż się obróć, by sięgnąć po sztylet pod spódnicę? Co mówił Shaso? „Sprawdź ubranie i znajdź miejsce, gdzie możesz schować sztylet i wyjąć go tak, żebyś o nic nie zaczepiła”. Co by pomyślał, gdyby zobaczył, jak spocona próbuje sięgnąć do uda?

Wyprostowała się. Włożyła suknię i wsunęła mniejszy z noży w rękaw, w tej samej chwili usłyszała pukanie do drzwi. Odczekała trochę i zaraz przypomniała sobie, że odesłała pokojówki, a Feival udał się na połów plotek w pomieszczeniach służby.

– Kto tam? – zawołała.

– To tylko ja, księżniczko.

Otworzyła drzwi, lecz nie odsunęła się na bok, by wpuścić przyjaciółkę.

– Niech bogowie mają cię w opiece, Ivvie. Raczej nie zejdę na obiad.

Ivgenia obrzuciła ją uważnym spojrzeniem.

– Wychodzisz, Śnieżny Niedźwiedziu? – przyjaciółka używała tego przezwiska, sugerując, że Briony przybyła na ich dwór z odległej skutej lodem północy.

– Nie, nie, po prostu jest mi zimno. – Nie było jej łatwo kłamać przyjaciółce, lecz nie potrafiła tak do końca zaufać nikomu na obcym dworze, nawet słodkiej, uprzejmej Ivgenii e'Douros. – Nic mi nie jest, moja droga – po prostu ogarnął mnie taki chłód serca. Przekaż pozdrowienia królowi i lady Anance.

Po odejściu Ivgenii Briony włożyła buty. Nie padało od kilku dni, co oznaczało, że oczekiwanie kogoś pod gołym niebem nie będzie aż tak nieprzyjemne. Mimo to, idąc korytarzem, księżniczka poczuła gęsią skórę na całym ciele.

Dziedziniec otrzymał swoją nazwę od ogromnego wiatrowskazu w kształcie skrzydlatego konia Perina. Umieszczono go na dachu wysokiej wieży w rogu dziedzińca, przez co pełnił rolę czegoś w rodzaju pomnika widocznego z dużej odległości, a także punktu orientacyjnego. Wzdłuż najwyższego muru biegła aleja Latarniana, szeroka, stara ulica, od której wziął nazwę

sam pałac: Briony słyszała ryk wołów, skrzypienie wozów i okrzyki sprzedawców. Przez chwilę zastanawiała się, jak by to było, gdyby tak po prostu wyszła na tę ogromną ulicę i ruszyła, by znaleźć życie, które nie będzie miało nic wspólnego ze spiskowaniem ani rodzinną odpowiedzialnością, życie pozbawione potworów, czarodziejskich istot, zdrajców czy trucicieli. Gdyby tylko mogła...!

– Witaj, pani – usłyszała blisko niski głos.

Zanim słowa wybrzmiały, odwróciła się na pięcie i przyłożyła nóż do gardła nieznajomej osoby.

– Chyba nie cieszy cię mój widok – rzekł Dawet dan-Faar głosem tylko trochę bardziej ochryłym ze względu na przyciśnięte ostrze. – I nie za bardzo rozumiem dlaczego, księżniczko Briony, ale chętnie cię przeproszę, gdy tylko zabierzesz swój piękny nożyk z mojej tchawicy.

– Jesteś zadowolony? – Opuściła nóż i odsunęła się na krok. Zapomniała już zapach jego skóry i przyjemne brzmienie głosu, dlatego nie spodobało jej się, w jaki sposób na nią podziały.

– Zakradłeś się do mojego pokoju, żeby zostawić wiadomość? Ach, wy, mężczyźni, zachowujecie się jak chłopcy udający szpiegów i prowadzący gierki, czy to konieczne, czy nie.

– Gierki? – Uniósł brew. – Myślę, że to, co przydarzyło się twojej rodzinie, nie jest tylko grą. Tu chodzi o życie ludzi.

– A dlaczego? Z powodu innych mężczyzn. – Wsunęła sztylet do rękawa. – Co się stanie, jeśli zostaniesz tu złapany, mistrzu dan-Faarze?

– Chcesz znać prawdę? Nic, czego nie dałoby się naprawić, ale wolałbym nie tracić energii na podobne zabiegi.

– W takim razie usiądźmy pod jabłonią. Jest niewidoczna z kolumnady. – Poprowadziła go do ławki i zgarnęła spódnicę, tak by mogła usiąść, po czym klepnęła siedzenie w bezpiecznej odległości od siebie. – Usiądź, proszę, i opowiedz, co porabiałeś od naszego ostatniego spotkania. Nie mieliśmy okazji porozmawiać w gospodzie.

– Rzeczywiście – rzekł. – Gospoda pod Fałszywą Kobietą i jej niechlujny właściciel... To było nieprzyjemne popołudnie, omal mnie nie złapali.

– Och, przestań. – Briony pokręciła głową. – Mówiłam ci, że twoje gierki mnie nudzą. Naprawdę myślisz, że uwierzę, iż tak po prostu uciekłeś?

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Co masz na myśli, księżniczko?

– Daj spokój, mistrzu dan-Faarze. Co powiedziałeś kapitanowi straży? „Przysięgam na Zosima Salamandrosa, że to nie o mnie chodzi!” Przysięgłeś na Oszusta, zgodnie z umową zapewne, i sądzisz, że się nie domyśliłam? A potem ta cała akcja z ucieczką, tak żeby nikt nie widział? Myślisz, że nie dostrzegłam, jak udajecie? Po miesiącach podróży z trupą aktorów? Kapitan straży po prostu pozwolił ci uciec.

Kąciki ust Daweta rozciągnęły się w uśmiechu, ledwo widocznym w świetle pochodni.

– Ja... nie wiem, co powiedzieć – wydusił.

– Domyślałam się nawet, z kim się umówiłeś – dodała. – Lord Jino, szpieg króla – myślę się? Nie, nie musisz nic mówić. Oczekuję tylko, że odpowiesz mi szczerze na pytanie, co robisz na szańskim dworze. Jesteś sekretnym posłem Ludisa Drakavy? Czy też odgrywasz rolę podwójnego agenta pozostającego na usługach króla Enandera, który udaje, że służy Drakavie?

– Jestem pod wrażeniem – rzekł Dawet. – Widzę, że potrafisz myśleć rozważnie, ale... obawiam się, że nie jesteś aż taką mistrzynią intrygi, za jaką się uważasz.

– Czyżby? – Z nadejściem nocy wyraźnie się ochłodziło. Briony schowała dłonie w rękawach. – A co przeoczyłam?

– Zakładasz, że jestem twoim przyjacielem, a nie wrogiem.

Chwilę później Dawet zacisnął dłoń na jej nadgarstkach, unieruchamiając jej dłonie jedną ręką. W drugiej trzymał nóż, dłuższy i smuklejszy niż sztylet Briony; poczuła dotyk zimnej stali na policzku.

– Nikczemny tchórze! Ty... zdrajco! Zaufałam ci!

– I o to chodzi, pani. Zaufałaś mi... ale dlaczego? Bo wyraziłem podziw dla twojej osoby? Bo moje nogi wyglądają zgrabnie w wełnianych pończochach? A przecież gdy się spotkaliśmy, byłem człowiekiem tego, który uwięził twego ojca – przynasz, że to kiepska podstawa przyjaźni?

– Potraktowałam cię dobrze. W przeciwieństwie do innych. – Briony próbowała niepostrzeżenie się odchylić, by kopnąć Daweta w nogę, co, jak sądziła, pozwoli jej wyswobodzić się z jego uchwytu i sięgnąć po nóż. Chętnie kopnęłaby go wyżej – Shaso nie omieszkał wskazać jej najlepszych miejsc nadających się do uderzenia podczas walki – ale źle siedziała, do tego kępowała ją długa suknia.

– To nie ma żadnego znaczenia, moja pani. Próbuję ci coś uzmysłowić. – Nachylił się bliżej, tak że ostrze noża znalazło się równie blisko jej twarzy, jak i jego. – Popelniasz błąd, traktując mężczyzn jako istoty moralne, które reagują stosownie do tego, ile dobra lub zła im wyrządzono, niczym nieprzekupni sędziowie wydający sprawiedliwy wyrok.

Briony starała się nie napinać mięśni.

– Och, nie obawiaj się, wiem, że mężczyźni są przekupni i zepsuci...

Zamierzyła się do kopnięcia, licząc na to, że go zaskoczy. Tymczasem Dawet, nie puszczając jej nadgarstków, zablokował jej nogę. Briony zsunęła się z ławki i z pewnością spadłaby na ziemię, gdyby jej nie podtrzymał, tak że zawisała między jego ręką a ławką, niczym martwe zwierzę przed domkiem myśliwskim. Wstyd i wściekłość prawie stłumiły jej strach.

– Puść mnie!

– Wedle życzenia, pani! – Puścił jej rękę, ona zaś opadła na ziemię. W jednej chwili stała na nogach ze sztyletem w ręku.

– Ach, ty! Jak śmiesz? Jak...?

– Jak śmiem co? – Jego twarz była pozbawiona emocji, niemal okrutna, co wydawało się lepsze, niż gdyby się uśmiechnął, bo wtedy pewnie spróbowałaby go zabić. – Pokazać ci, jak głupio się zachowujesz? Bystra z ciebie dziewczyna, Briony Eddon, ale mimo wszystko wciąż jesteś tylko dziewczyną. Dziewicą, w co nie wątpię. Czy rozumiesz, jak bardzo naraziłaś siebie i bezpieczeństwo swojej rodziny, przychodząc tutaj tak po prostu?

Sztylet Yistich zadrżał w dłoni Briony.

– Ty... nie chcesz mnie skrzywdzić?

– Na Wielką Matkę, księżniczko, myślisz, że jestem aż takim głupcem, żeby nastawać na życie białoskórej dziewczyny z północy w zamku na północy, pośród setki uzbrojonych strażników, nie próbując nawet zakryć jej ust dłonią? – Pokręcił głową. – Powiedz mi, że nie przeceniłem twojej inteligencji ani ty mojej.

– Przyłożyłeś mi nóż do gardła!

– Gdybym naprawdę chciał cię skrzywdzić, tobym cię rozbroił. – Wyciągnął rękę równie szybko, jak by to zrobił Shaso, a może nawet szybciej, i nożem wytrącił jej sztylet z ręki. Broń poleciała w ocienioną gęstwinę ogrodu. – Idź go poszukać. Zaczekam. Nie wyglądał na taki, którego nie żał zgubić.

Briony wróciła ze sztyletem Yistich schowanym w rękawie.

– Gdyby nie ta przeklęta suknia, posłużyłabym się dwoma nożami i jeden na pewno sterczałby teraz z twojej goleni.

Dawet wyszczerzył zęby w uśmiechu, który ani trochę nie wyrażał rozbawienia.

– W takim razie cieszymy się oboje, że tego nie zrobiłaś, bo jestem przekonany, że sprawy nie potoczyłyby się tak gładko, jak przypuszczasz.

– Dlaczego tak się zachowałeś? – Usiadła ponownie, tym razem ostrożnie, lecz Dawet nie ruszył się z miejsca. – Przestraszyłeś mnie.

– Bardzo dobrze, moja pani. To pierwsza rzecz, z której się ucieszyłem od chwili naszego spotkania. Zależy mi na tym, żebyś się bała. Grozi ci wielkie niebezpieczeństwo. Zdajesz sobie z tego sprawę?

Wpatrywała się w niego, starając się po raz kolejny przypomnieć sobie lekcję, lecz tym razem nie szermierki, lecz aktorstwa. Nie powinna pozwolić sobie na łyż. Byłoby to zbyt... dziewczęce.

– Owszem, panie dan-Faar, myślałam o tym, szczególnie wtedy, gdy trzy dni temu ktoś próbował mnie otruć, ale dziękuję za przypomnienie.

– Nie do twarzy ci z udawanym sarkazmem, księżniczko. Powinnaś być mi wdzięczna, że rozmawiam z tobą szczerze, podczas gdy inni nie chcą albo nie mogą tego zrobić. – Położył delikatnie dłoń na jej ramieniu. – Szczerze mówiąc, wcale mnie nie cieszy, że przypadła mi ta rola. Wolałbym inną, miłszą...

Tym razem nie spodziewał się ataku. Wykonała ruch tak szybko, że czubek ostrza jej sztyletu zdążył nakłuć grzbiet jego dłoni, zanim ją cofnął. Zerwał się z ławki wyraźnie rozgniewany i gwałtownym ruchem ściągnął rękawiczkę, by obejrzeć ranę. Nie była głęboka, zdaniem Briony.

– Ty mała...! Czemuś to zrobiła?

– Przecież to ty doradzałeś mi podejrzliwość, panie dan-Faar. – Oddychała ciężko, a serce biło jej szybko. – Opowiadasz mi, jaki to jesteś uprzejmy i rozważny i jak bardzo troszczysz się o mnie, w przeciwieństwie do innych. Dobrze. Zaczynaj więc od odpowiedzi na moje pytanie: Jaką rolę w tym wszystkim odgrywasz? Jesteś wrogiem, który ma do mnie słabość? A może przyjacielem? Byłbyś bardziej bratem czy kochankiem? Całe dotychczasowe życie spędziłam pośród publicznego zgiełku. Twoje względy nie schlebiają mi aż tak bardzo, bym zupełnie zapomniała, kim jestem i czego szukam, szczególnie że ty chcesz wszystkiego od razu. – Nie spuszczała z niego wzroku. – No, panie, to kim byłbyś dla mnie?

Przez chwilę Dawet wpatrywał się w nią znad dłoni, którą wciąż ssał.

– Księżniczko, nie wiem. Szczerze mówiąc, nie jestem pewien, czy wiem, kim ty jesteś. Czas spędzony na wygnaniu cię odmienił.

– To chyba nie powinno dziwić? – Po raz kolejny schowała nóż. – Jeśli jeszcze kiedyś zdecydujesz się na rozmowę ze mną – może żeby podzielić się informacją, którą naprawdę mogłabym wykorzystać, na przykład dotyczącą mojego ojca – to wiesz, gdzie mnie szukać.

– Zaczekaj. – Dawet uniósł dłoń, jakby przystał na układ. – Wystarczy, Briony.

– Księżniczko Briony, panie dan-Faar. Nie znamy się aż tak dobrze ani nie przekonałeś mnie o swojej przyjaźni.

Dawet się cofnął.

– Trudna jesteś, pani. Czyż nie ostrzegłem cię jeszcze na zamku, że ktoś nastaje na twoje życie?

– Daj spokój. Bez konkretnych imion, jaki miałam z tego pożytek? Coś takiego można powiedzieć każdemu władcy na świecie. Nie uczyniłeś mi żadnej nieuprzejmości, pośle, ale też nie wyświadczyłeś żadnej przysługi, poza darem swojego towarzystwa. – Posłała mu ledwo dostrzegalny uśmiech. – Prezent wart uznania, ale to jeszcze nie dowód całkowitej lojalności.

Pokręcił głową.

– Stałaś się dziewczyną schowaną w twardej skorupie, księżniczko.

– Przede wszystkim jestem żywą kobietą, co nie wszystkich cieszy. A teraz powiedz mi coś o ojcu albo pożegnajmy się i pozwól mi wrócić do ciepłego pokoju.

– Nie mam specjalnie nic do powiedzenia. Gdy opuszczałem Hierosol, by przybyć tutaj, wciąż był więźniem Ludisa Drakavy. Od tamtej pory słyszałem tylko te same plotki co ty, że Ludis uciekł, że twój ojciec dostał się w ręce autarchy i że Hierosol padnie lada moment...

– Co? Dostał się w ręce... autarchy? Nie miałam pojęcia... Och, litościwa Zorio, powiedz, że to nieprawda! Cóż to za szaleństwo?

– Ale... musiałaś o tym słyszeć. Opowiadają tu, w Tesis, że Ludis go oddał, by samemu uciec. Ale nie martw się na zapas, pani, to tylko plotki. Nic pewnego...

Syknęła, czując rozpierający ją gniew.

– Na krew Braci! Żaden z tych przeklętych Syańczyków nie wspomniał o tym ani słowem!
– Zerwała kwiat z gałęzi przy głowie. Tylko bez łez, upomniała samą siebie w myślach. Zgniotła kwiat i pozwoliła, by płatki opadły na ziemię. – Mów wszystko, co wiesz. – Ze wszystkich sił powstrzymywała łzy. Poczula w sobie zimną twardość, jakby jej serce obrosło lodem.

– Tak jak mówiłem, pani, to tylko pogłoski, nieskładne opowieści...

– Nie pocieszaj mnie, dan-Faar. Nie jestem już dzieckiem. Po prostu... powiedz, co wiesz.
– Wzięła głęboki oddech. Wydawało się, że noc pochyla się nad nią czule, a zimny mrok w jej piersi się ożywia. – Może i straciłam tron naszej rodziny, ale go odzyskam, przysięgam, a nasi wrogowie poniosą karę za to, co zrobili. Tak, obiecuję na głowy samych bogów. Spojrzała na zaskoczoną twarz Daweta, widoczną teraz w świetle, które sączyło się z okna nad nimi. – Gapisz się na mnie, człowieku. Nie marnuj czasu i powiedz mi to, co chcę wiedzieć.

Dobra kobieta, dobry mężczyzna i poeta

Ponoć ta sama para królewska sprawuje władze wśród czarodziejskich ludzi od czasów bogów. Ci nieśmiertelni otrzymali wiele imion, lecz najczęściej nazywa się ich Eenur i Sakuri, jak twierdzi Rhantys, który ponoć miał przyjaciół wśród Qarów. W niektórych podaniach można nawet przeczytać, że ci nieśmiertelni władcy są rodzeństwem, jak bywało w starożytnym Xis.

– z *Traktatu o czarodziejskich narodach obojga kontynentów Eionu i Xandu*

Matt Tinwright szukał w całej twierdzy wewnętrznej i zewnętrznej od dekanoksu albo i dłużej, w każdej wolnej chwili, kiedy tylko mógł opuścić dwór albo nie doglądał chorej Elan, dlatego poczuł się rozczarowany, że znalazł ją całkiem niedaleko ich wynajętego pokoju w pobliżu Laguny Muskających Wodę w zewnętrznej dzielnicy. Najwyraźniej była kimś ważnym wśród tych wygnańców z miasta na łądzie, uciekinierów, którzy żyli w podłych warunkach stłoczeni w obleganym zamku.

Gdy pierwszy raz zobaczył matkę, nie podszedł do niej od razu, lecz podążył ukradkiem za tą wysoką chudą kobietą, która szła ulicą Klamrową od jednego obskurnego sklepu do następnego, z koszem w ręku, zbierając jedzenie, jak się wydawało, dla nieszczęśników, którzy mieli jeszcze mniej niż ona. Matka, pomyślał Tinwright z pewnym żalem, zawsze miała skłonność do znajdowania tych, którym wiodło się gorzej niż jej. Potrafiła ich wyczuć jak ogar ściganą zwierzynę.

Jednak obserwując ją, nie mógł nie zauważyć, że choć kobieta działa w słusznej sprawie, co jakiś czas a to kawałek chleba, a to wąsata cebula łądowały w kieszeniach jej płaszcza zamiast w koszu. Anamesiya Tinwright gotowa była pomagać potrzebującym nawet wtedy, gdy tego nie chcieli, ale z równą determinacją pomagała samej sobie.

Zdecydował się podejść do niej w pobliżu świątyni na Rynku, gdzie rozdzielala jedzenie pomiędzy przesiedleńców, którzy mieszkali tam w lichym obozowisku szałasów skleconych z patyków i dziurawych koców. Gdy tak patrzył na jej długi wąski nos i przyglądał się szybkim ruchom, Matt przypomniał sobie, jak nazwał ją jego ojciec podczas jednego z bardziej burzliwych okresów ich życia – „ten cholerny wścibski dzięcioł”.

– Jeśli cię bolą zęby – usłyszał, jak mówi do starca – to jest to twoja wina, a nie mojego chleba, który dostajesz ode mnie za darmo.

– Matko...? – odezwał się Tinwright.

Odwróciła się i spojrzała na niego. Jej koścista dłoń powędrowała do drewnianego zoriańskiego wisiora w kształcie migdału, który nosiła na piersi.

– Na Trygon, co to jest? Na błogosławionych Braci, czy to ty, Matthiasie? – Obrzuciła go uważnym spojrzeniem od stóp do głów. – Kurtkę masz całą, ale brudną, jak widzę. „Niech twoje odzienie nie będzie podarte i poślinione”, jak mówi święta księga. Czyżby cię wygnali z dworu?

Tinwright poczuł ogarniający go gniew i frustrację.

– W księdze jest napisane „podarte i poplamione”. Nie, matko, bardzo mnie tam poważają. Mnie też miło cię widzieć.

Machnęła rękaw kierunku grupki brudnych obdartusów, mężczyzn i kobiet, zgromadzonych wokół niej.

– Bogowie darzą mnie zdrowiem, bo daję siebie innym. – Zmrużyła oczy, przyglądając się uważnie stojącemu najbliżej niej mężczyźnie. – Przeżuwaj dokładnie i powoli warknęła. – Łykasz żarcie jak kaczką, a potem próbujesz wyłudzić ode mnie więcej.

– Gdzie mieszkasz, matko?

– Bogowie czuwają nade mną – rzuciła beztróskim tonem, co prawdopodobnie oznaczało, że sypia tu i tam, podobnie jak wielu uchodźców z miasta na łądzie, tłoczących się tutaj, w miasteczku powstałym w obrębie miejskich murów. – A czemu pytasz? Czyżbyś przyszedł zaproponować mi sypialnię na zamku? A może wreszcie zrozumiałeś, że obrażasz bogów swoim pijaństwem i cudzołóstwem, i masz nadzieję odzyskać ich łaski, okazując odrobinę miłości kobiecie, która wydała cię na świat?

Tinwright wziął głęboki oddech, zanim odpowiedział:

– Zawsze wręcz fascynowało cię moje pijaństwo i cudzołóstwo. Zastanawiam się, czy kobiecie przystoi tyle mówić o takich rzeczach.

Z zadowoleniem zobaczył, że się zarumieniła.

– Ależ z ciebie niegodziwiec, zawsze taki byłeś! Wspominając o tym, pragnę wytknąć ci twoje błędy, nie chodzi mi wcale o mnie. Oczywiście przez to zawsze narażałam się na kpiny, najpierw ojca, potem twoje, lecz nie będę się chować, gdy wiem, że nie dzieje się wola bogów.

– A czegoż to pragną bogowie, matko? – Tinwright miał ochotę odejść, pomimo swej trudnej sytuacji. Czuł, że nie powinien zbliżać się do matki. – Powiedz mi, proszę.

– To jasne. Czas, byś przestał marnotrawić życie, Matthiasie. Wino, kobiety i poezja... nic z tego nie cieszy bogów. Praca, chłopcze, prawdziwa uczciwa praca, oto, czego ci trzeba. W świętej księdze napisano: „Temu, kto nie pracuje, bieda zajrzy w oczy”.

Tinwright westchnął. Wiedział, że matka ma na myśli *Księgę Trygonu*, lecz wydawało się, że posiada kopię jedyną w swoim rodzaju. Był pewny, że upomnienie w księdze brzmi: „Ten, kto nie umie patrzeć, przejrzy na oczy”, ale wiedział, że nie ma sensu sprzeczać się z matką. – Bogowie mi świadkami, matko, że nie szukam zwady. Zaczniemy naszą rozmowę od początku. Przyszedłem ci powiedzieć, że mam dla ciebie dach nad głową. Nie jest to pałacowa sypialnia, ale czyste i porządne miejsce.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

– Naprawdę? Czy mój syn wreszcie się zmienił?

Zacisnął zęby.

– Tak sądzę, matko. Pójdziemy tam, żebym mógł ci pokazać pokój?

– Jak tylko tu skończę. Posłuszne dziecko umie czekać.

Nic dziwnego, że wszystkie twoje dzieci szybko opuściły dom, pomyślał Tinwright. Oparty o kolumnę obserwował, jak matka rozdaje biedakom ostatnie kromki twardego chleba okraszone surowymi upomnieniami.

Uśmiech powoli wpełzł na jej usta, gdy ujrzała czysty i porządnie umeblowany pokój, lecz gdy jej wzrok padł na śpiącą dziewczynę, usta zastygły lekko rozchylone niczym pysk suszonej ryby. Po chwili szczeka zupełnie jej opadła.

– Na Świętych Braci! – Zrobiła na piersi znak Trzech tak energicznie, jakby się broniła przed nadlatującym oszczepem. – Brońcie mnie, niebiańscy rodzice! Co to jest? Co to ma być?

– To jest lady Elan M’Cory, matko... – zaczął Matt, lecz wydawało się, że Anamesiya

Tinwright nie zamierza słuchać, bo zaczęła go odpychać, by wrócić do drzwi.

– Nie chcę mieć z tym nic wspólnego! – zawołała. – Jestem bogobojną kobietą!

– Podobnie jak ona! – Tinwright próbował chwycić matkę za łokieć, lecz otrzymał potężne uderzenie dużą dłonią. – Nie będę spała pod jednym dachem z twoją kochanką! – wrzasnęła, nie przestając się z nim mocować.

Kilku przechodni przyglądało im się z wyraźnym zaciekawieniem, inni obserwowali ich z okien górnych pięter sąsiednich domów. Poeta zaklął pod nosem.

– Wejź do środka, a ja ci wszystko wyjaśnię. Na miłość bogów, matko, przestań!

Zgromiła go wściekłym spojrzeniem, z twarzą bladą jak ściana z wyjątkiem różowych plamek na środkach policzków.

– Nie pomogę ci zabić dziecka tej dziewczyny, ty cudzołożniku! Wiem, jakie podłe życie wiodą ludzie mieszkający na dworze. Ojciec czytał ci książki, kiedy byłeś mały, choć go ostrzegałam, że cię zepsuje! Wiedziałam, że zechcesz się wynieść ponad swój stan!

– Niech bogowie przeklą całe to zamieszanie, matko, przestań mówić i mnie wysłuchaj! – Wciągnął ją z powrotem do pokoju i zamknął drzwi, a potem oparł się o nie plecami, by uniemożliwić jej wyjście. – Ta dziewczyna jest niewinna, podobnie jak ja. Nic jej nie zrobiłem. Nie ma dziecka. Rozumiesz? Nie ma żadnego dziecka!

Matka spojrzała na niego zaskoczona.

– Jak to, już to zrobiłeś? Zabiłeś jedno z bożych niewiniątek i teraz chcesz, żebym pomogła jej z tego wyjść?

Matt zwiesił głowę, modląc się o cierpliwość, chociaż nie bardzo wiedział, do którego z bogów powinien się zwrócić z podobną prośbą. Zosim, pomniejszy bóg i jego patron, notorycznie ignorował prośby o tę konkretną cnotę, a właściwie w ogóle nie interesował się cnotą. Ostatecznie więc Tinwright skierował swoją modlitwę do Zorii, bogini, która, jak powszechnie uważano, zaspokajała podobne potrzeby.

Tylko czy zechce mnie wysłuchać, skoro wciąż zalegam z poematem na jej cześć? Ale co miał poradzić na to, że jego muza, księżniczka Briony, ziemskie wcielenie Zorii, znikła? To był początek mojego upadku. I dopiero co się podniosłem! Zorio, czyż nie zasługuję na odrobinę współczucia?

Po chwili poczuł, że jest trochę spokojniejszy, lecz nie potrafił powiedzieć, czy stało się to za sprawą bogini czy czegoś innego. Zobaczył, że Elan zaczyna się ruszać, jakby wynurzała się z głębin; oczy miała wciąż zamknięte, a twarz wykrzywioną grymasem niepokoju i dezorientacji.

– Posłuchaj mnie uważnie, matko. Uratowałem lady Elan przed kimś, kto chce ją skrzywdzić. – Nie ośmielił się wspomnieć, że chodzi o Hendona Tolly’ego, samozwańczego protektora tronu, ponieważ bał się, że matka, która żywiła nieuzasadnioną rewerencję wobec wszelkich autorytetów, może pójść prosto do zamku i zadenuncjować jego i lady Elan. – Jest chora, ponieważ podałem jej lekarstwo, dzięki czemu mogłem ją wydostać ze szponów tego człowieka. Ona nie zrobiła niczego złego, rozumiesz? Stała się ofiarą, tak jak Zoria. Jak sama błogosławiona Zoria tułająca się wśród śniegów, sama i pozbawiona przyjaciół.

Matka spoglądała podejrzliwie to na niego, to na Elan.

– A niby czemu miałabym ci uwierzyć? Jaką mam pewność, że nie robisz ze mnie głupca? Jak mówi księga: „Bogowie pomagają tym, którzy napelniają rolę”.

– Uprawiają. Uprawiają rolę. Ale skoro mi nie wierzysz, sama ją zapytaj, gdy się obudzi. – Pokazał mały stół w kącie pokoju. – Tam jest miska i ręcznik. Trzeba ją wykapać, a ja... uznałem, że nie jestem właściwą osobą do takiej opieki. Przyniosę wam z pałacu coś do jedzenia i więcej koców.

Koce z pałacu wyraźnie ją zaintrygowały, lecz wciąż się wahała.

– Jak długo miałabym tu zostać? I gdzie bym spała?
– W łóżku oczywiście. – Zdążył już otworzyć drzwi i stał prawie za progiem. – Jest duże. I wygodne. Materac wypchany świeżutką słomą. – Zrobił kolejny krok. Już był prawie na zewnątrz. Prawie wyszedł...

– To cię będzie kosztowało rozgwiadę – powiedziała matka. – Za dekanox.

– Co? – Poczul wzbierającą wściekłość. – Srebrną rozgwiadę? Jaka matka próbuje oskubać własnego syna?

– Dlaczego to niby miałabym pracować za darmo? Jeśli nie chcesz wspomóc mnie, własnej rodziny, to wynajmij jedną z tych tawernianych dziewczek, z którymi się gziłeś przez wszystkie te lata.

Matt wpatrywał się w matkę, ona zaś przybrała wyraz twarzy, którego nienawdził: czerwone plamy gniewu na policzkach nabrały teraz charakteru zwycięskiego rumieńca, który wyrażał jej pewność, że będzie tak, jak ona chce. Czyżby bogowie rzeczywiście z nią rozmawiali? Czy w jakiś sposób dowiedziała się, że Brigid odmówiła mu pomocy, że znalazł się pod ścianą, bez możliwości ucieczki, i że grozi mu niebezpieczeństwo?

– Matko, czy zdajesz sobie sprawę, że jeśli się wyda, iż lady Elan przebywa tutaj, to ten... człowiek, który jej szuka, każe mnie zabić? Nie wspomnę już o tym, co zrobi tej biednej niewinnej dziewczynie?

Kobieta skrzyżowała na piersi długie ramiona.

– Tym bardziej nie powinieneś żałować mi tych psich pieniędzy. Bezpieczeństwo dziewczyny nie ma ceny. Nie chce mi się wierzyć, że mój własny syn czepia się o takie drobiazgi.

Nie odrywał od niej wzroku.

– Nie zapłacę rozgwiadz za każdy dekanox. Nie stać mnie na to. Będę ci płacił dwie na miesiąc do momentu, aż ona poczuje się na tyle dobrze, by stąd odejść. Dostaniesz też jeść i będziesz miała dla siebie ten pokój.

– Chciałeś powiedzieć, że będę dzieliła ten pokój i łóżko z tą nieszczęśnicą dotkniętą bogowie tylko wiedzą jaką zaraźliwą chorobą. Dwie i pół rozgwiadz miesięcznie, Matthiasie. Niebiosy wynagrodzą cię za to.

Nie wyobrażał sobie, by Niebiosom robiło różnicę pół rozgwiadz, ale bardziej on potrzebował pomocy matki niż ona jego, co dobrze wyczuła – jak zawsze.

– Niech będzie – zgodził się. – Dwie i pół rozgwiadz miesięcznie.

– A jakiś zadatek? – rzuciła, wyciągając rękę.

– Zadatek...?

– Przecież chcesz, żebym się nią opiekowała, prawda? A jeśli będę musiała pójść do aptekarza?

Matt obrócił w dłoni ostatnią rozgwiadę.

Idąc po rozklekotanym pomoście na północno-zachodnim końcu Laguny Muskających Wodę, kopnął bryłkę zakrzepłej smoły. Wszystko dookoła spowijał zapach ryb i soli. Pomimo nieprzyjemnej transakcji, dzięki której kupił sobie możliwość swobodnego poruszania się, wcale niespieszno mu było z powrotem do królewskiej rezydencji.

Kobieta, którą kocham i dla której ryzykuję życie, gardzi mną, jakbym był jakimś robakiem. Nie, to nieprawda – robaka uznałaby za niewinnego. Swoją egzystencję na dworze zawdzięczam dobrej woli człowieka, któremu podstępem wykradłem jego ofiarę i który

zamorduje mnie bez wahania, jeśli się kiedyś o tym dowie. Do tego musiałem wydać ostatnie pieniądze, żeby najać do pomocy własną matkę, której chętnie zapłaciłbym o wiele więcej, żeby tylko trzymała się ode mnie z daleka. Czy można wyobrazić sobie bardziej podłe życie?

Później Matt Tinwright uzmysłowił sobie, że bogowie musieli usłyszeć jego prowokujące pytanie i zagrzmieli gromkim śmiechem. Usłyszeli zapewne najlepszy żart dnia.

– No, no – odezwał się olbrzym, który zastąpił mu drogę. – A to niespodzianka. Znam cię! To ty, ten sflaczały dorsz, któremu jestem winien porządne lanie.

Zaskoczony Tinwright podniósł wzrok. Zobaczył przed sobą dwóch ogromnych mężczyzn ubranych jak robotnicy z doków. Żaden z nich nie wyglądał zachęcająco, lecz blada, nalana twarz stojącego bliżej wydała się Mattowi nieprzyjemnie znajoma.

Och, bogowie, jakimż byłem głupcem, że was kusiłem! To ten przeklęty strażnik z karczmy Pod Butami Borsuka, który chciał zrobić ze mnie miazgę za to, że ukradłem mu kobietę. Tym razem osiłek nie miał na sobie munduru, a Tinwright nie wiedział, czy to dobra, czy zła wróżba.

– Chyba mnie z kimś pomyliłeś, panie... – zaczął i spuściwszy wzrok, usunął się na bok.

Dłoń, wielka niczym świąteczna szynka, chwyciła go za kołnierz i zatrzymała w połowie kroku.

– Och, nie sądzę, kolego. Dobrze cię zapamiętałem, chociaż gdy nas wysłano na poszukiwania, nie wiedziałem, że chodzi o ciebie. Zastanawiam się tylko, czy powinniśmy obić cię już teraz, ryzykując utratę zapłaty, jaką nam obiecano za dostarczenie cię. – Mężczyzna odwrócił się do swojego niemal równie brzydkiego kompana. – Myślisz, że Jego Wysokość nam zapłaci, jeśli przyniesiemy mu ten worek gówna trochę pomięty?

Drugi z mężczyzn sprawiał wrażenie, jakby poważnie zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Ten olbrzym bywa gwałtowny, więc może lepiej go nie drażnić. Chciał go mieć żywego, tylko tyle wiem.

– Możemy powiedzieć, że się potknął kilka razy i wpadł na ścianę – zasugerował jego kompan, szczerząc zęby w uśmiechu. – Nieraz zdarzało się, że któremuś z naszych więźniów przytrafił się jakiś wypadek.

Więźniów? Olbrzym? Co to wszystko ma znaczyć? Do tej chwili Tinwright miał jedynie nieprzyjemne przeczucie zbliżającego się lania. Choć przerażony, z doświadczenia wiedział, że da się to przeżyć. Teraz jednak dotarło do niego, że oprawcy planują coś więcej.

Tolly? Czyżby zamierzali odprowadzić go do Hendona Tolly'ego? Czy dręczyciel Elan odkrył jego postępek? Serce Matta Tinwrighta zaczęło bić tak szybko, że aż zakręciło mu się w głowie i poczuł mdłości.

– Uwierzcie mi, to jakieś nieporozumienie. – Próbował wykręcić się z uchwytu mężczyzny, lecz tamten zamachnął się wolną ręką i grzmotnął go w głowę z taką siłą, że przez kilka długich chwil Tinwright widział jedynie białe błyski, a w uszach rozbrzmiewało mu głośnie dzwonięcie, jakby jego czaszka zamieniła się w dzwon wybijający godzinę. Gdy trochę oprzytomniał, zorientował się, że mężczyźni idą ulicą, prowadząc go, czy też niemal niosąc między sobą.

– Otworzysz jeszcze raz gębę, to ci przyłożę dwa razy mocniej – ostrzegł go tyran z nalaną twarzą. – Albo wykręcę ci jaja i zaśpiewasz jak dziewczynka. Pasuje ci?

Tinwright skupił się na modlitwie. Zwracał się do Zorii i Zosima, potem do Trzech Braci i wszystkich innych bóstw, które przychodziły mu na myśl, a nawet do kilku z pewnością wymyślonych na potrzeby swoich poematów.

Szybko zorientował się, że jego mało przyjemni towarzysze nie prowadzą go do zamku. Szli najpierw wąskimi uliczkami, a potem skierowali się na most wiodący na wschodnią część

laguny, aż dotarli do tawerny na palach tuż nad wodą. Nie miała żadnego szyldu i tylko nad wejściem wisiał długi zardzewiały harpun. W środku panował mrok, dlatego gdy mężczyźni przenieśli go nad progiem, Tinwrightowi wydało się, że został wprowadzony do zimnej sali tronowej samego Kerniosa. Choć zapach wskazywałby raczej na to, że jest to siedziba jego brata Erivora, boga wód, gdyż spowiły go wyziewy pełne zapachu ryb, krwi i słonej wody.

W tawernie siedzieli sami Muskający Wodę. Gdy szli przez niską główną salę, goście spoglądali na nich obojętnie spod ciężkich opuszczonych powiek niczym żaby czekające, aż intruz pójdzie dalej, by mogły podjąć swoją rechetliwą pieśń.

Dlaczego mnie tu przyprowadzili? – zastanawiał się Tinwright. Nie znam żadnych Muskających Wodę poza tamtą listownicą. Nie wyrządziłem krzywdy żadnemu z nich. Dlaczego więc ktoś stąd miałby żywić do mnie jakieś pretensje?

Nagle drogę zastąpił im wysoki, lecz przygarbiony Muskający Wodę. Sądząc po twardej skórze, był już wiekowym mężczyzną i nosił koszulę z rękawami, co było raczej niespotykane wśród jego ziomeków, którzy zwykle nie okrywali górnej części ciała nawet przy zimnej pogodzie.

– Czego wam trzeba, panowie? – zapytał ochrypłym głosem.

Tinwright miał wrażenie, że pozostali wciąż ich obserwują, pogrążeni w czujnym skupieniu.

Pucołowaty strażnik nawet nie próbował być uprzejmy.

– Posłuchaj, rybi pysku, mamy interes do załatwienia na zapleczu. A ty już dostałeś swoją zapłatę.

– Ach, tak – odparł Muskający Wodę i odsunął się na bok. – Idźcie. Czeka na was.

Drzwi prowadzące na zaplecze były tak niskie, że Matt musiał się mocno pochylić, wchodząc do środka. Jego strażnicy bardzo mu w tym pomogli, ściągając mu głowę w dół tak mocno, że aż mu zatrzęszczało w karku. Gdy znowu się wyprostował, zobaczył, że stoi w małym pomieszczeniu, które w dużej mierze wypełniał ogromny brodacz siedzący przy stole z pokaleczonym blatem.

– Widzę, że go znaleźliście. – Gdy Avin Brone błysnął zębami w uśmiechu, Tinwright pomyślał o szczerzących kły wilkach i wygłodniałych niedźwiedziach. – Pewnie go spotkaliście, jak opuszczał swoje... gniazdko zakochanych, co?

Matt Tinwright, już mocno przestraszony, omal nie zemdłał. Czy Brone znał jego tajemnicę? Nie, to niemożliwe! Pewnie podejrzewa, że Tinwright załatwiał jakieś nielegalne interesy w okolicach doków.

– Tego nie wiemy, panie – odpowiedział mężczyzna, który wcześniej proponował, żeby pomóc Tinwrightowi wpaść na ścianę. – Po prostu czekaliśmy tam, gdzie mówiłeś, i się pojawił.

– Dobrze. Przyjdźcie później odebrać znaleźne. Dobra robota, panowie.

– Dziękujemy, Wasza Lordowska Mość – odparł strażnik. – Wieczorem? Mamy przyjść wieczorem?

– Co? – spytał Brone zamyślony. – Ach, tak. Co to, nie ufacie mi, że nie chcecie zaczekać do Ekstremara?

– No nie, Wasza Lordowska Mość, tylko... mamy swoje potrzeby. – Pызaty spojrział na kompana, który przytaknął mu gorliwie.

– Niech będzie wieczorem. – Brodacz machnął ręką i strażnicy wyszli.

W pokoiku zapadła nieprzyjemna cisza, a Brone wpatrywał się w Tinwrighta, mierząc go wzrokiem od stóp do głów, niczym rzeźnik, który rozmyśla, jak podzielić tuszę. Matt Tinwright, postawiony na mocno drżących nogach, zastanawiał się, czy chodzi o jakiś podstęp. Pozostawiony sam na sam z brodaczem, zaczął rozważać możliwości ucieczki. Zaraz jednak

pomyślał, że może Brone tylko czeka na pretekst, by go zabić. Nie, to nie miało sensu. Minęło dużo czasu, odkąd Brone mu groził, i wiele się zmieniło. Avin Brone już nie rządził w zamku, zatrzymał jedynie oficjalny tytuł. Tinwright wiedział, że starzec stracił władzę lorda konstabla na rzecz jednego z popleczników Tollych, okrutnego Berkana Hooda. Broda hrabiego Landsend znacznie posiwiała, lecz on sam wydawał się potężniejszy niż wcześniej. Tylko czego mógł chcieć od biednego Tinwrighta?

– Dlaczego tu jestem, panie? – Matt zdobył się wreszcie na odwagę.

Brone patrzył na niego przez chwilę, a potem pochylił się do przodu. Wydawało się, że zmarszczone brwi oderwą się zaraz od jego twarzy i pofruną jak dwa nietoperze. Uniósł dłoń i pokazał palcem na swojego więźnia.

– Nie... lubię... poetów.

Tinwright z wielkim trudem przełknął ślinę.

– Przy... przykro mi – wykrztusił. – Nie chciałem...

– Zamknij jadaczkę, Tinwright. – Brone niespodziewanie grzmotnął dłonią o blat stołu z taką siłą, że aż zatrzęsły się ściany pokoiku. Tinwright musiał przyznać, że cicho pisnął, niczym przestraszona dziewczyna. – Wiem o tobie wszystko – mówił dalej olbrzym. – Podstępny wyłudczacz. Pochlebca. Obibok i nieudacznik. Jeśli już odniosłeś czasem jakiś sukces, to tylko dzięki temu, że wycykałeś lepszych od siebie, takich jak Nevin Hewney i jego kompani, skończone szumowiny. – Brone znowu zmarszczył mocno brwi; gdyby teraz oznajmił Tinwrightowi, że zamierza go pożreć żywcem, jak okrutny olbrzym z bajki dla dzieci, poeta z pewnością by mu uwierzył. Tymczasem hrabia Landsend kontynuował swoją tyradę; teraz mówił głosem ściszym, niższym i nabrzmiałym gniewem, który zdawał się zwiastować gorsze rzeczy, niż Tinwright był w stanie sobie wyobrazić. – A potem zjawiłeś się w pałacu. Aresztowany i podejrzany o zamiar wykorzystania rodziny królewskiej. Lecz zamiast kazać ci skrócić o głowę, jak się załatwia zdrajców, do których należysz, oferowano ci dar godny bohatera – patronat samej księżniczki Briony i miejsce na dworze. Och, wyobrażam sobie, jak się zaśmiewałeś.

– Nie... zaśmiewałem się, panie, ale nie...

– Zamknij się. I jak się odpłacasz za taką hojność? Porywasz szlachetnie urodzoną kobietę z królewskiej rezydencji i ją więzisz! Na Trzech, człowieku, oprawcy się zastanawiają, na ile sposobów oderwać ciało od twoich kości!

On wie! – Tinwright nie potrafił dłużej się powstrzymać i wybuchnął płaczem.

– Na wszystkich bogów, przysięgam, że to nie tak! Ona była... jest...! Och, proszę, lordzie Brone, nie pozwól, żeby mnie torturowano. Jestem zwykłym biedakiem. Chciałem dobrze. Nie znasz Elan, tej dobrej, łagodnej kobiety, wobec której Tolly był tak okrutny... – Urwał, gdyż zdał sobie sprawę, że być może pogarsza sprawę, mówiąc źle o obecnym panu Zamku Marchii Południowej. – Nie, ja... ona... ty... – Tinwright nie potrafił wydusić nic więcej, przekonany, że jego los jest przesądzony. Ciszę mąciło tylko jego pochlipywanie.

Jedna z krzaczastych brwi Brone'a uniosła się.

– Tolly? A co on ma z tym wspólnego? Gadaj zaraz, człowieku, albo sam rozpocznę procedury tu na miejscu i zostawię ci tylko tyle sił, żebyś mógł wysapać swoje zeznania przed lordem protektorem.

Tinwright od razu zaczął mówić, a słowa gładko popłynęły z jego ust, pozbawione pseudointeligentnych wtrąceń, wyjaśnień i przeprosin, do których się zwykle uciekał, a które wpadały na siebie, a czasem wręcz zamieniały się w chaotyczny bełkot, niczym owce biegnące zbyt stromą ścieżką w beładną grupkę. Gdy skończył, otarł pot z czoła, zerkając przez palce na Brone'a, który milczał, zamyślony, z czołem wciąż mocno zmarszczonym, jakby wiedział, że zaraz znowu posłuży się swoją maską.

– Młody jesteś, prawda? – zapytał nieoczekiwanie.

Na usta Tinwrighta cisnęły się wszystkie oratorskie chwyt, którymi się zwykle posługiwał, lecz tylko oblizał wargi i powiedział:

– Mam dwadzieścia lat, panie.

Hrabia pokręcił głową.

– Podejrzewam, że pewne błędy, które popełniłeś, sam mógłbym popełnić w twoim wieku.

– Zerknął na Tinwrighta. – Ale nie mam na myśli porwania z zamku Elan M’Cory. Za takie przestępstwo skracca się o głowę, chłopcze.

W oczach Tinwrighta znowu zabłyśły łzy.

– Och, bogowie. Jak mogłem do tego dopuścić?

– Złe towarzystwo – rzucił Brone. – Towarzystwo aktorów i poetów to nic innego jak flirt ze złodziejami i szaleńcami, a co dobrego może z tego wyniknąć? Ale może jest jeszcze dla ciebie ratunek. Gdyby ukryć sprawę panny M’Cory przed lordem protektorem, może miałbyś szansę dożyć sędziwego wieku. Tylko że ja, zatrzymując tę informację dla siebie, ryzykowałbym w twoim imieniu. Stałbym się współwinny zbrodni... – Brone pokręcił głową w ponurym zasmuceniu. – Nie, nie mogę aż tak ryzykować. Mam rodzinę i posiadłość, ludzi, za których odpowiadam. Zachowałbym się nie w porządku wobec nich...

– Och, proszę, hrabio Brone. – Wydawało się, że olbrzym skłania się trochę ku litości. Tinwright bardzo się starał, by jego słowa zabrzmiały słodko i przekonująco. – Proszę. Zrobiłem to tylko dlatego, by ratować niewinną dziewczynę! Oszczędź mi takiego strasznego losu, a zrobię dla ciebie wszystko. Serce mojej biednej matki nie wytrzymałoby takiego ciosu. – Oczywiście było to wierutną bzdurą, bo Anamesiya Tinwright pewnie by się ucieszyła, że spełniły się jej najgorsze przepowiednie.

– Być może. Być może. Ale jeśli mam podjąć takie ryzyko – to znaczy pozwolić ci odejść, wiedząc, że jesteś winny, i jeszcze cię kryć! – musisz coś dla mnie zrobić.

– Co zechcesz. Czy mam przekazywać twoje wiadomości? – Słyszał pogłoski o tym, że Hewney i inni świadczyli takie usługi dla Brone’a. – Mam się udać do obcego kraju? – Potrafił wyobrazić sobie gorszy obrót spraw niż pozostawienie na kilka księżyców matki, wszystkich swoich kłopotów i całego tego ponurego miasta.

– Nie, myślę, że bardziej się przydasz tu na miejscu – odparł hrabia. – Chętnie skorzystam z pomocy kogoś, kto ma dostęp do Hendona Tolly’ego i jego najbliższego kręgu. Szukam odpowiedzi na kilka pytań, dlatego ty, Matcie Tinwright, zostaniesz moim szpiegiem.

– Szpiegiem? I mam szpiegować... Hendona Tolly’ego?

– Och, nie dosłownie jego. Szukam odpowiedzi na mnóstwo pytań i pragnę zaspokoić wiele potrzeb. Próbuję też znaleźć pewien przedmiot i być może poproszę cię, byś go dla mnie zdobył. Podejrzewam, że jest przechowywany w pokojach Okrosa, nowego nadwornego medyka. Nie martw się aż tak bardzo, Tinwright, to nic specjalnie cennego, zwykłe lustro.

Lustro? Może to, którym Tolly torturował Elan? Tylko głupiec albo szaleniec zbliżałby się do czegoś takiego...!

Matt Tinwright wpatrywał się w hrabiego, przerażony własną naiwnością.

– Wcale... nie zamierzałeś powiedzieć Tolly’emu. On cię wyrzucił! Po prostu potrzebowałeś szpiega!

Avin Brone odchylił się do tyłu z dłońmi złożonymi na wydatnym brzuchu.

– Poeto, nie wysilaj łepetyny, próbując dociec prawdy. To nie twoja dziedzina.

W głowie Tinwrighta kłębiły się myśli, lecz on czuł się przede wszystkim zły, wręcz wściekły i poniżony, że dał się podejść jak jakiś półgłówek.

– A jeśli udam się do Tolly’ego i powiem mu, że próbowałeś zrobić ze mnie szpiega?

Brone zaśmiał się głośno.

– I co? Chciałbyś, żeby usłyszał moją historię – prawdę o, lady Elan? A nawet gdybym przez to narobił sobie kłopotów, a przy okazji i tobie, to mam posiadłość w bezpiecznej odległości od zamku, gdzie mógłbym się udać pod ochroną moich ludzi. A co ty masz, gryziopiórku? Tylko szyjkę, którą topór kata przetnie jednym cięciem, jakby ciachał cieniutką kiełbaszkę.

Tinwright mimowolnie przyłożył dłoń do gardła.

– A jeśli Tolly mnie złapie? – Po raz kolejny był na granicy płaczu.

– Wtedy będziesz w takiej samej sytuacji, w jakiej byś się znalazł, gdybym mu powiedział, co zrobiłeś. Jeśli powiem Tolly’emu, szybko dopadną cię kłopoty, uwierz mi.

Tinwright nie odrywał wzroku od starca.

– Jesteś... demonem.

– Jestem politykiem. A to duża różnica, ale skąd ty masz wiedzieć takie rzeczy, żółtodziobie. A teraz posłuchaj uważnie, poeto, bo powiem ci, co masz dla mnie zrobić.

Polizać igłę

Mówi się, że w początkach istnienia Hierosolu, kiedy była to jeszcze wioska, po drugiej stronie Cieśniny Kulloana stało ogromne miasto Qarów Yashmaar i to za sprawą handlu między mieszkańcami południowego kontynentu z tą czarodziejską twierdzą Hierosol tak szybko się wzbogacił.

– z Traktatu o czarodziejskich narodach obojga kontynentów Eionu i Xandu

Barrick Eddon. Jakie dziwne imię. Gdy tak leżała w ciemności, Qinnitan przez chwilę nie rozumiała, dlaczego kołatało się jej w głowie, wciąż powracając, niczym słowa jednej z modlitw, której nauczył ją ojciec, gdy była mała. Barrick. Barrick Eddon. Barrick...

A potem nagle przypomniała sobie sen. Spróbowała usiąść, lecz Gołąb spał prawie cały rozciągnięty na niej i trudno jej byłoby się wyswobodzić, nie budząc go.

Ta wizja, co znaczyła? Już kilkakrotnie wcześniej widziała tego chłopaka o płomiennie rudych włosach, lecz tym razem było inaczej: mimo że nie pamiętała dokładnie, co każde z nich mówiło, to nie miała wątpliwości, że prowadzili rozmowę. Zastanawiała się, dlaczego otrzymała taki dar, jeśli to był dar. Jakie były intencje bogów? Jeśli wizja pochodziła od Świętych Pszczół, którym służyła, tych ze Złocistego Ula Nushasha, to czy nie powinna raczej przyjść do niej we śnie jedna z jej dawnych przyjaciółek, na przykład Duny? Dlaczego ukazywał jej się jakiś chłopak z północy, którego nigdy wcześniej poza snem nie widziała?

Mimo wszystko nie potrafiła pozbyć się z myśli Barricka Eddona, nie tylko dlatego, że wreszcie poznała jego imię. Podczas ich spotkania odczuła jego desperację jak własną, lecz nie tak, jak wyczuwała niepokój Gołębia, bardziej jakby naprawdę potrafiła poczuć udękę serca tego obcego chłopaka, jakby w ich żyłach płynęła ta sama krew. A przecież to było niemożliwe...

Qinnitan znowu poczuła, że Gołąb się wierci, i spojrzała w ciemność. Nie miała pojęcia, czy jeszcze jest noc, czy już nastaje ranek, ponieważ kajuta nie miała okien, a z odgłosów na statku trudno było jej się zorientować, gdyż jeszcze nie potrafiła rozpoznawać kolejnych wacht po zawołaniach załogi.

Jakże tęskniła za światłem! Nie przyniesiono jej lampy z obawy, że mogłaby się spalić, co było głupotą. Qinnitan nie dbała specjalnie o swoje życie – gotowa była je poświęcić, jeśli tylko w ten sposób mogłaby uciec przed Sulepisem – ale nie poświęci chłopca, dopóki istnieje choćby cień nadziei na uratowanie go.

Gdyby miała świecę lub lampę, noc nie dłużyłaby się tak bardzo. I spałaby lepiej – choć Gołąb, jak się zdawało, potrafił zasnąć w każdej chwili i spać, ile chciał. Ona jednak chciałaby móc na coś popatrzeć, kiedy nie spała. A jeszcze lepiej, gdyby mogła poczytać, na przykład wiersze Baz'u Jeva albo innego poety, żeby tylko przestać myśleć o terażniejszości.

Nie mogła jednak na nic takiego liczyć, przynajmniej dopóki był z nimi ich porywacz. Był człowiekiem przebiegłym i okrutnym, pozbawionym serca. Qinnitan próbowała wszystkiego – flirtu, niewinnej bezradności, dziecięcego strachu, lecz on pozostał niewzruszony, jakby był z kamienia. Nie poddała się jednak.

Światło. Drobiazgi nagle urastały do wielkich rzeczy, gdy były niedostępne. Światło. Coś

do czytania. Swoboda poruszania się. Wolność od strachu przed torturami i śmiercią z rąk szalonego króla. Podarunki, których większość ludzi nie zauważała, a za które Qinnitan oddałaby całe złoto świata.

A w tej chwili marzyła o lampie...

W jej głowie zrodził się pewien pomysł i choć był straszny, nie potrafiła się go już pozbyć. Gołąb jęknął przez sen i ścisnął jej ramię, jakby wyczuwał jej myśli, lecz ona ledwo zwróciła na to uwagę. Statek unosił się i opadał na kotwicy, ona zaś, wsłuchana w ciche skrzypienie drewna, leżała w ciemnej kajucie z chłopcem wczepionym w jej ciało, rozważając swój pomysł, który mógł przynieść im wolność albo śmierć.

Daikonas Vo wstał jeszcze przed świtem, jak to miał w zwyczaju. Nigdy nie potrzebował dużo snu, i dobrze, gdyż jako chłopiec w rodzinnym domu, pełnym pojawiających się i znikających mężczyzn i pijackich libacji, nie miał możliwości wyspania się.

Odbył rozmowę z kapitanem i optymarem, dowódcą żołnierzy na pokładzie statku, obudziwszy ich, zanim światło świtu dotknęło chmur, i wyjaśnił, że nie wie, co byłoby dla nich gorsze – gniew autarchy czy gniew jego samego – gdyby coś stało się dziewczynie pod jego nieobecność. Żaden z mężczyzn nie pałał do niego sympatią, ale jakie to miało znaczenie? On myślał tylko o swojej misji. Ku swemu zadowoleniu dostrzegł nawet błysk strachu w spojrzeniach obu mężczyzn, lepiej skrywanego przez kapitana pod maską gniewu niż przez optymarchę – który tylko trochę przewyższał rangą Vo – ale wciąż widocznego na ich twarzach. Ten strach napawał go większą pewnością niż ich strach przed autarchą. Sulepis był groźny, ale znajdował się gdzieś daleko, on zaś przebywał z nimi na pokładzie i przypomniał im, że wróci przed nastaniem nocy.

Wyszedł z łodzi na pomost i ruszył przed siebie, nie oglądając się na wioślarzy, którzy kreślili znaki odczynienia zła, kręcąc głowami. Vo wręcz delectował się swoją niepopularnością. Inaczej było, gdy przebywał przez długie lata wśród swoich żołnierzy. Tam starał się zachować pewną równowagę, by nie prowokować aż takiej wrogości, która kazałaby im zadźgać go nożem podczas snu. Tutaj jednak, znalazłszy się pośród kilku starszych od siebie rangą, nad którymi górę brała jednak jego misja, pragnął trzymać wszystkich na dystans. Wiedział zarazem, że największe zagrożenie pochodzi nie od oczywistych wrogów, lecz od rzekomych sprzymierzeńców. Wielu zapomniało o tym i dało się zaskoczyć. Z tego powodu ginęli królowie i autarchowie.

Agamid wyrastało przed nim trzema wierzchołkami wzgórz, które je rozślawiły, a które spoglądały na to portowe miasto usadowione u stóp najwyższego ze wzniesień, rozciągnięte aż do krawędzi szerokiej zatoki. Pomimo tak wczesnej pory panował tam już duży ruch, na drogach dudniły wozy wiozące z portu na bazar świeże ryby i towary ze statków, które przybiły w nocy. Ryk wołów, okrzyki mężczyzn oraz wrzaski i śmiech odganianych z drogi dzieci tworzyły pełną życia scenę, na którą Vo najchętniej spuściłby z północy lodową burzę, by pogrążyła wszystko w zimnej ciszy. Jakże pragnąłby to zobaczyć! Wszystkie te twarze o rozwartych ustach i wybałuszonych oczach, nieruchome niczym pyski ryb w zamrażonym stawie, spowite ciszą zabarwioną jedynie słodką pieśnią wiatru.

Vo szedł od straganu do straganu, wypytując właścicieli o aptekarza imieniem Kimir, o którym wspominał mu pewien marynarz zarażony kiłą podczas jednej z wcześniejszych podróży. Niektórzy się złościли, że zawraca im głowę ktoś, kto nie zamierza nic od nich kupić, lecz gdy napotykali zimne spojrzenie Vo, od razu nabierali szacunku i uprzejmie odpowiadali na jego

pytania. Wreszcie znalazł sklep w jednym z ciemnych obrosniętych winoroślą domów na tyłach bazaru.

Znalazłszy się w środku, ujrzał dokładnie to, czego się spodziewał: sufit pokryty pajęczyną sznurków, na których zawieszono suszone liście, kwiaty, owoce, całe gałązki i korzenie, i podłogę zastawioną licznymi koszami, skrzynkami i glinianymi naczyniami uszczelnionymi woskiem albo ołowiem. Pod ścianą obok stołu stała komoda wyższa od człowieka, z mnóstwem malutkich szufladek, i był to chyba najdroższy mebel w całym pomieszczeniu. Obok niej na stołku siedział chudy starzec z długą brodą, ubrany w brudną szatę i wysoki stożkowy kapelusz, popularny w tej części świata. Mężczyzna na chwilę podniósł wzrok znad jednej z szufladek, której zawartość oglądał, i było to całe jego powitanie.

– Malamenas Kimir? – zapytał Vo.

Starzec powoli skinął głową, jakby właśnie dotarło do niego, że tak się nazywa.

– Tak mówią, ale w końcu powtarzają też wiele nieprawdziwych rzeczy. W czym mogę ci pomóc, przybyszu?

Vo starannie zamknął za sobą drzwi. Teraz starzec spojrzał na niego uważniej.

– Jest tu z tobą ktoś jeszcze? – spytał Vo.

– W pracy pomaga mi tylko moja siostra – odparł Kimir, uśmiechając się. – Jest starsza ode mnie, więc jeśli zamierzasz mnie obrabować albo zamordować, to nie musisz się jej lękać.

– Jest tu teraz?

Starzec pokręcił głową.

– Nie. Została w domu z bólem w plecach. Przyrządziłem jej słabą tynkturę z szaleju. Doskonale lekarstwo, ale powoduje skurcze i wzdęcia, więc poradziłem jej, żeby została w domu.

– Patrzył na Vo z przekrzywioną głową niczym sroka wpatrująca się w błyskotkę. – Tak więc powtórzę, w czym mogę ci pomóc, panie?

Vo podszedł bliżej. Ludzie przeważnie cofali się odruchowo, gdy zbliżał się do nich Daikonas Vo, lecz stary aptekarz wydawał się nieporuszony.

– Potrzebuję pomocy. Mam coś... w sobie. To coś ma mnie zabić, jeśli nie wykonam polecenia mojego pana. Robię, co mogę, ale obawiam się, że nawet jeśli wywiążę się z zadania, on nie zechce mnie wyleczyć.

Kimir skinął głową, a jego oblicze wyrażało zainteresowanie.

– Rozumiem, pracodawca, który gotów jest posunąć się do tego, żeby zagwarantować dobre wyniki pracy, i który niekoniecznie wyrazi swoją wdzięczność po jej ukończeniu pracy. Zmusił cię może do zjedzenia kawałka korzenia szkarłatnego węzowca? Czy powiedział, że zostało ci tylko kilka dni, a potem trucizna cię zabije?

– Nie. Noszę to w sobie od miesięcy.

– To może chodzi o rozwodnik Aeliana? Ostrzegał cię, żebyś w żadnym wypadku nie jadł ryb?

– Od tamtego czasu zjadłem ich dużo. Nic takiego mi nie mówił.

– Hm. Bardzo ciekawe. W takim razie musisz mi wszystko dokładnie opowiedzieć...

Daikonas Vo zdał relację ze spotkania z autarchą w sali tronowej, choć nie podał tożsamości swojego pracodawcy. Kiedy opisał agonálne cierpienia kuzyna autarchy, Kimir otworzył szeroko oczy i odsłonił żółtkłe zęby w szerokim uśmiechu.

– ...Potem zdradził mi, że połknąłem to coś z winem – zakończył swoją opowieść Vo. – I dodał, że jeśli nie wypełnię misji, czeka mnie podobny los.

– Bez wątpienia – rzekł Kimir, zacierając dłonie. – Dobrze. Cudownie intrygujący przypadek. Wygląda na to, że mamy do czynienia z prawdziwym *basiphae*. Nie sądziłem, że kiedykolwiek w swoim życiu to zobaczę.

– Chcę się tego pozbyć – powiedział Vo. – Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz. Wynagrodzę cię, jeśli mi pomożesz. Spróbujesz mnie oszukać lub zdradzić, to umrzesz... powoli i w mękach.

Kimir zaśmiał się krótko.

– Ach, nie wątpię, że spełniłbyś swoją obietnicę, panie...? – Gdy gość nic nie odpowiedział, starzec wstał. – Nikt nie marnowałby takiej... zachęty na mało ważnego sługę wypełniającego mało ważne zadanie i nikt, kto potrafił i kogo stać było na znalezienie i wykorzystanie *basiphae*, nie powierzałby misji nieporadnemu pracownikowi. Och, nie wątpię, że znasz się na zabijaniu. Usiądź tu i pozwól mi się zbadać.

Vo usiadł na stolku i zaraz uniósł dłoń.

– Doprawdy, nie musisz nic więcej mówić – uprzedził go starzec. – Wiem, że spotka mnie coś strasznego, jeśli cię rozczaruję. – Dotknął swojego nosa. – Zaufaj mi, przyjmowałem tu wielu tajemniczych i niebezpiecznych klientów.

Malamenas Kimir zaczął szybko przesuwając dłońmi po brzuchu Vo, uciskając go i ściskając. Potem starzec przyjrzał się twarzy mężczyzny; wywinął mu powieki, sprawdził oddech i barwę języka. Gdy skończył zadawać kolejne pytania, pragnąc dowiedzieć się jak najwięcej o stolcu, moczu i flegmie klienta, minęła godzina i Vo usłyszał świątynne dzwony, które obwieściły koniec porannych modłów. Domyślał się, że jego więźniowie już się obudzili, co oznaczało, że ta dziwka z Ula zacznie główkować, jak mu zaleźć za skórę.

– Nie mogę tu siedzieć w nieskończoność – powiedział, podnosząc się z miejsca. – Daj mi coś na zabicie tego paskudztwa, które noszę w brzuchu.

Starzec spojrział na niego uważnie.

– Nic z tego.

– Co? – Dłoń Vo powędrowała do noża wsuniętego za pas.

– Przemoc ma swoje granice, wiesz o tym – rzekł spokojnym tonem Kimir. – A ja nie zamierzałem marnować ostatniego oddechu na wyliczanie ich, skoro zamierzasz mnie zabić.

– Mów.

– Zdecyduj się.

Vo zdjął dłoń z rękojeści noża.

– Mów.

– Granice przemocy. Dwie. Próbując otruć *basiphae* w twoim brzuchu, istotę małą jak nasienie paproci, otrułybyś też samego siebie. Jest to pewne ograniczenie, zgodzisz się ze mną?

– Mówiłeś o dwóch. Mów dalej. Nie lubię gier.

Starzec uśmiechnął się kwaśno.

– Dobrze. Gdybyś mnie zabił, nigdy byś się nie dowiedział, w jaki sposób mogę ci pomóc.

– Kimir wstał i podszedł do wysokiej komody. – Gdzie tu musi być – mruknął, przeszukując kolejne szufladki. – Lisi łopian, nie, ziele perikalskie, nie, wątrobiec Zakkasa, cikliwica – tak! Zastanawiałem się, gdzie się podziała. – Odwrócił się do Vo. – Wiesz, ostatni klient, który stał tu z ręką na rękojeści noża, tak jak ty, ostatecznie kupił taką ilość tojadu, że mógłby wykończyć całą rodzinę razem z dziadkami, wujami, kuzynami i służbą. Często się zastanawiałem, co z nim zrobił... – Kimir przestał szukać i wyjął z jednej z szufladek pękłą czarną buteleczkę wielkości palca wskazującego Vo. – Jest. Tygrykuta z Yanedanu. Tamtejsi chłopcy zatrują ją groty włóczni, gdy nęka ich tygrys, zwierzę większe i groźniejsze niż lew. Tę truciznę robi się z górskiego kwiatu zwanego lilią lodową. Człowieka zabije w kilka chwil.

Teraz nóż błysnął w powietrzu, mimo że Vo pozostał na swoim miejscu.

– Co za głupoty wygadujesz? Nie chcę umierać, ale może ty chcesz, starcze?

Kimir pokręcił głową.

– Yanedańczycy smarują groty włóczni pastą podobną do pasty z ciecierzycy. Dla

człowieka, nawet dla kogoś tak silnego jak ty, wystarczy odrobinka.

– Do czego wystarczy? Mówiłeś, że nie da się zabić istoty w moim brzuchu.

– Zabić nie, ale można ją... uspić. Tu nie ma żadnej magii. Mamy do czynienia z żywą istotą, którą mogą pokonać tajniki sztuki aptekarskiej. Zażywając codziennie odrobinę tygrykuty... uspiasz ją. Będzie jak ropucha, która śpi w zaschniętym błocie w oczekiwaniu wiosennych deszczów.

– Hm. A skąd wiem, że się tym nie otruję? – Vo machnął szerokim ostrzem w kierunku starca. – Musisz mi pokazać, ile tego brać. Sam zażyjesz.

Malamenas Kimir wzruszył ramionami.

– Chętnie. Dawno już tego nie brałem i obawiam się, że za dużo już się dzisiaj nie napracuję. – Uśmiechnął się. – Ale myślę, że w dowód wdzięczności wynagrodzisz mi tę stratę. – Odkorkował czarną buteleczkę i znowu zaczął czegoś szukać.

– Słuchaj, stary, a skąd wiesz, że cię nie zabiję, gdy już dostanę od ciebie to, po co tu przyszedłem?

Kimir uniósł w palcach srebrną igłę.

– Bo to trudno dostępna trucizna. Odwiedzisz setkę innych miejsc i nigdzie jej nie dostaniesz. Jeśli pozwolisz mi jeszcze pożyć, zdobędę jej więcej dla ciebie, a gdy będziesz jej potrzebował następnym razem, znajdziesz ją u mnie. Nie znam twojego imienia, a nawet gdyby, to i tak nikomu bym o tobie nie opowiadał, więc nie ma potrzeby, żebyś mnie krzywdził.

Vo wpatrywał się w starca długą chwilę.

– Pokaż, ile mam tego zażywać.

– Jedną kroplę tak dużą, jak zdołasz nabrać na czubek tej igły, nigdy większą niż nasiono rzodkiewki. – Kimir zanurzył igłę w buteleczce i zaraz podniósł ją z malutką kulką lśniącej czerwobursztynowej cieczy zawieszoną na czubku, a potem przyłożył igłę do języka i wessał kroplę. – Jedna dziennie. Ale uważaj – dodał. – Większa dawka zmoże nawet tak silne serce jak twoje.

Vo pozostał na miejscu i prawie przez godzinę obserwował starca, lecz zachowanie Kimira specjalnie się nie zmieniło. Za pozwoleniem Vo aptekarz zabrał się nawet do porządkowania sklepiku, choć wydawało się, że porusza się jakby trochę apatycznie.

– Prawie przyjemne doznanie – zauważył Kimir w którymś momencie. – Dawno tego nie próbowałem. Już zapomniałem, jak smakuje. Dziwne uczucie w ustach.

Vo nie interesowało, co starzec czuje. Gdy się upewnił, że aptekarz nie próbował żadnych sztuczek, nabrał na igłę trochę mniej cieczy i zlizał ją z czubka.

– I to uspi istotę w moim brzuchu?

– Jeśli będziesz regularnie przyjmował tygrykutę – odparł Kimir. – Zawartość buteleczki powinna ci starczyć do końca lata. Kosztowała mnie dwa srebrne imperiale. – Na ustach starca znowu pojawił się uśmiech lisa obserwującego rodzinę tłustych przepiórek. – Sprzedam ci ją za taką sumę, ponieważ będziesz moim stałym klientem.

Vo położył pieniądze na stole i wyszedł, a starzec nawet nie popatrzył za nim, zajęty przekładaniem szufladek w swojej aptekarskiej komodzie.

Vo czuł się lekko zamroczony, ale nie bardziej niż po szybkim wypiciu kufla piwa w upalny dzień. Wierzył, że przyzwyczai się do tego uczucia i trucizna nie osłabi jego czujności. A jeśli tak, to zacznie przyjmować mniejsze dawki. W końcu istniała pewna szansa, że gdy już dostarczy Sulepisowi dziewczynę, autarcha uzna, iż jest bardzo przydatny, i w nagrodę usunie istotę z jego wnętrzości. Kto powiedział, że jego misja nie zakończy się pomyślnie? Jeśli autarcha zamierza rozciągnąć swoje panowanie na dwa kontynenty, będzie potrzebował mądrych i silnych ludzi. Nie znajdzie lepszego wicekróla niż Daikonas Vo, człowieka, który nie poddaje

się cielesnym pragnieniom, jak większość jego braci. Samodzielne rządy w jakimś kraju uznały za bardzo ciekawe doświadczenie...

Vo zatrzymał się, wyczuwając, że coś jest nie w porządku, lecz w pierwszej chwili, nie wiedział, o co chodzi. Stał na cyplu, gdzie droga biegnąca przez bazar skręcała, a ze zbocza widać było port. Słońce stało już wysoko na bezchmurnym niebie, lecz... chmury wisiały nisko nad wodą.

Dym.

Daikonas Vo wyteżył wzrok. Od razu otrząsnął się z uczucia bliskiego zadowoleniu, a jego miejsce zastąpił gniew, a także coś na podobieństwo strachu. W porcie płonął statek z Xis – jego statek.

Minęła już co najmniej godzina od wschodu słońca, według oceny Qinnitan, a bezimienny mężczyzna nie zjawiał się w ich kajucie, z pustym wyrazem twarzy, jak miał w zwyczaju co drugi dzień, zaczynając od świtu – co mogło oznaczać, że zszedł na ląd.

Opuścił pokład... możliwe. Jeśli tak, to może po raz ostatni znaleźli się poza zasięgiem jego bezpośredniej władzy, zanim odda ich w ręce autarchy o złotych palcach. Jeśli w ogóle miała spróbować ucieczki, to właśnie teraz.

Uderzyła mocno w drzwi kajuty, ignorując przestraszone spojrzenie Gołębia. Po dłuższej chwili rozległ się zgrzyt odsuwanej zasuwki i do środka zajrzał jeden ze strażników. Przedstawiła mu swoje życzenie. Zmarszczył brwi z niepewną miną i szybko się wycofał, by sprowadzić oficera dowodzącego.

Dwóch innych oficerów pojawiło się i odeszło, zanim przybył sam kapitan, i wtedy dziewczyna nabrała pewności, że bezimienny mężczyzna zszedł na ląd. Niepewne zachowanie kapitana w obecności Qinnitan mówiło jej, że mężczyzna wciąż boi się jej porywacza; było jasne, że wie o niej tylko tyle, że jest wieziona do autarchy.

– Jestem kapłanką Ula – powtórzyła po raz trzeci. – Muszę mieć możliwość odprawienia modłów do Nushasha. Dzisiaj przypada Dzień Czarnego Słońca. – Miała nadzieję, że nazwa wymyślnego święta brzmi wystarczająco złowieszczo.

– I myślisz, że w związku z tym wypuszczę cię na pokład? – Kapitan pokręcił głową. – Nie i jeszcze raz nie.

– Chcesz sprowadzić zły urok na własny statek? Odważysz się odmówić bogu modlitwy w taki dzień?

– Nie, ale musiałbym otoczyć cię strażą, a szczerze mówiąc, boję się pokazywać tyłu ludzi w tym porcie. W końcu nie jesteśmy w domu. – Zorientował się, że powiedział więcej, niż powinien, i zgromił Qinnitan groźnym spojrzeniem, jakby to ją należało winić za jego gadatliwość. – Nic. Możesz się modlić, aż zedrzesz sobie gardło, ale w kajucie.

– Żebyśmy mogła odprawić modły, muszę widzieć słońce. Inaczej obrażę boga! – Teraz zaczęła naprawdę modlić się o to, żeby kapitan pomyślał, iż sam wpadł na ten pomysł. – Muszę widzieć wszechogarniające słońce albo chociaż ogień. A tutaj nie mam ani jednego, ani drugiego.

– Ogień? To śmieszne. Myślę, że lampa ci wystarczy. Albo świeca. Tak, tak będzie bezpieczniej. Czy świeca zadowoli boga?

– Kpisz z bogów na własne ryzyko – odpowiedziała poważnym tonem, lecz w głębi duszy odetchnęła z ulgą. – Lampa będzie dobra.

– Nie, świeca. To albo nic. Zaryzykuje.

Qinnitan starała się przybrać minę zepsutej kapłanki, która zwykle potrafi postawić na

swoim.

– Och, dobrze – odpowiedziała. – Skoro nie stać cię na nic więcej. Powiedz bogom, że nie czyniłem ci żadnych przeszkód – rzekł kapitan. – I bądź uczciwa! Niebiosom należy mówić prawdę.

Po kilku minutach frustrującej niepewności zjawił się marynarz ze świecą w glinianym kubku. Świeca była tylko trochę grubsza niż kciuk Qinnitan i paliła się płomieniem długości paznokcia. Gdy zostali sami, dziewczyna postawiła świecę na podłodze i zaczęła drzeć koc na długie paski. Zaintrygowany Gołąb, który przyglądał jej się z łóżka, wykonał palcami pytający znak. Odpowiedziała uśmiechem, by go uspokoić.

– Później ci wytłumaczę, a teraz mi pomóż. Drzyj na takie kawałki.

Gdy już zmienili koc w kilkadziesiąt pasków, Qinnitan wysunęła spod łóżka dzban z wodą. Zachowała część z poprzedniej nocy, wypiwszy zaledwie kilka kropel.

– Maczaj paski w ten sposób – zwróciła się do Gołębia. Zanurzyła w wodzie jeden z kawałków materiału i wyjęła, po czym wycisnęła nadmiar wody z powrotem do dzbana. – Teraz ty. Zamocz kilka, a reszta niech zostanie sucha.

Podczas gdy Gołąb, zdumiony, lecz posłuszny, zajął się namaczaniem wełnianych pasków, Qinnitan sięgnęła po małą buteleczkę perfum i wylała je na część koca, którą pozostawiła w całości, po czym wstała i wcisnęła materiał w szczelinę między deskami sufitu. Chłopiec przyglądał się przerażony, jak dziewczyna podnosi świecę i przysuwa ją do nasączonych perfumami resztki koca. Chwilę później na materiale wyrósł kwiat przezroczystego niebieskawego płomienia.

– Na podłogę – poinstruowała Gołębia. – Połóż się na podłodze i zakryj sobie usta, o tak. – Wzięła jeden z mokrych pasków i przycisnęła sobie do ust. Podobnie jak pozostałe kapłanki Ula, знаła opowieść o strasznym pożarze sprzed jakichś siedemdziesięciu lat, kiedy to gobeliny na ścianach pokoi Ula zajęły się ogniem i większość Pszczół – a także kapłanek i nowicjuszek – zginęła. Prastara matka Mudry, wtedy jeszcze młoda kobieta i jedyna, która dożyła czasów Qinnitan, przetrwała strasznego pożaru dzięki temu, że wyszła z kąpieli w mokrym ubraniu i zakryła usta mokrymi włosami. W ten sposób udało jej się znaleźć drogę na wolność pomimo kłębow gęstego i duszącego dymu. Lecz Qinnitan i Gołębia czekało trudniejsze zadanie.

– Musimy wytrzymać do momentu, aż ktoś wyłamie drzwi – wyjaśniła chłopcu. Mówiła głośno poprzez osłonę na ustach, tak by ją usłyszał. Płomień poczercił już belki sufitu wokół materiału i nie przygasł ani trochę. Qinnitan miała nadzieję, że gdy dotrze do zewnętrznych desek i papy, która broniła dostępu wodzie, ogień będzie już nie do ugaszenia. – Leż na podłodze i oddychaj tylko przez materiał. Jak już wyschnie i poczujesz w ustach dym, zanurz pas tutaj. – Podsunęła mu dzban. – Nie wstawaj.

O, dzielny Nushashu, wyszeptwała i zaraz uzmysłowiła sobie, że chyba niezręcznie jest zwracać się do boga ognia, skoro samemu wzniciło się pożar. W końcu czy autarcha nie był dzieckiem Nushaha? Tylko że Qinnitan sprzeciwiała się jego woli, co może się nie spodobać bogu.

Suya Kwiat Świt. Oczywiście, Suya została porwana od męża i zmuszona do tułaczki po świecie. Ona najlepiej ze wszystkich bogów ją zrozumie.

Proszę, Kwiecie Świt, modliła się Qinnitan, tułac do boku drżącego chłopca i spoglądając na dym, który zasłonił już prawie cały sufit małej kajuty. Sama już go czuła przez wysychający materiał, lecz chciała zaoszczędzić wody, bo tylko bogowie wiedzieli, jak długo jeszcze ona i

chłopiec pozostaną w środku. Wspomóż nas w tej godzinie. Okaż mi swoją łaskę i względy. Pozwól uratować to dziecko. Pomóż nam uciec od tych, którzy chcą nas skrzywdzić. Okaż nam tak dobrze znane wszystkim miłosierdzie...

Po skończonej modlitwie zacisnęła mocniej powieki przed gryzącym dymem i czekała.

Wcisnęła kawałek koca głęboko do dzbana, lecz gdy go wyjęła, wydawał się jeszcze bardziej suchy, niż gdy go tam wkładała. Materiał, którym zasłaniała usta, także był zupełnie suchy i coraz bardziej czuła gryzący dym. Gołąb obok niej krztusił się tak gwałtownie, że jego drobne ciało całe się trzęsło. Qinnitan strasznie cierpiała, patrząc na niego. Nie widziała już drzwi przez kłęby dymu.

– Moja śmierć nic nie znaczy... zwróciła się do Sui i innych miłych bóstw, które być może jej słuchały – i nieważne, co się ze mną stanie. Tylko proszę, jeśli chłopiec musi umrzeć, zaopiekujcie się nim w Niebiosach. Jest niewinny.

Biedny Gołąb. Jaki straszny los zgotowali mu bogowie – odebrano mu język i męskość, a potem musiał się tulać tylko dlatego, że znalazł się w niewłaściwym miejscu w chwili, gdy autarcha kazał zamordować jednego ze swoich wrogów. To niesprawiedliwe... Biedny...

Qinnitan pokręciła głową. Teraz już prawie nic nie widziała i z trudem wciągała powietrze w rozpalone płuca. Gołąb leżał niemal nieruchomo. Jednocześnie odczuwała grzmiące ciśnienie, jakby znajdowała się pod wodą, a na dnie uderzono w dzwon starego statku kupieckiego.

Buum. Buuum. Buuum.

Qinnitan pomyślała, że dziwnie jest przebywać pod wodą. Samo oddychanie sprawiało jej ból, ale nie tak, jak się spodziewała – a woda była zupełnie zmacona. Piasek. Ktoś lub coś poruszył piasek na dnie oceanu, który wzbił się wokół niej tumanami, upstrzony złotymi plamkami światła, okruchami gwiazd, jak na nocnym niebie... ciemność, przyzywająca ciemność...

Buum! Coś pękło z trzaskiem, a potem woda... powietrze... dym zawirowały i płomienie pochyliły się nad Qinnitan, a do kajuty weszły, chwiejąc się, ciemne postacie – krzyczały, migocąc czerwonym światłem, niczym diabły dokazujące na dnie piekła. Qinnitan patrzyła nieprzytomnym wzrokiem na to, co się dzieje, i zaraz poczuła, jak silne dłonie odciągają ją od Gołębia. Ktoś niósł ją po schodach na górę, ona zaś podskakiwała jak poluzowane siodło z zerwanym poprzęgiem.

Zdołała wydobyć z siebie tylko słaby szept:

– Wynieście chłopca! Wynieście Gołębia! Nie zostawiajcie go tam!

Zanim zdążyła zobaczyć, czy żołnierze uratowali niemego chłopca, niosąca ją osoba upuściła ją bezceremonialnie na pokład. Ogień rozpełzł się wszędzie, nie tylko na pokładzie, wspiął się także na maszt i wyżej, a płomienie pomykały po żaglach i olinowaniu niczym psotne chochliki. Kilku marynarzy próbowało ugasić pożar wodą z wiader, lecz przypominało to rzucanie kamyczków w burzę piaskową.

Jeden z żołnierzy położył na pokładzie obok niej Gołębia. Chłopiec poruszał się niemrawo, niemal całkowicie oszołomiony. Qinnitan spróbowała ogarnąć spojrzeniem otaczający ją chaos: biegający marynarze, wrzaski, palące się liny opadające z góry niczym piekielny bicz Xergala, i dopiero wtedy przypomniała sobie, co zrobiła. Cały ten horror spowodowała mała świeczka!

Dziewczyna dźwignęła się na kolana. Nie chciała tracić czasu na cucenie Gołębia: woda zrobi swoje albo dokończy to, co jej się nie udało.

Tym razem na pewno umrę, zanim pozwolę, by ktoś znowu mi go odebrał...

Odczekała jeszcze kilka nierównych uderzeń serca i gdy zobaczyła, że stojący najbliżej marynarze odwrócili się, dźwignęła bezwładne ciało chłopca i chwiejąc się, podeszła do relingu. Oparła się plecami i podrzuciła sobie Gołębia wyżej, tak że zawisł jej na barku, a gdy się pochyliła, pociągnął ją za sobą za burtę.

Spadali dłużej, niż się spodziewała, dlatego miała czas zastanowić się nad tym, czy śmierć w lodowatej wodzie jest lepsza niż śmierć w ogniu. A potem uderzyli w powierzchnię wody i zielona ciemność zamknęła się wokół nich niczym pięść.

Trzy bliźny

Zanim Vutowie zostali wypędzeni z ziem, które teraz znajdują się za Granicą Cienia, najdalej wysuniętą na północ miejscowością zamieszkaną przez ludzi było vutskie miasto Jipmalshemm. Jego kroniki wielokrotnie wspominają o strasznym miejscu „Ruohttashemm”, domu „Zimnych Czarodziejskich Ludzi”, które nazywano też Krańcem Ziemi.

– z *Traktatu o czarodziejskich narodach obojga kontynentów Eionu i Xandu*

Barrick Eddon unosił się niesiony nurtem ciemności niczym liść na powierzchni leniwej rzeki. Myśli, z których się składał, płynęły zgodnie z tym nurtem: tam, gdzie traciły na złożoności, zyskiwały na spójności. Czuł się tak przyjemnie, wręcz błogo, mogąc być niczym, niczego nie pragnąc, lecz jakaś jego część, która jeszcze pozostała Barrickiem, wyczuwała, że taki błogostan nie może trwać wiecznie.

I nie trwał. Z nicości wyłoniły się trzy głosy – splecione, mówiące jak jeden, spowijające go pajęczyną słów, które bardzo powoli odsłaniały swoje znaczenie.

...Dawno temu Ci, Którzy Nie Śpią odłączyli się od swoich ziomków, a stało się to z powodu ich wiecznego czuwania, które doprowadziło ich do szaleństwa. Sen Ludzi zawsze uśmierzał ból ich długiego życia i nawet ci najwyżej postawieni, cieszący się najdłuższym życiem, dzieci Ognistego Kwiatu, mogli odpocząć i pozwolić swoim umysłom wędrować swobodnie. Lecz Ci, Którzy Nie Śpią nie mogli liczyć na podobną ulgę, uwięzieni bezpowrotnie w rozbrzmiewającej echem pieczarze własnych myśli.

Tak więc zwrócili się przeciwko swoim ziomkom, przeciwko Ludziom, i odeszli na pustkowie, by zacząć nowe życie. W lesie, za Utraconymi Ziemiami, zbudowali ogromne miasto i nazwali je Snem. Nikt nie potrafi powiedzieć, czy nazwali je tak na przekór Ludziom, których opuścili, czy też miał to być smutny żart.

Nie ma nic gorszego niż podzielona rodzina. W miarę upływu lat Ludzie i ich nieśpiący krewni przelewali nawzajem swoją krew i sprzeciwiali się swej woli. Odległość ich dzieliła. Ci, Którzy Nie Śpią przestali nawet czcić bogów, których niegdyś darzyli miłością, aż świątynie i święte miejsca miasta Sen popadły w ruinę.

W ciągu wieków od czasu podziału ze wszystkich Tych, Którzy Nie Śpią pozostaliśmy tylko my, którzy śnimy, tak jak nasi przodkowie. A śpimy snem głębokim.

Odrzuceni przez wszystkich, zostaliśmy wypędzeni ze Snu, niechciani w rodowych murach Domu Ludzi. Tak więc odeszliśmy na pustkowie i żyliśmy w odosobnieniu tak długo, że zapomnieliśmy swoją przeszłość i nie potrafiliśmy do niej powrócić, nawet gdyby to było możliwe.

Wciąż jednak trwamy we śnie i śnimy. W swoich snach widzimy to, co ma się wydarzyć albo przynajmniej mogłoby się wydarzyć w każdym śnie pojawiają się cienie i zamęt, prawdziwe

przepowiednie zmieszane z fałszywymi. Lecz my wiemy, że wszyscy troje jesteśmy inni nie bez powodu. Wiemy, że nasze sny mają swoje znaczenie. Wiemy też, że nikt inny, śmiertelnik czy nieśmiertelny, nie otrzymał wizji, którymi nas obdarowano.

Nie potrafimy powiedzieć, kto obdarza nas darem tych szczególnych i heretyckich snów ani dlaczego zostaliśmy do tego wybrani, a potem skazani na wielowiekowe oczekiwanie, zanim mogliśmy zrobić użytek z daru. Wiemy natomiast, że ignorując nasz dar, odwróciłibyśmy się od tej jednej rzeczy, dzięki której światy i czasy są jeszcze całością – ducha, jaki zainspirował Księgę Ognia i Pustki – i dzięki której mamy nadzieję znaleźć sens własnego istnienia...

Słowa te, myśli, były jedynymi towarzyszami Barricka w próżni. Trzej-mówiący-jako-jeden stopniowo znowu się rozdzielili na charakterystyczne głosy, lecz Barrick wciąż pozostawał pogrążony w ciemności, w której towarzyszyły mu tylko głosy Tych, Którzy Nie Śpią.

– *Co zrobimy?* – zapytał pierwszy głos, brzmiący najłagodniej ze wszystkich. – *Opowieść się rozwija, lecz postacie znalazły się na niewłaściwych miejscach albo mówią swoje kwestie nie w porę.*

– *Wszystko miało pójść źle. Mówiłem, że tak będzie.* – To był zgryźliwy głos. Zagniewany albo... przestraszony?

– *Czy widzieliśmy coś takiego wcześniej?* – Ten głos Barrick dobrze zapamiętał, był stary i zdezorientowany. Imię... przypominało głos wiatru w samotnym miejscu, zawodzące westchnienie. – *Nie przypominam sobie. Boję się i jest mi zimno. Gdy wrócą wielcy, będą się na nas gniewać.*

– *Nie robimy tego dla siebie, lecz dla opowieści. Nawet bogowie nie mogą zniszczyć opowieści, którą wszyscy jesteśmy...*

– *Nieprawda* – warknął gniewny głos. – *Mogą ją stłumić na tak długo, że jej kształt straci znaczenie i będzie czekała na swoje wypełnienie w nieskończoność, aż stanie się nierozpoznawalna. Można powstrzymać zakończenie tak długo, że będzie trwało dłużej niż sam świat.*

– *Tylko jeśli się poddamy* – powiedział pierwszy ze Śpiących. – *Tylko jeśli odrzucimy swoje sny.*

– *Chciałbym nie śnić* – rzekł stary głos. – *To przynosi tylko smutek. Kiedyś mieliśmy rodzinę...*

Hoorooen. Tak brzmiało imię tego starca o gderliwym głosie. Hoorooen. Imiona pozostałych miały podobne brzmienie...

– *Cicho. Czas, byśmy pomyśleli, co możemy zrobić. Słyszałeś ślepego króla. Ten mały mieszkaniec kraju słońca musi dotrzeć do niego jak najszybciej, bo inaczej wszystko przepadnie.*

– *Niepotrzebnie się szamoczenie. Czy ten mały kundel potrafi latać? Nie. Na nic nasze wysiłki, mówię wam.* – Hikat. Barrick przypomniał sobie imię, które brzmiało jak uderzenie siekierą. Hikat. A trzeci miał na imię...

...Hau i to on się teraz odezwał:

– *Wcale nie. Nie wszystko stracone. Może pójść drogą Szachraja.*

– *Nie wie jak, a nauka zajęłaby mu długie lata.*

– *Kiedyś wiedziałem* – zachrypiał cienko Hoorooen. – *Wiedziałem, prawda? Tak myślę. Chyba pamiętam drogi Szachraja... były zimne i samotne.*

– *Takie są, ale mały mógłby wykorzystać coś innego oprócz własnej siły, wędrując po nich* – powiedział spokojnym tonem Hau. – *We Śnie są drzwi.*

– Ach! – westchnął Hoorooen. – *Ciemne światła. Chciałbym znowu je zobaczyć.*
– *Obaj jesteście głupcami* – warknął Hikat. – *Miasto Sen oznacza śmierć zarówno dla nas, jak i dla tego śmiertelnego szczeniaka. Nie ma szans, żeby dotarł do drzwi albo żeby przez nie przeszedł, nawet gdyby je znalazł.*

– *Chyba że mu pomożemy.*

– *Nie poradzi sobie nawet z naszą pomocą.* – Ten o imieniu Hikat zdawał się czerpać radość z własnej desperacji. – *To, co możemy mu dać, pomoże mu tylko wtedy, gdy dotrze do drzwi, ale to mu się nigdy nie uda w mieście pełnym nienawiści wobec niego.*

– *Nie ma innej możliwości. Mamy tylko tę jedną szansę.*

– *Pustka zmrozi krew w jego żyłach* – rzucił Hoorooen ponurym tonem. – *Jeśli pójdzie tymi drogami, wyssie z niego życie. Stanie się stary i zagubiony... tak jak my. Stary i zagubiony.*

– *Nic nie poradzimy, musi się posłużyć drogami Szachraja. Nie ma innego sposobu. Ale obdarujemy go czymś z siebie. Musimy go przygotować i uzbroić, żeby przetrwał na tych niebezpiecznych ścieżkach. Przybliżcie go do nas.*

– *To nas umniejszy, może nawet zniszczy, on zaś tylko cię przeklnie za taki podarunek.* – Hikat wydawał się niemal rozbawiony.

– *To, że nas zniszczy, jest niemal pewne* – powiedział Hau głosem pełnym smutku i rezygnacji. – *Lecz świat i wszystko w nim przeklnie nas, jeśli tego nie zrobimy...*

Teraz Barrick znowu poczuł własne ciało i zobaczył powracający blask ognia i sklepioną pieczarę, a nawet trzech Śpiących, lecz widok tego wszystkiego wcale nie przywrócił mu swobody ruchu. Zakapturzeni Śpiący pochylili się nad nim, niczym żałobnicy nad ciałem zmarłego.

– *Wysyłamy go do suchej krainy* – rzekł Hau. – *Musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy. Tylko w którym miejscu? W którą część jego osoby wlać nasze wody, naszą esencję?*

– *W serce* – odparł Hikat. – *To uczyni go silnym.*

– *Ale także zamieni jego serce w kamień. Czasem miłość jest wszystkim, co mamy.*

– *I co z tego? Dzięki temu będzie miał szansę przetrwać, głupcze. Wolisz raczej zdradzić świat, który, jak twierdzisz, jest ci tak drogi?*

– *W oczy* – rzucił drżącym głosem stary Hoorooen. – *Żeby mógł zobaczyć to, co go spotka w przyszłości, i żeby się nie przestraszył.*

– *Z drugiej strony strach stanowi czasem pierwszy krok ku mądrości* – odparł Hau. – *Ten, kto się nie lęka, nie zmienia się i nie jest gotowy. Nie, po prostu damy mu swoje wody, a jego istota zdecyduje, co z nimi zrobić. Ma niesprawne ramię, co zakłóca równowagę. To jego najsłabsze miejsce. Tam to zrobimy, bo i tak jest ułomny.*

Barrick poczuł napierające na niego ciśnienie, które go unieruchomiło niczym stalowa siatka, lecz wciąż czuł na skórze chłodne powietrze i fale ciepła z ogniska. Jedna z postaci włożyła jakiś przedmiot w czerwone płomienie – był to prosty, stary nóż z szarego kamienia.

– *Dziecko* – rzekł ten zwany Hau – *niech to, co ci w tej chwili przekazujemy, wody będące esencją naszego istnienia, wypełni cię i wzmocni.*

Barrick poczuł silniejszy nacisk na lewym ramieniu, tej zranionej części swojego ciała, którą zawsze chował przed spojrzzeniami ludzi i którą starał się osłaniać. Także i teraz chciał je zasłonić, lecz pomimo desperackiego wysiłku zaledwie poruszył palcem.

– *Zrób to szybko* – rzekł Hikat. – *Jest słaby.*

– *Nie aż tak słaby, jak sądzisz* – odparł Hau i w tym momencie coś rozerwało skórę na ramieniu Barricka – poczuł piekący ból nacięcia. Chciał krzyknąć, wyrwać się, lecz nie miał władzy nad swoim ciałem.

– *Daję ci swoje lzy* – powiedział Hau. – *Przydadzą twoim oczom jasności widzenia, byś*

widział drogę przed sobą.

Rana znowu zapiekła Barricka, jakby posypano ją solą. Kolejny przeraźliwy krzyk wezbrał w jego piersi, lecz zaraz zgasł.

Druga z szarych postaci sięgnęła po nóż i chwilę później ramię księcia ponownie przeszył piekący ból.

– *Daję ci swoją ślinę – warknął Hikat. – Bo nienawiść uczyni cię silnym. Pamiętaj o tym, gdy staniesz przed bogami, a jeśli ci się nie powiedzie, pluń im w twarz za to, co nam zabrali.*

Po raz kolejny Barrick poczuł się strasznie udręczony, lecz nie był w stanie ulżyć sobie choćby najmniejszym ruchem czy dźwiękiem.

Bogowie karali go, to było jasne. Lecz on czuł, że nie zniesie dłużej tego cierpienia. Że wystarczy jeszcze jeden spazm męki, a jego głowa eksploduje, rozerwana ogniem bólu, zupełnie jak sosnowy sęk zrzucony w płomienie.

– *Jestem suchy jak kości, na których siedzimy – powiedział drżącym głosem stary Hoorooen. – Nie mam lez ani śliny, ani innych płynów ciała. Została mi tylko krew, lecz i ona jest sucha jak pył. – Nóż wzniósł się po raz trzeci i wgryzł w ramię Barricka niczym rozgrzany do białości ząb. Książę tkwił na skraju własnych myśli, z trudem słyszał docierające do niego słowa. – Lecz ostatecznie krew Śpiących może się na coś przydać...*

Coś spadło na ranę Barricka, coś sypkiego i szorstkiego zarazem, jakby ktoś wcisnął w rozcięcie drobniutkie okruchy szkła. Ból nie do zniesienia rozlał się po całym jego ciele, jakby obeszły go gryzące mrówki. Barrick czuł w sobie kolejne fale cierpienia. Unosił się i oddalał niczym kawałek drewna niesiony przez gorące ciemne fale, lecz wreszcie ból trochę zelżał i książę znowu słyszał głosy.

– *Teraz jesteś silniejszy, odmieniony. Daliśmy ci wszystko, co nam zostało, byś podjął próbę nadania znaczenia naszym snom. A teraz zanikamy, niebawem już nie będziemy w stanie przemawiać do ciebie. – Na chwilę szorstki głos Hikata złagodniał. – Posłuchaj uważnie i nie zawieź nas, dziecko dwóch światów. Tylko jedną drogą możesz dotrzeć do Domu Ludzi i ślepego króla, zanim będzie za późno – musisz udać się drogami Szachraja, co oznacza, że twoja ścieżka będzie się wić przed tobą, tak byś mógł przejść między murami świata. Żeby to było możliwe, musisz odnaleźć w mieście Sen komnatę, która nosi jego imię.*

– *Większość dróg jest dla ciebie zamknięta – rzekł Hau głosem jeszcze bardziej nieobecny niż wcześniej. – Ale jedna może być dla ciebie dostępna, ponieważ znajduje się niedaleko stąd. Wmieście Sen, siedzibie naszego ludu. Wiedz jednak, że jego mieszkańcy, Ci, Którzy Nie Śpią, nienawidzą śmiertelników bardziej niż panów Qul-na-Qar.*

– *Nawet jeśli nasza esencja pomoże mu przetrwać w tych zimnych, martwych miejscach, przez które podróżował Szachraj, to i tak nic z tego nie wyniknie. – Głos Hikata znowu drżał od gniewu. – Spójrzcie na niego: jak ktoś taki przejdzie przez Komnatę Szachraja? Jak otworzy drzwi?*

– *Nie nam wiedzieć takie rzeczy – rzekł Hau. – Nie możemy mu dać nic więcej. Już teraz czuję, jak wieją przeze mnie zewnętrzne wiatry.*

– *A zatem wszystko na nic.*

– *Życie zawsze jest stratą – mruknął starczy głos. – Szczególnie gdy się coś zyskuje.*

Barrick znowu poczuł w sobie trochę siły, mimo że piekący ból wciąż gotował się w całym jego ciele jak rozgrzany metal w tyglu.

– *O czym wy mówicie? – zapytał. – Nie rozumiem! Czy to wszystko jest snem?*

– *Oczywiście. – Głos Hau brzmiał teraz jak szept. – Ale prawdziwym. Jeśli uda ci się dotrzeć do Komnaty Szachraja, to pamiętaj, dziecko, że ręka śmiertelnika nie otworzy drzwi. Tak jest napisane w Księdze... ręka śmiertelnika nie otworzy...!*

– Nie rozumiem!
– *W takim razie umrzesz, szczeniaku* – rzekł zanikającym głosem Hikat. – *Świat nie będzie czekał, aż zrozumiesz. Zamorduje cię i wszystkich tobie podobnych. Zacznie się Eon Cierpienia, a ty poniesiesz karę za to, że zostawiłeś ich na zewnątrz w zimnie na tak długo.*
– Kogo? Kogo miałbym zostawić na zewnątrz?
– *Bogów* – jęknął stary Hoorooen. – *Rozgniewanych bogów.*
– Każecie mi iść do miasta Tych, Którzy Nie Śpią! – Wysyłają go na pewną śmierć, by mógł zmierzyć się z samymi bogami? Czyste szaleństwo. – Czemu miałbym wam wierzyć?
– *Ponieważ jesteśmy Śpiącymi, Tymi, Którzy Śnią* – odpowiedziała cicho jedna z postaci, być może Hau. – *I żyjemy blisko nich. Na tyle blisko, by usłyszeć ich myśli ze snów, które ryczą w naszych uszach niczym fale oceanu.*
– Czyje myśli? Mówisz o bogach?
– *Odchodząc, obejrzyj się za siebie.* – Głos był już tak słaby, że Barrick nie potrafił rozpoznać, kto mówi. – *Przekonasz się. Zobaczysz ich i może zrozumiesz... i uwierzysz...*

Powieki Barricka się uniosły. Szepczące postacie znikły. Zobaczył, że siedzi sam w pieczarze przy wygasłym ogniu, lecz przez szczelinę w ścianie wpadała smużka światła. Na lewym ramieniu, tuż pod łokciem, ujrzał trzy strużki zaschniętej krwi, które wskazywały miejsca rozcięć, lecz same rany wydawały się niemal zagojone, jakby Barrick leżał tam przez kilka dni, a nie przez kilka godzin. Czy to wszystko było snem? Może tylko się skaleczył, uderzył w głowę, przewrócił się i wyobraził sobie resztę, leżąc w zamroczeniu?

Stał na drżących nogach. Może i sobie to wyobraził, ale na pewno nie spał, bo wciąż czuł się potwornie znużony. Bardzo potrzebował ognia, więc pokuśtykał do ogniska z nadzieją, że znajdzie choćby tłący się kawałek drewna, lecz zdumiony i rozczarowany zobaczył tylko biały i zimny popiół, jakby nie palono tam ognia od lat. Barrick już miał się odwrócić, gdy zobaczył coś częściowo zagrzebanego w popiele. Pochylił się, uważając na niesprawne ramię, lecz nie poczuł bólu jak zawsze wcześniej. Było zimne i zeszywniałe, lecz ani trochę go nie bolało, jakby zdętwiało po długim zanurzeniu w górskim strumieniu. Rozgrzebał ziemię i popiół i odsłonił starą postrzępioną skórzaną sakiewkę, która leżała w wilgotnej ziemi tak długo, że stwardniała prawie jak kamień.

Gdy ją rozchylił, wypadł z niej nieduży, wyszczerbiony, lśniący czarny kamień. Po chwili Barrick potrząsnął sakiewką raz jeszcze i zobaczył, jak wypada z niej półksiężyc zardzewiałego metalu... Metal... i krzemień! Znalazł narzędzia do rozpalania ognia! Z trudem się powstrzymał, by od razu się nimi posłużyć. Nawet jeśli wszystko inne w owym dziwnym czasie było tylko gorączkowym snem, teraz będzie lepiej, bo ma ogień.

Zawinał krzemień i metal w resztkę skóry i wsunął za pas. Czuł się wyczerpany i potrzebował snu, lecz nie chciał dłużej zostawać w tym dziwnym miejscu. Jeśli trzej Śpiący nie byli postaciami ze snu, to może wyszli tylko i niebawem wrócą. Nie wyrządzili mu większej krzywdy poza tajemniczymi ranami na ramieniu, lecz bez wątplenia wzięli go i opowiadali szalone historie o bogach, drzwiach i wijących się ścieżkach świata.

I jeszcze ramię... co mu się o nim śniło? Co takiego zrobili? Zauważył, że lewa dłoń jest skurczona, jak wcześniej, lecz po prostu zwyczajnie zamknięta. Nie musiał się bardzo wysilać, żeby rozchylić palce, czego nie był w stanie zrobić od czasu wypadku. Zaskoczony roześmiał się mimowolnie.

Co tam się wydarzyło? – zastanawiał się.

Coś jeszcze: znowu przyśniła mu się ciemnowłosa dziewczyna i tym razem wyśnił też jej imię – Qinnitan. Tylko skoro ten sen był prawdziwy, to ile prawdy było w pozostałych wydarzeniach...?

Nie, niebezpiecznie było myśleć w ten sposób. Takie rzeczy kapłani opowiadali ludziom, żeby ich ogłupić – że bogowie widzą wszystko i że każdemu coś przeznaczyli. Choć gdy się nad tym zastanowił, doszedł do wniosku, że nie to mówili Śpiący. Czy nie sugerowali, że wrogami są sami bogowie? „Zacznij się Eon Cierpienia – powiedział jeden z nich – a ty poniesiesz karę za to, że zostawiłeś ich na zewnątrz w zimnie na tak długo”.

Barrick Eddon wyszedł z pieczary w szary zmierzch. Teraz jego oczy zdawały się dostrzegać subtelne różnice w zakamarkach mroku, których wcześniej nie dostrzegał. Może dlatego, że tak długo przebywałem w ciemnej pieczarze, pomyślał. Gdy już zszedł kawałek ścieżką i podążył dalej po kamieniach, przypomniał sobie, co mu powiedział jeden ze Śpiących, gdy zapytał, czy naprawdę mówią o bogach, o tych samych bogach, których on znał. Przez większość swego życia drwił z uwielbianych przez ludzi onirów, wieszczów i proroków, którzy twierdzili, że znają wolę bogów. Teraz Śpiący powiedzieli, że słyszą ich myśli. Jak to możliwe?

„Odchodząc, obejrzyj za siebie – powiedział mu drżący głos. – Przekonasz się. Zobaczysz ich i może zrozumiesz...”

Barrick spojrzął za siebie, lecz fałd wzgórza zasłonił mu miejsce, które niedawno opuścił, tak że widział jedynie drzewa i kamienie w kolorze masła, którymi upstrzone było zbocze. Pokręcił głową i podjął poszukiwania miejsca nadającego się na obóz.

Trochę później, gdy już prawie o tym zapomniał, przypadkiem raz jeszcze popatrzył za siebie, a teraz zszedł już na tyle nisko, by móc zobaczyć cały wierzchołek wzgórza.

„Zobaczysz ich i może zrozumiesz...”

Kształty, których nie zauważył zajęty wspinaczką, a które znajdowały się zbyt blisko niego albo były zasłonięte przez drzewa, teraz ukazały się bardzo wyraźnie jego oczom. Spod ziemi i zarośli pokrywających zbocze wyzierały postacie o barwie starej kości słoniowej, lecz nie były to fragmenty skał, jak wcześniej myślał. Raczej na wpół zakopane...

...Kości?

Nie zauważył tego wcześniej, ponieważ nie była to jedna całość, lecz dwie części, owinięte wokół siebie w skomplikowany sposób – dwa ogromne szkielety splecione w miłosnym albo śmiertelnym uścisku, wielkie kości, być może kiedyś zakopane, które jednak wypchnęła na powierzchnię żywa ziemia, tak że teraz zakrywała je tylko cienka warstwa gleby niczym całun ozdobiony drzewami i winoroślą. Podobne do zębów kamienie na szczycie wzgórza naprawdę były zębami, częścią ogromnej szczęki prawie całkiem zakopanej czaszki, oderwanej i odsłoniętej przez wiatr i deszcz. Druga czaszka... druga czaszka...

Byłem w niej, uzmysłowił sobie Barrick i poczuł, że zaraz ciemna kurtyna przesłoni jego umysł i wtrąci go w próżnię. Razem ze Śpiącymi byłem w... we wnętrzu czaszki boga...

Barrick odwrócił się i pognął w dół zbocza; potykał się i zsuwał, turlając się częściej, niż biegnąc, zmuszony przeskakiwać nad gałęziami, o które mógł się potknąć, a które w jego rozgorączkowanej wyobraźni zdawały się kośćmi palców nieśmiertelnego, który wystawia rękę z głębi ziemi, by go wciągnąć.

Mógł uważać za duże szczęście to, że podczas chaotycznej ucieczki ze wzgórza udało mu się nie zgubić metalu i krzemienia ani też potem, gdy już na samym dole padł wyczerpany. Odetchnął z ulgą, gdy zorientował się, że z odrętwienia wyrwał go nie widok jedwabina, a skrzekliwy, dobrze znajomy głos.

– Myślałem, że nie żyjesz! – Gdy Barrick nie odpowiedział od razu, po chwili poczuł dziobnięcie w ucho. – Bo chyba nie umarłeś, co?

Barrick jęknął i usiadł. Był obolały po licznych upadkach, lecz o dziwo nie czuł bólu w niesprawnym ramieniu, które zachowało twarde odrętwienie, za to mógł je teraz z łatwością zginać i napinać.

– Skurn? – Otworzył oczy i zobaczył przed sobą czarnego ptaka z białymi plamkami na piórach, który przyglądał mu się z przechyloną głową bezdennie czarnymi oczami. – Bogowie, to ty. – Ponownie opadł na plecy, lecz zaraz znowu szybko usiadł. – Ogień! Mogę rozpałić ogień.

Barrick szybko nazbierał suchych liści, usypał z nich kupkę, a potem zaczął pocierać metalem o krzemień. Gdy kilka iskier spadło na trawę, Barrick podmuchał: niebawem popłynął mały pióropusz dymu, a zaraz po nim zatańczył malutki, niemal przezroczysty płomień. Usiadł zadowolony i przysunął dłonie do miniaturowego ogniska.

– Musimy gdzieś tu rozbić obóz i wtedy rozpałę porządny ogień – powiedział.

– Nie tutaj. – Kruk zniżył ochryply głos. – U stóp wzgórza znajdują nas jedwabiny.

Barrick pokręcił głową.

– Nic mnie to nie obchodzi. Muszę odpocząć, chociaż trochę. Wlazłem na sam szczyt tego wzniesienia.

Ptak znowu przekrzywił głowę i spojrzał uważniej na chłopca.

– Tym się zajmowałeś przez ostatnie dni? Łaziłeś w górę i w dół jak jakiś chodzący po drzewie Sługa?

– Dni? Najwyżej dzień, nie dłużej.

Kruk badał spojrzeniem jego twarz, jakby spodziewał się żartobliwego uśmiechu.

– Dni. Ale Skurn został. Skurn czekał!

Barrick nie miał siły na sprzeczki z szalonym ptakiem. Osłonił malutki płomień kamieniami i zaczął się rozglądać za lepszym miejscem na obóz. Szukał odkrytego kamienia, a nie pożółkłych kości, jakie spotkał wyżej. Póki co, nie chciał mieć do czynienia z bogami, żywymi czy martwymi.

Ciepło ognia było nawet bardziej krzepiące niż jego blask i Barrick poczuł się cudownie przyjemnie rozgrzany po raz pierwszy od niepamiętnych czasów. Po godzinie uczucie chłodu utrzymywało się już tylko w niesprawnym ramieniu, ale nie był to bolesny chłód, a raczej coś na podobieństwo nicości, jakby z chwilą gdy zrobiono mu trzy równoległe nacięcia, Barrick pozbył się w jakiś sposób cierpienia. Rany pokryły się już strupami i w niczym mu nie przeszkadzały. Mógł też ruszać ramieniem swobodniej niż wcześniej, lecz nie potrafił powiedzieć, czy dzieje się tak dlatego, że potrafi mocniej zginać rękę, czy też dlatego, że ramię mniej go boli. Mięśnie wciąż miał słabe, lecz wydawało się, że nabiorą mocy, gdy zacznie posługiwać się ręką.

Wobec takiego obrotu spraw Barrick poczuł, że jest w tak dobrym nastroju, jakiego nie pamiętał od dawna. Nawet w tamtych pierwszych chwilach pełnych ekscytacji po ucieczce z Wielkich Głębi przed potworem Jikuyinem radość zmąciła świadomość utraty dwóch towarzyszy, Gyira i Vansena. Barrick wiedział, że wciąż grozi mu wielkie niebezpieczeństwo i czekają go jeszcze trudniejsze chwile, lecz teraz ciepło i brak bólu odbierał jak największe błogosławieństwo, jakim mogły go obdarować Niebiosy.

Przeciągnął się i ziewnął.

– Powiedz mi, co wiesz o mieście Sen – zwrócił się do Skurna, który akurat walił ślimakiem o kamień niczym malutki kowal pracujący przy kowadle.

Kruk upuścił ślimaka i odwrócił się do księcia, strosząc pióra na karku.

– Fu! Paskudna nazwa. Gdzie ją usłyszałeś?

– Ptaszysko, oszczędź mi ostrzeżeń i ponurych przepowiedni. Gadaj, co wiesz na ten temat.
– Wiemy tyle, co wszyscy, i nic więcej. Mieszkają tam Ludzie Nocy, którzy kiedyś stali wysoko wśród Ludzi Zmierzchu, ale potem wiedzeni niegodziwością zaczęli zawierać paskudne przymierza, żenić się między sobą i takie tam. Ostatecznie zostali wypędzeni. Osiedlili się w swoim mieście, które zbudowali na pustkowiu, stąd w dół rzeki Bledni. Mówią, że nikt z własnej woli się tam nie zapuszcza.

Na myśl o tym, że ma się udać w takie miejsce, Barrick poczuł zarazem strach i rozbawienie – bawiło go to, że pomysł ten wydał mu się absurdalny. Iść z biegiem rzeki Bledni! To się nadawało na poemat opiewający tragiczny heroizm. To, że Śpiący powiedzieli, iż tylko przechodząc przez jakieś drzwi we Śnie, dotrze do króla Qarów w jego mieście, i że obiecał Gyrowi zanieść tam lustro, nie oznaczało jeszcze, że będzie w stanie zmusić się, by udać się w tak niebezpieczne miejsce. Skąd wszyscy oni mieli pewność, że ich posłucha? Dlaczego ktokolwiek, z wyjątkiem jakiegoś półgłówka, chciałby tam pójść?

– Tylko tyle wiesz, ptaku? Jak to jest daleko?

– My zalecielibyśmy tam w pięć albo sześć posiłków, tylko po co?

– Nie mam na myśli latania. Jak długo musi iść ktoś taki jak ja?

Kruk jeszcze raz podrzucił ślimaka i zbliżył się do Barricka, omiatając go badawczym spojrzeniem, jakby nagle się zorientował, że dzieli obóz z jakimś szarlatanem.

– Dopiero co skończyłeś się uganiać po Przeklętym Wzgórzu. Czy młody panicz planuje pielgrzymkę po wszystkich śmiertelnie niebezpiecznych miejscach w całej krainie cienia?

Barrick uśmiechnął się kwaśno.

– Skurn, co wiesz o bogach? O tym, co się z nimi stało? Czy naprawdę odeszli z tego świata?

Teraz kruk naprawdę się ożywił i zaczął skakać z miejsca na miejsce, trzepocąc skrzydłami, zanim wreszcie przysiadł na kamieniu, jakby nagle zapragnął się znaleźć trochę dalej od ziemi.

– Skądże te dziwne pytania? My nie myślimy za dużo o życiu bogów, a tym bardziej o tym nie mówimy. Bo gdy słyszą swoje imiona – nawet w naszych snach – kierują uwagę w tę stronę.

– Dobra. Nie będziemy więcej o tym rozmawiać. – Barrick czuł, że sen kusi go coraz bardziej. Spowitemu ciepłem ognia, niczym kocem, było mu tak przytulnie, prawie jak w domu.
– Porozmawiamy jutro, gdy wyruszymy.

– Wyruszymy? – zapytał zaniepokojony kruk kłótliwym tonem. – Niby dokąd, młody paniczu?

– Do miasta Sen, oczywiście. – Barrick prawie się uśmiechnął. Czy tak się czuli herosi z dawnych czasów, Hiliometes, Silas czy Massilios Złotowłosey? Czy czuli, że są częścią czegoś większego, gnani przed siebie bez możliwości wyboru, bezradni... niemal obojętni? Było to dziwne uczucie. Barrickowi się wydawało, że cały – nawet jego myśli – jest wzmocniony, ale pozbawiony czucia, tak jak jego ramię. Spojrzał na poczerńiałą krew na skórze, trzy szramy, jakby zranił go pazurem ptak dwukrotnie większy niż Skurn. Co takiego dali mu Śpiący?

„Życie zawsze jest stratą, szczególnie gdy się coś zyskuje” – powiedział stary. Czy to znaczyło, że jednocześnie coś mu zabrali? Co utracił?

– Nie mówisz poważnie, paniczu, prawda? Nie idziemy do takiego miejsca.

– Ty nie musisz, Skurn. To moja podróż.

– Ale jedwabiny w lesie... i Ci, Którzy Nie Śpią w tym straszliwym mieście! Zmrozą mam krew w żyłach i zeżrą nas!

– Nie musisz iść.

– Wtedy szesznię tutaj, sam i zagubiony.

Barrick milczał, ale wcale nie dlatego, że współczuł ptakowi. Gdy się wyśpi, sam się obudzi. A gdy już się obudzi, wyruszy. Będzie szedł tak długo, aż dotrze do miasta zwanego Snem, a potem zobaczy, co dalej – śmierć albo coś innego. Taką przyjmie taktykę, aż wszystko się skończy. W jakiś sposób wydawało się to proste.

Co takiego odebrali mu Śpiący, by dać mu taką prostotę myślenia? Co takiego utracił...?

Wreszcie zmoгло go znużenie i wciągnęło w ciemność, unosząc daleko od migocącego ognia do miejsca, które śmiertelnicy dzielą z bogami.

CZEŚĆ DRUGA

PŁASZCZ

Brudna gołębica

Ruohttashemm, kolebka Zimnych Czarodziejskich Ludzi i ich wojowniczej królowej Jittsammes znajdowała się, jak głoszą kroniki, na końcu Stallanvolled, ogromnego ciemnego boru, który porastał znaczną część Starej Vutlandii.

– z Traktatu o czarodziejskich narodach obojga kontynentów Eionu i Xandu

Feival, wystrojony jak fanfaron w nowiutkim ubraniu, wymachiwał rękoma zza pleców księcia, usiłując coś powiedzieć Briony. Przypomina mi, że powinnam robić, co do mnie należy, pomyślała księżniczka.

– Opowiedz jeszcze, jak przyprowadziłeś swoich ludzi z południa – zwróciła się do księcia Eneasza.

– Tak, opowiedz nam jeszcze raz! – poprosiła błagalnym tonem jej przyjaciółka Ivgenia.

– Ach, drogie panie, z pewnością macie już dość tej historii. – Trzeba było uczciwie przyznać, że królewski syn wyglądał na szczerze zakłopotanego. – Opowiadam to samo przy okazji każdej wizyty u Briony. Nie usłyszycie nic nowego, koniec będzie taki sam.

– Ale to bardzo pomyślne zakończenie, Wasza Wysokość. – Ivvie najwyraźniej byłaby szczęśliwa, gdyby Eneasza opowiadał o czymkolwiek, nawet w niezrozumiałym dla niej języku.

– Kolejna opowieść o walkach... – protestował. – Z pewnością takie damy jak wy wołałyby słuchać piękniejszych historii.

– Nie ja – odrzekła Briony niemal dumnym głosem. – Wychowałam się z braćmi, a fechtunku uczył mnie Shaso z Tuanu, jak pamiętasz.

Eneasza się uśmiechnął.

– Ufam, że kiedyś będziemy mogli o tym porozmawiać i przedstawić mi szczegóły jego taktyki oraz metody nauczania. Zazdroszczę ci tak znakomitego i sławnego instruktora.

– Obawiam się, że ten znakomity instruktor marnował na mnie czas. Nigdy nie pozwolono mi wypróbować moich umiejętności w walce z mężczyzną, nie licząc brata, a przez całe moje życie Marchia Południowa nie zaznała wojny, przynajmniej nie na naszej ziemi.

– Ale to już przeszłość, księżniczko, bo mieszkańcy Marchii Południowej stoczyli kilka bitew z czarodziejskim ludem.

– Które nie zakończyły się pomyślnie. – Jej głos zdrzął na chwilę, co nie było do końca udawane. – I które zabrały nam najlepszych ludzi... także rozłączyły mnie z ukochanym bratem... może na zawsze. – Uśmiechnęła się dzielnie. – Widzisz więc, książę, że dobrze jest posłuchać o lepszych zakończeniach. To nam daje nadzieję. Opowiedz więc jeszcze raz swoją historię, proszę.

Wciąż ukryty za plecami Eneasza Feival przytaknął jej energicznie: sam uczył ją posługiwać się tym dzielnym, tragicznym uśmiechem.

Eneasza roześmiał się i skłonił głowę w geście kapitulacji. Dał się lubić ten książę: każdy inny mężczyzna nie posiadałby się z radości, mogąc dać w trąby na własną cześć i po raz kolejny prezentować swoje chwalebne czyny przed Briony, jej damami i Ivgenią. Gailon Tolly, książę Summerfield, mimo że okazał się lepszy, niż Briony wcześniej sądziła – przynajmniej w

porównaniu ze swym zdradzieckim bratem – zawsze ochoczo rozprawiał o swoich przygodach podczas polowań lub wypraw jeździeckich, a w jego ustach pokonanie kolejnego rowu przypominało zwycięstwo nad Kerniosem Złodziejem Dusz.

– Nasza armia przekroczyła granicę i zatrzymała się przy najdalej wysuniętym garnizonie Hierosolu – zaczął opowiadać księżę. – Dowódca, markiz Risto z Omaranth, został tam wysłany nie tyle do walki, ile żeby się zorientować w sytuacji i przysłać raport ojcu, który powierzył mu to zadanie, wiedząc, że markiz potrafi wnikliwie obserwować i należy do ludzi rozsądnych. Lecz nikt się nie spodziewał, że autarcha zaatakuje tak szybko i tak dużą siłą. Podpłynąwszy wielką flotą, zaatakował od morza mury samego Hierosolu, a pod osłoną nocy wysłał mniejszą armadę do Cieśniny Kulloana, statki płynęły ze zwiniętymi żaglami i owiniętymi wiosłami. Przez zdradliwą, skalistą zatokę przeprowadził ich zdrajca z Hierosolu, pilot morski, który zdradził swój kraj za złoto. – Eneasze pokręcił głową szczerze zdumiony. – Jak można tak postąpić?

– Nie sposób tego zrozumieć – wtrąciła Ivvie, potakując mu energicznie.

– Nie sposób – zawtórował jej Feival, który często angażował się w rozmowę bardziej, niż przystało sekretarzowi. – Obrzydliwość!

– Nie wszyscy ludzie czują tak silną więź ze swoim krajem jak ty i ja – zwróciła się do księcia Briony. – Może dlatego, że nie mają w nim tak bezpiecznej i uprzywilejowanej pozycji jak my.

– Albo skłonność do zdrady wysali z mlekiem matki – sprzeciwiła się Ivvie. – Na ziemiach mojego ojca niektórzy chłopci kłusują w lasach i uchylają się od płacenia podatków, a także okłamują namiestnika królewskiego, gdy przychodzi czas spisu, twierdząc, że mają więcej dzieci niż w rzeczywistości albo mniej ziemi, by nie zapłacić ojcu tego, co mu się należy.

Kilka pozostałych dam wydało ciche pomruki uprzejmego poparcia dla słów Ivvie. Ogólnie żywiły niechęć do ludzi pracujących na roli, choć, podobnie jak mężczyźni, często wyrażały się o wieśniakach w sposób, który Briony uznawała za sentymentalny i fałszywy. Nie twierdziła, że dobrze zna wiejskie życie, lecz spędziwszy niejedną noc w zimnej stodole czy na polu podczas wędrowki z trupą aktorską, nabrała przekonania, że nikt nie wybrałby takiego życia dla sielskich przyjemności. Miała też okazję zaznajomić się z trybami maszyny sprawiedliwości i podatków, wiedziała więc, że wina leży nie tylko po stronie zdradzieckich chłopów.

Zdawała sobie jednak sprawę, że nie ma co wszczynać dyskusji na ten temat: już zyskała na dworze opinię osoby dziwnej, do tego mogłaby zepsuć nastrój księciu, a przecież chodziło o to, żeby ją polubił.

Gdy Briony po raz kolejny pochwyciła groźne spojrzenie Feivala, zorientowała się, że w zamyśleniu zbyt oddaliła się od Eneasza, który opisywał, jak to wojska z Xis zaskoczyły Syańczyków, zmuszając ich do schronienia się w fortecy Hierosolu.

– Tylko skoro markiz Risto i inni byli oblegani, to jak dowiedziałeś się o ich losie? – zapytała. – Pewnie o tym mówiłeś, ale chyba zapomniałam. – Nie zapomniała, oczywiście, ale uznała, że odrobina bezradności uwiarygodni jej występ; nie będzie przesadzać, jak wtedy, gdy grała córkę młynarza w farsie zatytułowanej *Opowieść wiejskiego kapłana*, ale zagra na tyle dobrze, by Eneasze ujrzał w niej biedną młodszą siostrę, której interesów trzeba bronić.

– Wyruszając z misją mojego ojca, Risto zabrał ze sobą gołębie, które przynosiły wiadomości od niego do Tessis. Ostatnie wieści przysły z frontu w Drymusie na pograniczu i szczęśliwie się złożyło, że go tam spotkałem. Postanowiłem zaczekać jeszcze dwa tygodnie, ponieważ byłem ciekaw, co ma do powiedzenia o sytuacji w Hierosolu.

– Jakże rozsądnie – rzekła Ivgenia.

Eneasze posłał jej spojrzenie uprzejmej przygany.

– Łut szczęścia, moja pani, tak jak mówiłem. Nie miałem pojęcia, że Risto znajdzie się w

oblężonej twierdzy. Xis od lat groziło Hierosolowi, lecz wszyscy wierzyliśmy, że to tylko ciche pogroźki, ponieważ uznaliśmy, że jeśli autarchowie zechcą się obłowić, to znajdą łatwiejsze zdobycze wśród bogatych wysp na południowym wybrzeżu. W każdym razie przyszła wiadomość, a ja akurat tam byłem z ludźmi gotowymi do walki. Los nam sprzyjał.

– Błogosławieństwo bogów – powiedziała cicho Briony.

Eneasza skinał głową. Znany był ze swojej pobożności, której dał wyraz wcześniej, gdy bez rozgłosu obdarował szczerze kilka świątyń, podczas gdy jego młodsze rodzeństwo wydawało pieniądze na ziemskie przyjemności.

– Tak, błogosławieństwo. Na pewno chcesz jeszcze tego słuchać?

– Proszę – powiedziała Briony. – Otrzymujemy tak mało wiadomości z pierwszej ręki.

Posłał jej lekko drwiący uśmiech.

– Słyszałem, księżniczko Briony, że badałaś uważnie świat wokół siebie, zarówno w drodze tutaj, jak i po przybyciu.

Na moment ogarnęła ją konsternacja, lecz zaraz się domyśliła, że księżę ma na myśli jej wyjście poza mury pałacu z Ivgenią. Tylko dlaczego miałyby go to obchodzić? Może interesuje go Briony i wypytywał o nią... Nie mogła pozwolić sobie na zbyt dużą pewność siebie: możliwe, że interesował się Ivgenią, w końcu była ładną, pełną życia dziewczyną z dobrego rodu.

– Pakowałam się w różne kłopoty w kolejnych miejscach, księżę Eneasza – odpowiedziała, ignorując pogardliwy uśmiech Feivala. – Bez wątpienia potrzebuję lepszych doradców, by trzymać się z dala od intryg. Mam nadzieję, że zechcesz użyć mi swojej mądrości.

Uśmiechnął się.

– Byłby to dla mnie zaszczyt, księżniczko. Ale z tego, co słyszałem, dobrze sobie radzisz.

Był naprawdę przystojny – bez dwóch zdań. Briony miała różne myśli w tej kwestii. Z jednej strony czuła się jak zdrajczyni – prawdziwa, nie taka jak poddani ojca Ivgenii, którzy próbują ukryć pół kosza jęczmienia, by przeżyć zimę. W końcu zamierzała posłużyć się tym człowiekiem, i to nie dla dobra jego samego czy jego kraju, lecz dla dobra swojej rodziny, by po części naprawić własne niepowodzenia. Lecz widziała pewne problemy. Po pierwsze, Eneasza mógł okazać się zbyt mądry, by pozwolić sobą manipulować, a wtedy zraziłaby do siebie kogoś, kto mógł się stać jej prawdziwym sprzymierzeńcem na szańskim dworze. Po drugie, księżę nie był typem człowieka, którego księżniczka mogłaby wykorzystać z zimną krwią. Według powszechnej opinii, z wyjątkiem jego mniemania o sobie samym – które skłaniało się ku skromności – Eneasza był miłym, inteligentnym i niezwykle odważnym mężczyzną. Kochał ojca, lecz potrafił dostrzec niedociągnięcia swojego kraju. Wszyscy zapewniali ją, że księżę jest bardzo lojalny wobec przyjaciół. Jak więc miałyby próbować go wykorzystać, posługując się tak zwanymi kobiecymi sztuczkami, którymi wcześniej tak gardziła, odnosząc się do swojej macochy Anissy i innych dam na dworze Zamku Marchii Południowej?

Jestem w wielkiej potrzebie, a sprawa jest ważna, tłumaczyła sobie. Chodzi o życie moich ludzi. O tron ojca.

Tak, i zemstę na Tollych, podpowiadał jej podstępny głos. Nie udawaj, że tego nie pragniesz. Motyw mało szlachetny, ale bliski sercu. Hendon Tolly zabrał jej prawie wszystko. On i jego brat Caradon zasługują na śmierć, po długich i upokarzających torturach. Hendon skradł nie tylko tron Eddonów, lecz sprawił, że Briony poczuła się bezradna i słaba, i choćby z tego powodu powinien umrzeć. Czasem czuła, jakby nie miała nabrać sił, dopóki Hendon nie zostanie ukarany za swoją zbrodnię.

– Księżniczko?

Podniosła dłoń do ust. Jak długo tak błędziła myślami? Nawet nie próbowała spojrzeć na Feivala, który pewnie wychodził z siebie.

– Wybacz, ja... – Czemu nie spróbować, skoro nadarza się okazja. – Zupełnie niespodziewanie powróciło wspomnienie... bolesne...

– To moja wina. – Eneasza wydawało się mówić szczerze. – Nie powinienem był droczyć się z tobą odnośnie do twojej wycieczki na rynek Kwietnej Łąki. Było to okrutne i bezmyślne z mojej strony. Zupełnie zapomniałem, że tego dnia zmarła twoja młoda służąca. Bardzo przepraszam, księżniczko.

O tym rozmawiali, o wyjściu na rynek? Zupełnie zatraciła się w myślach. Już samo wspomnienie Hendona Tolly’ego i jego lisiego uśmiechu, gdy chełpił się, jak to ukradł jej tron...

– Nie, nie – odparła już opanowana. – To nie twoja wina, panie. Proszę, nie skończyłeś opowiadać o oblężeniu.

– Na pewno chcesz wysłuchiwać tych nudnych historii?

– Dla mnie wcale nie są nudne, książę Eneasza, są jak woda dla zaschniętego gardła. Mów dalej.

Książę podjął swoją opowieść, a Briony, Ivgenia i pozostałe kobiety słuchały uważnie, a nawet Feival co i rusz zapominał, że ma udawać, iż pracuje. I nie wiadomo było do końca, czy tak bardzo wciągnął ich opis uwolnienia hierosolskiego garnizonu przez księcia i jego ucieczka przez granicę z markizem Risto i jego ludźmi, czy też uznali księcia za niezwykle fascynującego człowieka dokonującego bohaterkich czynów w jeszcze bardziej fascynującym miejscu, w każdym razie słuchali z otwartymi ustami.

Skończywszy swoją relację, książę wstał, skłonił się i poprosił Briony, by pozwoliła mu odejść; ten szczegół dworskiej etykiety na południu trochę śmieszył księżniczkę, jakby obecność szlachetnie urodzonej kobiety była czymś na podobieństwo wodnego wiru wciągającego pechowego pływaka, śmiertelnym uściskiem, z którego wyrwać może nieszczęśnika tylko burza.

A gdybym powiedziała nie? – zastanawiała się, gdy całował jej dłoń i żegnał się z pozostałymi kobietami. Gdybym poleciła mu, żeby został? Czy musiałby mnie posłuchać? Jakim nonsensem jest etykieta! Coś, co zapewne wymyślono, by powstrzymać mężczyzn przed gwałceniem i zabijaniem, przynajmniej na jakiś czas, nabrało takiej mocy, że mogło się stać przyczyną absurdalnych sytuacji.

Ivgenia szybko przerwała milczenie, jakie zapadło po wyjściu Eneasza.

– Zdaje się, że nie jesteś mu obojętna, Briony. To już jego trzecia wizyta u ciebie w tym tygodniu!

– Zapewne stanowię zabawną atrakcję – odpowiedziała i machnęła ręką. – Księżniczka, która podróżowała w przebraniu. Niczym postać z bajki dla dzieci. – Roześmiała się. – Chyba powinnam się cieszyć, że nie trafiłam do straszniejszej opowieści, na przykład jako dziecko porzucone w lesie albo źle traktowane przez okrutną macochę. – Briony przestała się śmiać, gdy pomyślała, że obie wersje są bliskie prawdy.

– Za bardzo się opierasz – rzekła Ivgenia. – Prawda, moje panie? – Pokojówki i damy dworu przytaknęły. – Eneasza darzy cię szczerym uczuciem. Kto wie, jak by to się skończyło, gdybyś nie była taka uparta.

– Uparta? – Briony wydawało się, że zachowuje się tak, jakby zaraz miała rzucić się w ramiona księcia, by utrzymać jego uwagę i dobrą wolę. – Jak to uparta?

– Dobrze wiesz, co mam na myśli – odparła jej przyjaciółka. – Nie spotykasz się z ludźmi na dworze poza posiłkami. Myślę, że jesteś zbyt dumna, by się z nimi bratać. Niektórzy twierdzą, że zachowujesz się tak, bo zostałaś podle potraktowana, lecz inni mówią... wybacz mi, Briony, ale powiem ci prawdę dla twojego dobra – że uważasz się za lepszą niż my.

– Lepszą?! – Briony nie mogła w to uwierzyć. Nie mieściło jej się w głowie, że ludzie z tego starego, dekadentckiego dworu uważają ją za zbyt dumną. – Wcale nie uważam się za lepszą

od kogokolwiek, a już na pewno nie od dostojnych lordów i dam. Nie spotykam się z nimi, ponieważ odwykłam od życia dworskiego i zatraciłam pewne umiejętności, a nie dlatego, że gardzę czyimś towarzystwem.

– No właśnie! – zawołała Ivgenia triumfalnie. – Mówiłam im. Po prostu czujesz się tu wyobcowana, a nie lepsza od nas. Ale mówię ci, Briony, musisz spędzać więcej czasu w towarzystwie tutejszych wielmożów. Łatwo podchwyting plotki, a Jenkin Crowel wykorzystuje twoją nieobecność.

Imię posła Tolly'ego podziałało na Briony jak kubeł zimnej wody. Unikała starannie tego człowieka, on zaś najwyraźniej zachowywał się podobnie.

– Tak... bez wątpienia masz rację. Dziękuję ci za troskę, Ivvie, ale czuję się zmęczona i chciałabym się położyć.

– Och, droga Briony! – Ivgenia wyglądała na zasmuconą. – Czy czymś cię obraziłam?

– Ani trochę, kochanie, po prostu jestem zmęczona. Moje panie, wy też możecie odejść. Feivalu, zostań na chwilę, bo chcę porozmawiać z tobą o pewnej sprawie.

Gdy zostali sami, a przynajmniej poza zasięgiem słuchu innych, księżniczka odwróciła się do aktora.

– Crowel wykorzystuje moją nieobecność? Co to ma znaczyć?

Feival z Ulos zmarszczył brwi.

– Domyślasz się zapewne. Jest prawą ręką twojego wroga. Jak myślisz, co robi? Występuje przeciwko tobie, gdy tylko nadarza się okazja.

– W jaki sposób? – Briony poczuła ogarniającą ją złość – złość i strach. Tesis nie było jej domem. Czowała się otoczona przez obcych i z pewnością niektórzy ucieszyliby się z jej śmierci. Odrzuciła robótki – irytowały ją nawet wtedy, gdy była w bardzo dobrym humorze. – Co takiego robi?

– Nie otrzymałem wiarygodnych wiadomości na temat jego konkretnych poczynań. – Feival odwrócił się i zaczął podziwiać swoje odbicie w lustrze zawieszonym na ścianie, co zwykle doprowadzało Briony do szału, szczególnie gdy rozmawiali o czymś poważnym. – Ale mówi różne rzeczy przeciwko tobie, zachowując ostrożność i nigdy w większym towarzystwie. Tu rzuci słówko, tam coś zasugeruje... wiesz, jak to się robi.

Bardzo starała się opanować rozpierający ją gniew, ponieważ wiedziała, że w niczym jej nie pomoże, jeśli mu się podda.

– Jakie zniewagi rozsiewa? – zapytała i zaraz zawołała, porytowana widokiem pleców Feivala: – Na maski Zosima, człowieku, odwróć się i mów!

Aktor odwrócił się twarzą do niej, zdziwiony, a może też trochę zły.

– Różne rzeczy mówi, tak przynajmniej opowiadają. Przecież nie jest taki głupi, żeby powtarzać kłamstwa o tobie w mojej obecności! – Feival nachmurzył się jak nadasane dziecko. – Często są to drobne zniewagi: że jesteś takim męskim typem kobiety, że lubisz chodzić w męskim stroju i to nie tylko, żeby się przebrać dla zabawy, że jesteś zgorzkniałą sekutnicą...

– Jak dotąd prawie sama prawda – przerwała mu Briony i uśmiechnęła się ponuro.

– Ale najgorszych rzeczy nie mówi wprost, tylko rzuca aluzje. Napomknął komuś, że początkowo wszyscy myśleli, iż ten południowiec Shasto cię porwał...

– Shaso. Ma na imię Shaso.

– ...I że teraz w twoim kraju ludzie wierzą, że wcale nie wywiózł cię wbrew twojej woli. Że taki uknułaś plan, aby przejąć tron ojca, i że Hendon Tolly zapobiegł temu i wam przeszkodził. – Aktor zarumienił się trochę. – To chyba najgorsze ze wszystkiego.

– Nam? Barrickowi i mnie?

– Nie. On sugeruje, że twój bliźniak także stał się ofiarą, że został wysłany na pewną

śmierć w wojnie z czarodziejskim ludem. Ty spiskowałaś, jak twierdzi Crowel, z tym generałem z południa Shast... Shasem, człowiekiem, który zabił twojego starszego brata. Crowel sugeruje też, że był on dla ciebie... kimś więcej niż tylko współnikiem...

Teraz Briony poczuła tak potężną falę gniewu, że na moment pociemniało jej w oczach i przestraszyła się, że umiera.

– Ośmielił się to powiedzieć? Że ja... – Przepelniona uczuciem, że ma usta pełne trucizny, miała ochotę splunąć. – Hendon rzeczywiście zabił swojego brata. Zapewne to miał na myśli Crowel! Opowiada ludziom, że Shaso i ja jesteśmy kochankami? – Zerwała się na nogi, bo miała ochotę chwycić robótki, pobiec do Jenkinsa Crowela i wbić mu igłę w oko. – Parszywa świnia! Nie dość, że znieważa dobrego człowieka, który zginął, by zapewnić mi wolność, to jeszcze sugeruje, że ja... że mogłabym nastawać na życie ukochanych braci! – Teraz Briony już płakała, oddychając ciężko. – Jak może wygadywać podobne kłamstwa na mój temat? I jak inni mogą w nie wierzyć?

– Briony, księżniczko, uspokój się, proszę! – Aktor sprawiał wrażenie niemal przerażonego tym, co sprowokował.

– A co mówi Finn? Co mówią ludzie na ulicy, w karczmach?

– Poza dworem mało się o tym mówi – odpowiedział. – Tolly'owie nie są tu szczególnie lubiani, ale ludzie pewnie się zastanawiają. Za to król jest tu popularny, a ty jesteś jego gościem. Większość Syańczyków polega na nim i wierzy, że będzie wiedział, jak postępować.

– Ale nie dworzanie, jak rozumiem.

Feival starał się uspokoić Briony.

– Większość z nich wie o tobie tyle, co o pijakach z tawern. A to dlatego, że chowasz się tu jak jakaś pustelnica.

– Sugerujesz... – Urwała, by wziąć głębszy oddech i uspokoić serce. – Sugerujesz więc, że powinnam częściej pokazywać się na dworze Latarnianego Pałacu? Że powinnam spędzać więcej czasu w towarzystwie ludzi pokroju Jenkinsa Crowela i wymieniać się z nimi zniewagami i kłamstwami?

Feival westchnął przeciągle i wyprostował się – uosobienie niezawinionego cierpienia.

– Tak, dla własnego dobra, Briony. Powinnaś się pokazać. Samą swoją obecnością wśród nich udowodnisz, że nie masz nic do ukrycia. I będziesz mogła zaprzeczyć kłamstwom Crowela.

– Może masz rację. – Czuła, że jej wściekłość powoli ustępuje czemuś, co nie było wcale mniej gwałtowne, ale zimniejsze. – Tak, na pewno masz rację. Tak czy inaczej, muszę zapobiec rozpowszechnianiu tych strasznych, okropnych historii. I to zrobię.

W świątyni Onira Plessosa czasem brakowało łóżek dla przybyszy, lecz pielgrzymi byli wdzięczni choćby za to, że mogą się schować przed deszczami, które tej wiosny były wyjątkowo zimne. Opiekun świątyni poinformował ich, że mogą rozłożyć koce we wspólnej sali po wieczornym posiłku.

– I nie będziemy przeszkadzać waszym gościom albo innym braciom? – zapytał przewodnik pielgrzymów, przysadzisty mężczyzna o poczciwym wyglądzie, dla którego prowadzenie pielgrzymek składających się z gorliwych wyznawców i pokutników stało się, po tylu latach, bardziej zawodem niż religijnym powołaniem. – Zawsze mnie tu dobrze przyjmowałaś, mistrzu, nie chciałbym więc zepsuć sobie opinii.

Opiekun świątyni się uśmiechnął.

– Przyrowadzasz do nas godnych szacunku pielgrzymów, mój dobry Theronie. Bez takich

gości rzeczywiście moglibyśmy dawać schronienie tylko najbardziej potrzebującym. – Zniżył głos. – Oto przykład takich trochę mniej mile widzianych gości. Widzisz tamtego osobnika? Tego kalekę? Przybył tu już kilka deanoksów temu. – Pokazał mężczyznę w długiej szacie siedzącego w lichym ogrodzie, któremu towarzyszyła mniejsza postać, chłopiec w wieku dziewięciu albo dziesięciu wiosen. – Spodziewałem się, że gdy poprawi się pogoda, pójdzie dalej. Nie dość, że cuchnie okropnie, to jeszcze nie rozmawia z nami bezpośrednio, lecz za pośrednictwem tego dzieciaka... a właściwie chłopak przekazuje jego słowa, zwykle bardzo tajemnicze i profetyczne.

Zaintrygowany Theron popatrzył na obcego. Jego wygasła trochę żarliwość religijna nie umniejszała zainteresowania tymi, którzy zachowali głęboką wiarę, szczególnie że teraz utrzymywał się głównie dzięki takim ludziom.

– Może ten twój kaleka to jakiś prorok? Błogosławiony Zakkas nie znalazł uznania za życia, prawda?

Opiekun świątyni wcale nie wyglądał na rozbawionego.

– Panie karawaniarzu, nie ucz kapłana pobożności. Ten człowiek nie mówi o świętych rzeczach, lecz o... ach, trudno to powtórzyć. Sam musiałbyś go posłuchać, czy też tego, co mówi w jego imieniu chłopak.

– Chyba nie zdążymy – odparł Theron urażony nieco upomnieniem kapłana. – Jutro wyruszamy wcześniej rano. Śnieg przykryje Lipowy Las co najmniej jeszcze raz w tym roku, a ja nie chcę utknąć w śnieżnej burzy. I bez zamieci na północy dzieją się wystarczająco dziwne rzeczy. Tęsknię za ciepłą wiosną, kiedy król zasiadał jeszcze na tronie w Zamku Marchii Południowej.

– Mnie brakuje wielu rzeczy z tamtych dni – odpowiedział opiekun świątyni. Znalazłszy się na bezpieczniejszym gruncie, mężczyźni rozmawiali jeszcze jakiś czas, pragnąc podtrzymać dawną przyjaźń.

Ogień we wspólnej sali przygasł już, a większość pielgrzymów zasnęła po długim marszu w chłodzie. Theron rozmawiał cicho ze swoim woźnicą, gdy święty człowiek – tak przynajmniej nazywał go w myślach przewodnik – wszedł powoli do sali, utykając, wsparty na brudnym czarnoskórym chłopcu. Chłopak pomógł mu usiąść przy palenisku, po czym wyjął z rąk mężczyzny kubek i podszedł do wiadra, by go napełnić.

Theron machnięciem ręki odprawił woźnicę, by dokończyć to, co miał do zrobienia przed snem, i przez chwilę obserwował kruchą postać świętego człowieka. Nie sposób było zobaczyć go wyraźnie, bo twarz mężczyzny osłaniał długi kaptur poplamionej szaty, a jego dłonie spowijały brudne bandaż. Dziwna postać siedziała nieruchomo, drżąc lekko. Patrząc na żebraka, Theron wcale nie poczuł aury świętości, a coś wręcz przeciwnego – przemożny strach. Nie chodziło o to, że sam mężczyzna wydał mu się szczególnie groźny, lecz było w nim coś takiego, co sprawiło, że przewodnik powrócił myślami do starych opowieści, ale nie tych o świętych pielgrzymach, lecz do historii o niespokojnych duchach i umarłych, którzy nie zaznali spoczynku w swoich grobach.

Theron przesunął palcami po grzechocących cicho wisiorach, które nosił na szyi; niektóre zdobył w młodości podczas różnych wypraw do miejsc świętych, inne otrzymał w prezencie albo po części w ramach zapłaty od pielgrzymów. Jego dłoń zatrzymała się dłużej na drewnianej gołębiczy, jednym z jego ulubionych symboli, mocno wytartej po wielu latach dotykania. Przywiózł ją z jednej ze swoich pierwszych pielgrzymek, gdy udał się do słynnej kaplicy Zorii w

Akaris, i od tamtej pory w trudnych chwilach znajdował ukojenie, zwracając się myślami do Białej Córki.

W pewnym momencie Theron poczuł, że ktoś przy nim stoi, i podniósł głowę. Zobaczył opiekuna świątyni. Zdziwił się, gdyż kapłan zwykle nie przychodził do wspólnej sali po wieczornych modlitwach.

– To dla mnie zaszczyt – powiedział. – Napijesz się ze mną wina?

Kapłan skinął głową.

– Mówiłeś, że jutro wyruszącie wcześniej, a ja chciałem cię o coś zapytać.

Theron trochę się zmieszał, gdyż powiedział to w gniewie. Nalał wina do kubka i podał przyjacielowi.

– Oczywiście. Co chcesz wiedzieć?

– Ktoś z twojej karawany powiedział mi, że córka króla Olina jest w Tesis, że żyje. Czy to prawda?

– Owszem, o ile mi wiadomo. Pojawiła się tam tuż przed naszym odjazdem, tak przynajmniej słyszałem. Dużo o tym rozprawiano w ostatnich dniach naszego pobytu w tamtych stronach.

– A czy ktoś wie, co sprowadziło tam... jak ona ma na imię? Bujany?

– Briony. Księżniczka Briony.

– Oczywiście, co za wstyd. Tutaj dociera niewiele wieści z dworu, a moja pamięć słabnie z wiekiem. Briony. Czy ktoś wie, co ją sprowadziło do Syanu i co jej wizyta może oznaczać?

Theron zauważył, że zakapturzona postać przy palenisku uniosła nieco głowę, jakby nasłuchiwała. Przez chwilę zastanawiał się, czy powinien mówić ciszej, lecz zaraz uznał, że to głupie: przecież nie wyjawiał żadnej tajemnicy, a tylko przekazywał wieści, które niebawem staną się powszechnie wiadome. Mimo wszystko nie byłoby rozsądnie wspominać imienia Tollych w tym miejscu, w ich własnym księstwie.

– Niektórzy twierdzą, że księżniczka, uciekając przed... swoimi wrogami... opuściła Marchię Południową. Inni temu zaprzeczają i upierają się, że uciekła dopiero wtedy, gdy udaremiono jej próbę przejęcia tronu, co chciała zrobić przy pomocy tego czarnego żołnierza z południa, który był przyjacielem Olina.

Opiekun świątyni pokręcił głową.

– Zupełnie jak kiedyś, za złych czasów Kellicka II, pełnych spisków i intrygantów.

– Pamiętasz te czasy? – zapytał Theron trochę zdziwiony.

– Głupcze! – oburzył się kapłan i roześmiał się. – To było półtora wieku temu. Wyglądam aż tak staro?

Theron też się zaśmiał, zawstydzony kiepską pamięcią. Nigdy nie pasjonował się życiorysami królów ani historią.

– Moja wiedza wietrzeje...

Urwał, gdyż kątem oka dostrzegł kogoś przy swoim ramieniu, a gdy się obrócił, ujrzał zakapturzonego żebraka, który stał nad nim niczym cień samej śmierci. Mimo że obcy wydawał się przygarbiony, wzrostem dorównywał Theronowi i widać było, że kiedyś był słusznej postury. Żebrak uniosł do piersi zabandażowane ręce, a z głębi kaptura popłynął świszczący szelest. Theron drgnął przestraszony, lecz zakapturzona postać po prostu stała nieruchomo przez długą chwilę.

– Gdzie jest chłopak? – zwrócił się do kapłana poirytowany Theron. – Ach, tam. Chłopcze, podejdź tu i powiedz nam, czego chce twój pan.

Chłopak zbliżył się posłusznie. Najwyraźniej dopiero co odwiedził świątynną kuchnię, by wyłudzić jedzenie, bo wciąż żuł grudkę ciasta. Theron, mogąc się przyjrzeć dziecku z bliska,

zauważył, że twarz czarnowłosego chłopca nie jest taka ciemna tylko z powodu słońca i brudu i że ma on wygląd mieszkańca południa, a ludzi o takim kolorze skóry widuje się jedynie w dzielnicach portowych Oscastle czy Landers Port. Tak, pomyślał Theron, przypomina jednego z tych ulicznych urwisów, którzy żyją w porcie jak szczury dzięki swojemu sprytowi i szybkości.

– Co mówi kaleka? – dopytywał się kapłan.

Chłopak przysunął głowę do kaptura żebraka. Trzask ognia zagłuszał słowa mężczyzny, lecz chłopak zaraz się wyprostował.

– Mówi, że śmierć ją oszczędziła.

Poirytowany kapłan pokręcił głową

– Kogo? Księżniczkę? Powiedz mu, żeby wracał na swoje legowisko i nie przerywał rozmowy lepszym od siebie. – Po chwili jego oblicze złagodniało. – Nie, to nieuprzejme z mojej strony. Bogowie i onirowie nie pochwaliliby tego, że tak traktujemy dotkniętych chorobą.

Chłopiec znowu przysunął się do kaptura żebraka.

– Mówi, że zna śmierć, że przez jakiś czas mieszkał w jej domu. Ale go wypuściła.

– Co? Twierdzi, że mieszkał w domu Kerniosa? – zawołał kapłan wyraźnie oburzony, że rozmowa nabrała tak bluźnierczego charakteru.

Chłopak jeszcze raz nachylił się do zakapturzonej postaci.

– Mówi też, że skoro Briony uciekła, to musi ją znaleźć.

– Co za bzdura! – oburzył się opiekun świątyni. Chłopcze, zabierz tego żebraka do stajni. Nie wyrzucę biednego głupca na zimno, ale musi spać gdzieś indziej, gdzie nie będzie niepokoił naszych gości. – Kapłan czekał cierpliwie, lecz żebrak nie ruszył się z miejsca, mimo że otrzymał wiadomość od chłopaka. Theron przyglądał się zaintrygowany i zaniepokojony zarazem. – Wykorzystujesz naszą gościnność – ostrzegł go kapłan. Nic nie wskórał. – Dobrze. W takim razie poproszę braci, żeby pomogli mi zaprowadzić go do stajni – oznajmił i oddalił się żwawym krokiem.

Żebrak powiedział coś do swojego młodego pomocnika.

– Pyta, czy udajesz się na północ – zwrócił się chłopak do Theron.

Przewodnik pielgrzymki popatrzył na niego zdezorientowany: po co staremu kalece taka informacja?

– Owszem, zmierzamy na północ przez Marrinswalk. Nasza pielgrzymka wyruszyła z Blueshore i tam ją zakończymy.

Żebrak przyciągnął do siebie chłopaka, jakby chciał jak najszybciej coś powiedzieć.

– Chce jechać z wami – oznajmił chłopak, gdy żebrak przestał szeptać mu do ucha.

Theron przewrócił oczami.

– Nie chciałbym obrażać tego, którego bogowie już naznaczyli cierpieniem – powiedział – ale w naszej pielgrzymce pieszo idą tylko młodzi i silni, bo podróżujemy szybko. Widziałem, jak on chodzi, i wiem, że by nie nadażył, a nie możemy spowalniać marszu i czekać na niego.

Chłopak spojrział na niego zdziwiony, choć Theronowi wydawało się, że wyraził się jasno. Po chwili młody pomocnik odwrócił się do swojego zakapturzonego pana, który niespodziewanie wyciągnął do Theron zabandażowaną rękę. Ten odsunął się odruchowo i w tym momencie dostrzegł błysk na brudnym bandażu. Złota moneta.

– Zapłaci ci za miejsce na koniu – rzekł chłopak, wysłuchawszy wcześniej słów żebraka.

– To... to jest złoty delfin! – zdumiał się Theron. – Cały delfin! – Moneta miała dziesięciokrotną wartość tego, co przewodnik otrzymał od wszystkich pielgrzymów.

Chłopak znowu się odwrócił, gdy żebrak pociągnął go za rękaw i zaczął coś mu szeptać do ucha.

– Mówi, żebyś ją przyjął. Zmarli nie potrzebują pieniędzy.

Zgubiła się w lesie, ale się nie bała, przynajmniej nie tak bardzo. Drzewa kołysały się, lecz ona nie czuła wiatru. Pochylone wyciągały ku niej paluchy gałęzi, które nigdy jej nie dotknęły. Mimo że świat wypełniała ciemność nocy, ona widziała: wraz z nią poruszało się światło, które oświetlało drogę przed nią i najbliższe otoczenie.

Coś przemknęło przez ścieżkę, coś srebrzystego i szybkiego, co poruszało się przy ziemi. Skręciła w tamtą stronę, a ścieżka przesunęła się wraz z nią.

Ja śnię, uzmysłowiła sobie Briony.

Znowu coś śmignęło. Było zarazem prawdziwe i nierealne – czuła, że w jakiś sposób ją obserwuje, nawet gdy przebiega przed nią. Wiedziała, że to coś próbuje zaprowadzić ją do ważnego miejsca, że nie może tego zgubić, lecz czuła, że już została z tyłu. Las wokół niej gęstniał i coraz trudniej było zobaczyć ścieżkę. Srebrzysta istota mignęła jeszcze raz, daleko z przodu, i znikła.

Briony obudziła się przepelniona poczuciem porażki i straty, które odczuwała o wiele mocniej niż wszystko, co pamiętała z innych snów, ale nie miała czasu na zamartwianie się, że przegapiła coś ważnego, bo jej służące już uwijały się przy niej, przynaglając ją do pośpiechu. Przecież szła na umówione spotkanie.

Dawet przyszedł ubrany na czarno, jak zwykle, choć księżniczka zauważyła pewną odmianę: tym razem jego strój wydawał się przeznaczony bardziej dla dworskiego towarzystwa niż do tego, by maskować go w ciemnych alejach i podejrzanych miejscach. Rozcięcia rękawów ożywiała intensywna czerwień, także podszewka miała kolor krwi, a rajtuzy zdobiły pionowe czerwono-czarne pasy.

– Nowe miejsce spotkania? – zapytał, rozglądając się po Dziedzińcu Fontanny.

– Tu jest trochę głośniejsze, a zatem mniejsze prawdopodobieństwo, że ktoś nas podsłucha. – Briony obrzuciła go uważnym spojrzeniem. – Wygląda pan mniej tajemniczo niż zwykle, panie dan-Faar.

Udał głęboki ukłon.

– Jesteś zbyt łaskawa, pani. Tak się składa, że mam później... drugie spotkanie.

– Z kobietą? – Briony nie potrafiła powiedzieć, dlaczego o to zapytała, ale trochę ją to nurtowało.

– Jestem twoim przyjacielem, księżniczko, przynajmniej mam taką nadzieję. I nic więcej, jak się zdaje, a z pewnością nic mniej. Na przykład nie jestem twoim sługą. Moje schadzki są moją sprawą.

Briony przełknęła tę odpowiedź, dotykając zoriańskiego wisiora na szyi, by przypomnieć samej sobie, co jest ważne. Dawet powiedział prawdę: nie miała prawa, co więcej – nie miała sensownego powodu, by interesować się tym, co on robi i z kim, poza sprawami, które dotyczyły jej bezpieczeństwa.

– Myślę, że jesteśmy przyjaciółmi – powiedziała. – Że mogę ci zaufać, Dawet. Mówię szczerze – potrzebuję kogoś, komu mogę ufać.

Spojrzał na nią uważnie.

– Wyglądasz na przestraszoną, księżniczko.

– Nie boję się. Jestem zaangażowana w... trudne przedsięwzięcia. Przygotowuję się do

podróży. Gdy już wyruszę, nie będę mogła zawrócić. – Jeszcze raz zacisnęła dłoń na wisiorku, a potem przesunęła palcem po jego owalnej krawędzi i pomyślała o podróży bogini dziewicy. – Pomożesz mi?

– Czego ci trzeba, księżniczko?

Wyjaśniła mu i na koniec zapytała:

– Możesz to zrobić?

Spojrzenie Daweta wyrażało zdziwienie i podziw.

– Nic prostszego. Tylko... – Wzruszył ramionami. – Trzeba będzie zapłacić. Ludzie, jakich potrzebujesz, nie pracują za „dziękuję”.

Briony roześmiała się, a jej śmiech zabrzmiał zgrzytliwie nawet w jej uszach. To było trudne. Dotarło do niej, że wstępuje na nieznaną teren.

– Mam pieniądze. Książę Eneaszy był tak dobry, że zaopatrzył mnie do czasu, aż... wyjaśni się moja sytuacja, jak powiedział.

– Prawdziwy książę.

– Wystarczy?

Dawet spojrzał na złoto i zawahał się przez moment. Ciszę zmąciły głośniejsze pluski fontanny.

– Aż za dużo – odezwał się wreszcie. – Zwrócę ci to, co zostanie. – Wstał. – Czas na mnie. Uruchomię tryby w tej sprawie, zanim... zajmę się swoimi rzeczami.

– Dziękuję ci, Dawecie – powiedziała i wyciągnęła rękę. Ujął ją i podniósł do ust, lecz wciąż się w nią wpatrywał. – Czemu tak na mnie patrzysz? – zapytała.

– Nie sądziłem, że będę miał okazję poznać cię z tej strony, księżniczko Briony, a przynajmniej nie teraz.

Poczuła, że się czerwieni, lecz liczyła na to, że jej rumieniec pozostanie niezauważony w zapadającym zmierzchu.

– A zatem zoriańska gołębicą okazuje się trochę zbrukana? Rozczarowany?

Dawet roześmiał się i pokręcił głową.

– Nie zbrukana. Raczej gotowa się bronić. Nawet najspokojniejsze dzieci Natury by tak postąpiły. – Jego oblicze spoważniało. – Myślałem, niesłusznie, że stary Shaso ze swoimi naukami całkiem pozbawił cię zdrowego rozsądku.

– No cóż, Shaso dan-Heza nie żyje.

Następnego dnia na dworze w Tessis wszyscy mówili tylko o napadzie na Jenkinsa Crowela, posła z Marchii Południowej, którego w biały dzień okrutnie poturbowało trzech zbirów. Gdy Crowel wychodził ze swojej ulubionej gospody, zaczepiło go trzech pijaczków, jak się zdawało, którzy jednak po krótkiej wymianie zdań rozbroili i pobili obu strażników posła, a potem rozprawili się z nim samym.

Atak uznano za wydarzenie dziwne, choć nie szokujące, gdyż Crowel zdążył już zdobyć w Tessis opinię hazardzisty i człowieka o nieprzyjemnym temperamencie. Tak więc tematem dociekliwych spekulacji stał się – przynajmniej na krótko, bo lokalna szlachta zawsze miała nowe tematy do omówienia – nie sam atak, lecz świadectwo tego, co usłyszał jeden ze strażników, leżąc już poturbowany na ziemi.

Zanim napastnicy uciekli, jeden z nich przykucnął przy zakrwawionym i skamlącym Crowelu i coś powiedział, lecz strażnik zrozumiał tylko ostatnie słowa: „...nauczysz się trzymać swoje kłamstwa dla siebie”.

Ale z końcem tygodnia, który poseł, niespotykane milczący, spędził w swoich komnatach w towarzystwie własnych blizn i siniaków, dworzanie z Latarnianego Pałacu zajęli się już nowymi, bardziej ekscytującymi wydarzeniami.

W grzybnym ogrodzie

*Według vutskich bardów sami Qarowie nie ufali istotom z
Ruottashemm, mimo że byli z nimi spokrewnieni, i wciąż
występowali przeciwko królowej Zimnych Czarodziejskich Ludzi
Jittsammes.*

*– z Traktatu o czarodziejskich narodach obojga kontynentów Eionu
i Xandu*

– Jesteś pewny, że dacie sobie radę? – Opal miętosła rąbek płaszczka. Bardzo nie chciała się z nimi rozstawać, lecz oboje z Rogowcem wiedzieli, że powinna zostać. – Będiesz miał na niego baczenie?

– Nie martw się, kochana. To tylko kilka dni. – Objął ją ramieniem i przytulił mocno. Opierała się przez chwilę. Nie lubiła czuć się tak skrępowana, nawet przez męża – a może szczególnie gdy o niego chodziło. Jej ojciec Prasiolit wyznał mu kiedyś, że kompletnie nie rozumie kobiet w ich rodzinie. „Twoja Opal i jej matka tak długo powtarzały mi, co mam robić, że nie wiem, co by się stało, gdybym spróbował postąpić po swojemu – pewnie padłbym trupem”. Rogowiec, który nie miał żadnych oczekiwań, gdy żenił się z Opal, poza tym, co dostał – a była to żona, która darzyła go gorącą miłością i równie gorąco się z nim kłóciła – tylko skinął głową i się uśmiechnął.

– Kilka dni? – powtórzyła Opal. – Jeśli posłuchać, co mówią ludzie dokoła, to za dzień lub dwa świat może się zawalić, myślisz więc, że to mnie w jakikolwiek sposób uspokaja?

Rogowiec wiedział, że jego żona protestuje z przyzwyczajenia, bo przedyskutowali ten temat i zgodzili się co do wyprawy, co więcej – był to jej pomysł. Teraz, kiedy zagrożenie wojną stało się realne, w Mieście Funderlingów powoływano pod broń mężczyzn, a Opal uznała, że i kobiety powinny wypełnić swoją powinność: wracała więc do miasta, by zwerbować panią Cynobrową i kilka innych kobiet z ważnych rodów, które miałyby zadbać o to, by powołanym do służby mężczyznom niczego nie brakowało, i zastąpić tych, którzy zostali oderwani od ważnych prac w mieście. Rogowiec był dumny ze swojej żony i wiedział, że Opal dobrze się sprawi. Gdy już raz coś postanowiła, doprowadzała dzieło do końca.

– Świat się nie zawali pod twoją nieobecność, kochana staruszko – zwrócił się do żony. – Nie śmiałyby. Obiecaj, że zatrzymasz się u pani Agatowej, tak jak się umówiliśmy. Nie wracaj do domu. Jeśli będziesz czegoś stamtąd potrzebowała, pošlij kogoś, bo dom może być obserwowany.

– Gdyby tak było, wiedziałoby o tym całe miasto.

Rogowiec pokręcił głową.

– Owszem, gdyby pilnowali go żołnierze, których masz na myśli – duzi. Lecz ja nie ufam wszystkim naszym sąsiadom i dopuszczam możliwość, że któryś z nich mógłby przyjąć pieniądze w zamian za informację dla lorda konstabla, gdyby zobaczył, że wróciłaś do domu. Dlatego nie mówiliśmy nikomu poza rodziną, dokąd się udajemy.

– I kto teraz uważa, że świat się zatrzyma, jeśli on przestanie nim kręcić? – zapytała Opala, lecz Rogowiec wyczuwał w jej głosie coraz większy spokój. Jeszcze raz ścisnęła mu ramię i puściła go. – Uważaj na chłopca.

– Oczywiście.

– Szkoda, że nie mogę zabrać go ze sobą.

– Byłby to największy zwiastun naszego powrotu, gdyby ktoś obserwował nasz dom. Nie, najdroższa, on powinien zostać tutaj, a ty musisz wrócić do nas jak najszybciej.

Opal wyprostowała się i cmoknęła męża w policzek, on zaś pocałował ją w usta, na co uśmiechnęła się zaskoczona. Zarzuciła torbę na ramię i odwróciła się do brata Natrona, który stał w przyzwoitej odległości, czekając, aż małżonkowie się pożegnają. Natron wydawał się inteligentnym i rozsądnym młodzieńcem, co dodawało otuchy Rogowcowi, choć wolałby, żeby na jego miejscu był dobrze mu znany i godny zaufania Antymon, który wcześniej w towarzystwie Ferrasa Vansena i grupy Funderlingów poszedł zbadać sytuację w tunelach zewnętrznych.

Nagle poczuł ukłucie niepokoju.

– Wracaj bezpiecznie, kochana – zawołał, lecz Opal i jej przewodnik odeszli już i znikli mu z pola widzenia.

– Tato Rogowcu, potrzebuję twojej pomocy.

Spojrzał na chłopca zdumiony, ponieważ pierwszy raz się zdarzyło, że Krzemień tak się do niego zwrócił. Zabrzmiało to tym dziwniej, że w ostatnich dniach chłopiec prawie się nie odzywał. Wydawało się, że odejście Opal sprawiło, iż zamknął się w sobie po raz kolejny.

– Mojej pomocy?

Krzemień usiadł i spuścił nogi z łóżka, po czym pochylił się mocno i sięgnął po buty.

– Chcę porozmawiać ze starym. Z tym, który ma sny.

Rogowiec pokręcił głową.

– O czym ty mówisz?

– Jest tutaj starzec. I ma sny. Wszyscy o tym wiedzą. Muszę z nim porozmawiać.

Rogowiec zastanawiał się przez chwilę.

– Masz na myśli dziadka Siarkę? Ale skąd o nim wiesz? Przecież nie było cię tutaj, kiedy Nikiel opowiadał nam o nim.

Krzemień zignorował to nieistotne pytanie.

– Zaprowadź mnie do niego, proszę. Muszę z nim porozmawiać.

Rogowiec wpatrywał się w tego czasem mocno irytującego, zagadkowego, a momentami napawającego lękiem chłopaka; przypomniał sobie tamtą chwilę – wydawało się to wieki temu – kiedy worek leżał na ziemi, jeszcze nierozwiązany, a Krzemień pozostawał zupełnie nieznany.

A gdybym wtedy nie rozwiązał tego worka? Gdybym odciągnął Opal i zostawił ten problem komuś innemu? Czy wydarzenia potoczyłyby się inaczej? Lepszym torem... a może gorszym? Musiał tak myśleć, ponieważ nie sposób było uniknąć stwierdzenia, że pojawienie się Krzemienia miało coś wspólnego z innymi dziwnymi wydarzeniami, jakie wciągnęły w swój nurt życie ich i wszystkich innych, których znali, zarówno dużych, jak i Funderlingów.

Rogowiec westchnął. Jak to mówią: Jak już wywierciłeś dziurę, kop do końca.

– Dobrze – zwrócił się do chłopca. – Zobaczą, co się da zrobić.

– Nic z tego nie rozumiem – rzekł brat Nikiel. Ten potomek wpływowej rodziny Funderlingów został ostatnio wyniesiony do rangi kainity, powszechnego kapłana świątynnego,

lecz wszyscy, łącznie z nim samym, wiedzieli, że opat pragnie go uczynić swoim następcą, dlatego Nikiel już teraz zachowywał się tak, jakby otrzymał rytualną motykę. – I bez tego pojawienie się ciebie i twoich towarzyszy przewróciło tu życie do góry nogami. Kobiety, dzieci, duzi, uchodźcy... wszyscy się tu schodzą, jak się wydaje. Gdyby nie zapewnienie Cynobra i Cechu, że jest taka konieczność...

– Tak właśnie powiedzieli – przerwał mu Rogowiec. – Proszę, Niklu, powiedz nam tylko, dokąd mamy się udać. Jesteśmy wdzięczni za pomoc, ale nie chcemy zabierać ci więcej twojego jakże cennego czasu...

– Miałbym puścić was samych, żebyście... wypytywali naszego najstarszego brata? – Nikiel wstał. – To niemożliwe. Sam was do niego zaprowadzę. Jest stary i bardzo słaby. Jeśli zobaczę, że wasze pytania go niepokoją, skończymy rozmowę. Zrozumiano?

– Oczywiście.

Chaven, który uważnie przysłuchiwał się ich rozmowie, chrząknął cicho.

– Pójdę z wami, jeśli to możliwe, Rogowcu...

– Możliwe dla Rogowca? – Jak na kogoś w tak młodym wieku oblicze Nikla oblało się zdecydowanie zbyt ciemnym odcieniem purpury. – A Bracia Metamorficzni? Tak, zaprosimy tam wszystkich, którzy chcą iść. Może po prostu urządzimy paradę, taką samą, jaka idzie w Dzień Pierwszego Kopania... zbierzemy mieszkańców miasta i poprowadzimy pochód do ogrodów, żeby zrobić niespodziankę biednemu starcowi!

– Chyba trochę przesadzasz, bracie Niklu – odpowiedział Chaven łagodnym tonem. – W końcu jestem lekarzem. Skoro tak bardzo troszczysz się o zdrowie dziadka Siarki, to czy może być lepszy gość? Mały Krzemień też jest pod moją opieką. Tak, myślę, że to dobry pomysł, żebym poszedł z wami.

Rogowiec uśmiechnął się, lecz już czuł się znużony i trochę dotknięty, a przecież jeszcze nie zaczęli działać. Dręczyło go nieodparte wrażenie, że niezmiennie pomaga ludziom postawić na swoim.

– Nigdy nie byłem w tej części świątyni – powiedział Chaven, gdy szli zygzakiem przez pieczarę ścieżką widoczną tylko dla oka Nikla, klucząc między powykręcany formacjami z wapienia.

– A niby dlaczego miałbyś być? – odpowiedział pytaniem Brat Metamorficzny. – Tu nie dzieje się nic ciekawego dla takich jak ty. To teren ogrodów i upraw, gdzie hodujemy naszą żywność. Jeszcze zanim zaczęliście się tu schodzić, mieliśmy sto gęb do wyżywienia.

Będzie jeszcze więcej, pomyślał Rogowiec. I oby to byli Funderlingowie, a nie czarodziejscy ludzie. Lecz tego nie odważył się powiedzieć głośno.

– Ach, widzisz, bardzo mnie interesują takie rzeczy – rzekł Chaven. – Prawdziwy naukowiec nie przestaje być studentem. Nie złość się, bracie Niklu. Jesteśmy bardzo wdzięczni, że przystałeś na naszą prośbę. Nastaly dziwne czasy, czasy wojny. Wszyscy dobrzy ludzie muszą trzymać się razem.

Nikiel prychnął, lecz gdy znowu się odezwał, jego głos zabrzmiał spokojniej:

– Ta droga prowadzi do kopalni soli. Nieduża to kopalnia, ale pozwala wydobyć dość soli na własny użytek, a jeszcze jest czym pohandlować w mieście na górze.

Tylko Krzemień wydawał się zupełnie niezainteresowany pieczarą ani groteskowymi kształtami z kamienia. Na jego oblicze powróciła maska biernego spokoju: siedł wpatrzony przed siebie, niczym żołnierz udający się na bitwę, którą przeżyje albo nie.

Kim ty naprawdę jesteś, chłopcze? Rogowiec nie miał pewności, czy by zrozumiał, nawet gdyby ktoś mu to wyjaśnił. Kim jesteś? – zastanawiał się, lecz zaraz doszedł do wniosku, że odpowiedź nie ma większego znaczenia. Ważne było to, że jego żona kocha chłopaka, a on ją. To, co czuł do dziecka sam Rogowiec, wydawało się trudniejsze do wyrażenia słowami, lecz gdy teraz patrzył na tego chłopca z poważną twarzą i czupryną prawie białych włosów, wiedział, że zrobi wszystko, co w jego mocy, by go chronić przed niebezpieczeństwem.

– Tędy – powiedział Nikiel, pokazując jeden z bocznych tuneli.

Zanim jeszcze stanęli przed wejściem, Rogowiec poczuł płynące z ogrodu powietrze przesycone pleśnią, wilgocią i zwierzęcym nawozem. Nowa pieczara, oświetlona zaledwie kilkoma pochodniami, była tylko trochę jaśniejsza niż korytarz. Chaven, który wciąż nie przywykł do słabego światła wewnątrz Funderlingów, zatrzymał się i wyciągnął przed siebie rękę niczym ślepiec, a Rogowiec ujął go pod łokieć.

Ogród grzybny okazał się zaskakująco dużą i wysoką pieczarą, której ostateczny kształt nadały młotki i dłuta Funderlingów. Swoje wysiłki skupili głównie na odsłonięciu środkowej części podłogi, gdzie teraz stały niskie kamienne stoły, lecz pracowano także przy ścianach, w których wyłobiono liczne rzędy półek.

Na blatach stołów leżały tacki z ciemną ziemią upstrzoną białymi kropkami. Także w niszach umieszczono ziemię i nawóz, tak w kolejnych rzędach, które ciągnęły się od podłogi na wysokość pięcio- albo sześciokrotnie przewyższającą Funderlinga, rosły tam tysiące grzybów podobnych do wachlarza; uprawy na wyższych poziomach mnisi doglądali z drabin. Rogowiec zaczął się zastanawiać, który z nich może być dziadkiem Siarką, gdy zauważył mocno zgarbioną, chudą postać siedzącą na stołku prawie na środku pieczary i zajęętą badaniem jednej z tacek za pomocą szkła z kryształu górskiego. Ku rozpaczy brata Nikla Krzemień od razu skierował się do starca.

– Zaczekaj! Ja pierwszy z nim porozmawiam. – Nikiel pospieszył za chłopcem, a Rogowiec potruchtał za nimi, przestraszony, że może dojść do walki wręcz. Teraz Krzemień o pół głowy przewyższał wzrostem wszystkich Funderlingów, z wyjątkiem brata Antymona, tak więc Rogowiec nie martwił się, że chłopcu stanie się krzywda, lecz pamiętał, że są gośćmi Braci Metamorficznych: bardzo źle by to wyglądało, gdyby stali się powodem burdy.

– Rogowcu? – rozległ się z tyłu głos Chavena. – Gdzie się podziałeś? – Medyk jęknął głośno, gdy uderzył gołenią o jeden z kamiennych stołów.

Rogowiec zatrzymał się niechętnie i wrócił do przyjaciela. I tak by nie dogonił Nikla i Krzemienia.

– Ach, jesteś. – Chaven chwycił go mocno za ramię. – Zaraz będzie lepiej. W młodości mój wzrok szybciej przyzwyczajał się do ciemności.

Gdy już przeszli na drugą stronę pogrążonej w mroku pieczary, zobaczyli, że Krzemień stoi u boku starca siedzącego na stołku, a jego twarz znowu przybrała nieobecny wyraz, jakby myślami był gdzieś daleko. Brat Nikiel rozmawiał z Siarką, a gdy Rogowiec podszedł bliżej, Usłyszał tylko ostatnie słowa.

– ...Dziwne czasy, oczywiście. Słyszałeś o naszych gościach, dziadku, prawda? Oto jeden z nich. Pragnie z tobą porozmawiać.

Starzec spojrział najpierw na Nikla, potem na Krzemienia i znowu na Nikla. Pomarszczona skóra na wychudzonej twarzy Siarki zwisała luźno fałdami, jakby z wiekiem jego czaszka się skurczyła. Oczy, choć z pewnością osłabione kataraktą, patrzyły podejrzliwie zmrużone.

– Pragnie o coś zapytać... czy coś wziąć? – Jego głos był popękany i suchy jak klif z piaskowca.

– Dałem im jasno do zrozumienia, że mogą tylko... – Nikiel urwał i otworzył szerzej oczy.

Rogowiec także patrzył zdumiony. Kapturek starca zaczął drżeć, jakby jedno z jego uszu próbowało oderwać się od głowy. Chwilę później tuż przy policzku Siarki pojawiła się groteskowa mordka, na widok której wszyscy, z wyjątkiem Krzemienia, zdusili okrzyk zdumienia i cofnęli się o krok.

– Ha! – odezwał się Siarka. – Iktis, schodź! – Gdy klepnął się po kolanie, drobne futrzaste zwierzątko wpełzło spod jego kaptura i zeszło po ramieniu na kolana starca. Stamtąd przyglądało się gościom bystrymi jasnymi oczami. Był to tchórz albo kot rabuś, jak nazywali te stworzenia powierzchniowcy. Niektórzy z bogatszych Funderlingów trzymali je w domach, by polowały na myszy i krety, lecz Rogowiec nigdy wcześniej nie widział, żeby ktoś trzymał tchórze jako swojego ulubieńca. – No to czego chce ode mnie ten dzieciak? – zapytał Siarka.

– Masz sny – zaczął Krzemień bez chwili wahania. – Straszne sny o bogach. Opowiedz nam o nich.

Stary mnich się wyprostował. Tchórz zapiszczał oburzony i wczepił się mocniej pazurami w szatę niczym rozbitek na rozhuśtanej tratwie.

– A co ty możesz wiedzieć o moich wizjach, *gha'jaz*? – Głos dziadka Siarki zabrzmiał teraz jak ochryple warczenie, wyczuwało się w nim zarówno strach, jak i gniew. – Kim jesteś, mały powierzchniowcu, że oczekujesz, iż przekażę ci słowa bogów?

Nikiel i Rogowiec jednocześnie zaczęli mówić, lecz Krzemień nie zwracał na nich najmniejszej uwagi.

– Jestem przyjacielem. Powiedz mi. Twoi ludzie chcą, żebyś to zrobił.

– Co ty, dziecko... – zaczął Nikiel, lecz Siarka jego także zignorował.

Przez chwilę Rogowcowi wydawało się, że wszyscy obecni w pieczarze, poza starcem i jasnowłosym chłopcem, znikli. Wyraźnie powstała między nimi jakaś więź – język bez słów podobny do malutkich niemal niewidocznych nasion grzybów, które unosiły się w powietrzu niczym obłoczki niewidzialnych duchów.

– Żółw – powiedział nieoczekiwanie dziadek Siarka. – Na początku pojawił się żółw.

– Co? – Nikiel położył dłoń na ramieniu Krzemienia, jakby chciał go odciągnąć. – Dziadku, jesteś zmęczony...

– Przyszedł do mnie we śnie. Mówił o przyszłych czasach, kiedy to źli ludzie zechcą zniszczyć bogów. O katastrofie, jaką sprowadzą na Funderlingów. Sen był prawdziwy – wiem to. Przemawiał sam Pan Gorącego Mokrego Kamienia.

– Żółw... – powtórzył powoli Chaven, jakby mówił do siebie. Rogowiec usłyszał w głosie medyka nutę, od której poczuł mrowienie na karku. – Żółw... spiralna muszla... sosna... sowa...

Krzemień nie zareagował na jego słowa.

– Powiedz mi, dziadku, co miałeś zrobić? Czego chciał od ciebie Pan Gorącego Mokrego Kamienia?

– To bluźnierstwo – zaperzył się Nikiel. – Ten... powierzchniowiec, ten *gha'jaz*... jakże śmie wypytywać cię o takie święte rzeczy...!

Tymczasem dziadek Siarka wcale nie wyglądał na oburzonego. Wręcz przeciwnie, Rogowiec odniósł wrażenie, że starzec coraz chętniej odpowiada na pytania Krzemienia.

– Kazał mi przekazać mojemu ludowi, że nadchodzi Stara Noc i że niebawem nadejdzie koniec tego grzesznego świata. Miałem przekazać moim ludziom, że nie będą w stanie oprzeć się jego woli.

– Powiedział, żebyś nie sprzeciwiał się woli bogów? – zapytał Krzemień. – Dlaczego twój bóg miałby coś takiego powiedzieć?

– Bluźnierstwo! – wtrącił się Nikiel. – Jak on może zadawać podobne pytania Siarce, który jest wybrańcem samego Pana Kamienia.

Rogowiec położył dłoń na ramieniu mnicha.

– Brat Siarka nie boi się rozmowy z chłopakiem, więc pozwól im porozmawiać. Daj spokój, Niklu, te sprawy nas przerastają. Sam widzisz, że nadeszły niezwykle czasy.

Nikiel stał jak głaz, choć z trudem.

– Co jeszcze nie znaczy, że powinienem pozwalać... zwykłemu dzieciakowi robić, co mu się żywnie podoba w naszej świątyni!

Rogowiec westchnął.

– Nie wiem, kim jest Krzemień, ale już dawno zorientowałem się, że nie jest „zwykłym dzieciakiem”. Mam rację, Chavenie?

Medyk nic nie odpowiedział, skupiony na rozmowie starca z chłopcem.

– Zawsze śniłeś o bogach. – Zabrzmiało to bardziej jak stwierdzenie niż pytanie Krzemienia.

– Oczywiście. Zaczęło się to, gdy byłem młodszy niż ty, dziecko – odparł starzec nie bez satysfakcji. Uniósł pokrytą plamkami dłoń podobną do szponu. – W wieku dwóch latach oznajmiłem rodzicom, że będę Bratem Metamorficznym.

– Ale te sny są inne, prawda? – spytał Krzemień.

Stary mnich odchylił się gwałtownie do tyłu, jakby został uderzony, i zmrużył mleczone oczy.

– Co masz na myśli?

– Sny o zółwiu, te, które przyniosły ci głos samego boga. Takich snów nie miałeś zawsze, dobrze mówię?

– Zawsze śnili mi się bogowie – rzekł starzec chełpliwie.

– A kiedy sny się zmieniły? Kiedy stały się bardziej... intensywne?

Po raz kolejny wydało się, że między Krzemieniem i starym mnichem doszło do milczącego porozumienia. Po dłuższej chwili napięcie spłynęło z twarzy Siarki.

– Rok temu, może wcześniej, po zimnej porze. Wtedy pierwszy raz pojawił się w moich snach zółw. Wtedy też zacząłem słyszeć Jego głos.

– A co było, zanim zaczęły się te sny? – Krzemień mówił łagodnym tonem, jakby to on był kapłanem, a starzec nieszczęsnym, zagubionym penitentem. – Może coś znalazłeś albo ktoś ci coś dał?

Rogowiec z niepokojem obserwował to nowe oblicze dziecka, w którym oboje z Opal pokładali tak ogromną nadzieję. Co takiego zrobiono chłopcu za Granicą Cienia? A co ważniejsze, czy w ogóle był on chłopcem czy też mieszkańcem kraju cienia, który tylko wygląda jak dziecko? Co za węża przyjęli do swego domu?

– No co? – zawtórował chłopcu Chaven głosem drżącym z niecierpliwości. – Co takiego dostałeś?

Siarka machnął ręką.

– Nie wiem, co masz na myśli. Jestem już zmęczony. Idź sobie. – Iktis zaczął się wiercić i popiskiwać niespokojnie, a potem zniknął w głębi rękawa mnicha.

– Dość tego! – rzekł Nikiel. – Odejdźcie...!

– Nikt ci tego nie zabierze – powiedział Krzemień, jakby nie słyszał protestów. – To ci mogę obiecać, dziadku. Powiedz tylko prawdę. Nawet bogowie muszą ją uszanować.

– Odejdźcie już...! – Nikiel miał taką minę, jakby zamierzał chwycić chłopca za kark i wyciągnąć z pieczary, lecz Rogowiec ścisnął mu mocno ramię, przytrzymując w miejscu.

Milczenie starca stało się tak długie i nabrzmiałe oczekiwaniem, że po raz pierwszy usłyszeli skrzypienie drabin przesuwanych w końcu pieczary, a nawet szepty rozmów Braci Metamorficznych, którzy zdążyli zauważyć, co się dzieje na środku ogrodu. Siarka spojrzął na

swoje dłonie splecione na kolanach.

– Mój mały iktis to znalazł – przemówił wreszcie głosem tak cichym, że pozostali, poza Krzemieniem, musieli pochylić się do przodu, by go usłyszeć. – Przyciągnął do mnie. Lubi świecące przedmioty i czasem zapuszcza się aż do miasta. Nieraz za pośrednictwem braci, którzy chodzą na targ, musiałem odsyłać kobiecą bransoletkę czy naszyjnik. Czasem nawet wychodzi na powierzchnię. A kiedy indziej zapuszcza się... głęboko.

– Możesz mi to pokazać? – zwrócił się do mnicha Krzemień. – Obiecuję, że nikt mi tego nie odbierze.

Znowu nastąpiła nabrzmiała oczekiwaniem cisza. Wreszcie Siarka wsunął dłoń pod szatę, na której widniały linie pleśni przywartej do jej załamań. Iktis, wciąż ukryty w rękawie starca, zaprotestował głośno, gdy Siarka wyjął jakiś lśniący przedmiot zawieszony na jego szyi na pleconym rzemieniu ze szczurzej skóry.

– To moje patrzydło – powiedział. – Gdy tylko je zobaczyłem, wiedziałem, że jest przeznaczone dla mnie.

Ten właśnie przedmiot trzymał starzec, gdy go zobaczyli, wchodząc do pieczary: cienki kawałek kryształu oprawiony w nieregularną metalową ramkę, najwyraźniej dopasowaną do jego kształtu i ozdobioną misternym rzeźbieniem trudnym do odczytania nawet dla wprawnego oka Rogowca. Funderling nie potrafił nazwać metalu, nie rozpoznał też rodzaju jego obróbki ani nawet samego kryształu, choć trudno było powiedzieć coś pewnego w słabym świetle grzybnego ogrodu.

Chaven wziął głęboki oddech.

– To robota Qarów – powiedział nieobecny głosem. – Tak. Głos żółwia. Klatka dla białej sowy. Tak, oczywiście...

– I gdy twój zwierzaczek przyniósł ci to, w twoich snach pojawił się Pan Gorącego Mokrego Kamienia – powiedział Krzemień wciąż bardzo spokojnym głosem.

– Zawsze śniłem o bogach!

– Pozwól mi... – Chaven wyciągnął rękę w kierunku niespodziewającego się niczego Siarki; oddech medyka stał się chrapliwy, a spojrzenie nieobecne. – Tak, pozwól mi... – mówił coraz bardziej natarczywym szeptem. – Muszę...

Rogowiec widział już przyjaciela w takim stanie, choć tylko przez chwilę: znowu ogarnęło go szaleństwo lustra. Funderling wiedział, że jeszcze chwila, a medyk wyrwie kryształ z rąk starca i wywoła zamieszanie. Skończy się na tym, że wyrzucą ich ze świątyni, która przecież jest ich ostatnią kryjówką.

Niewiele myśląc, Rogowiec kopnął medyka w goleń, dokładnie w to samo miejsce, w które Chaven uderzył się wcześniej. Medyk wrzasnął i zaczął podskakiwać, usiłując dosięgnąć dłonią bolącego miejsca. Chwilę później zaczepił nogą o stos narzędzi i runął na ziemię. Stary mnich skulił się, jakby trochę przestraszony, i schował kryształ między fałdy zapleśniałej szaty.

– Co się tu dzieje? – zawołał Nikiel. – Czyście wszyscy poszaleli?

– Chaven znowu uderzył się w nogę – wyjaśnił Rogowiec. – Tylko tyle. Pomóż mi odprowadzić go z powrotem do świątyni, biedak ma rozciętą goleń. Krzemieniu, ty też musisz nam pomóc. Podziękuj dziadkowi Siarce i chodźmy już.

Chłopiec spojrział na starca, którego oblicze znowu zakryła maska tajemnicy. Krzemień już nic więcej nie powiedział. Po prostu odwrócił się i wyszedł z ogrodu. Jego trzech towarzysze podążyli za nim: Chaven podskakiwał na jednej nodze, krzywiąc się z bólu, podtrzymywany przez Rogowca i Nikla.

Pierwszym, co Ferras Vansen zobaczył, była blada żółtawozielona gwiazda, która unosiła się nad nim w ciemności. Wydało mu się dziwne, że gwiazda tak wyraźnie się porusza: nie dość, że się przybliżała i oddalała od niego, kreśląc w ciemności pętle niczym zabłąkany trzmiel, to jeszcze Ferrasowi wydawało się, że gwiazda do niego mówi.

Przecież gwiazdy nie mówią. Vansen był tego pewny. I nie... buczą.

– Czy ty...? – zwrócił się do gwiazdy. – Czy... słyszę...?

Trochę się rozczarował, bo spodziewał się, że gdyby gwiazda kiedykolwiek do niego przemówiła, to miałaby coś ważniejszego do powiedzenia. Czyż gwiazdy nie są duszami poległych herosów? Czyżby wisały na niebie tak długo, że zupełnie otepiały, jak jego ojciec w ostatnim strasznym roku swojego życia?

Przez chwilę pomyślał, że może sam umarł i w jakiś sposób przeniósł się w Niebiosy – nie żeby dokonał czynów, za które zasługiwałyby na miano bohatera – lecz wracając myślami do ojca, zastanawiał się, czy śmierć może być taka... rozmazana, zagmatwana. Wydawało mu się to mało prawdopodobne.

– On... więcej wody... – powiedziała gwiazda.

Vansen usiłował skupić uwagę na poruszającej się gwiazdzie. W pewnym momencie stwierdził coś dziwnego: zobaczył coś za gwiazdą – za gwiazdą! I nie była to czarna kurtyna nocy, lecz coś, co przypominało twarz. Czy mógł to być sam wielki bóg Perin, Pan Nieba, badający upadłą duszę Vansena? A może Kernios, strażnik zmarłych? Poczł dreszcz na myśl o tym ponurym bogu. Lecz jeśli nawet ujrzał Kerniosa, to wyglądał on znajomo. Można było powiedzieć, że bóg podziemia jest podobny do... brata Antymona...?

Wreszcie Vansen zorientował się, że żółtawozielone światło, w które wlepił wzrok, od chwili gdy odzyskał zmysły, to koralowa lampa umieszczona na czole Antymona.

– Ja... nie... umarłem? – W ustach całkiem mu zaschło, dlatego z trudem wymawiał słowa.

– Znowu gada do rzeczy – powiedział Antymon i odetchnął z ulgą. – Nie, kapitanie Vansen, nie umarłeś.

– Co się stało? – W jego umyśle pojawiło się mroczne wspomnienie podobne do ciemnego obłoku. – Znaleźliśmy ich. Te istoty...

– Posłużyli się czymś w rodzaju trucizny – wyjaśnił Antymon. – Rozpylali przez tubę proszek, tak jak nasi przodkowie. Na szczęście cię nie zabił. Szedłeś pierwszy i osłoniłeś pozostałych. – Pomógł Vansenowi usiąść i podał mu wodę.

Pozostali Funderlingowie, łysy Jaspis Młot i jego strażnicy, przycupnęli z boku. O ile Vansen się orientował, nikogo nie brakowało.

– Wszyscy przeżyli?

– Wszyscy, dzięki Starszym Ziemi – rzekł Antymon. – I patrz! – Pokazał na dużą ciemną bryłę pod ścianą tunelu, wielkości konia. – Jeden z głębiowych ettinów. Zabiliśmy go!

– Ja się głównie do tego przyczyniłem – oznajmił Jaspis z zadowoleniem. – Powiedzmy prawdę, bracie! Wpakowałem mu ostrze prosto w oko.

– Co to za istota? – zapytał Vansen. Podpełził do zabitego i zaraz tego pożałował, ponieważ ettin cuchnął tak bardzo, że od jego smrodu aż zapiekły go oczy. – Powiedziałeś, że to... ettin?

– *Krja'azel* – rzekł Antymon. Słowo to zabrzmiało tak dziwnie i ostro w jego ustach, że w tym momencie ten sympatyczny młody Funderling wydał się kapitanowi zupełnie inną istotą. – Nie widziano ich od czasów mojego pradziada, a i wtedy rzadko je oglądano.

– Lecz wtedy były dzikie – wtrącił Jaspis. – Ten zaś walczył razem z czarodziejskim ludem.

– A co leży pod nim? – zapytał Vansen, zatykając nos. W pierwszej chwili myślał, że to

jakaś pletwa wystająca z pleców istoty, lecz przyjrząwszy się dokładniej, dostrzegł pękate małe palce. Spróbował przesunąć ettina, lecz był kilkakrotnie cięższy niż on.

– Jeden z jego panów – powiedział Jaspis Młot. – To oni mieli proszkowe rury. Kiedy padłeś, widzieliśmy, jak przebiegają zakapturzeni, ale potem przyszpiliłem ettina i musiał go przygnieść.

Vansen potrząsnął śmierdzącym ettinem. Może jeszcze żyje?

Dowódca strażników zaśmiał się nieprzyjemnie.

– Chyba nie masz pojęcia, jak długo leżałeś nieprzytomny, co?

Podszedł Antymon, by pomóc Vansenowi. Przez chwilę mocowali się bezradnie i dopiero wtedy z pomocą pospieszyli Jaspis i jego ludzie, z wyrazem ponurego rozbawienia na twarzach. Wreszcie udało im się obrócić martwego ettina. Postać pod nim była mniejsza niż Antymon, a jej twarz została mocno zniekształcona ciężarem stwora, lecz wciąż była rozpoznawalna.

– Na bogów – zdziwił się Vansen. – To chyba jest Funderling!

– Niech Starsi Ziemi mają nas w opiece – wyszeptał Antymon. – Jeden z naszych?

– Nie ma mowy – warknął Jaspis Młot. – Spójrzcie na jego ręce. Czy są podobne do moich? No, powiedzcie. – Trup miał kanciaste czubki palców zakończonych długimi, grubymi paznokciami podobnymi do pazurów kreta.

Vansen spojrzął na zmasakrowaną twarz o otwartych ustach, pod którymi widniała broda gęsta i zwichrzona jak czarny mech.

– Widziałem takich już wcześniej. W Wielkich Głębiach, za Granicą Cienia.

– Na Światło Stawu, on ma rację – rzekł Antymon. – To jest drow. – Zrobił znak na czole i na piersi. – Teraz już nic mnie nie zdziwi. Drow w Mieście Funderlingów.

– Co to jest drow?

– Są naszymi... krewnymi, kapitanie – odpowiedział Antymon. – Dawno temu udali się na północ za Qarami, ale nie miałem pojęcia, że wciąż istnieją.

– Widziałem ich tam całkiem sporo – odparł Vansen. – Pewnie przyszli zza Granicy Cienia z armią czarodziejskiego ludu.

– Kiepsko – rzekł Jaspis. – Bardzo źle. Pod ziemią radzą sobie równie dobrze jak my. Jeśli dojdzie do walki, możemy mieć nadzieję, że uda nam się zaskoczyć powierzchniowców... ale drowy?

– Od tego, kogo przysyłają, drowy czy inne istoty, choć będę się modlił, by nie spotkać więcej ettinów, ważniejsze jest, że wreszcie czarodziejski lud przypuścił atak na sam Zamek Marchii Południowej – zwrócił się Vansen do pozostałych. – A przynajmniej na tunele pod nim. Tylko dlaczego akurat teraz, skoro mogli to zrobić w każdym momencie? Musi istnieć jakiś powód! Dlaczego tak niespodziewanie przerwali długi okres względnego spokoju, niemal pokoju, jak sami mówiliście? – Popatrzył w głąb tunelu, jakby potrafił dotrzeć wzrokiem aż do czarodziejskiego ludu i znaleźć odpowiedź na dręczące go pytanie. – Na wszystkich bogów, dlaczego akurat teraz?

– Nikt nie zna dróg, którymi kroczą Starzy – odezwał się Jaspis. – A teraz jeszcze wysyłają przeciwko nam naszych dawno utraconych kuzynów. – Wyprostował się i spojrzął groźnie na brodatego trupa. – Chętnie pozbawię życia wrogów Miasta Funderlingów – wytrę zakrwawione dłonie o spodnie i się roześmieję – ale zabijanie drowów nie będzie dla mnie przyjemne.

– Powoli, spokojnie – rzucił Antymon w zamyśleniu. – Rzeczywiście, to nie wygląda dobrze, ale może taki obrót spraw ma i dobrą stronę. Na dłuższą metę trudno nam będzie bronić się przed armią czarodziejskiego ludu, nawet z pomocą kapitana Vansena. Nie mamy dość ludzi, broni i nie jesteśmy wystarczająco przygotowani, więc pewnie szybko złamią nasz opór.

– Chyba nie usłyszałem, gdy wyjaśniałeś dobrą stronę tej sytuacji – rzekł Vansen.

Antymon się uśmiechnął.

– Miałem na myśli tylko to, że skoro nie mamy z kim rozmawiać z tamtej strony, to powinniśmy spróbować pomówić z naszymi kuzynami, nawet jeśli to tylko dalecy krewni. – Spojrzał na Vansena. – Rozumiesz, co mam na myśli?

– Ach, tak. – Młody mnich jeszcze bardziej urósł w oczach Vansena. – A zatem musimy schwycić jednego z tych... drowów... żywego. – Zmarszczył brwi. – A co z tym?

– Urządzimy mu godziwy pochówek – odrzekł Antymon. – Spocznie pod kamieniem, tak jak nasi. Pomóżcie mi usypać kopiec.

– Kopiec? – niemal krzyknął Jaspis. – Dla tego...? Przecież on...!

– Tradycyjny kopiec. Z kamieni. – Młody mnich powiedział to z tak silnym przekonaniem, że nawet zdumiony Młot skinął tylko głową. – Jeśli jego ziomkowie się tu pojawią, przekonają się, że potrafimy dochować tradycji, że cokolwiek im naopowiadali czarodziejscy ludzie, wciąż jesteśmy jednym ludem.

Rybie głowy

Tak pisał Rhantys:

„Znacznie przewyższa człowieka rozmiarami Ettyn, krwiożerczy ogr o masywnych dłoniach zakończonych pazurami na podobieństwo kreta, który mieszka w ziemi”. Wiadomo, że podczas drugiej wojny z Qarami ettiny podkopały mury Zamku Marchii Północnej, co doprowadziło do zdobycia i zniszczenia tego miasta teraz utraconego za Granicą Cienia.

– z *Traktatu o czarodziejskich narodach obojga kontynentów Eionu i Xandu*

Jeszcze długo po tym, jak udało jej się chwycić pala, Qinnitan tkwiła w miejscu, uczepiona go, podczas gdy grzywacze szarpały nią, uderzając o warstwę pąkli, naturalnej zbroi pomostu. Liczne rany i zadrapania piekły niemiłosiernie, lecz ona miała tylko tyle siły, by się trzymać i próbować oddychać. Gdy poczuła, że ręka Gołębia zsuwa się z jej szyi, niemal puściła śliski pal, by przytrzymać chłopca, lecz bardzo się bała, że prąd wciągnie ich oboje daleko pod pomost, a ona nie będzie miała dość sił, by znaleźć inne bezpieczne miejsce.

– Ocknij się! – Zakrzuszyła się i wypluła zieloną wodę. – Gołębiu! Trzymaj się mnie!

Wyczerpany chłopak wycharczał coś i chwycił ją mocniej. Na szczęście dotknęła go nogą, gdy po raz pierwszy wynurzyła się na powierzchnię po skoku ze statku, a potem płonący maszt szczęśliwie spadł obok nich, gdy właśnie wynurzała się z chłopcem.

Kolejna fala, słabsza niż te na otwartym morzu, lecz wciąż zbyt silna, by Qinnitan mogła długo się opierać, cisnęła nią o pal. Gdy dziewczyna znowu otworzyła oczy, zobaczyła na swoim ramieniu nowe zadrapania i płynące z nich strużki krwi, które zaraz zmyła następna fala.

Nad ich głowami rozlegały się krzyki ludzi i tupot stóp dudniących na deskach pomostu, a dym z płonącego statku zaczął pełznąć nad wodą. Wiedziała, że nie mogą tam zostać, bo albo się uduszą, albo stracą siły i osuną się do wody. Już teraz jej oddech przypominał skrzypienie zepsutego koła w wozie. Nigdy wcześniej nie czuła się tak wyczerpana.

Tam! Dostrzegła prostą drabinę, która schodziła do wody w przeciwległym końcu przystani. W każdym razie tak jej się wydawało, że to drabina – Qinnitan patrzyła z odległości kilkudziesięciu metrów, a oczy piekły ją niemiłosiernie od krwi i słonej wody. Podziękowała w myślach Nushashowi i Ułowi, że spędziła tak dużo czasu w głębokim basenie podczas swojego pobytu w Samotni i nauczyła się trochę pływać. Jednak nie dałaby rady przepłynąć takiej odległości, zagarniając wodę tylko jedną ręką.

– Przywrzyj do moich pleców i nie puszczaj, żeby nie wiem co – powiedziała do Gołębia. – Słyszysz mnie? – Gdy usłyszała jego jęknięcie, dodała: – Trzymaj się mnie nawet wtedy, gdy zanurzę się pod wodę.

Odepchnęła się od pala, kierując się do drabiny, a chłopiec owinał ramiona wokół jej szyi. Od razu zaczęła się dusić i młócić chaotycznie rękoma, aż wreszcie udało jej się zsunąć jego ręce na obojczyk. Po kilku uderzeniach ramion wpadła w rytm, który pozwolił jej utrzymywać Gołębia na plecach, lecz w tym samym momencie dostrzegła pierwszą trójkątną płetwę, która przecięła wodę przed nią. Chwilę później zobaczyła następną. Miała wrażenie, że jej kończyny

stały się nagle zimne i ciężkie.

Morskie wilki. Nie takie ogromne jak rekiny z głową w kształcie topora z kanałów w Xis, za to dłuższe, bladoszare i smukłe jak ostrze noża. Przez chwilę przebierała rękoma, unosząc się w miejscu, ponieważ bała się zarówno płynąć dalej, jak i zawrócić, jednak po chwili zobaczyła, że płetwy się oddalają. Miała nadzieję, że wilki upatrzyły sobie inną ofiarę.

Niedługo po tym, jak straciła z oczu pierwsze dwie płetwy, pojawiło się kilka innych wilków kreślących szerokie pętle na wodzie, jakby były mniej zdecydowane niż pierwsze dwa. W wodzie pływają ciała, uzmysłowiła sobie Qinnitan targana strasznym poczuciem winy, ciała marynarzy, ranni i martwi, których zabiła, podpalając statek.

Lecz w tym momencie nie mogła myśleć ani o marynarzach, ani o żołnierzach czy rekinach. Gołąb, przyklejony do jej pleców, znowu mocniej zacisnął ramiona, gdy się zorientował, dlaczego przestała płynąć. Przestraszyła się też, że pod wpływem strachu, chłopak może całkiem ją puścić albo nawet zacząć się z nią szarpać. Podczas podróży do Hierosolu słyszała, jak marynarze opowiadali o tonących, którzy nagle tracili wolę walki o przetrwanie. Znowu zaczęła płynąć, najszybciej jak potrafiła.

Coś chropowatego jak kora drzewa otarło się o jej nogę i zobaczyła blady kształt, który przemknął obok niej. Wstrzymała oddech, aż opiła się wody, lecz zaraz zobaczyła, że płetwa się oddala. Qinnitan zaczęła energicznie młócić ramionami, lecz czuła, że siła wycieka z niej jak ciecz z dziurawego naczynia. Gdzie jest ta drabina? Teraz nie wiedziała nawet, czy płynie w dobrym kierunku. Zorientowała się, że nie ma już desek nad głową, a zatem musiała wypłynąć spod pomostu, ale gdzie się znalazła?

Poczuła, że Gołąb zsuwa się z jej pleców. Chwyciła go jedną ręką, lecz sytuacja wydawała się beznadziejna. Oboje poszli pod wodę i zanurzyli w zieloną ciemność. Chwyciła chłopca najmocniej, jak umiała, i zaczęła pracować nogami, wykorzystując resztki sił, lecz wydawało się, że tylko trochę podpłynęli do góry. Wreszcie, gdy już wydawało jej się, że nie ma więcej powietrza w płucach, jej twarz wynurzyła się na moment nad powierzchnię wody, ale nawet oddech, który łapczywie zaczerpnęła, nie ożywił jej kończyn. Qinnitan, wyczerpana, osunęła się z powrotem pod wodę.

I wtedy coś chwyciło ją za włosy i pociągnęło tak mocno i nieoczekiwanie, że otworzyła usta i po raz kolejny opiła się wody. Chwilę później ujrzała światło i poczuła, że uderza w coś ciężkiego albo coś uderza w nią. Rekin. Pewnie wreszcie ją dopadł. Koniec... tylko gdzie jest Gołąb?

Ciało chłopca opadło na nią. Leżała na czymś twardym. Chwilę później Gołąb przeturlał się na bok, krztusząc się i kaszląc, lecz Qinnitan nie widziała nic poza brudną wodą, którą wymiotowała na deski pomostu.

Wydostali się z wody.

Jej żołądek jeszcze raz skurczył się konwulsyjnie, lecz nic już z niej nie wyleciało. Zakasłała i splunęła. Czyjaś dłoń uderzyła ją mocno w plecy i jeszcze trochę wody wylało się z jej ust na mokre deski.

Wreszcie poczuła dym i zobaczyła ludzi biegających nieopodal, lecz przy nich był tylko ich wybawca. Wyciągnęła rękę i dotknęła po omacku Gołębia. Jego chude boki uniosły się, gdy wypiął brzuch pełen morskiej wody, ale przynajmniej oddychał. Był bezpieczny. Uratowała go. Odetchnęła z ulgą i opadła na bok. Teraz widziała kawałek nieba zasnutego dymem i zarys postaci ich wybawcy, niewyraźny, ponieważ podświetlało go słońce, dlatego w jej oczach był tylko ciemnym cieniem wznoszącym się nad nimi niczym góra, łaskawy bóg, który pochylił się i wyciągnął ich z wody z powrotem do życia. Chciała mu podziękować, lecz słowa więzły w jej rozognionym, przeżartym solą gardle, więc tylko wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia.

Odrącił jej dłoń.

– Głupia mała dziwka.

Dopiero po chwili dotarło do niej, że mężczyzna mówi w jej języku, języku z Xis. Qinnitan osłoniła ręką oczy przed słońcem, które ją oślepiło mimo dymu.

Ich wybawcą był bezimienny mężczyzna o kamiennej twarzy, sługa autarchy, lecz teraz jego oblicze wyrażało złość, a właściwie niemal obłąkańczą wściekłość.

– Widzisz to? – Mężczyzna chwycił Gołębia za nadgarstek i brutalnie przycisnął jego rękę do deski pomostu tuż przy twarzy Qinnitan, jakby działał ogarnięty szałem, a chłopiec aż jęknął z bólu. Wtedy mężczyzna uderzył go w twarz tak mocno, że Gołąb otworzył gwałtownie oczy, które zaraz się rozszerzyły, gdy przerażony chłopiec zobaczył, kogo ma przed sobą. – Patrz!

Jednym szybkim ruchem ręki, jakby był to atakujący wąż, wyjął zza pasa długi cienki nóż i skierował na dłoń chłopca; Qinnitan usłyszała stłumiony odgłos ostrza przechodzącego przez mięso, jaki słyszała w domu, gdy matka odcinała rybie głowy. Krew bluznęła jej na twarz, a w następnej chwili zobaczyła, jak końce trzech palców Gołębia odpadają od dłoni. Pozbawiony słów krzyk chłopca zabrzmiał tak strasznie, że i Qinnitan krzyknęła bezradnie i z niedowierzaniem.

– Następnym razem odetnę mu całą rękę... i nos! – Mężczyzna uderzył Qinnitan na odlew w twarz tak mocno, że wydało jej się, iż złamał jej szczękę.

Gołąb opadł na deski, charcząc i ściskając dłoń, z której płynęła krew, a ich oprawca wyjął z kieszeni kawałek materiału i owinał nim okaleczone palce chłopca, by zatamować krwawienie.

– A teraz wstawajcie, śmierdzące muchy. Nie odzywać się i żadnych sztuczek. – Pociągnął Qinnitan za ramię, zmuszając ją do wstania, a potem kopnął płaczącego Gołębia. Chłopiec stanął na chwiejących się nogach z twarzą poszarzałą od bólu. – Przez was musimy poszukać innego statku.

– Nigdy nie liczyłem na to, że zostanę królem.

Pinimmon Vash znieruchomiał, sparaliżowany zdziwieniem i zaskoczeniem. Nie spodziewał się usłyszeć kogokolwiek, a tym bardziej kogoś, kto by złożył tak wyjątkowe wyznanie.

Rozpoznał głos Olina, co do tego nie miał wątpliwości, tylko z kim mógł rozmawiać władca z północy? Autarcha wciąż leżał w łóżku w swojej kajucie, tymczasem obcy władca mówił tak, jakby zwracał się do samego Sulepisa. Vash poczuł zimny dreszcz: jeśli źle rozpisal i przewidział poczynania autarchy, to wiele działań, które wykonywał pierwszy minister każdego dnia – w szczególności to, czym on się w tym momencie zajmował – tylko trochę różniło się od wyszukanych form samobójstwa.

Przerażenie przepłynęło falą przez ciało Vasha niczym dreszcz nagłej gorączki. Wygramolił się, odsuwając od dziury, którą wybrał na podsłuchiwanie, i rozejrzał, mimo że był tu przecież jedyną osobą w szafie. Głupiec! – upomniał samego siebie – najważniejsze jest to, co się dzieje po drugiej stronie dziury. Czy Olin naprawdę rozmawia z Sulepistem? Jak Vash mógł się tak pomylić? Przecież dopiero co dostarczył do kajuty autarchy pergamin z porannym raportem, a tam go poinformowano, że Złocisty jeszcze śpi.

Znowu usłyszał głos Olina.

– Nie chodzi o to, że się do tego nie nadawałem albo że się bałem odpowiedzialności – mówił władca z północy. – Po prostu nie wyobrażałem sobie, że to się stanie. Mój ojciec Ustin stanowił okaz zdrowia, brat Lorick, następca tronu, był starszy ode mnie tylko o dwa lata, a ja

byłem chorowitym dzieckiem, podatnym na gorączkę, takim, które spędza w łóżku długie tygodnie. Medycy powiedzieli rodzicom, że raczej nie dożyję dwudziestego roku życia. Chodziło o tę skazę krwi, słabość, mówili, która była przyczyną przedwczesnego odejścia wielu naszych przodków...

Olin zamilkł na tak długo, że Vash pospiesznie wrócił do dziury, by się zorientować w sytuacji. Zupełnie przypadkiem odkrył tę szafę; o wiele mniej rzucała się w oczy niż poprzednie miejsce, które wybrał na szpiegowanie, choć jego stare kości protestowały, kiedy wciskał się do ciasnego wnętrza, i było jasne, że nie udałoby mu się wydostać szybko, gdyby usłyszał, że ktoś nadchodzi. Mimo wszystko uznał, że warto spróbować, szczególnie gdyby pomogło mu to zrozumieć plany autarchy. Ci, którzy pozwalali się zaskakiwać Sulepisowi, rzadko żyli długo – czy choćby szczęśliwie.

Lecz jeśli się myli i Sulepis go znajdzie, to szafa stanie się postawioną pionowo trumną.

Vash wciąż nic nie mógł zobaczyć ze swojego miejsca, a co ważniejsze, nadal nie wiedział, do kogo mówi władca z północy, tak więc zamiast oka przyłożył do dziury ucho. Następnym razem przyniesie kawałek ciemnego materiału, żeby ją zakryć – jeśli dożyje następnego razu. Wtedy będzie mniej prawdopodobne, że ktoś zauważy jego obecność.

– W każdym razie – mówił dalej król Olin – moja choroba i zdrowie mojego ojca i brata wskazywały na to, że raczej nie mam szans, by zasiąść na tronie. Zamiast kruszyć kopie w turniejach, polować i uprawiać inne sporty, spędziłem młodość wśród ksiązek, w towarzystwie historyków i filozofów. Nie widzę nic złego w tym, żeby z nauki uczynić tarczę do obrony samego siebie! Zadałem też o to, aby moje dzieci spisały się dobrze w tej walce.

Z kim on rozmawia? Autarcha z pewnością nie wysiedziałyby tak długo w milczeniu. Może jest tam wielki kapłan Panhyssir? Vash poczuł przyływ bezradnej zazdrości. A może to antypolmarcha Dumin Hauyuz, dowódca żołnierzy na pokładzie statku i najwyższy stopniem oficer wśród ludzi autarchy. To musi być któryś z nich, bo przecież król z północy nie rozmawiałby tak otwarcie z nikim innym.

A może Olin oszalał w niewoli i mówi do siebie?

– Oczywiście wielu się myliło – kontynuował władca z północy. – Choroba nie skróciła mojego życia, jak widać. Ojciec dożył sędziwego wieku, lecz zmógł go atak apopleksji, gdy usłyszał, że mój brat Lorick spadł z konia podczas polowania i jego stan jest krytyczny. Ojciec nigdy nie odzyskał przytomności, ale też nie umarł. Jak pokazało życie, żaden z tych silnych mężczyzn nie poddał się łatwo śmierci.

Dla matki była to trudna próba, podobnie jak dla mnie. Ojciec nigdy nie poświęcał mi tyle czasu co Lorickowi, ale tak miało być, ponieważ to brata przygotowywano do objęcia rządów – kto by podejrzewał bogów o podobne sztuczki? Lecz na swój sposób ojciec był dla mnie miły i oto teraz musiałem patrzeć, jak obaj trwają uczeni życia, nie mogąc wydostać się ze stanu półśmierci, w który wpadli.

Pierwszy umarł ojciec. Na dworze istniała koalicja na jej czele stali Tolly'owie, najpotężniejszy po naszym ród która chciała doprowadzić do koronacji Loricka, mimo że leżał bez zmysłów, a w jego imieniu miałyby sprawować rządy Lindon Tolly. Mój najmłodszy brat Hardis był już żonaty z kobietą z rodu Tollych, dlatego pragnęli jak najdłużej trzymać mnie z dala od tronu, by mogli znaleźć sposób posadzenia na nim Hardisa zamiast mnie, gdy Lorick już umrze. Z trudem powstrzymaliśmy ich zakusy dzięki sprzymierzeńcom na dworze. Prawie przez rok trwalibyśmy w impasie.

Hardis był młody i łatwo dawał sobą kierować, może nawet odczuwał zazdrość wobec starszych braci, ale chyba nie rozumiał, że najpierw ja muszę umrzeć, żeby on mógł zasiąść na tronie zgodnie z planami Lindona. Nie był głupcem, ale chyba łatwiej mu było nie dociekać

zbytńio, dlaczego Tolly'owie tak wokół niego chodzą. A może po prostu był pewny, jak większość innych, że nie dożyję wieku męskiego.

Tak się złożyło, że przeżyłem ich wszystkich. Mój biedny brat Hardis zmarł przed dziesięcioma laty z powodu ataku gorączki, spędziwszy życie w niewoli Tollych, choć zawsze udawał, że jest szczęśliwy na dworze Summerfield i nie chce oglądać domu rodzinnego. Biedny Hardis.

W roku sukcesji Lorick wreszcie umarł i teatrzyk się skończył, choć nie obyło się bez tarć, które kilkakrotnie doprowadziły niemal do rozpadu królestwa. Ja otrzymałem koronę, Tolly'owie zaś musieli się zadowolić władzą, którą już posiadali.

Jakiż był ze mnie przeklęty głupiec! Powinienem był ich wytepić jak rój os. Potrafiłem dostrzec, jakim niebezpieczeństwem jest wasz kraj dla Eionu, zanim inni monarchowie to zrozumieli, poczynając od okrutnego ojca obecnego autarchy, lecz nie widziałem zagrożenia dla własnego domu.

No tak, pomyślał Vash i po raz pierwszy od dłuższego czasu odetchnął z ulgą, choć wciąż był zdumiony. Teraz już nie miał wątpliwości, że Olin nie rozmawia z Sulepisem – w takim razie z kim? Czyżby autarcha przydzielił mu sekretarza? A może król z północy dyktuje list do rodziny?

Władca z północy podjął swoją opowieść i zaczął mówić głośniejsz:

– I tego właśnie nienawidzę bardziej niż zdrady Tollych – własnej głupoty. Odchodząc, zostawiłem wrogów, a potem, o zgrozo, pozwoliłem wciągnąć się w pułapkę i dać się uwięzić tej świni Hesperowi z Jellonu. Wszystko to kosztowało moją rodzinę tron, na którym zasiadaliśmy od wieków, lecz mnie kosztowało o wiele więcej... życie mojego najstarszego syna, dzielnego Kendricka, i być może życie pozostałej dwójki. – Głos króla zadrżał. – Ach, słodka Zorio i wszystkie jej wyrocznie, niech bogowie ześlą deszcz przekleństw na tych, którzy pomogli mi zdradzić samego siebie i własne królestwo!

Zapadła cisza, lecz Vash, mimo że nie widział Olina, domyślił się, że król z północy tylko zamilkł, ale nie wyszedł.

– Staralem się przyuczyć wszystkie dzieci do sprawowania rządów, żeby nie były takie zaskoczone i nieprzygotowane jak ja, gdyby bogowie uznali, że któreś z nich ma zasiąść na tronie. Wszystkie je kochałem, jak przystało na ojca, choć może nie wszystkie jednakowo.

Tylko one mi zostały po mojej żonie Meriel. Bardzo cierpiała podczas porodu bliźniaków i już nie wróciła do zdrowia. Potem tylko wiedła, a miesiąc później odeszła. Bardzo nad tym bolałem. Wypędziłem medyka, który odbierał poród, choć w niczym nie zawinił, lecz nie potrafiłem znieść widoku jego twarzy, wiedząc, że moja ukochana żona nie żyje. Dopóki była przy mnie, potrafiłem myśleć, że może da się uratować moją zatrutą krew. Gdy urodził się Kendrick, taki zdrowy, dziarski i roześmiany, wydawało mi się, że jej słodycz przezwyciężyła zatrutą skazę mojej linii.

Byłem głupcem.

Oczywiście moja Meriel była śliczna, ale nie tylko z powodu mlecznobiałej cery i karminowych ust, jak śpiewali bardowie. W królestwach Marchii było wiele kobiet, które można by nazwać pięknieszymi, i pewnie trzeba by poety, którym nie jestem, żeby ci powiedział, co takiego stanowiło o jej urodzie, lecz ja widziałem to coś w jej oczach. Przez całe swoje życie, aż do chwili, gdy przestała oglądać ten świat, jej spojrzenie przypominało spojrzenie dziecka. Nie było niewinne, głupie czy naiwne, nie, jej spojrzenie było jak strzała, patrzyła człowiekowi prosto w oczy. Patrzyła na świat, nikogo nie osądzając albo przynajmniej nie wydając pochopnego sądu. Nie potrafiła nikomu schlebiać, lecz zawsze była miła. Nie kłamała, ale też nie oznajmiała prawd, które mogłyby sprowadzić na kogoś cierpienie bez powodu...

I znowu zapadła cisza. Po raz pierwszy Vash słuchał naprawdę zainteresowany: przybysz z północy dobrze przemawiał, jak przystało na króla. Niektórzy z autarchów, którym służył minister, lubili poezję, lecz żaden z nich jej nie deklamował ani nie tworzył. W młodości Vash sam napisał kilka wersów, lecz nikomu ich nie pokazał.

– W rzeczywistości – mówił dalej Olin – Meriel była boginią, jaką sobie nieraz wyobrażałem, która byłaby miła i potrafiła dostrzec cierpienie innych. Ach, że też zabrano ją z tego świata zamiast mnie, samolubnego mężczyzny, w którego żyłach płynie skażona krew! To prawda. Mimo że minął tylko rok, kapłani musieli nakazać ludziom zdjąć szaty żałobne, ponieważ żałoba dłuższa niż wyznaczona oznaczała zniewagę wobec bogów! Wyobrażasz to sobie? Wszyscy ją kochaliśmy. Dla moich dzieci gorsze niż utrata tronu, a nawet śmierć Kendricka było to, że nie znały matki, najśladziej kobiety na świecie. Zawsze uważałem, że na nią nie zasługuję – nie wierzyłem, że może być moja.

I nie była. Bogowie przypomnieli mi o tym... jak mają w zwyczaj.

Olin zaśmiał się, a był to śmiech tak żalorny, że nawet Vash – który słyszał przeraźliwe krzyki i błagania ludzi odchodzących z tego świata, wielu z nich odeszło na własne życzenie – z trudem się powstrzymał, by nie zakryć dłońmi uszu.

– Zapomniałem, co chciałem powiedzieć – podjął swoją opowieść król. – Opowiadałem o rodzinie. Nie widziałem ich prawic od roku. Kendrick nie żyje, zabity pewnie przez Tollych, choć nie mam pewności. Mój dzielny syn zawsze postępował tak, jak należało. Bardzo się złościł, kiedy inni łamali zasady, nawet jego młodsze rodzeństwo! Kiedy bawili się z nim w chowanego, chowali się gdzieś, gdzie wcześniej obiecali się nie zapuszczać, a potem śmiali się z niego, gdy się o tym dowiedział. Nie potrafił bawić się tak jak oni i zawsze im tłumaczył, że gdy ktoś łamie zasady, gra się nie liczy. Kendrick byłby doskonałym królem, a mój drugi syn mógłby zostać sekretarzem, kimś, kto by mu przypominał, aby nie ufał tym, którzy go zapewniają, że przestrzegają zasad, tylko dlatego, że on sam ich przestrzega. Ponieważ Barrick, jeśli jeszcze żyje, niech bogowie mają go w opiece, żyje w innym świecie.

Barrick zawsze był niespokojny i zrzedliwy, lecz po pierwszym ataku choroby – moja przypadłość przeszła na niego niczym woda zatrutej rzeki – całkowicie stracił wiarę w dobroć Losu. I czy można go za to winić? Kiedy był młodszy, choroba objawiała się tak samo jak u mnie. Roztrzęsiony padał na podłogę w napadzie wściekłości, krztusząc się tak bardzo, że z trudem oddychał; a rzucał się tak gwałtownie, że trzeba było dwóch ludzi, by go przytrzymać, mimo że był jeszcze chłopcem. Oczywiście rozpacziałem nad tym, że sprowadziłem na niego to przekleństwo, ale wydawało mi się, że potrafię mu pokazać, jak ja przetrwałem, jak się zamykałem, gdy czułem, że zbliża się atak. Lecz z czasem jego choroba się zmieniła i poszła innym torem.

Już się nie wściekał i nie rzucał jak szaleniec, za to choroba powoli zatruwała go od środka. Jego wyobrażenie o świecie stawało się coraz mroczniejsze, tak jak dzieje się podczas zaćmienia, gdy księżyc oddziela ziemię od słońca. Początkowo wierzyłem naiwnie, że skoro zewnątrz ataki ustąpiły, oznacza to poprawę, jest znakiem, że Barrick w jakiś sposób zwalcza w sobie przekleństwo, które zatruło mu życie. Myliłem się, oczywiście, lecz zanim to zrozumiałem, on zanurzył się już tak głęboko w cień, że stał się dla mnie niedostępny. Był dowcipny i mądry, lecz tak bardzo okaleczony moją zatrutą krwią, że przy życiu trzymała go chyba tylko miłość do siostry.

Bardzo ją kochał, a Briony kochała jego. Byli bliźniakami – wspominałem o tym? – ich serca biły jak jedno od chwili, gdy pojawili się na tym świecie w tej samej godzinie. Może to w jakiś sposób przyczyniło się do śmierci ich matki. Ach, bogowie, nic już nie wiem! Tyle czasu minęło od tamtych dni, a rana boli wciąż tak samo, jakbym się zaciął wczoraj przy goleniu.

I coś jeszcze muszę wyznać ze wstydem: najbardziej kochałem Briony. Nie, Kocham, tak, a nie kochałem – ach, niech bogowie mają ją w opiece! Kochałem łagodność i honor Kendricka, jego prawą naturę, i kochałem go dlatego, że był moim pierworodnym. Kocham Barricka pomimo bólu, którego mu nie oszczędziłem ani on mnie... ale Briony Kocham z taką pewnością i zadowoleniem, że nie potrafię wyrazić tego słowami. W niej skupiło się wszystko to, co mam najlepsze i co było najlepsze w jej matce. I pomyśleć, że tak potężna miłość całkiem ich zawiodła – że zawiodłem ich wszystkich...

Król z północy zamilkł po raz kolejny, a gdy znowu się odezwał, mówił zmienionym głosem, bardzo trzeźwym i prawie pozbawionym emocji:

– Dość już cię zanudzałem. Dziękuję, że zechciałeś mnie wysłuchać. Teraz chyba udam się na pokład mojego więzienia, by pospacerować i posłuchać mew.

Pierwszy minister usłyszał stukot obcasów Olina na deskach pokładu i odczekał, aż ucichnie. Po odejściu króla nikt się nie poruszył ani nie odezwał. Czyżby król rozmawiał z powietrzem, zwracając się do zachmurzonego wiosennego nieba? Vash wysunął się z szafy na tyle ostrożnie, na ile pozwalały mu sztywne stawy, i podreptał w dół po schodach, a potem wspiął się na górę, gdzie wcześniej przebywał Olin. Król rzeczywiście odszedł – Vash dostrzegł czubek jego głowy w przeciwnym końcu pokładu, gdzie Olin stał oparty o reling strzeżony przez kilku strażników – ale nie było śladu obecności autarchy, Panhyssira, Dumina Hauyuza czy jakiegokolwiek innej rozumnej istoty. Na pokładzie siedział tylko niedorozwinięty skotarcha Prusus kołyszący się w swoim fotelu; jego ręce i głowa drżały, a z podbródka zwisała nitka śliny. Przez moment wydawało się, że Prusus Chromy spojrział na Vasha, lecz gdy minister podszedł bliżej, spojrzenie skotarchy zmętniało, jakby pierwszy minister zniknął z jego pola widzenia.

Pinimmon Vash zatrzymał się przed drżącą postacią i zmierzył skotarchę uważnym spojrzeniem, zastanawiając się...

Świat zerwał się z kotwicy, pomyślał Vash. Tak, świat, który znałem, podryfował poza znane mi wody. I tylko bogowie i szaleńcy potrafią odgadnąć, dokąd zmierza.

– Coś idzie za nami – wyszeptał Barrick.

– Tak. – Kiedy kruk mówił spokojnie, trudno było go zrozumieć przez poświstywanie i chrypienie. Ptak sfrunął na kamień i przywarł do jego porośniętej mchem powierzchni, po czym wcisnął głowę między skrzydła i nastroszył pióra, przez co wydawał się większy.

– Jedwabiny – zaskrzeczał. – Widzieliśmy je, jak lecieliśmy nad drzewami. Pięc albo sześć, jak nam się wydaje.

– Niech tu przyjdą.

Oczywiście Barrick bał się ich, lecz zarazem odczuwał dziwną pewność, że nie na darmo przeszedł taki kawał drogi i przeżył, żeby teraz ulec tym wiciowatym, spowitym jedwabną nicią dziwadłom. Czuł się silny, a było to bardzo dziwne uczucie, jakby kipiała w nim jakaś moc. Miał wręcz ochotę zaśmiać się głośno.

– Niech przyjdą? Załatwią nas obu, jak nic, albo co gorsza, zaciągną nas z powrotem do swoich wiszących gniazd i nafaszerują swoim żarciem. – Kruk przeleciał na gałąź. – Widziałem, jak robili tak ze Sługami, a jakże. Jeszcze nie zdechli, gdy wykluły się młode...

– Mnie tego nie zrobią. Nie pozwolę na to.

Kruk zadrżał i znowu nastroszył pióra.

– Czy ty się nie walnąłeś w głowę, jak się szwendałeś po tym paskudnym wzgórzu? Zupełnie inny jesteś jakiś.

Barrick uśmiechnął się mimowolnie. Rzeczywiście tak było, choć nie miał pewności dlaczego. Czuł, że zaszła w nim zmiana, że jest silniejszy, bardziej pewny siebie... lepszy. Ustąpił nawet wcześniej wiecznie obecny tępy ból niesprawnego ramienia i teraz od czasu do czasu książę czuł tylko mrowienie, jakby ręka zdrętwiała mu podczas snu.

Barrick spojrział na ramię. Blizny, pamiątka po Śpiących, już znikły i pozostały tylko trzy kreski na skórze, blade, jakby pochodziły sprzed lat, a przecież minął najwyżej dzień lub dwa, odkąd zszedł z Przeklętego Wzgórza. Nawet dłoń, podobna do szponu, którą zawsze chował przed ludźmi, teraz prawie się nie różniła od drugiej ręki. Co za czary rzuciły na niego ślepe istoty? Wydawało się, że dały mu tylko same dobre rzeczy, lecz gdzieś w zakamarkach jego pamięci czaiło się wspomnienie o tym, że mówiły coś o cenie...

Barrick zahaczył nogą o korzeń i zatoczył się, zanim udało mu się odzyskać równowagę. Ziemia była śliska od mgły, która spowijała las zmierzchu. Nawet zdrowe ramię nie uchroniłoby go przed upadkiem i uderzeniem w głowę.

– Musimy znaleźć bezpieczne miejsce, panie, to pewne – powiedział Skurn głosem przepelnionym nutą perswazji. – Żeby odpocząć. Bo zmęczony jesteś, jak nic, a zmęczony popelnia błędy, jak mawiała nasza stara mamcia.

Barrick rozejrzał się. Według własnych szacunków szedł prawie cały dzień, podążając najlepszą drogą, zdaniem kruka, do miasta Sen i jego strasznych mieszkańców, których Skurn nazywał Ludźmi Nocy. Nie zaszkodziłoby zatrzymać się i odpocząć, szczególnie że podążała za nimi grupa jedwabników. Gdyby rozpałił ognisko, mógłby upiec korzenie, które wykopał rano, co chociaż trochę przypominałoby normalne jedzenie: do tej pory odkrył kilka roślin, które był w stanie zjeść i nie zwymiotować; z doświadczenia wiedział też, że upieczone stają się ciut smaczniejsze.

– Dobrze – powiedział. – W takim razie znajdź miejsce, gdzie będę mógł oprzeć się plecami o kamień.

– Mądry jesteś, och, jaki mądry. Znajdziemy takie dogodne miejsce. – Kruk poleciał wolno między koronami drzew i po kilku chwilach zniknął Barrickowi z oczu.

Rzeczywiście, pomyślał Barrick, przeżuając, te blade gąbczaste korzenie upieczone smakują bardziej jak jedzenie, ale ani trochę nie przypominają dobrego jedzenia.

– Nie mógłbyś znaleźć jajka lub czegoś takiego? – zwrócił się do kruka. – Ptasiego jajka? – Nauczył się wyrażać precyzyjnie, gdy o chodziło o żywność.

Ptak odwrócił się w jego stronę; z jego dzioba wystawały wierzgające odnóża czegoś pełzającego, co Skurn wyciągnął spod kłody. Odchylił głowę, by połknąć do końca ofiarę, i posłał księciu spojrzenie pełne wyrzutu.

– Czy Skurn nie szukał długo i dokładnie? Czy nie zaproponował ci tego, co znalazł najlepszego, odejmując sobie od dzioba?

Mówiąc „najlepsze”, kruk miał na myśli coś dużego i miękkiego wielkości kciuka Barricka, istotę bladą, koloru wosku, z której wyciekała zielonkawa wydzielina w miejscu, gdzie ptak dziobną ją zbyt mocno. Podziękował krukowi za szczodrość i oddał mu jedzenie.

– Nieważne. Te korzenie dadzą się zjeść. – Barrick dołożył do ognia trzy kolejne podsuszone kawałki drewna, a potem zaczął ostrzyć grot złamanej włóczni okrągłym kamieniem.

Wciąż delectował się przyjemnością posługiwania się dwiema rękami, które go nie bolały.

– Opowiedz mi coś jeszcze – odezwał się Barrick po chwili. – Co się stało z Szachrajem po tym, jak wtrącił bogów na ziemi swojej babki.

– Prababki – poprawił go kruk, rozglądając się, jakby chciał sprawdzić, czy w pobliżu nie pełźnie coś smakowitego. – To była Pustka jego prababki. Nauczyła Szachraja wszystkich sztuczek, dzięki którym mógł przychodzić i odchodzić.

Znajdź Komnatę Szachraja, powiedzieli Śpiący. Komnata Szachraja, drogi Szachraja, wejście Szachraja – czy oni oczekiwali, że Barrick będzie podróżował tak samo jak bogowie?

– I co się stało? Został królem bogów? – Przecież Szachraj, którego dotąd Barrick znał pod imieniem Kupilasa, był tylko jednym z pomniejszych bogów. Czyżby się mylił? W *Księdze Trygonu* napisano o Kupilasie tylko tyle, że był mądrym patronem kowali i inżynierów. I medyków, przypomniał sobie. Chaven miał jego posążek w domu. – Co się stało po tym, jak zabił Kerniosa?

– Czy my wyglądamy na Człowieka Nocy pełnego tajemnic? – obruszył się kruk. – Czy my wiemy wszystko to, co wiedzą Pierworodni? A poza tym Szachraj nikogo nie zabił, a tylko wtrącił Pana Ziemi i innych tych tam, gdzie śpią.

– Ale co się stało z Kupilasem? Z Szachrajem? Co się z nim stało?

Skurn wzruszył ramionami, co polegało na tym, że stroszył pióra na karku i przekreślał głowę.

– Nie wiemy. Ranny został mocno włócznią Pana Ziemi. Umierał, mówią niektórzy. Nie wiemy już nic więcej. Mamcia nie powiedziała.

Barrick musiał się tym zadowolić.

Unosił się, pogrążony w półśnie, gdy poczuł, że coś go trąca w rękę, coś ostrego i twardego. Dziób.

– Pst! – Kruk przycupnął przy nim i nastroszył pióra, przez co bardziej przypominał upstrzonego białymi plamkami jeża niż ptaka. – Cosik słyszymy...

Barrick usiadł i zaczął nasłuchiwać. Po kilku chwilach poczuł, że coś ostrego wbija mu się w kark, lecz tym razem nie był to dziób Skurna. Zamachnął się ręką, lecz nie udało mu się oderwać od skóry tego, co boleśnie do niej przywarło. Zaraz potem coś opuściło się z gałęzi i wczepiło w jego prawe ramię – ciernista gałąź zakrzywiona jak hak i opuszczona na jedwabnym włóknie.

Zanim Barrick zdążył pomyśleć, kilka następnych zsunęło się z cienia nad jego głowę. Kilka przeleciało obok i odsunęło się, lecz dwie zaczepiły o jego podarte ubranie i pociągnęły mocno, wbijając się w ramię i kark. Na ciele księcia pojawiły się punkciki piekącego bólu.

– Idą, panie! – wrzasnął Skurn i wzbil się w powietrze, a jeden z haków przeleciał przez miejsce, w którym kruk stał przed chwilą. – Jedwabiny!

Teraz dopiero Barrick je zobaczył, chude, szarobiałe postacie przemykające wśród najwyższych gałęzi nad jego głową i spuszczone obciążone zadziory, by je o niego zaczepić. Spróbował wsunąć dłoń za pas, by sięgnąć po grot, lecz jeden z napastników pociągnął za jedwabną nić zakończoną hakiem, który zaczepił o jego ramię, by mu to uniemożliwić. Barrick chwycił włókno i pociągnął mocno, aż poczuł, że trochę zwiotczało, i wtedy sięgnął po broń. Zamachnął się lewą ręką i przeciął nić, która unieruchomiła mu ramię, odmawiając w duchu modlitwę dziękczynną za to, że naostrzył grot. Potrzebował trochę więcej czasu, by uwolnić się od ciernistej gałęzi wbitej w kark, a gdy już mu się to udało, zobaczył, że jego palce lśnią od

krwi.

Dwie paskudne istoty wynurzyły się spomiędzy drzew, ciche jak duchy, zataczając kręgi jedwabnymi niciami jak lassami, a ich lśniąco ciemne oczy migotały odbitym światłem zmierzchu. Barrick uchylił się przed nadlatującą jedwabną liną, lecz poczuł, że pokryte zadziorami haki rozerwały mu skórę na głowie. Wyrwał je z włosów w momencie, gdy napastnik skoczył do przodu. Jedwabina owinała Barricka dziwnymi pozbawionymi kości kończynami i choć nie ważył dużo, to wystarczyło, by powalił go na ziemię. Poturlali się, spleceni, a gdy znieruchomieli, książę się zorientował, że leży na prawym ramieniu. Jedwabna lina owinęła się wokół jego szyi i zacisnęła mocno. Pomyślał przerażony, że zaraz zginie, bo przecież nie może posłużyć się lewym ramieniem.

I zaraz uprzytomnił sobie, że przecież jego niesprawne wcześniej ramię nie jest już bezużyteczne. Wyciągnął rękę i chwycił śliską, lepka postać za plecy, wbijając w nie palce. Jedwabna lina zacisnięta na szyi napięła się na chwilę, lecz Barrick zaraz zrzucił z siebie napastnika i ściągnął na błotnistą ziemię.

Jestem silny! Miał ochotę zawołać – słowa te pojawiły się w jego umyśle niczym radosny płomień. Silny!

Barrick nie był w stanie pewnie chwycić przeciwnika, lecz gdy jedwabina się podniósł i przyczał na zgiętych nogach, książę skoczył do przodu i wpełznął go w ognisko, nie bacząc na to, że na plecy wskoczyła mu inna na wpół ludzka blada postać.

Jedwabina, który wylądował w ogniu, wydał przerażający świszczący krzyk. Po chwili wyszedł z ognia, zataczając się, a po jego nogach i piersi pełzały bladożółte płomienie, które sprawiały, że ciemność pod niemi spowijającymi jego ciało zaczęła wyciekać i bulgotać. W ciągu zaledwie kilku uderzeń serca istota cała zajęta się ogniem i płonęła niczym pochodnia, wypełniając zmierzch tak przeraźliwie wysokim krzykiem, że Barrick prawie go nie słyszał.

Od razu się zorientował, w jaki sposób może przetrwać atak. Chwyciwszy drugiego jedwabina, przyciągnął go do ogniska i sięgnął po kawałek płonącego drewna. Ze złamaną włócznią w jednej ręce i żagwią w drugiej, odwrócił się do jedwabina, który chwycił go za kostki nóg, i przystawił mu ogień do pozbawionej wyraźnych rysów twarzy. Wydając agonalne świsty, napastnik puścił nogi Barricka zaczął biec przed siebie, młócąc się rękoma po głowie, aż wreszcie wpadł na drzewo. Przez chwilę leżał nieruchomo, a potem odpełzył w zarośla, skurczony jak pijak.

Barrick zacisnął mocniej dłoń na złamanym drzewcu włóczni i uderzył się ręką w pierś.

– No, chodźcie! – zawołał do upiornych postaci, które wciąż przemykały wśród konarów drzew. – Przyjdźcie i weźcie mnie!

Dwa kolejne jedwabiny zeskoczyły na ziemię, a potem jeszcze jeden. Niespodziewanie pojawił się Skurn, który wbił pazury w napastnika stojącego najbliżej Barricka, ten zaś wykorzystał moment i przysunął pochodnię do jedwabina. Omal nie przypiekl przy tym kruka, który ponownie wzbił się w powietrze i zakrakał zaniepokojony. Nici nie zajęły się od razu ogniem, więc Barrick zadał jedwabiniowi cios grotem i zaraz z rany popłynęła czarna maź, po czym książę odwrócił się szybko i przyłożył pochodnię do kolejnego napastnika, który szykował się do ataku. Długo nie potrafił powiedzieć, ilu jedwabinów go otoczyło ani jak wygląda sytuacja, lecz czuł obrzydliwy słonawy smród przeciwników nekanych ogniem. Ze śmiechem na ustach zadawał pchnięcia grotem i wymachiwał pochodnią, uderzając we wszystko, co się ruszało. Kątem oka dostrzegł Skurna, który właśnie wzniósł się w powietrze, szukając w górze ratunku. Barrick tylko się zaśmiał jeszcze głośniejsze.

Minęła godzina, a może tylko kilka chwil – tego nie potrafił powiedzieć. Ostatni ruszający się jedwabini leżał u jego stóp, usiłując zatrzymać w rozprutym przez Barricka brzuchu wylewające się powoli wnętrzności. Ogarnięty gorączką radosnej wściekłości księżę opuścił włócznię i chwycił istotę za głowę, zaciskając palce na owiniętej jedwabiem czaszce, jakby to był zepsuty melon. Pociągnął mocno, a potem wepchnął pochodnię w szeroko otwarte wilgotne oko.

– Giń, ohydo! – Przyciskał jedwabini nogą do ziemi, aż ofiara stała się zbyt gorąca, by mógł na niej stać.

Trzy inne jedwabiny leżały tuż obok bez ruchu w kałużach wyciekającej z nich mazi. Barrick skierował wzrok ku górze, lecz nie dostrzegł ruchu w koronach drzew.

Spojrzał na swoje dłonie. Wiedział, że wygra. Wiedział! Jakże cudownie było mieć parę silnych ramion, tak jak wszyscy! Kopnął tłącego się jeszcze trupa i odwrócił się.

Otrzymałem dar. I jaką zapłaciłem za niego cenę? Żadną.

W ogóle nie czuł bólu. Nie smuciły go stare nieszczęścia ani straty – siostra, pochwycony do niewoli ojciec, zamordowany brat; prawie o nich nie myślał ostatnimi czasy. Gdy pozbył się bólu w ramieniu, odeszły też bolesne uczucia.

Gdy Skurn zdobył się w końcu na odwagę, by sfrunąć z gałęzi, Barrick wciąż śmiał się cicho.

Po raz pierwszy jestem cały, pomyślał. Prawdziwy Barrick Eddon, wreszcie.

Choroba króla Hespera

Większość ettinów jest pokryta łuskami jak jaszczurka i często nazywa się je „głębokimi ettinami”, ponieważ nieustannie kopią, lecz mówi się, że istnieją ettiny porośnięte miękką sierścią, która pozwala im poruszać się szybko tunelami wykopanymi przez inne ettiny. Te „tunelowe ettiny” są ponoć ślepe.

– z *Traktatu o czarodziejskich narodach obojga kontynentów Eionu i Xandu*

– Chyba cię nie rozumiem, Złocisty. – Pinimmon Vash podniósł wzrok. Klęczał na swoich starych obolałych kolanach, gdyż z doświadczenia wiedział, że gdy autarcha jest w jednym ze swoich nieprzewidywalnych nastrojów, najbezpieczniejsze jest zachowanie tradycyjne. – Sądziłem, że zmierzamy do... zapomniałem nazwy tego miejsca. To małe królestwo na północy twojego... gościa.

– Marchia Południowa. Nie mylisz się, tam właśnie płyniemy. – Sulepis rozprostował dłoń, by przyjrzeć się swoim długim palcom zakończonym złocistymi paznokciami koloru miodu pszczoł Nushasha. – Ale najpierw złożymy wizytę innemu władcy. Czy nie wolno mi gospodarować moim czasem według własnego uznania, pierwszy ministrze? Życie jest zbyt piękne, żeby się spieszyć! – Na usta autarchy wypełził jego leniwy krokodyli uśmiech.

– Czy nie wolno... ależ Złocisty! To oczywiste! Nawet gwiazdy zatrzymują się na niebie, by poznać twoje plany. – Vash pochylał się trochę bardziej do podłogi pomimo uciążliwego bólu w goleniach i udach. – Wszyscy żyjemy, by ci służyć. Chciałem tylko... bliżej poznać twoje plany... co by nam pozwoliło lepiej zaspokoić twoje potrzeby. – Zamiast porozumiewawczego uśmiechu, który zaplanował na tę chwilę, z jego ust dobyło się drżące rżenie. – Czy ci wolno! Żartujesz sobie ze swojego najstarszego i najbardziej oddanego sługi, panie! Oddam życie, by wypełnić choćby najmniejsze z twoich pragnień.

– Chciałbym to zobaczyć. – Śmiech Sulepisa zabrzmiał o wiele bardziej przekonująco. – Ale chyba nie tego ranka. Niech przygotują łodzie i zbiorą tragarzy do przeniesienia daniny. I przekaz antypolnarsze, że jego żołnierze nie są mi potrzebni. Zabiorę ze sobą tylko tragarzy, dywanników i ciebie. Och, myślę, że nasza wizyta będzie też dobrą rozrywką dla króla Olina. Wystarczy dla niego czterech strażników.

– Bez żołnierzy? – zdumiał się Vash i zaraz się zorientował, że po raz kolejny podaje w wątpliwość decyzję swojego monarchy, ale przecież nawet autarcha nie mógł być na tyle szalony, by odwiedzać obcy dwór w asyście czterech strażników. – Stary jestem, Złocisty. Czyżbym źle usłyszał?

– Nie. Powiedz Duminowi Hauyuzowi, że tak długo jak jego ludzie będą na statku w gotowości do wypłynięcia, ma wolną rękę.

– Za co z pewnością będzie ci ogromnie wdzięczny, Złocisty. – Vash próbował wycofać się z kajuty, nie wstając, lecz szybko się zorientował, że jest już na to za stary. Gdy odpełził do tyłu wystarczająco daleko, dźwignął się ciężko na nogi i wyszedł poza krąg obecności niepojętego i nieprzewidywalnego żywego boga na ziemi.

Wydawało się, że wszyscy mieszkańcy Gremos Pitry, stolicy Jellonu i Jaelu, ustawili się wzdłuż drogi pnącej się stromo z portu do pałacu, by zobaczyć tę dziwną procesję. Była mała, zgodnie z zapowiedzią Sulepisa, a prowadził ją sam autarcha – poza momentami, gdy dywanicy wybiegali przed niego, by rozłożyć następną część dywanu ze złotogłowia, bo przecież jego święte stopy nie mogły dotknąć ziemi. Za nim kroczył Vash, który starał się zgrabnie przejść na kolejną część dywanu, zanim niewolnicy zdążyli wyrwać spod jego stóp poprzedni kawałek, który musieli szybko rozłożyć przed królem-bogiem. Pierwszy minister tak bardzo się bał, że któryś z gapiów może zrobić coś nieprzewidzianego, na przykład rzucić kamieniem w autarchę, że aż go ścisnęło w żołądku.

Dalej szedł Olin i jego czterej strażnicy, którzy stąpali po ziemi jak zwykli ludzie, a za nimi milczący kapłan, którego Vash widział na statku, lecz którego imienia nie znał. Sądząc po kolorze ciemnej, spierzchniętej od wiatru i słońca skóry, pochodził z któregoś z pustynnych plemion i był cały pokryty tatuażami o kształcie płomieni, a jego oczy były szarawe od katarakt, choć nie był stary. Szedł, grzechocząc kijem, na którym zawieszono kilkanaście węzowych szkieleatów. Vash odczuwał niepokój, patrząc na kapłana; wcześniej był bardzo zadowolony, że tamten rzadko wychodzi na pokład.

Za węzowym kapłanem podążała grupa kilkudziesięciu masywnych niewolników, którzy dźwigali na plecach kosze z darami, bez wątplenia bardzo ciężkie, sądząc po ich wykrzywionych twarzach.

Zebrana przy drodze gawiedź przyglądała się w zdumionym milczeniu wysokiemu królowi-bogu z południa w złocistej zbroi, lecz jeszcze bardziej zdumiewał ich brak wojskowej eskorty. A zatem nie tylko Vash się dziwił, że słynny wróg całego Eionu kroczy nieuzbrojony przez miasto nieprzyjaciela.

Ostatnimi czasy Pinimmon Vash nie miał wielu okazji, by się pomodlić, lecz zrobił to teraz.

Nushashu, podążam za twoim następcą. Przez całe życie powtarzano mi, że w żyłach autarchy płynie twoja krew. Teraz narażamy się na straszne niebezpieczeństwo, wkraczając do wrogiego kraju. Służyłem trzem kolejnym autarchom i zawsze starałem się jak najlepiej przysłużyć Sokolem Tronowi. Proszę, nie pozwól mi umrzeć w tej dziurze! Nie pozwól, by autarcha zginął podczas mojej służby!

Vash zamrugał, by pozbyć się kurzu wciskającego mu się do oczu. Przynajmniej skotarcha Prusus został na pokładzie, gdzie pilnują go żołnierze. Nawet gdyby stało się najgorsze, zastosują prastare prawo i Sokoli Tron nie pozostanie pusty.

Tylko że Prusus to kaleka, pomyślał Vash. Zaśliniony półgłówek. Z drugiej strony mówi się, że niektórzy z poprzednich autarchów, szczególnie w czasach przed Wojną Dziewięcioletnią, nie wyglądali lepiej. Najważniejsza była tradycja. Skotarcha panował tylko do czasu zebrania rady największych rodów, która aprobowała nowego autarchę. Sulepis miał kilku synów z kilku matek. Jego ród nie wyginie.

Jakieś poruszenie w tłumie wyrwało pierwszego ministra z ponurego zamyślenia. Pochód Złocistego dotarł do zewnętrznej bramy Gremos Pitry, gdzie czekał oddział uzbrojonych żołnierzy. Vash pospieszył do przodu tak szybko, jak tylko pozwalały mu obolałe nogi. Autarcha nie rozmawiał z pospólstwem. Aż tak bardzo porządek świata się nie zmienił – jeszcze nie.

– Jestem Niccol Opanour, herold bramy Gremos Pitry i Jego Wysokości Hespera, króla Jellonu i Jaelu – oznajmił dowódca żołnierzy, mężczyzna o lisiej twarzy z krótką bródką, z wyglądu wytrawny hazardzista. – Z jaką sprawą przybywasz na dwór króla Hespera?

– Sprawa? – Vash otrzymał dokładne wskazówki od autarchy, co ma mówić. – Tak wielki władca jak Sulepis nie potrzebuje chyba pretekstu, by się zatrzymać podczas podróży i przywitać z innym monarchą? W goście dobrej woli przywozimy twojemu panu dary z południa. Chyba nie każesz mojemu królowi stać na drodze jak jakiemuś kupcowi? Widzisz przecież, że nie jesteśmy uzbrojeni. Zdaliśmy się całkowicie na łaskę Hespera.

Co można było wyrazić innym słowem – o czym mogła zaświadczyć większość monarchów z północnego kontynentu – „beznadzieja”. Hesper był łaskawy tylko wtedy, gdy mógł coś zyskać, okazywał przyjaźń innym władcom jedynie w sytuacji, gdy mu to pasowało, o czym wszyscy wiedzieli.

Herold Opanour zmarszczył brwi.

– Z całym szacunkiem dla twojego władcy, ale nie takie słowa spodziewaliśmy się usłyszeć. Nie jesteśmy przygotowani. Tak się składa, że król Hesper jest... niedysponowany.

– Wielka szkoda – odparł Vash. – Niemniej jednak wierzę, że nasze podarunki poprawią mu humor. – Dawno już nie posługiwał się północnym dialektem hierosoliny i teraz ucieszył się, że wciąż włada nim poprawnie. Przywołał skinieniem ręki jednego ze spoconych tragarzy, po czym uniósł wieko kosza. – Oto wyraz hojności Xis.

Znajdujący się najbliżej żołnierze pochylili się w siodłach i wybałuszili oczy na widok złota i klejnotów, którymi wypełniono kosz.

– To... imponujący widok – rzekł herold. – Mimo wszystko musimy poprosić króla o pozwolenie...

Nieoczekiwanie sam autarcha postąpił do przodu, zmuszając dywanników do wykonania szybkiej akcji przeniesienia kawałka dywanu, tak by obuta w sandał stopa Sulepisa nie dotknęła gołej ziemi, co by spowodowało, jak mówiono, zachwianie się całego świata i jego koniec. Spłoszone konie jellońskich żołnierzy zaczęły się cofać, jakby Sulepis był istotą, jakiej nigdy wcześniej nie widziały – co było prawdą, pomyślał Vash. Coraz bardziej skłaniał się ku przekonaniu, że świat nie widział kogoś takiego jak jego pan.

– Pierwszy ministrze, przekaz, proszę, moje słowo mieszkańcom Jellonu – przemówił Sulepis w hierosolinie. Mimo że mówił łagodnym tonem, jego głos niósł się daleko. – Przypomnij im, że nawet cierpliwość łaskawego króla ma swoje granice. Tuż za portem czeka nasz okręt najeżony działami, a kilka następnych przyplynie przed nocą. – Sulepis uśmiechnął się do zebranych Jellończyków i skrzyżował ramiona na piersi, pobrzękując złocistą zbroją. – Przybywamy w pokoju, to prawda, lecz nie chcielibyśmy, aby iskra podejrzliwości wzniciła pożar, który trudno byłoby ugasić.

Szybko ustalono, że jeden z żołnierzy wróci do pałacu, by powiadomić dwór i Hespera o wizycie autarchy.

Pałac w Gremos Pitrze postawiono na klifie wznoszącym się nad portem, lecz podczas kolejnych lat pokoju pierwotną stromą drogę zastąpiono łagodnie wznoszącą się serpentyną. Nawet Vash, stary i obolały, nie zmęczył się aż tak bardzo w drodze do pałacowej bramy, choć wciąż nie rozumiał, dlaczego to wszystko trwa tak długo.

Gdy zbliżyli się do bramy, otworzono ją i wtedy ujrzeli cały splendor władzy Hespera: strażnicy na każdym parapecie i kolejna setka po obu stronach wejścia. Autarcha szedł spokojnie między nimi, nie rozglądając się na boki, jakby to byli jego lojalni poddani, a szedł miarowym krokiem, lecz nie bardzo wolno, przez co zmuszał dywanników do maksymalnego wysiłku. Procesja przeszła przez dziedziniec, który szybko wypełnił się dworzanami i służbą, a stojący z tyłu wspinali się na palce, depcząc żywopłoty, by zobaczyć niesławnego szalonego autarchę z Xis.

Wielu jellońskich żołnierzy wkroczyło do ogromnej sali za niewolnikami, którzy dźwigali

kosze, i teraz grupa autarchy została otoczona ze wszystkich stron przez zbrojnych w zielonych ceremonialnych płaszczach ozdobionych godłem z niebieskim kurem i złotymi pierścieniami jaelskiego klanu Hespera. Wysoki tron z baldachimem stał w przeciwnym końcu wysokiej sali, otoczony ciżbą dworzan, którzy gapili się na przybyszów zbyt zafascynowani, żeby wyszeptać choć słowo. Vash wyteńczył wzrok – sala była długa – starając się dojrzeć małą postać skuloną na ogromnym siedzeniu, która bardziej niż człowieka przypominała worek z brudną bielizną przygotowaną do prania. Tak jak wspomniał wcześniej herold, król Jellonu wyglądał na starego i schorowanego, skórę miał bladą, a oczy podkrążone i zapadnięte. Ubrany był cały na biało, co upodabniało go do nieboszczyka zawiniętego w całun.

Sulepis ruszył przed siebie, a dywannicy pospieszyli, by mu podsunąć dywan, lecz zatrzymali się kilka metrów przed stopniami prowadzącymi do tronu. Vash pomyślał, że jego pan jest pewnie zły, że musi stać poniżej mniej potężnego monarchy, lecz nawet jeśli tak było, autarcha nie dał tego po sobie poznać. Jellońska straż zaczęła nerwowo przebierać palcami po broni, lecz władca uspokoił swoich żołnierzy, unosząc drżącą dłoń.

– Słucham, siejący postrach władco południa. Jesteś młodszy, niż przypuszczałem. Czego chcesz? – powiedział Hesper chrapliwym głosem.

– Powiedziano mi, że niedomagasz – odparł Sulepis bezpośrednim, rzeczowym tonem. – Miło z twojej strony, że wstałeś, by się ze mną spotkać.

– Miło? – Hesper wyprostował się trochę. – Zagroziłeś mi okrętami, jeśli cię nie przyjmę. Nie wygaduj bzdur. – Głos monarchy, który powinien zabrzmieć władczo, z powodu osłabienia króla zachował jedynie nutę kapryśności. Mimo wszystko Vash dostrzegł w Hesperze męża, który kiedyś budził respekt.

– Może i masz rację – rzekł Sulepis. – Może powinniśmy zdjąć maski. Nie przybyłem tu tylko po to, by ofiarować ci dary, choć przywozłem wspaniałe podarunki. – Skierował złociste palce na niewolników, którzy wciąż stali z ciężkim ładunkiem na barkach, jakby podłoga sali tronowej była zbyt brudna, by na niej postawić tak cenne przedmioty. – Przybyłem także po to, by ci powiedzieć, że jestem z ciebie niezadowolony.

– Niezadowolony ze mnie? – Poirytowany Hesper pokręcił głową. Vash nie odrywał od niego wzroku. Król Jellonu nie miał nawet sześćdziesięciu lat – był znacznie młodszy niż sam pierwszy minister – lecz wyglądał jak człowiek, który przeżył już sto albo i więcej lat, i to trudnych. – Czy jestem dzieckiem, by przejmować się podobnymi rzeczami? Sam jestem niezadowolony, że przerwałeś mi odpoczynek. Mów, co masz do powiedzenia, i odejdz.

– Obiecałeś mi coś, Hesperze. – Autarcha przemawiał surowym, lecz czułym tonem rozczarowanego ojca. – Miałeś coś, czego pragnąłem, co chciałem, żebyś dla mnie zdobył, tymczasem ty sprzedałeś to komuś innemu.

Przez salę przetoczyła się fala szeptów dworzan. Nawet nie znając zamiarów swojego pana, Vash domyślał się, że niebawem będą mieli czym się dziwować.

– Co ty pleciesz? – dopytywał się Hesper, lecz na jego twarzy pojawił się wyraz jak u osoby przyłapanej na kłamstwie.

– Ale jak widzisz, sam sobie to zdobyłem bez twojej pomocy – mówił dalej Sulepis. Gdy klasnął w dłonie, jego strażnicy podprowadzili króla Olina.

Szepty się nasiliły, lecz było jasne, że większość nie rozpoznała władcy Królestw Pogranicza.

– Co... co...? – wybąkał Hesper. – Co to za głupota...?

– Głupi jest ten, kto coś mi obiecuje, a potem nie dotrzymuje danego słowa – odparł ze spokojem Sulepis. – Mówiłem ci, że chcę Olina z Marchii Południowej. Dałem ci złoto na znak dobrej woli. Ty je zatrzymałeś, a Olina sprzedałeś Ludisowi z Hierosolu. W taki sposób nie

zyskuje się mojej życzliwości.

Vash bał się coraz bardziej. Hesper może i był stary i schorowany, a Sulepis mógł mieć okręty u wejścia do portu, lecz w tym momencie przybysze z Xis stali otoczeni przez uzbrojonych wrogów, a do portu było dość daleko. Dlaczego Sulepis prowokował konfrontację? Czyżby aż tak uwierzył w swoją boskość? Czy naprawdę wierzył, że Jellończycy nie ośmielą się go tknąć i nie porąbią go na kawałki? Może autarcha wierzył, że ci mieszkańcy północy są tacy sami jak jego naród, wychowani od pokoleń we czci dla swojego króla-boga.

– Królu Olinie? – Sulepis mówił swobodnym tonem, jakby stał we własnej sali tronowej, otoczony poddanyimi i strażnikami z oddziału Lampartów. – Nie masz nic do powiedzenia człowiekowi, który cię zdradził? Oto ten, który rozdzielił cię z rodziną i sprzedał jak zwierzę.

Olin popatrzył na Sulepisa, a potem na Hespera, po czym spuścił wzrok.

– Nie mam nic do powiedzenia. Jestem więźniem. Nie przybyłem tu z własnej woli.

Hesper próbował wstać, lecz zaraz opadł z powrotem na tron, chwytając łączywie powietrze. Pokazał na autarchę.

– Zamierzasz mnie poniżyć w obecności moich poddanych? Możesz być władcą miliona czarnoskórych, lecz tu, w Jellonie, jesteś tylko głupcem wystrojonym jak złoty paw. Sam się do mnie wprosiłeś. Nie jesteś moim gościem, więc nie muszę zapewniać ci bezpieczeństwa. – Chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz zaniósł się gwałtownym kaszlem. Gdy znowu odzyskał głos, zaskrzypiał jak poluzowane koło u wozu. – Zastanawiam się, czy zwolnić cię za okupem, czy też z tobą skończyć.

– Wszystko potoczy się zgodnie z planem Niebios – odparł uśmiechnięty autarcha. – Olinie, jesteś pewny, że nie masz nic więcej do powiedzenia? Dałem ci sposobność konfrontacji z twoim wrogiem.

Vash zaczął odczuwać lekki ucisk na pęcherz, a serce waliło mu tak szybko, że bał się, iż zaraz zemdleje na oczach tych wszystkich obcych dworzan.

– Hesper nie uczynił mi nic złego – rzekł Olin. – To ty przyprowadziłeś mnie tu jak jeszcze jeden kosz z darami, by popisać się swoim bogactwem i władzą. Nie wezmę udziału w twojej grze, Sulepisie.

– Wystarczy – powiedział Hesper i znowu zaniósł się kaszlem. – Ja...

– Szkoda, że nie rozumiesz, co dla ciebie robię, Olinie – rzekł autarcha. – Ratuję cię przed podłym losem i prowadzę ku heroicznemu końcowi. A także... – Odwrócił się znowu do tronu. – Hesperze, chorujesz od dłuższego czasu, to już chyba rok, jak sędzę. Twoja choroba się zaczęła, gdy przekazałeś Oliną Ludisowi Drakavie, czy tak?

Hesper wybałuszył oczy, pełen bólu i frustracji, usiłując powstrzymać kaszel. Na jego białej szacie pojawiły się czerwone plamki. Jeden ze służących podsunął mu puchar, lecz Hesper odesłał go gestem dłoni.

– Chory, tak – wyrzucił wreszcie ochryłym szeptem. – I porzucony przez tę dziwkę, którą przyjąłem pod swój dach i podniosłem z nizin. Zdradziła mnie... i to dla kogo, dla tego kundla Enandera...! – Zamilkł i rozejrzał się zdezorientowany, jakby dopiero co się obudził. Potem zamrugał gwałtownie i starł z podbródka zabarwioną na czerwono ślinę. – Nieważne – powiedział. – Ale na pewno dożyję dnia, w którym zobaczę, jak odchodzisz z wrzaskiem do piekła, Xandyjczyku.

– Wciąż nie rozumiesz? – Sulepis uśmiechnął się. – Umierasz, Hesperze, ponieważ zostałeś otruty. Dosięgnę cię aż z Xandu i mnie to zawdzięczasz. – Wyszczerył zęby w uśmiechu, co nadało mu jeszcze bardziej drapieżny wygląd. – Widzisz, jest gorzej, niż myślałeś. Zanim Ananka cię zostawiła, wzięła moje złoto i zaprawiła wino w twoim pucharze szczyptą śmierci. – Autarcha, nie zważając na stłumione okrzyki dworzan i rżenie króla Jellonu, który w

przerażeniu wybałuszył oczy, odwrócił się ponownie do Olina. – Teraz widzisz, w jaki sposób zostałeś pomszczony – powiedział do więźnia. – A król Hesper dowiedział się, ile kosztuje zdrada żywego boga.

Gdy wreszcie Hesper odzyskał trochę oddech, machnął ręką w kierunku Sulepisa i zawołał:

– Straże! – Lecz gdy pierwsi strażnicy wysunęli się do przodu – z większym wahaniem niż można by się spodziewać po żołnierzach stojących przed nieuzbrojonymi niewolnikami – autarcha uniósł wysoko rękę i wszyscy znieruchomieli, jakby to Sulepis był królem, a nie śliniący się Hesper.

– Zaczekajcie! – zawołał autarcha i znowu się roześmiał, a był to tak dziwny i nieoczekiwany dźwięk, że żołnierze aż drgnęli. – Nie pokazałem wam jeszcze moich подарunków! – Sulepis pstryknął palcami.

Niewolnicy unieśli kosze nad głowy i opuścili je ciężko na podłogę. Na kamienną posadzkę wysypały się złoto i drogie kamienie, lecz nie tylko, bo z każdego kosza wyleciała też ciemna chmura czarnych os, zawodząc niczym trąba powietrzna, a każdy z owadów miał wielkość kciuka mężczyzny; chwilę później, gdy rozległy się pierwsze krzyki, z koszy zaczęły wypęłzać setki kobr. Węże szybko rozpełzły się na wszystkie strony, atakując wszystko, co się ruszało, nie oszczędzając też niewolników, którzy przynieśli kosze. Sala tronowa zamieniła się w piekło wypełnione wrzaskami dworzan i służących szukających drogi ucieczki. Wielu z nich szło na oślep, z twarzami zakrytymi dłońmi w obronie przed osami, lecz po kilku krokach stawali pośród płataniny węży i zaraz padali na ziemię, gdzie miotali się przez jakiś czas, dopóki nie uciszył ich wężowy jad.

Vash był zdumiony i zbyt przerażony, by zrobić choćby najmniejszy ruch; patrzył, jak osy przelatują obok niego, a jeden z rozgniewanych węży pełnie niebezpiecznie blisko miejsca, w którym stał, struchlały ze strachu, u boku autarchy. – A’lat! – zawołał Sulepis.

Ciemnoskóry niewolnik wystąpił do przodu i uniósł grzechoczący wężowy kij, a potem uderzył nim mocno o podłogę i zawołał coś, czego Vash nie zrozumiał. Chwilę później powietrze wokół kapłana zamigotało jak w mirażu w upalny dzień i zaraz drgająca chmura rozrosła się i objęła autarchę, Vasha, Olina Eddona i ich strażników.

Jakby zanurzyli się we mgle: Vash wciąż widział zataczających się dworzan i żołnierzy, lecz ich postacie były niewyraźne, jak kukielki z teatru cieni trzymane zbyt daleko od ekranu. Zakłęcie kapłana, jeśli to było zakłęcie, nie tłumilo jednak głosów, które jeszcze się nasiliły, gdyż rżenie i jęki umierających zostały wzmocnione przeraźliwymi krzykami tych, którzy próbowali uciec.

– A’lat – powtórzył autarcha. – Myślę, że odrobina dymu ubarwi całą scenę i uatrakcyjni nasze wyjście. – Mówił z takim spokojem, jakby wybierał drzewa, które mają zostać posadzone w ogrodach Sadowego Pałacu. – Vash, na zewnątrz będzie małe zamieszanie, upomnij, proszę, dywanników, żeby starannie wykonywali swoje obowiązki.

Pierwszy minister przyglądał się z otwartymi ze zdumienia ustami, jak czarnoskóry kapłan o imieniu A’lat podnosi okrągły przedmiot wielkości niedużej kuli armatniej i pociera go dłońmi, wypowiadając jednocześnie śpiewnym głosem kilka słów – z kuli zaraz zaczął się wydobywać dym koloru persymony. Kapłan puścił kulę po podłodze w kierunku wyjścia, autarcha i dywannicy zaś ruszyli jej torem.

Drzwi prowadzące na dziedziniec były otwarte, a w ogrodzie leżało pełno ciał, jedne już nieruchome, inne jeszcze wstrząsane śmiertelnymi konwulsjami. Niektórzy z dworzan zdołali się nawet wspiąć na drzewa, by uciec przed kobrai, i siedzieli pośród konarów, opędzając się przed osami, lecz ich przeraźliwe krzyki i trupy leżące na ziemi, z twarzami upstrzonymi lśniącymi czarnymi owadami, świadczyły dobitnie, nawet przez półprzezroczystą ścianę zakłęcia, że próżne

są ich wysiłki. Magiczna mgła zdawała się podążać za autarcha, jakby to była markiza, którą noszono nad jego głową w szczególnie upalne dni. Jellońscy strażnicy zdążający do sali tronowej, by chronić króla, przebiegli obok nich, jakby ich nie widzieli.

Vash widział już kobry, choć nigdy w tak dużej liczbie, za to pierwszy raz zobaczył tak ogromne osy, które nie pragnęły niczego innego, jak dopaść coś, co się rusza, i żądlic tak długo, aż to coś znieruchomieje. Pomimo całego tego szaleństwa i śmiertelnego tornada, jakie ich otaczało, pierwszy minister zaczął się zastanawiać, skąd mogą pochodzić te istoty.

Gdy dotarli do bramy, Sulepis zwrócił się do kapłana:

– Potrzebujemy więcej dymu. Odwróci uwagę tłumów. – Potem wysłał strażników przodem do otwartej strażnicy, by unieśli ogromną kratę i odryglowali zewnętrzne drzwi. A'lat potarł kolejną kulę i trzymając ją przed sobą, wyprowadził autarchę i jego uwijających się dywanników poza pałacową bramę. Ludzie, którzy wcześniej zebrali się wzdłuż drogi, teraz całkiem ją zablokowali, uniemożliwiając Sulepisowi przejście.

A'lat uaktywnił kolejną dymną kulę i teraz trzymał po jednej w każdej ręce. Ludzie cofnęli się gwałtownie, wydając okrzyki przerażenia i zdumienia. Sulepis uniósł ręce.

– Wielki bóg ognia zniszczył waszego niegodziwego króla! – zawołał. Niektórzy odpowiedzieli okrzykami, lecz pozostali, zdezorientowani, zaczęli cicho rozmawiać między sobą. – Zesłał na Hespera karę samych Niebios – żądłące owady, wściekłe węże, lwy i smoki! Biegnijcie! Biegnijcie, a może jeszcze znajdziecie ratunek!

Gdy Jellończycy patrzyli na niego, jedni wygrażając gniewnie pięściami, inni cofając się bojaźliwie, pierwszy rój os wynurzył się z wnętrza pałacu i minawszy autarchę i jego ludzi, jakby ich tam nie było, zaatakował najbliższych stojących na drodze niczym obłok śmierci. Krzyki żądłonych obudziły do życia pozostałych, którzy zaczęli uciekać. Chwilę później z terenu pałacu wypełzło kilkanaście ogromnych węży i tłum rozpieczęł się w popłochu, podobnie jak wcześniej dworzanie. Autarcha i jego świta odchodzili drogą w kierunku portu, krocząc po złocistej ścieżce, którą dywannicy sprawnie rozkładali przed swoim panem.

– Lwy i smoki? – Vash rozejrzał się mocno zaniepokojony.

– Opowieść o dzisiejszych wydarzeniach z czasem się rozrośnie – odparł autarcha. – Dodałem kilka szczegółów, by uatrakcyjnić ostateczną wersję.

Olin Eddon szedł niepewnym krokiem, błądzący jak ściana, jak ktoś, kto przeżywa koszmar, a jego strażnicy kroczyli tuż przy nim, by go podtrzymać w razie potrzeby.

– Czy Hesper nie żyje? – zapytał Vash.

– Ach, mam nadzieję, że nie. – Sulepis pokręcił głową. – Wolałbym, żeby pożył jeszcze z miesiąc, zanim trucizna go zabije, i myślał o tym, jak to jest, gdy ktoś mnie zdradzi, i że wrócę tu, gdy tylko mi się spodoba, by pożreć to jego państwko jak bułeczkę. – Sulepis zatrzymał się i spojrzał do tyłu na Gremos Pitrę z wyrazem błęgiego spokoju na twarzy. – Gdy tu wrócę, mieszkańcy Jellonu przypełzną do mnie. Będą mnie błagać, abym pozwolił im zostać niewolnikami w Xis.

– Nie wszyscy na północy będą błagać, by zostać niewolnikami – rzucił Olin ponurym tonem. – Przekonasz się, że niektórzy prędzej umrą, niż klękną przed tobą.

– Na nich też znajdziemy sposób – odparł autarcha. – A teraz ruszajmy, i to żywo. To był pracowity poranek i wasz król-bóg zgłodniał.

Qinnitan nadal czuła się oszołomiona, gdy mężczyzna wyciągnął ją na słońce i poprowadził za sobą po molo. Biedny Gołab kuśtykał za nimi, a z jego dłoni skapywała krew

sącząca się przez prowizoryczny bandaż; twarz chłopca wciąż wyrażała przerażenie i szok.

Jak to możliwe? – zastanawiała się Qinnitan. Tyle wycierpiała i tyle przeżyła tylko dla kilku chwil wolności? Czy bogowie zatracili już całą dobroć?

Oszczędź nas, Nushashu, modliła się w duchu. Byłam kapłanką w twojej świątyni. Staralam się robić tylko to, co słuszne. Niebiańskie Pszczoły, strzeżcie nas!

Lecz nie widziała nigdzie pszczoł, a tylko dym i strzępy płonącego żagla unoszone przez wiatr. Statek, na którym przyплыnęli, spłonął już prawie cały, nad wodę wystawał tylko kawałek kabiny dziobowej i resztki spalonego masztu. Na przystani zebrali się ludzie, którzy krzykiem przekazywali sobie strzępy informacji i przyglądali się, jak ocalali są wciągani do małych łódek.

Niektórzy z nich to niewinni marynarze, pomyślała Qinnitan, tak samo jak ludzie ze statku Dorzy. Wielu pewnie było dobrymi ludźmi. Umarli przeze mnie...

Uznała, że nie ma sensu rozmyślać teraz o tym – ani o niczym innym. Miała zostać oddana w ręce autarchy i poddana niewyobrażalnej karze i właśnie straciła jedyną szansę ucieczki. Nawet gdyby teraz rzuciła się do wody, jej bezimienny i nieubłagany oprawca skoczyłby za nią i znowu wyciągnął na brzeg. Może gdyby napiła się dużo wody...

Tylko że wtedy zostawiłaby Gołębia, uzmysłowiła sobie. Ten potwór oddałby chłopca w ręce autarchy, a potem poddano by go torturom i... zabito...

Nieoczekiwanie jej ramię przeszył straszny ból. Krzyknęła głośno, zachwiała się i upadła na kolana. W pierwszej chwili pomyślała, że to jej oprawca chwycił ją za ramię i złamał je w łokciu, lecz on szedł z drugiej strony i trzymał ją za drugą rękę. Spróbował szarpnięciem postawić ją na nogi, lecz jej kończyny były jak z waty.

Gdy całkiem pociemniało jej w oczach, zwiesiła głowę, sądząc, że zaraz zwymiotuje. Ból w ramieniu nasilał się, jakby ktoś wbił w jej ciało rozgrzany gwóźdź, jakby drażył staw ostrym nożem.

– Bogowie! Powstrzymajcie to! – zawołała albo tylko jej się wydawało, że to zrobiła, bo czuła, że zapada się w ciemność i już niczego nie jest pewna.

Zobaczyła wokół siebie cienie, bezokie istoty szepczące słowa, których nie rozumiała.

– *Lzy...* – wyszeptała jedna z istot.

– *Ślina...* – powiedziała druga.

– *Krew...* – dodał drżący głos tak cichy, że ledwo go usłyszała.

Ramię Qinnitan przenikał palący ból, jakby kość stała się rozgrzanym do białości prętem. Ciemność szalała wokół niej w dzikim tańcu i przez chwilę widziała twarz rudowłosego chłopaka... Barrick! Lecz on jej nie widział, choć próbowała go przywołać. Coś go zakryło i powstrzymywało ją przed nim – zastygły wodospad, szklany puchar... dlatego jej słowa nie docierały do niego. Lód. Lity cień. Oddzielenie...

A potem nagle wróciła do świata, gdzie wołanie mew i okrzyki ludzi wpasowały się w swoje miejsca niczym ostatnie elementy układanki. Poczowała, że klęczy na twardych deskach pomostu. Ktoś ciągnął ją brutalnie do góry, zmuszając do wstania, lecz ona nie była jeszcze gotowa i z trudem się powstrzymała, by znowu nie opaść na molo. Podtrzymywało ją silne i twarde jak żelazo ramię mężczyzny. Ból ustępował powoli, lecz ona wciąż miała go w pamięci.

– W co ty się bawisz? – Jej oprawca potrząsnął nią energicznie. Rozejrzał się, by sprawdzić, czy ktoś im się przygląda, lecz nie było wokół nich nikogo, kto mógłby ich usłyszeć, nawet gdyby miał taki zamiar.

Pewnie wyglądamy jak ojciec z parą krnąbrnych dzieciaków, pomyślała Qinnitan. Bardzo niegrzecznych.

Nagle coś poczuła – nie był to powracający ból, raczej coś sobie uzmysłowiła: jeśli pójdzie tą drogą, utraci wszelką nadzieję. Czuła to, czuła, że pewne drogi się zamykają, możliwości

kurczą, a na końcu ścieżki stoi śmierć – i coś jeszcze, coś gorszego. To coś czeka, uświadomiła sobie, choć nie miała pojęcia, co to jest. Coś głodnego, to wiedziała na pewno, i jeszcze to, że czeka na nią w ciemności na końcu jej podróży.

Qinnitan wyprostowała się i odczekała, aż mężczyzna puści jej ramię, by przytrzymać Gołębia, po czym odwróciła się i pobiegła tak szybko, jak pozwalały jej umęczone nogi, prosto do krawędzi pomostu, nie zważając na krzyki oprawcy. Deski były mokre i omal się nie przewróciła i nie wpadła do wody, lecz w ostatniej chwili przytrzymała się pala. Chwiejąc się, uniosła drugą rękę, widząc, że mężczyzna idzie w jej stronę i ciągnie za sobą Gołębia.

– Nie! – zawołała, zbierając w sobie resztki sił, a jej okrzyk zabrzmiał skrzekliwie, bo miała gardło przeżarte słońną wodą. – Nie. Musisz mnie wysłuchać, zanim zrobisz kolejny krok, bo inaczej rzucę się do wody. Popłynę na dno i opiję się tyle wody, że umrę, zanim mnie wydobawiesz.

Mężczyzna zatrzymał się, a wyraz wściekłości na jego zwykle kamiennej twarzy przeszedł w coś innego i zastygł w maskę zimnej kalkulacji.

– Wiem, że nie ucieknę przed tobą – powiedziała. – Puść chłopca, a ja zrobię wszystko, co zechcesz. Będziesz go dalej ciągnął z nami, to się zabiję i możesz zawieźć moje ciało autarsze.

– Nie przystaję na żadne układy – odparł mężczyzna.

– Gołębiu, biegnij! – zawołała Qinnitan. – No, biegnij. On nie będzie cię gonił. Uciekaj i ukryj się gdzieś.

Chłopiec stał jak posąg, wpatrzony w nią, wciąż sparaliżowany szokiem po otrzymanych ranach, a mężczyzna zaciskał dłoń na jego nadgarstku. Gołąb pokręcił głową.

– Biegnij! – nakazała Qinnitan. – Bo inaczej wciąż będzie cię ranił, zmuszając mnie do posłuszeństwa. Uciekaj!

Mężczyzna popatrzył na nią, a potem na chłopca. Schylił się i podniósł kawałek szorstkiej liny, która leżała zwinięta niedbale na pomoście, niczym na wpół zdechła żmija.

– Przewiąż ją sobie wokół pasa, a puszczę chłopaka. – Rzucił jej linę.

– Gołębiu, cofnij się – powiedziała Qinnitan, podnosząc linę, lecz chłopak wciąż tylko patrzył na nią z wyrazem udręki na twarzy. – Cofnij się! – powtórzyła i spojrzała na mężczyznę. – Gdy znajdzie się na końcu pomostu, tam przy schodach, obwiążę się liną. Przysięgam na honor nowicjuszeki Ula Nushasha.

Mężczyzna wybuchnął ochryplym śmiechem. Qinnitan zauważyła, że nastąpiła w nim jakaś zmiana, jakby utracił trochę swojej kamiennej maski. Mimo wszystko wciąż napawał ją przerażeniem.

Skinął głową.

– Dobrze, idź – rzucił przez ramię do Gołębia. – Biegnij, dzieciaku. Jak będziesz na pomoście, gdy ona obwiąże się liną, obetnę ci resztę palców.

Gołąb potrząsnął gwałtownie głową, lecz Qinnitan wydało się, że ten gest bardziej wyraża desperację niż sprzeciw.

– Biegnij! – zawołała. Teraz kilka osób z przeciwległego końca pomostu oderwało wreszcie spojrzenia od pożaru i zwróciło się w ich stronę. – Nie mogę dłużej patrzeć, jak cierpisz, Gołębiu. Proszę, to najlepsze, co możesz dla mnie zrobić. Odejdź!

Upłynęło jeszcze kilka uderzeń serca, zanim chłopak wybuchnął płaczem, ale też odwrócił się i pobiegł przez szeroki pomost, dudniąc bosymi stopami po deskach. Qinnitan znowu przez chwilę rozważała skok do zimnej zielonej wody, lecz czy to straszne wspomnienie poprzedniego doświadczenia, które ledwo przeżyła, czy też uczucie, że w jakiś sposób zmieniała to, co ją czeka w przyszłości, choćby tylko odrobinę, sprawiło, że obwiązała się liną i pozwoliła bezimiennemu mężczyźnie przyciągnąć do siebie. Odetchnęła z ulgą, gdy upewniła się, że Gołąb zniknął z pola

widzenia.

Odeszła jedyna osoba na tym świecie, która mnie kochała, pomyślała.

Pozwoliła, by mężczyzna poprowadził ją jak zwierzę przeznaczone na ofiarę w świątyni. Zostawili za sobą wypełniony chaosem pożaru port i zanurzyli się w cieniu uliczek pełnych przytulonych do siebie wąskich domów.

Sny o błyskawicy i czarnej ziemi

Pewien głębiowy ettin, zabity rozgrzanym olejem i wyciągnięty z tunelu w Marchii Północnej, był dwukrotnie większy niż człowiek. Król Lander przywiózł później jego kości do Syanu jako trofeum. Ręka potwora miała dorównywać wielkością ogromnej tarczy Landera.

– z *Traktatu o czarodziejskich narodach obojga kontynentów Eionu i Xandu*

Z desperacją kopała w czarnej ziemi, lecz za każdym razem, gdy udało jej się dojrzeć blade uśpione oblicze brata, on zapadał się głębiej.

Raz czy dwa udało jej się nawet dotknąć jego ubrania, zanim osunął się w głąb ziemi, lecz bez względu na to, jak mocno pracowała i jak szybko odgarniała ziemię, nie mogła się do niego dostać. Barrick, pozornie żywy, lecz nieświadomy jej obecności, wił się, jakby uwięziony w koszmarze. Wciąż wołała do niego, lecz on nie chciał czy nie mógł odpowiedzieć.

Wreszcie dosięgła czegoś i palce jej dłoni zacisnęły się na wilgotnej koszuli brata, lecz gdy już zdobyła się na odwagę i mocno pociągnęła, zobaczyła, że z czarnego piachu nie wynurzyła się blada twarz Barricka, ale twarz Ferrasa Vansena. Zszokowana i zaskoczona cofnęła rękę, wtedy żołnierz znowu osunął się w głąb, a ziemia pod nią zapadła się niespodziewanie. Poczuli, że opada w przytłaczającą ziarnistą ciemność.

Znalazła się w tunelu, z którego sklepienia sterczały końce białych korzeni. Gdzieś przed nią coś błysnęło – na krótką chwilę, lecz wystarczyło, by rozpoznać to coś, za czym wcześniej podążała... tylko w innej...

Kiedy? Nie pamiętała. Ale wiedziała, że to prawda, jak i to, że owo srebrzyste coś znowu jej umknęło. Postanowiła, że już więcej na to nie pozwoli. Jednak mimo że poruszała się najszybciej, jak potrafiła, wiedziała, że nie potrafi sprawnie chodzić na czworakach, w przeciwieństwie do tego, za czym podążała: zawsze wyprzedzało ją o jeden zakręt, pozwalając dostrzec tylko blade, puszysty kołyszący się ogon.

W pewnej chwili potknęła się i wpadła na ścianę, wtedy tunel zawalił się na nią i Briony Eddon się obudziła.

Potrząsnęła głową, poirytowana tym, że ma na niej jakieś ciężkie nakrycie – po co jej coś takiego w łóżku? Briony otworzyła oczy i zobaczyła, że siedzi w swoim salonie. Damy dworu rozmawiały cicho zajęte szyciem. Zasnęła na siedząco, w środku dnia, i pewnie się zaśliniła jak stara baba.

Ivgenia przyglądała się jej z uśmiechem na ustach. Briony wytarła podbródek szybkim ruchem.

– Straszne, ależ ze mnie prostaczka! – powiedziała, prostując się. – Musiałam się zdrzemnąć. Czemu mi się tak przyglądasz, Ivvie? Czy powiedziałam coś strasznego przez sen?

– Och nie, Wasza Wysokość. – Dziewczyna uśmiechnęła się jeszcze szerzej. – Biedactwo.

Zbyt dużo nieprzespanych nocy.

– Droczyś się ze mną. Tylko jedna noc, wczorajsza. Ostatnia noc Wielkiego Zosimia. Sama mi powtarzałaś, że powinnam częściej pokazywać się na dworze.

– No i się pokazałaś. Nawet tańczyłaś! Już nikt ci nie zarzuci, że się wywyższasz, moja droga.

– Tańczyłam? – Briony zamrugała. Nie było to jej zamiarem, lecz biesiada stanowiła zakończenie bardzo długiego i ciężkiego dnia, a ona najwyraźniej wypila o jeden puchar wina za dużo. – Nie brzmi to najlepiej. Zrobiłam z siebie idiotkę?

Ivvie znowu się uśmiechnęła.

– Skupiłaś na sobie uwagę wielu osób, wywołując zazdrość dziewcząt.

– Przestań. Jesteś okrutna.

– Zobaczymy. Twój sekretarz ma dla ciebie kilka rzeczy do obejrzenia.

– Jakich rzeczy? – Briony wciąż czuła się lekko zamroczone. Te noce zmacone dziwnymi snami – lasy, kopanie, ciemne tunele z korzeniami – wyraźnie ją zmęczyły, ale to jeszcze nie znaczyło, że może narażać się na kpiny.

Feival stał w drzwiach z rękoma skrzyżowanymi na piersiach. Bardzo szybko zadomowił się na dworze: żaden inny sekretarz ani urzędnik w całym pałacu nie ubierał się tak szykownie i barwnie.

– Skończyliśmy drzemkę dla urody? – zapytał. – Kilka listów czeka na twoją odpowiedź, a także parę innych spraw. – Przewrócił oczami. – Jedna z przesyłek jest zaadresowana do „Cudownie tańczącej księżniczki”. Chyba chodzi o ciebie.

– A to dopiero. Pokaż mi to. – Księżniczka wyjęła z rąk Feivala owinięte w tkaninę pudełko. – Co to jest?

Ivgenia zachichotała.

– Ty gąsko! Otwórz i sama zobacz.

– Czy to prezent? Podpisał się lord Nikomakos. – Otworzyła pudełko i wyjęła niedużą aksamitną torebkę.

– To syn hrabiego, ten z złotymi włosami, z którym tyle tańczyłaś wczorajszego wieczoru. – Ivgenia się roześmiała. – Chyba nie wypilaś aż tyle wina, żeby go w ogóle nie pamiętać?

– Pamiętam. Przypominał mi Kendricka, mojego... brata. Tylko wciąż mówił o jastrzębiach. Jastrzębie, jastrzębie, jastrzębie... Dlaczego miałby mi przysyłać... – Wyjęła przedmiot z torebki. – Zorzo, miej mnie w opiece, dlaczego miałby mi przysyłać złotą bransoletę? – Była śliczna, choć trochę krzykliwa, rodzaj ozdoby, jakiej sama Briony by nie wybrała – wijąca się biała róża, której kwiaty ozdobiono bladymi klejnotami. – Och, litościwa bogini, czy to diamenty? Czego on chce ode mnie? – Przerażona Briony obiecała sobie w duchu, że już więcej nie napije się wina w miejscu publicznym. Zamiast wybadać możnowładców, którzy mogliby z nią sympatyzować i pomogliby jej wywrzeć nacisk na króla Enandera, zdaje się, że dała, niezły popis jak ostatnia prowincjuszka.

– Briony Eddon, naprawdę jesteś aż tak głupiutka? – zapytała Ivvie.

– To znaczy, rozumiem jego intencje i bardzo mi to pochlebia, ale... – Wpatrywała się poirytowana w bransoletkę. – Muszę ją odesłać. – Wydało jej się, że wręcz usłyszała, jak Feival zde gustowany wydyma usta. – Czy wszystkie prezenty pochodzą od niego?

– Są też od innych – odpowiedziała jej przyjaciółka.

– W takim razie muszę odesłać wszystkie.

– Naprawdę? Wszystkie? – Ivgenia podsunęła jej duży pakunek zawinięty w materiał. – Prezent od samego księcia Eneasza też?

Briony wzięła od niej prezent i rozwinęła.

– Książka. *Kronika życia Ioli, królowej Syanu, Tolosu i Perikalu*. Jasne, przecież rozmawialiśmy o niej któregoś dnia.

– Jakie to romantyczne – rzekł Feival nieco oschłym tonem.

– Zatrzymasz ją?

– To bardzo przemyślny prezent, Ivvie. Książkę wie, że takie rzeczy mnie interesują. Iola mieszkała w odosobnieniu przez kilka lat, gdyż jej rodzina została wywłaszczona podczas Wojny Trzech Przysług.

– Co oznacza, że zatrzymasz książkę. A bransoletka? Zamierzasz ją odesłać, tak jak mówiłaś?

– Oczywiście. Prawie nie znam tego człowieka.

– A zatem zatrzymasz książkę, a oddasz wysadzaną klejnotami bransoletę? A czy wiesz, że połowa dworu uważa, że zagięłaś parol na Eneasza, a druga uważa cię za szaloną kobietę?

Teraz Briony poczuła się dotknięta. Oczywiście w słowach Ivvie było ziarno prawdy, bo przecież Briony darzyła księcia pewnym uczuciem, on zaś okazał duże wyczucie, darując jej taki prezent, a nie po prostu coś ładnego. Rozumiał, że nie jest taka jak inne dziewczęta.

Co sprawiało, że czuła się jeszcze gorzej, myśląc o tym, co zamierza mu zrobić.

– A inne podarunki? Mamy tu jeszcze kilka listów i paczuszek. – Ivgenia podsunęła jej rzeźbioną drewnianą szkatułkę. – Ta jest bardzo ładna.

– Nie chcę ich. – Briony pokręciła głową. – Sama otwórz.

– Naprawdę. I będę mogła zatrzymać to, co jest...?

– Ivvie? Jesteś okropna! No dobrze, niech zobaczą, co tam mamy.

– Jest... puste – odpowiedziała jej przyjaciółka trochę zmienionym głosem. – Ach, skaleczyłam się. Tym zatrzaskiem. – Ivgenia wyprostowała palec i pokazała Briony pojedynczą kroplę krwi podobną do kwiatu krwawnika. W następnej chwili zachwiała się i osunęła na podłogę.

Wielki Ogród Latarnianego Pałacu nie podobał się Briony, nawet gdy była w dobrym nastroju, lecz tego dnia wydawał jej się szczególnie posepny i przytłaczający.

Nie chodziło o rozmiar, choć rozciągał się na wiele akrów, lecz o jego niezwykle uporządkowany charakter. Żaden z żywopłotów i drzew ozdobnych nie przewyższały człowieka, a przeważnie były niższe; między nimi wily się niziutkie żywopłoty z bukszpanu, tworząc geometryczne kształty, a także idealnie zadbane koncentryczne klomby. W ten sposób, stojąc w jakimś punkcie ogrodu, widziało się cały jego obszar, a także tych, którzy w tym czasie w nim przebywali. Może tutejszym mieszkańcom to się podobało, lecz ona wolała trochę prywatności, szczególnie teraz, gdy nieustannie czuła na sobie podstępne spojrzenie czyichś oczu. W pałacowym ogrodzie Eddonów było kilka wzniesień i kęp wysokich drzew, które dzieliły całość na części – odrębne miniaturowe światy, jak mawiał ojciec. Narzekał też, że ogród jest trochę zaniedbany, mimo wszystko trafnie go opisał.

– Wybacz, że kazałem ci czekać, księżniczko. – Gdy Eneasza wynurzył się z tylnego wyjścia skryptorium, Briony przez chwilę wyobraziła sobie cały legion czarnych jak żuki kapłanów skrybów pogrążonych w pracy przy długich stołach. – A szczególnie w takim momencie. Nie mam słów, by wyrazić smutek i wstyd, że coś takiego wydarzyło się na dworze mego ojca – i to dwukrotnie! Powiedz, proszę, jak się czuje lady e'Doursos?

– Będzie żyła, dzięki bogom, tak powiedział mi medyk... ale nieprędko wróci do zdrowia. – Briony powstrzymała łzy, chyba po raz setny w ciągu ostatnich godzin. Była tak zmęczona, że

wydawało jej się, iż jest zrobiona z kruchego szkła. – Ledwo uszła z życiem. Siedziałam przy niej całą noc, bo wciąż wracała gorączka. Wielokrotnie wydawało mi się, że już ją tracimy, ale chyba draśnięcie było bardzo płytkie albo też trucizna słaba. – Briony wciąż się zastanawiała, kto tym razem próbował ją zamordować. Uznała, że Jenkin Crowel dostał wystarczającą nauczkę, by nie próbować więcej żadnych sztuczek, lecz jeśli nie poseł Tollych, to kto?

– Trzeba chwalić Trzech Braci za tę odrobinę szczęścia w nieszczęściu. – Eneasza podał Briony ramię. – Przejdziemy się? Wciąż słyszę skrzypienie piór. Musiałem wysłać listy z informacją o ataku autarchy do wszystkich garnizonów rozmieszczonych między pałacem a Hierosolem. Piekielna praca. – Zarumienił się nieco. – Nie żebym sam musiał wszystko pisać, dzięki bogom! – Mówił szybko, jakby nie chciał dopuścić choćby do chwili ciszy. – Muszę zdobyć jedną z tych maszyn, którymi posługują się autorzy pamfletów i poeci – stemplownicę, tak to się chyba nazywa, bo stempluje litery i słowa, tak samo jak się odciska królewską pieczęć w wosku. Z pewnością przyspieszyłoby to wydawanie rozkazów dowódcom polowym... – Pokręcił głową. – Ależ ja trąkoczę, podczas gdy ty właśnie przeżyłaś zamach na swoje życie!

– Nieudany.

Książę zmarszczył czoło.

– Zabrzmiało to tak, jakbyś była niezadowolona z takiego obrotu sprawy.

Briony pokręciła głową i poczuła, że nawet ten nieznaczny ruch przychodzi jej z trudem.

– Nie, książę Eneasza, wcale tak nie myślę. Tylko strasznie się czuję, wiedząc, że ktoś cierpi z mojego powodu.

– Jesteś godną podziwu kobietą, księżniczko Briony. Obiecuję, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, by zapewnić ci bezpieczeństwo. Prześle więcej straży. Nie ma już w Syanie lojalnych ludzi.

– Wierzę w twoje zapewnienia, Wasza Wysokość – odparła – ale nawet najlepsi żołnierze stanowią marną ochronę przed trucizną.

Książę wydawał się bardziej strapiiony niż sama Briony.

– Mimo wszystko coś musimy zrobić. To oburzające, księżniczko, śmiertelna zniewaga dla mego ojca i jego tronu. Że też coś takiego stało się na naszym dworze! – Zatrzymał się i odwrócił twarzą do Briony, ujmując jej prawą dłoń. – Dla mnie jest to szczególnie bolesne, księżniczko, ponieważ mam o tobie bardzo wysokie mniemanie. Nie ma rzeczy, której bym dla ciebie nie zrobił.

Zamrugła. Wcześniej zdjął rękawice i teraz czuła ciepło jego dłoni.

– Chyba nie zaskoczyły cię aż tak bardzo moje słowa. – Książę trochę się zmieszał. – Czyżbym był kompletnym głupcem, sądząc, że i ja nie jestem ci zupełnie obojętny?

Briony na chwilę wstrzymała oddech. Od tygodni torowała sobie drogę do tej chwili i oto teraz poczuła się zagubiona. Bez wątplenia Eneasza jest godnym podziwu mężczyzną, miłym i mądrym. Wszyscy wiedzieli też, że jest odważny. A gdy tak patrzyła na niego z bliska, dostrzegła jego regularne rysy i domyślała się, że choć nie jest piękny jak bóg, to każda kobieta chciałaby go mieć przy sobie, nawet gdyby nie był księciem i następcą potężnego syańskiego tronu. Ale był. Ona zaś potrzebowała jego pozycji i władzy, bardzo ich potrzebowała, by ratować swój naród i rodzinny tron. Dlaczego więc nagle zawahała się i zamilkła zmieszana?

– Nic nie mówisz, pani, a nie należysz do tego typu kobiet, które milczą w obecności mężczyzny. Obawiam się, że cię uraziłem.

– Nie. Nie, Wasza Książęca Mość, książę Eneasza, uczyniłeś mi wielki zaszczyt. – Przez chwilę jej udawana poza i prawda serca tak się do siebie zbliżyły, że nie potrafiła ich odróżnić. – Ja także mam o tobie wysokie mniemanie. Uważam, że w całym tym wielkim królestwie nie ma drugiego mężczyzny, który by zasługiwał na większe uznanie...

Eneasza cofnął łagodnie jedną ręką i odgarnął ciemne włosy z czoła, by ukryć rozczarowanie.

– Ale... bo to zamierzasz powiedzieć. Ale jest ktoś inny, komu już oddałaś serce, a może nawet ślubowałaś w świątyni.

– Nie! – Briony, zaprzeczając, nie mówiła całej prawdy, bo przecież żywiła pewne uczucie do kogoś, jakkolwiek pogmatwane, wręcz niestosowne i śmieszne się ono wydawało. Tylko że tamten mężczyzna nie mógł uratować jej królestwa. W przeciwieństwie do Eneasza – jeśli w ogóle ludzka pomoc była w stanie uratować. – Nie, nie w tym rzecz. Chodzi o to, że... nie mogę pozwolić sobie na to, by darzyć uczuciem kogokolwiek, nawet kogoś takiego jak ty, który jesteś marzeniem każdej kobiety. Nie mogę. – Spróbowała cofnąć dłoń pochwyconą niczym liść niesiony wiatrem.

– Dlaczego? – Eneasza przytrzymał jej rękę. Był silny. Wyczuła, że byłby władczy wobec każdego – zwłaszcza kobiety – kto chciałby czuć nad sobą jego moc. – Dlaczego nie możesz pozwolić poprowadzić się sercu?

Tak długo to planowała – wyobrażała to sobie, pełna niemal radosnego podniecenia, jak myśliwy, który oczekuje chwili, gdy ścigany jeleni stanie na zboczu, niczego nieświadomy, i wystawi pierś na śmiertelny strzał. I gdy wreszcie nadszedł ten długo oczekiwany moment, ona poczuła się nieswojo. Bo jakże mogłaby wykorzystać w taki sposób dobrego człowieka, nawet chcąc ratować rodzinny tron? Czy mogłaby udawać miłość, by zyskać pomoc księcia?

Co gorsza, nie miała nawet pewności, czy udaje.

– Ja... muszę pomyśleć – powiedziała. – Jestem zaskoczona. Spodziewałam się znaleźć na dworze twego ojca sprzymierzeńców, którzy wesprą moją rodzinę w walce z naszym wrogiem, uzurpatorem Tollym. Nie myślałam, że mogę tu spotkać... kogoś, kto stanie mi się bliski. Muszę pomyśleć. – Spojrzała w bok nad regularnymi żywopłotami. Widoczne w oddali postacie, zbyt odległe, by je rozpoznać, odgrywały własne role w swoich przedstawieniach, a każda z nich wydawała się – podobnie jak Briony – równie bezradna w swoich działaniach jak bohaterowie stworzeni z powietrza i dymu przez Nevina Hewneya czy Finna Teodorosa, zaledwie idee przelane na papier i odegrane za cenę kolacji i noclegu. Jak to się stało, że znalazła się w tak dziwnej opowieści? Czy była aktorką, czy też postacią odgrywaną na scenie?

– Oczywiście – odezwał się wreszcie Eneasza. Książę nie potrafił ukryć, że nie jest mu łatwo. – Oczywiście, dam ci czas, pani. Musisz żyć w prawdzie wobec samej siebie.

Tamtej nocy powinna zasnąć jak kamień, tymczasem przewracała się w łóżku z boku na bok i rzucała nękana kolejnymi koszmarami pełnymi zapadających się tuneli i rozgrzebywanej rękoma ziemi. Tym razem nie prowadził jej srebrzysty przewodnik, a w miarę trwania snu zanurzała się coraz głębiej w duszną ciemność.

Wreszcie znalazła się w miejscu tak głębokim, że domyśliła się, iż musiała się przekopać na drugą stronę świata i że za tym małym splachetkiem ziemi, na którym stoi, jest już tylko pusta ciemność nieba pozbawionego gwiazd i wystarczy jeden fałszywy krok, by spadła w wieczną otchłań. I oto tam, w środku mrocznej inności, znalazła brata.

Był blady, nieprzytomny, tak jak przedtem. Leżał przed nią, tak samo jak kiedyś Kendrick, gdy służba przygotowywała go do pogrzebu, lecz Barrick nie umarł. Nie potrafiła powiedzieć, skąd to wie, ale była tego pewna.

Pochylały się nad nim trzy postacie, ani służący, ani kapłani, lecz ktoś zupełnie inny – ciemne, pozbawione oczu cienie nucące piosenki bez słów i poruszające dłońmi nad leżącym. W

pewnym momencie jedna z postaci uniosła niesprawne ramię Barricka do pustki swej twarzy i wtedy brat Briony zaczął znikać.

– *Łzy* – wyszeptał jeden z cieni, a echo od razu zostało połknięte przez otaczającą ich wilgotną, ciemną ziemię.

– *Ślina* – powiedział drugi.

– *Krew* – dodał trzeci.

Chciała zawołać do brata, obudzić go i ostrzec przed strasznymi upiorami, lecz nie potrafiła. Poczowała zmianę, która rozchodziła się po ciele Barricka niczym płomień, falę wpływającą z ramienia do głowy i serca, która zarazem zadawała straszny ból także jej ciału. Próbowała rzucić się do przodu, lecz czyjaś niewidzialna dłoń ją powstrzymała.

– Barricku! – Zawołała bezgłośnie. – Barricku, wracaj! Nie pozwól, żeby cię zabrali!

I wreszcie, zanim istota z płataniny cieni, która była jej bratem, stała się całkiem niewidoczna, Barrick otworzył oczy i spojrzął na nią. Jego spojrzenie było martwe i puste.

Briony obudziła się cała we łzach, przepelniona uczuciem, jakby wycięto jej serce tępym nożem. Mijały kolejne chwile, a ona leżała, szlochając. Barrick... Czy naprawdę już nigdy go nie zobaczy? Ten sen wydał jej się taki straszny, ostateczny. Czy coś mu się stało – coś złego? Czy on...?

– Och, bogowie, nie...! – jęknęła.

Usiadła z trudem. Nie była w stanie nawet o tym pomyśleć. Te sny – koszmary – skradały się wokół niej, jakby była zwierzyną łowną. Czy już zawsze będzie oglądała we śnie kolejne horrory? Niemal całkowicie wyczerpana podeszła chwiejnym krokiem do skrzyni, którą zabrała ze sobą z wozów trupy aktorskiej, a w której trzymała ubrania z czasu wędrówki i kilka drobiazgów zebranych podczas podróży na południe.

Uniosła wieko i zanurzyła dłonie we wnętrzu, odrzucając na bok chłopiące spodnie i stopy pamfletów; nie wiedziała dokładnie, czego szuka, aż wreszcie jej palce na to trafiły: poczuła kruchą ptasią czaszkę i małe zasuszone kwiatki.

Powlokła się z powrotem do łóżka przez ciemny pokój z talizmanem Lisiyi w dłoni. Przycisnęła go mocno do piersi, starając się nie myśleć o martwym spojrzeniu Barricka. Jedną z pokojówek jęknęła cicho przez sen i to była ostatnia rzecz, jaką Briony zapamiętała, zanim znowu zanurzyła się w ciemność.

Także i tym razem znalazła się w lesie, lecz teraz widziała istotę, za którą podążała od tak dawna. To był lis, czarny na brzuchu, lecz grzbiet, ogon i ostry pysk mieniły się srebrzystą sierścią. Biegając przed siebie, obejrzał się na nią, szczerząc zęby w uśmiechu, który mógł wyrażać zmęczenie, ale chyba bardziej kpinę. Z wyjątkiem cienkich pomarańczowych obwódok oczy zwierzęcia były równie czarne jak jego brzuch.

Lis przeskakiwał lekko nad korzeniami, ale Briony nie potrafiła się poruszać z taką samą zwinnością nawet we śnie. W którymś momencie chyba się potknęła, bo zorientowała się, że leci do przodu, a wokół niej wiruje płatanina ciemnych pni. Początkowo wydało jej się, że znowu jest w strasznej głębi walącej się na nią ziemi, lecz zaraz poczuła, że wynurza się z wirującej ciemności na leśną polanę. Srebrzysty lis zatrzymał się i przycupnął przed starym przekrzywionym ołtarzem, odwrócony do niej tyłem.

Briony zachwiała się i opadła na kolana. Wszystko wydawało jej się zbyt prawdziwe jak na sen: czuła gałązki i kamyki wbijające się jej w kolana.

– Kim... jesteś? – zapytała zdyszana.

Lis odwrócił się do niej. Teraz już nie miała wątpliwości, że jego grymas wyraża kpinę i odrazę. Zwierzę pokręciło głową.

– Mówiłem już to i powtórzę jeszcze raz: boję się o młode.

Lis wskoczył lekko na pokruszony ołtarz i powąchał go. Zagrzmiało gdzieś w oddali.

– Spójrz na to – rzekł. Jego głos zabrzmiał dziwnie znajomo, przebijając się przez gąszcz sennych wspomnień Briony. – Czy tak ludzie myślą o mnie, że zaniedbują moje święte miejsca nawet tutaj, w świecie snów?

– Lisiya? – wyszeptała Briony. – Czy to ty? – dodała, lecz gdy tylko wypowiedziała imię bogini, od razu nabrała przekonania, że się nie myli.

Lis odwrócił się i zaraz zniknął, a na ołtarzu siedziała staruszka, machając sękatymi stopami jak dziecko.

– Masz na myśli Lisię Melanę ze Srebrzystej Polany? – odezwała się kobieta poirytowanym głosem. – Najpierw wzywasz boginię, potem nie potrafisz się z nią spotkać, a do tego jeszcze zapominasz jej imienia...!

– Ale ja... wcale cię nie wzywałam.

– Ależ wzywałam, dziecko, wzywałam. Przez ostatnie trzy noce, choć początkowo ledwo cię słyszałam. Kwiliłaś jak niemowlę, ale wreszcie dzisiejszej nocy usłyszałam cię na tyle wyraźnie, że mogłam cię odnaleźć. – Znowu zagrzmiało nad lasem, jakby niebo odzwierciedlało irytację Lisiyi.

Briony nie mogła się wyzbyć uczucia, że czegoś nie rozumie.

– Ja... śniłam o tobie, a przynajmniej o tym, że podążam za tobą. Przez las. I tunelami pod ziemią. Ale nie widziałam cię, jedynie twój... ogon.

Lisiya zsunęła się z ołtarza na ziemię, a Briony aż się skuliła przerażona, że chude nogi półbogini mogą trzasnąć jak gałązki. Dziwne było to, że będąc rozbudzona, księżniczka zarazem wiedziała, że śni! Czuła się zupełnie zwyczajnie poza lekkim zawrotem głowy, jakiego doświadczała też wtedy, gdy wypila za dużo wina.

– Chodź, dziecko. Chyba nie ma większego znaczenia, dlaczego mnie wezwałaś. Potrzebowałaś mojej pomocy w głębi serca. – Briony ruszyła za półboginią i obie wyszły z polanki między drzewa. Ponownie zagrzmiało i słaby błysk rozjaśnił na chwilę niebo. – Niespokojni – mruknęła Lisiya, lecz nie wyjaśniła, kogo ma na myśli.

Pod wieloma względami podróż przez las przypominała Briony pogoń we śnie za Barrickiem w głębi zapadającej się ziemi, lecz zarazem była okrutnie realna. Księżniczka czuła każdy krok, każdy oddech, a nawet chwilowy dyskomfort, gdy otarła ramię o pień dębu.

– Gdzie jesteśmy? – zapytała, gdy już nie mogła dłużej wytrzymać.

– W tej chwili czy też w bardziej ogólnym sensie? – Lisiya szła żwawym krokiem i Briony musiała przyspieszyć, by ją dogonić. – Jesteśmy bardzo blisko krainy śpiących bogów, wszystkich dawnych bogów, których Szachraj skazał na sen. Twoi nazywają go Kupilasem. Nawet my nie zawsze używaliśmy tego imienia, zaczęliśmy go tak nazywać po tym, jak Trzej Bracia i ich klan poddali go torturom. Zaraz po urodzeniu Szachraj otrzymał imię Jasny Blask – syn świtu i blasku księżyca. Domyślasz się więc, dlaczego uważano go za piękne dziecko. Nic dziwnego, że nienawidził swoich wujów za to, co mu zrobili, a także za okrucieństwo, podstępne sztuczki, a nawet morderstwa, jakich się dopuścili wobec innych członków jego rodziny.

Nastąpiła chwila ciszy i blask pioruna ponownie rozlał się po niebie, lecz zanim Briony zdążyła zadać kolejne pytanie, Lisiya zaczęła mówić dalej, jakby już na nie odpowiadała:

– Tutaj nie jesteśmy na drogach Szachraja, śmiertelnik nie potrafi chodzić po nich bezpiecznie, ale podróżujemy przez ziemie, które te drogi przecinają, rozumiesz? Drogi należą do jego prababki Pustki, lecz ona pozwoliła mu się po nich poruszać, co on chętnie wykorzystał.

Briony zamierzała właśnie poprosić półboginię, by zaczęła wszystko od początku, ponieważ nic nie rozumiała z jej opowieści, gdy Lisiya zatrzymała się nieoczekiwanie.

– No to jesteśmy – oznajmiła. – Teraz możesz mi powiedzieć, czego ci trzeba.

Znalazły się przed małym domkiem zbudowanym z nieociosanych bali, którego dach ułożono z liściastych gałęzi uszczelnionych błotem. Gdy ziemia zadrżała od grzmotu, dom wydał się przez chwilę blady i płaski niczym ilustracja z tła przedstawień Ludzi Makewella. Spomiędzy suchych liści na ziemi wystawały źdźbła świeżej trawy, lecz sam dom wyglądał na bardzo stary i opuszczony.

– Nie gap się tak, dziecko. Idź za mną. – Lisiya pochyliła się i weszła do środka przez niskie drzwi.

Padła rześysty deszcz, lecz w chacie było sucho i zaskakująco ciepło. Briony umościła się na futrzanym dywaniku, jednym z wielu, które rozłożono na klepisku. Pomimo względnej wygody nie czuła się do końca dobrze, bo za każdym razem, gdy na dłużej zatrzymała na czymś spojrzenie, to coś zaczynało się oddalać, a jej kręciło się w głowie. Niemal podskoczyła, gdy po raz kolejny huknęła grzmot, grzechocąc ścianami chaty.

– Nie tylko niespokojni – powiedziała Lisiya i pokręciła głową z dezaprobatą. – Bardziej jak śpiący niedźwiedź, który wyczuwa nadchodzącą wiosnę. Pospiesz się, dziewczyno, bo nie mamy dużo czasu. Mów, co cię trapi.

Briony opowiedziała półbogini o swoich snach, najpierw o tych, w których pojawiał się Barrick, skupiając się na tym ostatnim, najstraszniejszym. Nawet teraz, gdy przypomniła sobie puste spojrzenie brata, poczuła, jak jej serce truchleje.

– Obawiam się, że niewiele ci tu pomogę – odezwała się Lisiya po długiej chwili zamyślenia. – Twój brat jest dla mnie niedostępny. Może z powodu miejsca, w którym przebywa, albo towarzystwa, tego nie wiem. Ale coś mi mówi, że on żyje.

– Chwalić bogów! Dopóki żyje, jest nadzieja – rzekła Briony. Mówiła szczerze, dlatego od razu zrobiło jej się lżej na sercu. – Dziękuję ci.

– Bogini dziękuje się, składając ofiarę – upomniała ją Lisiya. – Trochę miodu by nie zaszkodziło, bardzo lubię też koniczynę i kwiat jabłoni, a w najgorszym razie wystarczy ładny kamień. Możesz go zostawić na którymś z moich ołtarzy... – Półbogini podniosła wzrok, jakby coś odwróciło jej uwagę.

Briony nie zamierzała powiedzieć Lisiyi, że nigdy nie słyszała o ołtarzu jej poświęconym, przynajmniej nie w prawdziwym świecie.

– Dobrze. A mogę ci zadać jeszcze jedno pytanie?

Półbogini znowu skierowała na nią spojrzenie.

– Chyba tak, tylko się pospiesz, dziecko. Pogoda dziwnie się zmienia.

Briony szybko przedstawiła swój dylemat – o tym, jak życzliwość wobec Eneasza krzyżuje jej plany uzyskania jego pomocy.

– Dobry z niego człowiek! Naprawdę. Jak mogę mu coś takiego zrobić? Nawet działając w dobrej sprawie?

Półbogini uniosła zwichrzoną brew.

– Ale jest mężczyzną, bez względu na wszystko, to dorosły mężczyzna i księżę. Dokona własnych wyborów: zdecyduje, czy chce być z tobą czy nie. Zrobi to, o co go poprosisz, albo nie. Czy złożyłaś mu obietnice typu „Pomóż mi, a wyjdę za ciebie” albo nawet „Pomóż mi, a zabiorę cię do łóżka”?

– Ależ nie!

Lisiya zaśmiała się cierpko.

– Nie oburzaj się tak, dziecko. Widzę, że jesteś już kobietą pełną gębą i gdyby to było coś tak strasznego, to was, śmiertelników, byłoby o wiele mniej na świecie.

– Nie, miałam na myśli... no cóż, chciałam... ale tak czy inaczej jestem dziewczicą!

– To dość powszechna przypadłość, dziecko. Nie ma się czym chwalić.

– Przecież... – Briony wciągnęła gwałtownie powietrze, gdy blask kolejnej błyskawicy wdarł się do wnętrza chaty przez wszystkie szczeliny dachu i ścian. Kilka chwil później zagrzmiało, tym razem bardzo blisko, jakby nad ich głowami. – Nie to miałam na myśli. Chodzi mi o to, że jestem gotowa oddać wszystko, nawet dziewictwo, jeśli to uratuje moją rodzinę. Mogłabym nawet oddać się podstępnie! Ale nie chcę tego robić mężczyźnie, który jest naprawdę miły. Którego w innych okolicznościach mogłabym obdarzyć uczuciem. – Briony pokręciła głową. – Czy to, co mówię, ma jakiś sens?

Oblicze Lisiyi złagodniało.

– Tak, dziecko. Tylko myślę, że nie mówisz mi całej prawdy.

– Ależ...!

– Moim zdaniem ty już obdarzyłaś go uczuciem. Jak ma na imię?

– Eneas, ksiązę Syanu. Tylko że... mnie nie jest obojętny inny mężczyzna. A przynajmniej tak czułam, bo teraz niczego już nie jestem pewna. – Briony zaśmiała się krótko, choć miała ochotę się rozplakać. – On i Eneasz różnią się jak niebo i ziemia, poza tym, że obaj są mili. Tamten nie ma żadnych wpływów, powiązań – jest człowiekiem z ludu! Wątpię, czy jeszcze żyje! Odjechał dawno temu, a prawie wszyscy, którzy się z nim udali, polegli.

– Twój problem przypomina jabłko wiszące na wysokiej cienkiej gałęzi – powiedziała półbogini. – Gałąź jest zbyt wysoko, by dosięgnąć jej z ziemi i zbyt cienka, żeby na niej stanąć i zerwać jabłko. Czasem jednak da się to zrobić, lecz z czyjąś pomocą. Możesz wspiąć się na drzewo do gałęzi i ją przygiąć, wtedy ktoś z ziemi podskoczy i zerwie jabłko...

Briony chciała zapytać Lisię, o czym, na litość Zorii, mówi, wygadując te wszystkie bzdury o jabłkach i gałęziach, lecz znowu przez szczeliny ścian i dachu chatki wdarło się jasne światło błyskawicy, za którym zaraz przetoczyło się po niebie dudnienie grzmotu tak głośne, że obie podskoczyły niczym ziarna grochu w misce.

Tylko że to wcale nie był grzmot pioruna, uzmysłowiła sobie Briony, gdy zerwawszy się na nogi, próbowała utrzymać równowagę: bo oto usłyszała głos, zbyt głośny i niski, by go zrozumieć, jakby nad chatą stał bóg i wrzeszczał rozwścieczony z całych sił.

– Uciekaj stąd, dziecko! – zawołała Lisiya. – Szybko! – Chwyciła Briony za ramię i pociągnęła do drzwi. Teraz sen zamienił się w koszmar: mimo że księżniczka kierowała się chwiejnym krokiem do drzwi, te wciąż pozostawały poza jej zasięgiem, choć powinny być już blisko. Lisiya znikła, a chata zamieniła się w ogromną czarną przestrzeń, popękaną niczym potłuczone naczynie i porysowaną zygzakami światła.

– Lisiyo, gdzie jesteś? – zawołała Briony.

– Tutaj! Tutaj!

Znowu poczuła dłoń staruszki – szorstkie palce zacisnęły się na jej ręce. Została pociągnięta do przodu i poleciała w ciemną przestrzeń przez wiatr, który zerwał się nagle, a potem dalej na zewnątrz, do światła i smaganego deszczem lasu. Niebo jarzyło się błyskawicami, które wybuchały jedna po drugiej, a drzewa przypominały wyginających się gwałtownie tancerzy. Grzmiący głos, wciąż niezrozumiały i przerażająco bliski, napierał na Briony ze wszystkich stron z taką siłą, że wydawało jej się, iż rozsadzi jej czaszkę.

– Co to jest? – zawołała, zakrywając dłońmi uszy, co na nic się nie zdało.

– Budzi się! – Słaby głos Lisiyi prawie całkiem zagłuszał niski niezrozumiały ryk. – Biegnij!

– Kto się budzi? – dopytywała się Briony. Ledwo stała na nogach pchana siłą wiatru i grzmiącego głosu.

– Biegnij! – krzyczała Lisiya. – To się stało później, niż się spodziewałam! Powinnam była ci powiedzieć...

– Co?

– Za późno. Udaj się do Kamiennych Ludzi... oni muszą cię zaprowadzić do prastarego bębna... do ich kamiennego bębna...!

Półbogini znikła. Wokół Briony wirowały liście i gałęzie, chłoszcząc ją i drapiąc, a ona prawie nic poza nimi nie widziała. I tylko w chwilach rozjaśnionych błyskawicami pojawiała się ogromna ciemna postać, która wznosiła się wysoko ponad nią, ponad drzewami, zasłaniając niebo.

Briony zakryła głowę dłońmi i zaczęła biec. Biegła między walącymi się drzewami i spadającymi gałęziami, ścigana dudniącym śmiechem.

Tym razem nie obudziła się z krzykiem, za to cała złana potem, a serce tłukło się jej boleśnie w piersi. Leżała z dłonią zaciśniętą na talizmanie Lisiyi, modląc się za brata, za siebie i za wszystko, co kocha. Potwornie zmęczona, poczuła się starsza i bardziej krucha niż prastara półbogini, dlatego nawet gdy jej serce już się uspokoiło, wciąż nie mogła zasnąć i leżała rozbudzona prawie do świtu.

Ciernisty most

Ponoć większość ettinów zamieszkuje obecnie podziemne miasto Pierwszej Głębi daleko poza Granicą Cienia, na ziemi zwanej niegdyś Vutlandią Zachodnią, lecz kroniki podają, że przed Wielkim Pomorem istoty te występowały też na południu, w górach Eliuin w Syanie, a takie w górach Setlandii i Perikalu.

– z Traktatu o czarodziejskich narodach obojga kontynentów Eionu i Xandu

Jestem najgorszym szpiegiem, jakiego kiedykolwiek stworzyli bogowie, pomyślał Matt Tinwright. Jak mnie ktoś zapyta, co tu robię, zacznę wrzeszczeć i zemdleję jak dziewczucha.

O ile pamiętał, nigdy wcześniej nie zachodził do tej części królewskiej rezydencji; pełna nieznanym mu korytarzy rozbrzmiewających echem i ogromnych sięgających od podłogi po sufit tapiserii z groźnie łypiącymi bestiami, równie dobrze mogła być jaskinią ogra w leśnych ostępach, usłaną kośćmi nieostrożnych podróżnych. Wydawało się, że za każdym rogiem czyha przeznaczenie.

A niech cię przeklną bogowie, Avinie Brone, pomyślał po raz setny. Jesteś potworem, a nie człowiekiem.

Tinwright zaryzykował wyprawę na to straszne terytorium tylko dlatego, że większość mieszkańców i służby wyległa na zamkowe mury, by obserwować diabelskie poczynania czarodziejskiego ludu, który wreszcie zaczął działać. Oczywiście Matt też chciał pójść popatrzeć, lecz wiedział, że nie może przepuścić takiej okazji. Wcześniej Brone wyśmiał wszystkie informacje, jakie mu przyniósł, a listę luster, które trzeba by znaleźć na terenie rezydencji, uznał za „nonsens” i zagroził poecie, że obedrze go ze skóry i zrobi sobie z niej kapelusz. Tinwright nie wierzył, że skończy w pracowni kapelusznika, ale nie miał wątpliwości, że hrabia Landsend traci cierpliwość: gdy wychodził, poczuł w samych kościach każde słowo gromkiej odprawy lorda.

Teraz od ponad godziny wędrował po korytarzach królewskiej rezydencji. Kilku napotkanym służącym musiał skłamać, że się zgubił, i podać fałszywy powód wyjaśniający jego obecność w tej części zamku, a po każdym takim kłamstwie Matta ogarniało coraz większe przerażenie. A jeśli go złapią? I zaprowadzą do Hendona Tolly’ego, człowieka o strasznym, przenikliwym spojrzeniu, czy i wtedy odważy się skłamać? W życiu. Matthias Tinwright już dawno odkrył, że choć potrafi tworzyć poematy o bohaterach, takich jak Caylor, i w porywających słowach opisywać, jak dzielnie stawiają czoło najstraszniejszym wrogom z wiarą w sercu i uśmiechem na ustach, to on sam do herosów nie należy.

Nie, wyjawię wszystko, obiecał sobie, zanim pierwsze rozgrzane żelazo dotknie mojej skóry. Powiem im, że Brone mnie zmusił. Będę błagał o życie.

Bogowie, miejcie mnie w opiece. Jak to się stało, że znalazłem się w tej strasznej pułapce?

Tinwright przeszedł pod łukiem i zatrzymał się, spoglądając na szereg twarzy na ścianie. Zorientował się, że jest w Sali Portretowej, i przez chwilę się zastanawiał, jak to się stało, że zapuścił się tak daleko. Królowie i królowe spoglądali na niego z góry, niektórzy uśmiechnięci, inni z minami ponurymi czy wręcz wrogimi, jakby niezadowoleni, że znalazł się wśród nich jakiś marny intruz. Na portretach z najwcześniejszych czasów, przywiezionych z Connord przez

Anglina i namalowanych w surowym stylu wczesnej ery trygonackiej, widniały postacie tylko trochę bardziej ludzkie niż bestie z tapiserii, wpatrzone przed siebie twarze o rysach upodabniających je do masek...

Nagle z korytarza prowadzącego do sali popłynęły jakieś głosy. Tinwright rozejrzał się ogarnięty paniką. Stał na środku ogromnego pomieszczenia, przekonany, że zanim dotrze do wyjścia w przeciwnym końcu, rozmówcy go zauważą. Czy mógł liczyć na to, że to tylko kolejni służący, którym da się wcisnąć następne bezczelne kłamstwo? Głosy, które zbliżały się nieubłaganie, brzmiały dość władczo. Serce Matta przyspieszyło.

Tam. Dostrzegłszy wyjście na schody, popędził po kamiennej podłodze i zdążył wejść na pierwszy stopień, gdy rozmawiający weszli do sali, gdzie ich głosy zabrzmiały głośniejsz i wielokrotnione echem płynącym pod wysokim sufitem. Tinwright przycupnął przyklejony do schodów, dzięki czemu pozostawał niewidoczny, ale też nie mógł zobaczyć, kto wszedł do sali.

– ...Znalazłem coś w jednym ze starych dzieł – Phayallosa, o ile dobrze pamiętam – co nawiązuje do tych rzeczy. Nazwał je Większymi Płytkami, z powodu ich rozmiarów, i wierzył, że są – jak on to ujął? – ”Oknami i Drzwiami, których próg mogą przekroczyć tylko nieliczni”. – Głos wydał się Tinwrightowi znajomy. Poeta był pewny, że już go gdzieś słyszał, ochrypli ze starości, nieco zdyszany, lecz zdecydowany.

– Co w niewielkim tylko stopniu wzbogaca wiedzę, którą już posiadamy – odparł drugi mężczyzna. Prerażony Tinwright przytulił się jeszcze mocniej do schodów i wstrzymał oddech. Drugim rozmówcą bowiem był Hendon Tolly. – Spójrz na tych wszystkich głupców o krowich oczach! – Tolly najwyraźniej miał na myśli postacie Eddonów z portretów. – Kolejne pokolenia królów podobnych do pastuszków, zadowolonych z tego, że mogą wypasać swoje stadko.

– To także twoi przodkowie, lordzie Tolly – zauważył jego towarzysz.

Ku rosnącemu przerażeniu Tinwrighta obaj mężczyźni zatrzymali się na środku ogromnej komnaty, nieopodal wyjścia na schody, gdzie poeta się ukrył. I po co się chowałem? Idiota! Teraz już nie mam co udawać niewiniątka, jeśli mnie znajdą!

– Owszem, ale to nie jest mój ideał – odparł Tolly. – Wielki Syan na południu jest słaby od wieku, piękny na pierwszy rzut oka, lecz zepsuty od środka. Brenlandia i pozostałe państwa to prawie wioski otoczone murami. Wykazując trochę więcej determinacji, mogliśmy objąć władzę na całym Eionie. – Tinwright usłyszał, jak Tolly splota. – Ale to się zmieni. – W jego głosie zabrzmiała zimna nuta. – Nie zawiedziesz mnie, Okrosie, prawda?

– Nie, lordzie Tolly, nie obawiaj się! Rozwiązaliśmy już większość zagadek poza tym przeklętym Bożym Kamieniem. Zaczynam już wierzyć, że on nie istnieje.

– A czy nie mówiłeś, że nie jest absolutnie niezbędny?

– Tak, panie. O ile się orientuję, tak jest, mimo wszystko chciałbym go mieć, zanim spróbujemy... – Medyk chrząknął. – Pamiętaj, proszę, że to bardzo złożone sprawy, coś o wiele bardziej skomplikowanego niż złożenie maszyny obłączniczej. Tu chodzi o coś więcej niż prostą inżynierię.

– Wiem. Nie traktuj mnie jak głupca. – Głos Hendona Tolly’ego zabrzmiał jeszcze zimniej.

– Gdzieżbym śmiał, panie! – Wcześniej Tinwright widywał na dworze Okrosa Dioketiana. Był to żwawy mężczyzna, zawsze poważny i jakby trochę pogardliwie spoglądający na wszystkich dokoła, choć zawsze stosował się do wymagań etykiety. Teraz jednak w jego głosie nie było słyhać ani cienia pogardy, wydawało się raczej, że Okros strasznie się boi swojego pana. Tinwright doskonale go rozumiał. – Nie, panie, powiedziałem to tylko po to, żeby ci przypomnieć, iż wciąż jest dużo do zrobienia. Pracuję dniem i nocą, żeby...

– Mówiłeś, że musimy rzucić zaklęcie podczas przesilenia letniego, bo inaczej stracimy szansę. Zgadza się?

– Tak... tak powiedziałem...

– W takim razie nie ma na co czekać. Musisz mi pokazać, jak to zrobić, jak najszybciej. Jeśli nie wiesz, to... znajdę innego uczonego.

Okros nie od razu odpowiedział, bo bardzo się starał zapanować nad drżącym głosem. Skłamałby, gdyby powiedział, że już wie wszystko.

– Oczywiście, lordzie Tolly. Ja... myślę, że odtworzyłem prawie cały rytuał, tak, prawie cały! Muszę jeszcze tylko odkryć znaczenie niektórych słów, jako że Phayallos i inni starożytni uczeni różnią się w swoich wyjaśnieniach. Jeden z nich na przykład podkreśla, że by zaklęcie zadziało, „płytką musi być przesłonięta krwią”.

Hendon Tolly się roześmiał.

– Z tym chyba nie będziemy mieli problemu. Chętnie pozbędę się kilku gąb do wyżywienia z tego przeklętego przez bogów mrowiska. – Jego głos przycichł, co oznaczało, że Tolly poszedł dalej. – Tinwright podziękował w duchu Zosimowi, że nie będzie musiał już długo się ukrywać, jako że odczuwał coraz dotkliwszy ból w krzyżu i pośladkach.

– Tylko zastanawiam się, co znaczy „przesłonięta”? – Wydawało się, że Okros podąża za Tollym. – Sprawdziłem trzy tłumaczenia i wszystkie podają mniej więcej to samo: zakryty chmurą, zamglony, nigdy ubrudzony czy namaszczoney. Przecież to lustro, panie. Jak można przesłonić lustro krwią?

– Och, bogowie – jęknął Tolly, dając wyraz frustracji – pewnie trzeba poderznąć gardła kilku dziewicom. Czy nie tego żądają starożytni? Czy nie chcą ofiar? Nawet w takim przeklętym mieście znajdzie się kilka dziewczyn, a jeśli nie, to są jeszcze dzieci.

Tinwright, przerażony tym, co usłyszał, zorientował się także, że głosy znowu przybliżają się do niego, a Hendon Tolly zawrócił i teraz podchodzi do schodów, na których on się ukrywa. Nie prostując się nawet, obrócił się i zaczął wspinać po stopniach na czworakach. Wyprostował się dopiero na półpiętrze i przyspieszył, starając się poruszać jak najciszej. Wciąż słyszał dochodzącą z dołu rozmowę Tolly’ego z medykiem, czy raczej tylko jej strzępy, co oznaczało, że nie idą za nim.

– ...Zjawy... ziemie, które nie... – Głos Okrosa brzmiał cicho, niczym nucenie wiatru wokół zamkowych wieżyczek. – ...Nie możemy ryzykować...

– ...Sami bogowie... – Tolly znowu się roześmiał wyraźnie uradowany. – Cały świat padnie na kolana i będzie krzyczał, och, jak będzie krzyczał!

Dotarłszy na górę, wciąż przestraszony Tinwright wyszedł na korytarz, lecz teraz nie lękał się już, że zostanie złapany. Usłyszał pewną zmianę w głosie Tolly’ego: jego ostatnie słowa zabrzmiały jak nie całkiem ludzki okrzyk.

Stał długo, starając się uspokoić oddech i nasłuchując odgłosów kroków, lecz nic nie usłyszał. Pomyślał, że Okros i lord protektor mogli tylko przejść do innej sali. Postanowił, że zaczeka, by się upewnić, że może zejść. Strasznie bał się Tolly’ego, nawet gdy nic się nie działo, a gdy usłyszał, jak tamten mówi z taką beztrząską o krwawych ofiarach... i jeszcze ten jego śmiech, przerażający...! Nie, może czekać nawet do nocy, byleby tylko uniknąć spotkania z panem Zamku Marchii Południowej.

Po jakimś czasie poczuł potrzebę rozruszania się, ale nie miał jeszcze odwagi zejść na dół, dlatego zaczął spacerować korytarzem, mijając otwarte drzwi magazynów, które teraz sprzątano, by zrobić miejsce dla wysoko urodzonych uchodźców. Na końcu korytarza stanął przy oknie, z którego roztaczał się widok na południe nad ogrodami i widać było bramę twierdzy wewnętrznej. Przez nieduże wielodziałowe okno Tinwright widział też obszar prowadzący do tej części zatoki, w której kiedyś grobla łączyła ląd z wyspą i zamkiem. Przeciwny brzeg wyglądał jakoś dziwnie. Tinwright długo patrzył w tamtą stronę, a potem przypomniał sobie rozmowy

przestraszonych dworzan, którzy opowiadali rano, że czarodziejski lud szykuje coś diabelskiego po długim okresie spokoju.

– Dziwne ogłosy – mówił ktoś, kto, jak twierdził, został obudzony w środku nocy. – Śpiewy i nucenie.

– Mgła, która podnosi się wszędzie. Do tego jakaś dziwna – relacjonowali inni.

Tinwright rzeczywiście zobaczył teraz ogromny obłok mgły rozciągnięty nad krawędzią zatoki od strony ładu i początkowo myślał, że ciemne poruszające się powoli w mroku kształty to smugi dymu, że czarodziejscy ludzie rozpalili na plaży wielkie ognisko, lecz zaraz zorientował się, że choć sama mgła falowała na wietrze, to ciemne macki pozostawały nieruchome. Coś... wyrastało z mgły. Ale co? I dlaczego?

Tinwright pokręcił głową, ponieważ nic z tego nie rozumiał. Po kilku miesiącach względnego spokoju niektórzy wręcz zapomnieli, że Qarowie wciąż tu są, niebezpieczni i tajemniczy jak utajona bomba. Czyżby skończył się długi niespokojny pokój?

Ugrzęzłem między czarodziejskim ludem a Tollymi. Tylko patrzeć, jak mi poderzną gardło.

Wreszcie Matt Tinwright uznał, że może zejść bezpiecznie na dół. Avin Brone zechce się dowiedzieć, co on tu usłyszał. Ale poeta miał też obowiązki wobec innej równie strasznej władzy.

– Jest bardzo uciążliwa ta twoja dziewczyna – oznajmiła jego matka. – Przynoszę jej z targu dobre jedzenie, a ona mi tu wydziwia. A czy nie napisano w księdze „Biednych pospieszyć”.

„Pocieszyć”, miał ją poprawić, ale uznał, że nie warto. Wszelkie próby perswazji wobec matki przypominały rozmowę z posągiem królowej Ealgi z zamkowego ogrodu. Bardzo głośnym posągiem.

– Nie jesz? – zwrócił się do pacjentki.

Elan M’Cory siedziała podparta na poduszce. Nabrała już trochę kolorów, lecz wciąż przypominała wymiętą szmacianą lalkę. Tinwright powściągnął niezadowolenie, że młoda szlachcianka wciąż leży w łóżku. Nie czuje się dobrze, tłumaczył sobie. W końcu została otruta, choć z miłości. Jak wyzdrowieje, będzie lepiej.

– Jem, co mogę jeść – odpowiedziała cicho Elan. – Tylko... nie chcę być niewdzięczna, ale część jedzenia, które ona przynosi... – Zadrżała lekko. – W chlebie są chrabąszcze.

– Żadne tam chrabąszcze, a tylko zwykłe słoniki. – Anamesiya Tinwright cmoknęła z obrzydzeniem. – Do tego całkiem nieżywe. Dobrze zapieczone, nawet trochę chrupiące, jak upieczone orzeszki piniowe.

Elan wzdrygnęła się i zakryła usta dłońmi.

– Jasne, matko, nie wątpię, że chleb jest dobry, tylko, widzisz, lady M’Cory jest przyzwyczajona do innego jedzenia. Patrz, mam tu brenlandzkiego podwójnego kraba, a nawet dwie monety. – Wcześniej tworzył miłosne liściki dla dworzan trwających w hojnym oszołomieniu w oczekiwaniu na lato i na poczynania Qarów, którzy wciąż siedzieli za bramą. Także Brone dał mu srebrną rozgwiadę za informację o Okrasie i Hendonie Tollym i nawet prawie na niego nie krzyczał, więc Matt Tinwright był teraz nieźle zabezpieczony. – Kup Elan dobrego chleba z porządnej mąki. Bez słoników. I przynieś jakiś owoc.

Matka prychnęła.

– Dobrze sobie. Owoce? Za długo przebywasz ze szlachciurami, chłopcze. Wiesz, ilu ludzi

śpi na ulicy? I jacy są głodni? W całym mieście nie znajdziesz nawet jednego robaczywego jabłka.

Elan posłała mu błagalne spojrzenie.

– Po prostu zdobądź coś nadającego się do jedzenia, matko. – Coś najlepszego, co uda ci się zdobyć za te dwa miedziaki. Posiedzę z lady M’Cory do twojego powrotu.

– Och! A ja? Co to za syn, który wysyła do miasta matkę jak jakiegoś nędznego pielgrzymka bez kraba przy duszy?

Tinwright powstrzymał się, by nie przewrócić oczami. Wyjął z kieszeni jeszcze jedną monetę.

– Niech będzie. Kup sobie kufel piwa, matko. Dobrze robi na krew.

Spojrzała na niego wyrzutem.

– Piwa? Oszalałaś, chłopcze? Chyba że Piwa Zakkasa. Wrzucę tę monetę do miski ofiarnej, żeby zmyć z rąk trochę brudu twojego grzesznego życia. – Po tych słowach odwróciła się, zanim spróbował odebrać jej monetę, która miała pójść na zatracenie, i wyszła.

Zobaczył, że Elan ma zamknięte oczy.

– Śpisz?

– Nie – odpowiedziała, nie unosząc powiek. – Czasem zastanawiam się, czy naprawdę nie umarłam, a wszystko to jest tylko cieniem moich gasnących myśli. Bo jeśli to jest prawdziwy świat, to dlaczego nic mnie nie obchodzi? Dlaczego pragnę tylko, żeby zniknął i żebym znowu mogła zanurzyć się w pozbawioną snów ciemność?

Matt przysiadł na łóżku, żałując, że nie ma odwagi wziąć Elan za rękę. Mimo że uratował ją przed Hendonem Tollym i że teraz nie należała do nikogo, jeśli nie do niego, Tinwright czuł, że Elan jest bardziej niedostępna niż wcześniej.

– Jeśli twoje gasnące myśli potrafią mocą czystej wyobraźni stworzyć takiego gargulca jak moja matka, to jesteś lepszą poetką, niż ja będę kiedykolwiek.

Elan uśmiechnęła się słabo i otworzyła oczy, lecz nie spojrzała na niego. Gdzieś na wyższym piętrze płakało niemowlę.

– Jesteś zabawny, mistrzu Tinwright, ale wyrządzasz matce krzywdę. Jest dobrą kobietą... na swój sposób. Stara się, jak może, żeby było mi wygodnie, choć czasem różnimy się w kwestii rozumienia wygody. – Elan się skrzywiła. – I bardzo skąpi. – Suszone ryby, które przynosi... nie sposób opisać ich smrodu. Pewnie łowią je tam, gdzie spuszczają do laguny nieczystości z pałacowych wygódek.

Tinwright zaśmiał się mimowolnie.

– Słyszałaś ją. Oszczędza pieniądze, żeby miała co wrzucić do miski ofiarnej. Ta święta kobieta wydaje się myśleć, że bogowie są równie głupi jak niegrzeczne dzieci, którym trzeba nieustannie przypominać o jej oddaniu.

Oblicze Elan zmieniło się.

– Może to ona ma rację, a my się mylimy, bo wygląda na to, że bogowie nie poświęcają zbyt dużo uwagi swoim śmiertelnym dzieciom. Nie odważyłabym się nazwać bogów głupimi czy niepoważnymi, mistrzu Tinwright, ale przyznam, że od dawna się zastanawiam, czy aby nie są zbyt zajęci czymś innym, zamiast dbać o porządek tutaj.

Myśl ta wydała się Tinwrightowi całkiem interesująca. Miał ochotę zastanowić się nad nią dłużej, pomyśleć, o tym, co mogło odwrócić uwagę bogów od ludzkiego stworzenia, dlaczego pozostawili ludzi bez przewodnictwa, pozwalając im cierpieć. Mógłby nawet napisać o tym poemat.

Coś w rodzaju *Wędrujących bogów*, pomyślał. Nie, może raczej *Śpiący bogowie...*

Drzwi otworzyły się tak gwałtownie, że Tinwright aż podskoczył, a Elan krzyknęła

zaskoczona. Anamesiya Tinwright zamknęła je za sobą jeszcze głośniejsze, niż otworzyła, po czym opadła na kolana i zaczęła się głośno modlić do Trygonu. Niemowlę z wyższego piętra znowu zaniosło się płaczem, zaniepokojone hałasami.

– Co się dzieje? – Tinwright wyczuwał, że coś złego, ponieważ matka zwykle poświęcała więcej czasu na uprzątnięcie miejsca przed klęknięciem niż na samą modlitwę. – Matko, powiedz coś!

Podniosła wzrok. Ze zdumieniem zobaczyła, jak błada jest dobrze mu znana pociągła twarz matki.

– Miałam nadzieję, że zdążysz wyrazić skruchę za całą swoją niegodziwość, zanim nadejdzie koniec – powiedziała ochryłym głosem. – Mój biedny, zagubiony synu!

– O czym ty mówisz?

– Koniec. Widziałam, nadchodzi! Demony przysłane, by nas zniszczyć za to, że rozgniewaliśmy bogów. – Po tych słowach znowu opuściła głowę i pogrążona w modlitwie nie odpowiadała już na pytania syna, którymi ją zasypał.

– Pójdę sprawdzić, o co chodzi – zwrócił się Matt do Elan.

Tinwright wyszedł na ulicę, upewniwszy się wcześniej, że drzwi są dobrze zamknięte na klucz. Początkowo dał się porwać strumieniowi niespokojnych ludzi, którzy zdawali się zmierzać do portu, części miasta położonej najbliżej murów zewnętrznych, lecz po pewnym czasie zawrócił i ruszył pod prąd, kierując się ku mostowi Gościńca Jarmarcznego, który spinał brzegi kanału między lagunami. Jeśli działo się coś po drugiej stronie, w podzamczu, to równie dobrze będzie mógł popatrzeć z muru zewnętrznego na tyłach karczmy Pod Butami Borsuka, położonej na końcu Północnej Laguny, gdzie spędził niejedną noc w towarzystwie Hewneya i innych kompanów. Biegająca tamtędy aleja była mało uczęszczana, dlatego lubili tam zabierać tawerniane dziwki. Idąc na wschód, wyłapywał strzępy rozmów mijających go ludzi. Większość szła przekonać się na własne oczy, na ile są prawdziwe pogłoski, które wcześniej słyszeli. Niektórzy, przerażeni, mamrotali modlitwy i wykrzykiwali przekleństwa, inni zaś zachowywali się tylko trochę mniej beztrzesko niż wtedy, gdy udawali się na uroczystości Zosimiów.

– To znak! – powtarzało wielu. – Sama ziemia zwróciła się przeciwko nam!

– Obronimy się przed nimi – krzyczeli inni. – Przekonają się, ile są warci mieszkańcy Marchii Południowej!

Tu i tam sprzeczki przechodziły w rękoczyn, najczęściej w tych przypadkach, gdy dyskutanci uraczyli się wcześniej trunkiem. Słońce wychylające się zza wysokich chmur dopiero co przekroczyło zenit, mimo to wielu już miało w czubie. Wcześniej niż zwykle.

Czy tak samo było, gdy bogowie toczyli wielką wojnę? – zastanawiał się Matt Tinwright. Czy niektórzy ze śmiertelników udali się na pole bitwy tylko po to, żeby popatrzeć, co się dzieje, nie przejmując się ani trochę tym, że być może świat zmierza ku zagładzie?

Kolejna dziwna i ciekawa myśl, która mogłaby się stać zaczątkiem poematu – już druga tego dnia. Przez chwilę Matt niemal zapomniał, że to, co chciał zobaczyć, śmiertelnie przeraziło taką heterę jak jego matka.

Co to mogło być? Widziałem tylko mgłę i dym. Czego ludzie mogli się tak przestraszyć?

Minął Buty Borsuka, skąd dochodziły głośniejsze niż zwykle odgłosy kłótni i lamentów. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zająć do gospody i nie wydać reszty pieniędzy, które dostał od Brone'a – skoro zbliża się koniec świata, to czy nie lepiej go przespać? O ile wiedział, *Księga Trygonu* nie zabraniała upicia się w Dniu Ostatecznym.

Ach, a jeśli przyjdzie mu długo czekać na sąd? Po ogólnoświatowej katastrofie z pewnością tłumy ludzi będą się domagały osądzenia, podobnie jak w czasie zarazy, gdy król rozdziela ziarno. Do tej pory zdążę wytrzeźwieć, zaschnie mi w gardle i rozboli mnie głowa.

Bogowie – już spotkanie na trzeźwo z Brone'em było wystarczająco straszne, a cóż dopiero stanąć przed obliczem samego Perina, władcy burz, który za młot miał piorun!

Gdy już dotarł do alei na tyłach gospody, zaczął się wspinać zboczem wzgórza aż do ogromnego muru, a potem tarasem przeszedł do opuszczonej strażnicy. Ze zdumieniem zobaczył, że co najmniej tuzin innych ciekawskich wpadło na ten sam pomysł. Jeden z nich, chłopak o ponurej twarzy, w skórzanym fartuchu, zeskoczył nawet, by pomóc Tinwrightowi wejść po nierównych stopniach.

Ze strażnicy roztaczał się idealny widok na północny kraniec miasta na lądzie, lecz najwięcej działało się w bliższej części, na plaży przy resztkach zniszczonej grobli. Mrok, który Matt Tinwright widział wcześniej, rozprzestrzenił się i teraz w głębi pojawiały się błyski, które bardziej przypominały rozżarzony metal niż płomienie. Zorientował się też, że to, co wcześniej wziął za słupy dziwnie zastygłego czarnego dymu, wcale nim nie jest.

Z mroku wyrastały ogromne czarne drzewa, których konary przypominały sękate paluchy, jakby z mgły po przeciwnej stronie zatoki wynurzyły się wielkie dłonie próbujące sięgnąć aż do miasta. Podobne do szpon gałęzie rozchodziły się nieco na boki, kierując się ku zamkowi, skąd Tinwright i inni przyglądali im się, zdumieni i przerażeni.

– Co to za przeklęte dziwolągi? – odezwał się ktoś wreszcie.

Młodzieniec, który wydawał się zbyt dorosły, by się rozplakać, właśnie to zrobił, szlochając gwałtownie, jakby się czymś zakrztusił.

– Nie... – Tylko tyle był w stanie wydusić z siebie Tinwright wpatrzony w przeciwległy brzeg zatoki. Drzewa, czy cokolwiek to było, powiększyły swoje rozmiary dwukrotnie albo nawet trzykrotnie od chwili, gdy zobaczył je z okna zamku. Przecież nic nie rośnie tak szybko! – To niemożliwe. – A jednak taka była prawda.

Potem już wszyscy milczeli, a gdy otwierali usta, to tylko by się modlić.

Mgła stanowiła bardzo niepokojący widok pojawiała się zewsząd i znikąd, zamieniając świat wokół ich więzienia w coś równie odstraszonego jak pola wokół ogromnego zamku Kerniosa, który Utta знаła z opowieści z dzieciństwa – lecz ją bardziej niepokoiły odgłosy: niskie jęki i skrzypienie przenikały ją do szpiku kości, jakby statek tysięcy razy większy niż te budowane przez człowieka przepływał tuż za ich oknem spowity gęstą zimną mgłą.

– Co to za okropny dźwięk? – Utta znowu zaczęła chodzić po pokoju. – Czyżby zbudowali jakąś... jak to się nazywa... maszynę obłączniczą? Jedną z tych ogromnych wież, którą zaatakują mury zamku? Od tego dźwięku miałam okropne sny! – W jednym z nich jej rodzina, którą już dawno straciła, stała przy burcie długiej, szarej łodzi, błagając, by dołączyła do nich, lecz Utta poznała po ich niewidzących spojrzeniach, że wszyscy nie żyją i zapraszają ją w podróż do podziemia. Obudziła się z bijącym mocno sercem i przez chwilę wydawało jej się, że naprawdę umiera.

– Siostrze, doprowadzasz mnie do obłądzenia tym chodzeniem tam i z powrotem! – jęknęła Merolanna. Wcześniej, gdy je uwięziono w magazynie na nabrzeżu Zatoki Brenna, starsza kobieta całymi godzinami sprzątała, jakby wierzyła, że każdy kolejny usunięty przez nią pyłek oddala je trochę od władzy czarodziejskiego ludu i jego mrocznej pani. W rzeczywistości było odwrotnie: im więcej księżna sprzątała, tym trudniej było zapomnieć o tym, że gdy skończy, wciąż będą uwięzione. Teraz zaś, kiedy już całe miejsce zostało idealnie wysprzątane, Merolanna popadła w ponure przygnębienie. Przez większość dnia siedziała na krześle, choć z drugiej strony miała dość siły, by ponarzekać na Uttę przechadzającą się po magazynie albo zajmującą się

czymś, co powodowało tylko niepotrzebny hałas, jak się wyraziła.

Błogosławiona Zorio, daj nam obu siłę, modliła się Utta. To przez nasze kłopotliwe położenie tak warczymy na siebie.

Jak dotąd, uniknęły egzekucji, co więcej – zostały umieszczone w przestronnym trzypiętrowym budynku i otrzymały dość produktów, by przygotowywać sobie całkiem godziwe posiłki. Ale nie było wątpliwości, że pozostają więźniami: przed ich drzwiami stało dwóch milczących strażników, bardzo dziwnych i groźnie wyglądających, podobnych do demonów ze świątynnych rzeźb. Jeszcze jeden czekał na dachu, o czym ku swemu przerażeniu przekonała się Utta, gdy któregoś dnia postanowiła wysuszyć ubrania na słońcu. Nienaturalna istota zeskoczyła na balkon, gdy Utta wyszła z naręczem mokrych rzeczy przyciśniętych do piersi, i śmiertelnie ją przestraszyła.

Ten osobnik był inny niż pozostali strażnicy; w mniejszym stopniu przypominał człowieka, a bardziej ogoloną małpę albo gładką jaszczurkę ze szponami wychodzącymi z palców rękawic, z długim nosem i ustami podobnymi do psiego pyska, z oczami koloru bursztynu pozbawionymi źrenic. Strażnik wydał groźny pomruk i machnął nożem w kształcie liścia tak energicznie, że Utta nawet nie próbowała pokazywać mu, dlaczego tu przyszła, tylko od razu wycofała się do środka.

Co my tu możemy zrobić ich zdaniem? – zastanawiała się tamtego dnia, schodząc na dół do salonu. Skoczmy z balkonu i odfruniemy? Ciekawe, czyby mnie zabił, gdybym spróbowała to zrobić.

Tylko przez chwilę miała wątpliwości.

– Dlaczego nas tu trzymają? – zastanawiała się głośno Utta, nasłuchując nieprzyjemnych odgłosów. – Skoro ta kobieta w czerni – ta ich królowa, czy kim tam jest – tak bardzo nienawidzi nasz rodzaj, to dlaczego po prostu nas nie zabije i nie pozbędzie się nas?

Merolanna wykonała na piersi znak Trzech.

– Nie mów takich rzeczy! Może zamierza wziąć za nas okup. Zazwyczaj bym się sprzeciwiła, ale teraz dużo bym dała, by móc się znaleźć we własnym łóżku i zobaczyć małą Ellis i innych. Boję się, siostró.

Utta także czuła strach, lecz jej zdaniem nie uwięziono ich dla okupu. Czego ci żądni krwi Qarowie mogli chcieć w zamian za księżną wdowę i zoriankę?

Ktoś zapukał do drzwi salonu i zaraz drzwi się otworzyły. To był ten dziwny na wpół czarodziejski człowiek, na wpół śmiertelnik o imieniu Kayyin.

– Czego chcesz? – burknęła gniewnie Merolanna, lecz Utta wiedziała, że w ten sposób księżna maskuje strach wywołany nieoczekiwaną wizytą. – Czy twoja pani chce się upewnić, że cierpimy? Przekaż jej, że dom mógłby być bardziej przewiewny, ale tylko trochę.

Kayyin uśmiechnął się, przybierając jeden z tych nielicznych wyrazów twarzy, które niemal upodabniały go do człowieka.

– Przejmuje się wami chociaż na tyle, żeby was uwięzić. O mnie ma tak kiepskie mniemanie, że pozwala mi chodzić swobodnie, jakbym był zwykłą jaszczurką.

– Kayyinie, co tam się dzieje na zewnątrz? – zapytała Utta. – Przez cały ranek dręczą nas straszne odgłosy, ale nie widzimy niczego poza mgłą.

Kayyin wzruszył ramionami.

– Naprawdę chcecie zobaczyć? To nic przyjemnego. Bo i czas jest ponury.

– Co masz na myśli? Tak, chcemy to zobaczyć.

– Chodźcie – odpowiedział tonem kogoś, kto ulega czyjejś zachciance. – Pokażę wam.

Podążyły za płynnie poruszającym się Kayyinem schodami na samą górę i dalej na balkon, którego Utta unikała od czasu, gdy podobny do gada strażnik ją stamtąd przepędził. Ujrzeni

nieustannie kłębiącą się mgłę, lecz z tej wysokości widzieli, jak nisko rozpościera się nad ziemią podobna do puchowej kołdry rzuconej niedbale na łóżko. Skrzypienie zdawało się rozbrzmiewać tam jeszcze głośniejsze, lecz Utta przez chwilę stała zaabsorbowana widokiem – ogromny obłok mgły, dalej zatoka i widoczne w oddali wieże Zamku Marchii Południowej, ich niedostępny dom – i zupełnie nie zauważyła szkaradnego strażnika, który niespodziewanie zeskoczył z dachu na balkon.

Zaskoczona i przerażona Merolanna krzyknęła i pewnie by upadła, gdyby Utta jej nie przytrzymała. Strażnik machnął szerokim, krótkim mieczem i warknął, ale trudno było stwierdzić, czy powiedział coś w swoim dziwnym języku, czy też chciał je tylko przestraszyć. Zęby miał długie i ostre jak u wilka.

Kayyin nawet nie drgnął.

– Odejdź, Pysku. Powiedz swojej pani, że przyprowadziłem tu kobiety, żeby trochę odetchnęły świeżym powietrzem. Jeśli chce mnie za to zabić, niech to uczyni. A jeśli nie, to idź sobie.

Strażnik wpatrywał się w niego roziskrzonymi wściekłością oczami, lecz jego oblicze wyrażało coś więcej niż tylko grymas rozgniewanego zwierzęcia.

Kim są te istoty, pomyślała odruchowo Utta, ci... czarodziejscy ludzie? Czy stworzyli ich bogowie? Są demonami czy też mają duszę, tak jak my?

Strażnik wydał odgłos, który zabrzmiał jak ostrzeżenie, po czym wdrapał się z powrotem na dach równie szybko, jak z niego zeskoczył, i zniknął im z oczu.

– Och, ależ mnie przestraszył! – Merolanna odsunęła się od Utty i powachlowała twarz dłońmi. – Co to za straszidło?

Kayyin sprawiał wrażenie rozbawionego.

– Uczeń z klanu Cnotliwych Wojowników, moich kuzynów. Spokojnie, on wie, że nie wolno mnie tknąć, ponadto mój cień okrywa chyba was obie – powiedział to takim głosem, jakby nie miał do końca pewności, czy strażnik go posłucha, co Utta przyjęła z nadzieją, że może niebawem je odeślą albo... stanie się coś gorszego.

– Jak możesz nazywać takie monstrum swoim kuzynem? – Merolanna wciąż energicznie wachlowała twarz, jakby chciała także odpędzić nieprzyjemne wspomnienie. – Ani trochę nie jesteś do niego podobny, Kayyinie.

– Jesteś prawie jak... jeden z nas.

– Tak zostałem ukształtowany, księżno. – Kayinn skłonił głowę. – Mój pan wiedział, że długo pozostanę wśród was, dlatego otrzymałem dar zmieniania postaci, żebym stał się... trudno to wyjaśnić... miękki jak ciasto na chleb, żebym mógł się upodabniać do tych, wśród których będę przebywać. Tak więc żyłem wśród was przez lata – marna, lecz wystarczająca kopia – aż zostałem ponownie obudzony.

– Obudzony? Po co? – Utta pierwszy raz słyszała o takich rzeczach. Wcześniej brała Kayyina za wybryk natury albo krzyżówkę czarodziejskiej istoty z człowiekiem.

Kayyin pokręcił gładką głową. Teraz, gdy skupiła na nim uwagę, zorianka mimowolnie pomyślała, że jest w nim coś dziwnego, że jest pozbawiony jakichkolwiek charakterystycznych rysów. Gdy nie było go przy nich, nie potrafiła sobie przypomnieć, jak wygląda.

– Sam nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie – odparł. – Mój król pragnął zapobiec wojnie między waszym rodzajem a naszym, ale chyba nie bardzo przyczyniłem się do tego. Szczerze mówiąc, stanowi to dla mnie zagadkę. – Przekrzywił głowę. – Ach, słyszycie? Znowu się zaczyna.

Podszedł do poręczy balkonu, a Utta podążyła za nim. Też to usłyszała – niskie skrzypienie, które nie dawało im spokoju przez cały dzień. Pod balkonem, w głębi kłębiącej się

mgły, rozbłysło matowe światło i zaraz przygasło, nie całkiem jednak, jakby na plaży spowitej mgłą ktoś rozpałał ogromne ognisko, które zakwitło niebiesko-żółtymi płomieniami.

– Co to jest? Co robią twoi ludzie?

– Nie jestem pewny, czy to wciąż moi ludzie – odpowiedział Kayyin i posłał Utcie dziwny, smutny uśmiech. – Ale oczywiście jest to dzieło eremitów mojej pani. Budują ciernisty most.

– Błogosławieni bogowie! – wyszeptała Merolanna.

Utta odwróciła się i zobaczyła, że z mglistego mroku powoli wyłania się coś ogromnego i czarnego, niczym macka jakiejś strasznej morskiej istoty. Nie potrafiła dokładnie powiedzieć, co widzi, ponieważ wiatr zaraz przywiał kolejne tumany mgły. Roślina, uzmysłowiła sobie po dłuższej chwili, monstrualne, czarne pnące grubości wiejskiej chaty, najeżone cierniami długości miecza. Powiew bryzy znad zatoki znowu rozerwał kurtynę mgły i tym razem Utta zobaczyła nie tylko najbliższą gałąź, lecz także kilka innych, a wszystkie pięły się w górę. Przerażliwie dudniący i skrzypiący odgłos, tak niski i głośny, że belki balkonu, na którym stali, drżały, wydawało to coś, co rośnie, wyrastało z brzegu pod nimi, wyciągając się niczym chciwe paluchy ku Zamkowi Marchii Południowej po drugiej stronie wody.

– Ciernisty most... – powtórzyła powoli.

– Ale co to jest? – dopytywała się Merolanna. – Niedobrze się robi od samego patrzenia. Co to takiego?

– Oni... posłużą się tym, żeby zaatakować zamek – odpowiedziała jej Utta, która rozumiała wszystko, gdy tylko wymówiła te słowa. – Będą się wspinać po gałęziach jak po drabinach, nad zatoką, a potem nad murami zamku. Przejdą po tym jak mrówki i zabiją wszystkich. Mam rację?

– Tak – odparł Kayyin. W jego głosie przebijała chyba nawet nuta smutku. – Rzeczywiście ona pewnie zabije wszystkich, których znajdzie. Nigdy wcześniej nie widziałem jej aż tak rozgniewanej.

– Och! – jęknęła księżna. Przez chwilę Utta przestraszyła się, że jej towarzyszka się przewróci. – Ach, ty potworze! Jak możesz... mówić tak spokojnie o tym wszystkim, jakby... jakby...? – Odwróciła się i poszła chwiejnym krokiem do pokoju.

Chwilę później Utta usłyszała, jak Merolanna schodzi na dół.

– Powinnam pójść z nią – rzuciła niepewnym głosem. – Czy nie da się już nic zrobić, żeby odwieść twoją panią od tego straszego ataku?

– Ona nie jest moją panią i na tym po części polega problem. To król jest moim panem, a dla Yasammez nie ma nic bardziej godnego pogardy niż brak lojalności, szczególnie ze strony członków rodziny.

– Rodziny?

– Nie mówiłem ci? Lady Yasammez jest moją matką. Urodziła mnie dawno temu, a potem długo byliśmy rozdzieleni. – Jego pozbawione wyrazu oblicze odzwierciedlało co najwyżej ożywienie, jak u kogoś, kto ma opowiedzieć niezbyt intrygującą opowieść, lecz Utta domyślała się, że za słowami Kayyina kryje się coś więcej. Była o tym wręcz przekonana. – Oczywiście nie jestem jej jedynym dzieckiem, ale raczej na pewno ostatnim żyjącym.

– Wspomniałeś, że spodziewasz się, iż ona cię straci. Jakżeby matka mogła tak postąpić z własnym dzieckiem?

– Mój lud nie jest taki jak wy, ale nawet jak na kogoś z nas, Pani Yasammez jest dziwną i niepospolitą osobą. Swoją miłością obdarowała nie własnego potomka, lecz potomka swojej siostry. I choć niesie Ognisty Kwiat, w przeciwieństwie do innych w naszej historii robi to sama.

Utta pokręciła głową.

– Nic z tego nie rozumiem. Co to za kwiat?

– Ognisty Kwiat. Jeden jedyny. To podarunek naszego wielkiego pana Szachraja dla Pierworodnych, którym ich obdarował przez wzgląd na swoją miłość do żyjącej kobiety Summu, matki mojej matki. Kwiat stanowi dziedzictwo dzieci, które z nią poczęły. – Zamilkł na moment, ujrawszy wyraz twarzy Utty. – Ach, oczywiście, wy znacie Szachraja pod innym imieniem, nazywacie go Kupilasem Uzdrowicielem.

W innych okolicznościach Utta zignorowałyby takie słowa, uznając je za bajdurzenie szaleńca, bo rzeczywiście monotony, pozbawiony emocji głos Kayyina sprawiał, że można go było wziąć za obłąkanego, ale przecież zorianka spotkała straszną Yasammez, a jeszcze tamten most z cierni, rezultat magicznych sztuczek, którymi posłużyła się ta mroczna kobieta... wszystko to nie pozwalało jej tak po prostu odrzucić słów Kayyina

– Twierdzisz, że... ojcem twojej matki jest bóg?

– Ty to powiedziałaś, nie ja, ale tak jest. W odległych czasach ci, których nazywacie bogami, byli potężnymi panami, a twój lud i mój służyły im. Czasem sypiali z nami. Bywało, że między wielkimi panami i ich krótko żyjącymi sługami zawiązywała się prawdziwa przyjaźń, a nawet miłość. Ale z miłością czy bez niej, z niektórych związków poczęli się ci, których nazywacie półbogami czy półboginiami, a także herosi i potwory.

– Ale Kupilas...?

– Nikt nie potrafi powiedzieć, co naprawdę czuł Szachraj do Summy, ponieważ oboje już odeszli, ale myślę, że nie byłoby błędem nazwać ich uczucie miłością. A dzieci, które spłodzili, nie miały sobie równych – zostały władcami naszej rasy. Wszyscy spłodzeni przez Szachraja posiadali dar Ognistego Kwiatu – płomień nieśmiertelności taki sam, jaki noszą w sobie bogowie. U Yasammez i jej bliźniaczej siostry Yasudry płonął mocno i w Yasammez wciąż płonie, ponieważ nigdy nie oddała go nikomu. W rzeczywistości żadne z pierwotnej trójki Summu – ani moja matka, ani Yasudra, ani ich brat Ayann – nie pozwoliło, by ich dar został rozproszony.

Yasammez utrzymywała swój dar Ognistego Kwiatu przez kolejne samotne wieki, dzięki czemu jest najdłużej żyjącą i chyba najpotężniejszą wśród nas. Yasudra i Ayann nie zatrzymali daru, lecz przekazali go dzieciom, które razem spłodzili królom i królowym mojego ludu. Dzięki temu moc Ognistego Kwiatu pozostała niezmacona w ich krwi...

– Zaraz, Kayyynie. Chcesz powiedzieć, że wasza pierwsza królowa i król byli bratem i siostrą?

– Tak, podobnie jak kolejni władcy w linii królewskiej pochodzący od Yasudry i Ayanna, dzięki czemu każde kolejne pokolenie zachowywało czystość Ognistego Kwiatu.

Utta musiała oswoić się z tym konceptem, zanim ponownie się odezwała:

– A zatem ty... też posiadasz dar Ognistego Kwiatu?

Kayyin roześmiał się i pozornie był to radosny śmiech.

– Nie, nie. Moja matka Yasammez nie osłabiła swojego daru, dzieląc się nim, dlatego żyje tak długo. Żadne z jej dzieci nie otrzymało Ognistego Kwiatu. Zamiast tego celem swego nieskończonego życia uczyniła troskę o linię Yasudry. I oto teraz umiera nasza królowa Saqri, potomkini jej siostry. Wiedzioną pragnieniem zemsty Yasammez planowała rozpocząć wojnę i zniszczyć wasz rodzaj, lecz nasz pan wymusił umowę zwaną Paktem Lustra. Wygląda jednak na to, że umowa ta się nie sprawdziła, tak więc Yasammez może przystąpić do wojny z waszym ludem, którego nienawidzi.

– Nienawidzi? Dlaczego? Wspomniałeś o zemście. Dlaczego tak bardzo pragnie nas zniszczyć?

– Dlaczego? – Utta nie potrafiła odczytać wyrazu twarzy Kayyina. – Bo to wy, ludzie, a w szczególności mieszkańcy Zamku Marchii Południowej, zabijacie naszą królową.

Piąta latarnia

W dawnych czasach mieszkańcy północnego zachodu nazywali „drowami” wszystkich Funderlingów, a w szczególności tych, którzy sąsiedowali z nimi w Setlandii. Obecnie jednak nazwa ta odnosi się głównie do małych ludzi trudniących się kamieniarstwem, którzy zamieszkują ziemie Qarów za Granicą Cienia.

– z Traktatu o czarodziejskich narodach obojga kontynentów Eionu i Xandu

Ferras Vansen wciąż trzymał dłoń na ramieniu Jaspisa, gdy wychodzili z tunelu, mimo że musiał mocno się pochylać. Sądząc po echu, domyślał się, że dotarli do pieczary zwanej Wielką Salą Tańca, ale nie miał pewności. Czuł się jak dziecko albo ślepiec – jak Funderlingowie widzieli cokolwiek w tych ciemnościach? Co więcej, jak będzie walczył u ich boku czy nawet poprowadzi ich do walki, skoro prawie nic nie widzi tam, gdzie oni i ich wrogowie poruszają się zupełnie swobodnie? Jakże tęsknił do chwili, kiedy będzie mógł odsłonić swoją latarnię!

– Powietrze tutaj jest rzadsze. – Usta Jaspisa niemal dotykały ucha Vansena. – Za to przeciwległy koniec jest wycięty, a więc powinna być tam górską dziura, ale nie ma. To nie ma sensu.

Vansen całkowicie się z nim zgadzał: dla niego też nic nie miało sensu, ponieważ nie był Funderlingiem. Dowódca strażników równie dobrze mógł mówić do niego w starożytnym języku ulosiańskim.

– Wycięty? Górską? Co to wszystko znaczy?

– Cicho! – upomniał go szeptem Jaspis.

Vansen tylko przez chwilę zastanawiał się, o co chodzi Funderlingowi, bo zaraz potem Jaspis chwycił go za ramię i pociągnął do przodu, tak że Vansen upadł na kolana. Chwilę później rozległ się dźwięk metalu ocierającego się o skałę: coś szybkiego i ostrego przeleciało nad nimi i uderzyło w ścianę w miejscu, w którym stali.

– Co to jest? – zapytał Vansen najgłośniejszym szeptem, na jaki się odważył. – Co...?

– Pułapka! – Ponownie poczuł szarpnięcie, tym razem w dół, i zaraz potem Jaspis upadł na jego brzuch. Chwył Funderlinga był zaskakująco silny, zważywszy na to, że nie był większy niż dziecko. – Trzymaj głowę nisko!

– Odsłonię latarnię – rzekł Vansen. – Żeby się zorientować, co się dzieje...

– Ale nie blisko głowy! – warknął Jaspis. – I w ogóle nie w pobliżu żadnego z nas.

Pozostali Funderlingowie z ich małego oddziału podpełzali ostrożnie na czworakach. Vansen wyciągnął rękę i umieścił latarnię trochę z przodu i z boku miejsca, w którym leżeli na nierównej podłodze. Co to za pieczara? Nazywali ją Wielką Salą Tańca, lecz bardziej przypominała wyrobisko niż salę balową. Podniósł trochę tarczę, by rozproszyć światło latarni, i wreszcie spojrzął w głąbię nieskończonej przerażającej ciemności.

Ledwo zdążył cofnąć dłoń, gdy kilka strzał przeszło ze świstem miejsce, w którym dopiero co były jego palce. Jedna z nich odbiła się od latarni, przewracając osłonę z metalu i morskiego szkła, lecz ogień w środku nie zgasł.

Mimo zagrożenia Vansen podniósł głowę, by się rozejrzeć. Dostrzegł kilka postaci, niektóre były uzbrojone w krótkie luki, które przemycyły, szukając schronienia w przeciwnym końcu pieczary, niczym szczury zaskoczone w magazynie; podążały za nimi ich cienie, ogromne i koślawe w słabym świetle jedynej latarni.

Ferras Vansen nie przewidział ataku łuczników, ponieważ wydawało się to mało prawdopodobne w wąskich podziemnych korytarzach, tymczasem uświadomił sobie, że oto znalazł się w samym środku klasycznego koszmaru piechoty, przygwożdżony przez wroga w miejscu, które ledwo widzi, mając w perspektywie jedynie beznadziejny atak frontalny. Mieli szczęście, że w ogóle jeszcze żyli, a to tylko dzięki temu, że zaskoczyli Qarów. Teraz mogli tylko czekać w nadziei, że wesprze ich Cynober z rezerwami z Miasta Funderlingów, tak jak się umówili. Tylko co zrobić, żeby nie wpakowali się w podobną pułapkę?

– To proste – odparł Jaspis, gdy Vansen przedstawił mu swoje obawy. – Jeśli stąd biegnie do świątyni braci jakaś żyła bębnowca, to nie będzie żadnego problemu, Szczudłaku. W taki sposób porozumiewaliśmy się w kopalniach, ale to dawne czasy. Będziemy po prostu bębnić w nią młotami, aż ktoś nas usłyszy. Ale wiadomość powinna być krótka i zwięzła.

Bębnowiec. Znowu coś nowego. Vansen uniósł głowę i popatrzył w stronę wroga, który przycisnął się za czymś, co przypominało las kamiennych wieżyczek, przeważnie nie większych niż wysoki Funderling. Jeden z Qarów dostrzegł jego ruch i zaraz posłał strzałę, która przeleciała ze świstem tuż obok i uderzyła w ścianę; odłupany kawałek kamienia uderzył kapitana w rękę. Vansen chrząknął z bólu i zaczął ssać skaleczenie.

– Mogą to być dwa słowa? – zwrócił się do Jaspisa. – „Pomoc” i „pułapka”? Wystarczająco krótka wiadomość?

Wysłali dwóch ludzi do złoża bębnowca, które mijali w drodze do Sali Tańca. Ostrzeżenie okazało się skuteczne. Cynober z oddziałem ponad dwudziestu ludzi przybył szybko do ogromnej pieczary, zachowując wielką ostrożność. Byli uzbrojeni w proce i inną broń przydatną do walki na odległość i mimo że nie mieli żadnego doświadczenia, nawet nie zetknęli się z aktami przemocy, tak jak strażnicy, to pomogli Vansenowi i Jaspisowi przepędzić kilkunastu uzbrojonych Qarów. Niestety, zwycięstwo miało swoją cenę: zginęło dwóch Funderlingów, a jednym z nich był członek straży, Skaleń, dlatego wszyscy wracali do świątyni Braci Metamorficznych pogrążeni w ponurym milczeniu.

Vansen i Cynober szli na końcu, niosąc ciała zabitych. Kapitan starał się skupić myśli na doświadczeniach ostatnich godzin, uważając też na niskie sklepienia. Przebywał wśród Funderlingów tak długo, że czasem zapominali, iż znacznie przewyższa ich wzrostem i nie widzi w tunelach tak dobrze jak oni, dlatego nie ostrzegali go, gdy zbliżali się do kolejnego niskiego przejścia.

– Szkoda, że nie wiedziałem wcześniej o tym waszym „bębnowcu” – powiedział.

– Jest tylko kilka niedużych żył, które łączą części Miasta Funderlingów – wyjaśnił Cynober. – Na szczęście Jaspis zauważył tamto złoże. Najczęściej posługiwaliśmy się bębnowcem w połączeniach na duże odległości, ale zarzuciliśmy tę praktykę w ciągu ostatnich stu lat, jako że straciliśmy kontakt z innymi mniejszymi i większymi miastami.

– Mimo wszystko to wspaniała rzecz, o ile dobrze zrozumiałem Jaspisa, móc wysyłać sygnały na odległość pod ziemią. Czy... duży, jak nas nazywacie, wiedzą o tym?

Cynober się roześmiał.

– Zapewniam cię, że nie. Wybacz, że to mówię, ale uznaliśmy, że bębnowiec bardziej

przyda się nam podczas konfliktu z wami niż wam.

– Trudno się z tobą nie zgodzić. Obiecuję, że zachowam to w tajemnicy. Bogowie wiedzą, ile wam zawdzięczam. Ale to jest jeszcze jeden dowód na to, że oddaliście dowództwo w niewłaściwe ręce. Nawet gdybym był tak doświadczonym dowódcą, jak sądzicie – a zapewniam cię, że tak nie jest – to wciąż wiem zbyt mało o tym podziemnym świecie, w którym walczymy. Byłem zupełnie zaskoczony, że Qarowie dotarli do tamtej komory przed nami. Jak im się to udało?

Na przyjaznym, pokrytym zmarszczkami obliczu Cynobra pojawił się wyraz zdziwienia widoczny nawet w słabym świetle latarni Vansena.

– Jaspis twierdził, że ci powiedział. Droga powinna być tam zaczopowana, lecz on wyczuł po zmianie powietrza, że zrobiono inny otwór, co znaczy, że musi istnieć nowy tunel gdzieś powyżej zamkniętego końca Wielkiej Sali Tańca...

– No tak, widzisz? Wciąż nie rozumiem. – Vansen uniósł dłoń. – Proszę, nie wyjaśniaj mi tego teraz, magistrze, za dużo naraz. Za to gdy już wrócimy i zbierzemy radę, poproszę ciebie, Rogowca i innych, by mi wszystko objaśnili. Musimy jakoś zaradzić mojej ignorancji, zanim pozabijam nas wszystkich.

Funderlingowie i dwaj duzi zebrali się wokół jednego z wielkich stołów w refektarzu świątyni Braci Metamorficznych, miejscu posiedzeń Rady Wojennej Funderlingów, jak się domyślał Vansen, bo tylko refektarz i świątynia były wystarczająco duże, by mogło się tam zmieścić tyle osób.

Wcześniej Ferras Vansen, myśląc o swojej współpracy z tymi ludziami, czuł niemal rozbawienie, jakby go poproszono, żeby stanął na czele armii dzieci, lecz po pierwszym ataku Qarów porzucił podobne myśli. Każdy, kto jeszcze wątpił w powagę sytuacji, mógł zejść do głębokiej, zimnej komnaty pod głównym ołtarzem, gdzie złożono ciała poległych Funderlingów, Skalenia i Łupka, którzy mieli być pochowani w kamiennych kopcach.

Vansen spojrział na siedzących po drugiej stronie stołu Jaspisa, magistrza Cynobra i brata Nikla. Autorytet Nikla w bractwie zdawał się rosnać z każdym dniem. Nikt jeszcze oficjalnie nie potwierdził, że zostanie on kolejnym opatem, lecz pozostali zachowywali się tak, jakby to już się stało. Przy stole siedział też Chaven – jedyna osoba wzrostu Vansena – lecz medyk wydawał się rozdrażniony i zamyślony. Obok niego zajął miejsce Malachit Miedziak, inna ważna osobistość w Cechu, wysoki i szczupły jak na Funderlinga, który sprowadził z miasta oddział ochotników do pomocy przy obronie niższych tuneli. Mimo że mieszkańcy pieczar nie mieli szlachty, to zdaniem Vansena Malachit był typem osoby najbliższej szlachcicowi. Sądząc po stroju, był z pewnością najbogatszy ze wszystkich Funderlingów. Towarzyszył im też młody brat Antymon. Vansen otrzymał wiadomość, że Rogowiec Lideryt i jego dziwny adoptowany syn udali się dokądś w prywatnej sprawie i nie mogą być obecni.

– Wybaczcie mi – zwrócił się Vansen do pozostałych – ale nie mogę się przyzwyczaić do tego, jak mówicie: wógnie, spławiony, wystromiony, nakłuty... Nic z tego nie rozumiem, a przynajmniej nie chwytam na tyle szybko, żeby poprowadzić ludzi do walki. Przywykłem walczyć na ubitej ziemi, która rozciąga się pod moimi stopami jak koc, tutaj zaś wyczuwam pognieciony pled owinięty wokół mojej głowy. Moim zdaniem powinniście powierzyć dowództwo komuś takiemu jak Cynober czy Miedziak.

– Nie lubię zaprzętać sobie głowy szczegółami. – Malachit mówił leniwie, jakby skończenie zdania kosztowało go zbyt dużo wysiłku. – Będę miał dość pracy z moimi

skrobaczami. Nie, wybierzcie kogoś innego.

Cynober także pokręcił głową.

– Jeśli o mnie chodzi, nic nie wiem o walce, kapitanie Vansen, ale zrobię, co w mojej mocy, abys zaczął myśleć tak jak my.

– Ale jak mam zdobyć waszą wiedzę? Te bębnowce, tunele Burzowego Kamienia – nie ma czasu na zrozumienie tego wszystkiego, nawet gdybym miał dość rozumu!

– Pewnie żaden z nas nie nadaje się do tej roli tak do końca – rzekł Chaven. – Jeśli chcemy przetrwać, musimy działać razem i próbować wyznaczyć jednego przywódcę pomimo zwalczających się frakcji – takiego patchworkowego żołnierza, który występuje w opowieści króla Kreasa.

– Ale nawet gdyby z głębi wyszedł potężny Pan Kamienia, by nas poprowadzić, potrzebowalibyśmy więcej ludzi – odezwał się Malachit Miedziak. – Cynobrze, mój drogi, musisz zmobilizować wszystkich zdolnych do walki. Niestety, nie możemy odwołać wykonawców tych prac, które zlecił Hendon Tolly, nie wzbudzając podejrzeń. Tym samym możemy liczyć na jakiś tysiąc ludzi. Póki co, mamy dwustu, może trochę mniej, cztery penturie na zewnątrz i tylko kilku zdolnych do walki. Ilu Qarów czeka po drugiej stronie zatoki?

Vansen pokręcił głową.

– Podczas walki trudno było się zorientować, ponieważ potrafili zmieniać obraz liczby swoich wojowników i ich pozycji. Ale domyślam się, że jest ich kilkanaście razy więcej niż nas.

– Z twoich słów wynika, że nie mamy szans na pokonanie ich, nawet gdybyśmy walczyli jeden na jednego – rzekł Cynober.

– Królestwa Pogranicza nie zwyciężyły Qarów, mając do dyspozycji tysiące żołnierzy, w tym setki zaprawionych w boju, działa i dobrze uzbrojoną kawalerię. Ale wtedy byli zbyt pewni siebie. – Uśmiechnął się smutno. – Już nigdy tak nie będzie.

– Czy jest szansa, żeby powierzchniowcy – mam na myśli twoich ludzi, kapitanie Vansen – nam pomogli? Chyba Hendon Tolly nie chce, żeby Qarowie paradowali pod jego zamkiem?

– Nie, ale najpierw musielibyście go przekonać – odparł Vansen zamyślony. – To jest możliwe... chociaż nawet gdyby zgodził się wam pomóc, to potem z pewnością nie oddałby tak po prostu miasta Funderlingów. Gdyby się dowiedział o istnieniu tuneli Burzowego Kamienia i poznał inne tajemnice podziemia, z pewnością zostawiłby tam już na zawsze swoich żołnierzy.

Po słowach Vansena zapadła ponura cisza, którą przerwał dopiero Malachit Miedziak:

– Ale czarodziejski lud musi walczyć z nami tutaj na dole – zauważył. – A to powinno dać nam pewną przewagę, jeśli tylko wzmocnimy nasze siły.

– Nie zapominaj, że oni mają pośród siebie Funderlingów, tak jakby – rzekł Cynober. – A także inne istoty głębi, takie jak ettiny, znane nam tylko z dawnych opowieści...

– A zatem nie ma dla nas nadziei. To chciałeś powiedzieć? – rzucił Nikiel i wstał. – W takim razie trzeba się przygotować na spotkanie z naszym stwórcą. Pan Gorącego Mokrego Kamienia uratuje nas, jeśli uzna to za stosowne – jeśli będzie z nas zadowolony – a jeśli nie, zrobi z nami, co zechce. Cała ta wojenna strategia na nic się nie zda. Dziewięć Miast Funderlingów legnie w gruzach i zostaną po nich tylko pył i cienie.

– Takie słowa w niczym nam nie pomogą – stwierdził Cynober ze złością. – Chcesz przestraszyć naszych ludzi, odebrać im wolę walki? Pomyśl przynajmniej o naszych żonach i dzieciach. Ach, zapomniałem, że wy, Bracia Metamorficzni nie macie czasu na takie banalne sprawy...!

– Wykonujemy świętą pracę! – zawołał Nikiel i zaczęła się burzliwa dyskusja, do której włączył się nawet Malachit Miedziak, lecz Ferras Vansen już nie słuchał.

– Dość – powiedział. Gdy nikt nie zwrócił na niego uwagi, powtórzył swoją prośbę

bardziej donośnym głosem: – Dość! Zamknijcie się! – Wtedy wszyscy zebrani przy stole zamknęli się posłusznie i spojrzeli na niego zdumieni. – Dla dobra żon i dzieci, o których wspomnieliście, dla dobra nas wszystkich, przestańcie się handryczyć. Bracie Niklu, słyszałem, jak powiedziałaś „dziewięć miast Funderlingów”. Co to znaczy?

Nikiel machnął ręką.

– To tylko takie wyrażenie, które oznacza wszystkich Funderlingów, a nie tylko mieszkańców naszego miasta.

– Czy to znaczy, że Funderlingowie mieszkają też w innych miejscach? Gdzie? Magistrze Cynobrze, opowiadałaś mi o miastach i miasteczkach, ale sądziłem, że masz na myśli zwykłe miejscowości, jak Firstford czy Oscastle.

Cynober pokręcił głową.

– Rozumiem twoje zainteresowanie, kapitanie Vansen, lecz jeśli wyobrażasz sobie, że z całego Eionu ściągną tu tysiące Funderlingów, żeby nas ratować, to muszę cię rozczarować. Niektóre z tych tak zwanych miast już nie istnieją, a z innych pozostały tylko ruiny, mam na myśli te, które są w naszym zasięgu. Dwa z nich leżą poza Granicą Cienia, a trzecie znajduje się na południowym kontynencie Xandu.

– Ale czy istnieją Funderlingowie, którzy mieszkają poza granicami Zamku Marchii Południowej?

– Jasne. Nawet długo po dniach naszej świetności Funderlingowie zamieszkiwali większość dużych miast, pracując w kamieniu i metalu dla dużych, jednak ich liczba wciąż się zmniejsza. Także w naszym mieście. Jeszcze sto lat temu było nas prawie dwa razy więcej. – Cynober wzruszył ramionami. – Ale wciąż istnieje całkiem duża społeczność Funderlingów w Tesis, a także w kamieniołomach Syanu. Obie razem dorównują nam liczebnością. Słyszałem też, że Funderlingowie wciąż mieszkają w naszym starym mieście Westcliff w Settlandii, choć pozostała tam zaledwie osada. No i jakiś tysiąc Funderlingów jest rozproszony po innych miastach Eionu. Na koniec roku zbieramy się zwykle podczas święta zwanego Cechowym Targiem, ale chyba nie pożyjemy tak długo, by znowu wziąć w nim udział. – Znowu wzruszył ramionami. – Czyżbym źle odczytał twoje myśli, kapitanie?

– Wręcz przeciwnie, dokładnie o to mi chodziło, magistrze. – Vansen kiwnął głową. – Chciałbym wiedzieć, czy te wasze bębnowce przekażą wiadomość aż do Syanu.

– W przeszłości tak było – odparł Malachit Miedziak. – Chociaż kamienie milczą od dawna.

– Powiedziałaś, że w Syanie mieszka tylu Funderlingów co tutaj – zwrócił się Vansen do Cynobra. – Może mogliby nam pomóc. Gdybyśmy podwoili szeregi, z pewnością pożylibyśmy dłużej.

Cynober skinął głową.

– Chyba nie wolno nam zmarnować nawet tak niewielkiej szansy. W dawnych czasach złoże bębnowca łączyło nasze miasto z tym, co duzi nazywają Podmościem, dzielnicą Funderlingów w Syanie. Jeśli nie nastąpiły jakieś przemieszczenia w głębi ziemi, to nie widzę powodów, dla których to złoże miałoby nie istnieć.

– Wybacz – wtrącił Malachit Miedziak – ale muszę ci zadać pytanie. Co nam to da, że sprowadzimy tu choćby i pięć razy więcej Funderlingów? Wciąż będzie to zbyt mała siła, by pokonać Qarów, jeśli wszystko, co słyszałem, jest prawdą. Po co to? Upłyną tygodnie, zanim przybędą posiłki z Podmościa, nie wcześniej jak na letnie przesilenie, jeśli w ogóle zechcą nam pomóc, w co wątpię. Ale nawet gdyby przyszli, jaką różnicę by to zrobiło?

– Masz rację – odparł Vansen. Długo o tym myślał, powoli, wnikliwie, jak miał w zwyczaju, i nie znalazł żadnego rozwiązania. – To prawda, nie damy rady pokonać Qarów. To

zaciekli wojownicy, co więcej, sięją przerażenie i obłęd. To coś, czego nigdy dotąd nie widziałem ani nie doświadczyłem. Ale nie zamierzam ich pokonać.

Brat Nikiel prychnął z pogardą.

– W takim razie dłaczego po prostu się nie poddamy? Wtedy przynajmniej będziemy mogli zdecydować, jak chcemy umrzeć.

Miedziak spojrział na niego spod nastroszonych brwi.

– Zamilcz, ty pełzający i chowający się w norze kapłanie! Jeśli o mnie chodzi, to wybieram śmierć z wojennym młotem w dłoni zamiast klepania się po głowie i błagania Starszych Ziemi o wybaczenie.

– Panowie... bracia – upomniął ich Cynober, rozkładając ramiona. – Tak się nie godzi...

– Przestańcie. Nie dałeś mi skończyć, bracie Niklu – przemówił głośno Vansen. Bardzo chciał, aby przekonanie pozostałych, rzecz niełatwa sama w sobie, było najtrudniejszą częścią tego, co jego zdaniem ich czekało. – Jak już powiedziałem, nie zamierzam pokonać Qarów, ponieważ nie dysponujemy taką mocą. Nie możemy liczyć nawet na to, że uda nam się ich powstrzymać na dłuższą metę. Za to wiem coś o tym, po co tu przyszli, i być może wiem coś, czego nie wie nawet ich przywódczyni... coś ważnego. – Już sama myśl o mrocznej pani Qarów napęliła go strachem. – Widział ją wielokrotnie w swoich koszmarach, a wszystkie te obrazy były pozostałościami myśli Gyira w jego głowie, cieniami rzuconymi na ścianę pieczary. Panicznie bał się spotkania z nią, ale co innego mógł zrobić? Był żołnierzem i obiecał lojalność tym ludziom, tak samo jak ślubował wierność rodzinie Eddonów i ich tronowi, kiedy wstąpił do straży królewskiej. – Oto mój plan – powiedział głośno, gdy pozostali wreszcie zamilkli. – Zamierzam doprowadzić do pokoju.

– Do pokoju! – warknął Miedziak. – Z Ludem Zmierzchu? Z ettinami i skórozmiennymi? To czyste szaleństwo.

Vansen uśmiechnął się ponuro.

– W takim razie tylko szaleństwo może nas uratować.

Na niebie widniał okruch księżyca, gdy bocznymi drzwiami wymknęli się z obserwatorium Chavena. Rogowiec już od tygodni nie oddychał świeżym powietrzem, dlatego teraz zakręciło mu się w głowie od jego silnej woni. Ruszył niepewnie i dopiero po kilku krokach odzyskał równowagę. Noc wydawała mu się taka... ogromna!

Krzemień zachowywał się zupełnie spokojnie. Rozejrzał się, a potem zszedł po schodach. Gdy już stanął na drodze, skrzył w kierunku Laguny Muskających Wodę, jakby wyraźnie ją widział. Rogowiec poczuł dreszcz strachu. Skąd chłopak wie takie rzeczy? To nie miało sensu, przeczyło zdrowemu rozsądkowi.

Ale bez względu na wszystko, gdyby zgubił chłopca, z pewnością usłyszałby parę przykrych słów od Opal, dlatego pospieszył za Krzemieniem.

– Dokąd idziemy? – zapytał szeptem, gdy Krzemień poprowadził ich Gościńcem Owczego Wzgórza, który biegł wzdłuż Nowego Muru. Wydawało się, że mijają niekończące się obozowisko uchodźców skulonych wokół małych ognisk. Niektórzy spoglądali za nimi, a Rogowiec miał nadzieję, że myślą, iż też jest dzieckiem. Chwycił Krzemienia za ramię. – Schowaj się z powrotem do cienia, chłopcze!

Mieszkańcom Miasta Funderlingów nie wolno było chodzić po podzamczu po zapadnięciu zmroku, w dużej mierze z powodu samego Rogowca, dlatego pomijając to, że wyznaczono cenę za jego głowę, już sam fakt, że jest Funderlingiem, wystarczyłoby, żeby zaciągnięto go do twierdzy. Gdyby go schwytano, jego los byłby przesądzony.

Co ja wyprawiam? Jak to się stało, że dałem się na to namówić? Opal obdarłaby mnie ze skóry, gdyby się dowiedziała. Na chwilę ogarnęło go przerażenie – a jeśli żona wróci do świątyni podczas jego nieobecności? Co jej powie? Usmaży go! O ile jeszcze w ogóle będzie się nadawał do usmażenia. Sam sobie napytałem biedy.

– Krzemieniu, dokąd idziemy? – zapytał ponownie.

– Do Mostu Gościńca Jarmarcznego, potem skręcimy do wieży strażnicy i dojdziemy do piątej latarni.

– Skąd to wiesz? Ktoś ci powiedział?

Chłopak spojrział na niego, jakby Rogowiec zapytał, dlaczego oddycha powietrzem.

– Nikt mi nic nie powiedział, ojczu. Widziałem to.

Gdy znaleźli się przy moście, Rogowiec bardzo się starał ukryć twarz przed tymi, którzy ich mijali. Krótki i wysoki łuk Mostu Gościńca Jarmarcznego łączył brzegi kanału między obiema lagunami twierdzy zewnętrznej. Tam, gdzie kanał dochodził do Laguny Północnej, tworzył nieduże estuarium, zwykle zamieszkałe przez liczne ptactwo, lecz teraz, w czasach niedostatku, gdy zamek pękał w szwach od wygłodniałych ludzi, większość ptaków została wyłapana i zjedzona. Pochodnia na moście się nie paliła, dlatego oba brzegi, pokryte warstwą wody, trawą i piaskiem, były prawie niewidoczne nawet dla bystrych oczu Funderlinga, jakby szli przez pustkę między gwiazdami.

Po drugiej stronie mostu zeszli z drogi i ruszyli ledwo widoczną ścieżką ułożoną z surowych bali wzdłuż brzegu. Podążali tym ciemnym szlakiem do momentu, gdy ujrzeli słabe światło latarni z rybiej skóry zawieszonyj na słupie na skraju kanału. Minawszy kolejne cztery, dotarli do mało zabudowanej części Laguny Muskających Wodę, lecz w świetle ostatniej, piątej latarni oprócz czarnej wody i ścieżki widać było coś jeszcze: z plamy światła wyłaniał się lichy pomost z desek i lin, dochodzący ponad wodą do jakiegoś niewyraźnego kształtu, na którym w kilku miejscach tliły się słabe czerwone światelka podobne do żaru. Nieduże fale uderzały w brzegi pomostu.

– Co my tu robimy? – zapytał szeptem Rogowiec. – Skąd znasz to miejsce? Nie pójde dalej, jeśli mi tego nie wyjaśnisz, chłopcze.

Krzemień spojrział na niego. Jego twarz była biała w słabym świetle rybiej latarni. Rogowiec nagle się przestraszył, nie samego chłopca, lecz tego, co może usłyszeć, zmian, jakie mogą przynieść słowa Krzemienia. Ten jednak tylko pokręcił głową.

– Nie potrafię udzielić ci żadnych wyjaśnień, ojczu. Zobaczyłem to miejsce we śnie i wiedziałem, że muszę tu przyjść. Wiem, co mam zrobić. A ty musisz mi zaufać.

Rogowiec wpatrywał się w drobną twarz chłopca, tak mu znajomą, a zarazem nieprzeniknioną i obcą.

– Dobrze, zaufam ci. Ale gdy powiem, że wychodzimy, to wyjdziemy. Zrozumiano?

Krzemień nic nie odpowiedział. Odwrócił się i wszedł na kołyszący się pomost.

Barka, do której prowadził, była niska, ale szeroka, a jej pokład wypełniały liczne kabiny i nadbudówki, przez co bardziej przypominała magazyn niż jednostkę żeglowną. W kilku małych oknach migotało światło, lecz Krzemień zdecydowanym krokiem skierował się ku plamie ciemności z boku barki. Gdy Rogowiec dogonił chłopca, ten zdążył już dwukrotnie zapukać do drzwi kabiny.

Po chwili drzwi uchyliły się trochę.

- Czego chcesz? – zapytał cichy głos.
- Porozmawiać z waszym przywódcą.
- A kto chce z nim rozmawiać?
- Posłaniec z Kioy-a-pous.

Rogowiec wytrzeszczył oczy ze zdumienia. Kioy-a-pous? Kto albo co to takiego? I co, na Starszych Ziemi, się tu dzieje?

Drzwi otworzyły się szerzej i wylało się z nich bursztynowe światło. Dziewczyna Muskających Wodę odsunęła się na bok, by ich wpuścić. Rogowiec nigdy nie widział z bliska żadnego Muskającego Wodę. Jej poważna twarz przypominała starożytną rzeźbę, jedną z tych, które widział pod Miastem Funderlingów, co jednak nie miało sensu, bo dlaczego dawni Funderlingowie mieliby rzeźbić podobizny Muskających Wodę?

Dziewczyna poprowadziła ich długim ciemnym korytarzem. Rogowiec czuł, jak barka nieustannie kołysze się pod jego stopami, co napawało go niepokojem, bo przecież przez całe swoje życie chodził po kamieniu. Wprowadziła ich do niskiej, szerokiej kajuty, gdzie wokół stołu zebrało się sześciu mężczyzn: Muskający Wodę siedzieli na podłodze z podciągniętymi wysoko kolanami. Z szeroko rozstawionymi oczami i pozbawionymi zarostu twarzami przypominali żaby wokół stawu. Mężczyźni spojrzeli na przybyszów.

– Mój ojciec, Turley Długopalcy – powiedziała dziewczyna do Krzemienia i Rogowca i pokazała na jednego z mężczyzn. – Jest przywódcą naszych ludzi.

– O co chodzi, córko? – Turley wydawał się speszony przybyciem gości, niemal zawstydzony, jakby on i jego towarzysze planowali coś niegodziwego.

– Chłopak mówi, że przybywa jako posłaniec od Kioy-a-pous – wyjaśniła dziewczyna. – Nie pytaj o nic więcej, bo nic nie wiem. Przyniosę coś do picia. – Wzruszywszy ramionami, dygnęła bez entuzjazmu i wyszła.

– Na jakiej podstawie tak siebie nazywasz, chłopcze? – odezwał się Turley. – Masz na sobie smród króla z północy, starego Ynnira Szarego Wiatru. Nie służymy jemu ani jego umierającemu panu. Nasze ludy dzieli zbyt wiele zerwanych obietnic. My jesteśmy dziećmi Egye-Vara, Pana Mórz, tak więc co nas obchodzi Kioy-a-pous? Co nas obchodzi ten zwany Szachrajem?

Krzemień bardzo dziwnie zareagował na słowa mężczyzny: po raz pierwszy od chwili, gdy razem z Opal znaleźli go w worku w pobliżu Granicy Cienia, Rogowiec dostrzegł na twarzy chłopca wyraz wściekłości. Wprawdzie trwało to tylko chwilę, jak błysk rozdzierający niebo, lecz w tym momencie Rogowiec naprawdę przestraszył się dziecka, które sprowadził do swojego domu.

– To dawne historie, przywódczo – odpowiedział Krzemień Muskającemu Wodę; wyzbył się już swojego gniewu albo też umiejętnie go zamaskował. – Opowiadanie się po stronie któregoś z Wielkich przeciwko innemu to strategia stosowana w czasach, gdy świat był młody, a śmiertelnicy odgrywali tylko taką rolę, jaką wyznaczyli im Wielcy. Ale świat się zmienił. Egye-Var i inni zostali wygnani nie bez powodu, a wy i pozostali spadkobiercy nie chcielibyście, żeby Wielcy wrócili i upomnieli się o swoje.

– Co masz na myśli? – zapytał przywódca Muskających Wodę. – Co nam chciałeś powiedzieć?

– Nie chodzi o to, co przyszedłem wam powiedzieć, ważne jest to, o co muszę zapytać – odparł chłopak bardzo spokojnym głosem. – Zaprowadźcie mnie do strażniczek Łuski.

Słowa chłopca tak zaskoczyły przywódcę Muskających Wodę, że aż odchylił się do tyłu, jakby to dziwne dziecko go uderzyło, i przez chwilę poruszał bezgłośnie ustami.

– O... o czym ty mówisz? – odezwał się wreszcie, lecz jego głos zabrzmiał ledwie jak cichy

powiew wiatru.

– O dwóch siostrach, jak ci wiadomo – odparł Krzemień. – Od tego może zależeć wiele rzeczy. Zabierz mnie do nich, przywódco, i nie traćmy czasu.

Turley Długopalcy obejrzał się na swoich towarzyszy, jakby szukał u nich pomocy, lecz oni siedzieli z wybaluszonymi oczami, najwyraźniej jeszcze bardziej zdumieni niż on.

– My... nie możemy tego zrobić – odrzekł Muskający Wodę po długiej chwili milczenia, lecz jego głos ani trochę nie wyrażał odmowy, raczej uległość. – Żaden mieszkaniec płycizn nie może odwiedzać sióstr...

– Oni muszą się tam udać, a mojego Rafe’a nie ma – wtrąciła się córka przywódcy. – Jeżeli nie możesz ich tam zawieźć, ja to zrobię.

Jeśli Rogowiec się spodziewał, że Turley Długopalcy wścieknie się na córkę, uderzy ją lub wypędzi z kabiny, to się pomylił. Gdy Muskający Wodę się odezwał, w jego głosie słychać było niemal przeproszącą nutę:

– Ależ córko, to nie jest dobry dzień na wizytę u sióstr... nawet nie dzień pokutny, nie posypano soli...

– Nonsens, tato. – Pokręciła głową jak dziecko, które nabałaganiło. – Posłuchaj! Chłopak mówi o rzeczach, o których nie wie nikt z zewnątrz, a co dopiero taki dzieciak chodzących po stałym lądzie. Wspomniał o Łusce! A przecież sami wiemy, że nadszedł czas zmian.

– Tak, Eno, ale my nie...

– Jak chcesz, to możesz mnie później ukarać – przerwała mu i wstała. – Zabieram ich do suszarni.

Ostatnie słowa dziewczyny otworzyły wreszcie usta pozostałym: siedzący przy stole Muskający Wodę zaczęli mówić wszyscy naraz, wysuwając kolejne argumenty i posykując, by zwrócić na siebie uwagę Turleya; pokazywali długimi palcami na córkę swojego przywódcy, jakby weszła do kajuty naga. Wreszcie Turley uciszył harmider machnięciem dłoni, lecz to nie jego głos usłyszeli, gdy już umilkli.

– W takim razie zabierz nas tam – odezwał się Krzemień. – Nie traćmy czasu. Od letniego przesilenia dzieli nas już niecały księżyc.

– Chodźcie za mną. – Ignorując spojrzenia mężczyzn, pełne dezaprobaty i oburzenia, dziewczyna zdjęła z haka szal i zarzuciła sobie na ramiona. – Ale bądźcie ostrożni, bo w niektórych miejscach jest niebezpiecznie.

Ku zaskoczeniu Rogowca dziewczyna zatrzymała się przy pływającym pomoście umocowanym do rufy rozklekotanej barki. Księżyc skrył się gdzieś za murami zewnętrznymi zamku, pograżając świat w ciemności, którą czasem trochę rozjaśniało matowe migotanie gwiazd, gdy wiatr rozpędzał chmury, tak że można było pomyśleć, że znajdują się w jednym z najgłębszych tuneli Tajemnic.

Ena pokazała łódkę kołyszącą się na wodzie przy pomoście.

– Wsiadajcie.

Rogowcowi wydawało się, że nie może być nic gorszego, niż usiąść w łodzi, mając nad głowę tylko powietrze, a pod sobą wodę, lecz szybko przekonał się, że się mylił.

– A teraz zawiążcie sobie oczy – zwróciła się do nich Ena, podając im długie paski materiału.

– Mamy zakryć sobie oczy?! – oburzył się Rogowiec. – Oszalałaś?

– Nigdzie nie popłyniemy, jeśli tego nie zrobicie. Żaden chodzący po stałym lądzie, nawet

ten, kto twierdzi, że służy Kiroy-a-pousowi, nie może poznać drogi do suszarni.

– Proszę, tato – rzekł Krzemień. – Wszystko będzie dobrze.

Jasne, pomyślał Rogowiec. Bo co by się mogło stać? Jak wpadniemy do wody, chłopak pewnie zaczaruje też rekiny, tak samo jak to było z jedną z tych świętych wyroczni. Pełen niechęci zawiązał sobie na oczach sztywną od soli opaskę, a chwilę później poczuł, że łódź zaczyna płynąć. Co naprawdę stało się z tym dzieckiem za Granicą Cienia i potem, gdy udało się do Lśniącego Człowieka?

Rogowiec mimowolnie wrócił pamięcią do chwili, gdy chłopak leżał u stóp ogromnej postaci. Podobnie jak inni jego ziomkowie, Funderling wiedział, że Lśniący Człowiek stanowi obraz ich stwórcy, Pana Mokrego Gorącego Kamienia. Podczas rytuału Tajemnic sugerowano nawet jemu i innym, którzy wkraczali w wiek dojrzały, że ta ogromna krystaliczna postać w jakiś sposób żyje, że ożywia ją moc ich boga. Dlaczego chłopak wyruszył sam, by ją znaleźć? I co zrobił z tym dziwnym lustrem, które Rogowiec, ryzykując głowę, dostarczył tamtej strasznej kobiecie Qarów? I co ten chłopak, na Starszych Ziemi, wyprawia teraz? Krzemień zasypał brata Siarkę lawiną pytań, aż starzec się wściekł, teraz zaś zażądał – z powodzeniem! – dostępu do jakiegoś skarbu Muskających Wodę. Siostry, łuski – Rogowiec nie miał pojęcia, co to wszystko może znaczyć, ale wiedział, że nie sprawuje większej kontroli nad wydarzeniami niż człowiek zaskoczony przez kamienną lawinę: mógł tylko czekać cierpliwie i się modlić...

W jego głowie kłębiły się setki myśli, którym towarzyszyło skrzywienie wioseł i delikatny plusk fal ocierających się o burty łodzi. W pewnym momencie znaleźli się w długim tunelu, w którym echo odbijało się od kamiennych ścian. Gdy wreszcie ucichło, woda, dotąd tak spokojna jak można było oczekiwać na lagunie w obrębie zamkowych murów, nagle mocno zakołysała łodzią, aż Rogowiec zaczął szarpać opaskę na oczach.

– Zostaw! – rzuciła Ena napiętym głosem, jakby ciężko pracowała. – Zostaw opaskę albo zawrócimy.

– Co się dzieje?

– Nic się nie martw, Funderlingu. Zostań na swoim miejscu.

Gdy Rogowiec poczuł na ramieniu uścisk dłoni Krzemienia, opuścił rękę. Co się stało? Czyżby się znaleźli na otwartym morzu? Tylko w jaki sposób wydostali się z portu i minęli łańcuch? A oblegający zamek Qarowie? Wszystko to nie miało sensu.

Wreszcie, po mniej więcej godzinie spędzonej w łodzi, czasami mocno rozkołysanej aż do uczucia mdłości, Rogowiec poczuł, że łódź uderza dziobem w coś twardego. Dziewczyna wyskoczyła na pomost i pomogła im wysiąść, a potem zaprowadziła ich na suchy ląd.

– Nie zdejmujcie opasek – powiedziała. – Powiem wam, kiedy będziecie mogli to zrobić.

Wreszcie Rogowiec usłyszał skrzywienie otwieranych drzwi i wprowadzono ich do środka. Funderling podązał za chropowatymi dłońmi Eny. Zaraz po przekroczeniu progu poczuł ostry zapach słonego dymu.

– Możecie odsłonić oczy – oznajmiła dziewczyna.

Rogowiec zdjął opaskę, gdy tylko przestał kaszleć. Zobaczył, że stoją w czymś, co przypominało stodołę powierzchniowców. Na środku, w kamiennym palenisku, płonął ogień, którego płomienie, znacznie wyższe niż Rogowiec, nadawały wszystkiemu matowy czerwonopomarańczowy kolor. Po obu stronach paleniska umieszczono długie żerdzie, które ciągnęły się od jednego końca wysokiego, prostokątnego pomieszczenia do drugiego, podparte co kilka kroków dość grubymi, grubo ciosanymi drewnianymi palami. Na żerdziach wisiały setki rozciętych ryb.

– Na Starszych, to naprawdę jest suszarnia – mruknął Rogowiec i zaraz znowu zaniósł się kaszlem z powodu dymu. Poczuł bolesne pieczenie oczu.

– *Ach, kto tam, kto tam?* – Wydawało mu się, że głos, choć słaby, mówi mu prosto do ucha.

Funderling podskoczył i rozejrzał się na wszystkie strony, lecz zobaczył tylko Enę i stojącego spokojnie Krzemienia – można by pomyśleć, że zagadała jedna z ryb.

– *Ojej, zdaje się, że przestraszyliśmy Papę Szprota.* – Głos się roześmiał, co przypominało urywany ryk osła. – *Podajcie do nas, kochani. W suszarni nie ma się czego bać... chyba że ktoś jest rybą. Dobrze mówię, Meve?*

Rogowiec stał w miejscu niezdecydowany, za to Krzemień od razu ruszył w stronę ognia. Obszedłszy palenisko, Funderling zobaczył dwie nieduże postacie siedzące na ławce przy ogniu. Jedna z nich, stara kobieta Muskających Wodeę, wstała, gdy Krzemień się zbliżył. Była mała, tylko odrobinę wyższa niż sam Rogowiec, i choć wszyscy osobnicy ludu rybaków mieli w sobie coś z żaby, ta prastara istota przypominała ropuchę albo skoczka mułowego, które Funderlingowie czasem znajdowali w fundamentach budynków – wysuszone, pozornie pozbawione życia istoty, które jednak by ożyły, gdyby je zanurzyć w wodzie, mimo iż spoczywały w glinie przez wieki.

– Dobry wieczór – przywitała ich prastara Muskająca Wodeę. – Gulda jestem, a to moja słodka siostra Meve. – Gulda pokazała drugą kobietę, jeszcze mniejszą niż ona, opatuloną w zgrzebną szatę i schowaną w głębi kaptura, jakby marzła nawet przy samym ogniu. – Nie jest tak rozmowna jak kiedyś, ale jak już coś powie, to mądrze, prawda, moja kochana?

– Mądrze – zaskrzeczała jej towarzysza, nie podnosząc wzroku.

– Ciebie też witam, córko Turleya – zwróciła się Gulda do Eny. – Możesz zaczekać. Wielcy nie mają ci dzisiaj nic do powiedzenia, co nie znaczy, że jeszcze kiedyś nie przemówią.

– Kiedyś – zawtórowała jej Meve mocno ochryłym głosem, co sugerowało, że długo przebywała w dymie.

Ena sprawiała wrażenie rozczarowanej, lecz nic nie powiedziała. Dygnęła tylko przed siostrami i wyszła.

– Jesteście strażniczkami Łuski – odezwał się Krzemień po wyjściu dziewczyny.

– A dlaczego nie miałybyśmy być? – Skórzaste oblicze Guldy o wybałuszonych oczach wyrażało niemal radość, choć z jej głosu przebijała nuta rozdrażnienia. – Otrzymałyśmy wiedzę od matki, a ona od swojej i tak od czasów, gdy pierwszy kil wbił się tu w ziemię, więc kto inny miałby się nią opiekować, czyścić ją i poznawać jej tajemnice?

– I bóg przemawia do was za pośrednictwem Łuski – dopowiedział Krzemień rzeczowym tonem, jakby to miało jakiś sens. I najwyraźniej dla Guldy tak było, bo przytaknęła mu energicznie.

– Kiedy uważa to za konieczne.

– Kiedy uważa – powtórzyła Meve i kiwnęła słabo głową, jakby zbyt gwałtowny ruch – nawet kaszel, który znowu wstrząsnął ciałem Rogowca – mógł w niej coś obruszyć. Ile lat miały te istoty?

– Ostatnio bóg często do was przemawiał – rzekł Krzemień.

Po raz pierwszy Gulda się zawahała.

– Tak... i nie...

– Nie – powiedziała Meve. – Tak.

– Mówi do nas. – Gulda pokręciła głową. – Lecz czasem się wydaje, że sny go zmieniły. Kiedyś nie był taki rozgniewany. Jakby przeżył we śnie coś, co go zabiło.

– We śnie zabiło – dodała Meve.

– Może przypomniał sobie, jak opuszczał świat – powiedział Krzemień. Każde słowo oddalało go od Rogowca, któremu wydawało się, że nie ma już na świecie piędzi solidnej ziemi,

na której można by pewnie stanąć. – Może wreszcie sobie przypomniał.

– Ach, możliwe – odpowiedziała Gulda. – Ale wydaje się inny.

– I co ci mówi Pan Zielonych Głębi?

Gulda spojrzała na niego uważniej, zanim odpowiedziała:

– Że nadchodzi dzień powrotu bogów. Że nasz pan pragnie, abyśmy zrobili wszystko, co w naszej mocy, by pomóc mu wrócić do nas.

Krzemień kiwnął głową.

– Pomóc powrócić Egye-Varowi. Ale mówiłaś, że ostatnimi czasy wydaje się inny, gdy do ciebie przemawia.

Gulda przytaknęła.

– Jakby bliższy. I rozgniewany jak nigdy wcześniej, nawet za czasów naszych dziadów. Gorący i zimny. Niecierpliwy, gorący i natarczywy, jak ktoś dręczony pragnieniem.

– Pragnieniem – powiedziała Meve i zaczęła się podnosić ze swojego miejsca. Zachwiała się, gdy wstała – krucha istota podobna do ptasiego gniazda z wyschniętej gliny i gałązek. Gulda wyciągnęła rękę, by jej pomóc, lecz Meve odtrąciła ją małą drżącą dłonią. Gdy znowu się do nich odwróciła, Rogowiec zobaczył, że oczy staruszki są perłście białe, i domyślił się, że jest ślepa.

– Sny... zmieniły się... – rzuciła ochryłym, suchym głosem i wyciągnęła rękę w stronę Rogowca, jakby coś jej ukradł. – Gorący. Gorący sen! Zimny czas. Zły!

Funderling odruchowo się cofnął, za to Krzemień przybliżył się i ujął jej kruchą dłoń. Drobniutka staruszka drżała cała, jakby przeszywały ją dreszcze.

Siostra podeszła szybko, by ją pocieszyć.

– Och, uspokój się, kochana, już dobrze – powiedziała i pocałowała dłoń Meve porośniętą rzadkimi białymi włoskami. – Nie bój się. Gulda jest przy tobie. Jestem tutaj.

– Nie bój się – wychrypiała cicho Meve. – Tutaj.

– Co tutaj, kochanie? Co tutaj?

Staruszka mówiła tak cicho, że Rogowiec ledwo ją słyszał.

– Zły...

Ena, córka Długopalcego, odwiozła ich z powrotem do piątej latarni na ścieżce przy estuarium, gdzie mogli zdjąć z oczu opaski. Rogowiec ucieszył się, że znowu widzi, choć z jeszcze większą ulgą opuszczał wypełnioną słonym dymem suszarnię.

– I co, mały mężczyzno, znalazłeś to, czego szukałeś? – zwróciła się dziewczyna do Krzemienia.

– Nie wiem – odpowiedział. – Czuję się tak, jakbym dotykał w ciemności nieznanymi mi rzeczy, próbując rozpoznać ich kształt.

– Dziwny z ciebie chłopak, co? – Dziewczyna Muskających Wodę spojrzała na Rogowca. – Teraz sobie ciebie przypominam. Rogowiec Lideryt.

Funderling, który myślał, że ma już za sobą długą noc pełną niespodzianek, spojrzał na nią zdumiony.

– Skąd mnie znasz? – zapytał.

– Nieważne. Lepiej o tym nie mówić. Ale jesteś przyjacielem Chavena z Ulos, prawda?

Nawet jeśli dziewczyna w jakimś sensie im pomogła – choć nawet co do tego Rogowiec nie miał pewności, gdyż nie wiedział, co robił Krzemień – to nie był takim głupcem, by prawie obcej osobie mówić cokolwiek o zbiegłym medyku.

– Odwiedzałem go w przeszłości, o czym wszyscy wiedzą. A czemu pytasz?
– Mam dla niego wiadomość. Pomogliśmy mu, a on obiecał nam zapłatę. Kosztowało nas to wiele dni pracy, ale nic nie dostaliśmy, przez co ojciec wyszedł na głupca w oczach innych. Jeśli się z nim spotkasz, przekaż mu, że Muskający Wodę domagają się zapłaty.

Gdy Rogowiec i Krzemień znaleźli się znowu w domu Chavena i skierowali do drzwi, za którymi znajdował się tunel prowadzący do Miasta Funderlingów, usłyszeli jakieś hałasy – odgłosy kroków i jakby upiorne głosy dochodzące z oddali. Przesądny strach Funderlinga szybko ustąpił miejsca zwykłemu przerażeniu, gdy wyraźniej usłyszał głosy i zdał sobie sprawę, że w domu są strażnicy Hendona Tolly’ego, którzy ich szukają.

Pewnie obserwowali dom, pomyślał przerażony. Ale przecież pilnowaliśmy, żeby nikt nas nie zobaczył. Może nie mają pewności, że tu weszliśmy. Ach, Starsi Ziemi, oby tak było!

Rogowiec znał dom lepiej niż strażnicy, przynajmniej niższe piętra, dlatego udało im się wyjść przez drzwi na dole, zanim ktokolwiek ich zauważył. Gdy już znaleźli się na zewnątrz, Funderling zablokował je kamieniami, tak by wyglądało na to, że są od dawna nieużywane, na wypadek gdyby strażnicy je odkryli za gobelinem i próbowali otworzyć. Teraz Rogowiec nie miał wątpliwości, że obserwatorium Chavena jest pilnowane i nie jest już bezpieczne.

Mamy coraz mniej dróg ucieczki z Miasta Funderlingów, pomyślał, idąc za chłopcem w stronę świątyni. Albo żeby chociaż zobaczyć niebo. Niedługo będziemy jak króliki osaczone przez myśliwych. Spełniają się najgorsze obawy Burzowego Kamienia.

Przebieraniec

Ci, Którzy Nie Śpią są jeszcze jednym plemieniem Qarów spokrewnionym, według niektórych, z Zimnym Czarodziejskim Ludem. Pewne jest tylko to, że za czasów Teomachii lub zaraz po jej zakończeniu plemię to oddzieliło się od reszty Qarów i osiedliło w mieście zwanym Snem.

– z Traktatu o czarodziejskich narodach obojga kontynentów Eionu i Xandu

Liczne strumyki, które Barrick widział albo które nawet przekraczał u stóp Przeklętego Wzgórza, teraz coraz częściej się łączyły; ich matowosrebrzyste wstęgi wiły się przez szarozielone wrzosowiska w wiecznym zmierzchu, jeden wlewał się do następnego, ten zaś do jeszcze innego, aż utworzyły kataraktę zbyt szeroką, by dało się ją przejść, której grzmot wciąż rozbrzmiewał w uszach Barricka.

– To pewnie jest rzeka Blednia. – Zmęczony Barrick przysiadł na skalistym brzegu wpatrzony w spienioną wodę. Mgiełka wsiąkała mu w ubranie, lecz nie zwracał na to uwagi. – Czy jest taka sama aż do Snu?

– Nie bardzo – odparł Skurn, przelatując z miejsca na miejsce w poszukiwaniu suchego kamienia. – U podnóża wzgórz nurt jest spokojniejszy, a koryto znacznie szersze, sam zobaczysz. Ale tak, rzeczka płynie aż do tego złego miejsca. Czy może coś ci się odwidziło? – zapytał kruk z nadzieją w głosie.

Barrick pokręcił głową.

– Nie, ptaszysko. Muszę tam iść. – Oczywiście zdawał sobie sprawę, że cała wyprawa jest absurdalna i niemal na pewno skazana na niepowodzenie, lecz jego pchało naprzód jakieś dziwne, nieznane mu poruszenie we krwi. Nie potrafił powiedzieć, skąd to wie, ale był przekonany, że znajdzie rozwiązanie swoich problemów, gdy będzie tego potrzebował.

Czy tak jest, gdy ktoś dobrze się czuje i nie martwi się o nic poza samym sobą, a i to nie za dużo? – zastanawiał się.

Wiedział, że po części swoje dobre samopoczucie zawdzięcza zdrowemu ciału: ramię, które przez większość jego dotychczasowego życia było źródłem nieustannego bólu i tylko dlatego tworzyło całość z resztą ciała, teraz zupełnie mu nie dokuczało. Co więcej, wydawało się, że jest tak samo silne jak zdrowe ramię, jakkolwiek po kilku eksperymentach Barrick przekonał się, że nie do końca. Długo nieużywane mięśnie skurczyły się, dlatego nie potrafił zacisnąć dłoni na kij tak samo mocno jak zdrową ręką, mimo wszystko poprawa była znaczna.

– Jestem inny – powiedział zwrócony twarzą ku niebu zasnutemu zmierzchem. – Jestem uratowany.

– Słuchamy? – Skurn, który oddalił się nieco, badając teren, zawrócił i wylądował na ramieniu Barricka. Cuchnął gorzej niż kiedykolwiek wcześniej, jeśli to było możliwe.

– Nic takiego. Co ty jadłeś?

– Ryby. Znaleźliśmy je na kamieniach trochę dalej w dół rzeki. Wyskoczyły, tak jakoś, i nie trafiły z powrotem do wody. Chyba leżały tam długo i ładnie zmiękły na powietrzu. Aż ślinka cieknie.

- Odsuń się ode mnie, bo strasznie cuchniesz.
- I nie bądźcie zbyt wybredni – powiedział ptak urażonym tonem i wzbił się w powietrze.

Wrzosowiska, upstrzone plamami zielonych łąk, stanowiły część pustej ziemi, która wydawała się kiedyś zamieszкана, choć Barrick nie potrafił odgadnąć przez kogo: z samotnych pól wyrastały porośnięte trawą i kolczastymi krzewami kamienne ruiny domów różnych rozmiarów, od przybudówek przyklejonych do zboczy wzgórza, wystarczająco dużych, by zmieścić się w nich sławny Brambinag z całą rodziną, po zebrane w wioskach małe domki, których największe ledwo sięgały Barrickowi do pasa, sklecone z kory, trawy i wygładzonych przez rzeczną wodę kamieni. Gdyby wcześniej nie spotkał Kąśliwych Duszków, pomyślałby, że to domki podobne do domków dla lalek jego siostry, zbudowane dla dzieci do zabawy. Tylko dla czego ten mały lud miałby opuszczać takie cywilizowane miejsce i przenieść się do pełnego niebezpieczeństw Jedwabnego Lasu, by wieść życie niczym dzikie jedwabiny? Co ich wyгнаło z tego zielonego miejsca, a także innych, po których zostały tylko smutne ruiny?

– Jak daleko? – zapytał ponownie Skurna. To był trzeci dzień na łące i Barrick poczuł, że jego świeżo zdobyte poczucie pewności siebie zaczyna rozmywać się w monotonii marszów wzdłuż rzeki przez puste trawiaste tereny. Tutaj wiatr wiał niemal bez przerwy, co sprawiało, że Barrick odnosił wrażenie, iż idzie pod górę nawet na równinie, do tego podarte ubranie zapewniało mu marną osłonę.

– Do miasta Ludzi Nocy? Do złego miejsca? – Skurna pokręcił lśniąca głową, dając wyraz swojej dezaprobacie. – Strasznie daleko. Długie dni marszu.

Barrick zmarszczył brwi. Co powiedział ślepy król we śnie zesłanym mu przez Śpiących? „Przybądź szybko, dziecko. Pędzimy ku ciemności”. Ma coraz mniej czasu, to pewne... tylko co to za ciemność, której boi się król czarodziejskiego ludu?

Nie wszystko na nadrzecznych łąkach było takie ponure. W przeciwieństwie do leśnej płataniny, tereny te były przynajmniej odkryte, co pozwalało zobaczyć bezmiar szarego nieba krainy cienia, dzięki czemu Barrick mógł je obserwować przez cały dzień. Mimo że zasłane wiecznym zmierzchem nie było niezmiennie, jak wcześniej przypuszczał: chmury przesuwają się, gdy wiatr się wzmacnia lub słabnie, a samo niebo ciemniało lub jaśniało, zmieniając kolor z perłistej bladej barwy mgły po przenikliwie siny kolor burzowych chmur. Od czasu do czasu pojawiały się stada jakichś ptaków, lecz były zbyt daleko, by dało się je zobaczyć wyraźnie, choć wydawały się równie naturalne jak te, które widział w bardziej zwyczajnych miejscach. A i rzeka, mimo że spokojniejsza tutaj niż na wyżynach, które opuścił, wciąż płynęła na tyle wartko, że chyba po raz pierwszy od przekroczenia Granicy Cienia Barrick naprawdę poczuł, że idzie naprzód, że robi jakieś postępy.

Czasem wręcz wydawało mu się, że znowu jest w kraju słońca. Mimo że nie zapadała tu całkowita ciemność i nie budził się jasny dzień, oba brzegi Bledni tętniły życiem. W niższych miejscach rzeka rozlewała się na łąki, tworząc moczary zarośnięte bladą kołyszącą się trzcina podobną do cienkich kości; w innych miejscach wierzy płaczące opuszczały gałęzie do wody niczym kobiety, które przyszły umyć włosy. Ogromne czarne żaby wydające wysokie, pytające odgłosy milkły, kiedy przechodził, i wznawiały swój rechot, gdy odszedł na bezpieczną odległość. Od czasu do czasu coś większego poruszało łodygami trzciny, kryjąc się w ich gąszczu,

a raz Barrick zobaczył ogromnego jelenia, który uniósł łeb znad wody na brzegu rzeki; cały ciemny, z imponującym wieńcem srebrzystego poroża, patrzył z takim spokojem, że trudno było uwierzyć, iż to tylko zwierzę. Pewnie dlatego Barrick, pomimo wiecznie doskwierającego mu głodu, nawet nie pomyślał, że mógłby go zabić, zanim jelenź zniknął w trzcinach.

Także w rzece tętniło życie: od niewielkich ławic migotliwych rybek śmigających w rozlewiskach po większe, których ostre grzbiety pruły powierzchnię albo które przemykały w wodzie podobne do długich cieni. Jednak bujne życie tamtego terenu w niewielkim tylko stopniu przyczyniało się do napełnienia żołądka Barricka. Po kilku godzinach brodzenia w zimnej rzece zorientował się, że migotliwe rybki są zbyt szybkie, by je schwytać, i dopiero gdy podszedł kilka ptaków urzędujących na moczarach, udało mu się odkryć parę gniazd, a w nich nieduże jajka w dziwnym kolorze. Oprócz nich miał jeszcze do dyspozycji jadalne korzenie i trzciny wskazane przez Skurna. I choć teraz już zawsze miał ogień, to nie miał co ugotować. Po tygodniu wędrówki wzdłuż rzeki przez niekończące się łąki nawet wyleczone ramię stało się dla Barricka czymś zwyczajnym. Trudno mu było cieszyć się z tego, że może swobodnie poruszać niesprawną kiedyś ręką, gdy wciąż bolał go brzuch z głodu; i co z tego, że wspaniale porusza palcami dłoni, niegdyś przykurczonej niczym szpon, gdy wciąż pozostawała czerwona i szorstka od wiecznie wiejącego zimnego wiatru.

Gdy z czasem drzewa rosnące wzdłuż rzeki zaczęły się pojawiać dalej od niej, najpierw skupione w niewielkich zagajnikach, a potem w większych laskach składających się z brzoź i buków i urozmaiconych kępami zimozielonych krzewów oraz innych nieznanym mu drzew, Barrick początkowo przyjął to z ulgą. Pod baldachimem z koron wydawało się trochę cieplej, a już na pewno nie wiało tam tak mocno. Za to trudniej mu było posuwać się do przodu i pozostawać przy tym blisko rzeki, do tego powróciły nieprzyjemne wspomnienia spotkań z jedwabiniami. Czy te blade istoty o obrzydliwie mokrych oczach żyły także w tym lesie? A może zamieszkiwało tu coś jeszcze gorszego, żmije albo wilki czy też stwory, których żaden śmiertelnik nie zdążył nazwać, bo zginął przy pierwszym spotkaniu z nimi?

W nowym miejscu Skurn był jeszcze mniej użyteczny niż wcześniej. W miarę jak las gęstniał, kruka często absorbowała perspektywa nowych, ciekawych posiłków, do których czasem przyłączał się i Barrick, jako że korzystali z większej obfitości ptasich gniazd, za to księcia ani trochę nie interesowały inne stworzenia, jak choćby szare, cętkowane nagie ślimaki, które kruk opisywał jako „słodkawe i mięciutko siorbliwe”. Na początku, mocno wygłodniały, ugryzł raz trzęsącego się ślimaka i zaraz zrozumiał, że nic na świecie nie zmusi go, by wziął drugi kęs.

I tak po wielodniowej wędrówce przez opustoszałe ziemie ku Snowi, przemoczony, umęczony, nieszczęśliwy i bardzo głodny Barrick Eddon spotkał przebierańca.

Krople deszczu uderzały o liście nad jego głową z taką siłą, że zagłuszały nawet szum rzeki. Barrick właśnie rozpałił ogień na tyle duży, by już nie zgasł, gdy coś usłyszał i zaraz zobaczył wyprostowaną postać, która szła przez trzciny na brzegu. Obcy nie próbował się kryć, a nawet dość mocno hałasował, mimo to Barrick, poczuwszy dreszcz na plecach, podniósł się i przykucnął z ułamaną włócznią w rękę.

Trwał w tej pozycji, napięty, patrząc, jak obcy idzie w jego stronę. Wydawało się, że

wędrowiec jest nieświadomy obecności Barricka, chyba że próbował go nabrać. Barrick wstrzymał oddech i patrzył, jak obcy wynurza się z trzciny i odwraca w jego stronę groteskową głowę. Przez chwilę wydawało się, że spełniły się jego najgorsze obawy, że oto spotkał jakiegoś powłóczącego nogami potwora, zlepek barwnych plam i powiewających frędzli.

Barrick dźwignął się nieporadnie na nogi, niepewny, czy powinien zaatakować, czy raczej uciekać, i dopiero wtedy się zorientował, że to, co wziął za głowę istoty, jest tylko kapturem nasuniętym mocno na oczy dla osłony przed deszczem. Frędzle okazały się strzępami podartego ubrania w zaskakująco jaskrawych kolorach, przez co dziwny osobnik przypominał bardziej postać z religijnej procesji niż dzikiego człowieka z lasu.

Nieoczekiwanie na ramieniu księcia wyładował Skurn, czym bardzo go przestraszył.

– Nie jest dobrze – zaskrzeczał cicho kruk. – Takiego czegoś jeszcze nie widzieliśmy. Nie podchodź. Nie podoba się to nam.

Przybysz musiał wcześniej zauważyć ogień, ponieważ teraz szedł coraz szybciej w ich stronę, wymachując ramionami i wykrzykując niezrozumiałe słowa ochryłym głosem:

– *Gawai hu-ao! Gawai!*

Barrick cofnął się o krok i wyciągnął przed siebie grot złamanej włóczni.

– Stój! – krzyknął. – Skurn, powiedz mu coś w języku czarodziejskich ludzi. Powiedz, żeby się nie zbliżał!

Oberwaniec zatrzymał się i odrzucił kaptur, odsłaniając bladą i brudną od błota twarz, która ku zaskoczeniu Barricka wyglądała dość normalnie i bardzo przypominała jego własne oblicze.

– Co... co powiedziałaś? – spytał przybysz. – Czy to mowa kraju słońca?

Dopiero po chwili księżę przypomniał sobie, że mieszkańcy krainy cienia nazywają tak kraje po drugiej stronie Granicy Cienia.

– Tak – odparł, nie opuszczając broni. – Stamtąd pochodzę. Mówisz moim językiem?

– Tak! Pamiętam go! – Obcy zrobił kilka chwiejnych kroków do przodu. – Och, na Czarne Palenisko, i masz ogień. Niech spłyną na ciebie wszystkie błogosławieństwa, panie!

Barrick powstrzymał go machnięciem włócznią.

– Zatrzymaj się. Czego chcesz? I kim jesteś? – Przyglądał się uważnie przybyszowi. – Nie wyglądasz na kogoś z czarodziejskiego ludu. Raczej na zwykłego człowieka.

Obcy, zaskoczony, zmarszczył twarz w komicznym grymasie, zastanawiając się nad czymś. Widać było, że nie jest tak nienaturalnie chudy jak wszyscy Qarowie. Każdą zmarszczkę wychudłej twarzy wypełniał brud, a z włosów, splecionych i mokrych, sterczały gałązki i liście. I choć brakowało mu sporo zębów, to nie wyglądał na o wiele starszego niż księżę.

– Człowieka? Człowieka? – Przybysz kiwnął powoli głową, potrząsając strzępami różnokolorowego ubrania. – To jest to słowo. Tak, to słowo.

– Skąd jesteś? – Barrick się rozejrzał, by sprawdzić, czy brudas nie ma współników, którzy czają się w pobliżu, by go napaść i obrabować, lecz nie zobaczył nikogo.

– Tak, z kraju słońca – mówił powoli obcy, przeciągając słowa, jakby wreszcie znalazł rozwiązanie bardzo trudnej zagadki. – Ale nie pamiętam go zbyt dobrze – dodał zasmucony. – To było dawno temu.

– Jak się nazywasz?

Przebieraniec wyszczerzył zęby w upiornym uśmiechu.

– Mój pan mówi do mnie „Oskard”.

Barrick cofnął się, pozwalając przybyszowi zbliżyć się do ognia. Oskard minął go i przykucnął przy ognisku, a gdy wystawił ręce nad niskie płomienie, jego ciałem wstrząsnął dreszcz.

– Czego chcesz? – zapytał Barrick po dłuższej chwili. – Zgubiłeś się? A może chcesz mnie okraść?

Osobnik o imieniu Oskard skulił się, jakby został uderzony.

– Nie! Proszę, nie krzywdź mnie, błagam. Tak długo szukałem kogoś, kto mógłby mi pomóc. Chodzi o mojego pana, mojego biednego pana!

Każdy nerw i mięsień podpowiadał Barrickowi, żeby się odwrócił i zostawił tego obszarpanego szaleńca. Skurn już wcześniej odleciał, jakby się bał, że szaleństwo obcego jest zaraźliwe.

– O czym ty mówisz?

– Jeden z naszych blemijów wypadł z łodzi. Próbowałem mu pomóc, ale też wpadłem do wody. Omal się nie utopiłem! Od wielu godzin próbuję znaleźć pomoc. Ach, mój biedny chory pan...

– Blemijów...?

– Chodź, sam zobacz. – Mimo że wciąż ociekał wodą, przebieraniec zerwał się na nogi i ruszył truchtem w stronę rzeki, oglądając się co kilka kroków jak podekscytowany pies, by sprawdzić, czy Barrick za nim idzie. – Chodź!

Skurn frunął nad głową księcia, przedstawiając mu kolejne mroczne prognozy, podczas gdy Barrick schodził ku kołyszącym się trzinom ścieżką wydeptaną w błocie przez Oskarda.

– Już nic nie mów, ptaszysko – nie wytrzymał w końcu książę. – Lepiej zrób coś pożytecznego. Poleć do przodu i sprawdź, czy tamten nie czyha na mnie z maczugą w rękę.

Kruk wrócił po kilku chwilach.

– Stoi i gapi się na wodę, czeka, tak jakby. Jest łódź, ale nam się to nie podoba, bo z nią jest coś strasznie nie tak.

Gdy Barrick znalazł się u boku Oskarda, zobaczył, że ten stoi na wysepce wydeptanych chwastów i wpatruje się w miejsce, gdzie rzeka utworzyła spokojne rozlewisko. Na jego środku, o długi rzut kamieniem od brzegu, pływała powoli w kółko czarna łódź, w której siedziała dziwna, mocno pochylona postać.

Przyjrawszy się dokładniej całej scenie, Barrick powiedział:

– Ten przy wiosłach to kawał chłopca. To twój pan?

Oskard spojrzał na niego jak na wariata.

– To ten drugi blemij. Ma tylko jedno wiosło.

– Ale dałby radę doprowadzić łódź do brzegu – zasugerował Barrick, zastanawiając się, jakich to półgłówków pan Oskarda wynajął na wiosłarzy. – Powiedz mu, żeby tak zrobił.

– On jest... – Przebieraniec machnął ręką przy głowie. – On nie słyszy – dokończył.

– Och, na miłość... – Barrick spojrzał na zgarbioną postać w długiej czarnej łodzi. – No to popłyn tam i pokaż mu, co ma robić.

Oskard zaczął wybierać z włosów kawałki rzecznych wodorostów.

– Nie umiem pływać. O mało się nie utopiłem, gdy wpadłem do wody. Na szczęście znalazłem płytsze miejsce, chwalić Pomiedzy.

Barrick spojrzał na niego, a potem odwrócił się do rzeki.

– Pływa tam coś, o czym powinienem wiedzieć? Na przykład coś z dużymi zębami?

– Ja wyszedłem cało – odparł Oskard. – Ale bardzo się miotalem.

Barrick zaklął pod nosem i wszedł do wody. Gdzieś w połowie drogi do łodzi błotniste dno usunęło mu się spod nóg i dalej musiał płynąć. Zbliżył się do łodzi, oczekując, że wiosłarz odwróci się do niego, tymczasem dziwna postać wciąż siedziała mocno pochylona, jakby kręciło jej się w głowie, a potężne ramię wciąż pracowało wiosłem.

Wiosłarz zauważył Barricka dopiero wtedy, gdy ten chwycił się burty i zaczął wciągać do

środku łodzi. Zdażył ocenić, że łódź i wiosłarz są więksi, niż wydawało się z brzegu, i zauważyć długą bladą postać leżącą pod małym namiotem, a zaraz potem potężny wiosłarz odwrócił się do niego, wciąż nie podnosząc głowy.

Nie podniósł głowy, bo jej nie miał, jak się zorientował Barrick, a jedynie dwoje ogromnych wilgotnych oczu na piersi. Książę wrzasnął i wskoczył z powrotem do wody, niemal uderzając się o drugie wiosło, które unosiło się na powierzchni. Zanurzył się i zaraz wypłynął. Przestraszony, napił się sporo zielonej wody.

– Bogowie w niebiosach, a co to za demon? – wykrztusił.

– Żaden demon! – zawołał Oskard z brzegu. – To tylko blemij! Nie robi ci krzywdy!

Gdyby znajdował się na lądzie, Barrick z pewnością potrzebowałby więcej czasu, żeby zdobyć się na odwagę i wrócić, ale przecież nie mógł tkwić w wodzie w nieskończoność. Gdy ponownie wdrapał się na burtę, istota tylko spojrzała na niego, ani na chwilę nie przestając pracować wiosłem, które obracało się miarowo jak łopátka koła młyńskiego, a łódź zataczała leniwie szerokie koło.

Gdy znaleźli się blisko zgubionego wiosła, Barrick wychylił się i wyjął je z wody, po czym podał blemijowi, starając się nie patrzeć zbyt długo w tępe nieruchome oczy na jego piersi ani na puste miejsce między barkami, gdzie powinny być szyja i głowa. Wydawało się, że wiosłarz nie zwraca na nic uwagi, lecz gdy Barrick wsunął wiosło do dulki, blemij je chwycił i zaczął porządnie wiosłować. Łódź skierowała się w dół rzeki.

– Co mam zrobić, żeby popłynął do brzegu? – zawołał książę. – Czy ta przeklęta istota ma uszy?

– Połóż na nim rękę i powiedz *s'yar!* – poinstruował go Oskard. – Tylko głośno, żeby cię poczuł!

Barrick położył dłoń na ramieniu blemija, które, choć ogromne, wydawało się całkiem zwyczajne w dotyku, i wypowiedział podane słowo. Blemij wciągnął jedno wiosło, a gdy łódź zwróciła się dziobem do brzegu, znowu zaczął pracować oboma wiosłami. Niedługo potem cienki czarny kil wbił się w gąszcz trzciny i Barrick wyskoczył do wody. Gdy łódź nie mogła już dalej płynąć, blemij po prostu przestał wiosłować i patrzył na Barricka i Oskarda spojrzeniem krowy pasącej się na łące.

Przebieraniec wgramolił się do łodzi i odwinąwszy połę namiotu, przyklęknął przy nieruchomej postaci. Jego podniecenie szybko ustąpiło smutkowi, którego wyrazem były łzy.

– Jest gorzej! Umrze, zanim wrócimy do Snu!

Barrick starał się nie okazywać zdziwienia.

– Twój pan jest... z miasta Sen?

– Qu'arus to wielki człowiek – powiedział Oskard, jakby Barrick sugerował coś innego. – Wszyscy Ci, Którzy Nie śpią będą go oplakiwać.

– Kuar-rus. – Barrick spróbował wymówić to słowo. – Jest jednym z nich? Jednym z Tych, Którzy Nie Śpią?

Oskard otarł oczy, lecz łzy wciąż płynęły.

– Tak. Uratował mnie! Gdyby nie jego dobroć, już bym nie żył. I prawie nigdy mnie nie bije... – Opadł na pierś nieruchomej postaci, zanosząc się płaczem, tymczasem Barrick wszedł z powrotem do łodzi i ominąwszy ostrożnie milczącego blemija, przykucnął, by przyjrzeć się panu Oskarda.

Wprawdzie po części spodziewał się tego, ale i tak z przerażeniem spojrzał na jedwabieście szarą skórę pociągłej twarzy, jakże podobnej do twarzy Ueni'ssoha, okrutnego czarnoksiężnika na usługach półboga Jikuyina. Pan Oskarda leżał złożony gorączką, zbyt słaby, by się poruszać. Przewracał oczami, nie patrząc na nic konkretnego, a jego oczy miały ten sam dziwny kolor co

oczy Ueni'ssoha – błękitnozielone jak xandyjski jadeit, pozbawione białek. Wobec tego straszliwego wspomnienia z Wielkich Głębi Barrick musiał się powstrzymać, by nie wbić włóczni w serce leżącego, natomiast odczucia przebierańca były zupełnie inne: gdy Oskard podniósł głowę, jego oczy były czerwone, a twarz mokra od łez.

– Pozostali słudzy uciekli, gdy pan został uderzony. Nie mogłem się nim zajmować i pilnować blemijów. Popłyn z mną. Pomóż mi. Razem zawieziemy go z powrotem do Snu.

– Nie chcemy tego! – zaskrzeczał Skurn usadowiony na wysokiej rufie łodzi i zatrzepotał skrzydłami.

– Cicho, ptaszysko! – Barrick spojrział na wychudzonego sługę, a potem na jego umierającego pana. Wcześniej walka z jedwabiami i wszystko inne wydawało się oczywiste: takie było jego przeznaczenie. Podobnie jak Hiliometes czy Caylor, znajdzie rozwiązania wszystkich problemów. I oto pojawiło się jedno z nich: łódź, która zabierze go do Snu, i doradca, który pomoże mu tam przejść niezauważonym. Może Śpiący przeceniali niebezpieczeństwo, może teraz wśród Tych, Którzy Nie Śpią żyje wielu śmiertelników, takich jak Oskard.

Zarazem bał się tego, co miał zrobić. Wydawało się to zbyt proste, by mogło być bezpieczne, i przypominało świeżutką marchewkę zawieszoną przed króliczą norą... ale może tak się czuje ktoś, kto został dotknięty przeznaczeniem. Barrick jeszcze raz spojrział na blemija, zadrżał i skinął głową.

– Dobrze – powiedział. – Popłynę z tobą. Przynajmniej kawalek.

Wyposażony już w dwa wiosła, bezgłowy blemij zacisnął na nich potężne dłonie i skierował łódź w dół rzeki. Pracę ułatwiał mu dość żywy nurt, lecz dziwny wioslarz widział o wiele lepiej, niż się domyślał Barrick, i lawirował zwinnie długą łodzią między przeszkodami, co w niczym nie przypominało bezradnego kręcenia się w kółko na rozlewisku. Oskard zajmował się szarym człowiekiem, który zapadł w trochę spokojniejszy sen, Skurn zaś siedział nastroszony na wysokiej rufie albo leciał tuż za łodzią.

– Powiedziałeś, że twój pan został uderzony – zwrócił się Barrick do przebierańca. – Co się stało?

– Zaatakowali nas bandyci na ziemiach Żebraka. – Otarł mokrą szmatą szarą twarz swojego pana. – Wijce, tak na nich mówią. Pozornie wydają się normalni, ale są przeraźliwie chudzi – jak węgorze z nogami – i nigdy nie zamykają ust. Mają żółte zęby, długie jak gwoździe. – Przebieraniec w pstrokatym, podartym ubraniu zadrżał. – Jeden ze strażników pana zginął pierwszy, a potem któryś z wjiców u-ugodził pana strzałą. Razem z innym sługą... wy-wyciągnęliśmy strzałę... ale nadleciały kolejne i zginął drugi strażnik, a pozostali słudzy wyskoczyli za burtę i nigdy już nie wrócili. To było straszne! Blemije wiosłowały szybko, a wijce atakowały z brzegu, tak więc zdołaliśmy uciec, ale kolejny sługa został trafiony w plecy strzałą pomalowaną jak żmija. Umarł. A pan... p-pan wciąż zapadał na zdrowiu. – Oskard urwał zbyt wzruszony, by mówić dalej. Nieco zażenowany płaczącym tonem przebierańca, Barrick odwrócił się i obserwował przez długą chwilę porośnięty trzcina przesuwający się brzeg, aż jego rozmówca się uspokoił. – To było trzy sny temu według godzinnika pana. A potem uderzyliśmy w kamień i drugi z blemijów wypadł za burtę i utonął. Resztę sam widziałeś.

Barrick zastanawiał się przez chwilę.

– Jak mógł utonąć, skoro blemije nie mają ust?

– Mają, ale niżej, na brzuchu. Wydają nawet dźwięki, gdy są ranne albo przestraszone... takie zgrzytliwe świsty...

– Nie mów nic więcej. – Barrick nie chciał już o tym myśleć, ponieważ to wszystko wydawało mu się zbyt nienaturalne. – A co będzie, jak dotrzemy do Śnu? – Twój pan umiera, obaj to wiemy. Co się stanie z tobą... i ze mną, skoro już o tym mowa?

– My... będziemy bezpieczni, jestem pewny. – Przebieraniec powiedział to takim tonem, jakby nigdy wcześniej o tym nie myślał. – Pan był zawsze dla mnie dobry. A są jeszcze *wimmuai*, o nich też się troszczył. Pozwala im umrzeć ze starości!

– Wymi-ai? Co to za stworzenia? Jakież zwierzęta?

Oskard spuścił głowę.

– To... ludzie, tak jak ty i ja. Tylko spłodzeni i wychowani we Śnie. Pan ma ich zwykle tuzin.

Innymi słowy, niewolnicy. Ludzie-niewolnicy. Co specjalnie nie zdziwiło Barricka, jako że ani przez chwilę nie spodziewał się, że śmiertelnicy będą mieli we Śnie takie same przywileje jak Ci, Którzy Nie Śpią.

Qu'arus mówił przez sen, czy raczej przeplatał mamrotanie namiastką słów równie niezrozumiałych dla Barricka jak szept wiatru.

– Jak to się stało, że znalazłeś się u niego na służbie? – zapytał Barrick.

Oskard podniósł głowę. Jego twarz wyrażała cierpienie.

– Ja... się zgubiłem. A on mnie znalazł. Okazał mi dobroć i wziął do siebie.

– Dobroć? Ta... istota? Trudno w to uwierzyć.

Przebieraniec otworzył szeroko usta.

– Ale on był... jest...!

Barrick wzruszył ramionami.

– Skoro tak mówisz. – On wciąż miał przed oczyma innego Tego, Który Nie Śpi, Ueni-ssoha, bezlitosnego potwora. Czy to możliwe, by ten tutaj tak bardzo różnił się od tamtego? A może człowiek o imieniu Oskard jest po prostu ogłupiony swoimi doświadczeniami zza Granicy Cienia?

– Głodny – odezwał się nieoczekiwanie Skurn. Sfrunął z rufy i machając ciężko skrzydłami, poszybował nad trzciniami w kierunku lasu.

Co się stało krukowi? – zastanawiał się Barrick. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz się odezwał. Zazwyczaj nie mogę się opędzić od jego jękliwego skrzeczenia.

W miarę upływu czasu, który – jak się zdawało – rozciągnął się w kolejne dni spędzone na rzece, stało się jasne, że Skurn celowo unika towarzystwa: spędzał dużo czasu w powietrzu, a nawet gdy wracał ze swoich samotnych lotów, siadał na rufie, pomalowanej na czarno i wyższej niż Barrick, skąd w milczeniu obserwował rzekę i przesuwały się brzeg.

Może chodzi o blemija, pomyślał Barrick. Bogowie mogą zaświadczyć, że swoją brzydota mogą przstraszyć każdego.

Blemij był rzeczywiście paskudny, ale i bardzo silny, co pomagało utrzymać łódź na kursie w miejscach, gdzie prąd zmieniał się niespodziewanie, albo ominąć głazy jednym ruchem wiosła. Barrick domyślał się, że z dwoma wiosłarzami łódź mogła płynąć niezwykle szybko.

W jednym z bardziej niebezpiecznych miejsc rzeki, gdzie blemij musiał przeprowadzić łódź między dwoma ogromnymi głazami ledwo widocznymi poprzez mgiełkę, Barrick omal nie stracił lusterka Gyra. Gdy pochylał się gwałtownie razem z łodzią, która zmieniła kierunek, skórzana sakiewka wysunęła mu się zza koszuli i odbiła od ławki. Jego lewa dłoń, niegdyś niesprawna, wystrzeliła i chwyciła lusterko niczym jastrząb atakujący w locie wróbla.

Potem Barrick długo siedział wpatrzony w lusterko, zdumiony, jak zwinna jest jego lewa ręka, a zarazem przerażony tym, co się mogło stać. Głupio postąpił, będąc tak nieostrożny, bo przecież lusterko było powodem jego podróży. Zaczął przeszukiwać łódź i znalazł zwój cienkiej linki kotwicowej, od której odpiłował kawałek grotem włóczni. Potem zrobił dziurę w sakiewce, przeciągnął przez nią linkę i zawiązał mocno. Zawiesił ją sobie na szyi, a sakiewkę ponownie schował za koszulę.

Niebawem na rzece zaczęły się pojawiać inne łodzie, przeważnie małe rybackie skify, z jednym lub dwoma obdartymi Tymi, Którzy Nie Śpią. Barrick zobaczył na brzegu kilka domów, a nawet nieduże osady, w których – jak się domyślał – mieszkali tacy sami szaroskórzy ludzie jak ten w ich łodzi. Ale widzieli też większe łodzie, barki wyposażone w szerokie sinoszkarłatne żagle, a nawet długie galery poruszane wiosłami co najmniej kilku blemijów.

– Jesteśmy już blisko Snu? – zapytał Oskarda, gdy ich łódź zakotyła się rozhuśtana wysokim śladem jednej z galer, która minęła ich z dużą prędkością.

– Dzień drogi, nie, trochę więcej – odpowiedział wyraźnie rozkojarzony przebieraniec. Jego pan jeszcze żył, ale był na granicy śmierci, dlatego Oskard prawie nie odstępował go na krok.

Szarym popołudniem tego samego dnia Qu'arus wynurzył się ze swojego snu, lecz tym razem jego lśniące oczy otworzyły się i pozostały otwarte, przyglądając się wszystkiemu, choć reszta ciała była bezwładna.

– Proszę, panie, napij się trochę wody – powiedział przebieraniec i wycisnął ze szmaty kilka kropel do ust Qu'arusa.

– Oshard – wyrzeźbił szary człowiek, po raz pierwszy posługując się językiem kraju słońca; trudno było go zrozumieć ze względu na mocny akcent. – Ja ci nie idę...!

– Ale jestem tu, panie.

– Czuję... mój dom...

– Tak. Jesteśmy blisko, panie – odpowiedział sługa. – Niedługo wrócimy do domu. Bądź silny!

– Nadchodzi koniec, mały Oskardzie – wyszeptał Ten, Który Nie Śpi, a w kącikach jego popielatych ust pojawiła się różowawa ślina.

– Nie obawiaj się, panie, dożyjesz chwili, by zobaczyć swój dom.

– Nie mój... koniec – powiedział Qu'arus tak cicho, że nawet Barrick musiał się pochylić, by go usłyszeć. – To mnie... mało obchodzi. Koniec wszystkiego. Czuję to... czuję, że się zbliża. Jak zimny wiatr. – Westchnął i zamknął oczy, lecz zanim znowu zanurzył się w swoim śnie, dodał jeszcze: – Jak wiatr z ziemi zmarłych.

Przez resztę dnia Qu'arus budził się jeszcze kilkakrotnie, lecz Oskard stwierdził, że nie powiedział nic sensownego. Ten, Który Nie Śpi wciąż leżał nieruchomo i poruszał tylko ustami i powiekami: umierając, zdawał się obserwować ich obu z wyrazem nabrzmiałej strachem tęsknoty, jakby czekał, aż go wyleczą albo zabiją. Barrick mimowolnie przypomniał sobie głowę trygonackiego wieszczka Brennasa, która rzekomo żyła i przemawiała jeszcze przez trzy lata, umieszczona w szkatule, po egzekucji dokonanej przez Xandyjczyków.

W którymś momencie Barrick minął ogromnego blemija, który w milczeniu zawzięcie pracował wiosłami, i poszedł na dziób łodzi, by się rozejrzeć za Skurnem. Wychylony nieco, powiódł wzrokiem po horyzoncie, szukając kruka. I rzeczywiście dostrzegł coś w oddali, coś o wiele większego niż Skurn.

– Co to jest, burza? – zwrócił się do Oskarda. Ciemna gruda tkwiła zawieszona dziwnie nisko nad ziemią, rozciągnięta w poprzek rzeki, gęsta i czarna na dole, ale jaśniejsza w wyższych partiach, gdzie zlewała się z szarym niebem zupełnie jak plama atramentu wsiąkająca w bibułę.

Oskard pokręcił głową.

– To jest Sen – wyjaśnił.

– Miasto? Naprawdę? Jest czarne jak burzowa chmura.

– Ach! Tamto to ciemne światła. Mieszkańcy Snu nie lubią jasności świata zmierzchu przykrytego Płaszczem. Dzięki światłom mają noc, w której mogą żyć.

Barrick spojrział na plamę na horyzoncie, która zdawała się czekać na niego niczym pająk przyczajony na swojej sieci.

– Chcą więcej ciemności? A ten przeklęty przez bogów wieczny zmierzch im nie wystarczy?

– Ci, Którzy Nie Śpią kochają ciemność – odpowiedział Oskard poważnym tonem. – Nigdy nie mają jej dość.

Wreszcie kruk wrócił. Wylądował na burcie małej łodzi i zaczął muskać dziobem pstrokate pióra, spowity aurą obojętności.

– Widzisz to tam? – zapytał Barrick. – Oskard mówi, że to Sen.

– Ta, widzieliśmy. – Kruk dziobnął coś niewidocznego. – Polecieliśmy tam.

– Czy to duże miasto, czy mniejsze? Jak duże?

– Och, miasto, a jakże. Straszliwie wielkie. I straszliwie ciemne. – Skurn przekrzywił głowę wpatrzony w Barricka. – Nie słuchałeś nas, co? A teraz obaj tam płyniemy. – Kruk zaskrzeczał z odrazą i zaczął się przesuwać po burcie w kierunku rufy. – Niedobre miejsce to miasto Ludzi Nocy – zawołał. – Dobrze, że mamy skrzydła. Szkoda, że nie wszyscy.

Cech Kallikanów z Podmościa

Drżąca Dolina, pole jednej z największych bitew Teomachii, była też miejscem, w którym po raz ostatni, według powszechnej wiedzy, czarodziejski lud i ludzie walczyli po jednej stronie, choć mówi się, że w bitwie brało udział o wiele więcej Qarów niż ludzi i więcej Qarów też poległo.

– z *Traktatu o czarodziejskich narodach obojga kontynentów Eionu i Xandu*

– Wybrałem podarunki, które wydały mi się najlepsze. – Dawet miał na sobie płaszcz podróżny, jakby dopiero co zsiadł z konia. Tym razem spotkał się z Briony w Rzeczynym Ogrodzie, który ze względu na wilgotne powietrze był jednym z rzadziej odwiedzanych przez dworzan miejsc. – Przez wojny na północy i na południu wielu rzeczy brakuje, szczególnie takim niezwykłym ludziom. Obawiam się, że wydałem więcej niż kilka krabów, jak to mówią.

– Mam nadzieję, że dałam ci dość pieniędzy. – Briony wydała już prawie całą sumę, jaką pożyczył jej Eneasze.

– Wystarczyło, ale nic mi już nie zostało.

Briony westchnęła.

– Nie wiem, jak mam ci dziękować, mistrzu Dawecie. Tylu ludzi winnych mi wierność zawiodło mnie... albo zostało mi zabranych. I oto stoję tu z jedynym przyjacielem, który mi pozostał. – Uśmiechnęła się. – Kto by przypuszczał, że to będziesz ty?

Odpowiedział jej uśmiechem, ale nie był to najpogodniejszy wyraz, jaki Briony widziała na jego obliczu.

– Przyjacielu, tak, księżniczko, ale czy jedyny? Wątpię. Masz wielu przyjaciół i sprzymierzeńców w Marchii Południowej, którzy wstawiliby się za tobą – i nie tylko wstawili – gdybyś tam była.

Briony zmarszczyła brwi.

– Pewnie już wiedzą, że żyję. Wieści chyba tam dotarły, choćby i skąpe. Mieszkam tutaj całkiem jawnie od miesięcy.

Dawet skinął głową.

– Tak, Wasza Wysokość, ale wiedzieć, że monarchini żyje, to jedno, a ryzykować życie pod jej nieobecność, to coś zupełnie innego. Jaką pewność mają twoi nawet najbardziej lojalni poplecznicy, że wrócisz? Im dalej, tym wszystko wydaje się mniej pewne. Śmiem twierdzić, że gdybyś wróciła bezpiecznie do Marchii Południowej, znalazłabyś tam więcej niż kilku swoich zwolenników.

Skinęła głową i podała mu dłoń w rękawicze.

– Nie mam więcej pieniędzy, by cię wynagrodzić, mistrzu dan-Faar – powiedziała ze smutkiem. – Jak długo będę mogła polegać na twojej przyjaźni, nie mogąc się wypłacić?

Pocałował grzbiet jej dłoni, lecz jego brązowe oczy wciąż patrzyły w jej oczy.

– Możesz polegać na mojej przyjaźni bez względu na wszystko, pani, ale nie zakładaj, że jestem lekarstwem na obecny brak równowagi. Powiedz sobie, że masz do czynienia z hazardystą z czego jestem znany – tu się do czegoś najemę, tam coś zrobię, a żadne z tych zadań

nie wymaga ode mnie zbyt wielu wyrzeczeń, za to każde niesie możliwość dużej rekompensaty w przyszłości. – Puścił jej dłoń i uklonił się nisko w żartobliwym geście. – Tak, tak chyba należy spojrzeć na nasz, prawdę mówiąc... skomplikowany związek.

Na ustach Daweta pojawił się tygrysi uśmiech, jaki Briony pamiętała z dawnych dni, i aż wstrzymała oddech.

– Wracając do naszych spraw – mówił dalej Dawet – znajdziesz swój haracz w pokoju na górnym piętrze tamtej tawerny w pobliżu Podmościa – podał jej skrawek pergaminu – razem z dwoma nierzucającymi się w oczy mężczyznami, którzy przetransportują go dla ciebie. – Skłonił głowę. – Mam nadzieję, że będziesz zadowolona, księżniczko. Szczerze mówiąc, sam udział w twoich przygodach już niemal jest zapłatą. Czy możesz mi powiedzieć, dlaczego Kallikanie?

– Taka jest wola bogów.

– Jeśli naprawdę nie chcesz mi powiedzieć...

– To nie jest uprzejmy unik, mistrzu dan-Faar. Bogini przemówiła do mnie we śnie... czy też półbogini... – Zobaczyła, że Dawet się uśmiecha. – Nie wierzysz mi.

– Wręcz przeciwnie, pani. Wierzę, że dzieją się rzeczy, które nie miały precedensu od czasów bogów. Ty i twoja rodzina bez wątplenia znaleźliście się w centrum wydarzeń. Poza tą granicą moje serce kryje się nawet przed tobą, pani.

– Uczciwie powiedziane.

– I z tymi słowy cię zostawię. – Strzepnął ze spodni kilka kropel wieczornej rosy. Pochwa jego miecza uderzyła o ławkę. – Nie wiem, kiedy znowu się zobaczymy, Wasza Wysokość. Wzywają mnie inne obowiązki.

– Ty... opuszczasz miasto? – Briony poczuła ukłucie strachu zaskoczona słowami Daweta.

– Nie tylko miasto, ale i Syan, księżniczko.

– Przecież... jesteś moim jedynym prawdziwym sprzymierzeńcem. Dokąd jedziesz?

– Tego nie mogę ci powiedzieć – odparł. – Wybacz moją tajemniczość, ale chodzi o dobre imię damy. Ale bądź pewna, księżniczko, że nie jest to nasze ostatnie spotkanie. Nie muszę wierzyć w dziwne rzeczy, by mieć co do tego pewność. – Ujął jej dłoń, gdy ujrzał na jej twarzy niepewność i dezorientację. – Myślami będę z tobą, Briony Eddon. Nigdy w to nie wątp. Jeszcze nie wypełniłaś swojego przeznaczenia. Musisz w to wierzyć, gdy utracisz wiarę we wszystko inne.

Podniósł jej dłoń do ust i pocałował po raz kolejny, a potem odwrócił się i zanurzył w cień ogrodu.

– Wciąż nie do końca rozumiem, co robisz, księżniczko Briony – rzekł Eneasze.

Szli wąską drogą, która biegła równolegle do alei Latarnianej. Tutaj zwracali na siebie o wiele mniejszą uwagę, niż gdyby podróżowali główną arterią, co bardzo odpowiadało Briony. Jednak poruszając się po Tassis w towarzystwie następcy tronu, jego straży i dwóch wozów ciągniętych przez woły, nie sposób było nie przyciągnąć choćby grupki gapiów.

– W takim razie twoje zaufanie jest dla mnie wielkim komplementem. – Gdy tylko to powiedziała, Briony uzmysłowiła sobie, że mogło to zabrzmieć, jakby próbowała oczarować księcia. W końcu to dobry człowiek i jestem mu winna coś więcej niż tylko zwykłą dworską uprzejmość. – Powiedziałam wszystko, co mogłam. Gdybym ci wyjawiała więcej, porzuciłbyś wątpliwości i umocnił się w przekonaniu, że jestem szalona!

Eneasze odpowiedział śmiechem.

– Doprawdy, Briony Eddon, rozmowa z tobą nigdy nie jest zwykłą pogawędką. Choćby

tylko z tego względu byłbym szczęśliwy, mogąc ci wszędzie towarzyszyć. Tymczasem zostałem poproszony o udanie się do tej części mojego miasta, której, muszę przyznać, nie znam zbyt dobrze. Podmoście słynie swoimi dziwnymi mieszkańcami i jeszcze dziwniejszymi wydarzeniami.

– Mieszkańcy są dziwni, jeśli oceniać ich według wzrostu – odpowiedziała Briony. – Lecz jeśli choć trochę przypominają naszych Funderlingów, Wasza Wysokość, to nie wątpię, że są uczciwi i pod tym względem nie różnią się od innych.

Eneasza kiwnął głową.

– Ważne kryterium. Ale nie obarczajmy ich zbyt pochopnie cechami większych ludzi. Być może nieuczciwość, podobnie jak cena ryb i mięsa, rośnie wraz z wagą.

Briony roześmiała się mimowolnie.

Dawet dan-Faar bardzo dobrze przygotował teren na ich wizytę: gdy dotarli do Podmościa, Kallikanie od razu otworzyli bramę Cechu i zaprosili ich do środka, wszystkich, razem z wozami. Za bramą było ciemno, a sklepienie wisiało nisko nad głowami. Pojawiło się kilku stajennych, którzy wyprzęgli woły i zaprowadzili je do stajni, po czym zajęli się rozładunkiem wozów. Na swój sposób gmach Cechu stanowił własny świat, tak samo jak Latarniany Pałac – tyle że w mniejszej skali.

Przybyła grupa ubranych w zbroje strażników, którzy trzymali w rękach coś, co wyglądało jak rytualne kije do kopania, i którzy mieli zaprowadzić ich do głównej sali.

– Za pozwoleniem, pani... i panie – przywitał ich jeden z nich. – Idźcie za mną, proszę.

Uprzejmy mały osobnik przypomniał Briony polowanie na dwunożnego smoka w Marchii Południowej, podczas którego jej koń omal nie stratował Funderlinga. Tamtego dnia wszystko zaczęło iść źle, tamtego dnia wrócili na zamek i zastali wiadomość od porywacza ojca, który prosił o rękę Briony. Lecz ona przypomniawszy sobie coś jeszcze, co dotyczyło... jej zaginionego bliźniaka.

Och, Barricku, gdzie jesteś? Jej serce krwawiło, gdy wspominała jego imię, mimo to myślała o nim niemal bez przerwy. Sny o podziemiu się skończyły, Briony jednak wciąż strasznie tęskniła za bratem.

Podczas tamtego polowania Shaso uratował ich przed bestią zza Granicy Cienia, a Kendrick został wyciągnięty spod martwego konia, cały i zdrowy, nie licząc kilku siniaków i zadrapań. Wielu dworzan i myśliwych pospieszyło na pomoc jej starszemu bratu, ona zaś bardziej martwiła się o swojego bliźniaka i jego niesprawne ramię. Jednak gdy spróbowała mu pomóc, Barrick odwrócił się od niej mocno rozgniewany, wtedy Briony zapytała, dlaczego zawsze walczy z tymi, którzy darzą go miłością.

– Kiedy zabiegam o to, żeby być sam, oznacza to, że moje życie jest dla mnie coś warte – odpowiedział jej wtedy. – Gdy przestanę o to walczyć, gdy braknie mi już sił na złość, wtedy możesz zacząć się o mnie martwić.

Och, słodka, litościwa Zorio, Briony zaczęła się modlić, bez względu na to, gdzie jest mój brat, daj mu siły do walki, proszę. Niech zachowa swoją złość!

Członkowie Cechu Kallikanów z Podmościa, jak go nazwał Dawet, czekali już w głównej sali. Mali Funderlingowie, usadowieni w ławkach, przyglądali się w milczeniu przybyszom, co tylko potęgowało wrażenie, że Briony i książę są aktorami, którzy wyszli na scenę w niezwykle maskach. Proporcjonalnie do rozmiarów mieszkańców Podmościa sala była nieduża i niska. Na środku najbliższej ławki siedział pulchny człowieczek z ogromną kędzierzawą brodą, w wysokiej czapie. Gdy strażnicy pokazali im, gdzie mają stanąć, imponujący osobnik uniósł dłonie.

– Witaj, księżniczko Briony z Zamku Marchii Południowej – przemówił z takim samym

akcentem, jaki się słyszało u przeciętnego Syańczyka, co Briony przyjęła z ulgą, ponieważ obawiała się, że Kallikanie mogą mieć własny język. – Jestem Mistrz Cechu Dolomit.

Briony dygnęła ostrożnie.

– Dziękuję, mistrzu. To miło z twojej strony, że tak szybko zgodziłeś się mnie przyjąć.

– Ty zaś, księżniczko, okazałaś nam życzliwość swoimi wspaniałymi darami. – Uśmiechnął się, gdy jeden ze strażników podszedł, by przekazać listę. – Dwa tuziny ostrzy kilofów Yistich – przeczytał i zagwizdał cicho z zadowoleniem. – Najlepsze, tną jak diament, a mocne jak kości ziemi! Do tego pięćdziesiąt cetnarów marmuru z Ulos. – Pokręcił głową z uznaniem. – Doprawdy, bogate dary. Od roku nie mieliśmy tak doskonałego materiału! Twoja szczodrość, księżniczko, wprawia nas w zdumienie. – Spojrzał na pozostałych członków Cechu, po czym ponownie skierował uważne spojrzenie na Briony. – Zastanawiamy się tylko, jaki jest powód twojej hojności. Nawet nasi ziomkowie mieszkający poza Tesis nie odwiedzają nas w tych dniach, nie wspominając już o podarunkach.

– Chodzi o przysługę, oczywiście. – Briony wielokrotnie odgrywała podobne sceny uprzejmych pochlebstw i trudnych pytań. – Wasza mądrość z pewnością wam to podpowiedziała.

– Rzeczywiście, domyśliliśmy się tego – odpowiedział Dolomit. – I naturalnie wysłuchamy, jakaż to potrzeba sprowadza w nasze skromne progi tak ważną osobę. Ale najpierw chcielibyśmy się czegoś dowiedzieć. – Kallikanin spojrział na Eneasza, który stał szczerze zawinięty w płaszcz podróżny. – Kim jest twój towarzysz, taki milczący i czujny? Czemu ukrywa się w naszym domu pod kapturem jak przestępca?

Kilku strażników Eneasza wydało gniewne pomruki i pewnie sięgnęliby po broń, lecz Briony zobaczyła, że księżę powiedział coś do nich szeptem, powstrzymując ich.

– Ty... chcesz powiedzieć, że... nie wiecie...? – Briony w duchu przekłęła samą siebie za głupotę. Dawet nie poinformował Kallikanów o tym, kto będzie jej towarzyszył, choć go o to prosiła. Przypadek czy też celowe działanie?

– Nie. A skąd mielibyśmy wiedzieć? – zapytał Dolomit.

– Bo to jest wasz pan! – zawołał jeden ze strażników, którego oburzenie wzięło górę nad nakazem księcia. W sali rozległy się pomruki zdziwienia. – Księżę Eneasza, syn i następca waszego króla Enandera!

Zorio, ratuj mnie przed własną głupotą! Briony przeraziła się tym, co narobiła. Powinna była przedstawić księcia na samym początku, a właściwie nie powinna w ogóle go tam przyprowadzać. Podała się własnej słabości, zapraszając silnego mężczyznę, by jej towarzyszył, zamiast wziąć sprawy w swoje ręce. A teraz bogowie tylko wiedzą, co się stanie.

Eneasza odrzucił kaptur, wywołując kolejną falę szeptów podobną do jazgotu wystraszonych ptaków. Część Kallikanów zerwała się z miejsc i padła na ziemię; nawet mistrz Cechu zdjął wysoką czapę i zaczął się gramolić z siedzenia, by skłonić się przed księciem.

– Wybacz nam, Wasza Wysokość – zawołał. – Nie wiedzieliśmy! Nie chcieliśmy obrazić ani ciebie, ani twego ojca!

Przerażona Briony obserwowała zmianę, jaka zaszła w ludziach, którzy jeszcze kilka chwil wcześniej byli tacy spokojni i subtelni.

– To moja wina! – powiedziała.

– Nie, moja – sprzeciwił się Eneasza. – Uznałem, że będę trzymał się z boku i pozwolę księżniczce Briony załatwić swoją sprawę. Nie powinienem był ukrywać twarzy przed własnymi poddanymi. Proszę o wybaczenie.

Kallikanie odetchnęli, usłyszawszy słowa księcia. Niektórzy nawet się uśmiechali i kiwali głowami, wracając na swoje miejsca na ławkach, jakby byli świadkami zabawnego, choć może trochę strasznego żartu.

– Jesteś bardzo uprzejmy, książę. – Dolomit spoglądał niepewnie to na Briony, to na Eneasza. – Oczywiście spełnimy prośbę księżniczki, Wasza Wysokość.

Teraz Briony poczuła nieprzyjemny ucisk w żołądku. Przyprawiając ze sobą Eneasza, nie dała Kallikanom wyboru, mogli tylko spełnić jej życzenie. Był to dobry sposób na zdobycie czegoś, lecz nie na pozyskanie prawdziwych sprzymierzeńców.

– Szczerze mówiąc – zwróciła się do Dolomita i pozostałych Kallikanów – poprosiłam księcia, by mi towarzyszył, bo jest jednym z moich nielicznych przyjaciół tutaj, w Syanie, a ja nie mogłam opuścić pałacu bez eskorty.

– Chyba duzi z Latarnianego Pałacu nie uważają, że możemy stanowić zagrożenie dla szlachetnie urodzonej kobiety? – zapiszczał siedzący obok Dolomita zasuszony mały Kallikanin, głosem, który wyrażał niemal zadowolenie.

– Nie, ale nie wątpię, że moglibyście być niebezpieczni dla wrogów Syanu – rzekła Briony. – To nie was się jednak obawiałam. Jeden z moich ziomków został niedawno zaatakowany na ulicach Tesis, dlatego moi przyjaciele nie chcą, żebym sama poruszała się po mieście.

– A czy dla młodej damy może być lepszy towarzysz niż nasz słynny książę? – dodał Dolomit. – Wstyd nam, że cię nie poznaliśmy, książę Eneaszu.

– To ja powinienem od razu się przedstawić, mistrzu Dolomicie, ale cieszę się, że wreszcie się spotkaliśmy. Słyszałem wcześniej, jak ludzie godni zaufania wyrażali się o tobie z wielką aprobatą.

– Wasza Wysokość jest zbyt łaskawy. – Dolomit promieniał dumą i wydawało się, że zaraz zacznie głośno kumkać, nadęty niczym żaba podczas wiosennych powodzi.

Briony wreszcie odetchnęła z ulgą, widząc, że mimo popełnionych błędów przebrnęli przez pierwsze przeszkody.

– Nie będę dłużej marnować twojego czasu, mistrzu – powiedziała. – Oto, z czym przychodzę. Czy możesz mi pokazać wasz najstarszy bęben?

– Bęben? – Uśmiech na twarzy Dolomita powoli zanikał, ustępując miejsca zdziwieniu i dezorientacji. – Nasz najstarszy... bęben?

– Tylko tyle wiem. Powiedział mi o tym ktoś... ważny.

Kallikanie zaczęli cicho szeptać między sobą, także ci siedzący w pierwszym rzędzie po obu stronach mistrza, lecz wyrażali przeważnie zdumienie.

W pewnym momencie mały zasuszony Kallikanin, siedzący tuż obok mistrza Cechu, zaczął przebierać palcami podekscytowany.

– Och, a niech mnie oskarpują, coś mi przyszło do głowy – powiedział i zmarszczył czoło tak mocno, że cała jego twarz niemal schowała się w brodzie. – Ale nie, to głupie! Chyba nie chodzi o...?

– Na Starszych Ziemi! – rzucił Dolomit. – Podzielisz się wreszcie z nami swoją myślą, Cerusycie?

– Tak mi... przyszło do głowy... – Stary Kallikanin zaczął przebierać palcami jeszcze szybciej, przez co przypominał rzeczną miękławkę, i przestał dopiero, gdy się zorientował, że to robi. – Może gdy mówiła o bębnie... miała na myśli... bębnowce?

Gdy to powiedział, ustały wszystkie szepty i w sali zapadła całkowita cisza. Spojrzenia zdumionych Kallikanów skierowały się na Briony.

Pewnie nawet bogowie mają mnie dość, pomyślała księżniczka. Co ja znowu narobiłam?

Dni są coraz dłuższe, zauważył z satysfakcją Theron pielgrzym: jeszcze długo przed

wieczornym posiłkiem słońce zachodzące za wzgórzami po drugiej stronie rzeki stało na tyle wysoko, by powlec miedzią wody Pellos. A to oznaczało, że zdąży dotrzeć do Welonu Onsilpii, najważniejszego na północy celu pielgrzymek, przed Świętem Pokutnym obchodzonym podczas przesilenia letniego, dzięki czemu zadowoli klientów. Od młodości zajmował się prowadzeniem karawan pielgrzymów, lecz wiedział, że pomimo zdobytego doświadczenia wciąż musi się liczyć z niespodziankami. Z tego też powodu prowadził tę karawanę daleko na południe od Zatoki Brenna. Nie chciał mieć nic wspólnego z tymi wszystkimi szaleństwami, które działy się w Marchii Południowej, jak słyszał, gdzie zamek był oblegany przez czarodziejski lud, a rodzina królewska została rozgoniona na cztery wiatry.

Właśnie skończył omawiać z Avidem, swoim uczniem, sprawy dotyczące dostaw żywności, gdy pojawił się służący kalekiego mężczyzny.

– Chce z tobą porozmawiać – zwrócił się chłopak do Theron.

Ten zaklął cicho pod nosem i rozejrzał się za obdartym, otoczonym złą aurą żebrakiem. Nie, zreflektował się, nie powinien tak nazywać tego człowieka, bo trudno nazywać żebrakiem kogoś, kto płaci całego złotego delfina za możliwość przyłączenia się do pielgrzymki tylko przez część drogi.

Theron poszedł za chłopakiem i zobaczył kalekę u stóp niewielkiego wzniesienia z dala od pozostałych pielgrzymów. Twarz mężczyzny, ciemną i owiniętą bandażem, jak zawsze zasłaniał kaptur, dlatego Theron nigdy nie widział jej wyraźnie; mężczyzna nigdy też nie interesował się pozostałymi pielgrzymami, poza chwilami, kiedy grzał się przy ognisku albo jadł posiłek spożywany przez wszystkich ze wspólnego kotła. Zawsze mówił za pośrednictwem chłopaka, a i to zdarzało się rzadko, dlatego teraz Theron się zdziwił, że mężczyzna domaga się rozmowy.

Kaleka wydawał się spoglądać nad terenem pofałdowanym wzgórzami w kierunku szerokiego łuku rzeki Pellos. Widoczny w oddali wół, podobny do mrówki na gałęzi, szedł ścieżką wzdłuż brzegu, ciągnąc barękę, a na rozlewisku wokół zakola na wodzie kołysało się kilka łodzi rybaków z Silverside, którzy zarzucili sieci.

– Piękny wieczór, co? – zagadnął Theron, podchodząc. Miał nadzieję, że będzie mógł udać się na swoje posłanie w towarzystwie flaszki wina, którą trzymał schowaną w podróżnym kufierku. Nie chodziło o to, że pielgrzymi mogliby wyrazić swoją dezaprobatę dla tego, że krzepi się winem, chował ją raczej dlatego, że wtedy nie musiał się z nikim dzielić. Wiedział, że napelni flaszkę dopiero w Welonie Onsilpii, od którego dzieliły ich jeszcze długie dni drogi.

Zakapturzony mężczyzna machnął zabandażowaną ręką, a towarzyszący mu chłopak wspiął się na palce, by lepiej usłyszeć jego słowa.

– Jak daleko jest stąd do Marchii Południowej? – zapytał chłopak.

– Do Marchii Południowej? – zdziwił się Theron. – Co najmniej dekanox, a i to trzeba by jechać prawie przez cały dzień. Z taką karawaną jak nasza, bliżej miesiąca. Ale oczywiście my nie jedziemy w tamtą stronę.

Zgarbiony mężczyzna znowu szepnął coś chłopakowi do ucha.

– Chce, żebyś go tam zabrał.

– Co? – Theron się roześmiał. – Myślałem, że twój pan nie domaga tylko na ciebie, a nie na umyśle, ale widzę, że się myliłem. Rozmawialiśmy już o tym, gdy przyłączył się do nas jeszcze w Onir Plessos. Ta karawana nie jedzie do Marchii Południowej ani nawet w tamtym kierunku. Odtąd już tylko będziemy się oddalać od tamtych stron. – Zamachał rękami. – Jeśli twój pan chce sam jechać dalej, to nie będę go zatrzymywał. A nawet pomodłę się za niego, bo bogowie wiedzą, że bardzo mu się to przyda, tak jak i tobie, mały. Mówią, że na terenach na północ stąd można spotkać coś gorszego niż zwykłych rzezimieszków i bandytów, coś o wiele gorszego. – Nachylił się do chłopaka. – Goblinsy, mówią. A także elfy i złe duchy. Istoty, które ukradną ci nie

tylko pieniądze, ale też samą duszę. – Theron się wyprostował. – Dlatego jeśli zależy mu, żeby zachować swoje pieniądze, to zostanie z nami aż do Welonu Onsilpii. Wiem, że ukrywa przed nami, co z nim jest nie tak, ale ja się domyślam. Powiedz mu, że jest tam leprozorium, w którym potrafią się zająć swoimi podopiecznymi.

Chłopak znowu przystawił ucho do kaptura mężczyzny, z którego popłynął szept, i zaraz odwrócił się Theron.

– Mówi, że nie choruje na trąd. Twierdzi, że zmarł, ale bogowie sprowadzili go z powrotem. To nie jest żadna choroba, tak mówi.

Theron wykonał znak odczynienia uroku, lecz zaraz się zreflektował i zrobił znak Trzech.

– Głupoty gada. Zmarli nie wracają. Z wyjątkiem Sieroty, ale on był ulubieńcem bogów.

Obaj, Theron i chłopak, czekali na odpowiedź zakapturzonego mężczyzny, lecz on nic nie powiedział i tylko stał wpatrzony w wypełniającą się mrokiem dolinę przeciętą srebrzystą wstęgą rzeki Pellos.

– Nie zamierzam tu stać do rana – odezwał się wreszcie przewodnik karawany. – Miło było pogadać – dodał, gdyż przypomniał sobie, jak sowitą zapłatę otrzymał od mężczyzny. – Jeśli jeszcze nie jadłeś potrawy z rzepy, to polecam. Na samym dnie znajdzie się kilka kawałków baraniny. Jak nie będziesz wybrzydzał, to nikt nie zauważy. A teraz muszę już iść. Mam jeszcze dużo pracy. – W tym, przypomniał sobie, odnaleźć w kufierku flaszkę z winem. Od razu zrobiło mu się milej na duszy, gdy o niej pomyślał. Może nie był już tak pobożny jak kiedyś, ale mimo wszystko wykonywał bożą pracę. Bogowie z pewnością darzyli go swoją przychylnością i dobrze życzyli Theronowi pielgrzymowi, synowi Lucosa garncarza. Patrzcie tylko, jak daleko już zaszedł!

Kaleka wyjął coś spod szaty i podsunął zabandażowaną dłoń chłopakowi, potrząsając nią jak maczugą. Mały pomocnik wziął od niego przedmiot i wysłuchawszy krótkiej instrukcji, przekazał Theronowi.

– Mówi, że więcej nie ma. Możesz zatrzymać wszystko.

Przez chwilę Theron gapił się na umorusanego chłopaka, a potem wziął od niego sakiewkę. Od razu poczuł, że jest ciężka, a w miarę jak zaczął wysypać na rękę jej zawartość, dłoń drżała mu coraz bardziej, i to wcale nie z powodu ciężaru sakiewki.

Złote monety. Co najmniej tuzin. Do tego srebrne i miedziane, w sumie kolejne dwa lub trzy delfiny. Theron podniósł głowę, lecz kaleka wciąż stał wpatrzony w dolinę, jakby właśnie wcale nie pozbył się sumy na tyle dużej, by Theron, żyjący dostatnio, lecz ciężko pracujący przewodnik karawan, zmienił się w pana, który nie musi pracować i może zamieszkać w domu ze służbą, bogaty w ziemię i inwentarz.

– Za co to? Po co mi to pokazał?

– Mówi, że musi dotrzeć do Marchii Południowej – odpowiedział chłopak po krótkiej rozmowie z mężczyzną. – W tym celu bogowie sprowadzili go z powrotem. Ale potrzebuje kogoś, kto mu pokaże drogę, bo sam jej nie znajdzie, nawet... nawet przy mojej pomocy. – Chłopak skrzywił się, gdy mówił ostatnie słowa, wyraźnie urażony. – Jego oczy wciąż widzą w równym stopniu świat zmarłych i świat żywych. Boi się, że się zgubi i przybędzie za późno.

Theron zorientował się, że stoi z szeroko otwartymi ustami, jakby ktoś zostawił otwarte na oścież drzwi. Po chwili zamknął je i znowu otworzył.

– Za późno?

– Po letnim przesileniu. Wtedy będzie za późno. W noc letniego przesilenia obudzą się wszyscy Śpiący. Słyszał to, gdy był w krainie bogów.

Przewodnik karawany pokręcił głową z niedowierzaniem, a gdy wreszcie zdołał dobyć z siebie głos, bąkał tylko niewyraźnie:

– Nie... nie wiem, czy... do-dobrze cię zrozumiałem. – Wcześniej nawet mu się nie śniło, by kiedykolwiek mógł trzymać w ręku taką sumę, w czym, jak sądził, nie różnił się od reszty pielgrzymów. O ile wiedział, byli to bogobojni ludzie, choć nigdy nie sprawdzał zbyt dociekliwie ich uczciwości. – Twój pan chce zapłacić tyle pieniędzy... za co właściwie?

Po krótkiej i cichej naradzie chłopak odwrócił się i powiedział:

– Za to, że zaprowadzisz go do Marchii Południowej. I będziesz go ochraniał. Dasz mu jedzenie i konia. – Chłopak nastawił ucha, gdy mężczyzna wyszeptał coś szybko. – W zasadzie nie chodzi mu o samą Marchię, a o Zamek Marchii Południowej. Ten, który stoi na wyspie pośrodku zatoki.

Nawet mając w ręku tak niewiarygodną sumę, Theron wciąż się wahał, nie dlatego, że musiałyby opuścić pielgrzymów, lecz dlatego, że miałyby się udać na północne ziemie pełne nieznanymi zagrożeniami, gdzie trwała wojna mieszkańców Marchii i legendarnego czarodziejskiego ludu. Ostatecznie jednak ciężar trzymanego złota pomógł mu podjąć decyzję.

– Avidelu! – zawołał. – Przyjdź tutaj!

Theron schował monety z powrotem do sakiewki i przywiązał ją do pasa podwójnym węzłem. Pozostało mu tylko przekazać uczniowi karawanę.

Pochód, który ruszył korytarzami za salą Cechu, był dość liczny. Briony, Eneasz i jego straż podążali za mistrzem Dolomitą, który szedł w otoczeniu innych członków Cechu – w tym, co Briony zauważyła z zadowoleniem, co najmniej jednej kobiety – a także zaszuszonego małego Cerusy, który okazał się kimś w rodzaju kapłana. Cerusytowi towarzyszyło dwóch ogromnych akolitów – ogromnych przynajmniej według kallikańskich standardów – którzy kroczyli za nim, niosąc coś, co składało się z glinianych naczyń i opadających skórzanych rurek i wydzielalo parę. Gdy Briony zapytała uprzejmie, co to takiego, Cerusyt odpowiedział jej ochoczo, że to replika rytualnego Świętego Miecha.

– Świętego Miecha?

– Tak. – Cerusyt pokiwał energicznie głową. – Bóg posłużył się nim, gdy tworzył wszelkie życie na ziemi.

– Który bóg?

Starzec przez chwilę przyglądał się jej z powagą, a potem uśmiechnął się i puścił do niej oko.

– Nie wolno mi mówić tego na głos, Wasza Wysokość... ale Syańczycy czczą go każdego roku podczas Kernejów. – Po chwili mrugnął ponownie, tym razem jeszcze wyraźniej, jakby chciał się upewnić, że księżniczka go zrozumiała.

Dziwny pochód podążał, jak się początkowo wydawało, korytarzami za salą Cechu, lecz z czasem Briony się zorientowała, że niektóre zakręty nie są na tyle ciasne, by korytarz mógł się mieścić w budynku normalnej wielkości, nawet bardzo dużym. Do tego w wielu miejscach wyraźnie opadał.

Eneasz także zwrócił na to uwagę.

– Ciekawe, jak daleko prowadzi? – zapytał cicho księżniczkę. – Niektórzy z moich przodków próbowali powstrzymać Kallikanów przed kopaniem pod Tesis, ale widzę, że chyba im się to nie udało. Takie korytarze musieli drążyć przez długie lata!

Rzeczywiście, ściany, które w pobliżu sali Cechu wyłożono boazerią z ciemnego drewna, tutaj były z surowego kamienia, pięknie wypolerowane i pokryte płaskorzeźbami, czasem wysadzane różnymi rodzajami kamieni, co wyglądało pięknie, nawet tylko w świetle lampy.

– Na Trzech Braci – zdziwił się Eneasze, gdy wciąż podążali korytarzem – czy oni przekopali się do samego Esterian?

– Nie rób im wymówek! – odpowiedziała Briony błagalnym głosem i zaraz się zawstydziła. – Przepraszam. Nie mam prawa mówić ci, jak powinienes traktować podwładnych, ale to ja ich tutaj wyciągnęłam. Nie chciałabym, żeby przez to mieli kłopoty.

Eneasze roześmiał się, choć nie był to wesoły śmiech.

– Nie obawiaj się, księżniczko. Nie będę przykrym gościem, ale daje mi to do myślenia. Jeśli ci spokojni Kallikanie potrafią tak łatwo ignorować nasze prawo, i to tuż pod naszym nosem, to jakie inne niespodzianki zastanę w dniu, w którym przyjdzie mi zaprowadzić porządki w Syanie?

Wpatrując się w twarz księcia, tak wyraźną i napiętą w blasku lampy, Briony po raz kolejny poddała się zupełnie przeciwnemu impulsowi.

Ferrasie Vansen. Czy byłeś prawdziwy? Czy zobaczyłam to, co wydawało mi się, że widzę – czy dostrzegłam twoje uczucia tak wyraźnie, jak sądziłam? A jeśli to był tylko mój wymysł? A nawet jeśli nie, to co pocznę z tym mężczyzną, tym dobrym człowiekiem, który stara się być uczciwy? – spytała samą siebie. Nie była mu obojętna – sam to powiedział – i był dokładnie tym, kogo Marchia Południowa w tej chwili potrzebowała... Jednak Briony nie potrafiła ogarnąć myśłą tego wszystkiego. Jej uczucia przypominały bańki wody wrzącej w naczyniu, tu pojawia się jedna, druga wyskakuje w innym miejscu, a potem niespodziewanie pojawiają się dwie naraz albo jeszcze więcej.

Wreszcie, gdy pokonali wiele korytarzy i zakrętów i zeszli co najmniej kilkanaście sążni poniżej sali Cechu, jak się domyślała Briony, dotarli do miejsca, w którym korytarz się rozszerzał i przechodził w coś w rodzaju szerokich schodów z płytkimi stopniami wyciętymi zapewne dla stóp Kallikanów. Prowadziły one do drzwi ozdobionych rzeźbionymi wzorami, które dziwnie się wyciągały w migocącym świetle lampy. Briony dostrzegła mężczyznę jadącego na rybie i innego, który zawiązywał ogromnego węża w skomplikowany supeł, lecz inne rzeźby pozostały dla niej niezrozumiałe.

Kilku spośród mieszkańców Podmościa wysforowało się do przodu i uderzyło kijami w metalowe okucie drzwi. Po długiej chwili oczekiwania ogromny portal otworzył się, odsłaniając wewnątrz rozjaśnione światłem lamp. Mistrz Dolomit pierwszy przekroczył próg, a pozostali podążyli za nim.

Gdy ostatni członkowie grupy weszli do sali tylko trochę większej niż sala Cechu i drzwi zamknęły się za nimi, z korytarza wychodzącego w przeciwnym końcu pomieszczenia wynurzyło się kilku Kallikanów ubranych na czarno, tak samo jak Cerusyt. Poruszając się szybko, ślizgali się na wypolerowanej kamiennej podłodze, jakby szli po tafli zamrożonego jeziora. Padli na twarze przed mistrzem i kapłanem, a potem wstał tylko jeden i dość pospiesznie wykonał serię rytualnych gestów. Był równie mały jak Cerusyt, za to znacznie młodszy i bardzo chudy, miał też mocno wytrzeszczone oczy, jakby się czegoś bardzo przestraszył.

Jego oczy jeszcze się powiększyły, gdy skończył rytualne powitanie i spojrzał na Dolomita i Cerusyta, a potem na pozostałych, którzy z kolei spoglądali na niego zdumieni. Stał wpatrzony w Briony, Eneasza i jego strażników, którzy przy Kallikanach byli wielcy jak ogry. Przez chwilę Briony się wydawało, że mały człowieczek padnie trupem.

– Och, na Wielkie Kowadło – odezwał się wreszcie Kallikanin zwracając się do Dolomita. – Na Wielkie Kowadło Pana, skąd wiedziałeś? Skąd?

Mistrz patrzył na niego długą chwilę, a potem prychnął zniecierpliwiony:

– Co skąd wiedziałem, Kred? O czym ty bełkoczesz, w imię Dołu? Przyszliśmy zrobić użytek z bębnowców. Na polecenie samego księcia Syanu!

Przez chwilę Kreda patrzył na niego zaskoczony, a potem zerknął na ogromnych gości i wybuchnął płaczem.

Gdy wreszcie się opanował, poprowadził wszystkich w głąb czegoś, co przypominało świątynię, o której jednak Kallikanie nie chcieli specjalnie mówić.

– Chodzi o to, że... od dziesięcioleci nie mieliśmy takich wiadomości, ani jednej od czasów mojego ojca – wyjaśnił Kreda. – A i wtedy był bardzo młody! Tak więc możecie sobie wyobrazić, na Wielkie Kowadło, że gdy usłyszeliśmy... no, właśnie biegłem, żeby wam powiedzieć...

– Człowieku, powstrzymaj swój język na moment, bo aż brzęczy mi w głowie – rzekł strażnik. – Chcesz powiedzieć, że ktoś posługiwał się bębnowcami?

– Kto mógłby to zrobić bez zezwolenia? – zapytał Cerusyt, a jego mała broda najeżyła się niczym pióra rozgniewanego koguta. – Postawimy go przed całym Cechem, i to natychmiast!

– Nie, nie! – jęknął Kreda tak żalosnym tonem, że Briony się przestraszyła, iż znowu zaleje się łzami. – To bębnowce przemówiły! Do nas! Po raz pierwszy od czasów mojego ojca!

– Co? Co ty mówisz? – dopytywał się mocno zaskoczony Dolomit. Pozostali Kallikanie zaczęli szeptać między sobą podekscytowani. – Kto do nas mówi?

Kreda otworzył drzwi ostatniej komnaty świątyni, ciemniejszej niż pozostałe. Ścianę naprzeciwko wejścia prawie w całości wypełniał krąg nieobrobionego kamienia, wokół którego wyrzeźbiono fantastyczne wzory.

– Ludzie z Domu Pana, nasi kuzyni z Marchii Południowej.

Briony nie potrafiła dłużej zachować milczenia.

– Twierdzisz, że otrzymaliście wiadomość od Funderlingów z Marchii Południowej? Na miłość bogów, co powiedzieli? – Dreszcz strachu, jaki czuła jeszcze chwilę temu, niemal całkowicie zastąpiła oszałamiająca radość. Tak jak powiedział Dawet, działały się dziwne rzeczy – coraz więcej z każdą chwilą. Śniła o półbogini, a jej sen spełniał się na jawie.

Kreda spojrział na swoich przełożonych, czekając na ich przyzwolenie, zanim zaczął mówić:

– Oni... ci z Marchii Południowej powiedzieli... trudno to wyrazić zwykłymi słowami, ponieważ bębnowce przemawiają we własnym języku – naszym dawnym języku, który jest bardziej zwięzły. – Zmarszczył blade czoło, wpatrzony w swoje dłonie, próbując sobie przypomnieć. Wiadomość brzmiała tak: „Mistrz dużych wrócił cały i zdrowy z Dawnych, Mrocznych Ziem. Przewodzi nam teraz. Za murami atakują Starzy i nie wytrzymamy długo. Wzywamy was, byście przez wzgląd na wspólnie rozlaną krew i wspólną opowieść przysłali nam pomoc”. – Kreda podniósł głowę i zamrugał. – Mniej więcej to wszystko.

Briony pokręciła głową.

– Ale co to znaczy? Mistrz dużych. Duzi to my, czy tak? Tak nas nazywacie. Tylko że my nie mamy mistrza, lecz króla. – Jej serce zabiło gwałtownie. – Czy mieli na myśli mojego ojca? Wrócił do domu? A gdzie są Dawne Ziemie? – Serce biło jej coraz szybciej, lecz Dolomit pokręcił tylko głową.

– Nie sądzę, by mieli na myśli twojego ojca, księżniczko. Wszystkim wiadomo, że jest uwięziony na południu, w Hierosolu. A Dawnymi Ziemiami nazywamy kraj leżący za Granicą Cienia. To ziemia tych, których nazywacie czarodziejskim ludem. Qarów.

Na chwilę Briony poddała się rozczarowaniu, lecz zaraz w jej sercu znowu pojawiła się nadzieja, niczym herold dmący w trąbę.

– Mistrz dużych powrócił z ziemi czarodziejskich ludzi? – Jej serce znowu galopowało. – To mój brat, nikt inny, tylko mój brat Barrick! Wrócił! Och, chwalić Zorię! – Ku zdumieniu i przerażeniu malutkiego Kallikanina, Briony pochyliła się i pocałowała go w czoło. Książę

Eneasz roześmiał się, lecz pozostali Kallikanie patrzyli mocno zdumieni. – Szybko! Szybko! – zwróciła się do Dolomita i Cerusyta. – Czy możemy im odpowiedzieć? Powiedzcie im, że tu jestem, i przekażcie, że muszę porozmawiać z bratem!

Za pozwoleniem przełożonych Kreda i jego towarzysze przynieśli drabiny i długie pałki używane najwyraźniej tylko podczas ceremonii – a i to pewnie rzadko, sądząc po tym, jak trudno było je znaleźć. Kreda znowu zaczął pochlipywać, tym razem dając wyraz swemu przerażeniu, jako że nigdzie nie było ostatniej drabiny, której kiedyś używano do napełniania sufitowej latarni i której nie zwrócono. Wreszcie wszystko zostało przygotowane. Kreda usiadł u stóp Briony z glinianą tabliczką i kamiennym rylcem, by zapisać wiadomość i przełożyć ją na język bębnowców.

Podmoście do Domu Pana, witajcie! Słyszymy wasze słowa i je wychwalamy! Są tu nasz mistrz i hierofant. Także mistrzyni matka dużych z Domu Pana, która tu przychodzi, ale szuka swojego brata tam. Przebębniście nam jego słowa. Witamy was, bracia, i postaramy się wam pomóc, ale musimy wiedzieć więcej.

– Mistrzyni matka? – zdziwiła się Briony, gdy Kreda przekazywał wiadomość pomocnikom, którzy potem zaczęli uderzać w kamienny krąg na ścianie, jakby to był prawdziwy bęben, wybijając zakończonymi kamieniami pałkami dziwną arytmiczną melodię. – Trochę to mylące.

– Oni chyba nie mają w swoim języku słowa „księżniczka” – zauważył rozbawiony Eneasz. – Aż się boję zapytać, jak mnie nazywają.

Gdy już dwukrotnie przebębniiono całą wiadomość, wszyscy pozostali na swoich miejscach, pełni oczekiwania – najpierw stali w milczeniu, a potem usiedli, gdzie kto mógł – lecz nie otrzymali odpowiedzi.

– Albo odeszli – rzekł hierofant – co wydaje się dziwne, zważywszy na to, że dopiero co przysłali nam wiadomość, albo coś przerwało komunikację. Spróbujemy posłać im tę samą wiadomość jeszcze raz wieczorem i damy znać do pałacu, jeśli otrzymamy odpowiedź.

– Jesteście bardzo uprzejmi – odpowiedziała Briony, czując, że jej początkowa radość topnieje. Może źle zrozumiała wiadomość. Albo Kallikanie coś źle odczytali.

– Chodź, księżniczko – rzekł Eneasz. – Czas wracać.

Pozwoliła się poprowadzić z powrotem przez labirynt korytarzy do prawdziwego świata wypełnionego popołudniowym słońcem.

Porażka tysiąca poetów

Księga Trygonu podaje, że wojna bogów miała miejsce za panowania morskich królów z Xis, na wiele wieków przed założeniem Hierosolu. Relacja z bitwy na Drżącej Równinie zawiera pierwszą w historii wzmiankę o legendarnej królowej Ghasamez (albo Jittsammes, jak nazywają ją Vutowie), która poprowadziła armię w imieniu Zmeosa i pozostałych awanturniczych bogów.

z Traktatu o czarodziejskich narodach obojga kontynentów Eionu i Xandu

– Przedarli się! Czarodziejscy ludzie się przedarli! – Jeden ze strażników Jaspisa Młota, cały zakrwawiony, wpadł do komory bębnowców, zataczając się jak pijany.

Ferras Vansen zerwał się na nogi tak gwałtownie, że omal nie przewrócił stojącego obok mnicha. Na szczęście Funderling właśnie przestał bębnić w kamienie na ścianie czymś, co przypominało wycior armatni, i wiadomość Vansena została posłana w głąb ziemi, także do Funderlingów w Tesis, miał nadzieję.

– Gdzie się przedarli? – zapytał. – Ilu?

Dwaj świątynni bracia podtrzymywali rannego strażnika.

– Nad Rytualnymi Komnatami – rzucił Funderling – ale dotarli prawie do pieczary świątynnej. Dowódca Jaspis i inni wycofali się do przewężeń przed Opadłą Kurtyną, ale... nie wytrzymają długo... musicie... – Mężczyzna zachwiał się i głowa opadła mu na pierś.

– Niech się nim zajmą starsi bracia – polecił Vansen. – A jak oprzytomnieje, niech odpocznie, a potem wróci do nas, bo potrzebny nam każdy człowiek. Gdzie jest magister Cynober?

– Z oddziałem strażników poszedł zbadać podejrzone zapadlisko pod Pięcioma Łukami – odpowiedział brat Nikiel. – Szybko nie wrócą.

– W takim razie potrzebny mi ktoś inny. Potrzebuję ludzi, którzy udadzą się ze mną do Rytualnych Komnat. Nie potrafię się tutaj poruszać bez przewodnika. – Bolesne doświadczenie pokazało, że jego zdolności orientacyjne są bezużyteczne w ciemnych korytarzach. Odwrócił się i powiódł wzrokiem po komorze bębnowców. – Właściwie to wszyscy tu obecni są mi potrzebni, bracie Niklu. Co najmniej połowa naszych strażników przebywa poza świątynią, podobnie jak Miedziak i większość ludzi, których przyprowadził. Jeśli Qarowie się przebiją, rozdziela nas i otoczą.

– Ich miejsce jest w świątyni, a nie na polu walki – rzucił Nikiel gniewnym głosem, pokazując grupkę przestraszonych braci. – A przede wszystkim ich zadaniem jest nasłuchiwanie bębnowców, szczególnie teraz, gdy wysłaliśmy wiadomości! Co będzie, jeśli nasi kuzyni z Podmościa czy Westcliff nam odpowiedzą?

– W takim razie zostaw jednego, najlepiej kogoś niezdolnego do walki. Pozostałych przyślij do mnie i niech zabiorą jakąś broń, motyki albo łopaty z ogrodów, jeśli nie znajdują niczego innego. Czekam na nich przed świątynią. Nie ma chwili do stracenia.

To był marny oddział, co do tego Ferras Vansen nie miał wątpliwości: zaledwie dwunastu ludzi, większość za młodych albo za starych, a żaden nie wyglądał na kogoś, kto wcześniej uczestniczyłby w jakiegokolwiek walce. Vansen miał na sobie zbroję, którą przygotowali mu Funderlingowie, lecz pozostali mieli jedynie okulary z miki, skórzane hełmy i grube luźne kurty, które wkładali do prac w wilgotnych i niebezpiecznych miejscach w głębi ziemi.

– Nic na to nie poradzimy – powiedział do siebie przygnębiony. Czy kiedykolwiek podobne wojsko wygrało bitwę? To były ofiary przeznaczone na ołtarz, a nie żołnierze. – Gdzie jest Rogowiec Lideryt?

– Tutaj – odezwał się Funderling z progu świątyni i zszedł szybko po schodach. – Czego ci trzeba, kapitanie?

Vansen pochylał się, tak by słyszał go tylko Rogowiec.

– Ktoś musi udać się niezwłocznie do Cynobra pod Pięć Łuków. Przekażcie mu, że jeśli nie przybędzie tu szybko ze swoimi ludźmi, to po nas. Qarowie przedarli się nad Rytualnymi Komnatami. Ale ty nie idź, rozumiesz? Chcę, żebyś tu został i dopilnował, aby Miedziak i inni, którzy wrócą, zostali skierowani do nas najszybciej, jak to możliwe. Ty masz się tym zająć, Rogowcu, bo trochę nie ufam tym kapłanom, którzy nie rozumieją, jak wielkie grozi nam niebezpieczeństwo.

Rogowiec zastanawiał się przez chwilę.

– Zaraz pošlę kogoś do Cynobra, kapitanie, obiecuję. Ale miną długie godziny, zanim będzie mógł dołączyć do was przy schodach, nawet jeśli wyruszy zaraz po otrzymaniu wiadomości.

– Nic na to nie poradzimy – odparł Vansen. – Ach, byłbym zapomniał. Idź do Chavena i zapytaj... nie, nachyl się, nie chcę, by ktoś usłyszał.

Gdy Vansen przestał mówić, Rogowiec spojrział na niego zdumiony.

– Naprawdę? Trucizna?

– Cicho, błagam cię! Obawiam się, że tak.

– W takim razie musimy wierzyć, że Starsi Ziemi już nie śpią, że się obudzą i nam pomogą.

Vansen odruchowo wyciągnął rękę do Funderlinga, czym bardzo go zaskoczył.

– Żegnaj, Rogowcu Liderycie. Mam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy, lecz jeśli bogowie zdecydują inaczej, troszcz się o swoją rodzinę, a w szczególności uważaj na chłopaka. Myślę, że odegra ważną rolę, zanim to wszystko się skończy.

– A i ty nie szafuj swoim życiem, kapitanie Vansen. Jesteś nam potrzebny. Nie sprzedaj się za pierwsze samorodki.

Ferras Vansen nie miał pojęcia, co znaczyły ostatnie słowa Funderlinga, ale jeszcze raz uścisnął mu dłoń, po czym odwrócił się i dał znak do wymarszu swojemu naprędce zebranemu oddziałowi.

– Niech Starsi Ziemi mają was w opiece! – zawołał za nim Rogowiec, a zebrani na schodach starsi bracia mu zawtórowali; ich cichutkie i cienkie głosy przypominały piski myszy harcujących w stodole.

Rogowiec znalazł akolite, który sprawiał wrażenie bardziej bystrego niż jego koledzy.

– Przekaż mu, że czarodziejscy ludzie przedarli się w pobliżu Rytualnych Komnat i że

Vansen potrzebuje pomocy. Idź, chłopcze, i się pospiesz.

Gdy Rogowiec mijał kapitularz, udając się na poszukiwanie Chavena, czekał tam na niego rozsierdzony brat Nikiel.

– Co ty wyprawiasz? – napadł na niego. – Nie możesz wydawać rozkazów moim akolitom. Na czas kryzysu ja dowodzę. To ja działam w imieniu opata, a nie ty!

– Kapitan Vansen odpowiada za obronę tego miejsca i całego Miasta Funderlingów – rzucił krótko Rogowiec. – Cynober i mistrzowie Cechu wyrazili się jasno. Qarowie przełamali nasz opór i Vansen musiał przesłać wiadomość. Nie było czasu, żeby cię szukać i prosić o pozwolenie.

Nikiel się nachmurzył, ale nie znalazł odpowiednich słów na ripostę.

– Nie pusz się tylko za bardzo, Rogowcu Liderycie – odezwał się po chwili milczenia. – W końcu to przez ciebie i tego twojego syna przybędę zaczęły się wszystkie nasze kłopoty: mali ludzie, czarodziejski lud, obcy w Tajemnicach. Inni może o tym zapomnieli, ale nie ja. A teraz, jak mi powiedziano, ten twój potwór znowu coś nabroił. – Nikiel wycelował kościsty palec prosto w twarz Rogowca. – Jeśli jest tak, jak mówią, odeślę go z powrotem do Miasta Funderlingów, a z nim ciebie, i nie będę się przejmował tym, co mówią mistrzowie Cechu i kapitan Vansen. – Mnich ruszył przed siebie energicznym krokiem, jakby zamierzał rozdeptać wszelkie insekty, jakie znajdują się na jego drodze.

Rogowiec spieszył się, by odnaleźć Chavena, lecz wyglądało na to, że jego chłopak znowu znalazł się na osypisku. Czy można odłożyć poszukiwania Chavena? Nie chciał zostawiać Krzemienia na pastwę Nikla, bo widać było wyraźnie, że mnich zawziął się na chłopaka. Jeśli Nikiel przestraszy Krzemienia i ten ucieknie ze świątyni? Było zbyt niebezpiecznie, by chodził sam na zewnątrz.

– Na ryse i przełam! – Rogowiec klasnął sfrustrowany. Sprawa Vansena będzie musiała poczekać. Ruszył za bratem Niklem.

Głosy zdawały się dochodzić z biblioteki, donośne i rozgniewane. Gdy tylko przeszedł przez frontowy korytarz, Rogowiec od razu domyślił się, co tam zastanie.

Zasmucony zobaczył, że ani trochę się nie pomylił: Krzemień stał otoczony tłumem rozwścieczonych mnichów w czarnych habitach, wyższy od wszystkich o pół głowy i nieruchomy niczym wysoki kamień na środku rwącej rzeki. Jego spojrzenie na chwilę napotkało wzrok Rogowca, a potem zaraz wróciło na ścianę, jakby chłopak oceniał kamień, zanim zacznie robić gzyms.

– Co tu się dzieje? – Rogowiec starał się zapanować nad głosem. Wiedział, że chłopak nie jest zwykłym dzieckiem – czasem aż go ścisnęło w dołku, gdy sobie przypominał, jak bezmyślnie tak po prostu go zabrali i przyprowadzili do domu – ale nie widział w nim żadnego zagrożenia nawet na draśnięcie. Tymczasem Bracia Metamorficzni zachowywali się, jakby złapali złodzieja albo mordercę.

Brat Nikiel odwrócił się do niego czerwony ze złości.

– To już przechodzi wszelkie granice, nawet w twoim przypadku, Rogowcu Liderycie – rzekł mnich. – Dzieciak wparował do biblioteki – naszej największej istniejącej biblioteki! – i zaczął dotykać ksiąg! Dotykał ich swoimi brudnymi łapami!

Wstrząśnięty Rogowiec słuchał, zapominając na chwilę o swojej złości: wtargnięcie do biblioteki było poważnym przewinieniem. Gorszym niż wejście do Tajemnic, ponieważ książki w bibliotece – niektóre to starożytne modlitwy wydrapane na kruchych tabliczkach tak płytko, że

litery stały się prawie nieczytelne, albo wycięte w arkuszach miki cieniutkich jak pergamin – były bardzo cenne i łatwe do zniszczenia. Wielka biblioteka w Kamieniopodzie, osadzie, która przez wieki leżała pod starożytnym Hierosolem, została zniszczona, podobnie jak większość miasta, podczas powodzi przed czterema wiekami; zginęła też wtedy ponad połowa mieszkańców niższej części miasta. Rogowiec jeszcze jako mały chłopiec uczył się o tragedii związanej z powodzią w Kamieniopodzie – największej w historii Funderlingów. Nic więc dziwnego, że teraz mnisi tak się boją o swoje księgi.

– Krzemieniu – przemówił Rogowiec najspokojniej, jak potrafił – wchodziłeś do biblioteki? Dotykałeś ksiąg?

Płowowłosa chłopiec spojrzał na niego, jakby Funderling zapytał, czy dobrze jest coś zjeść, gdy się jest głodnym.

– Tak.

– Widzisz? – zawołał Nikiel. – Nie ma wstydu za miedziaka! Najpierw wdziara się do Tajemnic jak jakiś dzikus, a jakby tego było mało, wraca i odgrywa swoje podstępne sztuczki w samym sercu pamięci naszego ludu.

Rogowiec bardzo się starał opanować.

– Nie wątpię, że obdarzony taką mądrością zostaniesz opatem, Niklu, ale nie dajmy się zwariować. Krzemieniu, dlaczego to zrobiłeś?

Teraz oblicze chłopca wyrażało coś bliskiego zaskoczeniu, czego Rogowiec raczej nie widział na jego twarzy.

– Musiałem się czegoś dowiedzieć, dlatego poszedłem obejrzeć najstarsze księgi. To ważne.

– Czego chciałeś się dowiedzieć?

– Tego nie mogę ci powiedzieć. – Chłopak rzucił to tak stanowczym tonem, że Rogowiec wiedział, iż nie ma co dalej dyskutować. Bracia tłoczyli się coraz bardziej, jakby chcieli sami wymierzyć winowajcy sprawiedliwość. Funderling wystąpił przed Krzemienia i uniósł ręce.

– Nie rozumiał, co robi. Nie miał złych zamiarów, tylko on... on jest inny. – Zawstydział się tak łatwą kapitulacją przed mnichami, ale nie było czasu do stracenia. – Zabiorę go stąd. Już nic nie zbroi, przysięgam na honor członka Cechu. Wracajcie... do swoich spraw.

– Jak możemy ci ufać? – zapytał Nikiel. – Zostawiłeś go bez opieki i pozwoliłeś wtrącać się do spraw świętych ludzi...

– Świątynia i Miasto Funderlingów są atakowane – powiedział głośno Rogowiec. – Wiesz o tym równie dobrze jak ja, bracie Niklu. Grozi nam o wiele większe niebezpieczeństwo, a ty powinieneś przygotowywać swoich ludzi do obrony świątyni, a nie napuszczać ich na chłopca. Czy wreszcie pozwolisz mi odejść? Przepraszam, że Krzemień dotykał ksiąg, ale nie narobił żadnych szkód. Zabiorę go ze sobą i dopilnuję, by już nic nie spocił. Pamiętajmy, proszę, co jest teraz naprawdę ważne.

Gdy Nikiel wciąż mierzył go groźnym wzrokiem, jeden z mnichów powiedział:

– Antymon mówił mi, że Rogowiec Lideryt to dobry człowiek.

– I ma rację w kwestii obrony świątyni – rzucił inny. – Jeśli da słowo, to chyba możemy dać mu szansę.

– Dziękuję. – Rogowiec rozejrzał się po zebranych. Gniew powoli zniknął z twarzy mnichów niczym woda wysychająca na skalnej ścianie: wspomnienie ataku uświadomiło im prawdziwe niebezpieczeństwo. Jednak Nikiel nadal miał wojowniczą minę. – No, Krzemieniu – zwrócił się Rogowiec do chłopca. – Przeprós i pójdziemy sobie stąd. Kapitan Vansen zlecił mi zadanie. – Chwycił Krzemienia za rękę i pociągnął za sobą.

Oczywiście chłopiec nie przeprosił, lecz Funderling miał nadzieję, że mnisi tego nie

zauważą, pogrążeni w coraz głośniejszej dyspacie.

Znalazł Chavena w jego małej celi sypialnej i przekazał medykowi wszystko, co mu powiedział Vansen. Chaven zastanawiał się przez chwilę, zanim odpowiedział:

– Myślę, że na krótką metę najprościej będzie owinać twarz kawałkiem mokrego materiału. Żeby wymyślić coś bardziej złożonego, potrzeba więcej czasu.

Rogowiec otworzył usta zdumiony własną głupotą.

– Materiał, woda! Na Starszych, byłem tak zaabsorbowany innymi sprawami, że nie dotarło do mnie, o co chodzi Vansenowi. Jeśli w ogóle coś mamy, to właśnie maski przeciwpylowe! Jeśli uszczelnisz brzegi, to powinny zatrzymać trujący pył Qarów. – Zaczął się przechadzać po celi. – Pracownicy, którzy idą na wykończeniówkę, szlifowanie i polerowanie, wkładają nawet kaptury z okularami z miki. Ależ ze mnie głupiec!

– Nie obwiniaj się tak – odpowiedział Chaven. – Wszyscy mamy mnóstwo rzeczy na głowie. Mogę zrobić dla ciebie coś jeszcze? Bo jeśli nie, to mam...

– Tak, niestety tak. – Rogowiec chwycił chłopca za ramię. – Popilnuj mojego urwisa, a ja spróbuję znaleźć trochę masek dla Vansena. Może nie słyszałeś, ale właśnie razem z ludźmi Jaspisa broni przed Qarami Rytualnych Komnat. Tylko nie spuszcza z niego z oka! Zdaniem brata Nikla dopuścił się wszystkich możliwych zbrodni. A w szczególności trzymaj go z dala od biblioteki.

Zdawało się, że Chaven dopiero teraz zauważył Krzemienia. Uśmiech rozpogodził twarz chłopca, lecz Chaven miał wrażenie, że wyraża on coś jeszcze... kalkulację?

– Ach, paniczu Krzemień. Słyszałem, że od naszego ostatniego spotkania brałeś udział w wielu ciekawych wydarzeniach. Wizyta u Muskających Wodę, nie myślę się? A teraz biblioteka. Może opowiesz mi o tym wszystkim, skoro mamy trzymać się razem. – Krzemień dał się jakoś wepchnąć do celi, zupełnie jak siedzący na drzewie kot zwabiony na ziemię.

– Pamiętaj – rzucił Rogowiec, wychodząc – nie spuszcza z niego oka!

Medyk machnął rękaw uspokajającym geście.

W niedużej kuźni, w której świątyni kowal reperował narzędzia ogrodnicze i inne przedmioty domowego użytku, Rogowiec znalazł dwa kaptury przeciwpożarowe, z których jeden kowal naciągnął na łysą spoconą głowę. Ogromny uzbrojony mnich nie zamierzał oddać ani jednego kaptura, lecz Rogowiec powołał się na rozkaz Vansena działającego z upoważnienia Cechu i chwyciwszy nieużywany kaptur, wycofał się szybko, nie czekając, aż kowal się wścieknie.

W krypcie znalazł maski z grubego materiału, które pozostały tam z czasów przebudowy tej części świątyni. Tylko dwanaście, lecz Rogowiec uznał, że może ochronią przed trucizną chociaż ludzi z pierwszego szeregu. Miał już wychodzić, gdy jego wzrok padł na kamienną skrzynię z ciężkim drewnianym wiekiem. Uniósł je i długą chwilę wpatrywał się w stos przedmiotów w kształcie klina.

Dlaczego nie? – pomyślał i wyjął ze skrzyni jeden, po czym wsunął sobie za pas. Był ciężki i wrzynał mu się w brzuch, lecz Rogowiec zacisnął mocniej pas, uznawszy, że tak musi być. Opuścił wieko skrzyni i odciął kawałek rzemienia z pętli na ścianie, zanim wyszedł z magazynu.

Napełnił kubek wodą przeznaczoną na zmoczenie masek i ruszył szybko przez świątynię do wyjścia. Idąc, z zadowoleniem zobaczył, że mnisi w końcu dostrzegli zagrożenie: kilku wciągało do środka najcenniejszy posąg, inni zaś wysuwali stare żelazne wrota przeciwoślepieniowe.

Rogowiec wątpił, by kiedykolwiek oblegano świątynię – na pewno nie za jego pamięci – lecz wrodzona niechęć Funderlingów do okien i tym podobnych fanaberii powierzchniowców teraz okazała się bardzo przydatna. Podobnie jak w przypadku innych budynków Funderlingów, powietrze i wodę dostarczano do świątyni za pomocą kanałów dochodzących z innych części ogromnego wapiennego labiryntu pod Zamkiem Marchii Południowej, a w magazynach trzymano dużo żywności nawet w ciężkich czasach. Dlatego żadnemu wrogowi nie byłoby łatwo wykurzyć mnichów ze świątyni.

Rogowiec napotkał dwóch strażników Jaspisa Młota na końcu Opadłej Kurtyny. Jeden z nich ciągnął drugiego, nieprzytomnego i krwawiącego z kilku ran.

– Wracaj! – powiedział strażnik, ocierając krew z twarzy. – Dowódca i ten duży, powierzchniowiec, są otoczeni. Czarodziejscy ludzie roztoczyli wokół nich oślepiający obłok. Tylko patrzeć, jak dotrą do świątyni i wszystkich nas pozabijają!

Rogowiec nie dowiedział się od strażnika niczego więcej, tak więc pozwolił mu zaciągnąć rannego kolegę do świątyni. Przerażony tym, co może go spotkać, zastanawiał się długą chwilę, czy aby nie powinien zawrócić, lecz zmienił zdanie, gdy jego spojrzenie padło na kubek z wodą, który dźwigał z takim mozolem. Przecież kapitan Vansen jest w potrzebie i tylko on może mu pomóc, przynajmniej do chwili przybycia Cynobra z posiłkami.

Gdy uszedł kolejne sto kroków, usłyszał krzyki bólu i gniewu i jego serce zaczęło walić szybciej niż rzemieślniczy młot.

Wybacz, Opal, pomyślał. Znowu to robię.

Ferras Vansen znalazł się w samym środku koszmaru na jawie – dziwne postacie, charczące okrzyki i szalone cienie rzucone przez migocące pochodnie. Vansen, Jaspis Młot i pięciu pozostałych przy życiu strażników zabarykadowali się w wąskim korytarzu między dwoma ostatnimi Rytualnymi Komnatami, by powstrzymać napastników, co najmniej trzydziestu albo czterdziestu Qarów, choć w ciemności trudno było to stwierdzić. Pomyślał, że Qarowie nie spodziewali się oporu, bo wysłaliby większą siłę niż ta grupa zwiadowcza. Nie chodziło jednak o liczbę napastników: jeśli Vansen i jego ludzie przegrają, armia Qarów na powierzchni uzyska dostęp do pieczar świątyni.

A stamtąd przejdą do Miasta Funderlingów, pomyślał kapitan, przecierając piekące oczy. Niewinni ludzie... kobiety i dzieci. Dalej już prosta droga do zamku.

Jest nas tylko pięciu. I nawet gdyby udało nam się zatrzymać Qarów na jakiś czas, nie mamy gwarancji, że nie przyślą im z góry posiłków. Vansen starał się uspokoić oddech. Kulił się za prowizoryczną barykadą usypaną w poprzek wąskiego korytarza przez Jaspisa i jego ludzi, by mogli schować się przed strzałami nadlatującymi co jakiś czas ze świstem z dalszej części tunelu. Dlaczego tak bardzo im zależy, żeby zdobyć podziemną część zamku? W ostatnich dniach stracili około setki swoich wojowników. Tego dnia walka trwała długie godziny, lecz Funderlingowie i Vansen mieli tę przewagę, że bronili wąskiego przejścia, dlatego zabili więcej wrogów, niż stracili swoich żołnierzy. Qarowie pewnie wiedzą, że można zamknąć bramę Miasta Funderlingów od strony zamku i odciąć je od pozostałej części Zamku Marchii Południowej. Czy naprawdę wierzyli, że uda im się tędy przekraść, nie napotykając oporu? To nie miało sensu.

Ponownie przetarł oczy. Napastnicy, głównie paskudne imitacje Funderlingów, które oni

nazywali „drowami”, niemal wypełnili sąsiednią komorę duszącym pyłem, który wydmuchiwali z tub, i choć była to słabsza wersja tego, czego użyli, by obezwładnić akolitów z Przewiertów, to i tak w dużym stopniu uniemożliwiła walkę Vansenowi i jego ludziom. Pył nawet w niewielkich ilościach powodował łzawienie oczu i zawroty głowy, a także utrudniał oddychanie. Vansen miał nadzieję, że Chaven coś wymyśli, choć wydawało się, że nie na wiele im się to przyda. Qarowie byli coraz bliżej zwycięstwa.

Vansen zaczerpnął powietrza i od razu zaniósł się kaszlem, czując kłujący ból w gardle.

– Czy dałoby się tu sprowadzić więcej waszych ludzi, żeby całkiem zasypali ten korytarz?
– zapytał szeptem Jaspisa Młota.

Jaspis otworzył usta, by odpowiedzieć, i zaraz schylił łysą głowę przed nadlatującą strzałą, która po chwili upadła z grzechotem na podłogę za nimi.

– Nie da rady, kapitanie. Zburzą wszystko, co uda nam się usypać. Pamiętaj, że to drowy i wiedzą o kamieniu pewnie tyle co my.

– Na Młot Perina – zaklął Vansen. – Niezłe miejsce na śmierć!

Jaspis się roześmiał, a jego chrapliwy śmiech szybko przeszedł w kaszel.

– Nie ma lepszego, kapitanie. Masz ziemię pod sobą i wszędzie dokoła.

– Dowódco. – Jeden ze strażników spoglądał ponad barykadą, korzystając z chwili wytchnienia między kolejnymi atakami łuczników. – Chyba znowu zaatakują.

– Nie mamy już strzał – rzekł Jaspis i podniósł się trochę. – Teraz spróbują dokończyć robotę. Na nogi, chłopcy. Skoro mamy umrzeć, to zgińmy jak prawdziwi kamieniarze.

Vansen odwlekał moment, w którym będzie musiał się podnieść, ponieważ korytarze były dla niego za niskie, poza tym obłoczek trującego pyłu był mniej dokuczliwy za barykadą.

Kłęcząc, popatrzył przez szparę pomiędzy barykadą a ścianą. Z ulgą pomyślał o tym, że nie wszyscy Qarowie widzą w ciemności tak dobrze jak drowy i Funderlingowie, dlatego niektórzy mieli pochodnie, których światło pozwalało mu zorientować się w sytuacji. Nie wyobrażał sobie, w jaki sposób mieliby walczyć na śmierć i życie w całkowitej ciemności.

Pochodnie podskakiwały i kołysały się, lecz ich płomienie przeważnie pozostawały niewidoczne, zasłonięte przez ciemne cienie podchodzących Qarów. Wiedzieli, że obrońcom skończyły się strzały, i nie bali się już, że staną się celem.

Zaatakują, licząc na przewagę liczebną, Vansen ocenił w myślach sytuację. Wszystko albo nic.

– Walczcie za swoje domy! – ryknął i wyprostował się, na ile to było możliwe. – Za swoich ziomeków i za swoje miasto.

Wtedy wróg zaatakował, a jego wycie i krzyki zagłuszyły wszelkie myśli Vansena.

Ferras Vansen stał, z trudem łapiąc powietrze; piekły go też oczy, ale tym razem nie od trucizny Qarów, lecz podrażnione krwią z rany na głowie. Pierwszy atak wroga się nie powiódł. Napastnicy zdołali odrzucić kilka kamieni z prowizorycznej barykady, lecz Vansenowi i strażnikom udało się zabić kilku z nich i teraz ich ciała leżały przed murem, co utrudniało dostęp atakującym do niego. Istniało jednak niebezpieczeństwo, że jeśli zabiją więcej napastników, ich towarzysze wykorzystają nagromadzone ciała i jak po rampie wejdą na barykadę.

– Znowu idą, kapitanie. – Twarz Jaspisa Młota, brudna i poznaczona ranami, przypominała brzydką maskę, przez co wyglądał jeszcze bardziej groteskowo niż zwykle, podobny do złego trolla ze starej opowieści. – Słyszę, jak się zbliżają.

Vansen przetarł oczy i uniósł topór. Żałował, że nie ma krótkiego miecza albo włóczni.

Topór pozwalał utrzymać przeciwnika na odległość ramienia, ale był ciężki. Vansen pomyślał, że Funderlingowie muszą być silniejsi, niż się wydaje: dwóch strażników wciąż walczyło swoimi toporami, sam Jaspis jednak trzymał w każdej ręce ostry kilof.

– Jestem gotowy. – Vansen otarł twarz z krwi. – Niech tu przyjdą.

– Dobry z ciebie człowiek, kapitanie – odezwał się niespodziewanie Jaspis wpatrzony w ciemność za barykadą. – Źle cię oceniłem, przyznaję. Jesteś prawie jak Funderling, może tylko o draśnięcie za wysoki. Nie mam nic przeciwko temu, żeby umrzeć u twego boku.

– Ani ja, dowódcu. – Vansen żałował, że nie ma choćby łyka wody. Opróżnili bukłaki jakiś czas temu, a on czuł, że zaschło mu w ustach. – Ale wcześniej zabierzemy ze sobą kilka tych nienaturalnych dziwactw...

Odpowiedź Jaspisa zagłuszył ryk atakujących. Nieduża, ciemna postać wskoczyła na barykadę i zaraz z niej spadła, wyjąc, z brzuchem rozoranym ostrzem topora strażnika. Natychmiast w jej miejsce pojawiły się dwie inne, a jedna spróbowała smagnąć pochodnią twarz Jaspisa, który szybko się odchylił, by uniknąć poparzeń. Vansen zaatakował drowa toporem, którego ostrze przebiło się przez skórzaną zbroję i ciało, lecz trudno było powiedzieć, czy rana jest śmiertelna. Chwilę później razem z jednym ze strażników chwycili innego napastnika, który wdrapał się na barykadę. Drow, uzbrojony w długi, spiczasty nóż, przeciął przedramię Vansena poniżej kolczugi i niemal ugodził go w twarz, zanim kapitan unieruchomił mu ramię. Zacisnął mocno ręce i pomimo bitewnego hałasu usłyszał wrzask drowa, gdy zgniótł mu nadgarstek. Napastnik wypuścił nóż, lecz zanim Vansen zdążył przyciągnąć drowa do siebie, by skrócić mu kark, ten wyrwał mu się i spadł na ziemię po ich stronie barykady.

Chwilę później coś ogromnego wyrosło przed nim, blokując światło pochodni. Jaspis pochylił się i ugodził kilofem leżącego drowa. Vansen poczuł, że ciało tamtego wiotczeje, lecz prawie całą uwagę skierował teraz na ogromnego ettina. Groźne warczenie napastnika przeniknęło go aż do kości. Vansen zadał mu cios w głowę, gdy ettin zamierzył się, by zaatakować Jaspisa, lecz ostrze topora odbiło się od pokrytego płytkami łba, nie czyniąc żadnych szkód. Napastnik zignorował zupełnie atak i zacisnąwszy ogromną dłoń na ciele Jaspisa, uniósł go w powietrze i przysunął do pyska. Vansen chwycił go za ramiona, lecz ettin odepchnął go z łatwością, jakby Vansen był lalką. Kapitan osunął się na ziemię. Gdy spróbował dźwignąć się na nogi, by pomóc Jaspisowi, oślepił go błysk, któremu towarzyszyło dudnienie, jakby w tunelu uderzył piorun – przez chwilę widział jaskrawe światło i słyszał boleśnie głośny huk, a potem wszystko umilkło, jakby olbrzymie dłonie zakryły mu uszy.

Nawet tysiąc artystów nie potrafiłoby namalować podobnego horroru, pomyślał skulony na progu Matt Tinwright. Nawet tysiąc poetów, a każdy po tysiackroć lepszy niż on, nie opowiedziałoby całej sceny. Atakowano Zamek Marchii Południowej. Wiele domów na Rynku płonęło, lecz nikt nie próbował ich gasić. Tinwright widział przed sobą co najmniej kilkanaście trupów, z których pleców sterczały strzały. W powietrzu unosił się dym, lecz on czuł coś jeszcze, nieznanego mu smród, słodkawym, ale przyprawiającym o mdłości jak odór gnijącego ciała. Od niego piekły go oczy i bolały gardło i płuca.

Dziesiątki dziwnie ubranych postaci nieustannie zasypywały Rynek z ogromnych ciemnych konarów drzew, które wyrosły po drugiej stronie wody i sięgnęły ponad mury. Inni najeźdźcy już wcześniej spuścili się po linach i zdążyli wymordować dziesiątki nieszczęśliwych mieszkańców miasta, zanim Durstin Crowel ze swoją strażą zdołał ich odepchnąć: na całym placu widać było wysepki walczących, ludzie i potwory nacierający na siebie i pogrążeni w

dziwnej, niemal całkowitej ciszy, bo nawet krzyki rannych i umierających wydawały się w jakiś sposób wyciszone, jakby spowijający wszystko dym tłumiał wszelkie odgłosy.

Na Rynek przybył też Hendon Tolly. Walczył zaciekle, dobrze widoczny w swojej czarnej opończy ozdobionej czerwonym odyńcem, a czarne pióra na hełmie kołysały się jak słup dymu. Lord protektor stał w strzemionach ogromnego rumaka bojowego, wymachując mieczem, i krzyczał do swoich towarzyszy, którzy zebrali się wokół niego w bitewnej zawierusze. Udało im się odepchnąć większość atakujących z powrotem w cień ogromnych cierni, który się wydłużał, w miarę jak słońce zachodziło za murami, nie zdołali jednak zmusić Qarów do odwrotu, a już po ciernistych mostach rozpiętych nad wodą przechodzili następni czarodziejscy wojownicy.

Rozległ się kolejny stłumiony okrzyk ludzi z zamku, którzy podobnie jak Tinwright, próbowali uciec przed bitewną zawieruchą. Na plac wjechał jeździec na ogromnym rumaku, bijąc głośno kopytami, a za nim oddział żołnierzy, którzy nosili szkarłatno-złote barwy Landsend. To był Avin Brone, który włączył się do walki, pomimo podeszłego wieku i choroby, podobny do czajnika w zaokrąglonym kirysie, z brodą sięgającą połowy piersi. Starzec zamachnął się starym dwuręcznym mieczem i wjechał ze swoim oddziałem w grupę czarodziejskich wojowników, którzy otoczyli Hendona Tolly'ego, i zmusił ich do odwrotu. Niektórzy z przyglądających się mieszkańców zamku wydali triumfalny okrzyk.

Mimo wszystko sytuacja wydawała się beznadziejna. Tinwright wiedział, że powinien walczyć, lecz nie miał żadnej broni ani najmniejszego pojęcia, jak się nią posługiwać. Był przerażony.

Przecież jestem poetą! I tchórzem – nic nie wiem o wojnie! Nie powinienem tu wracać! Lecz Elan i matka zostawiły wszystko, uciekając, także pieniądze, które im dał, a których Matt Tinwright nie mógł stracić. A teraz umrę przez kilka marnych rozgwiad. Dlaczego nie urodziłem się bogaty...?

Kolejni czarodziejscy ludzie spuszczały się z czarnych konarów niczym żuki spadające ze zbutwiałego pnia. Przez chwilę wydawało się, że atakujący pokonają kilkuset broniących zamku żołnierzy, lecz cokolwiek by mówić o Hendonie Tollym, nie był on tchórzem: z grupą swoich ludzi odparł atak Qarów, podczas gdy Berkan Hood, lord konstabl, zaprowadził pewien porządek wśród pozostałych obrońców i rozpoczął powolny odwrót przez plac pod osłoną tarcz, które skutecznie broniły ich przed strzałami.

– Wycofać się! – zabrzmiał stłumiony głos Brone'a. – Wycofać się do Kruczej Bramy!

Część ludzi niebiorących udziału w walce zorientowała się, co się dzieje, i pobiegła przez arkady na skraju Rynku, po drodze ponaglając innych, którzy się tam schowali, by udali się do Mostu Rynkowego i schronili w twierdzy wewnętrznej, zanim straż zamknie bramy.

Czy to możliwe? – Tinwright poczuł, jakby miał serce z ołowiu. Otoczą całą twierdzę zewnętrzną?

Chwilę później uzmysłowił sobie, że jeśli szybko się nie ruszy, zostanie w odciętej części zamku. Kolumnadę po tej stronie placu blokowały porzucone wozy i inne rzeczy pozostawione przez przerażonych mieszkańców zamku. Nie widząc innego wyjścia, Tinwright zasłonił głowę rękoma i pobiegł przez plac najszybciej, jak potrafił, przekonany, że zaraz poczuje przejmujące ukłucie strzały, która pozbawi go życia.

Kilka strzał opadło na kamienie tuż obok, ale Tinwrightowi udało się dogonić tłum przy moście, gdzie zaraz schował się za wózek, który jakiś głupiec próbował wciągnąć na most, a który rozwścieczeni strażnicy próbowali zepchnąć na bok. Chwilowo bezpieczny Matt Tinwright przyłączył się do tłumy przelewającego się przez most i zmierzającego dalej pod górę do bramy twierdzy wewnętrznej. Szli stłoczeni tak ciasno, że Tinwright czuł przenikliwy smród strachu idących obok ludzi.

25
Do Snu

Ponoć czarodziejscy ludzie nazywani Tymi, Którzy Nie Śpią opuszczają domy tylko w nocy i kradną sny śmiertelnikom, jako że nie mają własnych. Mówi się też, że trzymają jak domowe zwierzęta duchy śmiertelników, którzy zmarli bez trygonackiego błogosławieństwa, i używają ich do polowań.

– z *Traktatu o czarodziejskich narodach obojga kontynentów Eionu i Xandu*

Znaczna część nieba nad Blednią pociemniała, gdy Barrick zobaczył pierwsze mosty, co oznaczało, że zbliżają się do miasta. Początkowo wcale się nie domyślił, że te asymetryczne konstrukcje są mostami, ponieważ wyglądały jak poszarpane głazy nadwreżone przez wiatr i wodę. W miarę jak Barrick widział coraz więcej Snu, docierało do niego, że tak właśnie budują Ci, Którzy Nie Śpią: nawet najstarszemu wzniesione konstrukcje wyglądały jak niedorzeczne zlepki, często pozbawione choćby jednej linii prostej.

Na rzece panował coraz większy ruch, ale wszystkie łodzie i statki, duże i małe, na których wiosłarzami byli szaroskórzy Ci, Którzy Nie Śpią albo bezgłowe blemije, mijały ich pogrążone jakby w śmiertelnej ciszy. Było jednak jasne, że pasażerowie innych łodzi zauważyli Barricka i Oskarda: wszyscy jak jeden wpatrywali się w mieszkańców kraju słońca, jakby nigdy wcześniej w swoim długim życiu nie widzieli czegoś tak dziwnego i nieprzyjemnego.

– Czemu nam się tak przyglądają? – zapytał szeptem Barrick. – Jakby nas nienawidzili.

Oskard wzruszył ramionami, po czym zanurzył misę, by zaczerpnąć wody dla swojego pana.

– Nie lubią naszego rodzaju, to oczywiste.

– A mówiłeś, że trzymają tu na służbie wielu takich jak my.

– Och, tak. Pan trzyma wielu. I nie wszyscy są *wimmuai*. Niektórzy pochodzą z kraju słońca, jak ty i ja.

– W takim razie dlaczego tamci tak się na nas gapią?

Oskard, który właśnie miał się wsunąć do namiotu, znieruchomiał.

– Jestem pewien, że gapią się tylko na naszą łódź, ponieważ należy do Qu'arusa. Może się zastanawiają, dlaczego go nie widzą – jest znany wśród mieszkańców Snu.

Potem przebieraniec całą swoją uwagę skupił na umierającym panu i nie odpowiadał na żadne pytania.

Niebawem dotarli do pierwszego ciemnego światła, czegoś w rodzaju punktu sygnalizacyjnego umieszczonego na górze łuku mostu. Był to kocioł, z którego parowała czysta czerń – nie obłok ani dym, lecz coś rzadszego i mniej namacalnego, plama, która rozlewała się na szary dzień. Rozciągała się w poprzek rzeki, niczym cień, gdy zbliżyli się do mostu i przepłynęli pod nim. Barrick poczuł, jakby zimna pięść zacisnęła się na jego sercu.

Mrok gęstniał, w miarę jak zagłębiali się w labirynt miasta. Mijali kolejne ciemne światła umieszczone na mostach albo rozsiewające mrok z lichtarzy na murach. Świat wokół stawał się coraz ciemniejszy, jakby w krainie cienia wreszcie zapadła noc, choć była to dziwna noc, ponieważ ciemność nie wypełniała wszystkiego równomiernie, a tylko rozlewała się plamami

wokół ciemnych światła. Lecz niebawem znikły przerwy między smugami czerni i wszystko spowiała kurtyna atramentowej ciemności.

Z całkowitym mrokiem zaś pojawili się Ci, Którzy Nie Śpią, wylewając się na ulice niczym termity z pękniętej kłody, choć początkowo Barrick z ledwością był w stanie zobaczyć niewyraźne postacie poruszające się po ulicach Snu na obu brzegach rzeki albo przechodzące po moście na drugą stronę, wszystkie szare i niewyraźne jak duchy. Zaczął widzieć lepiej, dopiero gdy jego wzrok przyzwyczał się do ciemnych światła. Wydawało się, że wszyscy Ci, Którzy Nie Śpią mają taki sam kolor skóry, lecz różnili się między sobą jak Qarowie, których Barrick widział na Polu Kolkana: niektórzy mocno przypominali ludzi, inni zaś mieli tak niepokojącą postać, że Barrick dziękował bogom za to, że noszą jakieś szaty. Przez cały czas też miał nieodparte wrażenie, że wszyscy, bez wyjątku, mu się przyglądają.

Blednia stała się teraz szerokim kanałem o ścianach z kamienia, wzdłuż których ciągnęły się przystanie i domy, niektóre tak wysokie, że najwyższe piętra ginęły w mroku ciemnych światła. W miarę jak zagłębiali się w miasto, dzięki pracy blemija, który ani na chwilę nie przestawał wiosłować, Barrick coraz mocniej poddawał się wrażeniu, że coś go połyka.

Rzeka zaczęła się rozdzielać na mniejsze kanały. Blemij pewnie skierował łódź do jednego z nich, a potem skręcił w inny, jakby dobrze znał drogę. Im węższym płynęli kanałem, tym mniej widzieli innych łodzi, aż wreszcie Barrick zauważył, że tylko oni płyną przez tę część ponurego kamiennego miasta.

Dotarli do dzielnicy pełnej marmurowych domów niemal niewidocznych w ciemności. Na brzegu rosły ogromne wierzby, których długie gałęzie kołysały się na wietrze, lecz wszystko inne dokoła trwało w martwym bezruchu. Blemij wyhamował, a potem zatrzymał łódź w misternie zdobionej przystani wysuniętej kilka jardów w głąb koryta rzeki. Barrick, wciśnięty w kąt rufy i zaskoczony nagłym końcem podróży, zobaczył tłum niewyraźnych postaci, które wynurzyły się z ciemności, poruszając się cicho jak koty – Ci, Którzy Nie Śpią, mężczyźni i kobiety, ubrani na czarno. Potem pojawiła się jeszcze jedna postać, przed którą pozostali się rozstąpili. Kobieta zatrzymała się na końcu przystani z rękoma wyciągniętymi przed siebie, jakby chodziła we śnie. Oskard odchylił połę namiotu. Kobieta spojrzała na Qu'arusa leżącego na dnie łodzi. Początkowo Barrick myślał, że Ta, Która Nie Śpi ma na głowie coś w rodzaju szerokiego kaptura, lecz potem się zorientował, że jej pozbawiona włosów czaszka jest pokryta płytką podobną do skorupy chrząszcza. Kobieta miała delikatne i naturalne rysy twarzy, która mogłaby uchodzić za ludzką, gdyby nie trupia bladość, za to znaczną część jej ciała okrywał kościany pancerz. Barrickowi wydawało się, że kobieta wcześniej płakała. Nie mógł jednak stwierdzić tego na pewno z powodu jej dziwnych oczu.

Mówiła łagodnym głosem, choć sam język brzmiał twardo. Kilka słów, które wypowiedziała, równie dobrze mogło być modlitwą, jak i przekleństwem.

Oskard spojrzał na nią z wyrazem dziwnego zadowolenia na twarzy.

– Przywiozłem go do domu, pani.

Przez chwilę stała w milczeniu, a potem odwróciła się i odeszła. Zwiewna czarna szata falowała wokół jej nóg niczym mgła. Kilku Tych, Którzy Nie Śpią z pomocą Oskarda wyniosło Qu'arusa z łodzi i poniosło go za kobietą i dalej po schodach prowadzących do ogromnego ciemnego domu, który Barrick dopiero teraz zobaczył.

– Wejść do środka, szybko – wyszeptał Oskard. – Zaraz zacznie się Wytchnienie i wyjdą skriki. – Udzieliwszy Barrickowi tego niezrozumiałego ostrzeżenia, pospieszył za pozostałymi.

Inny służący, którego szara skóra była pomarszczona jak powierzchnia gniazda os, obwiązał blemija liną w pasie i poprowadził między wierzbami na drugą stronę masywnego kamiennego domu. Barrick spojrzał na dno łodzi, gdzie wcześniej leżał Qu'arus, i zobaczył szary

węlniany płaszcz, który z pewnością Oskard podłożył swojemu panu, by mu trochę ulżyć. Gdy Barrick podniósł płaszcz, coś się z niego wysunęło i upadło na twarde deski pokładu; księżę rozejrzał się przestraszony, ale zobaczył, że jest sam na przystani. Podniósł przedmiot, który okazał się krótkim mieczem w prostej pochwie. Gdy go wyciągnął, zobaczył z zadowoleniem, że brzeszczot jest ostry jak brzytwa; takiej broni nie miał od czasu, gdy walczył przeciwko Qarom razem z Tyne'em Aldridge'em. Zawinał miecz w płaszcz i rozejrzał się za miejscem, gdzie mógłby go schować. Niemal w tej samej chwili coś zaszeleściło tuż przy nim, a on drgnął tak gwałtownie, że niemal upuścił zawiniątko.

– Chyba tam nie pójdziesz, mamy nadzieję – zaskrzeczał kruk, strosząc pióra. – Nie do domu Człowieka Nocy.

– A co mam zrobić? Może przynajmniej się dowiem, gdzie jest Komnata Szachraja. I może zdobędę do jedzenia coś, co nie ma zbyt wielu nóg...

– Jak sobie chcesz. – Ptak wskoczył na reling kołyszącej się łodzi i odwrócił się tyłem do Barricka. – My tutaj zostaniemy. Nie dla nas takie paskudne pokręcone miejsce.

Podobnie jak większość miasta, którą Barrick widział wcześniej, dom Qu'arusa był równie zagmatwany jak wnętrze muszli morskiej, pełen przeważnie pozbawionych okien korytarzy, których ściany czasem były chropowate, a czasem gładkie, ale zawsze wilgotne. Na szarym kamieniu wyrósł mech, a tu i ówdzie w kącie kapała woda odprowadzana płytkami korytkami, mech porastał także niezwykle delikatne posągi z białego marmuru, a woda chlupotała, płynąc korytarzami obok wytwornych dywanów ozdobionych skomplikowanymi czarno-białymi wzorami. Księżę widział to wszystko tylko dzięki perłowym półkulom umieszczonym nisko na ścianach i na podłogach w niektórych korytarzach, które Barrick początkowo wziął za jakieś fosforyzujące kamienie, lecz potem się zorientował, że to grzyby.

Dogonił służących, którzy nieśli Qu'arusa głównym korytarzem. Dom był nieprzyjemny, pograżony w niemal całkowitej niepokojącej ciszy i przygnębiającej ciemności. Gdyby nie zmiany, jakie zaszły w nim samym za sprawą Śpiących, Barrick poddałby się strachowi, ponieważ nic nie mogło sprawić, żeby polubił ten dom, i już po kilku chwilach pobytu w nim zapragnął go opuścić. Z drugiej strony nic nie wiedział o mieście i wciąż nie miał pojęcia, dokąd powinien się udać. Jak powiedzieli Śpiący?

„Tylko w jeden sposób możesz dotrzeć do Domu Ludzi i ślepego króla, zanim będzie za późno: musisz znaleźć drogi Szachraja, które zagną ścieżkę przed tobą i pozwolą ci przejść między ścianami świata. Musisz znaleźć we Śnie komnatę nazwaną jego imieniem”.

Oskard nie słyszał o takim miejscu, ale Barrick miał nadzieję, że może dowie się czegoś od innych służących, bo nie wyobrażał sobie, że mógłby się odważyć zakłócić żalobę kobiety o kamiennej twarzy, by spytać o drogę.

W przeszłości być może poddałby się zniechęceniu, lecz teraz czuł nową siłę w niesprawnym ramieniu, gdy nim poruszał, nie odczuwając najmniejszego bólu. Wszystko jest możliwe, pomyślał. Teraz jestem opowieścią, jak Anglin Wyspiarz, i nikt nie potrafi powiedzieć, jaki będzie jej koniec – nawet te nieśpiące monstra...

– Chodź ze mną! – Oskard odłączył się od pozostałych i podszedł do Barricka, ciągnąc go za ramię. – Pójdziemy do pomieszczeń dla służby. Tam nie będziesz się tak rzucał w oczy.

– Jak to? Myślałem, że przywykli do widoku mieszkańców kraju słońca.

Oskard popychał go przed sobą w krętym korytarzu.

– Tutaj jest... dziwnie. Dziwniej niż się spodziewałem.

– Pan domu nie żyje. Czego oczekujesz? Że będą ucztować?

Schodzili krętą drogą coraz niżej, a w pewnym momencie przechodzili przez ogród pełen bladych roślin podobnych do paproci, które – jak się zdawało – powinny rosnać na dnie strumienia. Być może to za sprawą światła wydawało się, że nic w domu nie ma konkretnego koloru.

– Tutaj – rzekł Oskard.

Otworzył ciężkie drewniane drzwi i wepchnął Barricka do ogromnego niskiego pokoju. Wypełniał go dziwny kwaśny smród, lecz po raz pierwszy od chwili wpłynięcia do Snu Barrick zobaczył naturalne światło – czerwonożółte płomienie ogromnego ogniska płonącego na środku szerokiego kamienia otoczonego czymś, co wyglądało jak pusta fosa. W obrębie kamiennego dołu, usadowione na kłodach i kupkach kamieni, siedziały dziesiątki ogromnych czarnych jaszczurek, każda wielkości ogara.

– Na Trzech. A mówiłeś, że to pomieszczenia służby!

Oskard znowu pociągnął go za ramię.

– Grzejemy się przy ich ogniu. Ci, Którzy Nie Śpią nie potrzebują specjalnie ciepła czy światła. Widzisz tam?

W cieniu w przeciwnym końcu ogromnej sali siedziało kilkanaście skulonych postaci podobnych do ludzi. Tak jak przewodnik Barricka, miały na sobie podarte łachmany pozszywane z różnych łąt. Dopiero teraz Barrick zrozumiał, skąd to ubranie Oskarda: najwyraźniej ludziom na służbie dawano szmaty z domu, z których potem szyli sobie okrycia. Barrick poczuł zimny dreszcz pomimo przesiąkniętego smrodem gorąca w sali.

– Czy nie mówiłeś, że Qu’arus ceni sobie mieszkańców kraju słońca?

– Ależ tak! Inni Ci, Którzy Nie Śpią w ogóle ich nie trzymają.

Barrick odwrócił się na pięcie do przebierańca.

– Mówiłeś też, jak mi się zdaje, że jesteśmy tu powszechni.

Oskard wyglądał na przestraszonego.

– Tak, w domu Qu’arusa.

– Okłamałeś mnie.

– Ja... nie powiedziałem ci prawdy. Bałem się wracać sam. – Zniżył głos. – Proszę, nie złość się na mnie, przyjacielu.

Barrick wpatrywał się w przebierańca. Miał ochotę zdzielić tę nędzną kreaturę, lecz zaraz pomyślał, że mogło być gorzej: przynajmniej trafił na jedyny dom we Śnie, do którego mógł wejść i zachować życie.

Jedna z postaci siedzących pod ścianą poruszyła się.

– Kto tam jest z tobą, Beck?

Barrick uniósł brew.

– Beck? A więc nie podałeś mi nawet swojego prawdziwego imienia?

– Pan mówi na mnie Oskard. Nie skłamałem.

– Coś tam przyprowadził? – zapytał ponownie mężczyzna spod ściany. – Podejdz tu, żebyśmy mogli się przyrzec.

Mężczyzna o imieniu Beck ruszył do swoich towarzyszy. Gdy zaczęli szeptać między sobą, Barrick podszedł do nich. Mieszkańcy kraju słońca siedzieli na słomie, którą zebrali w jednym miejscu, by powstało coś w rodzaju gniazda. Z wyjątkiem tego, który rozmawiał z Beckiem, pozostali wyglądali, jakby drzemali z otwartymi oczami i pustym wyrazem twarzy; kilku spojrzało obojętnie na Barricka, gdy się zbliżył, lecz inni nawet nie podnieśli wzroku.

– Ach, widzę, że woda płynie rzadsza – rzekł brodacz rozmawiający z Beckiem. Spojrzał uważniej na Barricka spod sterczących brwi. – I ptaki lecą dalej.

– Co to znaczy? – zapytał Barrick, siadając na słomie.

Obcy miał długą, rzadką i siwą brodę, a bruzdy na jego twarzy były tak głębokie, jakby wyżłobiono je nożem w miękkim drewnie.

– Że bogowie widzą wszystko. – Starzec kiwnął głową energicznie. – A wszystko, co widzą, będzie.

– Finlae był kapłanem – rzekł Beck. – Wie dużo.

– Za dużo – wtrącił Finlae. – Dlatego bogowie ugodzili mnie strzałą w mózg, żeby zapalić moje myśli. Bo widziałem ich sztuczki i śpiewałem ludziom opowieści. Ostrzegałem ich. Lecz oni śmiali się i rzucali we mnie kamieniami i kośćmi. Kamieniami i kośćmi!

Barrick pokręcił głową. Nic dziwnego, że Beck skłamał, by go tu sprowadzić: pewnie miał już dość towarzystwa tego starego szaleńca. Spojrzał na pozostałych służących, czy też niewolników, co byłoby trafniejszym określeniem, i nie dostrzegł cienia inteligencji w ich tępych spojrzeniach. Jeśli rzeczywiście zostali wyhodowani jak bydło, tak jak mówił Beck, to hodowca dobrze się spisał. Swoim otepiałym spokojem przypominali stado krów mlecznych.

– Gdzie jest Marwin? – zapytał Beck.

Finlae pokręcił głową.

– Nosi słoje i dzbany z piwnicy. Pani płakała przez cały dzień, ale tylko ja słyszałem. A teraz przygotowują ucztę. Żeby wysłać duszę pana na łzach i dymie na drugą stronę. – Odwrócił się i utkwił spojrzenie w Barricku; jego oczy były niepokojąco niebieskie. – Przybyłeś uśpiony do pomiędzy. Uda się pozbawiony snu do poza.

Barrick oparł głowę o ścianę i zamknął oczy. Pragnął jedynie odpocząć, może przespać się kilka godzin, a potem opuścić tę jaskinię szaleńców. Tutaj nie znajdzie pomocy – na pewno nie pomoże mu Beck ani ten obłąkany starzec o imieniu Finlae.

Gdy z trudem zaczął wynurzać się z ciemności, poczuł czyjś dotyk na twarzy; chwycił błyskawicznie niesprawną kiedyś ręką. Ktoś – Beck, jak się zorientował – zapłakał z bólu.

– Nie rań mnie...

– Dlaczego mnie dotknąłeś?

– Ja... cię znam.

Barrick otworzył szeroko oczy, a Beck skulił się na słomie. Stary Finlae już wcześniej zasnął.

– Co ty wygadujesz? Pewnie, że mnie znasz. Przecież przypląnałem tu z tobą.

– Ja cię znam z... przedtem. Jak masz na imię?

Barrick zmrużył oczy.

– Czemu miałbym ci powiedzieć?

– Znam cię! Widziałem cię wcześniej. My... spotkaliśmy się. W... przedtem.

Barrick zorientował się, że wciąż ściska dłoń Becka, a tamten krzywi się z bólu. Puścił rękę przebierańca.

– W przedtem? To znaczy, zanim tu przybyłeś? – Barrickowi wydało się to możliwe. Nie był kimś zupełnie nieznanym po drugiej stronie Granicy Cienia. Co mu szkodziło przyznać się do tego. – Jestem Barrick. Barrick Eddon. Wciąż uważasz, że mnie znasz? Na twarzy Becka pojawił się wyraz wdzięczności.

– Na bogów, tak! Pamiętam! Jesteś... księciem! Na Trzech, zgadza się, jesteś księciem!

– Nie tak głośno! Owszem – przyznał Barrick, choć zarazem wydało mu się to dziwne, bo nie czuł się jak książę. W przeszłości, pomimo całego swego niezadowolenia nigdy nie wątpił, że jest synem króla. A teraz tamto życie wydało mu się życiem kogoś innego, opowieścią, którą usłyszał, lecz której sam nie przeżył.

– Razem z siostrą... – Podekscytowany Beck zamachał rękoma. – Rozmawialiście ze mną.

Zadawałeś mi różne pytania. Po tym, jak za pierwszym razem... – Jego oblicze spochmurniało. – Po tym, jak za pierwszym razem zobaczyłem Ludzi Zmierzchu.

– Skoro tak mówisz. – Barrick nie przypominał sobie tego człowieka.

– Naprawdę nie pamiętasz? Nazywam się... – Urwał i zmarszczył brwi, skupiając myśli, jakby po raz pierwszy od dłuższego czasu zagłębiał się w swojej pamięci. – Nazywam się Raemon Beck.

Nazwisko to nic nie mówiło Barrickowi, lecz on nawet wolał, by tak zostało, gdyż nie chciał niczego, co by mu przypominało o przeszłości. Pamiętał całkiem dużo z „przedtem”, jak się wyraził Beck – imiona i twarze, lecz wspomnienia były odległe i dziwnie spłaszczone, niemal pozbawione emocji, jak słaby ból, pozostałość po dawnej ranie. Nawet wspomnienia o siostrze, które powinny być dla niego ważne, przypominały coś, co przechowywano zbyt długo i co straciło cały smak. Ale Barrick był z tego ogromnie zadowolony.

– Co to za istoty? – zapytał niespodziewanie, pokazując na czarne jaszczurki, które leżały wokół ognia na środku paleniska niczym niewolnicy Kerniosa z podziemia. – Dlaczego są tutaj?

– Salamandry, ogniste jaszczurki. Ulubieńcy pana. On lubi... lubi je karmić.

I pewnie karmił je lepiej niż ciebie, pomyślał Barrick, lecz nie powiedział tego głośno.

Raemon Beck zaczął zadawać kolejne pytania dotyczące tego, w jaki sposób Barrick przeszedł Granicę Cienia, lecz książkę nie dał się wciągnąć w rozmowę i Beck w końcu zamilkł. Niebawem słychać było tylko trzask ognia i słabe pochrapywanie starego Finlae’a.

We śnie – bo to musi być sen, uzmysłowił sobie, choć nie pamiętał, żeby zasypiał – oczy jaszczurki były tak samo jasne jak płomień wokół niej. Schowana w czarnym pancerzu siedziała nie przy ogniu, lecz w nim, w środku rozłupanej kłody objętej ogniem, który ją osmalił.

– *Kim jesteś, że przychodzisz tu bez Płytki czy Stawu?* – zapytała Barricka głosem podobnym do melodii.

– Jestem księciem, królewskim synem – odpowiedział.

– *Nie, jesteś mrówką, synem innej mrówki* – poinformowała go jaszczurka leniwym głosem. – *Owadem obdarzonym darem skromnej mocy płynącej w jego krwi, lecz wciąż tylko owadem. Pędzisz tu i tam, a niebawem umrzesz. Może zobaczysz mój powrót. To by nadało jakiś sens twemu życiu.*

Barrick chciał przekląć tę okrutną, arogancką istotę, lecz czuł się obezwładniony spojrzeniem jaszczurki, zupełnie bezradny, jakby rzeczywiście był małą mrówką, jak nazwała go istota. Poczł chłód w piersi.

– Czym ty jesteś?

– *Jestem i zawsze byłem. Dla takich jak ja imiona nie mają znaczenia. Wiemy, kim jesteśmy. To tylko twój rodzaj z marnymi zmysłami i krótkim życiem opowiada się za tyranią imion. Ale bez względu na to, w co wierzą twoi mędracy, nie możesz rozkazywać czemuś, nadając mu imię.*

– Skoro jesteśmy tacy nędzni, to dlaczego ze mną rozmawiasz?

– *Ponieważ stanowisz ciekawostką i choć nie mam dużo czasu, by czekać, zostałem zmuszony do bezczynności dłużej, niżbym tego chciał. Jestem znudzony i nawet taka pełzająca mrówka stanowi dla mnie rozrywkę.* – Jaszczurka machnęła ogonem, wzniecając snop iskier. Ogień jakby zatrzeszczał głośniejsz. Dlatego Barrick ledwo usłyszał ostatnie słowa salamandry.

– Zabiłbym cię, gdybym mógł – powiedział do jaszczura.

Śmiech salamandry zabrzmiał cudownie jak słodki perlisty głos.

– *Czy możesz zabić ciemność? Możesz zabić twardą ziemią? Płomień? Ach, ależ się ubawilem...*

Teraz trzask ognia dorównywał siłą głosowi, a właściwie kilku głosom. Ogień przemawiał kilkoma głosami, a czerwone jęzory podnosiły się i owijały wokół jaszczura.

– ...Gdy biedak próbuje zasnąć – powiedział jeden z głosów. – Mamroczać i mruczać.

– Zamknij się, Finlae – rzekł Beck.

– Ale dlaczego mieliby to zrobić? – przemówił głos, którego Barrick wcześniej nie słyszał.

– Przecież oni krzywdzą...

Książę otworzył oczy. Raemon Beck i stary Finlae rozmawiali z ogromnym mężczyzną o czuprynie nierówno przyciętych włosów.

– Źle usłyszałeś – rzekł Beck do przybysza i spojrzał na Barricka, który właśnie się wyprostował. – To jest Marwin.

– Znałem kogoś o imieniu Marwin – powiedział wolno olbrzym. Jego akcent przypominał trochę Barrickowi akcent Qu'arusa. – Tylko tyle powiedziałem. Możliwe, że to byłem ja, ale nie pamiętam.

– No właśnie – rzucił Beck. – Masz kiepską pamięć, a twój słuch wcale nie jest lepszy, więc pewnie źle usłyszałeś.

Przybysz zwrócił się do Barricka:

– Wcale nie. Dobrze usłyszałem. Rozmawiali o tych jaszczurach, o synach pana i jego bracie, rozmawiali z panią. „W takim razie pozbadź się ich – powiedziała. – Nie cierpię ich zapachu ani tego, jak chodzą”. A potem ludzie poszli po maczugi i włócznie.

– Widzisz? – powiedział Beck. – Marwin jest tumanem i wszystko myli. Dlaczego pani miałaby powiedzieć coś takiego? Przecież jaszczury nie mówią.

Przez chwilę w pamięci Barricka pojawiło się wspomnienie gadających jaszczurów – czy to był sen? – i zaraz poczuł mrowienie na karku.

– Słyszałeś, jak mówili „jaszczury”? – zapytał.

Marwin wzruszył ramionami i przygarbił się.

– Powiedzieli o *hasyaak k'rin sanfarshen* – co znaczy „zwierzęta z piwnicy”. – Rozejrzał się po ogromnej sali. – To jest piwnica.

– Głupcy. – Barrick dźwignął się na nogi, a jego serce zabiło gwałtowniej. – Im nie chodzi o jakieś paskudne jaszczury, mówią o nas.

– Przecież nie zrobią nam krzywdy! – Brudna twarz Becka zbladła. – Pan nas kochał!

– Wątpię. A nawet jeśli tak było, to on nie żyje.

– Kiedy wyszedłem spośród drzew, śpiewał do mnie oczami – powiedział Finlae.

– Z pewnością, ale nic mnie to nie obchodzi – rzekł Barrick. – Beck, pomóż mi się stąd wydostać. Wy możecie tu zostać, jeśli chcecie.

– Jestem taki zmęczony – odpowiedział Marwin głosem obrażonego dziecka. – Pracowałem cały dzień. Chce mi się spać.

– Tak, zmęczony. – Finlae podrapał się po brodzie. – Dni są dłuższe, odkąd wypędzono Zmeosa...

Barrick nie chciał marnować sił ani czasu. Chwyił Raemona Becka za kołnierz i postawił na nogi.

– W takim razie miłego snu. Obawiam się, że będzie długi.

Gdy Barrick ciągnął go do drzwi, Beck wciąż wyglądał na otumanionego, jakby nie w pełni rozumiał, co się dzieje, lecz książę nie próbował wyjaśniać mu tego po raz kolejny. Ogromne czarne jaszczury nawet się nie poruszyły, gdy je mijali. Barrick nagle przypomniał sobie ogniste spojrzenie istoty, którą widział we śnie, i ponaglił Becka.

„Czy możesz zabić ciemność...?” – przypomniał sobie pytanie ze snu.

– Którędy? – zapytał szeptem, gdy wyszli na korytarz.

Beck nie odpowiedział od razu, lecz Barrick usłyszał ciche kroki zbliżające się z głębi korytarza i pociągnął przebierańca w przeciwną stronę.

– Łódź! – szepnął prosto do ucha Becka. – Zaprowadź mnie do łodzi.

Wreszcie Raemon Beck otrząsnął się trochę z otepienia. Odtrąciwszy rękę Barricka, ruszył pewnym krokiem przez podziemne tunele. Gdy przemierzali szybko długi korytarz z rzędami drzwi po obu stronach, każde oznaczone innym symbolem, dogoniło ich echo przeraźliwego krzyku nabrzmiałego bólem i przerażeniem. Beck zastygł w miejscu, jakby otrzymał cios nożem w serce. Barrick popchnął go do przodu.

– Oto rodzinka twojego kochającego pana przy pracy – powiedział. – Szybciej! Bo będziemy następni!

Popłakując cicho, Beck poprowadził ich przez nieoznaczone drzwi do dużego drewnianego budynku, w którym ciemność rozjaśniał tylko rząd fosforyzujących grzybów. Barrick przeraził się, ujrawszy jakąś postać przed nimi, lecz okazało się, że to tylko jeden z blemijów. Przywiązany do słupa, popatrzył na nich, gdy go mijali, lecz nie próbował ich zatrzymać. Jego wielkie mętne, tępo patrzące oczy lśniły w świetle grzybów; małe okrągłe usta na brzuchu zacisnęły się i otworzyły, jakby monstrum próbowało coś powiedzieć. Książę nie miał pewności, ale wydawało mu się, że jest to ten sam blemij, który przywiózł ich łódką do domu Qu’arusa.

– To... to jest hangar na łodzi – powiedział Beck. – Ale nie wiem, jak otworzyć drzwi wychodzące na rzekę.

Barrick przypomniał sobie płaszcz i miecz, które zostawił przed domem.

– Czy druga łódź jest tam jeszcze? Ta, którą przypłynęliśmy?

– Skif pana? Możliwe. – Wyraźnie przerażony Beck próbował zebrać myśli. – Tyle się dzieje, więc może zostawili ją tam do rana.

– Sprawdźmy. Dostaniemy się tam stąd?

Teraz Beck nie tracił już czasu na dyskusje i wyprowadził Barricka z hangaru na zewnątrz. Minęli rosnące wzdłuż brzegu wierzby skąpane w czarnym świetle ciemnych świateł. Gdy obeszli dom i pobiegli na przystań, Barrick podziękował bogom, którzy choć raz mu sprzyjali, za to, że Ci, Którzy Nie Śpią budują domy bez okien. Dzięki temu mieli szansę uciec, zanim rodzina Qu’arusa zorientuje się, gdzie są.

Barrick żywił taką nadzieję, jednak w chwili gdy znalazł płaszcz i miecz, usłyszał głosy dobiegające z za domu, co oznaczało, że Ci, Którzy Nie Śpią odkryli, którądy oni szli. Pobiegł szybko na przystań, a Beck za nim. Odwiązał łódź i umocował wiosła w dulkach najszybciej i najciszej, jak potrafił. Między wierzbami ukazało się zielonkawe światło, które zbliżało się w ich stronę – prawdopodobnie latarnia niesiona przez którąś z szukających ich istot. Po chwili dołączyły do niej dwie inne.

– Jest środek Wytchnienia – powiedział przerażony Beck. – Skriki...!

– A niech cię, zamknij się i wsiadaj, jeśli chcesz płynąć ze mną!

Widząc wahanie mężczyzny, Barrick zaczął odpychać łódź od brzegu. To pomogło Beckowi podjąć decyzję. Wskoczył niezgrabnie do środka, przez co rozkołysał łódź tak mocno, że Barrick trzepnął go po głowie, przytrzymując jednocześnie, by nie wypadł za burtę.

– Na dół, głupcze! – syknął.

Gdy Beck skulił się na dnie łodzi, Barrick zanurzył wiosła i zaczął wiosłować, starając się robić to jak najciszej. Niewyraźna bryła domu Qu’arusa i poruszające się światła zaczęły się oddalać.

Barrick zwolnił, dopiero gdy przepłynęli kilka kolejnych kanałów i znaleźli się na tyle

daleko, że nawet ciemne światła się rozmyły i powrócił jednostajny zmierzch. Gdy oparty o wiosła próbował uspokoić oddech, wyczerpany, ale i zdumiony nową siłą niesprawnego wcześniej ramienia, zobaczył, że Raemon Beck płacze cicho.

– Na Trzech, człowieku, chyba nie żałujesz, że opuszczasz tych ludzi – warknął. – Gotowi byli cię zabić! A twoich przyjaciół już pewnie załatwili. – On sam nie odczuwał niczego, co by przypominało żal. Nie byłby w stanie dość szybko wyprowadzić z domu Finlae’a i ociężałego Marwina. Złapałoby ich wszystkich, co nie pozwoliłoby mu ukończyć misji. Nie miał więc wyboru. – Beck? Dlaczego płaczesz? Przecież jesteśmy na wodzie.

Towarzysz spojrzał na niego; po jego wychudłej brudnej twarzy płynęły łzy.

– Nie rozumiesz? Tego właśnie się boję! Jesteśmy na wodzie!

Barrick pokręcił głową.

– Gadasz od rzeczy.

– Jest pora Wytchnienia. Czas, kiedy Ci, Którzy Nie Śpią zamykają się w swoich domach.

– Tym lepiej dla nas. Jak długo to trwa? Może uda nam się znaleźć Komnatę Szachraja, zanim znowu wyjdą...

– Ty głupcze! – W oczach Becka lśniły łzy. – Teraz chodzą skriki, są tysiąc razy gorsze niż najgorszy Ten, Który Nie Śpi. – Wyciągnął rękę i chwycił Barricka za ramię. – Nie rozumiesz? Byłoby lepiej, gdybyśmy zostali w domu Qu’arusa pobici na śmierć przez jego synów, zamiast pozwolić się znaleźć Samotnym. – Spojrzał w dal. – Lepiej, żebyśmy się w ogóle nie narodzili.

CZEŚĆ TRZECIA
CAŁUN

Zrodzony z niczego

Panuje przekonanie, że spośród licznych plemion Qarów najpotężniejsi są Strażnicy Pierwiastków, choć żaden śmiertelnik nigdy ich nie widział. Wprawdzie nieliczni, według Ximandra, Rhantysa i innych, pozostają niewidzialni jak wiatr i potrafią dokonywać sztuczek niedostępnych dla innych czarodziejskich ludzi...

– z *Traktatu o czarodziejskich narodach obojga kontynentów Eionu i Xandu*

Książę Eneasze pożegnał się, gdy dotarli do bramy Latarnianego Pałacu.

– Mam nadzieję, że mi wybaczysz – powiedział. – Wzywają mnie obowiązki, wojsko czeka. Wróciliśmy później, niż się spodziewałem.

– Oczywiście. Bardzo dziękuję, że poszedłeś ze mną, Wasza Wysokość. Mam nadzieję, że nie sprawiłam ci zbyt wiele kłopotu ani cię nie obraziłam.

Książę rzeczywiście wydawał się trochę zakłopotany, mimo to zebrał się na uśmiech, zanim się pochylił i ucałował jej dłoń.

– Jesteś niezwykłą kobietą, Briony Eddon. Nie potrafię dokładnie powiedzieć, co tu ze sobą przyniosłaś, ale wyczuwam, że w Tesis już nic nie będzie takie samo.

Ojej, pomyślała księżniczka.

– Wszystko, co robię, robię dla rodziny i mojego narodu.

– Tak jak my wszyscy – odparł książę. – Lecz ty krocysz dziwniejszą ścieżką niż większość. – Znowu się uśmiechnął, lecz tym razem był to szczerzy wyraz sympatii. – Dziwniejszą, ale i o wiele bardziej interesującą. Żałuję, że nie mamy czasu o tym porozmawiać. O tym i o innych sprawach. Zobaczmy się przy kolacji. Może wtedy przejdziemy się po ogrodzie i porozmawiamy.

– Jeśli tylko zechcesz, książę Eneasze – odpowiedziała Briony, choć w rzeczywistości bardzo potrzebowała trochę samotności, by móc pomyśleć. Czy jej brat naprawdę żyje, czy też zbyt wiele sobie obiecywała po tej dziwnej wiadomości przekazanej starym językiem kamiennych bębnow Funderlingów? Lecz jeśli Barrick żyje, to co ona robi w tym obcym kraju? Powinna być u jego boku i rządzić Marchią Południową albo walczyć przeciwko uzurpatorom. Dawet dan-Faar miał rację: Eddonowie nie mogą spodziewać się lojalności po swoich poddanych, jeśli ci się nie przekonają, że Eddonowie są lojalni wobec nich. Tylko czy ona odważy się wrócić bez armii, opierając się na jednej niejasnej wiadomości?

Oczywiście, że nie – zbyt wielu ludzi liczy, że popełnię taką głupotę. Muszę zachować cierpliwość. Co nie było łatwe, szczególnie teraz, gdy okazało się możliwe, że Barrick czeka na nią w domu.

„Nie wystarczy myśleć o sobie jako o przywódcy – powtarzał jej ojciec. – Musisz jeszcze myśleć jak przywódca. Szanować ludzi, którzy ryzykują dla ciebie życie, szanować ich w myślach i w czynach”.

Księżniczka zawstydzila się nagle, przypomniawszy sobie te słowa. Przez cały dzień nie odwiedziła Ivvie – przyjaciółki, która niemal umarła, ratując jej życie. Nie chciała do niej iść od

razu, bo czuła się wyczerpana po długim dniu, lecz wiedziała, że przywódcy nie wolno lekceważyć poświęcenia innych.

Na czas rekonwalescencji Ivgenia e'Doursos otrzymała własny pokój, niedużą, słoneczną komnatę w południowym skrzydle pałacu. Briony domyślała się, że stoi za tym Eneasz, i była mu wdzięczna, choć z drugiej strony trochę obawiała się tego, ile mu już zawdzięcza.

Ivvie, blada, z mocno podkrążonymi oczami, objęła Briony drżącymi rękoma, gdy ta pochyliła się, by ją ucałować.

– Jak miło z twojej strony, Wasza Wysokość.

– Nonsens. – Briony usiadła przy łóżku i ujęła zimne dłonie dziewczyny. – Połóż się. Niczego ci nie brakuje? Gdzie twoja pokojówka?

– Poszła po zimną wodę – odpowiedziała Ivvie. – Bywa, że mam dreszcze, ale przychodzą też momenty, gdy moje ciało się rozpala, wtedy pokojówka zwilża mi czoło, co przynosi mi ulgę.

– Jestem zła, że do tego dopuściłam.

Ivgenia uśmiechnęła się słabo.

– To nie twoja wina. Ktoś próbował cię zabić. – Otworzyła szerzej oczy. – Czy już go złapali?

Równie dobrze mogła to być jakaś ona, pomyślała Briony.

– Nie. Ale nie wątpię, że schwytają przestępcę i go ukarzą. Żałuję tylko, że to przytrafiło się tobie. – Briony nie chciała mówić zbyt wiele o wypadku, żeby nie pogarszać samopoczucia dziewczyny, więc skierowała rozmowę na inny temat i opowiedziała Ivvie o swojej dziwnej wyprawie do Kallikanów. Dziewczyna otwierała coraz szerzej oczy, słuchając jej opowieści.

– I kto by się domyślał? Podziemne tunele? W tym samym miejscu, które ci pokazywałam?

– Tak. – Briony się roześmiała. – Powoli odkrywam prawdę starego porzekadła o wieszczach w łachmanach.

– I naprawdę otrzymali przeznaczoną dla ciebie wiadomość z Marchii Południowej? Jak ona brzmiała?

Briony nagle poczuła, że być może powiedziała trochę za dużo.

– Może nieco przesadziłam, mówiąc, że wiadomość była przeznaczona dla mnie. Szczerze mówiąc, trudno było odczytać jej sens, nawet nie pamiętam dokładnie, jak brzmiała. Coś o Starych. Powiedziano mi, że chodzi o czarodziejski lud, który oblega zamek – te potwory atakują mój dom. Na samą myśl o tym ogarnia mnie wściekłość.

– Pewnie bardzo cierpisz, Wasza Wysokość, będąc tak daleko od rodziny i poddanych! To właśnie powiedziałam tym głupim kobietom.

– Jakim kobietom?

– Och, wiesz. Seris, córka księcia Geli, Erinna e'Herayas, to stadko, które zawsze krąży wokół lady Ananki. Przyszły mnie odwiedzić. – Ivvie zmarszczyła czoło. Wydawało się, że wizyta Briony już ją trochę zmęczyła. – Rozprawały bez końca o innych: ta jest tak gruba, że potrzebuje trzech pokojówek do zawiązania gorsetu, a tamta nigdy nie zdejmuje kapelusza, bo zaczyna łysieć. Okropne rzeczy. Wiedzą, że się przyjaźnimy, więc o tobie nie powiedziały nic złego, a przynajmniej nie otwarcie, wspomniały tylko, że pewnie jesteś szczęśliwa, mogąc mieszkać w takim cywilizowanym kraju, z dala od tych wszystkich okropności, jakie dzieją się w Marchii Południowej. Wyraziły też przekonanie, że zapewne zechcesz tu zostać jak najdłużej, zważywszy na to, że księżę Eneasz poświęca ci tyle uwagi.

Briony zgrzytnęła zębami.

– Niczego nie pragnę bardziej, jak wrócić do domu.

– Wiem, Wasza Wysokość, wiem! – Teraz oblicze Iwy wyrażało lekki niepokój, jakby zrobiła coś złego. Briony powstrzymała się, by nie wstać i ruszyć do walki z lady Ananką i jej sabatem, i skierowała rozmowę na lżejsze tematy.

Gdy wróciła pokojówka Ivgenii z wiadrem wody, zdyszana i wyraźnie rozżalona, że musi dźwigać ciężary tak daleko, Briony wstała i pocałowała Ivvie na pożegnanie. Na schodach spotkała księżęcego medyka, chudego starca o trochę nieprzytomnym spojrzeniu, który właśnie szedł, by zbadać Ivgenię.

– Ach, księżniczko – rzekł mężczyzna i się skłonił. – Czy wolno zatrzymać cię na chwilę?

– O co chodzi? Czy ona zdrowieje?

– Kto? Och, młoda panna e'Doursos, tak, tak, nie obawiaj się. Ale ja chciałem zapytać cię o Chavena z Ulos. Rozumiem, że byłaś jego protektorką. Czy wiesz, gdzie obecnie przebywa?

– Nie widziałam go i nie słyszałam o nim od nocy, w którą opuściłam Zamek Marchii Południowej.

– Hm. Szkoda. Wysłałem do niego kilka listów, lecz nie odpowiedział.

– Zamek jest oblegany.

– Och, oczywiście. Ale statki wpływają do portu, a inne listy docierają. Jakiś miesiąc temu miałem wiadomość od starego przyjaciela Okrosa Dioketiana.

Briony mgliście przypominała sobie Okrosa, kolegę Chavena, który leczył jej brata podczas ataku gorączki.

– Przykro mi, ale nie potrafię ci pomóc.

– Wybacz, że cię zatrzymałem, Wasza Wysokość. Mam nadzieję, że Chaven jest zdrowy i cały, ale niepokoję się o niego. W przeszłości zawsze mogłem na nim polegać i liczyć na szybką odpowiedź.

Briony wróciła do swoich komnat mocno przygnębiona własnymi sprawami i przepełniona żądzą czynu. Wpadła do środka tak nagle, że Feival podskoczył i zapiszczał, upuszczając list, który czytał.

– Chcę się widzieć z Finnem – oznajmiła.

Feival zaczął zbierać arkusze.

– Po co ci on? Na ogień Zosima, ale mnie przestraszyłaś.

– Nie gadaj bzdur. Poślij po niego. Chcę z nim porozmawiać. – Omiotła list gniewnym spojrzeniem. – Co to jest? Kolejny mój adorator? A może śmiertelna pułapka?

– Nic, czym musiałabyś zaprzętać sobie głowę, Wasza Wysokość. – Feival wsunął szybko list do rękawa i wstał. Miał na sobie piękny zielony kubrak z jedwabnymi rozcięciami i złocistą podszewką, w którym wyglądał jak typowy młody szlachcic z Tesis. – Przyprowadzę go. Jadłaś coś? Jest kurczak i dobrze wypieczony chleb. Może zostały też winogrona...

Briony chodziła od ściany do ściany, nie zwracając uwagi na jego słowa.

– Czy wszyscy w tym przeklętym mieście myślą, że chcę poślubić księcia? – zapytała, Finn spojrzał na Feivala.

– Coś ty jej naopowiadał?

– Nic! Już przyszła w takim podłym nastroju.

– Bądźcie tak mili i rozmawiajcie ze mną, a nie między sobą. – Usiadła na krześle zwrócona twarzą do Finna, który przycupnął ostrożnie na ławce przeznaczonej do odpoczynku dla drobniutkich dam dworu. – Co mówią ludzie?

– O tobie, Wasza Wysokość? Szczerze mówiąc, dworskie pospólstwo nie zajmuje się szczególnie twoją osobą. Oczywiście mówi się dużo o Zamku Marchii Południowej w kontekście oblężenia i obecności czarodziejskiego ludu. Według najnowszych wieści czarodziejscy ludzie wreszcie się ruszyli i próbują sforsować mury, niech bogowie mają w opiece Zamek Marchii Południowej!

– Tak, oby wysłuchali wszystkich naszych modlitw. Lecz to, że Qarowie rozpoczęli atak, sugerowała wiadomość od Funderlingów. – Przez chwilę Briony poczuła przypływ nadziei: jeśli dobrze odczytała wiadomość, to może Barrick naprawdę wrócił?

Finn skinął głową.

– Ale zawsze znajdzie się kilku głupców. Nawet teraz niektórzy Syańcycy wciąż nie wierzą, że czarodziejski lud powrócił, i uważają całą tę wojnę za dużą przesadę.

Briony zmarszczyła brwi.

– Szkoda, że nie widzieli tego, co ja oglądałam w Wigilię Zimy, ostatnią noc spędzoną w domu, albo nie słyszeli historii opowiadanych przez żołnierzy... – Stale wracała myślami do tamtych chwil, lecz mimo niesamowitości ówczesnych wydarzeń jej uwagę przykuł teraz pewien szczegół.

Tamten lekarz wspomniał, jak bardzo mógł polegać na Chavenie. Przypomniała sobie, że ich medyk wrócił wtedy po dłuższej nieobecności, przepadł prawie na dekanox i nie powiedział, co robił. Gdzie był? Czy miała prawo wątpić w jego lojalność? Dlaczego ktoś znika w tak mrocznych chwilach i wraca dopiero po kilku dniach...?

– Nie zwracaj na nich uwagi, Wasza Wysokość – mówił dalej Finn. – To głupcy. Wspomniałem o nich tylko dlatego, że kazałaś nam mieć oczy i uszy otwarte.

– A ty co powiesz? – Briony zwróciła się do Feivala. – Spędzasz dużo czasu na dworze, kręcisz się tu i tam, czasem znikasz na długie godziny. Mam nadzieję, że mój chimeryczny sekretarz robi coś więcej poza uganianiem się za młodymi przystojnymi paziami.

Z zadowoleniem zobaczyła, że Feival ma na tyle przyzwoitości, by się zarumienić.

– Ja... słyszę różne rzeczy, Wasza Wysokość, ale tak jak mówi Finn, większość to paplanina głupców...

– Nie wyjaśniaj mi tego, proszę, a po prostu przekaz, co mówią dworzanie.

– Że... że robisz wszystko, żeby usidlić Eneasza. To są te bardziej... przyzwoite pogłoski. – Przewrócił oczami. – Naprawdę, Wasza Wysokość, same bzdury...

– Mów dalej.

– Inni gadają, że... mierzysz wyżej.

– Co przez to rozumiesz?

– Chodzi o króla.

Briony zerwała się z krzesła tak gwałtownie, że niemal straciła rąbkiem szerokiej sukni naczynia z niskiego stołu.

– Co? Czy oni oszaleli? Króla Enandera? Czego niby miałabym chcieć od niego?

– Pytają, czy jest lepszy sposób na odzyskanie tronu, jak... obnosić się bezwstydnie przed królem? Wybacz, Briony, Wasza Wysokość, powtarzam tylko to, co słyszałem?

– Mów... dalej. – Zacisnęła dłoń na sukni tak mocno, że całkiem wymięła aksamit.

– Feival ma rację – rzekł Finn. – Nie powinnaś zwracać sobie głowy takimi plotkami...

Uniosła dłoń, nakazując mu milczenie.

– Powiedziałaś, mów dalej, Feivalu.

Aktor wydawał się dziwnie rozgniewany tym, że musi przekazywać te pogłoski.

– Niektórzy na dworze sugerują, że od samego początku planowałaś zająć miejsce lady Ananki, że chciałaś wykorzystać swoją młodość i pozycję, by przyciągnąć uwagę króla.

Powtarzają też paskudniejsze rzeczy, z których wiele już słyszałaś. Mówią, że oboje z Shasem chcielibyście przejąć tron Marchii Południowej. Że za śmierć twojego brata Kendricka... ty odpowiadasz. – Aktor przycisnął skrzyżowane ramiona do piersi niczym rozszoszczone dziecko. – Dlaczego każesz mi powtarzać takie rzeczy? Wiesz, jakim jadem potrafią pluć ludzie.

Briony opadła z powrotem na krzesło.

– Nienawidzę ich wszystkich. Król? Prędzej zgodziłabym się wyjść za Ludisa Drakavę, bo jest przynajmniej uczciwym łajdakiem!

Finn Teodoros zsunął się nieporadnie z ławki i klęknął przy niej, co kosztowało go sporo wysiłku.

– Proszę, Wasza Wysokość, błagam, zważaj na słowa! Jesteś tu otoczona szpiegami i wrogami. Nie wiesz, kto może słuchać.

– Miałabym zamordować kochanego Kendricka? – Księżniczka z trudem powstrzymywała łzy. – Bogowie! Już sama wołałabym umrzeć!

Po wyjściu Finna Teodorosa Feival wydawał się niemal równie mocno wzburzony jak Briony. Usiadł przy sekretarzyku i przez długą chwilę wpatrywał się w rachunki, a potem wstał i zabrał się do porządkowania rzeczy, które wcale tego nie wymagały.

Briony, już trochę uspokojona, wciąż siedziała pogrążona we własnych myślach i nie zwróciła nawet uwagi, że Feival z Ulos chodzi tam i z powrotem po niedużym pokoju wypoczynkowym. Jej myśli wciąż krążyły wokół Eneasza, wiadomości Funderlingów, choroby Ivvie i dziesiątków innych problemów. Pomyślała, że może wyjdzie do ogrodu, by nacieszyć się resztką dnia, lecz w tym samym momencie Feival usiadł naprzeciwko niej.

– Wasza Wysokość, czy mogę z tobą porozmawiać? Muszę ci coś powiedzieć. – Wziął głębszy oddech. – Uważam, że... pragnąłbym... myślę, że powinnaś opuścić Tessis.

– Co? Dlaczego?

Aktor poprawił pończochy.

– Ponieważ tu jest dla ciebie zbyt niebezpiecznie. Już dwukrotnie ktoś próbował cię zabić. Ponieważ cały ten dwór to zbieranina kłamców i zdrajców i nie możesz nikomu ufać.

– Tobie ufam. I Finnowi.

– Nie wolno ci ufać nikomu. – Wstał i zaczął chodzić po pokoju, przekładając różne przedmioty z miejsca na miejsce. – Bo każdy ma swoją cenę.

Briony spojrzała na niego zaskoczona.

– Czy ty próbujesz mi coś powiedzieć o Finnie?

Feival odwrócił się do niej z twarzą poczerwieniałą od gniewu, jak się zdawało.

– Nie! Próbuję ci powiedzieć, że to miejsce to gniazdo żmij! Wiem to! Słyszę, co mówią każdego dnia, widzę, co robią! Jesteś za... dobra dla nich, Briony Eddon. Odejdź stąd. Masz chyba rodzinę w Brenlandii? Udaj się tam. To mały dwór, znam go. Ludzie tam nie są tak... ambitni.

Księżniczka pokręciła głową.

– O czym ty mówisz, Feivalu? Gdybym cię nie znała, pomyślałabym, że postradałeś zmysły. Wysyłasz mnie do Brenlandii? Do rodziny mojej matki? Prawie ich nie znam...

Feival z Ulos wyszedł i zamknął się w niewielkim pomieszczeniu, niewiele większym niż garderoba, gdzie miał łóżko. Nie wyjaśnił, co go tak wzburzyło, a następnego dnia wydawał się zbyt speszony, by poruszyć ten temat.

Qinnitan obudziła się, nieszczęśliwa, kręciło jej się w głowie i dręczyły ją mdłości. Minęło pół dekanoksu, odkąd razem z bezimiennym mężczyzną opuścili Agamid, i od tamtego dnia jej życie popadło w dobrze znaną ponurą rutynę.

Niedługi sznur przywiązany do jej kostki u nogi odchodził do jednej z knag na łodzi. Dziewczyna mogła wstać i się przeciągnąć, a także usiąść niewygodnie na nadburciu, by oddać mocz, lecz gdyby rzuciła się za burtę, zawisłaby tuż nad wodą i musiałaby czekać, aż ktoś ją podciągnie. Po rozstaniu z Gołębiem porywacz nie mógł już jej szantażować, że skrzywdzi chłopca, dlatego dopilnował, żeby nie mogła się zabić. Zamierzał dostarczyć ją autarsze żywą, bez względu na to, czy jej się to podobało czy nie.

Jej dręczyciel miał teraz sprzymierzeńców. Ci, którzy przeżyli pożar, zdziesiątkowani i pozbawieni statku, czekali w Agamid na resztę flotylli autarchy, tak więc nie musiał sobie sam radzić. Rybacki kuter, którym płynęli, wynajął razem z posepnym kapitanem o imieniu Vilas i jego dwoma krzepkimi synami. Wszyscy trzej byli spaleni słońcem, a mimo to spowijała ich aura wilgoci i kleistości, jakby wypełzli spod kamienia po odpływie. Wszyscy też mieli jedną grubą brew i mówili tylko, jak się wydawało, brukowym perikalskim, który to język jej oprawca rozumiał, a który dla Qinnitan brzmiał tak, jakby ciągle odchrząkali, żeby splunąć. Poza tym, że rzucali jej poządlive spojrzenia, gdy bezimienny mężczyzna patrzył gdzie indziej, zupełnie się nią nie interesowali, a już w ogóle nie przeszkadzało im to, że Qinnitan jest więźniem.

Tak więc Qinnitan, nie mając nic innego do roboty, obserwowała podnoszącą się i opadającą linię brzegową, czekała i... myślała. Przeżuwając jedzenie, które jeden z synów Vilasa rzucił jej na pokład, jakby była psem, zastanawiała się, ile ma czasu, zanim bezimienny mężczyzna odda ją autarsze. Agamid zostało już wiele dni za nimi, a jellońskie przylądki pozostawały jeszcze poza zasięgiem wzroku. Dokąd zmierzali? Skoro podążali za autarchą, to dlaczego Sulepis zapuścił się aż tak daleko na północ? Z pewnością bardziej by mu się opłacało podbić ogromny i pełen skarbów Hierosol, który sprawował kontrolę nad północną częścią Morza Ostejańskiego. Po co najpotężniejszy monarcha świata miałby płynąć na północ na porośnięte lasami rubieże Eionu?

A przede wszystkim dlaczego autarchą zadał sobie tyle trudu, żeby zabrać Qinnitan z jej rodziny? Nie potrafiła tego zrozumieć, ani trochę. Dlaczego wybrano na królewską żonę dziewczynę, której ojciec jest zwykłym kapłanem? A potem pozostawiono ją samej sobie, nie licząc jakiejś dziwacznej religijnej ceremonii?

I dlaczego interesował się nią też król Olin, władca z północy? Był miły, ale to nie powód, żeby wybierać ją spośród wielu dziewcząt pracujących w hierosolskiej twierdzy.

Zaraz... Qinnitan wstała tknięta nagłą myślą, lecz po dwóch krokach poczuła szarpnięcie. Przełknęła frustrację, zdecydowana podążyć tropem myśli. Autarchą wybrał ją z powodu, którego nie rozumiała. Teraz płynęła na północ, w górę wybrzeża Eionu. Obcemu królowi, więźniowi, wydawało się, że coś w niej rozpoznał, podobieństwo do kogoś, tak, zdaje się, powiedział. Czy tam płynął autarchą – do kraju króla Olina? Czy wszyscy tam zmierzali?

Wciąż nie miało to dla niej żadnego sensu, lecz w tej chwili, na środku bezmiaru oceanu i w otoczeniu wrogów, Qinnitan poczuła, jakby właśnie dotknęła prawdy.

Nie mając nic do roboty i niewiele do jedzenia, Qinnitan nie spała dobrze. W nocy, w oczekiwaniu na sen, często leżała długie godziny, skulona i przykryta kocem, próbując odpędzić

kolejne wyobrażenia o tym, jak autarcha się z nią obejdzie. Rano nie otwierała oczu jeszcze długo po przebudzeniu. Nasłuchiwała zawrożeń morskich ptaków i modliła się o powrót snu, gdyż chciała choćby na trochę zapaść w pustkę, lecz rzadko jej się to udawało. Często budziła się, zanim jeszcze otworzył oczy jej oprawca, ale przy sterze zawsze stał Vilas albo któryś z jego synów.

Po kilku dniach obserwacji swojego nadzorca Qinnitan doszła do wniosku, że żyje on według ściśle określonego rozkładu dnia: budził się codziennie o tej samej porze, gdy zza wschodniego horyzontu wylewało się miedziane światło świtu. Zaraz potem wykonywał serię ćwiczeń rozciągających, zawsze dokładnie w tej samej kolejności, jedno po drugim, niczym mechanizm ogromnego zegara na głównej wieży Sadowego Pałacu, jakby był zbudowany z trybów i kółek, a nie z ciała i krwi. Potem ten niczym się niewyróżniający błąd mężczyzna – Qinnitan obserwowała go przez szparki uchylonych powiek, udając, że śpi – sięgał po czarną buteleczkę, wyjmował korek i zanurzał w naczynku coś, co przypominało igłę albo małą gałązkę, po czym ją oblizywał. Następnie starannie zamykał butelkę i chował igłę. Na śniadanie zwykle jadł trochę suszonej ryby, którą popijał wodą. I tak każdego ranka, rytuał ćwiczeń i buteleczka.

Co było w środku? Qinnitan nie miała pojęcia. Wyglądało to na truciznę, ale dlaczego ktoś miałby dobrowolnie zażywać truciznę. A może to jakieś bardzo silne lekarstwo. Nie rozumiała, o co chodzi, ale przynajmniej miała o czym myśleć – długo i starannie. Nie mając nic do roboty, zaczęła zbierać kolejne myśli, niczym skąpiec gromadzący monety.

Qinnitan leżała nieruchomo z zamkniętymi oczami, lecz teraz była już tak wyczulona na wszelkie zmiany dotyczące czasu i temperatury, że od razu poczuła ciepły dotyk nadchodzącego poranka, który musnął jej chłodną twarz.

Jak mogłaby uciec? A jeśli nie zdoła, to jak skończyć ze sobą, zanim zostanie przekazana autarsze? Chętnie przyjęłaby nawet taką samą śmierć, jaką zginęła Luian – kat przynajmniej umiał szybko zacisnąć pętlę. Bała się tego, co zrobią z nią słudzy autarchy, gdy jeszcze będzie żyła...

Jej myśli przerwał cichy brzęk zamykanej buteleczki i zupełnie zaskakujący głos bezimiennego mężczyzny.

– Wiem, że nie śpisz. Zmienił się twój oddech. Przestań udawać.

Qinnitan otworzyła oczy. Zobaczyła, że mężczyzna wpatruje się w nią, a jego oczy migotały dziwnie, jakby roziskrzone tajemniczym żarem. Kiedy chował buteleczkę w fałdach płaszcza, jego mięśnie na przedramionach poruszały się niczym żmije. Wiedziała, że jest strasznie silny i szybki jak kot. Skąd jej przyszło do głowy, że mogłaby mu uciec?

– Jak się nazywasz? – zapytała już chyba po raz setny.

Obserwował ją z ustami wykrzywionymi w lekkim grymasie rozbawienia albo pogardy.

– Vo – odpowiedział niespodziewanie. – Co znaczy „z”. Ale ja nie jestem „z” niczego. Jestem końcem, a nie początkiem.

Ten krótki monolog tak zaskoczył Qinnitan, że przez chwilę nie wiedziała, co powiedzieć.

– Ja... nie rozumiem. – Starła się zapanować nad głosem, jakby nie było nic nadzwyczajnego w tym, że milczący morderca odsłonił okrucieństwo o sobie. – Vo?

– Mój ojciec pochodzi z Perikalu. Jego ojciec był baronem. Rodowe nazwisko brzmiało „Vo Jovandil”, ale ojciec je zhańbił. – Mężczyzna roześmiał się, a Qinnitan dostrzegła w nim jakąś zmianę, jakby trawiła go gorączka, i trochę się bała kontynuować rozmowę. – Tak więc

porzucił drugi człon nazwiska i poszedł na wojnę. Dostał się do niewoli autarchy i został wcielony do Białych Ogarów.

Nawet dla Qinnitan, która spędziła znaczną część życia w odosobnieniu Ula i Samotni, sama wzmianka o morderczym wojsku autarchy wystarczyła, by jej serce zabiło szybciej. Teraz już wiedziała, dlaczego biały mieszkaniec Eionu tak dobrze włada xiskim.

– A... twoja matka?

– Była dziwką – rzucił mężczyzna obojętnym tonem, lecz po raz pierwszy odwrócił wzrok i spojrzał na morze roziskrzone wschodem słońca, który rozlewał się po horyzoncie niczym płama palącej się ropy. – Wszystkie kobiety to dziwki, lecz ona była uczciwa w tym, co robiła. Zabił ją.

– Co? Ojciec zabił twoją matkę?

Vo znowu skierował na Qinnitan pełne pogardy spojrzenie.

– Sama się o to prosiła. Uderzyła go, więc zatłukł ją na śmierć.

Qinnitan pragnęła, by on przestał już mówić. Wyciągnęła przed siebie drżące dłonie, jakby chciała się obronić przed okropieństwami, które usłyszała.

– Zrobiłbym to samo – rzekł Vo, po czym wstał i poszedł przez kołyszący się lekko pokład do starego Vilasa, który pilnował rumpla.

Qinnitan przykucnęła i skuliła się przed silną, zimną bryzą, a gdy już nie mogła wytrzymać, przesunęła się wzdłuż ławki do burty i zwymiotowała skromną zawartość żołądka. Potem przyłożyła twarz do zimnego i mokrego relingu. Linia brzegu była ledwo widoczna, zasłonięta przez mgłę, dlatego wydawało się, że łódź płynie przez jakieś samotne miejsce między światami.

Nastąpiła wyraźna zmiana. W ciągu kolejnych dni Vo stał się wyraźnie rozmowniejszy, przynajmniej w porównaniu z tym, jak zachowywał się wcześniej. Kuter sunął wolno wzdłuż wybrzeża, kierując się na północ, a Vo, już teraz regularnie po swoim porannym rytualne, wdawał się w rozmowę z Qinnitan. Od czasu do czasu wspominał nawet miejsca, które odwiedził, i rzeczy, które widział, odsłaniał fragmenty swojego życia i historii, za to ani razu nie wspominał o żadnym ze swoich rodziców. Qinnitan starała się słuchać go uważnie, choć czasem nie było to łatwe, ponieważ wydawało się, że dla Vo nie ma większej różnicy między posiłkiem, który jadł, a człowiekiem, którego zabił. W tym, co mówił, nie było nic miłego, w niczym nie przypominało to zwykłej rozmowy. Wydawało się, że gawędzi z nią wiedziony jakimś impulsem, który odczuwał po oblizaniu igły, jakby to, co skrywała buteleczka, pobudzało go na tyle mocno, że nie potrafił zachować milczenia. Ten stan nigdy nie trwał długo, a potem mężczyzna często stawał się zły i rozdrażniony, dlatego dawał Qinnitan mniej jedzenia albo warczał na nią bez powodu, jakby to ona podstępnie skusiła go do rozmowy.

– Dlaczego mówisz, że kobiety to dziwki? – zapytała cicho któregoś ranka. – Bez względu na to, co ci o mnie powiedział autarcha, ja nie jestem taka. Nie straciłam dziewictwa. Miałam zostać kapłanką, ale autarcha wyciągnął mnie z Ula i umieścił w Samotni.

Vo przewrócił oczami. Maskę opanowania, której nigdy nie zdejmował, jakby opadała w tej pierwszej godzinie poranka.

– Kurwienie się nie ma nic wspólnego ze... spółkowaniem – powiedział i skrzywił się, jakby to słowo miało paskudny smak. – Dziwka sprzedaje się za ochronę, jedzenie albo za bogactwa. – Obrzucił Qinnitan obojętnym spojrzeniem. – Kobiety nie mają do zaoferowania niczego poza sobą, dlatego się sprzedają.

– A ty? Co ty sprzedajesz?

– Och, bez wątpienia też jestem dziwką – odpowiedział i roześmiał się. Był to śmiech nieporadny i zmacony gniewem, jakby mężczyzna zbyt rzadko to robił. – Większość mężczyzn to dziwki, poza tymi, którzy z urodzenia posiadają władzę i bogactwo. Ci kupują. Reszta z nas to ich dziwki i kochankowie.

– A zatem jesteś dziwką autarchy? – Qinnitan pytanie to zabarwiła pogardą, przynajmniej na tyle, na ile starczyło jej odwagi. – I za złoto oddasz mnie władcy, żeby mnie zameczyli torturami i zamordowali?

Vo przez długą chwilę wpatrywał się w swoją dłoń, a potem ją podniósł.

– Widzisz? Mógłbym ci złamać kark jednym ruchem albo wbić palce w oczy lub między żebra i cię zabić, a ty nie potrafiłabyś mnie powstrzymać. Tak więc to ja posiadam ciebie. Ale w moich bebechach jest coś, co należy do autarchy. To coś mnie zabije, jeśli nie wykonam jego polecenia. I nie będzie to przyjemna śmierć. Tak więc on posiada mnie. – Vo stał, kołysząc się w rytm falującej wody, i patrzył na Qinnitan niewidzącym spojrzeniem, coraz bardziej opanowany. – Jak większość ludzi, niepotrzebnie tracisz czas, próbując odkryć znaczenie rzeczy. Świat to kupa gnoju, a my jesteśmy robakami, które w nim żyją i pozerają się nawzajem. – Odwrócił się już od niej, lecz jeszcze rzucił przez ramię: – Ten, kto zje wszystkich, wygrywa, mimo to wciąż pozostaje tylko ostatnim żyjącym robalem w kupie gnoju.

27

Jętki

*Niektórzy uczeni podzielają przekonanie, że Strażnicy
Pierwiastków mogą stanowić zupełnie inny rodzaj istot, jeszcze
mniej naturalnych niż sami czarodziejscy ludzie.*

*– z Traktatu o czarodziejskich narodach obojga kontynentów Eionu
i Xandu*

Ferras Vansen długo siedział, wpatrzony w ciemność, usiłując zrozumieć, co się stało. Mocno osłabiony, odczuwał mdłości, w jego głowie rozbrzmiewało jednostajne dzwonienie. Nad nim stał Rogowiec Lideryt, który poruszał ustami, lecz Vansen go nie słyszał.

Głuchy, pomyślał. Ogłuchłem. I wtedy przypomniał sobie grzmot, który powalił go na ziemię, huk głośniejszy niż wszystko, co słyszał od chwili wybuchu w Wielkich Głębiach.

Pozbywszy się koszmarne wspomnienia, znowu zamknął oczy. Od razu porwał go prąd oszołomienia i poczuł, że wiruje niczym łódź niesiona wartkim nurtem rzeki. Nagle uświadomił sobie, po raz pierwszy od dłuższego czasu, że naprawdę jest pod ziemią – w głębokiej dziurze pod światem i od słońca odgradza go niewyobrażalna masa kamienia. Gdyby tak ktoś wziął ogromny kij i zrobił otwór w tym kamieniu, żeby Vansen znowu mógł zobaczyć światło... tymczasem siedział zagubiony w tej podziemnej głębi... zagubiony, oszołomiony, zdeorientowany...

– ...Rzucić dalej – powiedział ktoś szeptem. – ...Nie wiedziałem...

Vansen otworzył oczy. Rogowiec wciąż coś mówił, lecz teraz był już słyszalny dla Vansena, jakkolwiek wydawało się, że Funderling przemawia z odległości stu kroków. Mimo wszystko oznaczało to, że wraca mu słuch.

Vansen zobaczył, że w pieczarze jest wielu innych Funderlingów, żywych, których nie rozpoznawał, dopóki nie pojawił się przed nim Cynober ubrany w zbroję, jakiej Vansen jeszcze nie widział: składała się głównie z okrągłych płytek, przez co mały Funderling przypominał skrzyżowanie żółwia i stosu porzuconych naczyń.

– Jak on się czuje? – zwrócił się magister do Rogowca.

Skąd się tu wziął Cynober? Vansen pamiętał, że nie spodziewał się zobaczyć go tak szybko. Zdziwiła go też obecność Rogowca Lideryta.

– Chyba wybuch go ogłuszył. – Głos Rogowca wciąż był stłumiony.

– Nie jestem głuchy – powiedział Vansen, lecz Funderlingowie zachowywali się tak, jakby go nie usłyszeli. Odezwał się jeszcze raz, próbując mówić głośnie. Chyba krzyknął wystarczająco donośnie, bo obaj odwrócili się do niego w tej samej chwili. – Słyszę coraz lepiej – wyjaśnił. – Co się stało?

– To moja wina – rzekł mocno zatroskany Rogowiec. – Znalazłem prochowe żuki w naszym magazynie – używamy ich do rozsadzania skał – i pomyślałem, że skoro nie mam żadnej broni, a one mogą odstraszyć Qarów, to zabiorę je ze sobą. Gdy tu dotarłem, zobaczyłem, że was przygniatają, więc zapaliłem pocisk, potrzymałem i rzuciłem najdalej, jak potrafiłem. – Wydawał się bardzo rozgoryczony. – Nie jestem tak silny jak...

– Nonsens! – rzekł Cynober. – Nie dalibyśmy rady przybyć na czas. Dzięki tobie, Rogowcu Liderycie, czarodziejski lud wpadł w panikę i nie zdołali się wycofać. Uratowałeś

kapitana Vansena, a także świątynię, jak się wydaje!

Rogowiec patrzył na nich zdumiony.

– Naprawdę?

Vansen przypomniał sobie nagle ostatnie zapamiętane chwile.

– Gdzie jest Jaspis Młot? Czy on...?

– Żyje – zapewnił go Cynober. Dzwoni mu w uszach, tak jak tobie, ale nie narzeka, och, nie. Jest za słaby, żeby biadolić. Moi ludzie opatrują mu rany. Stracił dużo krwi, ale przeżyje. Starsi będą dumni z takich wojowników!

Vansen nie potrafił do końca wyzbyć się wrażenia, że jest pogrzebany milion kamieni pod ziemią. Mógł się poruszać, lecz każda część jego ciała wydawała mu się nieznana, wynaturzona, a myśli grzęzły w mule.

– Powiedziałeś, że ten... żuk... był wypełniony rozsadzającym skały prochem. Czy to jest to samo, co nazywają serpentynem albo mąką działową, czarny proch używany do armat? Macie tego więcej?

– Tak – odparł Rogowiec. – Jeszcze kilkanaście pocisków i więcej samego prochu. Ale nie mamy dział ani dość miejsca, żeby z nich strzelać...

Podbiegł do nich jeden z ubranych w zbroję Funderlingów.

– Magistrze Cynobrze, jeden z naszych przeciwników, który został ugodzony prochem... jeden z tych drowów...!

– O co chodzi, człowieku? Wyżłób to z siebie.

– On żyje.

Vansen, o dziwo, rozpoznał więźnia. Spoglądał na niego z niechęcią ten sam brudny człowieczek, który próbował go zabić, a którego Vansen zdążył chwycić za nadgarstek. Kudłata istota osłaniała zdrową ręką opuchnięte i mocno sine przedramię.

– Czy możemy z nim porozmawiać? – zapytał Vansen.

Cynober wzruszył ramionami.

– Moi ludzie próbowali. Nie odpowiada. Nie wiemy, jakim językiem mówi. Możliwe, że nas nie rozumie.

– W takim razie zabijcie go – powiedział głośno Vansen. – Jest dla nas bezużyteczny. Utnijcie mu głowę.

– Co?! – zawołał zszokowany Rogowiec. Także Cynober wyglądał na zaskoczonego.

Przez cały czas Vansen obserwował uważnie więźnia, który nawet nie drgnął ani nie podniósł wzroku.

– Chciałem tylko sprawdzić, czy udaje, że nas nie rozumie. Musimy znaleźć jakiś sposób, żeby nam opowiedział o planach swojej pani.

Rogowiec wciąż patrzył na Vansena podejrzliwie.

– Co masz na myśli? Tortury?

Vansen uśmiechnął się smutno.

– Nie zawahałbym się, gdybym miał pewność, że to może uratować twoją rodzinę i moich ludzi na powierzchni, lecz odpowiedzi udzielone pod przymusem tortur rzadko na coś się przydają, szczególnie jeśli nie władamy dobrze językiem więźnia. Ale dajcie mi znać, jak coś wymyślicie, bo inaczej może wrócę do pierwotnego pomysłu.

Magister Cynober polecił odprowadzić więźnia z powrotem do świątyni, po czym poszedł dopilnować wykonania zadań, które zlecił. Ci z grupy posiłkowej, którzy nie zbierali ciał i nie

opatrywali rannych, zostali odesłani do naprawiania szkód powstałych po ataku Qarów w Rytualnych Komnatach.

Vansen potarł bolącą głowę. Pragnął jedynie się położyć i zasnąć. Czuł się wyczerpany jeszcze przed wybuchem pocisku, a teraz był cały obolały, mimo że obmyto mu i opatrzone rany, zanim odzyskał przytomność. Bardzo chciał napić się czegoś mocnego i przespać chociaż godzinę w łóżku, lecz był dowódcą, mniej więcej, więc będzie musiał odłożyć to na później.

– Mówiłeś, że masz jeszcze kilkanaście takich prochowych żuków i więcej prochu – zwrócił się do Rogowca.

– Tak, w świątyni. Dużo więcej mamy tego w Mieście Funderlingów. Używamy takiego prochu do wysadzania skał, gdy trzeba pracować szybko i nie ma czasu posługiwać się starymi, właściwymi technikami...

W ostatnim miesiącu Vansen dowiedział się więcej, niżby sobie życzył, o klinowaniu i szlifowaniu na mokro.

– W takim razie porozmawiajmy z Cynobrem – rzucił pospiesznie. – Może uda nam się przygotować jakąś niespodziankę, która sprawi, że mroczna dama i jej żołnierze dwa razy się zastanowią, zanim odwiedzą nasz dom bez zaproszenia.

Rogowiec próbował namówić Vansena na odpoczynek – kapitan był cały pokaleczony i wciąż nie słyszał dobrze – lecz duży nie chciał odejść z pola walki, tak więc Lideryt sam poszedł do świątyni. Wieści o bitwie dotarły już do Braci Metamorficznych i teraz niemal wszyscy zasypali go pytaniami, a wielu traktowało jak bohatera. W innych okolicznościach może nawet sprawiłoby mu to przyjemność, lecz teraz był zbyt przestraszony i zmęczony i pragnął jedynie wrócić do swojego pokoju. Choć krótko, ale widział wojowników Qarów i wiedział, że tysiące oblegają Zamek Marchii Południowej na powierzchni. Niewielką ich grupkę zaskoczył swoim wybuchowym żukiem, ale następnym razem już nie będzie to dla nich żadna nowość. Być może drowy też mają taki proch.

Rogowiec doszedł już prawie do swojego pokoju, gdy przypomniał sobie o Krzemieniu, którego zostawił pod opieką medyka. Znużony zawrócił na korytarzu, lecz gdy stanął przed pokojem Chavena i zapukał, nikt nie odpowiedział. Po chwili przekonał się, że pokój nie jest zamknięty. Otworzył drzwi szerzej, ogarnięty nagłym strachem.

Chaven leżał rozciągnięty na podłodze, jakby ktoś go ogłuszył, a nigdzie nie było Krzemienia. Przez krótką straszną chwilę Rogowiec pomyślał, że medyk nie żyje, lecz gdy przyklęknął przy leżącym, usłyszał, jak Chaven pojękuje cicho. Rogowiec przyniósł miskę z zimną wodą i kawałek materiału i zwilżył szerokie, blade czoło medyka.

– Obudź się! – Spróbował potrząsnąć Chavenem, który był znacznie większy od niego. – Gdzie jest chłopak? Gdzie Krzemień?

Chaven jęknął, po czym przeturlał się na bok i usiadł.

– Co? – Rozejrzał się po pokoju, jakby widział go po raz pierwszy. – Krzemień?

– Tak, Krzemień! Zostawiłem go z tobą. Gdzie on jest? Co się stało?

Chaven patrzył na Rogowca nieprzytomnym spojrzeniem.

– A co się miało stać? Nic się nie stało. Krzemień, powiadasz. Był tutaj? – Potrząsnął powoli głową, niczym znużony koń, który próbuje pozbyć się dokuczliwej muchy. – Nie, zaczekaj. Tak, był tu, jasne, że był. Ale... nie pamiętam, co się stało. Nie ma go?

Rogowiec ledwo się powstrzymał, by nie cisnąć w medyka mokrą szmatą. Szybko przeszukał nieduże pomieszczenie, by się upewnić, że chłopiec nigdzie się nie schował. Nie

znalazł go, lecz w kącie na podłodze dostrzegł małe lustereko i ogarek świecy. Powąchał knot. Bez wątpienia dopiero co go zgaszono.

– Co to jest? – zapytał otumanionego medyka. – Zajmowaliście się tymi twoimi lustrzanymi sztuczkami? Przestraszyłeś go i uciekł, tak?

Chaven spojrział na Rogowca urażony, ale i zaniepokojony.

– Szczerze mówiąc, nie pamiętam. Ale daj spokój, Rogowcu, nigdy bym nie zranił ani nie przestraszył dzieciaka, na tyle chyba mnie znasz.

Rogowiec pamiętał, jak chłopiec krzyczał przerażony, gdy poprzednim razem medyk próbował lustrzanych czarów.

– Tak! Nie ma go, tyle wiem. Nie domyślasz się, gdzie może być? Kiedy zniknął?

Chaven siedział, oszołomiony, zupełnie bezużyteczny. Błądził wzrokiem po pokoju, przecierając oczy, jakby słabe światło i tak było dla niego zbyt jasne.

Idąc szybko korytarzem, Rogowiec przypomniał sobie o bibliotece. Krzemień już raz napytał im biedy, gdy zakradł się tam bez pozwolenia. Pewnie i teraz tam zaszedł.

Z wielką ulgą zobaczył chłopca, który po prostu spał z głową opartą na blacie jednego z bardzo starych stołów, a właściwie na niezwykle cennej księdze, wiekowym zbiorze arkuszy z miki, cieńszych niż pergamin i pokrytych płytko wyżłobionym tekstem. Gdy Rogowiec uniósł głowę chłopca i wysunął księgę, zerknął na starożytne pismo. Nie potrafił go odczytać – było zbyt stare i dziwne – ale litery przypominały znaki, jakie widział na ścianach w głębi Tajemnic. Co chłopak z tym robił? Czy w ogóle rozumie, z czym ma do czynienia? Czasem Krzemień zachowywał się, jakby był o wiele starszy, kiedy indziej zaś był po prostu dzieciakiem.

– Obudź się, chłopcze – powiedział cicho. Był skłonny wybaczyć mu prawie wszystko, byle tylko nie musiał wyjawiać Opal, że zgubił dziecko. – Idziemy.

Krzemień uniósł głowę, rozejrzał się i zaraz znowu zamknął oczy, jakby zamierzał znowu zasnąć. Był za duży, by Rogowiec dał radę go ponieść – przewyższał już wzrostem ojczyma – więc Funderling pociągnął chłopca za ramię, zmuszając do wstania. Krzemień dość niechętnie pozwolił się wyprowadzić z biblioteki i ruszyli do wspólnego pokoju. Mieli szczęście i nie natknęli się na brata Nikla ani na żadnego z jego mnichów, których Vansen pewnie zaangażował do obrony świątyni. Nikt też nie zauważył ponownego wtargnięcia chłopca do biblioteki.

– Dlaczego to zrobiłeś, chłopcze? – zapytał Rogowiec. – Bracia mówili, żebyś się trzymał z dala od biblioteki. Co tam robiłeś? I co się wydarzyło w pokoju Chavena?

Krzemień potrząsnął sennie głową.

– Nie wiem. – Szedł jakiś czas w milczeniu, a potem niespodziewanie powiedział: – Czasem... czasem wydaje mi się, że wiem różne rzeczy. Czasem wiem różne rzeczy – ważne rzeczy! A potem... nie wiem. – Ku zdumieniu Rogowca chłopak wybuchnął płaczem, co nigdy wcześniej się nie zdarzyło. – Po prostu nie wiem, ojciec! Nie rozumiem!

Funderling objął ramieniem i przytulił tę dziwną istotę, to obce dziecko, które drżało ogarnięte smutkiem. Nic więcej nie mógł zrobić.

Zdażył położyć Krzemienia do łóżka, gdy ktoś zapukał gwałtownie do drzwi. Rogowiec podniósł się ciężko i otworzył. Ujrzał Chavena, który patrzył na niego z ciemnego korytarza szeroko otwartymi oczami.

– Znalazłeś chłopaka? – zapytał medyk.
– Tak. Nic mu nie jest. Poszedł do biblioteki. Położyłem go spać. – Cofnął się i dał znak medykowi, żeby wszedł. – Wejdz, a ja zobaczę, czy mam trochę mchówki. Przypomniałeś sobie, co się stało?
– Nie – odparł Chaven. – Przynoszę ci wiadomość. Przesłał mnie Ferras Vansen i kazał ci powiedzieć, że wiedzą już, jak się porozumieć z uwięzionym Funderlingiem.
Rogowiec uniósł brew.
– Ja jestem Funderlingiem. A tamta krwiożercza bestia to drow.
Chaven machnął ręką.
– Oczywiście, oczywiście. Przepraszam. Przyjdiesz? Prosił o to kapitan Vansen.
Rogowiec pokręcił głową.
– Nie. Muszę zostać z chłopcem. Zanedbuję go, bo ciągle coś zaprzęta moją uwagę. A poza tym w niczym nie pomogę Vansenowi. Jeśli naprawdę mnie potrzebuje, przyjdę do niego jutro. – Uśmiechnął się kwaśno. – Jeśli wcześniej Qarowie nie wymordują nas wszystkich.
Medyk nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć.
– No tak – bąknął.
Po wyjściu Chavena Rogowiec wrócił do chłopca. Krzemień spał z twarzą rozluźnioną snem, z otwartymi ustami, a jego potargane włosy były teraz jaśniejsze niż cytryn. Co to wszystko mogło znaczyć? – zastanawiał się Rogowiec. Wie, ale nie wie?
Jak zawsze, Funderling mógł się tylko dziwować nad tym cudakiem, którego razem z Opal wprowadzili do swojego życia. Ten odmieniec... chodząca tajemnica.

Utta chwyciła księżnę za ramię, usiłując ją powstrzymać, lecz na nic się zdały jej wysiłki. Obie pośliznęły się w błocie na głównej ulicy. Kayyin wyciągnął leniwie rękę, by im pomóc, lecz same zdołały utrzymać równowagę.
– Nie zatrzymuj mnie, sostro. – Merolanna oddychała ciężko ze zmęczenia i z zimna.
Przed pojawieniem się ciemnego mostu nastały ciepłe dni, lecz potem całe wybrzeże wokół Zamku Marchii Południowej spowiła chłodna wilgotna mgiełka, jakby lato ominęło to miejsce i od razu nastał miesiąc Dekamene albo i późniejsza pora.
– Kayyinie, pomóż mi – błagała Utta. – Mroczna dama ją zabije.
– Możliwe – odrzekł Qar. – Z drugiej strony, popatrz: wciąż żyjemy. W tych smutnych dniach moja matka jest chyba trochę mniej żądna krwi.
– Oszalałeś? – rzuciła Merolanna. – Mniej żądna krwi! W tej chwili morduje naszych ludzi! Słyszę ich krzyki!
Kayyin wzruszył ramionami.
– Nie powiedziałem, że całkiem się zmieniła.
Merolanna szła zdecydowanym krokiem, odpychając rękę Utty za każdym razem, gdy zorianka próbowała ją zatrzymać.
– Nie! Ona musi mnie wysłuchać. Nie dam się powstrzymać!
– Gdyby Pysk i pozostali strażnicy nie zostali odwołani do oblężenia, nie wyszłabyś nawet za drzwi – stwierdził pogodnie Kayyin.
Merolanna wyszczerzyła tylko zęby w grymasie, który na obliczu kogoś innego niż dostojna matrona zostałaby nazwany warknięciem.
Przystanie i zabudowania portowe zwrócone fasadami do zatopionej fosi stały się sceną koszmarnego chaosu. Dziesiątki istot najróżniejszej maści i rozmiarów biegały w różne strony we

mgle, podczas gdy nad wszystkim wyrastały trzeszczące konary cierniowego mostu, podobne do zniekształconych kości walącej się świątyni. Merolanna, pochłapana do pasa błotem, nawet nie drgnęła, gdy z mroku wynurzały się niespodziewanie wyjątkowo groteskowe postacie, lecz maszerowała dalej zdecydowanym krokiem, niczym zmierzający na wojnę żołnierz, kierując się ku czarno-złocistemu namiotowi, który stał w samym środku chaosu.

Nie brakuje jej odwagi, pomyślała Utta, muszę to przyznać. Tylko że osoba, której szuka, nie jest jakimś tam mężczyzną, którego może zastraszyć rozsierzona staruszka. Jeśli Kayyin mówił prawdę, mroczna dama jest starsza, niż potrafimy sobie wyobrazić – jest dzieckiem bogów. I tylko słodka Zoria wie, jak bardzo jej gniew i żądza zemsty także wykraczają poza nasze zrozumienie.

Gdyby nie dziwne wydarzenia ostatniego roku, szaleństwa, które oglądała na własne oczy, Utta uznałaby za wymysły opowieść Qara o bogach, Ognistych Kwiatkach i nieśmiertelnych rodzeństwach... lecz żadne inne odpowiedzi nie pasowały do tego, co widziała wcześniej i co działo się wokół w tej chwili! Dla Utty Fornsdodir, która uważała się za wykształconą kobietę i która pomimo swego powołania potrafiła dostrzec różnicę między ważną prawdą zawartą w dawnych opowieściach a przesądem i naiwnością samych opowieści, był to szokujący i przygnębiający czas.

Yasammez stała przed namiotem niczym uosobienie koszmaru, w czarnej nabijanej kolcami zbroi, z obnażonym mieczem koloru kości słoniowej zawieszonym u pasa. Obserwowała coś, czego Utta nie widziała pośród spowitych mgłą cierni, i nawet się nie odwróciła, gdy księżna Merolanna stanęła przed nią, zataczając się lekko, a potem powoli, z wyraźnym trudem opadła na kolana. Nad tym niemym żywym obrazem niósł się stłumiony krzyk, który można by wziąć za szum wiatru, lecz Utta wiedziała, że to nie wiatr. Za murami Zamku Marchii Południowej czarodziejscy ludzie zabijali mężczyzn, kobiety i dzieci.

– Dłużej nie zniosę tego okrucieństwa! – W głosie Merolanny, który jeszcze niedawno był tak silny, teraz pobrzmiwało coś więcej niż strach, jak wyczuła Utta. Mroczną Yasammez spowijała taka groza, że słowa więzły w gardle każdemu. – Dlaczego mordujesz moich ludzi? Co oni ci zrobili? Minęło dwieście lat od naszej ostatniej wojny i większość z nas prawie zapomniała, że w ogóle istniejecie!

Yasammez powoli obróciła głowę w stronę księżnej. Jej twarz była pozbawioną wszelkich emocji maską, bladą i dziwnie piękną mimo nienaturalnego dla ludzi ułożenia kości.

– Dwieście lat? – powtórzyła czarodziejska kobieta ochrypłym śpiewnym głosem. – To zaledwie chwila. Ktoś, kto widział mijające stulecia, tak jak ja, może mówić o czasie, jakby nie miał on znaczenia. Twój lud skazał na śmierć moich ludzi i teraz ja mu się odwdzięczam. Możesz obserwować koniec albo się schować, ale nie marnuj mojego czasu.

– W takim razie zabij mnie – rzekła Merolanna. Jej głos znowu brzmiał mocno.

– Nie, księżno! – zawołała Utta, lecz w tej samej chwili poczuła, że jej nogi są miękkie jak sitowie wiosną, i nie ruszyła się z miejsca.

– Bądź cicho, sestro Utto. – Księżna ponownie odwróciła się do Yasammez podobnej do kanciastego cienia. – Nie mogę tak po prostu patrzeć, jak giną ludzie – moje bratanice, bratankowie i przyjaciele – i nie mogę też przed tym uciec. Skoro, jak twierdzisz, rozumiesz, co znaczy cierpieć, zakończ moje życie. – Księżna pochyliła głowę. – Odbierz mi je, ty zimna istoto. Tortury nie przystoją wielkiej damie.

Yasammez spojrzała na Merolannę i po jej twarzy przemknęło coś na podobieństwo chłodnego uśmiechu. Przez kilka długich chwil stały tak niczym postacie dramatu, można by rzec przerażający zwycięzca i bezradna ofiara, czy też kat i skazany na śmierć więzień, lecz nie było to takie proste, uzmysłowiła sobie Utta.

– Nie powinnaś wspominać przy mnie o cierpieniu – odezwała się wreszcie Yasammez. Jej głos wciąż brzmiał chropowato i dziwnie, choć nieco złagodniał. – Nigdy. Nawet gdybym przyprowadzała tu twoich ukochanych, jednego po drugim, i zabijała ich na twoich oczach, nie powinnaś wymawiać przy mnie tego słowa.

– Nie wiem, co... – zaczęła Merolanna.

– Milcz. – To pojedyncze słowo zabrzmiało jak syk rozgrzanego do czerwoności brzeszczotu włożonego do zimnej wody. – Wiesz, co ty i twój przeklęty rodzaj zrobiliście moim ludziom? Polowaliście na nas, truliście nas jak robactwo. Ci, którzy przeżyli, zostali wygnani na ziemie zimnej północy i zmuszeni do rozciągnięcia nad sobą płaszcza zmierzchu, jak dzieci, które chowają się pod kocem. Tak, ukradliście nam nawet słońce! Zepchnęliście nasz rodzaj na skraj zniszczenia. To najokrutniejszy żart. A potem pozbawiliście nas ostatniej szansy przetrwania. – Yasammez przysunęła bladą twarz do księżnej, mrużąc czarne oczy. – Tortury? Gdybym mogła, torturowałabym każdego z was z osobna, wy miękkie śmiertelne ślimaki, a potem wytopiłabym tłuszcz z waszych ciał, napawając się waszymi wrzaskami. Stosy zwęglonych kości, taki pozostałby po was pomnik.

Nienawiść mrocznej kobiety była jak powiew lodowatego wiatru mknącego górskim zboczem. Utta nie potrafiła powstrzymać cichego okrzyku przerażenia.

Yasammez odwróciła się do niej, jakby dopiero teraz ją zobaczyła.

– Ty. Nazywasz siebie służką Zorii. Co ty wiesz o białej gołębiczy, poza sentymentalnymi bzdurami? Co ty wiesz o prawdziwym Kwiecie Świtu? Co wiesz o tym, jak jej ojciec i jego klan ją dręczyli, zabili jej ukochanego, a potem oddali jednemu ze zwycięskich braci, jakby bogini pierwszego światła była zwykłym łupem? Co wiesz o tym, jak torturowali jej syna Szachraja – tego, którego wy, marne jętki, nazywacie Kupilasem – tak długo, że gotów był oddać życie, by uwolnić od nich świat? Cierpiał przez tysiące lat, by świat był bezpieczny, przeżywał męki, jakich ani ty, ani nawet ja nie jesteśmy w stanie sobie wyobrazić. Pomyśl i o tym: wy nazywacie go bogiem, a ja... ojcem. – Jej twarz, maska wściekłości, nagle rozluźniła się niczym oblicze trupa. – A teraz on umiera. Mój ojciec umiera, moja rodzina umiera, cały mój rodzaj umiera... a ty mi mówisz o cierpieniu.

Wreszcie nogi ugięły się pod Uttą i zorianka opadła na kolana obok Merolanny. Znowu usłyszała krzyki ofiar Yasammez niosące się nad wodami zatoki, chóralną pieśń przerażenia podobną do płynącego z oddali wołania ptaków morskich.

Mroczna dama znowu odwróciła się do nich plecami.

– Kayyynie, zabierz ode mnie te istoty, te... robaki. Muszę zająć się wojną. Opowiedz im o tym, jak ich rodzaj ukradł Ognisty Kwiat i wymordował moją rodzinę. A potem, jeśli wciąż będą chciały umrzeć, chętnie spełnię ich prośbę.

28
Samotni

W tomie zwanym Księgą Ximandra jest napisane, że dawno temu jedna rodzina Strażników Pierwiastków połączyła siły z Qarami i że nazywa się ich Szmaragdowym Ogniem. Według Ximandera pełnią oni rolę kogoś w rodzaju straży królewskiej przy królu i królowej czarodziejskich ludzi, podobnie jak Lamparty autarchy z Xis.

– z Traktatu o czarodziejskich narodach obojga kontynentów Eionu i Xandu

– Wytchnienie... skriki...? Nie rozumiem. – Barrick znowu podniósł ciężkie wiosła. Dziwny mrok ciemnych świateł otaczał rzekę z obu stron niczym korony starych drzew, gęsty na brzegu i coraz rzadszy w górze nad ich głowami. – To nie ma sensu – warknął do Raemona Becka, starając się mówić szeptem. – Dlaczego Ci, Którzy Nie Śpią mieliby się zamykać w domach na długie godziny? A skoro wszyscy są w domach, to po co te skriki pilnują ulic? Przed czym?

Beck wytarł oczy, lecz wciąż wyglądał tak, jakby miał się zaraz rozplakać. Barrick czuł złość, patrząc na jego opuchniętą wykrzywioną twarz.

– Ci, Którzy Nie Śpią są czarodziejskimi ludźmi – powiedział cicho Beck – i poza moim panem wcale nie są mili. Nikomu nie ufają, nawet swoim. A co do Wytchnienia, to zamykają się w domach, bo tak nakazuje im prawo, a skriki pilnują, by go przestrzegali. Mój pan Qu'arus mawiał, że jego ludzie muszą się zamykać, ponieważ zbyt długa bezsenność źle wpływa na ich serca i myśli. Przed wprowadzeniem Prawa Wytchnienia wielu z nich cierpiało tak bardzo z powodu degeneracji i wyobcowania, że zabijali własne rodziny albo sąsiadów. Wciąż istnieją miejsca, które straszą ruinami sprzed wieków, domy wypalone do fundamentów, wraz z ludźmi, zamienione w stopy pogrzebowe przez tych, których znużyło życie...

Barrick z niepokojem pomyślał, że czuje pewną więź z Tymi, Którzy Nie Śpią, choć tylko przez chwilę. Czy nie śnił, że jego dom stoi w płomieniach? Czy nie pragnął, by jakaś katastrofa zakończyła jego ból, nie dbając o to, kto jeszcze mógłby ucierpieć?

Starał się wiosłować cicho, lecz miasto wciąż przypominało grobowiec i każde chlupnięcie wydawało się rozbrzmiewać na tyle głośno, by przyciągnąć czyjąś uwagę. Mniejsze kanały, którymi dotąd płynęli, skończyły się i teraz musieli skierować łódź do większej odnogi jednego z głównych kanałów. Gdzieś w oddali majaczyły na wodzie trzy albo cztery łodzie, lecz Barrick pracował mocno wiosłami i szybko przepłynęli w poprzek szeroki kanał, by znowu wpłynąć do jednego z bocznych.

Ciężko było wiosłować tak szybko: łódź była dwa razy większa niż dwuosobowe skify używane w Marchii Południowej. Barrick pomyślał o bezgłowym blemiju, który wcześniej ich wiozł, i uznał, że byłby w stanie znowu znieść widok tej okropnej istoty, byleby tylko oszczędzić sobie morderczej pracy.

Książę szybko się przekonał, że widzi całkiem dobrze, gdy trzyma się z dala od ciemnych świateł ustawionych wzdłuż brzegu. Na środku kanału panował mrok podobny do tego z krainy

cienia, do którego Barrick przywykł, lecz brzegi niezmiennie spowijał atramentowoczarny dym. Żeby zobaczyć, gdzie są, trzeba było zbliżyć się do brzegu i wpłynąć w strefę ciemnych świateł, gdzie oczy musiały przyzwyczać się do głębokiego cienia. Nie wiedział jednak, czy sami są wtedy widzialni ani czy ktoś ich obserwuje.

– Musimy znaleźć jakąś kryjówkę – zwrócił się do Becka. – Miejsce, gdzie nikt nas nie znajdzie i gdzie będziemy mogli się zastanowić co dalej.

– Nie ma tu takiego miejsca – odpowiedział Beck zrezygnowanym tonem. – Nie tutaj. Nie we Śnie.

Barrick zmarszczył brwi.

– Gdzie jest Komnata Szachraja, też nie wiesz. Jesteś bezużyteczny jak cycki odyńca...

W tym momencie coś czarnego opadło na nich z mroku, jakby ciemne światła splunęły swoją esencją. Raemon Beck opadł na dno łodzi i przytulił się do desek, lecz Barrick rozpoznał plamę cienia, która zwykle pojawiała się w tak niespodziewany sposób.

– Ptaszysko, nie sądziłem, że cię jeszcze zobaczę.

– My też nie spodziewaliśmy się cię zobaczyć, a przynajmniej nie... żywego. – Kruk zabrał się do czyszczenia piór na piersi. Gdy skrzydło zakrywało mu oko, stawał się prawie niewidoczny. – I jak tam było w gościnie u tych niebieskookich uprzejmiaczków?

Barrick omal nie parsknął śmiechem.

– Jak widzisz, postanowiliśmy ruszyć dalej. Rzecz w tym, że ten tu Beck nic nie wie o Komnacie Szachraja. Trzeba znaleźć miejsce, gdzie nie będą nam zagrażać Ludzie Nocy. I ci drudzy... jak ich nazwałeś, Beck? Skriki?

– Cicho! – Przestraszony przebieraniec rozejrzał się dokoła mocno. – Nie wymawiaj ich imienia tak blisko brzegu, bo ich tu ściągniesz!

Skurn, który stał na dziobie na jednej nodze, zajęty wyciąganiem czegoś spomiędzy pazurów, otrząsnął się i podfrunął bliżej Barricka.

– Może pofruniemy do przodu i trochę się rozejrzemy rzucił zdawkowo. – Może.

Barrick z zadowoleniem przyjął ten przyjazny gest.

– Dobrze by było, Skurn. Dziękuję. – Spojrzał na czarne obłoki ciemnego światła widoczne wzdłuż brzegów. – Znajdź miejsce, gdzie nie będzie aż tak ciemno, może jakąś wyspę. Opuszczoną. Bezludną.

Kruk wzbił się spiralnie w górę, a potem wyrównał lot i skierował się ku brzegowi.

– Mam pusty żołądek – rzucił Barrick, patrząc za odlatującym ptakiem. – Gdybyśmy złapali rybę w rzece, to myślisz, że się otrujemy?

Beck pokręcił głową.

– Nie sądzę. Ale w łodzi jest jedzenie. Raczej nikt go nie wziął po tym, jak wróciliśmy z panem do domu. Podczas wyprawy łowieckiej nie zdążyliśmy zjeść dużo. Wiesz, tak wielu straciliśmy i jeszcze ranny pan... więc powinno zostać sporo suszonego mięsa i chleba. – Podpełzł do przodu i wyjął spod pierwszej ławki wodoszczelny zwinięty worek. – Widzisz, jest!

Jedzenie trochę zalatywało stęchlizną, lecz Barrick czuł się zbyt zmęczony i głodny, by się tym przejmować. Zjedli po porcji mięsa i dwa kawałki twardego jak podeszwa chleba. Próbuując go pogryźć, Barrick przypomniał sobie wypieczone bochny mieszanego chleba z domu.

– Ty naprawdę jesteś księciem Barrickiem! – Raemon Beck był już w trochę lepszym nastroju. – Nie mogę uwierzyć, że znowu cię spotkałem, panie, i to w takim miejscu!

– Skoro tak mówisz. Nie pamiętam naszego pierwszego spotkania. – W rzeczywistości Barrick nie bardzo chciał pamiętać i nie miało to nic wspólnego z tym człowiekiem w łachmanach. Czuł ogromną ulgę, będąc oddzielony od wszystkiego, co zostawił – przeszłość, dziedzictwo, ból – i wcale mu się nie spieszyło, by cokolwiek z tego odzyskać.

Beck trochę nieskładnie opowiedział mu o ataku Qarów na jego karawanę, z którego tylko on wyszedł cało, i jak później, gdy zdał relację z wydarzeń, został wezwany przed radę królewską, a następnie wysłany z powrotem w tamto miejsce przy Gościńcu Settlandzkim. Kupiec opowiadał powoli – jego wspomnienia ulotniły się po tak długim pobycie w kraju cienia, dłuższym niż w przypadku Barricka – i każde przypominane sobie imię traktował jak wielkie zwycięstwo, choć Barrick bardzo się męczył słuchaniem go.

– A potem twoja siostra kazała kapitanowi... jak on się nazywał? Ten wysoki.

– Vansen – rzucił Barrick obojętnym tonem. Strażnik wpadł w ciemność, chroniąc życie Barricka, mimo że księżę wcześniej wielokrotnie go przeklął. Czy ta parada żalonych bezużytecznych wspomnień nie ma końca?

– Tak, twoja siostra kazała mu zabrać mnie w miejsce, w którym zaatakowano karawanę. Ale nigdy tam nie dotarliśmy, a przynajmniej ja. Obudziłem się w nocy, we mgle. Zgubiłem się. Długo wołałem, lecz nikt mnie nie znalazł. A przynajmniej nikt z tych, z którymi podróżowałem... – Raemon Beck urwał i zadrżał, nie powiedział już nic więcej, co się z nim działo między tamtym czasem a chwilą, gdy znalazł się w domu Qu'arusa we Śnie. – Dobry był ten mój pan. Karmił mnie. Nie bił, chyba że zasłużyłem. A teraz nie żyje... – Barrick zobaczył, że barki Becka znowu zadrżały. – Nie sądzę, by twoja siostra, niech bogowie mają ją w opiece – wybacznaj, panie, powinienem powiedzieć księżniczka Briony – nie sądzę, żeby źle mi życzyła. Była rozgniewana, ale nie na mnie...

– Dosyć, człowieku. Przestań. – Barrick nie mógł już dłużej słuchać.

Beck zamilkł. Księżę, opatulony szatą, na której wcześniej leżał Qu'arus, znowu sięgnął po wiosła. Starał się utrzymać łódź na środku wąskiego bocznego kanału w oczekiwaniu na powrót kruka. Na obu brzegach wznosiły się domy niemal zlewające się z kamiennymi klifami, w których je wykonano, i tylko czasem nad linią wody pojawiały się małe okienka albo ogromne drzwi świadczące o tym, że jest to dom, a nie skała.

Drzwi, pomyślał Barrick. W tym mieście jest mnóstwo drzwi. A ja muszę znaleźć te właściwe.

Skurn opuścił się z mrocznego nieba i wylądował miękko na rufie. Łatwo można było zapomnieć, jaki jest duży, pomyślał Barrick. Rozpiętością skrzydeł dorównywał długości rozłożonych ramion mężczyzny. Kruk nic nie powiedział, tylko zabrał się do czyszczenia piór. Najwyraźniej czekał, aż ktoś go zapyta.

– Znalazłeś coś? Jakies dobre dla nas miejsce?

– Może tak. Może nie.

Barrick westchnął. Czy można się dziwić, że przeważnie był sam na świecie i czuł się z tym dobrze?

– W takim razie powiedz mi, proszę – powiedział niezwykle uprzejmym tonem. – A ja ci potem ładnie podziękuję.

Zadowolony Skurn nastroszył pióra i wyprostował się.

– Skurn trafił na skalistą wysepkę w jednym z bocznych kanałów, na środku koryta. Drzewa i takie tam, i same ruiny. Nie widzieliśmy niczego, co by chodziło na dwóch nogach.

– Dobrze – odparł Barrick. – Bardzo ci dziękuję. Gdzie to jest?

– Płyn za nami – odpowiedział kruk i wzbił się w powietrze.

Barrick skierował łódź za wolno lecącym ptakiem. W którymś momencie Raemon Beck powiedział:

– Nie wszystkie zwierzęta tutaj mówią. A czasem nawet nie chciałoby się usłyszeć tych, które się odzywają. – Dotknięty złymi wspomnieniami, otrząsnął się jak mokry pies. – Szczególnie gdy zapraszają cię do swojego domu. To w niczym nie przypomina bajek dla dzieci.

– Postaram się o tym pamiętać.

Wyspa okazała się taka, jak ją opisał Skurn: nieduże kamienne wybrzuszenie na środku jednego z kanałów, bezpiecznie daleko od ciemnych świateł, zanurzone w szarości zmierzchu. Pośród ciemnych sosen stała tam kiedyś jakaś ogromna konstrukcja, która zajmowała znaczną część wyspy, lecz teraz niewiele z niej zostało, jedynie kilka kruszejących murów i okrągłe pozostałości czegoś, co mogło być wieżą.

Nie było tam plaży i nic nie zostało z doku, poza kilkoma bladymi słupami podobnymi do ogromnych żeber, których widok od razu nasunął Barrickowi na myśl Tych, Którzy Nie Śpią i ich kościaną górę. Przywiązali łódź do najbliższego pala i wyszli na skalisty brzeg, brnąc przez wodę sięgającą im do piersi. Stanęli na suchym lądzie mocno zziębnięci i od razu weszli między sosny.

– Potrzebny nam ogień – rzekł Barrick. Nie obchodzi mnie, czy ktoś go zobaczy. – Wstał i poprowadził Becka przez gęste zarośla do ruin kamiennej wieży. – Ściany zasłonią płomienie – powiedział. – Na dym nic nie poradzimy.

– Użyj tego – powiedział Beck i schylił się, by podnieść kawałki drewna. – To dobre drewno i mniej dymi niż zielone gałęzie.

Barrick kiwnął głową i pomyślał, że jego towarzysz jednak nie jest tak do końca bezużyteczny.

Gdy już rozpalili niewielkie ognisko, Barrick usiadł wreszcie, by ogrzać dłonie, i dopiero wtedy zorientował się, że nie ma Skurna. Zanim zaczął się nad tym zastanawiać, ptak wrócił. Najpierw przedarł się przez konary, bijąc mocno skrzydłami, a potem zeskakiwał z gałęzi na gałąź. Gdy wreszcie stanął na ziemi, dostojnym gestem wypuścił z dzioba coś ciemnego, co z niego dyndało.

– Pomyśleliśmy, że pewnie jesteś głodny, tak jakby – przemówił kruk.

Barrick spojrział na niemal pozbawione oczu ścierwo istoty podobnej do kreta, z wyjątkiem łap, które były dłuższe i bardziej delikatne, do tego wyposażone w palce.

– Dziękuję – odpowiedział szczerze. Umierał z głodu. Poza skąpym posiłkiem, który zjadł w towarzystwie Raemona Becka, nie jadł od wielu dni, jak mu się zdawało.

– Zajmę się tym – zaproponował Beck. – Masz nóż?

Barrick dość niechętnie podsunął mu krótki miecz Qu'arusa. Przebieraniec patrzył przez chwilę na broń, a potem uniósł brew, lecz nic nie powiedział. Zdjął skórę ze zwierzęcia i zabrał się do patroszenia, Barrick zaś podsycał ogień, po czym oddał Skurnowi wnętrzności i skórę ofiary. Kruk szybko pożarł wszystko, a potem wskoczył na kamień i zaczął czyścić pióra.

– Co wiesz o tym mieście? – zapytał Barrick, podczas gdy ich kolacja piekła się nad ogniem na sosnowym rożnie. Poczuli trochę piżmowy, ale dość apetyczny zapach. – Gdzie jesteśmy? Jak to miejsce wygląda?

Beck w zamyśleniu skrzywił brudną twarz.

– Szczerze mówiąc, niewiele wiem. Przed polowaniem pan tylko raz zabrał mnie poza dom, była to uroczysta wizyta u księcia Jedwanici. Zabrał ze sobą kilku spośród swoich śmiertelnych sług, żeby go wkurzyć, tak mi się przynajmniej wydawało. Po ustach Raemona Becka przemknął smutny uśmiech. – Szliśmy długo przez miasto, a on pokazywał mi różne rzeczy po drodze. Niech się zastanowię. – Podniósł sosnową gałązkę i zaczął rysować na ciemnej, wilgotnej ziemi. – Całość wygląda mniej więcej tak. – Narysował nieporadnie spiralę. – *K'ze-she-haoui*, rzeka Blednia, tak nazywają wielki kanał – wyjaśnił i przesunął patykiem po

głównej linii. – Ale przecinają go inne. – Dorysował odnogi. Teraz wszystko przypominało przeciętą na pół muszlę, którą kapłani z Erivoru nosili na piersi jako symbol swojego boga.

– A gdzie my jesteśmy? – zapytał Barrick.

Raemon Beck potarł twarz.

– Myślę, że dom Qu'arusa stoi gdzieś tutaj – powiedział i wbił patyk w ziemię mniej więcej w połowie najbardziej wysuniętej na zewnątrz spirali. – Pan zawsze był dumny, że nie mieszka w samym sercu miasta, z dala od innych zamożnych i ważnych rodzin. – To musi być gdzieś tutaj. – Naskrobał większy znak obejmujący drugą i trzecią spiralę. – Nie potrafię powiedzieć, jak daleko dopłynęliśmy, ale wiem, że te okolice są pełne wysp.

Barrick przyglądał się przez chwilę rysunkowi, a potem zdjął mięso z ognia, położył je na czystym kamieniu i zaczął dzielić na dwie części, dość nieporadnie, gdyż dysponował bardzo dużym ostrzem i bardzo małą sztuką mięsa. Część Becka zostawił na kamieniu, a swoją wziął w palce i zabrał się do jedzenia.

– Potrzebuję więcej informacji. Mam zadanie do wykonania.

– Jakie zadanie? – zapytał Beck.

Nawet towarzystwo człowieka i gorący posiłek nie zmiękczyły Barricka na tyle, żeby podzielił się swoimi sekretami z kimś, kto w końcu był mu prawie obcy.

– Nieważne. Jak już wspominałem, muszę znaleźć pewne drzwi, ale nie mam pojęcia, gdzie mogą być, bo znam tylko nazwę „Komnata Szachraja”. Co jeszcze możesz mi powiedzieć? Skoro nie znasz takiej komnaty, to może wiesz, czy we Śnie znajdują się jakieś słynne drzwi? Może ważna brama? Coś pilnie strzeżonego?

– Tu wszystko jest strzeżone – rzucił Beck ponurym tonem. – To, co nie jest pilnowane przez skriki, znajduje się w domach Tych, Którzy Nie Śpią, pod ich czujną opieką.

– Wspomniałeś kogoś, kogo miałeś poznać, księcia Jedwasieci, czy tak?

– Jedwanici. Jest strasznie stary. Mój pan mówił, że to jeden z najstarszych mieszkańców miasta, zaraz po członkach Śmiejącej się Rady.

Zdumiony Barrick zamrugał.

– A cóż to za rada?

– Nie wiem, panie. Mój pan ich nienawidził. Mówił, że ktoś powinien wyssać z nich ostatnie soki i wtedy moglibyśmy zacząć od nowa. Powiedział też, że śmiech powinien brzmieć głośno, ale nie wiem, co miał na myśli.

Barrick tracił powoli cierpliwość, słuchając całej tej historii.

– A ten Jedwanici, gdzie on jest? Możemy do niego dotrzeć? Czy potrafimy sprawić, żeby powiedział nam to, co chcemy wiedzieć?

Raemon Beck popatrzył na niego przerażony.

– Książę? Nie! Nie możemy się do niego zbliżyć. Zniszczyłby nas jednym ruchem palca.

– Ale gdzie mieszka? Potrafisz mi powiedzieć przynajmniej tyle?

– Nie jestem pewny. Gdzieś w okolicach serca miasta. Zapamiętałem to, ponieważ mijaliśmy najstarsze miejsca, zanim dotarliśmy do centrum Snu, jedno spalone, inne zaś pokruszone, ale niektóre spowijał mrok ciemnych światła, dlatego nie widziałem ich, choć byliśmy blisko. Mój pan pokazywał mi wiele rzeczy o przedziwnych nazwach, na przykład Ogród Dłoni i miejsce zwane Pięcioma Czerwonymi Kamieniami, Bibliotekę Bolesnej Muzyki – nie, Żalotnej Muzyki... – Beck wziął głęboki oddech. – Tyle nazw! Wieża Syu'maa, Brama Zdrajcy, Pole Pierwszego Przebudzenia...

– Powoli – przerwał mu Barrick. – Brama Zdrajcy? Co to takiego?

– Ja... nie pamiętam.

Barrick chwycił Becka za ramię lewą ręką i dopiero gdy usłyszał, jak tamten pojękuje,

uzmysłowił sobie, że sprawia mu ból. Zwolnił uścisk.

– Przepraszam – powiedział – ale muszę wiedzieć. Pomyśl, człowieku! Co to za Brama Zdrajcy?

– Proszę, panie, to... to jedno z tych miejsc tak ciemnych, że nic nie widziałem. Ale mój pan powiedział coś... – Beck zmrużył oczy w skupieniu, rozcierając obolałe ramię. – Powiedział, że to jest dziura.

– Dziura? – Barrick musiał się powstrzymać, by znowu nie potrząsnąć mocno tym małym, brudnym przebierańcem. – To wszystko?

– Wiem, że to brzmi dziwnie, ale on nazwał to miejsce dziurą i... co jeszcze powiedział? Dziura, której nawet bogowie nie potrafili... nie potrafili... – Jego twarz się rozjaśniła. – Której nawet bogowie nie potrafili zamknąć.

Serce Barricka zabiło szybciej. Słyszał wystarczająco dużo o drogach Szachraja, by wiedzieć, że nie może zignorować tej wiadomości.

– Pokaż mi, jak się tam dostać.

Oblicze Becka znowu spochmurniało.

– Co? Panie... to jest w samym sercu Snu, w dzielnicy Ciszy, do której mają wstęp tylko ci, którzy zostali wezwani. Nawet mój pan mógł tam pójść dzięki zaproszeniu księcia Jedwanici... – Beck podskoczył przestraszony głośnym trzaskiem, lecz to był tylko Skurn, który rozbijał skorupę ślimaka o kamień.

– Mój pan był bardzo mądry – kontynuował Beck. – Skoro on sam tam nie chodził, to i my nie powinniśmy. Nie znasz tych istot, książę. Nie mają duszy ani odrobiny dobroci w sobie! Obedną nas ze skóry dla zabawy, przejmując się mniej niż ja, gdy patroszyłem tego królika!

– Nie będę cię zmuszał, żebyś szedł ze mną, ale nie mogę przepuścić takiej okazji. – Barrick wytarł dłonie o postrzępione ubranie i zaczął przygotowywać miejsce na odpoczynek. – Muszę tam pójść. Muszę sprawdzić, czy ta... dziura, której nawet bogowie nie potrafią zamknąć, jest tym, czego szukam. Mówiłem ci, że mam zadanie do wykonania. – Wsunął dłoń pod koszulę i dotknął lusterka w sakiewce. – Ty zrobisz, jak zechcesz.

– Ale jeśli zostawisz mnie samego, to mnie złapią! Zbiegły służący i do tego jeszcze mieszkaniec kraju słońca! – W oczach przebierańca zalsniły łzy. – Będą mi robić straszne rzeczy!

Barrick poczuł, że do jego serca powraca chłód: nagle ogarnęło go zmęczenie i nie miał zamiaru wysłuchiwać narzekań tego słabeusza. Niemal czuł, jak twardnieje niczym bryła gliny, która zamienia się w cegłę. Położył się w zagłębieniu między dwoma korzeniami sosny, z głową opartą na zwiniętym kapturze płaszcza Qu'arusa.

– Nie mogę podejmować za ciebie decyzji, kupcze. Mam ważniejsze obowiązki niż pilnowanie jednego człowieka. – Zamknął oczy.

Zaśnięcie w towarzystwie pochlipującego tuż obok Becka nie powinno być łatwe, lecz Barrick prawie nie zmrużył oka w domu Tego, Który Nie Śpi, a właściwie mógłby powiedzieć, że w ogóle nie spał, nie licząc tego dziwnego snu z jaszczurem. Świat szybko się oddalił.

We śnie stał na szczycie wzgórza, miejsca dziwnie pozbawionego jakichkolwiek cech, koloru starej kości słoniowej. Na zboczu poniżej zebrał się tłum ludzi, których twarze, wpatrzone w niego, przypominały niezwykle kwiaty. Niektóre z nich od razu rozpoznał – jego ojciec, Shaso, Kendrick – za to inne były mu mniej znajome. W jednej rozpoznał Ferrasa Vansena, a przynajmniej tak mu się wydawało, bo był to starszy mężczyzna, z siwiejącą brodą i rzadkimi włosami, Vansen, który nie mógł nigdy istnieć, ponieważ kapitan zginął w ciemnej otchłani

Wielkich Głębi. Pozostali byli w większości obcy, niektórzy w dawnych strojach, inni tak dziwnie zniekształceni jak istoty, które spotkał w celach niewolników półboga Jikuyina: jedynym, co łączyło to dziwaczne zbiegowisko, były cisza i skupienie.

Barrick próbował ich zapytać, czego od niego chcą, lecz jego usta nie potrafiły wyartykułować słów. Twarz miał odrętwiałą i mimo że mięśnie szczęk i język drgnęły, to coś nie pozwalało im poruszać się swobodnie. Dotknął ust. Z przerażeniem poczuł tylko skórę sztywną jak podeszwa. Jego usta znikły.

– *Barricku? Czy to ty?*

Głos dobiegał zza jego pleców, boleśnie znajomy głos ciemnowłosej dziewczyny... Qinnitan, tak miała na imię, lecz on nie mógł jej odpowiedzieć, choć bardzo chciał. Spróbował się odwrócić w jej stronę, lecz ciałem też nie był w stanie poruszać, było tak samo odrętwiałe i twarde jak twarz.

– *Czemu nie chcesz ze mną rozmawiać? – zapytała. – Widzę cię. Od tak dawna chciałam z tobą porozmawiać! Czym zasłużyłam na twój gniew?*

Barrick napiął się tak bardzo, że aż mu zawirowało w oczach, lecz skamieniałe mięśnie nawet nie drgnęły. Jakby był posągami. Ludzie na zboczach wciąż wpatrywali się w niego z oczekiwaniem, lecz niektórzy zaczęli okazywać zniecierpliwienie i zakłopotanie. On także patrzył na nich, tymczasem niebo pociemniało i zaczął padać deszcz, lecz Barrick ledwo czuł zimne krople, jakby jego ciało stało się grube i sztywne jak kora drzewa. Znowu usłyszał głos Qinnitan, teraz jednak zabrzmiał on słabiej i wciąż cichł, aż zupełnie zaniknął. Ludzie zaczęli się rozchodzić, niektórzy wyraźnie rozszłoszczeni jego biernością, inni tylko zaskoczeni, aż został sam na nagim szczycie wzgórza, z twarzą mokrą od deszczu, którego nie potrafił zetrzeć.

– Książę Barricku, jeśli naprawdę... ach! – Raemon Beck, który tylko raz potrząsnął księciem, zdumiał się, poczuwszy na szyi ostrze miecza Qu'arusa.

– O co chodzi?

Beck ostrożnie przelknął ślinę.

– Czy mógłbyś... czy mógłbyś, proszę, nie zabijać mnie, panie?

Barrick opuścił miecz i wsunął do pochwy.

– Jak długo spałem?

Beck przesunął dłonią po gardle.

– Zawsze trudno to stwierdzić, ale niedawno bił dzwon kwadransowy. Niedługo skończy się pora Wytchnienia i Ci, Którzy Nie Śpią znowu wypłyną na kanały. – Młody kupiec, blady, z podkrążonymi oczami, wyglądał tak, jakby ani na chwilę nie zmrużył oka. – Jeśli naprawdę zamierzasz szukać tego miejsca, to powinniśmy już wyruszyć.

– Powinniśmy? To znaczy, że płyniesz ze mną?

Beck kiwnął głową ze smętną miną.

– A jaki mam wybór, panie? I tak mnie zabiją. – Wydał usta, starając się zapanować nad emocjami. – Po raz pierwszy od długiego czasu pomyślałem o dzieciach i żonie... o tym, że już pewnie nigdy ich nie zobaczę...

– Dostyc. Takie gadanie w niczym nam nie pomoże. – Barrick usiadł i przeciągnął się. – Ile czasu do końca pory Wytchnienia?

Beck wzruszył bezradnie ramionami.

– Mówiłem ci, dzwonił dzwon kwadransowy, a to znaczy, że minęły trzy kwadranse. Nie wiem, jak tu się mierzy czas, książę Barricku. Godzinę? Dwie? Może tyle mamy.

– W takim razie musimy odnaleźć centrum miasta. A te skriki? Będą interweniować, gdy znajdziemy się na rzece?

– Interweniować? – Beck się roześmiał, a był to dźwięk pusty jak Wydrążona kłoda. – Nie rozumiesz, panie. Samotni nie są strażnikami czy namiestnikami, jakich mamy w Helmingsea. Oni nie będą „interweniować”, tylko zamienią w lód szpik w twoich kościach. Wyrwą ci serce i pożą w całości. Jeśli będziesz na wodzie i usłyszysz ich głosy wołające do ciebie, sam się utopisz, żeby uciec przed nimi.

– Przestań gadać zagadkami. Co to za stworzenia?

– Nie wiem! Nawet mój pan się ich bał. Mówił, że jego ludzie nie powinni sprowadzać ich do Snu. Tak mówił: „sprowadzać”. Nie wiem, czy ich gdzieś znaleźli, czy wyhodowali albo przywołali jak xandyjskie demony. Nawet Ci, Którzy Nie Śpią rozmawiają o skrikach tylko szeptem. Słyszałem, jak jeden z synów Qu’arusa mówił swojemu bratu, że skriki są jak biała szmata porwana przez wiatr, tyle że mają głos kobiety. Ci, Którzy Nie Śpią nazywają ich też „Oczami Pustego Miejsca”. Nie wiem, co to znaczy, i nie chcę wiedzieć. – Beck wyglądał tak, jakby znowu miał się rozplakać.

– Przestań się już mazać. Spójrz na tę swoją mapę. – Barrick przykucnął nad spiralą narysowaną przez kupca. – Skoro Wytchnienie ma się niedługo skończyć, nie możemy płynąć głównym kanałem. Musisz mnie tam doprowadzić mniejszymi kanałami.

– Ale wokół nich są ciemne światła – odparł Beck. – Nic tam nie widać. Do tego niektóre są zamknięte wodnymi bramami i nawet jeśli my nie będziemy nic widzieli, to oni nas zobaczą...

Barrick jęknął, dając wyraz swej frustracji.

– Musi być jakaś droga, żeby się tam dostać, nawet gdybyśmy musieli płynąć największym kanałem...

– Jak skorupa ślimaka – odezwał się niespodziewanie Skurn. Ptak podniósł głowę znad mazistych resztek stworzenia, o którym właśnie wspomniął. – Widzieliśmy, a jakże. Z góry.

– Tak. Chcemy dotrzeć do centrum, lecz Beck twierdzi, że nie przepłyniemy najmniejszymi kanałami niezauważeni.

– Potrafimy znaleźć drogę – odparł Skurn. – Od wyspy do wyspy, a tam nie sięga ciemność światła.

– W takim razie znajdź ją – odpowiedział Barrick. – Zrób to, a obiecuję, że znajdę ci największego i najtłustszego królika, jakiego kiedykolwiek widziałeś, i nie zjem z niego nawet kęsa.

Ptak przekrzywił głowę, a w jego czarnych oczach błysnął ogień odbity z ogniska.

– Załatwione – powiedział i rozłożył skrzydła. – Trzymajcie się mnie w miarę możliwości.

Barrick zaczął gasić ognisko, lecz zanim przysypał je ziemią, podniósł sosnową gałąź, lepłą od żywicy, i wsadził do ognia.

– To prawdziwy płomień! – powiedział Beck, gdy zobaczył, co robi książę. – Zgaś to!

– Tam jest ciemno jak w najczarniejszą noc. Nie zamierzam pchać się przez to przekłete miasto na czworakach i po omacku. A poza tym, skoro Ci, Którzy Nie Śpią nie lubią zmięchu, może się przestraszą prawdziwego ognia.

– Oni nienawidzą światła, ale zobaczą je z daleka. Jeśli zabierzemy tę płonąca gałąź, równie dobrze możemy krzyknąć, żeby tu przyszli i nas znaleźli.

Barrick wpatrywał się w Becka długą chwilę, próbując oddzielić rozsadek kupca od jego strachu. Wreszcie wrzucił gałąź do wody; smużka dymu wiała się za nimi, gdy odpływali.

Ponure miasto już wcześniej nie podobało się Barrickowi, który teraz, w miarę jak zmierzali do jego centrum, odczuwał jeszcze większą niechęć. Pomyślał, że może będzie mniej ponure, gdy skończy się pora Wytchnienia i zapełnią się ulice, choć trudno mu było wyobrazić sobie, by Sen mógł choć trochę przypominać zwykłe miasto. Kanały, ograniczone wysokimi, pochyłymi brzegami, z dokami podobnymi do krzywych zębów i mostami, które wisały nisko nad ich głowami, przypominały jelita – jakby miasto było ogromną bezrozumną istotą, jak na przykład rozgwiazda, która wchłania ich powoli w siebie. Domy, nawet te największe, wydawały się ściśnięte i tajemnicze, z małymi oknami podobnymi do zasnutych bielmem oczu ślepego. Barrick nie zauważył miejsc publicznych poza wyszczerbionymi mostami i kawałkami otwartej przestrzeni, które mogły pełnić rolę placów czy rynków, wyglądającymi tak, jakby budynki, które tam stały, znikły i nie postawiono nowych. Najgorsza jednak była groźna cisza, która spowijała ten ciemny labirynt. Może i mieszkańców miasta nazywano Tymi, Którzy Nie Śpią, lecz zamiast przywozić na myśl wieczne czuwanie, każdy kolejny mijany dom sprawiał wrażenie koszarnej konstrukcji, twardej skorupy skrywającej załóżki mrocznej wrogości, jakby Sen wcale nie był miastem, lecz mauzoleum, w którym spoczywają niespokojni zmarli.

Opuścili właśnie kolejną bezpieczną wyspę na środku jednego z kanałów i płynęli na otwartej przestrzeni w kierunku kolejnego skalistego wybrzuszenia porośniętego drzewami i oblanego zmierzchem, gdy po raz ostatni zadzwonił dzwon Wytchnienia, którego głuchy dźwięk wnikał bardziej w kości Barricka niż do jego uszu.

– Niebawem wyjdą – powiedział cicho Beck, starając się zachować spokój. – Ktoś nas zobaczy.

– Jeśli dalej będziesz się tak trząść i dygotał, to ktoś z pewnością zwróci na nas uwagę. Siedz spokojnie i zachowuj się normalnie, jakbyś był stąd. – Barrick naciągnął mocniej kaptur na głowę. – Połóż się, jeśli nie masz czym przykryć głowy.

Beck znalazł kawałek połatanego płótna żaglowego i owinał się nim.

– Chodzi o to, że ja ich znam. Ci, Którzy Nie Śpią potrafią być okrutni bez powodu. Są jak chłopaki, które wyrrywają skrzydełka muchom.

– W takim razie będziemy musieli się postarać, żeby nie dobrali się do nas, co? No, gdzie się podziało to przekłete ptaszysko...?

Barrick rozglądał się za krukiem, gdy dopłynęli do miejsca, gdzie wydawało się, że nad rzeką wisi kilka starych mostów różnej wysokości, jeden przechodzący pod drugim, niczym cierniste gałęzie krzewu róży, które łączyły kruszące się, obrosnięte bluszczem i pokryte dachówką wieże stojące po obu stronach pogrążonego w mroku kanału. Uwagę Barricka zwróciła poruszająca się szara plama na jednym z mostów, jakby ktoś machał do niego chusteczką. Spojrzał w górę. Coś spojrzało w dół na niego. Nie widział dobrze z powodu dopalających się ciemnych świateł i bardziej poczuł to spojrzenie – było niczym lodowe szpony zaciskające się na jego sercu.

– Co robisz? – upomniał go Beck szeptem. – Zgubiłeś wiosło!

Barrick usłyszał plusk, gdy jego towarzysz wciągał wiosło na pokład, ale równie dobrze odgłos mógł pochodzić z przeciwległego brzegu.

– Dokąd... dokąd to poszło? – wydusił z siebie wreszcie, z trudem dobierając słowa. – Jest tam jeszcze na górze?

– Co? O czym ty mówisz?

– Oczywiście. Były czerwone. To coś chyba żyło, ale... ale nie... – Przełknął ślinę, której nie miał ani kropli w zaschniętych ustach. – Spojrzało na mnie...

– Bogowie, miejcie nas w opiece – jęknął Beck. – Czy to był skrik? Och, Niebiosa ratujcie nas, nie chcę nawet patrzeć...! – Zakrył twarz dłońmi jak przestraszone dziecko.

Upłynęła długa chwila, zanim z mocno bijącym sercem Barrick odważył się znowu podnieść wzrok. Płatanina mostów oddalała się od nich i mimo że przez krótką chwilę wydało mu się, iż dostrzegł coś białego powiewającego na najwyższym z mostów, to gdy zamrugał i ponownie spojrzął, już nic nie zobaczył. Ale obraz ten wyrył się głęboko w jego umyśle, choć księżę nie potrafił dokładnie powiedzieć, co go tak przestraszyło.

Niczym szmaty porwane przez wiatr...

Miasto zdawało się budzić do stłumionej, makabrycznej bezsenności. Teraz Barrick widział postacie poruszające się w cieniu rzucanym przez ciemne światła, lecz wszystkie były tak szczelnie opatulone, że właściwie dostrzegano się tylko ruch. Najczęściej postacie pojawiały się w pojedynkę, szły wolno wzdłuż kanału, czasem przechodziły po którymś z dziwnie wysokich mostów, często niosąc pochodnię z ciemnym światłem, przez co poruszały się w niedużym obłoku płynącej ciemności. Barrick pragnął opuścić to miejsce jak najszybciej. Co to za nienaturalne istoty, rozmyślał o Tych, Którzy Nie Śpią. Naprawdę aż tak nienawidzą światła czy też chodzi o coś jeszcze innego? Nagle poczuł wdzięczność, że Beck wyperswadował mu zabranie prawdziwego ognia.

Prowadzeni przez Skurna, przepłynęli w poprzek najszerszą część Bledni i wpłynęli do wąskiego kanału, który zawijał się niczym zdechła stonoga, płynąc krętą wstęgą przez pozornie opuszczoną część miasta. Mimo bliskości centrum okolica wydawała się zupełnie pusta i porzucona, kruszące się ruiny, często zwęglony gruz. Raemon Beck usiadł z przodu łodzi z twarzą napiętą skupieniem i strachem.

– To tutaj – powiedział. – Pan zabrał nas w to miejsce, pamiętam tamto drzewo. – Pokazał na guzowatą i bardzo starą olchę stojącą samotnie na kamienistej wysepce, o pniu mocno zdeformowanym przez czas i wiatr i z gałęziami rozłożonymi nad środkiem kanału, co upodabniało ją do dłoni tonącego olbrzyma. – Myślę, że Brama Zdrajcy jest gdzieś w pobliżu.

– Mam nadzieję – powiedział Barrick, wyężając wzrok. W tej okolicy paliło się mniej ciemnych światel i tylko tu i ówdzie któreś świeciło umieszczone na ścianie kanału, lecz wszystkie rzucały na tyle dużo cienia, by uniemożliwić dokładniejsze oględziny tego, co jest na brzegu. Chwilę później księżę wyprostował się i pokazał przed siebie. – Tutaj?

Kamienna konstrukcja, czymkolwiek kiedyś była, teraz zamieniła się niemal w ruinę – zewnętrzne budynki zawałyły się, a pozostałe wysokie mury zarosły drzewa i pnącza. Całość przypominała jeden z grobowców na cmentarzu w pobliżu Zamku Marchii Południowej, tyle że tu można by złożyć martwego olbrzyma.

– Ta... tak myślę – bąknął Beck ledwo słyszalnym szeptem. – Och, Niebiosa, chrońcie nas. Nie podobało mi się tu wtedy i teraz też nie. Mój pan przestraszył mnie tym, co powiedział o przekleństwie.

– O czym ty mówisz? Mogłeś powiedzieć wcześniej. Wzgórza, ruiny: czy w tej mrocznej krainie cienia jest coś, co nie jest przekłętą?

– Nie pamiętam. – Beck otworzył szeroko oczy, a dłoń, którą uniósł, jakby chciał je osłonić przed nieobecnym słońcem, drżała mocno. – Pan powiedział, że to jest zakazana ziemia i że wszyscy ludzie z tej krainy, Ci, Którzy Nie Śpią i Śpiący, także są przekłeci z powodu tego, co Szachraj zrobił bogom. – Przesunął dłonią po twarzy. Nic więcej nie pamiętam. Wtedy byłem tu nowy i wszystko wydawało mi się takie dziwne...!

Barrick poczuł zimną pogardę. Słowa, słowa! Jaki z nich pożytek?

– Wchodzę. Ty możesz tu zostać, jeśli chcesz.

Raemon Beck rozejrzał się nerwowo.

– Proszę, nie, panie! Nie widzisz, jak źle to wygląda? Nie idę tam!

– Twój wybór. – Gdy dziób uderzył lekko o zmurszałe drewniane nabrzeże, Barrick wstał,

przez co rozkołysał łódź tak mocno, że Beck musiał się przytrzymać burty. Księżę nie widział nigdzie Skurna, ale wiedział, że kruk zauważy łódź i domyśli się, gdzie on jest.

Beck już nic nie powiedział, lecz gdy Barrick wyszedł ostrożnie na pomost, który zatrzeszczał niebezpiecznie, lecz wytrzymał, wstał, by podążyć za nim, z twarzą ściągniętą strachem i cierpieniem.

– Przywiąż łódź, żeby woda jej nie zabrała. – W umyśle Barricka pojawiła się nieprzyjemna myśl, że być może zechcą szybko wracać.

Gdy Barrick wszedł między drzewa, wychodząc poza krąg jedynej ciemnej pochodni umocowanej na słupie blisko brzegu, wyraźniej zobaczył budynek. Budowla okazała się większa, niż się wydawała z kanału, a teren wokół niej był rozleglejszy i głębszy, niż księżę sądził. Całe to miejsce wydawało się niezmiernie stare, a na białych porośniętych pnączami ścianach widniały głębokie wyłobienia – runy albo może mistyczne zaklęcia – bardzo proste, jakby wyrte ręką ogromnego dziecka. Barrick szedł po liściach i opadłych gałązkach, a każdy krok wydawał mu się tak głośny, jakby bił w bęben. Gdy wszedł w zarośla, kierując się w stronę wielkich ruin, i minął kamienne bloki, jakie oderwały się od ścian, poczuł zimne zadowolenie, słysząc szuranie stóp Becka, który podążał za nim, mrużąc pod nosem.

Coś czarnego wynurzyło się spomiędzy drzew i skierowało się prosto na niego.

– Biegnij! – zaskrzeczał Skurn, mijając go. – Nadchodzą!

Zdezorientowany Barrick stał przez chwilę, lecz kruk już niknął. A potem zobaczył dwie blade postacie zmierzające ku niemu od strony ruin, płynące nad nierówną ziemią jak niesione wiatrem liście.

– Skriki! – wydusił z siebie Raemon Beck. Odwrócił się, by pobiec do łodzi, lecz zawadził o coś nogą i runął twarzą w krzaki jeżyn.

Istoty poruszały się z niewiarygodną prędkością, ich luźne ubrania powiewały i falowały jak mgła, a twarze pozostawały niewidoczne w głębi kapturów, gdy przeskakiwały lub wręcz przepływały nad przeszkodami, których prawie nie dotykały. Odległość stu kroków pokonały w takim krótkim czasie, że Barrick zdążył tylko poderwać Becka do góry, a już pierwszy z napastników był przy nich. Nie namyślając się, księżę zamachnął się mieczem Qu'arusa w głowę istoty, a przynajmniej tam, gdzie powinna być. Napastnik odchylił się do tyłu, sycząc jak zaskoczona żmija, i wtedy Barrick zobaczył przez chwilę jego twarz – czerwone oczy i siateczkę szkarłatnych żyłek na trupio bladej skórze. Istota się roześmiała. Był to strasznie brzmiący świszczący dźwięk, lecz najgorsze było to, że ten nienaturalny głos był głosem kobiety.

Barrick poczuł, że nogi ma bardzo miękkie i słabe, jakby za chwilę miały się załamać pod jego ciałem. Drugi z białych napastników zakradał się bokiem, usiłując zająć go od tyłu. Barrick zachwiał się i puścił Becka, który bezwolnie osunął się na ziemię. Do łodzi mieli kilkadziesiąt kroków, lecz równie dobrze mogły to być całe mile. Łopocące postacie przysunęły się, a ich szorstkie głosy splotły się w urywanej pieśni głodu i zwycięstwa.

Skriki śpiewały.

Powód do nienawiści

Ostatnie istniejące miasto czarodziejskich ludzi znajduje się daleko na północy Eionu, jeszcze dalej na północ niż obszar zwany niegdyś Vutlandią. Ximander nazywa je „Qul-na-Qar” albo „Dom Czarodziejskich Ludzi”, ale nie wiadomo, czy sami czarodziejscy ludzie tak nazywają swoją siedzibę. Vutowie nazywali to miasto „Alvshemm” i twierdzili, że miało ono tyle wież, ile jest drzew w lesie.

– z Traktatu o czarodziejskich narodach obojga kontynentów Eionu i Xandu

Słońce prawie schowało się za horyzontem, a w Latarnianym Pałacu zapalano lampy. Briony wracała z wizyty u Ivvie, która czuła się lepiej, choć jeszcze nie całkiem dobrze – dłonie dziewczyny wciąż drżały mocno, a jej żołądek tolerował tylko czysty rosół. Gdy księżniczka dotarła do drzwi swojej komnaty, ujrzała dwóch uzbrojonych żołnierzy ze syańskim grzebieniem na hełmach. Twarze obu mężczyzn wyrażały pełne napięcia oczekiwanie, jakby czyhali, by ją zabić, co przez chwilę przyszło jej do głowy. Zaraz jednak uspokoiła się, choć tylko trochę, gdy jeden ze strażników oznajmił:

– Księżniczko Briony Eddon, król cię wzywa.

– Najpierw się przebiorę – odpowiedziała.

Żołnierz pokręcił głową, a wyraz jego twarzy sprawił, że Briony poczuła dreszcz.

– Wybacz, Wasza Wysokość, ale masz przyjść natychmiast.

Zmierzając pod eskortą do sali tronowej, rozważała kolejne ewentualności. Czy to z powodu jej wizyty u Kallikanów? A może ktoś szepnął królowi kilka słów o tym, co się przydarzyło Jenkinowi Crowelowi? W tej sprawie z łatwością się obroni, ponieważ była pewna, że Dawet nie zostawił żadnych śladów.

Gdy szła przez ogromną salę tronową między dwoma wysokimi żołnierzami, zastanawiała się, czy ukradkowe spojrzenia dworzan, jakie napotykała, wyrażają tę samą fascynację, jaką odczuwa się wobec sławnego przestępcy.

Och, słodka Zorio, w co ja się znowu wpakowałam?

Król Enander i jego doradcy czekali na nią w Kaplicy Perina, wysokiej i podłużnej sali. Król siedział na tronie przed wielkim ołtarzem u stóp ogromnego marmurowego posągu Perina Pana Nieba. Bóg dzierżył w dłoni wielki młot, którego masywny obuch spoczywał na podłodze, tuż za tronem, na którym siedziała lady Ananka, królewska kochanka, jedna z ostatnich osób, jakie Briony chciałyby spotkać. Równie nieprzyjemną niespodzianką był widok Jenkina Crowela, posła Tollych na syańskim dworze, choć jego obecność potwierdzała przypuszczenia Briony: jeden z wynajętych ludzi pewnie się wygadał. Crowel posłał jej pogardliwy uśmiech; duża biała kreza nadawała mu wygląd paskudnego kwiatu. Księżniczka ledwo się powstrzymała, by nie podejść i nie trzasnąć go w różowitką beczelną gębę. Od chwili gdy Hendon Tolly sprowokował ją przy jej stole, doprowadzając niemal do szału, nauczyła się jednak kilku rzeczy.

Dygnęła przed królem Enanderem i skłoniła głowę.

– Wasza Królewska Mość – powiedziała. – Wzywałeś mnie, więc jestem.

– Niezbyt szybko – odezwała się Ananka. – Długo kazałaś na siebie czekać królowi.

Briony przygryzła wargę.

– Proszę o wybaczenie – odparła. – Byłam u panny Ivgenii e'Doursos, dlatego posłaniec dopiero teraz mnie znalazł. I od razu przybyłam. – Spojrzała na króla, żeby zorientować się co do jego nastroju, lecz oblicze Enandera zakrywała maska obojętności, która mogła oznaczać wszystko. – Czym mogę służyć?

– Twierdzisz, że chcesz służyć królowi Enanderowi? – zapytała Ananka. – To dziwne, bo twoje poczynania wcale o tym nie świadczą.

Briony wyczuła, że cokolwiek się dzieje, nie wróży to nic dobrego, bo jeśli Ananka ma odegrać rolę jej inkwizytorki, to ona przegra, zanim zdoła się dowiedzieć, o co chodzi.

– Przyjęliśmy cię życzliwie na naszym dworze. – Teraz Briony zobaczyła, że twarz Enandera jest mocno czerwona, jakby wypił już dużo wina pomimo wczesnej pory. – Nie zaprzeczysz chyba? Czy nie przyjęliśmy cię z otwartymi ramionami, jak przystało na córkę Olina?

– Tak było, Wasza Wysokość, za co jestem ogromnie wdzięczna...

– I prosiłem cię tylko o jedno, abys pozostawiła za naszymi murami intrygi swojego... pogrążonego w zamięcie domu. – Król zmarszczył brwi, co mogło równie dobrze wyrażać niezrozumienie, jak i gniew. Briony ujrzała słabe światełko nadziei. Może zaszło jakieś nieporozumienie, które da się wyjaśnić. A ona okaże skruchę i wdzięczność. Przeprosi za swą młodzieńczą zapalczywość, będzie paplała, co tylko król zechce usłyszeć, tak jak Feival wywodzący się w swoich monologach o dziewczęcej niewinności, a potem wróci do siebie, by zanurzyć się w sen, o którym tak marzyła...

Kątem oka dostrzegła ruch. Zobaczyła Feivala, który wszedł do kaplicy tak cicho, że tego nie usłyszała. Poczula się trochę lepiej na widok choć jednej znajomej twarzy.

– Okazałaś jej wspaniałomyślność, panie – powiedziała Ananka. Czy Briony była jedyną osobą, która widziała trujący jad wyciekający z ust tej kobiety? Jaki pożytek płynął z urody, dojrzałej wprawdzie, ale nadal widocznej, skoro skrywała tak mroczną duszę?

Proszę, litościwa Zorio, modliła się Briony, pomóż mi zachować spokój. Pomóż mi schować dumę, przez którą już tyle razy popadłam w kłopoty.

– W takim razie, skoro jest tak, jak mówisz – odezwał się niespodziewanie Enander – dlaczego nie uszanowałaś mojej gościnności i mnie zdradziłaś, Briony Eddon? Dlaczego? Jestem w stanie zrozumieć zwykłe intrygi, ale to... Ugodziłaś mnie w samo serce! – Jego głos wyrażał szczyry ból.

Zdradziłam? Briony poczuła zimny dreszcz strachu. Spojrzała na Enandera, lecz król nie patrzył na nią.

– Wasza Królewska Mość, ja... – Słowa więzły jej w gardle. – Cóż takiego uczyniłam? Czy wolno mi wiedzieć? Przysięgam, że nigdy...!

– Lista twoich przewinień jest długa, dziewczyno. – Wysoki kołnierz Ananki, ozdobiony paciorkami, upodabniał ją do xandyjskiej kobry. – Gdybyś pochodziła z pospółstwa, którakolwiek z twoich zbrodni zawiodłaby cię do Domu Łez. Lordzie Crowel, powiedz królowi raz jeszcze, co ci zrobiła.

Jenkin Crowel chrząknął; pod jego okiem wciąż widniał siniak.

– Kilka dni po przybyciu na twój gościnny dwór w charakterze oficjalnego posła, królu Enanderze, zostałem napadnięty przez zbirów na ulicy i dotkliwie pobity. Gdy leżałem w kałuży krwi, jeden z nich pochylił się nade mną i powiedział: „Oto, co spotyka tych, którzy występują przeciwko Eddonom”.

– To kłamstwo! – zawołała Briony. Przynajmniej po części. Księżniczka przekonana, że to

Crowel otrul jej pokojówkę, próbując zabić ją samą, poleciła Dawetowi, żeby wynajął osiłków, by mu pokazali, jak smakuje okrucieństwo, przed którym sam się nie cofa. Mieli mu też powiedzieć, że gdy jeszcze raz poważy się na tak niebezpieczne zagrania, dostanie w zamian coś jeszcze gorszego. Nie mogli wspomnieć o Eddonach, ponieważ Dawet na pewno nie zdradził, na czyje polecenie naprawę działają.

– Powtarzam, co słyszałem – rzekł Crowel, starając się przybrać pozę szlachetnego cierpiętника. – Myślałem, że to moje ostatnie chwile. Że to ostatnie słowa, jakie usłyszałem.

– Jesteś takim samym kłamcą jak twój pan. – Briony próbowała uspokoić oddech. – Myślisz, że ujawniłabym swoje imię, nawet gdybym za tym stała? – Już sam widok nalanej zadowolonej twarzy Crowela sprawiał, że wrzał w niej wulkan wściekłości. – Gdybym chciała się zemścić za zdradę twojego pana wobec mojej rodziny, to imię Eddonów byłoby ostatnim słowem, jakie byś usłyszał, ty świnió, ale potem już nigdy byś się nie podniósł! – Po chwili zorientowała się, że Enander i inni się w nią wpatrują. Przełknęła ślinę. – Królu Enanderze, jestem niewinna tych zarzutów. Czy więcej waży dla ciebie słowo tego... parweniusza niż słowo córki bratniego króla?

Enander zmrużył oczy.

– Gdyby to było jedyne oskarżenie pod adresem twojej osoby, księżniczko, i jedyne świadek, gotów byłbym uznać twoje argumenty. Ale jest więcej zarzutów.

– Nie zrobiłam nic złego, Wasza Wysokość, przysięgam. Wezwij swoich świadków.

– Czy nie jest tak, jak ci mówiłam, Enanderze – powiedziała Ananka triumfalnym tonem. – Doskonale odgrywa niewiniątko. A przecież spiskowała, żeby odebrać ci syna i tron!

Tron? Och, bogowie, to rzeczywiście oznaczało zdradę. Za coś takiego nawet księżniczka mogła liczyć na śmierć, i to powolną. Briony z trudem dobierała słowa.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz, lady Ananko. Przysięgam, że jestem niewinna, wobec Perina i wszystkich bogów!

– Próbowałaś usidlić księcia Eneasza, dziewczyno. Umizgiwałaś się do niego i udawałaś rumieniącą się dziewicę, próbując zaciągnąć go do łóżka, żeby ci był posłuszny! A to tylko początek twojej intrygi!

– Straszliwe kłamstwo! – zawołała Briony. – Gdzie jest książę? Sama go zapytaj. Zawsze zachowywaliśmy się przyzwoicie, czego nie mogę powiedzieć o twoim postępowaniu!

– On jest poza twoim zasięgiem – rzuciła Ananka z wyraźną satysfakcją. – Poza zasięgiem twoich kłamstw i podstępnych pochlebstw. Eneasza został właśnie wysłany z Tessis razem z wojskiem. Na nic się nie zdał urok, jaki na niego rzuciłaś.

Briony tak bardzo starała się opanować gniew, że w pewnym momencie wydało jej się, że kaplicę wypełniły ciemności, w których widzi tylko króla i jego małżonkę. Zatoczyła się lekko, gdy odwracała się do Enandera.

– Wasza Królewska Mość, twój syn nie zrobił nic złego, ja także. Łączy nas przyjaźń, nic więcej. A ja nie pragnę od niego ani od ciebie niczego poza pomocą dla mojego narodu, mojego kraju... moich sojuszników!

Enander sprawiał wrażenie zakłopotanego.

– Ja... słyszałem co innego.

– Od kogo? – zapytała Briony. – Z całym szacunkiem, królu Enanderze, lady Ananka mnie nie lubi, to oczywiste, choć nie mam pojęcia, jaki jest tego powód... – Gdy to mówiła, dostrzegła kpiące porozumiewawcze spojrzenia, jakie wymienili między sobą Ananka i Jenkin Crowel. Zawarła umowę z Tollymi, pomyślała Briony. Suka ma jakiś plan. Nawet gotująca się w niej wściekłość nie była w stanie złagodzić chłodu, który poczuła, gdy uzmysłowiła sobie, jak niekorzystny obrót przybrały jej sprawy w Syanie. – Ale... to jeszcze za mało, by kogoś osądzać

– dokończyła. – Zawróć syna i zapytaj go.

– Mój syn ma obowiązki wobec królestwa – odparł Enander. – Ale jak powiedziałem, są inni świadkowie. Feivalu z Ulos, podejdź tu i powiedz nam, co wiesz.

– Feival...? – Zdumiona Briony patrzyła na aktora. – Co to znaczy?

Młody aktor miał przynajmniej tyle wstydu albo zawodowych umiejętności, by przybrać zakłopotaną minę, gdy podszedł i klęknął przed królem.

– Nie jest to... dla mnie łatwe, Wasza Królewska Mość, bo chodzi o córkę mojego króla. Poza tym długo podróżowaliśmy razem i byliśmy przyjaciółmi...

– Byliśmy? Ja wciąż czuję się twoją przyjaciółką! Co ty mówisz?

– ...Lecz nie będę już dłużej skrywał tego, co zrobiła. Wszystko to jest prawdą, często mówiła o tym w mojej obecności. Pragnęła tylko jednego: aby księżę Eneasza ją pokochał, dzięki czemu mogłaby przejąć kontrolę nad tronem Syanu. Najpierw zaangażowała mnie, a także pozostałych aktorów z trupy w charakterze szpiegów – mogę pokazać sprawozdania. A potem zagięła parol na księcia. Przy każdej okazji starała mu się przypodobać, obsypując słodkimi obietnicami, wciągając go coraz bardziej w swoją intrygę, a zarazem twierdziła, że on wcale jej nie obchodzi, że jej celem jest tron Syanu.

Briony otworzyła usta ze zdumienia i wstała. Jeden z żołnierzy chwycił ją za ramię i przytrzymał w miejscu.

– Słodka Zorio, Feivalu, jak możesz mi to robić? Jak możesz opowiadać tak bezczelne kłamstwa...! – W tym momencie spojrzała na bogaty strój Feivala, na biżuterię, której na pewno nie dostała od niej, a na którą wcześniej nie zwróciła uwagi, i uzmysłowiła sobie, że została przechytrzona już na samym początku, gdy postawiła pierwszy krok w Tessis. Ananka znalazła słabą trzcinę i nagięła ją według własnej woli. – Nie ma w tym słowa prawdy, królu Enanderze! – rzekła Briony, zwracając się w stronę tronu. – To jest... zmowa. Nie rozumiem, jaki jest jej powód, ale jestem niewinna! Zapytaj Eneasza! Sprowadź go tutaj!

Król pokręcił głową.

– On jest poza twoim zasięgiem, jak powiedziała moja pani.

– Po co miałabym omamiać Eneasza? Nie jestem obojętna twojemu synowi. Sam mi to wyznał...

– Widzisz? – W triumfalnym podnieceniu, Ananka niemal podniosła się ze swojego miejsca, lecz zaraz się opanowała. – Przyznaje się do swoich planów.

– Ale go odtrąciłam, mimo że przez cały czas zachowywał się honorowo! Zapytaj go! Nie potępij mnie, opierając się na słowie jednego zdraдлиwego sługi, nie wysłuchawszy wpieryw swojego syna!

– Co jeszcze masz nam do powiedzenia, Feivalu z Ulos – rzekła Ananka. – Powiedz, co ta podstępna kobieta chciała zrobić, gdyby już nakłoniła królewskiego syna do małżeństwa.

Feival unikał spojrzenia Briony.

– Powiedziała... powiedziała, że zrobi to, co będzie konieczne, aby Eneasza zasiadł na tronie zamiast ojca. – Młody aktor westchnął, być może przytłoczony poczuciem winy z powodu strasznych kłamstw, i wydawało się, że czuje się coraz bardziej niezręcznie w swojej roli.

Briony tylko pokręciła głową, dając wyraz swej bezradności.

– To wszystko... istne szaleństwo...!

– Dokończ – odezwała się Ananka. – Nie obawiaj się. Przekaż królowi to, co mnie powiedziałaś. Czy nie mówiła, że jeśli będzie trzeba, to posłuż się czarami, żeby przyspieszyć sukcesję...?

Briony wydawało się, że ma nogi z galarety. Jeden z żołnierzy musiał ją podtrzymać, chroniąc przed upadkiem na kamienną podłogę. Czary... żeby odebrać życie królowi? Anance

chodziło nie tylko o wygnanie Briony, ona pragnęła jej śmierci.

– Kłamstwa... – powiedziała, lecz jej głos zabrzmiał bardzo słabo.

Nawet Feival wyglądał na zdumionego, jakby zaskoczony tym, że tak głęboko ugrzęźli w zdradzie.

– Czary...? – wybąkał.

– Powiedz mu! Powiedz królowi! – Wydawała się, że Ananka jest gotowa wytrząsnąć z aktora potwierdzenie swoich słów.

Feival przełknął ślinę.

– Ja... szczerze mówiąc, pani... nie... pamiętam tego...

– Boi się o tym mówić, Wasza Królewska Mość – zwróciła się Ananka do Enandera. – Boi się wyznać prawdę w obecności dziewczyny, bo lęka się, że i na niego rzuci urok. – Królewska kochanka opadła na swoje siedzenie, a spojrzenie, które posłała Feivalowi, mówiło wyraźnie, że nowa pani nie jest do końca zadowolona z jego występu. – Niemniej widzisz, jaki spisek odkryliśmy, jakie niebezpieczeństwo czyhało na ciebie i twojego syna!

Enander pokręcił głową. Czy to wino spowodowało ten rumieniec czy coś innego? Czyżby Ananka truła także jego?

– Ciężą na tobie poważne oskarżenia, Briony Eddon – powiedział król powoli – i gdyby twój ojciec nie był naszym przyjacielem, chyba już teraz wydałbym wyrok. – Zamilkł na moment, gdy rozległ się cichy syk Ananki. – Lecz przez wzgląd na długie lata braterstwa między naszymi narodami zajmę się sprawą z należytą ostrożnością, jakby chodziło o członka rodziny. Pozostaniesz w swoich komnatach do czasu, gdy zbadam sprawę tak, jak na to zasługuje. – Jego głos zadrżał. – Dla nas jest to równie trudne jak dla ciebie, księżniczko, ale sama ściągnęłaś sobie na głowę kłopoty.

– Nie! – Briony trzęsła się z wściekłości, którą z trudem w sobie tłumiała. Zdradziecki Feival, okrutna Ananka i nawet ta świnią, Jenkin Crowel – wszyscy pewnie śmieją się z niej teraz zza swoich masek! – Królu Enanderze, czy po raz kolejny pozwolisz, aby Jellon zdradził moją rodzinę? Czy jesteś aż tak zaślepiiony, żeby nie dostrzegać tego, co się dzieje na twoim dworze?

Wszyscy patrzyli, zdumieni słowami Briony, za to król wyglądał na zaskoczonego.

– Jellon? Co to za bzdura? Zapomniałaś, gdzie się znajdujesz?

– Tak, Jellon! Gdzie Hesper sprzedał mojego ojca hierosolskiemu uzurpatorowi Ludisowi Drakavie! A teraz przybyła tu ta oto kobieta, wyuczona w szkole oszustwa przez swojego kochanka, by pogrążyć moje królestwo, a może także i twoje! Nie widzisz tego? Z Jellonu nie pochodzi nic dobrego poza kłamstwami i zdradą!

– Jesteś zrozpaczona, młoda kobieto. – Enander wyglądał na starego i zmęczonego człowieka. – Jellon jest naszym sprzymierzeńcem, krajem, który wiele dał światu. Jego mieszkańcy są mistrzami tkactwa.

Briony patrzyła na niego z niedowierzaniem. Król nie dość, że myślał wolno, to jeszcze myśli wyraźnie mu się plątały i nie było sensu z nim dyskutować. Starła się nie pokazać po sobie ogromnego przygnębienia. Przynajmniej tak krowa Ananka nie zobaczy jej łez.

– Krzywdzisz mnie – powiedziała tylko, a potem odwróciła się i wyszła z kaplicy, modląc się, by nogi ją utrzymały.

Towarzyszili jej milczący strażnicy. Wiedziała, że już nigdzie nie pójdzie sama.

Gdy weszła do sali tronowej, zbliżył się do niej królewski doradca Erasmias Jino.

– Wybacz, księżniczko – powiedział cicho. – Nie miałem pojęcia, co zaplanowano.

– Ja też nie. Jak myślisz, które z nas było bardziej zaskoczone? – dodała i pozwoliła poprowadzić się dalej strażnikom.

Siostra Utta stała w miejscu, mimo że burza jej myśli domagała się jakiegoś ujścia. Chciała pobiec przed siebie najszybciej jak potrafi, by uciec przed tymi słowami albo rzucać i rozbijać o podłogę różne rzeczy, tak by hałas i bałagan unieważniły to wszystko, co właśnie jej powiedziano. Lecz słowa wciąż płynęły, opowieść o tym, jak śmiertelnicy z Marchii Południowej zniszczyli królewską rodzinę Ludzi Zmierzchu.

– To niemożliwe. – Posłała Kayyinowi błagalne spojrzenie. – Mówisz tak, bo twoja mroczna pani kazała ci nas dręczyć. Wszystkie te straszne opowieści... przyznaj, że są kłamstwem!

– Oczywiście, że tak – rzuciła gniewnym głosem Merolanna. Już nie patrzyła czarodziejskiemu człowiekowi w oczy. – Niegodziwe kłamstwa. Opowiedziane przez tego... niedobrego odmieńca, żeby nas przestraszyć, żeby nas pozbawić wiary.

Kayyin rozłożył ręce w geście rezygnacji albo zniechęcenia.

– Wiara nie ma tu nic do rzeczy, księżno. Moja pani Yasammez kazała mi powiedzieć wam prawdę, co też uczyniłem. Mogę spodziewać się tylko śmierci z jej ręki, więc zapewniam cię, że nie kłamałbym w jej imieniu, szczególnie w sprawie największej tragedii mojego ludu. – Na jego obliczu odmalowała się chłodna powaga. – Teraz przypominam sobie kilka rzeczy, w których różnię się od was i zawsze będę się różnił, bez względu na to, jak długo bym udawał jednego z was. Moi ludzie nie uciekają od prawdy. Dzięki temu i tylko dzięki temu przetrwaliśmy w tym świecie... w świecie zbudowanym przez twój rodzaj.

Odwrócił się i wyszedł z pokoju. Przez chwilę Utta słyszała jego lekkie kroki na schodach, a potem w domu znowu zapadła cisza.

– Widzisz? – W głosie Merolanny pobrzmiwała triumfalna nuta i ekscytacja, tak przynajmniej wydawało się Utcie. – Wie, że go przejrzałyśmy. Przyznał to, wychodząc!

Po wielu dniach spędzonych razem w niewoli Utta nie miała już siły ani ochoty na dyskusje. W końcu jeśli wiara podnosiła na duchu Merolanę, to czemu ona miałaby jej to odbierać? Nie potrafiła jednak tak całkiem zamilczeć.

– Choć trudno mi to przyznać, wiele z tego, co powiedział... no cóż, wpasowuje się w historię mojego zakonu... – odezwała się nieśmiało.

– Ależ oczywiście! – Merolanna zabrała się do sprzątanego pokoju, który wcale tego nie wymagał. – Nie rozumiesz? Na tym polega jego przebiegłość! Mówią tak, by ich kłamstwa brzmiały wiarygodnie, aż zaczniesz się nad tym zastanawiać. Och, nie, to nie te potwory wyszły ze swojego kraju cienia i nas zaatakowały! Bogobojni mieszkańcy Marchii Południowej, to my ich zwabiliśmy, a potem zdradziliśmy i wyrzneliśmy! Nie widzisz, jakie to głupie, Utto? Ach, nie mam już sił na ciebie. Mąż opowiadał mi o takim rodzaju szaleństwa, gdy wrócił z wojny w Settlandii: po długiej niewoli człowiek zaczyna wierzyć swoim oprawcom.

Utta otworzyła usta, lecz zaraz je zamknęła. Zachowaj cierpliwość, powtarzała sobie w duchu. To dobra kobieta. Boi się. Podobnie jak ja. Bo jeśli Kayyin kłamał, jak zapewniała Merolanna, to Qarowie byli zupełnie szaleni. Lecz jeśli powiedział prawdę...

Wtedy mają powód, żeby nas nienawidzić, pomyślała Utta. Mają powód, żeby chcieć nas wszystkich zniszczyć.

W miarę jak Briony zbliżała się do swoich komnat, kipiąca w niej wściekłość powoli wygasła, jakby ktoś zdjął pokrywkę z naczynia z wrzącą cieczą. Tłumaczyła sobie, że nie ma

czasu na gniew, bo chodzi o jej życie. W każdej chwili mogą umieścić ją w celi albo zamknąć w jakiejś wiejskiej rezydencji. Ananka mogła nawet wmówić omamionemu królowi, że te bzdury z czarami to prawda, jakby Briony miała dość czasu, żeby wpłynąć na króla. Tymczasem dla Enandera jej słowo – słowo królewskiej córki – nic nie znaczyło! Siedział tam jak ostatni głupiec, pozwalając tej dziwce manipulować sobą...

Zachowaj spokój, powtarzała sobie. Jak mawiał Shaso? Nawet gdy się bronisz, musisz atakować. Nie możesz tylko reagować na ruchy przeciwnika. Wojownik musi zawsze działać, choćby tylko planując kolejne posunięcie.

W takim razie jaki ma być jej następny ruch? Czym dysponuje? Dawet załatwia jakąś swoją sprawę. Pieniądze, które otrzymała od Eneasza, prawie się skończyły. No cóż, Zoria mi pomoże, pomyślała... ale trzeba jej dać szansę. Briony przybyła do tego miasta bogata jedynie w wolność. Chętnie opuści je z takim samym bagażem.

Zażenowane spojrzenia jej dam dworu nie pozostawiały wątpliwości, że słyszały już najnowsze wieści, i nie było w tym nic dziwnego, gdyż w Latarnianym Pałacu plotki wędrowały szybko. Mimo wszystko Briony czuła smutek, widząc, że próbują się zdecydować, jak ją teraz traktować. Czy już wcześniej wiedziały o zdradzie Feivala? Ile z nich też szpiegowało dla Ananki?

Spośród wszystkich dam dworu jedynie Agnes, wysoka szczupła córka prowincjonalnego barona, wyszła jej na spotkanie. Dziewczyna obrzuciła Briony uważnym spojrzeniem.

– Dobrze się czujesz? – zapytała szczerze troskliwym tonem. – Czy mogę ci coś przynieść księżniczko?

Briony zerknęła na pozostałe kobiety, które szybko się odwróciły, udając, że są czymś zajęte.

– Tak, panno Agnes, możesz porozmawiać ze mną, kiedy będę się przebierać. Cały dzień nosiłam ten strój.

– Chętnie, księżniczko.

Kiedy znalazły się już w komnacie wypoczynkowej, Briony szybko zaczęła się rozbierać. Przyglądała się Agnes, która pomagała jej zdjąć suknię i włożyć grubą nocną koszulę. Dziewczyna była trochę od niej młodsza, ale mniej więcej tego samego wzrostu, choć szczuplejsza. Miała też jasne włosy, tak jak Briony, co było bardzo ważne.

– Co wiesz o tym, co się dzisiaj wydarzyło? – zapytała Briony.

Agnes mocno się zarumieniła.

– Więcej, niżbym chciała, księżniczko. Słyszałam, że pan Feival poszedł do króla i nakłamał mu o tobie. – Pokręciła głową. – Gdyby mnie spytali, powiedziałabym im prawdę, że jesteś niewinna, że wobec księcia Eneasza zachowywałaś się, jak nakazuje honor. – Otworzyła szerzej oczy. – Chcesz, żebym im to powiedziała, księżniczko? Zrobię to, jeśli taka jest twoja wola, lecz obawiam się, że moja rodzina...

– Nie, Agnes. Nie mogłabym wymagać tego od ciebie ani od żadnej innej z dziewcząt.

– Tamte dziewczyny to tchórze, księżniczko Briony. Obawiam się, że i tak nie powiedziałyby prawdy. Boją się Ananki. – Zaśmiała się smutno. – Ja też się jej boję. Niektórzy mówią, że jest wiedźmą, że rzuciła na króla urok.

Briony zmarszczyła brwi.

– W takim razie pokażę jej moje małe zaklęcie, jeśli tylko zechcesz mi pomóc.

Agnes skończyła wiązać pasek koszuli Briony i spojrzała na nią z powagą.

– Pomogę ci, księżniczko, jeśli nie będzie to wbrew woli bogów.
– Dobrze. Zrobimy to tak, żeby nie ucierpiała twoja dworska reputacja. A teraz posłuchaj mnie...

Gdy Briony pierwszy raz wysyłała Agnes, podeszła do drzwi, tak by strażnicy zobaczyli ją w nocnej koszuli. Niech będzie przeklęta skromność, pomyślała. Wojownik nie zna skromności.

– Wracaj szybko – zawołała za Agnes na tyle głośno, żeby wszyscy ją usłyszeli. Żołnierze popatrzyli na mijającą ich dziewczynę, lecz Agnes nie należała do kobiet, które przyciągają uwagę mężczyzn. Niosła list do króla, utrzymany w błagalnym tonie i zapewniający o niewinności Briony, taki, jakiego można było się spodziewać po kimś w sytuacji księżniczki, lecz strażnicy nawet nie zapytali Agnes, dokąd się udaje, nie wspomniawszy o sprawdzeniu listu.

Idioci, pomyślała Briony. No cóż, powinnam się cieszyć, że mają o mnie tak kiepskie mniemanie.

Po wyjściu Agnes Briony przeszukała skrzynię, w której przywiozła do Tessis swój skromny dobytek. Związała w węzełek wszystko, czego potrzebowała, a całość owinęła w płaszcz podróżny, najskromniejszy, jaki znalazła, prosty, gruby i pozbawiony ozdób, z ciemnej wełny, pozostawiony przez któregoś z gości, który nigdy po niego nie wrócił.

Może należał do księcia, pomyślała. Tak, wyobrażam sobie Eneasza w tak skromnym stroju na czele wojsk. Długość płaszcza wskazywała, że mógł należeć do księcia.

Agnes wróciła szybko, a wtedy Briony wysłała ją z kolejnym listem, ten był przeznaczony dla Ivgenii e'Doursos. Briony chciała powiadomić przyjaciółkę o tym, co się stało, i wyjaśnić, że została niewinnie oskarżona, lecz oczywiście nie wspomniała ani słowem o swoich planach. Nauczyła się nie ufać nikomu, nawet Ivvie, a pomoc Agnes traktowała jako nieuniknioną konieczność.

Także i tym razem Briony pokazała się w drzwiach, tak by zobaczyli ją strażnicy.

– Nie budź jej – poleciła Agnes. – Wsuń list pod drzwi.

– Będę ostrożna – odpowiedziała dziewczyna i się uśmiechnęła.

Pozostałe dziewczęta patrzyły, poirytowane faktem, że żadnej z nich nie powierzono któregoś z tych, jak się wydawało, ważnych zleceń. Briony poprosiła je o przyniesienie jedzenia.

– Chleb i ser – powiedziała. – Dużo. I suszone owoce. Przynieście też trochę nieszpułki, tylko owińcie w chustkę, żeby pozostała żywność nie przeszła jej zapachem. I co jeszcze...? Tak, mam ochotę na pastę z pigwy.

– Jesteś aż tak głodna, księżniczko? – zapytała jedna z dziewcząt.

– Och, umieram z głodu. W końcu człowiek musi się nieźle namęczyć, gdy zostaje zdradzony.

Damy dworu odeszły, szepcząc cicho między sobą, gdy tylko znalazły się za drzwiami. Briony zauważyła, że został tylko jeden ze strażników. Spojrzał zaledwie na mijające go w pośpiechu młode kobiety.

Otrzymawszy chleb, ser i resztę zamówienia, Briony zabrała jedzenie do swojej komnaty, gdzie nikt nie mógł jej zobaczyć, rozwiązała przygotowane zawiniątko i ukryła żywność w środku.

– Możecie iść spać – zawołała do dam dworu. – Ja poczekam na Agnes. Nie jestem jeszcze śpiąca.

Rozczarowane, że Briony już skończyła wydawać swoje ekscentryczne polecenia albo że nie zobaczą, jak księżniczka pochłania góry zamówionego jedzenia, dziewczęta odeszły do

komnaty wypoczynkowej, by przygotować się do snu. Niedługo potem wróciła Agnes.

– Dzięki niech będą wszystkim bogom – powiedziała Briony. – Już zaczęłam się martwić, że coś ci się stało.

– Było tam trochę ludzi, a ja nie miałam pewności, czy chcesz, by ktoś mnie widział – odparła Agnes – więc zaczekałam, aż sobie pójdą. Czy źle postąpiłam?

– Litościwa Zorio, nic podobnego! Dlaczego nie odkryłam cię wcześniej? – dodała i pocałowała dziewczynę w policzek. – Jeszcze jedna rzecz: daj mi swoją suknię.

– Moją suknię, księżniczko?

– Cicho! Nie tak głośno. Dziewczęta są za ścianą. Musimy się pospieszyć. Włóż moją koszulę.

Briony ucieszyła się, widząc, że Agnes nie marnuje czasu na zadawanie pytań. Dziewczyna zdjęła suknię przy pomocy Briony i przez chwilę stała, trzęsąc się, w samej halce, zanim księżniczka otuliła ją swoją nocną koszulą.

– A teraz ty mi pomóż.

Gdy Agnes zawiązała jej suknię, Briony podprowadziła dziewczynę do swojego kufra.

– Wybierz sobie którąś z sukien, jest twoja – powiedziała. – Mam co najmniej kilka w dużej skrzyni. Ale chcę też, żebyś przyjęła coś jeszcze. Proszę. Głupiec, który mi to podarował, nie dostał tego, czego chciał, ale dał mi to, więc należy do mnie, a ja daję to tobie. – Wyjęła drogocenną bransoletę, którą lord Nikomakos podarował jej jako wyraz swego uczucia, i zapięła na nadgarstku dziewczyny.

Agnes patrzyła zdumiona, a w jej oku błysnęła łza.

– Jesteś zbyt łaskawa, księżniczko...

– Nie. Mam dla ciebie jeszcze jedno zadanie, i to niełatwe. Musisz przekonać ludzi króla, gdy przyjdą po mnie, może jeszcze tej nocy, jeśli zaczęli coś podejrzewać, albo jutro rano – że nie wiedziałas, co zamierzam. – Briony zamilkła na chwilę. – Nie, w to nie uwierzą, Jesteś zbyt bystra. Musisz ich przekonać, że cię zastraszyłam i kazałam siedzieć cicho.

Teraz Agnes zmarszczyła czoło i pokręciła głową.

– Nie będę cię oczerniała, księżniczko Briony. Zostaw to mnie, coś wymyślę.

– Niech bogowie cię błogosławią, Agnes! A teraz, gdy staniemy przy drzwiach, wychyl się, ale tylko trochę, i nie pokazuj twarzy strażnikom.

Briony otworzyła drzwi i powiedziała głośno:

– Pospiesz się, dziewczyno! Idź do niej i wracaj szybko. Chcę się wreszcie położyć!

Wciąż pilnował jej jeden strażnik, który zgodnie z oczekiwaniem Briony wyprostował się tylko na chwilę, by zerknąć na znajome postacie – kobietę w nocnej koszuli i jej służącą wysłaną z ostatnim poleceniem – po czym znowu oparł się o ścianę.

– Księżniczka chce cię dzisiaj zamęczyć, co, pani? – zawołał, gdy Briony mijała go z zawiniątkiem przyciśniętym do piersi.

– O, tak – odpowiedziała niewyraźnie. – To prawda, ledwo stoję na nogach. – Po chwili skręciła w inny korytarz.

Poszła tą samą drogą, którą prowadził ją Eneas, i zatrzymała się w stajni, by włożyć chłopięce ubranie, które nosiła, gdy występowała w trupie. Podziękowała Zorii i innym bogom, że płaszcz, który zabrała, jest ciepły, bo w Syanie, choć nadeszła wiosna, noce wciąż były zimne. Ucieszyła się też, że trafiła na dzień targowy, dzięki czemu pałacowe bramy pozostawiono dłużej otwarte, gdyż wciąż przychodzili i wychodzili ludzie. Schowała suknię Agnes w słomie i wyszła

przez bramę do miasta.

Skierowała się prosto do karczmy, w której zatrzymali się aktorzy. Tawerna Pod Fiszbikoniem znajdowała się w jednej z wąskich uliczek dość ciemnej, lecz ruchliwej części Tesis, w pobliżu rzecznych doków. Szylk przedstawiał dziwne morskie stworzenie z zakrzywionymi kłami sterczącymi z pyska. Briony mijali kolejni pijacy, jedni śpiewający głośno, inni pogrążeni w sprzeczkach, a jeszcze inni szli w towarzystwie kobiet wspartych na ich ramionach, tak samo głośnych i pijanych jak oni. Briony pomyślała, że dobrze zrobiła, przebierając się za mężczyznę, i modliła się, żeby nikt nie próbował wdać się z nią w rozmowę. Domyślała się, że w tej okolicy nie jest bezpieczna nawet jako chłopak.

Nevin Hewney spał z głową opartą na blacie stołu w głównej sali tawerny. Siedzący obok Finn Teodoros, pozornie trochę bardziej trzeźwy, długo nie mógł rozpoznać Briony, nawet gdy przedstawiła mu się szeptem.

Odchylił się do tyłu, by objąć spojrzeniem całą jej postać, i zaraz znowu opadł do przodu.

– Młody Tim... to znaczy księż...

Briony zakryła mu usta dłonią tak gwałtownie, że ktoś mniej pijany z pewnością krzyknąłby z bólu.

– Nie wymawiaj mojego imienia! Czy wszyscy są na miejscu?

– Mi się wydaje tak... to znaczy tak mi się wydaje. Duży Dowan już dawno poszedł spać. Makewella widziałem, jak podrywa miejscowego kupca... – Teodoros otworzył szerzej oczy, gapiąc się na Briony, jakby nie wiedział, czy to sen, czy jawa. – Co ty tu robisz? I ubrana jak... no... tak?

– Tu nie będziemy o tym rozmawiać. Zgarnij Hewneya i spotkajmy się w twoim pokoju.

– Feival? – Teodoros wyraźnie pobladł. – To prawda?

– Prawda? Myślisz, że bym kłamała? Zdradził mnie!

– Wybacz, księżniczko, ja po prostu nie... no... na Oszusta, kto by pomyślał...

– Każdy z nas powinien, gdybyśmy mieli trochę oleju w głowie. – Nevin Hewney wyprostował się, ociekając wodą. Chwilę wcześniej zanurzył głowę w misce. – Zawsze lubił zbytek ten nasz Feival. Mówiłem, że kiedyś zostawi nas dla jakiegoś bogacza... albo bogaczki. No i znalazł kogoś takiego. I nawet nie musi z nią spółkować.

– Hewney! – oburzył się Teodoros. – Nie w obecności księżniczki.

Briony przewróciła oczami.

– Finn, to dla mnie nic nowego tylko dlatego, że ponownie byłam księżniczką – zmieniłam tylko ubranie. – Zaśmiała się ponuro. – I oto patrzcie! Znowu włożyłam mój dawny strój!

Gruby dramaturg patrzył na nią z troską.

– I co teraz zrobisz, Wasza Wysokość?

– Co zrobię? Raczej co my zrobimy. A zrobimy tak: wyjedziemy jeszcze tej nocy. Feival nazwał was moimi szpiegami, powiedział to w obecności samego króla Syanu. Może już idą tu żołnierze.

Hewney chrząknął.

– Ten mały skurwysyn...!

Finn zamrugnął.

– Ludzie króla...?

– Tak, ty wielki osle, i bądź wdzięczny, że pomyślałam o tym, żeby cię ostrzec. W ten sposób przynajmniej zyskasz sposobność ucieczki. Udamy się do Marchii Południowej.

– Ale jak? Nie mamy pieniędzy ani prowiantu... W jaki sposób wydostaniemy się za mury?

– To się jeszcze zobaczy. – Briony wyjęła z kieszeni złotą monetę, ostatnią z tych, które pożyczył jej Eneasza – lśniącego delfina – i rzuciła Teodorosowi, który pomimo zamroczenia złapał ją zręcznym ruchem. – Weź to i kup, co trzeba. Zaczekam tutaj, a wy zbierzcie pozostałych.

– Kupię dzban wina – oznajmił Hewney. – Skoro mam umrzeć, to brońcie bogowie, żebym zrobił to na trzeźwo.

Finn Teodoros także się podniósł.

– Niech bogowie czuwają nad nami – rzucił. – Wydaje się, że życie księżniczki nigdy nie jest nudne, a prawie zawsze niebezpieczne. Chociaż raz się cieszę, że w moich żyłach płynie gęsta chłopska krew.

Światło przy schodach

Soteriański mnich i uczoney Kyros wyrażał przekonanie, że Qarowie nie są istotami z krwi i kości, lecz potępionymi duszami śmiertelników, którzy żyli przed nastaniem Kościoła Trygonackiego. Phayallos jednak podaje w wątpliwość to twierdzenie, mówiąc, że czarodziejscy ludzie, „choć często monstrialni, są bez wątpienia żywymi istotami”.

– z *Traktatu o czarodziejskich narodach obojga kontynentów Eionu i Xandu*

Nawet otwarte niebo nie wydawało się bezpieczne, lecz ludzie znowu gromadzili się na małym placu, rozstawiając stragany i targując się o to, co ktoś znalazł wcześniej w swojej ziemiance, albo o kilka marnych ryb, które udało się złowić w niepilnowanej Wschodniej Lagunie. Podobnie jak wszyscy, Matt Tinwright oglądał się z trwogą przez ramię, lecz mimo że masywne pnie ciernistego mostu czarodziejskich ludzi wciąż widniały pochylone nad murami zewnętrznymi, pogrążając w cieniu znaczną część Rynku, czarodziejscy ludzie rzeczywiście wycofali się z twierdzy zewnętrznej.

Co nie znaczy, że wynieśli się na dobre, pomyślał z niepokojem Tinwright. Wciąż można ich było zobaczyć z murów poprzez mgłę i dym, jak chodzą po swoim obozie na stałym lądzie, jakby rzeź ostatnich kilku dni w ogóle nie miała miejsca.

Wszyscy przyjęli ten nagły pokój z dużą nieufnością, gdyż coś takiego nie miało sensu. Napastnicy pokonali mury zamku, przerażająca horda okropnych istot podobnych do demonów ze świątynnego fresku. Pomimo wysiłków Avina Brone’a, Durstina Crowela i nawet samego Hendona Tolly’ego czarodziejscy wojownicy całkowicie wyparli ludzi z twierdzy zewnętrznej. Znaczna część Rynku i wielkiej świątyni Trygonatu została spalona, a dzielnice na południowy wschód od bramy wciąż się tliły. Ulice twierdzy wewnętrznej pełne były ludzi pozbawionych domów, którzy siedzieli słoczeni w prowizorycznych namiotach skleconych z kawałków materiału, a między nimi leżeli pozbawieni opieki ranni. Wszystko to wyglądało, jakby przez Kruczą Bramę wdarła się powódź i rozbiła o ściany sali tronowej, rozrzucając niesione ze sobą rzeczy na wszystkie strony. Rankiem tego dnia Tinwright oglądał sceny, które będą go prześladować we śnie przez resztę życia – czarne od poparzeń dzieci płaczące żałośnie i pozbawione opieki, całe rodziny, chore lub umierające z głodu, skulone pod ścianami domów ze szczelnie zamkniętymi okiennicami, które odgradzały od nich ciepło i pomoc.

I oto wczoraj, wyrządziwszy tyle zniszczeń i zadawszy tak ogromne cierpienie, ludzie zmierzchu przerwali oblężenie twierdzy wewnętrznej, jakby usłyszeli jakieś nieme wezwanie, i rozpoczęli regularny odwrót. Nic nie zabrali, nie wzięli jeńców ani złota – zniszczona, lecz nieograbiona świątynia Trygonatu była teraz otoczona przez ludzi Hendona Tolly’ego, którzy bronili jej przed rabusiami – i po prostu znikli we mgle, z której wcześniej się wynurzyli, jakby cała walka była tylko strasznym koszmarem.

Ale bez względu na przyczyny tego stanu rzeczy, Matt Tinwright, podobnie jak inni mieszkańcy podzamcza, mógł trochę odetchnąć, choć nie miał czasu, by pomyśleć o czarodziejskim ludzie i jego niepojętych motywach. Musiał zająć się rodziną, tak jakby; Elan i

jego matka mieszkały teraz u bratanicy Zagadki w Templeyard, względnie spokojnej dzielnicy w południowo-zachodniej części twierdzy, lecz w domu spiżarnie były puste, a ponieważ przebywały tam same kobiety, zadanie zdobycia pożywienia w mieście spadło na Tinwrighta. Wcale nie miał ochoty zajmować się zakupami, lecz nawet wąskie uliczki Templeyard pełne były uchodźców, dlatego bał się wysłać same kobiety, a jeszcze bardziej obawiał się tego, że jego matka, zadufana w sobie gaduła, może powiedzieć przy innych coś, co by ujawniło prawdziwą tożsamość dziewczyny, którą się opiekuje.

Tak więc, jak już nieraz ostatnimi czasy, miał do wyboru dwa złe rozwiązania: posłać matkę po jedzenie lub zdobyć je samemu. Wybrał to drugie jako mniej niebezpieczne.

Dziwne to wszystko, pomyślał, przepychając się przez niespokojny tłum i uważając, by nie nastąpić na rannych i zarazem wytrzymać błagalne spojrzenia matek i ich głodnych dzieci. Żołnierze, którzy jeszcze dzień wcześniej walczyli na murach z legendarnymi istotami, teraz musieli interweniować w bójkach wygłodniałych mieszkańców podzamcza. W tej chwili dwóch mężczyzn mocowało się ze sobą w błocie, walcząc o marny kabaczek wyhodowany w skrzynce na kwiaty. Tinwright przez chwilę rozważał napisanie o tym poematu – przeciwieństwo codzienności! – lecz służył teraz tylu panom, że nie miał nawet chwili, żeby pomyśleć, a co dopiero znaleźć czas na pisanie. Mimo wszystko pomysł wydał mu się ciekawy: poemat o ludziach walczących o warzywo. Z pewnością mówiło to więcej o czasach, w których przyszło mu żyć, niż wiersz miłosny napisany dla któregoś z dworzan, opiewający piękno łabędziej szyi młodej kobiety.

Wracał z Rynku, a w zwiniętym płaszczu niósł lekko nadpęsniałą piętę chleba, niedużą cebulę i najcenniejszą zdobycz – kawałek suszonego węgorza, na którego wydał prawie wszystkie pieniądze. Potrawka z węgorza przyrządzana przez matkę była jednym z nielicznych szczęśliwych wspomnień z jego dzieciństwa. Anamesiya Tinwright kupowała węgorza tylko wtedy, gdy rybacy mieli nadmiar ryb i ceny spadały, dlatego taki posiłek był ważnym wydarzeniem. Matt i jego ojciec zasiadali do stołu z umyтыми rękami i twarzami i przelykali ślinkę pełni oczekiwania.

Szkoda, że nie rozejrzałem się w tym poboju za kilkoma strakami papryki z Marashu... pomyślał i w tej chwili zorientował się, że stoi twarzą w twarz z Okrosem, nadwornym medykiem, który właśnie wyszedł ze sklepu rzeźnika.

– Och! Witam, panie – pozdrowił go zaskoczony i trochę przestraszony Tinwright. Czy on wie, że ja go znam? Czy w ogóle rozmawialiśmy kiedykolwiek, czy też tylko go szpiegowałem?

Ze zdziwieniem zobaczył, że Okros wydaje się jeszcze bardziej zaskoczony niż on. Trzymał coś pod płaszczem – coś żywego, jak się szybko okazało. Gdy medyk próbował ominąć Tinwrighta, spod poły płaszcz wychylił się łepiek z przestraszonym lśniącem okiem i żółtym dziobem. To był kogut, i to całkiem dorodny, sądząc z krótkiego oglądu, z czerwonym grzebieniem i błyszczącymi czarnymi piórami.

Okros ledwo zerknął na poetę, jakby się bał, że poczuje ból, gdy spojrzy komuś prosto w oczy.

– Tak, tak, witam – mruknął i już go nie było. Odszedł szybko, kierując się w stronę zamku, jakby posiadanie koguta było przestępstwem.

Może się boi, żeby go nie obrabowano, pomyślał Tinwright. Dzisiaj niektórzy gotowi byliby zabić nawet za mniejszy kawałek mięsa. Jednak całe to spotkanie wydało mu się dziwne. Bo przecież bez wątplenia w królewskiej rezydencji mieli więcej drobiu niż tutaj, w ruinach

twierdzy zewnętrznej, i dlaczego medyk był taki skryty?

Gdy Tinwright wspinał się zboczem do twierdzy wewnętrznej, w jego pamięci błysnęło niejasne wspomnienie... fragment książki, którą kiedyś czytał, należącej do ojca...

Czasem myślał sobie, że zamiłowanie do lektury stanowi chyba jedyny prezent, jaki otrzymał od ojca, ale był to świetny podarunek: mnóstwo książek, przeważnie pożyczonych – albo ukradzionych, co Mattowi przyszło nagle do głowy – z domów, w których Kearn Tinwright zatrudniał się w charakterze nauczyciela. Clemon, Phelsas, wszyscy klasycy, a także lżejsza literatura, jak poezja Vanderina Uegeniosa czy sztuki hierosolskich i syańskich dramatopisarzy. Delektując się dziełami Vanderina, Matt roztaczał przed sobą wizję życia dworskiego, egzystencji poety podziwianego przez piękne damy i nagradzanego złotem przez wytwornych panów. I oto znalazł się na dworze, lecz wciąż wiódł podle życie...

Wreszcie uchwycił to, co nie dawało mu spokoju, fragment poematu Mena Strivolisa, syańskiego mistrza poezji sprzed dwóch wieków:

*I podniósłszy kura,
Złożyła go na kamieniu, a potem nożem ostrym
Utoczyła słonej krwi, którą Kernios pije...*

Tylko tyle, zaledwie trzy wersy autorstwa Mena, dotyczące Vais, niesławnej królowej więdmy z Kracji, w których występuje czarny kogut, taki sam, jakiego ukrywał pod płaszczem medyk. Niby nic takiego, a jednak wydawało się dziwne, że Okros wybrał się w tak daleką drogę, żeby kupić koguta. Z pewnością w królewskim kurniku mieli lepsze i tłustsze okazy...

Ale może nie z takim upierzeniem, przyszło nagle do głowy Tinwrightowi. I zaraz przypomniał sobie dalsze wersy:

*Zawsze to krew przyzywa Wysokich
Ze szczytów, gdzie mieszkają, spośród ukrytych cieni,
Z leśnych ostępów i twierdz na dnie morza.*

*I krew ich zobowiązuje, tak więc można prosić,
By proszącemu zesłali podarunek
Albo go strzegli przed złem nad nim wiszącym...*

Nagle Matt poczuł w trójnasób strach, jaki go ogarnął w chwili spotkania z Okrosem, i musiał się zatrzymać na środku wąskiej ulicy, niezdolny, by iść dalej. Ludzie omijali go, zlorzecząc mu, lecz on prawie ich nie słyszał.

*Tak więc rozlała krew kura
I modliła się, by prastary pan ziemi
Obdarzył ją zabójczą mocą, którą pokona wrogów...*

Czy taki był powód? Czy Okros opuścił bezpieczne mury królewskiej rezydencji, by zdobyć koguta o odpowiednim upierzeniu potrzebnego do odprawienia jakiegoś rytuału? Czy miało to coś wspólnego z lustrem, którym interesował się Brone?

Pełen sprzecznych myśli, przestraszony, ale i podekscytowany Matt Tinwright ruszył szybko przed siebie, przedzierając się przez huczący strumień ludzi.

Jego matka była wściekła, jak można się było domyślać.

– Jak to, znowu wychodzisz? Potrzebuję drewna na ogień! Przychodzisz sobie jak jakieś lordziątko, domagając się potrawki z węgorza i zmuszając mnie do morderczej pracy w kuchni. Cóż tam znowu za wszeteczeństwo chodzi ci po głowie?

– Dziękuję, matko, mnie też miło cię widzieć. Jeszcze nie wychodzę. – Wspinając się po wąskich schodach, pochylił głowę, by sobie jej nie rozbić o powalę.

Elan siedziała na dużym łóżku, które dzieliła z wnuczkami bratanicy Zagadki, zajęta wyszywaniem.

– Sama jesteś, pani?

Uśmiechnęła się ponuro.

– Jak widzisz. Dziewczęta poszły do sąsiadów, by wyludzić jeszcze jeden koc. Ich matka razem z twoją śpią teraz na kanapie na dole, jak zapewne pamiętasz.

Pamiętał. To właśnie gniewne szepty obu kobiet ściśniętych na wąskiej kanapie, niczym dwa choleryczne kościotrupy złożone w jednej trumnie, sprawiły, że Tinwright znowu spał u Zagadki w przepelnionej królewskiej rezydencji, co było dalekie od luksusu.

– Spotkałem na Rynku brata Okrosa. Wiesz coś na jego temat?

Elan posłała mu dziwne spojrzenie.

– Co masz na myśli? Wiem, że jest medykiem Hendona. I że ma głowę pełną dziwnych konceptów...

– Na przykład jakich?

– Dotyczą bogów, to miałam na myśli. Nigdy nie zwracałam na niego specjalnie uwagi, gdy zasiadał z nami do stołu. Rozprawiał bez końca o alchemii i świętych wyroczniach. Momentami jego słowa brzmiały dla mnie bluźnierczo... – skrzywiła się – ...ale Hendon nigdy nie przejmował się takimi rzeczami.

– Czy on... czy słyszałaś kiedykolwiek o tym, że zajmuje się czarami?

Elan pokręciła głową.

– Nie, ale jak mówiłam, prawie go nie znam. Często rozmawiali z Hendonem do późnej nocy, jakby Okros pracował dla niego nad czymś ważnym, co wymagało pośpiechu. Któregoś razu na polecenie Hendona okrutnie wychłostano pewnego mężczyznę tylko za to, że przerwał mu popołudniową drzemkę, ale w towarzystwie Okrosa zawsze panował nad sobą.

– O czym rozmawiali?

Oblicze Elan przybrało niemły wyraz, a Tinwright uzmysłowił sobie, że każe jej wracać myślami do rzeczy, których ona nie chce pamiętać.

– Ja... nie pamiętam – odpowiedziała po dłuższej chwili. – Nigdy nie rozmawiali długo w mojej obecności. Hendon zabierał go do innej części rezydencji. Ale słyszałam kiedyś, jak medyk powiedział... jak to było... tak dziwnie to zabrzmiało! Ach, powiedział do Hendona: „Poszycie zaczyna się zmieniać – teraz mówi inną prawdę”. Nic z tego nie rozumiałam.

Tinwright zastanawiał się przez chwilę.

– A może powiedział „odbicie”, a nie „poszycie”?

Elan wzruszyła ramionami. Dostrzegłszy ciemność na dnie jej oczu, pożałował, że zaczął tę rozmowę.

– Możliwe – odpowiedziała cicho. – Nie słyszałam dobrze.

Odbicie zaczyna się zmieniać, powtórzył w myślach Tinwright. Teraz mówi inną prawdę. Słowa te brzmiały niepokojąco sensownie, jeśli rozmawiali o lustrze, którym interesował się Brone. I jeszcze bogowie, o których wspomniała Elan. Poemat Mena mówił o bezdusznej

królowej, która składa w ofierze Kerniosowi czarnego kura, by mogła przekląć swoich wrogów. Czy to samo planował Okros? Lecz tu chodziło o jakieś czary, a nie o zwykłą ofiarę.

Musi poinformować o wszystkim Brone'a. A potem, gdy już wykona swoje obowiązki, będzie mógł wrócić na nieco zapchlone łono rodziny i posmakować potrawki z węgorka.

Brone skinął na przyszczatego młodzieńca, który stał oparty o mocno wytarty gobelin i obcinał nożem paznokcie; Tinwright pomyślał, że to pewnie jeden z krewnych hrabiego z Landsend.

– Przynieś mi wina, chłopcze – rzekł Brone i znowu odwrócił się do Tinwrighta. – Dobrze się spisałeś. Oto trochę miedziaków za najnowsze informacje, poeto. A teraz odszukaj ponownie Okrosa. O tej porze często przebywa w ogrodzie zielnym, szczególnie teraz, gdy potrzebuje dużo medykamentów dla rannych. Nie odstępuj go ani na krok, ale uważaj, żeby cię nie zobaczył.

Matt Tinwright rozdziawił usta i patrzył zdruzgotany.

– Co? – wydusił wreszcie. – Co?

– Nie gap się tak na mnie, ty głupku z krzywymi nogami – warknął Brone. – Słyszałeś. Masz go śledzić! Dowiedz się, co knuje! Zobaczymy, czy zaprowadzi cię do lustra!

– Oszalałeś! On jest czarownikiem! Zamierza rzucić urok na kogoś albo... albo spróbuje przywołać demony! Skoro tak bardzo chcesz go pilnować, to sam go sobie śledź albo pošlij tego przyszczatego chłopaczka!

Brone pochylił się nad deską do pisania, którą trzymał na kolanach, a jego wydatny brzuch rozlał się na niej, niemal strącając kałamarz.

– Czyżbyś zapomniał, że trzymam cię za te twoje małe klejnociki, poeto? I że w każdej chwili mogę ci je urwać?

Tinwright zebrał się w sobie, by nie okazać strachu.

– Wszystko mi jedno. A co zrobisz, naskarżysz na mnie Hendonowi Tolly'emu? Wtedy ja mu powiem, że go szpiegujesz. I twoje klejnoty wylądują na rzeźniczym pieńku obok moich, lordzie Brone. A potem Tolly obu nas zabije, ale przynajmniej zachowam duszę. Nie dam się porwać demonom!

Brone długo mierzył go zimnym spojrzeniem, a jego usta poruszały się niemo w mocno posiwiałej brodzie. I wreszcie z włochatego gąszczu wyłoniło się coś na podobieństwo uśmiechu.

– No, Tinwright, wreszcie znalazłeś w sobie odrobinę odwagi. To chyba dobrze, bo żaden mężczyzna nie powinien być skończonym tchórzem przez całe życie, nawet taki darmożjad jak ty. W taki razie co zrobimy? – Hrabia niespodziewanie wyciągnął rękę o wiele szybciej, niż Tinwright mógł się spodziewać, i chwycił poetę za kołnierz, niemal go dusząc. – Skoro nie mogę cię zadenuncjować Tolly'emu, to pozostaje mi chyba tylko cię udusić. – Uśmiech Brone'a zamienił się w nieprzyjemny grymas.

– Nhnne! – wycharczał Tinwright przez boleśnie zaciśnięte gardło.

Przyszczaty kuzyn wrócił z winem i z zainteresowaniem przyglądał im się z progu.

– Skoro już mi się na nic nie przydasz, poeto, a nawet stanowisz dla mnie zagrożenie, to chyba nie mam wyboru...

– Nhnne jehem zahrožheniem!

– Chciałbym w to wierzyć, chłopcze. Ale nawet jeśli nie jesteś dla mnie zagrożeniem, to pożytku też już z ciebie nie mam, a zważywszy na trudne czasy i bardzo niebezpieczne – nie jesteś mi potrzebny. Gdybyś jednak zechciał mi pomóc, no cóż, wtedy kraby i rozgwiadzy znowu by popłynęły do twojej kieszeni. Chyba miło jest mieć trochę pieniędzy teraz, gdy tak trudno o

jedzenie, co? A ja nie musiałbym urywać ci głowy.

– Phomoghę! Phomhoghę!

– Dobrze. – Brone puścił Tinwrighta, który poleciał do tyłu.

Pryszczaty kuzyn odsunął się uprzejmie, pozwalając mu zwalić się na podłogę, gdzie poeta leżał, dysząc ciężko.

– Ale dlaczego ja? – zapytał Tinwright, gdy wreszcie stanął na nogi, rozcierając szyję. – Jestem poetą!

– Marnym – rzucił Brone. – A jaki mam wybór? Sam mam kuśtykać po rezydencji? Albo posłać głupawego bratanka? – Pokazał na młodzieńca, który wrócił do przycinania brudnych paznokci i teraz pomachał do poety nożem. – Nie, potrzebny mi ktoś, czyja obecność w rezydencji nie wzbudza podejrzeń, ktoś zbyt głupi, by się go bać, i zbyt bezużyteczny, żeby go o coś posądzać. Jesteś idealny.

Matt Tinwright masował obolałą szyję.

– Lordzie Brone, obdarzasz mnie zbyt dużym zaszczytem.

– Dobrze gadasz, ty kropelko spermy. Bardzo dobrze. A teraz idź i dowiedz się, co się święci, a na pewno coś jeszcze ci skapnie. Może nawet dzban wina z moich zapasów. Co ty na to?

Perspektywa upijania się do błogiej nieprzytomności przez dzień lub dwa była pierwszym przekonującym argumentem, który przemawiał za tym, żeby kontynuować służbę u Brone'a, choć zachowanie życia znajdowało się zaraz na drugim miejscu. Zanim wyszedł, Tinwright skłonił ostrożnie głowę przekonany, że zaraz mu odpadnie.

– Wiesz, co myślę, matko? – odezwał się Kayyin, jakby kontynuował przerwana na krótko rozmowę, a przecież milczeli przez dobrą godzinę.

Yasammez nie odpowiedziała i nawet na niego nie spojrzała.

– Myślę, że zaczynasz coś czuć do tych mieszkańców kraju słońca.

– Dlaczego, pomijając chęć przyspieszenia własnej śmierci, wygadujesz takie niedorzeczności? – rzekła, nie podnosząc wzroku.

– Ponieważ sędzę, że tak właśnie jest.

– Czy chodzi ci o coś jeszcze poza tym, żeby mnie zirytować? Przypomnij mi, dlaczego jeszcze cię nie zabiłam?

– Może odkryłaś, że mimo wszystko kochasz swojego syna. – Uśmiechnął się, rozbawiony własną myślą. – Że posiadasz uczucia tak pospolite i sentymentalne jak sami mieszkańcy kraju słońca. Może po tylu wiekach niechęci i otwartej pogardy uznałaś, że chcesz to zmienić. Czy to możliwe, matko?

– Nie.

– Tak też myślałem. Ale zabawnie było przez chwilę to porozwagać. – Dotąd Kayyin przechadzał się po sali, lecz teraz się zatrzymał. – Wiesz, co jest naprawdę dziwne? Żyjąc tak długo w przebraniu śmiertelnika żyjąc jego życiem – muszę powiedzieć, że w pewnym sensie stałem się jednym z nich. Na przykład jestem niespokojny, jak nigdy nie był nikt z nas. Przebywając zbyt długo w jednym miejscu, czuję, jakbym umierał prawdziwą śmiercią. Stałem się niecierpliwym, niezadowolonym, jakby moje ciało rozkazywało umysłowi, a nie odwrotnie!

– Może to wyjaśnia twoje głupie koncepcje – rzekła Yasammez. – To nie ty, lecz twoja pozorna śmiertelna natura podsuwa ci te bzdury. To ciekawe, jeśli rzeczywiście tak jest, ale mimo wszystko wolę ciszę.

Kayyin spojrział na nią. Ona wciąż na niego nie patrzyła.

– Pani, dlaczego wycofałaś się z zamku mieszkańców kraju słońca? Prawie go już zdobyłaś i byłaś bliska złamania marnego oporu w pieczarach pod nim. Dlaczego wycofałaś się w takiej chwili? Jesteś pewna, że nie zaczęłaś darzyć ich współczuciem?

Po raz pierwszy głos Yasammez zdradził głębszy chłód.

– Nie gadaj głupot. Obrazą jest dla mnie to, że dziecko zrodzone z mojego łona w taki sposób marnuje powietrze.

– A zatem w ogóle nie jest ci ich żal. Znaczą dla ciebie mniej niż pył pod twoimi nogami. – Skinął głową. – Dlaczego więc chciałaś, żebym opowiedział im historię Janni i jej siostry? W jakim innym celu miałbym im o tym mówić, jeśli nie po to, żeby odczuli nasz ból... twój ból, mówiąc dokładnie?

– Wkraczasz na niebezpieczny grunt, Kayyinie.

– Gdybym był farmerem mającym wytepić szczury, które zjadły jego zbiory, to czy brałbym szczury na bok przed rozprawieniem się z nimi i wyjaśnianiem, co zrobiły?

– Szczury nie rozumieją swoich przewinień. – Yasammez wreszcie skierowała na Kayyina spojrzenie ciemnych oczu. – Jeśli powiesz jeszcze choć słowo na temat mieszkańców kraju słońca, wyrwę ci serce z piersi.

Skłonił głowę.

– Jak sobie życzysz, pani. Przejdę się po plaży i pomyślę o naszej pouczającej rozmowie. – Wstał i ruszył do drzwi. Yasammez mimowolnie zauważyła, że bez względu na to, ile w nim teraz jest śmiertelnika lub jaka jego część udaje, że nim jest, to wciąż zachował swój wdzięk. Wciąż poruszał się z tą samą nonszalancką gracją jak za dawnych lat. Znowu zamknęła oczy.

Kilka chwil po wyjściu Kayyina poczuła czyjąś obecność – Aesi'uah, jej pierwsza eremitka. Yasammez wiedziała, że eremitka potrafi trwać w milczeniu długie godziny, czekając na jej przyzwolenie, lecz teraz nie widziała takiej potrzeby, ponieważ dawno już zgubiła ten nieuchwytny punkt, za którym podążała w labiryncie swoich myśli.

– Czy nadszedł czas? – zapytała Yasammez.

Zauważyła, że twarz jej doradczyni, zwykle koloru ciepłej szarości gołębiej piersi, teraz bardzo pobladła.

– Obawiam się, że tak, pani. Wycofał się poza nasz zasięg, mimo że wszyscy nasi eremici mieszają swoje myśli i pieśni. – Zawahała się. – Myśleliśmy... Ja pomyślałam, że... może gdybyś ty...

– Oczywiście, że przyjdę. – Podniosła się, a jej myśli wydawały się cięższe niż czarna zbroja. Po raz pierwszy, jak daleko sięgała pamięcią, poczuła ciężar swojego wieku, brzemień długiego życia. – Muszę się pożegnać.

W przeszłości eremici wybrali dla siebie pieczarę położoną wysoko pośród wzgórz, nad pustą smaganą wiatrami plażą na wschód od miasta. Cisza i samotność były ścianami ich świątyni. Idealne miejsce: idąc skalistą ścieżką za Aesi'uah, Yasammez słyszała tylko wiatr i dobiegające z oddali wołanie ptaków morskich. Przez chwilę poczuła niemal spokój.

Bracia i siostry Aesi'uah – nie zawsze dało się łatwo stwierdzić, kto jest kim – zebrali się w ciemnej pieczarze. Nawet Yasammez, która w bezgwiazdnej i bezksiężycowej noc widziała ze szczytu wzgórz równie dobrze jak polująca sowa, tutaj dostrzegła jedynie matowe błyski oczu patrzących z głębi ciemnych kapturów. Niektórzy z najmłodszych towarzyszy Aesi'uah, urodzeni już w czasach zmierzchu, nigdy nie oglądali światła słońca i z pewnością nie przeżyliby jego

jasnego gorącego blasku.

Yasammez włączyła się w krąg, a Aesi'uah usiadła obok niej. Nikt się nie odezwał. Nie było takiej potrzeby.

Gdy już się znalazła w krainie snu, w odległych miejscach, do których potrafili dotrzeć tylko bogowie i adeptci, Yasammez poczuła, że przybiera dobrze sobie znaną postać. Nosila ją zawsze, gdy wychodziła poza siebie, zarówno na jawie, jak i tutaj. Na jawie była to postać równie ulotna jak powietrze, lecz tutaj stawała się bardziej konkretna – groźna istota z pazurami, kłami i jasnymi oczami, pokryta jedwabistym futrem. Eremici, wzmocnieni jej obecnością, podążyli za nią w niematerialnym zastępie niczym rój świetlików.

Aesi'uah powiedziała prawdę – obecność boga była odczuwalna słabiej niż kiedykolwiek wcześniej, słaba niczym odgłos pazurków myszy idącej przez świeżą trawę. Co gorsza, Yasammez odczuwała też obecność innych, nie kolejnych utraconych bogów, lecz mniejszych istot, które wypędzono razem z ich panami, gdy jej ojciec wygnał ich wszystkich. Wygłodniałe istoty zwietrzyły zapach zmiany niesiony przez wiatr w krainie snu i wyczuły, że być może nadszedł czas, kiedy będą mogły wrócić do świata, który zapomniał, jak się im oprzeć.

I oto teraz jedna z nich siedziała na środku ścieżki, czekając na nich. Eremici wznieśli się w górę zaniepokojeni i krążyli wysoko, lecz Yasammez podeszła do niej. Istota była stara, co Yasammez poznała po tym, jak się przemieszczała i zmieniała, lecz jej postać była zbyt obca, by Yasammez mogła objąć ją oczyma i myślami.

– *Daleko odeszłaś od domu, dziecko* – przemówił stwór do jednej z najstarszych istot, jakie chodziły po ziemi. – *Czego szukasz?*

– *Wiesz, czego szukam, stary pająku* – odpowiedziała Yasammez. – *I wiesz, że mam mało czasu. Przepuść mnie.*

– *Jesteś nieuprzejma dla sąsiada!* – Istota zachichotała.

– *Nie jesteś moim sąsiadem.*

– *Ale wkrótce mogę być. On umiera, wiesz o tym. Gdy odejdzie, kto powstrzyma mnie i mój rodzaj?*

– *Milcz. Nie chcę więcej słuchać twoich trujących słów. Przepuść mnie albo cię zniszczę.*

Istota poruszyła się, zabalgotała i znowu znieruchomiała.

– *Nie masz takiej siły. Tylko któraś z dawnych mocy potrafi to zrobić.*

– *Być może. Ale nawet jeśli nie potrafię zakończyć twojego żywota, może zranię cię na tyle poważnie, że nie będziesz mógł przejść na drugą stronę, gdy nadejdzie odpowiednia chwila.*

Istota wpatrywała się w nią, a przynajmniej tak się wydawało, ponieważ w rzeczywistości nie miała oczu, które by widziała Yasammez. Wreszcie usunęła się na bok.

– *Nie mam ochoty rywalizować z tobą dzisiaj, dziecko. Ale zbliża się ten dzień. Wynalazca odejdzie. I kto cię wtedy ochroni?*

– *Mogłabym cię zapytać o to samo* – odpowiedziała Yasammez, lecz uznała, że już dość zmarnowała czasu.

Ruszyła dalej, a za nią eremici podobni do obłoku małych płomieni. Wędrowała najszybciej, jak potrafiła, przez miejsca, gdzie wiatr wył głosami utraconych dzieci, i przez inne, do których niebo nie do końca zdawało się pasować, aż stanęła u stóp wzgórza. W zбочu widniały drzwi, samotny prostokąt zwieńczający trawiasty wierzchołek podobny do postawionej książki. Wspięła się na zбочe i przycupnęła przed drzwiami; przycisnęła do boku ogon swojej postaci ze świata snu i położyła płasko uszy. Eremici unosili się nad nią niepewnie.

– *Nie słyhać go już po tej stronie drzwi, pani* – zwrócili się do niej.

– *Wiem. Ale on jeszcze nie odszedł. Wiedziałabym, gdyby tak się stało.* – Zawołała, lecz nie odpowiedział. W ciszy, która nastąpiła, Yasammez czuła wiatry wiejące w mroźnych

pozbawionych powietrza przestrzeniach za drzwiami. – Pomóżcie mi – poprosiła tych, którzy tam z nią przybyli. – Użycie mi swoich głosów.

Potem długo śpiewali w bezkres. Wreszcie, gdy wyczerpała się nawet nadludzka cierpliwość Yasammez, poczuła ona jakiś ruch na skraju swojej percepcji, słaby szept podobny do ustającego oddechu Kwietnej Panny w strumieniu.

– ...*Taak...*

– Czy to ty, Wynałazco? Czy to wciąż... ty?

– *Ja jestem... ale... staję się nicością...*

Chciała powiedzieć coś pocieszającego albo nawet zaprzeczyć jego słowom, lecz ona i jej podobni nie mieli w zwyczaju kłamać.

– Tak. Umierasz.

– *Długo... na to czekano. Lecz ci, którzy czekali niemal... tak samo długo jak ja... przygotowują się. Oni... przejdą...*

– My, twoje dzieci, nie pozwolimy im na to.

– *Wy... nie macie dość mocy.* – Głos znowu osłabł i przypominał odgłos kropli deszczu spadającej na szczyt odległego wzgórza. – *Czekali zbyt długo, Śpiący i... Ci, Którzy Nie Śpią...*

– Powiedz mi, kogo mamy się obawiać. Powiedz, a stawię im czoło!

– *Tak się nie da, córko... nie możesz pokonać siły... w ten sposób...*

– Kto to jest? Powiedz mi!

– *Nie mogę. Jestem... zobowiązany do milczenia. Wszystko, czym jestem... jeszcze tylko dzięki temu drzwi są zamknięte...* – Teraz Yasammez usłyszała w głowie potworne znużenie, tęsknotę za końcem zmagania, który wreszcie przyniesie śmierć. – *Jestem zobowiązany... dochować tajemnicy...*

Głos zamilkł na tak długo, że Yasammez sądziła, iż już na zawsze. I wtedy coś do niej dotarło, płynąc jak piórko niesione nocnym wiatrem.

– *Wyrocznia mówi o jagodach... białych i czerwonych. A zatem tak będzie. Tak musi być.*

Przekonana, że teraz już nic z niego nie zostało, Yasammez powiedziała:

– Ojczy? – Starła się, by jej głos zabrzmiał mocno. – Ojczy?

– *Pamiętaj o wyroczni i jej słowach* – rzekł, a jego cichy głos popłynął w nicość. – *Pamiętaj, że każde światło... między wschodem słońca... i jego zachodem...*

– Jest warte, by za nie umrzeć przynajmniej raz – dokończyła, lecz on już odszedł.

Gdy znowu była sobą, tą Yasammez, która oddychała i odczuwała, tą Yasammez, która przeżyła każdą bolesną chwilę milenijnej porażki swojego ludu, wstała i wyszła z pieczary. Żaden z eremitów nie podążył za nią, nawet Aesi'uah, jej zaufana doradczyni. Z jej oczu i serca wzywała śmierć. W tamtej chwili nie mogła jej towarzyszyć żadna żyjąca istota, o czym wszyscy wiedzieli.

Nie tak Matt Tinwright chciałby spędzić ten wieczór.

Przełamał ostatni kawałek chleba, który zabrał ze sobą, i umoczył w winie. Przyszło mu się posilić maczanką zamiast potrawy z węgorka! Mimo wszystko ucieszył się, że znalazł to wino, i wcale mu nie było żal tego, kto je tam zostawił. Siedział ukryty na balkonie kaplicy od wieczornego dzwonu aż do teraz, a pewnie zbliżała się już północ, jak się domyślał, i

obserwował drzwi prowadzące do komnat Hendona Tolly'ego, gdzie przebywał Okros Dioketian, jak się dowiedział od ucznia medyka. Co on mógł robić tak długo u Tolly'ego? A co ważniejsze, czy gdy już stamtąd wyjdzie, to wróci do siebie, żeby Tinwright wreszcie mógł się położyć? Bo chyba Avin Brone nie spodziewał się, że będzie śledził medyka w jego sypialni!

Usłyszał skrzypnięcie otwieranych drzwi, zanim dostrzegł ruch. Przykucnął, spoglądając znad poręczy balkonu, mimo że był oddalony o rzut kamieniem i zasłonięty przez pogrążony w cieniu występ muru małej kaplicy.

W drzwiach ukazał się brat Okros, o co modlił się Tinwright. Poeta od razu rozpoznał jego szczupłą sylwetkę i łysą głowę, pomimo obszernej szaty, lecz zdumiony zobaczył, że medyk nie jest sam: za Okrosem szło trzech krzepkich żołnierzy w pikowanych opończach z dzikiem i włóczniami, herbem Tollych, a ponadto medykowi towarzyszył jeszcze jeden mężczyzna ubrany w ciemny płaszcz z kapturem. Patrząc, jak zgrabnie idzie, Tinwright w jednej chwili zorientował się, kim jest towarzysz Okrosa. Serce poety zabiło mocniej. Okros i Hendon Tolly udają się gdzieś razem, a zatem będzie musiał iść za nimi.

Już na samą myśl o tym, poczuł, że robi mu się niedobrze.

Tinwright spodziewał się, że medyk i towarzyszący mu mężczyźni udadzą się do komnat Okrosa, lecz szybko porzucił nadzieję pozostania pod dachem, gdyż zobaczył, że Okros prowadzi swój mały pochód do jednych z bocznych drzwi rezydencji. Tinwright trzymał się w bezpiecznej odległości, a przy straży zatrzymał się i opowiadał przez chwilę, jak to nie może spać i potrzebuje świeżego nocnego powietrza, które go odurzy.

Świeżego nocnego powietrza, akurat, pomyślał, przemykając się przez boczny ogród i wypatrując światła pochodni, którą śledzeni przez niego ludzie oświetlali sobie drogę. Miał na sobie tylko wełniany płaszcz, a pod nim cienką koszulę – bez kapelusza, bez rękawiczek, do tego wciąż się potykał w ciemności. Niech będzie przeklęty Brone i jego grubiańskie metody obchodzenia się z ludźmi!

Wreszcie zobaczył tamtych, jak przechodzą na drugą stronę błotnistej głównej drogi, która prowadziła do zbrojowni i kwater straży, i ruszył za nimi w bezpiecznej odległości. Jeden ze strażników niósł duże zawiniątko, drugi zaś trzymał coś mniejszego, może koguta? Tylko po co chodziliby z kogutem w środku nocy, chyba że planowali jakiś czarodziejski rytuał. Tinwright poczuł, że robi mu się jeszcze zimniej, i to wcale nie z powodu chłodu nocy.

Chwilę później, gdy cała grupa skręciła z głównej drogi i poszła dalej krętą ścieżką obok kaplicy królewskiej, poeta przeraził się jeszcze bardziej, widząc, że Tolly i Okros zmierzają na cmentarz.

Musiał zebrać w sobie całą odwagę, by pójść dalej. Tinwright bardzo bał się cmentarzy, a ten, mocno zarośnięty, wydawał się szczególnie straszny, pełen dziwnych starych pomników i mauzoleów podobnych do więzień przeznaczonych dla niespokojnych zmarłych. Poeta szedł dalej, napędzany strachem przed Avinem Brone'em, lecz także ciekawością. Co takiego planował Okros? Czy zamierzał przywołać bogów tutaj, w tym odludnym miejscu o tak upiornej porze? I dlaczego?

Mężczyźni zatrzymali się przy wejściu do rodzinnego grobowca Eddonów, co Tinwright skomentował cichym jękiem przerażenia. Dostrzegł klucz zawieszony na szyi Hendona Tolly'ego. Gdy otworzono drzwi krypty, czterech mężczyzn zeszło na dół, a przy wejściu pozostał jeden strażnik. Światło pochodni wyraźnie pociemniało, zaniesione dalej w głąb krypty, lecz blask wciąż migotał słabo w wejściu. Obserwując podskakujące i pełgające po ścianie cienie,

Tinwright bardzo się ucieszył, że nie ma go w tej chwili w tym domu śmierci.

Strażnik, który przez chwilę stał wyprostowany na baczność, szybko się przygarbił i postawił włócznię pod ścianą, a po chwili oparł się na niej. Tinwright – który nigdy nie podejrzewał siebie o odwagę – uznał, że to dobry moment, żeby podkraść się bliżej i spróbować podsłuchać, co się dzieje w grobowcu. Z pewnością będzie to warte kilku dodatkowych rozgwiadz Brone'a, a może nawet dostanie srebrną królową albo dwie!

Poruszał się szerokim łukiem, trzymając poza kręgiem światła wylewającego się z grobowca, i dotarł blisko ściany krypty. Przygarbiona postać strażnika zachęciła go, by podpełznął jeszcze bliżej, zaledwie kilka kroków od wejścia. Przycupnął za posągami spowitym pnączami schodzącymi ze ściany świątyni.

– ...Ale nie w ten sposób – powiedział ktoś w krypcie. Głos brzmiał słabo, ale wyraźnie, Tinwrightowi wydało się, że rozpoznaje Okrosa. – Nie chodzi o ofiarę złożoną tutaj, lecz tam.

– Zaczynasz mnie męczyć – odezwał się inny głos, jakże dobrze znany Tinwrightowi. W jednej chwili cały jego optymizm wyparował. No bo co robi poeta w środku nocy na cmentarzu? Bawi się w szpiega? Gdyby Hendon Tolly go nakrył, obdarłby go żywcem ze skóry. Matt Tinwright nie pobiegł z powrotem do rezydencji tylko dlatego, że bał się, iż może zaalarmować strażnika. Trząsł się tak bardzo z przerażenia, że ledwo potrafił utrzymać równowagę. – I nudzisz mnie – mówił dalej Tolly. – Słuchaj, medyku, nie jestem w najlepszym nastroju. Lepiej pokaż coś, czym mógłbyś mnie zainteresować.

– Ja... staram się, panie – odpowiedział Okros przestraszonym głosem. – Tylko... my musimy... to znaczy ja muszę zachować ostrożność. Mamy do czynienia z wielkimi mocami!

– Tak, lecz teraz ja jestem dla ciebie największą mocą. No już, dokończ rytuał, jak tam sobie chcesz, ale go dokończ. Musimy się dowiedzieć, gdzie jest Boży Kamień albo porzucić nadzieję, że moc będzie nam służyć. Jeśli nam się nie powiedzie, nie tylko ja będę cierpieć, Okrasie, to ci mogę obiecać...

– Proszę, mój panie, proszę! Widzisz, robię tak, jak mówisz...

– Ty zaledwie dotykasz, głupcze. Czy obiecałem ci górę złota za to, że będziesz zaledwie dotykał odbicia? Sięgnij tam! Niech to się stanie!

– Oczywiście, panie. Tylko że to nie jest... takie łatwe...

Gdy głos medyka przycichł tak, że Tinwright musiał się nachylić, by go usłyszeć, ciemność rozdarł przeraźliwy krzyk, który wzniósł się tak szybko i zabrzmiał tak straszliwie, że wydawało się, że nie mógł się dobrać z gardła człowieka, a potem równie szybko opadł i przeszedł w zduszone charczenie, które po kilku uderzeniach serca zagłuszył tupot mężczyzn biegnących niezgrabnie po kamiennych schodach i opuszczających w popłochu grobowiec.

Pierwszy pojawił się strażnik: mężczyzna opadł na kolana u szczytu schodów i zaczął wymiotować. Drugi ze strażników minął go z ręką przyciśniętą do ust, wymachując pochodnią. Pierwszy dźwignął się na nogi i ruszył przez cmentarz za swoim towarzyszem, a obaj biegli zygżakiem między pomnikami.

W drzwiach krypty pojawiła się wysoka postać Hendona Tolly'ego, który z kapturem na głowie wciąż trzymał duże zawiniątko.

– Wróć do rezydencji – zwrócił się do strażnika, który patrzył na niego oniemiały.

– Ale... panie...

– Zamknij się, głupcze, i ruszaj. Idź za tym idiotą z pochodnią. Nikt nas tu nie może zobaczyć. Za dużo trzeba by wyjaśniać.

– A... medyk...?

– Zaraz poderżnę ci gardło, żebyś wreszcie przestał gadać. Ruszaj!

Po kilku chwilach obaj znikli w ciemności i Tinwright, cały roztrzęsiony, został sam na

ciemnym cmentarzu. Drzwi grobowca pozostały otwarte, a we wnętrzu wciąż drżało światło zapalonej pochodni.

Matt Tinwright nie chciał zejść po schodach – nikt przy zdrowych zmysłach by tego nie zrobił. Ale był też ciekaw, co się stało. Dlaczego wciąż paliła się pochodnia. Zejdzie i zabierze ją, żeby nie musiał wracać po ciemku.

Nigdy potem Tinwright nie był w stanie wyjaśnić, dlaczego zrobił to, co zrobił. Na pewno nie kierował się odwagą: sam mógł przyznać, że nie należy do odważnych. Nie chodziło też o zwykłą ciekawość, bo ona nie mogłaby przemóc jego przerażenia, choć wydawało mu się, że było to coś bliskiego właśnie ciekawości. Potrafił jedynie powiedzieć, że chciał się dowiedzieć. Ponadto w tamtej chwili na cmentarzu nie miał wątpliwości, że nie może być nic gorszego niż zastanawianie się później nad tym, co się wydarzyło w grobowcu.

Zszedł na pierwszy stopień i zatrzymał się, nasłuchując. Wejście wypełniała plama żółtawego światła. Matt Tinwright zszedł ostrożnie i cichutko na sam dół schodów. Zobaczył nische po obu stronach, podobne do plastrów miodu, i pochodnię na kamiennej podłodze. Zaledwie kilka kroków od niego. Pomyślał, że mógłby podejść do niej, pochylając się nisko, tak by nie musieć patrzeć na martwe kamienne twarze postaci z sarkofagów...

Zacisnął dłoń na pochodni i w tym momencie zobaczył Okrosa. Medyk leżał na plecach z rozrzuconymi szeroko nogami i wyciągniętą lewą ręką, w której ścisnął kawałek pergaminu. Oczy miał nienaturalnie szeroko otwarte, podobnie jak usta w niemym krzyku – oblicze człowieka tak przerażonego, że pękło mu serce w piersi. Lecz straszniejsze było jego prawe ramię, po którym pozostał krótki lśniący kikut kości wystającej z barku, podobnej do zniszczonego fletu, skóra odwinęła się aż do szyi, odsłaniając mięsień. Z barku zostały tylko pasma ciała podobne do pozrywanych konopi, jak po zerwanej linie.

Najgorsze było to, że nigdzie nie było widać krwi, ani kropli, jakby to, co oderwało medykowi ramię, wessało jego ciało i krew.

Tinwright wciąż stał na czworakach, pozbywając się zawartości żołądka, gdy niespodziewanie poczuł na karku coś zimnego i ostrego.

– No, no – przemówił głos, odbijając się echem od ścian krypty. – Wracam po skrawek pergaminu i oto zastaję tu szpiega. Wstań i pokaż mi się. Ale najpierw zetrzyj rzygowiny z twarzy, no, tak lepiej.

Tinwright dzwignął się na nogi i obrócił tak wolno, jak to było możliwe. Zimne ostrze przesunęło się po jego szyi pod ucho, przecinając mu skórę, lekko, tak że poeta zdołał powstrzymać okrzyk bólu, a potem powędrowało niezbyt łagodnie po policzku aż pod oko.

Światło sprawiało, że Tinwright nie widział ostrza miecza i wydawało się, że Hendon Tolly uwięził go za pomocą cienia. Spojrzenie lorda protektora było jasne i roziskrzone, a skóra lśniła od potu.

– Ach, mój mały poeta! – Tolly wyszczerzył zęby w uśmiechu, który wcale nie wyrażał radości. – I kto jest teraz twoim prawdziwym panem? Księżniczka Briony pociągająca za sznurki aż z Tesis? A może ktoś, kto mieszka bliżej... Avin Brone albo ten stary suchotnik Nynor? – Przez chwilę wydawało się, że ostrze powędruje wyżej. – Nieważne. Teraz należysz do mnie, młody Matcie Tinwright, bo, jak widzisz, straciłem jednego z ważniejszych poddanych, a wciąż jest dużo do zrobienia, och, bardzo dużo. Potrzebny mi ktoś, kto potrafi czytać. – Tolly pokazał na jednorękie ciało Okrosa Dioketiana. – No cóż, nie mogę obiecać, że praca będzie całkiem bezpieczna, ale nawet nie w połowie tak niebezpieczna jak twoja odmowa. Zgoda, poeto?

Tinwright skinął głową, a musiał to zrobić bardzo ostrożnie, gdyż czubek ostrza wciąż tkwił tuż pod jego okiem. Bezradny, odrętwiały, czuł się jak mucha pochwycona w pajęczą sieć, obserwująca, jak pajak przysuwa się powoli.

– W takim razie weź pergamin od Okrosa – rzekł Tolly. – Tak, wyjmij mu go z ręki. A teraz idź przede mną, szczęściarzu! Dzisiejszą noc spędzisz przy moim łóżku i tak już będzie od tej pory. Och, tyle się nauczysz i zobaczysz! – Tolly się roześmiał, a był to dźwięk równie nieprzyjemny jak uśmiech na jego twarzy. – Pobędziesz trochę ze mną i już nigdy więcej nie uznasz swoich pustych mdłych idei za prawdę.

Kawalek sznurka

Kupilas Wynalazca, który pojawia się na krótko w wielu opowieściach o Trygonie i teomachii, dużo częściej jest bohaterem licznych opowieści Qarów. W niektórych z nich mówi się nawet o tym, że pokonał Braci Trygonatu – to część tego, co Kyros nazywa „xiską herezją”. W legendach Qarów Kupilas, nazywany przez nich Szachrajem, występuje najczęściej jako postać tragiczna.

– z Traktatu o czarodziejskich narodach obojga kontynentów Eionu i Xandu

Barrick miał tylko chwilę, by wyjąć miecz, zanim zaatakował go pierwszy skrik. Wynurzył się z ciemnego światła, jakby niesiony wiatrem, powiewając bladą szatą, z rozłożonymi i postrzępionymi ramionami. Gdy książę się zamachnął, ostrze przecięło materiał, który nie stawiał większego oporu niż zbutwiały całun. Tonacja pieśni istoty się zmieniła, lecz dziwne zawrodoenie nie ustało, gdy Barrick zadał kolejne ciosy. Nie był w stanie pokonać skrika – jego miecz nie dotykał niczego, co by przypominało prawdziwe ciało. Czy Samotni byli tylko powiewającymi szatami? Duchami?

Książę był zbyt przestraszony, żeby myśleć. Istota raz po raz zamierzała się na niego i odskakiwała, a jej rytmiczna pieśń splatała się kontrapunktem z mniej wyraźną melodią, co mu odpowiedziało, że być może w pobliżu jest drugi skrik. Barrick obrócił się na pięcie i ujrzał za sobą kolejną falującą postać. Przypominał sobie słowa Shasa, jakby starzec stał tuż za nim: „Nie pozwól, żeby cię przygwoździli w jednym miejscu! Zmieniaj pozycję!”

Książę starał się uniknąć ataku dwóch przeciwników, pierwszy zaatakował czymś, co przypominało pejcz, choć zrobiony z mgły i pajęczyny. Gdy napastnik zamierzył się na niego, Barrick odskoczył, lecz bat wgryzł się boleśnie w jego kostkę u nogi.

Teraz obaj napastnicy zaczęli go okrażać, próbując zamknąć między sobą. Przerazenie dodawało księciu sił z każdą chwilą: drugi napastnik także zamachnął się dziwnym pejczem, a ich pieśń znowu zabrzmiała głośniejsz, tym razem nieokraszona triumfalną nutą. Kim byli jego przeciwnicy? Dlaczego widział tylko ich oczy, krwiste punkty w nierównych plamach bladych twarzy? Przecież nie mogli się składać tylko z powietrza?

Jakby w odpowiedzi na jego pytanie, jeden ze skrików zaatakował Barricka i przez chwilę jego kaptur się odchylił, ukazując twarz, upiornie bladą, z podkrążonymi czerwonymi oczami i ustami przypominającymi dziurę – twarz kobiety pozbawioną ludzkich cech, podobną do rozciągniętej krzykiem maski.

Ten moment grozy książę niemal przypłacił życiem: gdy stał zmrożony widokiem napastnika, drugi z wrogów smagnął go końcem bata po plecach. Barricka przeszył bolesny prąd, jakby raził go piorun, i opadł na kolana. Upuścił miecz, lecz oślepiiony bólem nie widział, gdzie upadł. Gdy dźwigał się na nogi, pierwszy napastnik go zaatakował. Zamiast się wycofać, Barrick rzucił się do przodu i chwycił wroga tam, gdzie powinny być jego nogi. Lecz dłonie nic nie wyczuły, czy też prawic nic – jedynie skrawki materiału i wilgoć, kruchy opór podobny do łamiących się zmrożonych gałęzi. Przez jego ramiona przepłynął strumień zimna, a chwilę później Barrick poczuł, że chłód wpełza do jego piersi, zmrażając mu serce; resztką sił cofnął

ręce i przetoczył się na bok. Gdy jego dłoń zacisnęła się na rękojeści miecza, napastnicy ponownie zaatakowali, skrzecząc jak podekscytowane sójki, a ich pieśń przerywały krótkie syki i pomruki, które mogły być słowami.

Wydając okrzyki obrzydzenia i strachu, Barrick zadawał kolejne cięcia mieczem, czym zmusił skriki do wycofania się na tyle, że mógł stanąć na nogi, choć stał niepewnie. Chwiejąc się, oddychał z trudem i próbował trzymać przed sobą miecz. Sytuacja wydawała się beznadziejna, lecz on uznał, że nie sprzeda życia tanio.

Gdy skriki podeszły bliżej, mierząc Barricka spojrzeniem zmrużonych oczu przypominających czerwone punkciki i wydając wysokie piski zimnej radości, coś czarnego zawirowało w powietrzu i zaatakowało z tyłu jednego z nich. W pierwszej chwili Barrick pomyślał, że to Skurn przyszedł mu z pomocą, lecz chwilę później zaatakowane skrik wyprostował się i wydał okrzyk bólu i zdziwienia, a Barrick zobaczył nieduże czarne fale pełzające po jego szacie – czarne płomienie.

Drugi napastnik znieruchomiał zaskoczony, jakby zdumiony oporem. Wtedy Barrick skoczył do przodu i chwycił go obiema rękami. Pomimo pozornej kruchości, skrik opierał się ze zdumiewającą siłą, lecz zanim zdołał się wyswobodzić z uścisku księcia, zdażył się oprzeć o swojego objętego płomieniami towarzysza. Chwilę później cienisty płomień popłynął wzdłuż jego rękawa i wpełził na kaptur.

Teraz pierwszy stał już cały w czarnych płomieniach, a z jego ust dobywał się dysharmonijny, niemal niesłyszalny krzyk. Fale zimna, jakimi emanował ciemny ogień, były zbyt bolesne, by Barrick mógł się zbliżyć, dlatego księżę zwrócił się ku drugiemu napastnikowi i wszedł w krąg chłodu jego ognia, pracując mieczem, aż poczuł, że ostrze rozrywa materiał i grzęźnie w jego strzępach. Teraz również ten przeciwnik stał cały w płomieniach, a jego pozbawiony słów okrzyk bólu wznosił się coraz wyżej, aż wreszcie w jednej chwili załamał się i umilkł. Przez chwilę Barrick trzymał kilka ciemnych strzępów czegoś lejącego się jak stopiony lód, a potem ciemność spłynęła w ziemię i znikła, on zaś zobaczył, że trzyma puste zbutwiałe szaty, które rozpadły się i przeleciały mu przez palce niczym pył.

Odwrócił się szybko i zobaczył drugiego skrika, który jeszcze przez chwilę miotał się objęty ciemnymi płomieniami, a potem osunął na ziemię i zaraz nastąpił głośny trzask i syk zimnych jak lód iskiei; istota znikła, pozostawiając po sobie tłącą się szatę. Także pochodnia się wypaliła, poza zwęglonym kikutek drewnianego uchwytu.

Barrick wpatrywał się w to miejsce długą chwilę, oszołomiony i obolały, niepewny, co się stało. A potem z cienia drzew wynurzył się Raemon Beck, którego oblicze wyrażało niemal zawstydzenie.

– Ja... poszedłem i przyniosłem jedną z tych ciemnych pochodni. I rzuciłem nią w nich.

Barrick wypuścił powoli powietrze i usiadł ciężko.

– Oj, rzuciłeś.

W tym momencie miał ochotę zwinąć się w kłębek i zasnąć, ale wydawało się mało prawdopodobne, że udało im się spalić dwóch strażników miejskich, nie zwracając niczyjej uwagi. W rzeczywistości spodziewał się, że lada chwila zaatakują ich kolejne ohydne istoty. Barrick wstał, postępując z wysiłku, i poprowadził opierającego się Becka ku murowi i temu, co się za nim znajdowało.

Szli ostrożnie przez gąszcz roślinności wzdłuż muru, aż dotarli do sklepionego łukowato przejścia, które wspierało się na zmurszałych belkach i kawałkach zardzewiałego metalu, tak więc wydawało się, że już nic ich nie powstrzyma.

Barrick zobaczył ze zdziwieniem, że dziedziniec za bramą to skrawek murawy podobny do trawnika wokół dworu, chociaż tutaj trawa najwyraźniej nie zaznała zębów pasących się

zwierząt, gdyż sięgała księciu do kolan, upstrzona kępami krzewów i poprzecinana podobnymi do żył czarnymi pnączami. W drugim końcu dziedzińca widniała ściana z kolejnym sklepionym łukiem nad rozpadającą się bramą.

– Pójdę pierwszy i zobaczę, co tam jest – powiedział Barrick.

Zrobił zaledwie kilka kroków po murawie, gdy poczuł, że coś chwyta go za kostki u nóg. Zakławszy pod nosem, szarpnął nogą, lecz stwierdził, że znowu coś się jej uczepliło. Zobaczył, że to trawa owija się wokół jego buta, a źdźbła macają w powietrzu niczym języki żmij, owijając się wokół jego nóg.

– Wycofaj się! – zawołał Beck. – Ta trawa żyje!

Barrick zaczął ciąć mieczem źdźbła, lecz wydawało się, że broń Qu'arusa została wykonana z pergaminu. Teraz niektóre źdźbła sięgały już tak wysoko, że zdawały się chwytać go za rękę, jakby chciały wyrwać mu broń. Słyszał za sobą krzyki Becka, lecz nie rozumiał, co tamten mówi.

Źdźbła trawy, które owinęły się wokół nóg księcia, zaczęły ściągać go w dół, niczym krępujące paski wysychającej zwierzęcej skóry. Barrick wiedział, że jeśli da się powalić, to już nigdy nie wstanie. Ciął nieustannie mieczem, lecz niewiele zyskał, bo udało mu się przeciąć kilka źdźbeł, a na każde jedno zniszczone dwa inne owijały się wokół jego kostek.

I wtedy, mimo że Barrick był pogrążony w rozpacz, przyszedł mu do głowy pomysł.

Zrzucił z siebie szary płaszcz i rozłożył na trawie przed sobą, po czym opadł na niego, odwracając się na plecy. Czuł pod materiałem wijące się niczym palce źdźbła, lecz nie mogły go dotknąć przez grubą wełnę, którą przyciskał własnym ciałem. Tak osłonięty, zaczął odcinać trawę, która uwięziła mu stopy. Po żmudnej pracy wreszcie udało mu się je wyswobodzić. Przez kilka chwil leżał, dysząc ciężko, niczym marynarz z rozbitego statku dryfujący na tratwie na wzburzonym zielonym morzu, a potem, gdy już odzyskał trochę sił, zaczął pełznąć po trawniku jak gąsienica. Przez cały czas przesuwiał płaszcz pod sobą, co go chroniło przed drapiezną trawą. Gdy wreszcie wyszedł pod sklepienie przejście, spojrzał szybko przed siebie, by się upewnić, że nie czeka tam na niego kolejne niebezpieczeństwo. Nad następnym dziedzińcem kłębiła się nisko mgła, a gdy Barrick spojrzał uważniej, zobaczył, że unosi się ona nad stawem, który całkowicie wypełniał ten dziedziniec, tak jak poprzedni porastała trawa.

Beck, zaznajomiony ze sztuczką z płaszczem, potrzebował mniej czasu na pokonanie trawnika niż Barrick. Niebawem obaj siedzieli skuleni pod łukowatym przejściem, wpatrzeni w cichy staw.

– Chyba nie będziesz próbował iść dalej, panie?

Barrick pokręcił głową.

– Nie wiem, co innego moglibyśmy zrobić. Ale ty nie musisz iść ze mną, już ci to mówiłem.

Kupiec odpowiedział nabrzmiałym od gniewu śmiechem.

– A co mam zrobić, może zawrócić? Po tym, jak pomogłem zamordować dwóch Samotnych?

– To było mądre posunięcie – rzekł Barrick i zarzucił sobie płaszcz na plecy. – Spaliłeś ich ciemnym ogniem.

– Nie było w tym żadnej mądrości, panie. Pobiegłem po coś, czym mógłbym walczyć. A to była pierwsza rzecz, jaka rzuciła mi się w oczy.

Przez chwilę Barrick niemal poczuł sympatię do tego mężczyzny, coś bliskiego poczuciu więzi, lecz wiedział, że nie może sobie pozwolić na podobne słabości. Znowu skierował spojrzenie na milczący staw.

Mgła wiła się leniwie nad taflą wody, z której, jak dopiero teraz Barrick zauważył,

wystawały popękane stare kamienie. Ułożone w rzędzie prowadziły do kolejnego sklepionego przejścia na końcu dziedzińca. Było jasne, że trzeba po nich przejść, lecz Barrick wiedział też, że nie będzie to tak łatwe, jak się wydaje. Wszedł na pierwszy kamień i czekał chwilę w napięciu, czy coś się wydarzy. Gdy nic się nie stało, przeszedł na następny, ściskając mocno miecz w rękę i przeczesując spojrzeniem powierzchnię wody, gotów odeprzeć atak jakiejś strasznej istoty, która mogłaby wychynąć z tej złudnie spokojnej płycizny. Ponieważ nic się nie działo, przechodził na kolejne kamienie, a Raemon Beck podążał powoli za nim.

Gdy Barrick znalazł się w połowie ścieżki, przepełniony nadzieją, że cokolwiek kiedyś zamieszkiwało staw, odeszło, poczuł słabość rozlewającą się po dolnej części ciała, jakby jego nogi były workami ze zbożem, z których przez wygryzioną dziurę wysypuje się ziarno. Spojrzawszy w dół, zobaczył, że niemal przezroczysta mgielka zgęstniała wokół jego kostek i łydek, a jej macki poruszają się zupełnie inaczej, niż mógłby na to wskazywać wyczuwany prąd powietrza. Poddając się uczuciu słabości, książę zobaczył we mgle – a przynajmniej tak mu się zdawało – jakieś postacie, groteskowo zniekształcone twarze i zaciskające się palce. Wszędzie tam, gdzie dotykała go mgła, odczuwał coraz bardziej przenikliwy chłód. Zrobił kolejny krok, lecz nogi miał już tak słabe, że zachwiał się i niemal przewrócił. Obejrzał się bezradnie na Becka, który także się chwia.

– Boli... – jęknął Beck. – Zimno...

– Nie przewróć się! – Barrick starał się utrzymać równowagę. Wiedział, że jeśli wpadnie do wody, już z niej nie wyjdzie, bo mgliste twarze wysączają z niego całą siłę.

O to chodzi – wysysają z nas siłę, jak pijawki...

Zimne plamy na jego ciele rozszerzały się. Wydawało się, że ubranie nie chroni go przed tymi pożeraczami ciepła, i wciąż czuł fale dreszczy podobnych do gorączki, tyle tylko że pełzały po jego skórze i wnikały do wnętrza ciała...

Jesteśmy cieplejsi od wewnątrz, pomyślał niezbyt przytomnie. Jesteśmy cieplejsi od wewnątrz, a one pragną ciepła...

Pomysł wydał mu się szalony, lecz wiedział, że pozostały mu tylko chwile. Uniósł lewą dłoń i naciął ją ostrzem krótkiego miecza Qu'arusa. Prawie nie poczuł bólu, jakby wcześniej zanurzył ramię w śniegu, lecz krew wypłynęła w bruzdzie wnętrza dłoni i zaczęła skapywać z nadgarstka. Barrick, starając się utrzymać równowagę, wyciągnął ramię i pozwolił krwi kapać do wody.

Mgła od razu poruszyła się szybciej i zawirowała wokół miejsca, gdzie woda się zaróżowiła. Mglisty welon na pozostałej części stawu zgęstniał i przybrał delikatnie różowy odcień niczym obłoki odbijające budzące się słońce.

– Ruszaj się – zawołał Barrick, lecz jego głos zabrzmiał tak słabo, że nie wierzył, że Beck go usłyszał. Kapnął jeszcze parę kropel krwi do wody i zrobił niepewny krok na następny płaski kamień. Mgła wirowała przez chwilę nad różową plamą, a potem znowu zaczęła pełznąć w jego stronę. Barrick wytrząsnął więcej krwi, lecz zobaczył, że wypływa coraz wolniej z jego rany. Naciął skórę w innym miejscu i strząsnął krew. Nawet mgła, która już zdążyła się owinać wokół nóg Becka, zrzędnęła, gdyż część popłynęła ku miejscu, w którym krew Barricka zaplamiła wodę. Beck pierwszy krok postawił z wielkim trudem, jakby brnął zanurzony po pas w błocie, lecz drugi był łatwiejszy, a po kilku chwilach obaj pokonywali chwiejnie kolejne kamienie, w drodze do bezpiecznego końca dziedzińca.

Zanim opadli na ziemię w sklepionym przejściu, drżący i zdyszani, Barrick nacinał sobie skórę jeszcze trzykrotnie. Całe jego przedramię i dłoń znaczyły teraz strużki krwi, a nieliczne skrawki czystej skóry wydawały się równie zaskakujące jak oczy patrzące w głębi lasu.

Gdy Beck wreszcie odzyskał oddech, oddał końce swoich postrzępionych rękawów i

owinał rany Barricka. Prowizoryczne bandaże nie były zbyt czyste, ale skutecznie tamowały krew.

Książę zerknął z niechęcią na kolejny dziedziniec. Ten wydawał się jeszcze bardziej nieszkodliwy niż poprzednie, niczym się niewyróżniający kamienny prostokąt, na końcu którego widniały schody prowadzące do zwykłych zamkniętych drzwi. To wydawało się zbyt proste.

– Jak myślisz, co nas tu czeka? – zapytał z kwaśną miną. – Gniazdo żmij?

– Cokolwiek to jest, pokonasz to, Wasza Wysokość. – Coś w tonie głosu Raemona Becka sprawiło, że Barrick spojrział na niego. Czyżby dostrzegł na jego twarzy podziw? Ktoś podziwia niesławnego kalekę, Barricka Eddona? A może umysł kupca nie wytrzymał trudów ostatniego dnia?

– Wcale nie chcę niczego pokonywać. – Barrick zauważył Skurna, który krążył wysoko nad nimi, bezpiecznie oddalony od zaczarowanej trawy i krwiopicznej mgły. Przynajmniej jeden z nich miał trochę rozumu.

– Chcę, żeby ktoś tu przyszedł i otworzył te drzwi jakimś taranem. Mam już dość wszystkiego.

Raemon Beck pokręcił głową.

– Musimy iść dalej. Przyjdą kolejne skriki, żeby pomścić swoje siostry, i teraz już pewnie nie uda nam się ich zaskoczyć, tak jak poprzednio.

– Siostry? – Barrick poczuł mdłości. – One naprawdę są kobietami?

– Nie ludzkimi – odparł Beck ponurym tonem. – Może raczej są demonicami.

– W takim razie idziemy dalej, jak proponujesz. – Barrick wiedział, że we wszystkim, co się dzieje, zawiera się jakaś nieuchronność: oczywiście nie mógł teraz zawrócić, tak jak nie mógł zawrócić w życiu, żeby naprawić popełnione błędy. Dźwignął się na nogi, pojękując. Odrętwienie spowodowane ukąszeniami mgły minęło, lecz pozostał obolały. Co by pomyśleli mieszkańcy Zamku Marchii Południowej o swoim księciu, gdyby go zobaczyli w takim stanie?

Oto jestem, pomyślał Barrick, Książę Niczego. Bez poddanych, bez żołnierzy, rodziny czy przyjaciół.

Skurn opuścił się z nieba i usiadł na kamiennej płycie w drugim końcu przejścia. Gdy zaczął się przechadzać w jedną i w drugą stronę w odległości kilku kroków od niego, Barrick niemal zobaczył oczyma wyobraźni, jak ze szczeliny pomiędzy płytami wysuwa się dłoń i dusi ptaszysko, jednak czające się niebezpieczeństwo najwyraźniej nie interesowało się krukami albo też planowało coś bardziej wyrafinowanego.

– Zadowolony? – zapytał Skurn. – Tak się zastanawiamy.

– Zamknij ten swój ślimaczy śmietnik, ptaszysko. Musiałem przyjść do tego przeklętego miasta. A teraz muszę zrobić i to. Nikt cię nie zmuszał, żebyś leciał ze mną.

– Tak, jasne, wyrzuć nas teraz. A my cię tylko ostrzegaliśmy. Ładna mi zapłata.

– Zamiast zrzędzić jak stara baba, lepiej powiedz, czy coś widziałeś. Co jest za tym następnym dziedzińcem?

Kruk łypnął okiem na księcia.

– Nic.

– Naprawdę? W takim razie co jest po drugiej stronie drzwi?

Skurn spojrział w drugi koniec dziedzińca, gdzie widniały stare drewniane wrota, niczym się niewyróżniające poza zardzewiałym metalowym guzem na środku, który mógł być klamką.

– Po drugiej stronie? Nie ma drugiej strony.

– Co ty wygadujesz? – Barrick z trudem się opanował. – Kiedy już przejdziemy przez ten dziedziniec i otworzymy drzwi, coś musi być za nimi. Jakiś budynek? Kolejny dziedziniec? Co ty na to?

– Nic, już ci mówiliśmy! – Poirytowany kruk zatrzepotał skrzydłami. – Nie ma nawet drzwi. Po drugiej stronie jest zewnętrzna strona tego muru. A potem drzewa i takie tam. Tak samo jak tutaj. I nic więcej.

Po serii kolejnych pytań okazało się, że to, co wydawało się nieporozumieniem, jest jednak prawdą: według Skurna, który kilkakrotnie przefrunął nad murem z drzwiami, nic nie było po drugiej stronie, nawet śladu drzwi. Wyglądało to na skomplikowaną sztuczkę. Barrick przykucnął w przejściu z wyrazem rezygnacji na twarzy, lecz Raemon Beck pociągnął go za rękaw.

– Chodź, Wasza Wysokość. Nie rozpaczaj. Doszliśmy prawie do końca.

Pozszywane z kawałków ubranie kupca było teraz prawie tak samo podarte i brudne jak strój Barricka, który książkę nosił od miesięcy. Przez chwilę Barrick zastanawiał się, jak musi wyglądać w oczach kogoś innego i... jak pachnieć.

Książę Niczego, pomyślał jeszcze raz i zaczął się śmiać. Zaniósł się tak gwałtownym śmiechem, że długo siedział zgięty wpół, rżąc.

– Wasza Wysokość, czy coś ci jest? – Beck ponownie pociągnął go za rękaw. – Żle się czujesz?

Barrick bezradnie pokręcił głową.

– Pomóż mi wstać – powiedział wreszcie, wciąż z trudem łapiąc oddech. Nie potrafił nawet powiedzieć, dlaczego się śmiał. – Masz rację. Dotarliśmy prawie do końca. Chodziło tylko o to, że jego rozumienie końca różniło się od tego, co miał na myśli Beck.

Gdy już wreszcie się podniósł, Barrick nie stał w miejscu ani przez chwilę – bo i na co miał czekać? – lecz ruszył po popękanych i kruszących się kamiennych płytach pustego dziedzińca. Zebrawszy w sobie całą odwagę, szedł pewnym krokiem z podniesioną głową, choć wiedział, że w każdej chwili coś może wysunąć się z dołu albo spaść na nich z nieba. Po pewnym czasie nawet zmęczenie nie było w stanie stłumić jego zaskoczenia, jako że nie chwyciły go żadne macki ani żadne lichy nie wyskoczyło na nich z cienia. Obaj z Beckiem szli niezbyt szybkim, ale miarowym krokiem przez kamienny dziedziniec, aż stanęli przed schodami prowadzącymi do ogromnych szarych drzwi z prostą metalową klamką.

Skurn usiadł na ramieniu Barricka, wbijając w nie nerwowo szpony, tak że książkę aż się skrzywił z bólu. Wyciągnął rękę w stronę drzwi przekonany, że zaraz coś go powstrzyma – dźwięk, nagły ruch, przeszywający ból – lecz nic takiego się nie wydarzyło. Zacisnął dłoń na zardzewiałej metalowej klamce, lecz gdy pociągnął, drzwi nawet nie drgnęły. Jakby stanowiły integralną część muru.

Barrick położył na klamce obie dłonie i pociągnął mocniej, ignorując ból w zabandażowanej ręce, lecz drzwi nie drgnęły, niczym góra. Potem zapał się stopą o najwyższy stopień i odchylił do tyłu, wykorzystując siłę ramion i nóg, lecz równie dobrze mógłby spróbować zarzucić sobie na barki całą ziemię. Po dłuższej chwili Raemon Beck objął go w pasie, by go wspomóc, lecz i to na nic.

– A przyszło ci do głowy, żeby popchnąć te drzwi, zamiast ciągnąć? – rzucił Skurn.

Barrick posłał mu złowrogie spojrzenie, po czym stanął na progu i napał mocno na drzwi. Nic.

– Zadowolony? – zwrócił się do ptaka, po czym oparł się o drzwi plecami i osunął na dół. Siedząc na progu, spojrzał na dziedziniec, ponury i zanurzony w poświacie zmierzchu, gdyż nie paliły się tam ciemne światła.

– Pchałeś mocno, tak? – zapytał Skurn.

– Jeśli uważasz inaczej, to sam spróbuj – odparł Barrick.

Skurn zaskrzeczał z odrazą.

– Przecież nie mamy rąk, prawda?

Słowa kruka poruszyły coś w pamięci Barricka. Nie mamy rąk. Barrick oparł głowę o drzwi, które wydawały się twarde jak granitowa ściana, i zamknął oczy, lecz myśl wciąż nie dawała się uchwycić. Zmęczenie sprawiało, że wydawało mu się, iż świat wokół niego przechyła się i opada na niego, więc otworzył oczy. Nigdy wcześniej nie czuł się tak potwornie zmęczony...

– Ręce – powiedział niespodziewanie. – Było coś o rękach.

– Co? – Raemon Beck odwrócił się do niego, lecz jego spojrzenie mąciło poczucie beznadziei. Barrick był przekonany, że jego towarzysz zobaczył armię skrików pędzących przez trawiasty dziedziniec, potem przez ten ze stawem...

– Posłuchaj – rzekł książę. – Ci, Którzy Nie Śpią mówili coś o tym miejscu, jeśli jest to Komnata Szachraja. Powiedzieli, że ręka śmiertelnika nie otworzy tych drzwi.

Beck wydawał się wcale nie słuchać.

– Musimy coś zrobić, panie. Niebawem zjawią się kolejni Samotni!

Barrick zaśmiał się ochryplym, ponurym śmiechem. Co za pożytek z takiej wiedzy? Oni wszyscy są śmiertelnikami, nawet Skurn. Gdyby powiedziano „ręka człowieka”, może kruk mógłby spróbować otworzyć drzwi dziobem. Barrick prychnął na samą myśl o tym. Może powinni poprosić skriki, żeby im pomogły...

– Zaczekaj. „Drzwi nie otworzy ręka śmiertelnika”, tak powiedzieli. – Wsunął dłoń pod koszulę i wyjął lusterko Gyira, po czym zdjął z szyi rzemień. Przez moment, waząc lusterko w dłoni, doznał dziwnego uczucia, że jest ono czymś żywym, lecz nie miał czasu na podobne rozmyślenia, bo nowy pomysł nie dotyczył właściwie lusterka, a rzemienia, na którym je nosił.

Skulony u podnóża schodów Raemon Beck spojrzał na księcia.

– Co takiego?

– Nic nie mów. – Barrick pochylił się niżej i zarzucił rzemień na klamkę, ściskając mocno w rękach sakiewkę, w której trzymał lusterko. Pociągnął. Nic.

Skurn wzbiał się w powietrze i zatoczył koło nad głową Barricka.

– Te szare istoty. Widzieliśmy ich więcej nad rzeką. Idą w naszą stronę – oznajmił. – Pośpiesz się może!

Barrick poczuł mrowienie w palcach. Chwilę później wzdłuż jego ramienia popłynęło migocące światło, tak słabe, że mógł je zobaczyć tylko dlatego, iż wejście było pograżone w głębokim cieniu. Nie namyślając się, skrzył dłoń i pociągnął. Drzwi otworzyły się z głuchym dudnieniem i zaskrzypiały cicho, jakby zawiasy uwolniły się od nagromadzonej przez wieki rdzy. Barrick musiał się cofnąć, gdy ciężkie wrota przepłynęły powoli tuż przed nim, a Raemon Beck stoczył się niezdarnie ze stopni, by uniknąć zderzenia. Skurn zawisł na chwilę w powietrzu przed wejściem, a potem nagle śmignął do przodu i zniknął w ciemności za framugą, jakby silny wiatr porwał go i wciągnął za drzwi.

– Hej, ptaszysko! – Barrick pomachał ręką w stronę pustki otwartych drzwi, lecz zaraz cofnął dłoń, zanim jego palce znalazły się za progiem. Tam było coś więcej niż cień, była tam sama nicość podobna do czarnej otchłani, która zabrała kapitana Vansena...

Poczuł powiew wiatru, który rozwał mu włosy i pociągnął za ubranie...

Raemon Beck zdążył tylko powiedzieć:

– Panie, obawiam się... – A potem wszystko jakby się przechyliło i obaj wypadli ze świata. Barrick nie był w stanie krzyczeć, nie mógł płakać ani myśleć i tylko spadał w ciemności, przez tę zimną nicość, która już wydawała się ciągnąć w nieskończoność...

Była tylko pustka pozbawiona dźwięku i światła, kierunku, a nawet znaczenia. Sam czas ją opuścił, jeśli w ogóle istniał tam kiedykolwiek. Cekał tysiąc, tysiąc lat na pierwszy oddech, a potem kolejny tysiąc na pierwsze uderzenie serca. Był żywy, ale nie żył. Był nigdzie, na zawsze.

Minął wiek. Zapomniał wszystko. Imię dawno już odeszło – podobnie jak wspomnienia – a jeszcze wcześniej zniknął wszelki cel. Dryfował w pomiędzy niczym suchy liść niesiony prądem rzeki, pozbawiony wszelkiej woli i trosk, a także możliwości ruchu poza tym, w który go wprawiono. Możliwe, że to sama pustka pędziła i falowała, lecz on nic nie czuł, ponieważ był w niej i nią. Był ziarnem piasku na opuszczonej plaży. Zimną martwą gwiazdą w najdalszym zakątku nieba. I już coraz trudniej było mu myśleć. Był... Był...

– *Barrick? Barricku, gdzie jesteś?*

Dźwięki spadły na jego myśli, zdumiewające w swojej złożoności. Oczywiście nie niosły żadnego znaczenia – zbitki hałasu milknącego i rozbrzmiewającego na nowo, załączki zamiaru, który nic nie znaczył dla liścia czy kamyka, zimna iskra, której światło się wypaliło. A jednak wrażenie hałasu nie dawało mu spokoju, ponaglało go. Co to znaczyło?

– *Barricku, dokąd odszedłeś? Dlaczego ze mną nie rozmawiasz? Dlaczego zostawiłeś mnie samą?*

I wtedy pomyślał o czymś, czy raczej to poczuł, pyłek połyskliwości tańczący mu przed oczyma, odrobina światła... plamka ognia. Jasność ostatecznie nadała pustce kształt, a jemu poczucie kierunku, górę i dół, tył i przód... Światło emanowało z małej szczupłej postaci o ciemnych oczach i jeszcze ciemniejszych włosach, niemal równie czarnych jak sama otchłań, z wyjątkiem połyskującego pasemka, ognistej smużki, która zwróciła jego uwagę w nieskończonej nicości. Dziewczyna.

– *Barricku? Potrzebuję cię. Gdzie jesteś?*

Zaczął sobie coś przypominać, lecz w chaotycznym nieładzie, dlatego przez chwilę czarnowłosa dziewczyna wydała mu się jego siostrą, a może narzeczoną. Qinnitan? Próbował przywołać ją jak najgłośniejsz. Qinnitan!

– *Czuję się taka samotna – zawołała. – Dlaczego już do mnie nie przychodzisz? Dlaczego mnie opuściliś?*

– *Jestem tutaj!* – Chociaż wydawało się, że jest tuż obok niej, nie mógł sprawić, by go usłyszała. – *Tu jestem! Qinnitan!* – Równie dobrze mogła znajdować się za grubą niewyraźną szybą. Byli sami razem w pustce, lecz nie mogli się dotknąć, przemówić do siebie nawzajem...

– *Dlaczego?* – zawołała. – *Dlaczego o mnie zapomniałeś?*

Chwała niech będzie przodkom. Jeszcze jeden głos, jeszcze jedna myśl nagle wtargnęły do pustki.

– *Wciąż szukałem. Myślałem, że się zgubiłeś w Wielkim Pomiedzy...*

Qinnitan najwyraźniej nie wyczuwała tej obecności, nie bardziej niż widziała czy słyszała Barricka. Jej głos cichł.

– *Och, Barricku, dlaczego?*

– *Chodź* – powiedział nowy głos należący do mężczyzny. Barrick słyszał go już wcześniej.

– *Pomogę ci, dziecko, ale sam musisz pokonać przerwę. Jest już późno i musisz pójść prosto przez ciemny czas...*

I wtedy to zobaczył: ogromna biała postać na czterech nogach z głową najeżoną smukłymi konarami niczym korona młodego drzewa.

Nie, zorientował się po chwili, to jest poroże: stworzenie, które stało przed nim w bezkresnej ciemności, płonąc lodowatą jasnością niczym odległa gwiazda, przez co ledwo widział stojącą dalej Qinnitan, było ogromnym białym jeleniem.

– *Podążaj za mną* – powiedział jelen. Nawet jego słowa zdawały się jarzyć bladym lawendowym światłem. – *Idź, a może już pokochałeś nicość?*

Poczuł, jakby coś go pochwyciło, biały błysk, który wyrwał go z otchłani i odciągnął od ciemnowłosej dziewczyny.

– *Nie!* – Próbował się opierać, lecz na próżno. – *Qinnitan, nie. Tu jestem! Tu jestem!*

Lecz ona wciąż go nie słyszała, on zaś nie był w stanie oprzeć się tej nowej sile. Chwilę później dziewczyna zaczęła się oddalać, odsuwając się w większą nieprzejrzyistość, jakby zanurzyła się pod powierzchnię zamulonego stawu, i jeszcze tylko przez chwilę widział błysk ognia w wielkiej czerni. Barrick poczuł się, jakby wyrwano mu z piersi serce, i patrzył bezradnie, jak błysk oddala się w pustce.

Teraz zaczął wirować w następujących na przemian falach gorąca i błyskach światła, które boleśnie go atakowały, powodując mdłości, lecz nie udało mu się całkowicie rozproszyć ciemności. Opadał, leciał i... nie potrafił tego wyrazić. Światło błyskało coraz szybciej i pulsowało z coraz większą częstotliwością. Niebawem pojawił się też dźwięk – krótkie syki, jęki, a potem ryki, jakby cały świat życia i ruchu walił się na niego niczym morskie fale, a potem równie szybko się wycofywał.

– *Chcę wracać!*

Lecz ktokolwiek odciągnął go od ciemnowłosej dziewczyny, już do niego nie mówił, a przynajmniej Barrick nie słyszał jego głosu.

– *Qinnitan, tak mi przykro...*

A potem nagle światło i dźwięk rozlały się niczym rzeka występująca z brzegów, powódź doznań, która napierała na jego myśli, aż przestał myśleć i tylko chłonał. Ogarnęło go szaleństwo.

Twarze wielkie jak góry – twarze, które były górami rzygającymi osuwiskami – i twarze podobne do nabrzmiąłych piorunów plujących błyskawicami. Mężczyźni, którzy byli burzami, i kobiety, które były ognistymi kolumnami. Cienie dosiadające wierzchołków, które tratowały wysokie drzewa. Sama ziemia podniosła się i odwróciła na drugą stronę, poraniona świeżymi dolinami i górami, niebo płonęło białym światłem albo trzeszczało i strzelało, jakby wypełniły je spadające gwiazdy. Barrick skulił się, pojękując, gdy to wszystko na niego spadło.

To była wojna bogów, wojna olbrzymów i potworów, najbardziej szalona i najdziwniejsza, jaka kiedykolwiek miała miejsce. Wojownicy zamieniali się w zwierzęta, stawali się wirującymi wiatrami albo ścianami ognia, walcząc ze sobą pod murami dziwnego miasta, pełnego najeżonych kolcami krystalicznych wież, które pięły się w górę i drżały, jakby samo niebo na nie napierało. W jednej chwili miasto wydawało się wyższe niż najwyższa góra, a w następnej malutkie wobec tych, którzy się bronili i atakowali.

Szalała bitwa. Ptaki spadały z nieba tysięcznymi stadami, atakując kobietę, która zdawała się składać z wody, lecz rozrastała się, aż wreszcie przybrała postać fontanny wyższej niż czarne wieże. Rozbłyśki oślepiającego światła ukazywały całe armie szkieletowych żołnierzy, którzy znikali, gdy tylko blask gasł. Kamienie leciały niczym niesione wiatrem liście, wąż upleciony z błyskawicy zebrał czubek góry i cisnął nim, miażdżąc jeden z zamkowych murów. Wyłom szybko został naprawiony łąką z roju metalowych owadów, która tryskała parą w każdym załamaniu i pęknięciu.

W samym środku tego wszystkiego trzy ogromne postacie wpatrywały się w bramę, ich sylwetki pozostawały niewyraźne nawet w chwilach najjaśniejszych rozbłyśków, poza lodowatym, jasnym jak blask gwiazd światłem ich oczu. Jedna z nich trzymała w dłoni masywny młot z matowoszarego metalu, a dwie pozostałe były uzbrojone we włócznie, jedna była zakończona dwoma zębami i zielona jak ocean, druga czarna jak dziura w ziemi.

Barrick rozpoznał całą trójkę, choć bał się to przyznać nawet przed samym sobą.

Środkowa postać uniosła młot i w powietrzu pojawiło się coś podobnego do burzy jasnych cieni, które popędziły przed siebie i natarły na mury wielkiego zamku, ogniste postacie, rozjarzone, zmieniające kształty, tworzące tak jasny obłok, że Barrick ledwie widział, co się

dzieje. Przez chwilę wydawało się, że miasto, pomimo swoich rozmiarów i okazałości, musi po prostu spłonąć niczym suchy las w szalejącym pożarze. A potem jeszcze jaśniejsze światło zaczęło się rozpalać niczym wschodzące słońce i atakujący wycofali się spod murów w chaotycznym odwrocie. Z obleganego miasta wyszły tylko dwie postacie, które poradziły sobie z napastnikami. Jedna była ogromną kulą rozjarzonego bursztynowego światła, druga zaś jarzyła się chłodnym niebiesko-białym blaskiem, który pozostawał widoczny pomimo obecnej tuż obok złocistej jasności. W obrębie obu światła widać było dwóch jeźdźców siedzących dumnie na wierzchowcach, obaj z mieczami w dłoniach; nie sposób było powiedzieć, czy to oni byli źródłem światła, czy może ich miecze albo zbroje, lecz w obliczu jasności obu postaci atakująca armia rozpierzchła się na wszystkie strony.

Ryk w uszach Barricka wzmógł się i wydawało się, że w jego czaszce kołacze się echo burzy. Oślepiające światło zasłaniało mu prawie wszystko. Postacie na wzgórzu spięły konie ostrogami i ruszyły w dół, a kopyta ich ogromnych rumaków nawet nie dotykały ziemi. Gdy uniosły miecze, wydawało się, że samo niebo pękło i zadało pchnięcie bezkresną ciemnością.

A potem niespodziewanie wszystko znikło – ogniste kobiety, ogniści mężczyźni, piękne postacie spowite w straszliwy gniew, cała bitwa i wszyscy walczący przepadli w jednej chwili. Został tylko zamek, którego lśniące blade wieże leżały przewrócone niczym drzewa zwalone przez zimową burzę i rozbite w kawałki połyskiwały w błotnistym popiele podobne do kropelek stopionego złota na podłodze kuźni.

Barrick tylko przez krótką chwilę widział szalone piękno, które poprzedzało zniszczenie, lecz patrząc teraz na gruzy, poczuł, że oplakuje stratę każdym nerwem swej istoty.

A potem nieoczekiwanie zorientował się, że znowu spada. Pędził ku ruinom zamku, które się zmieniały: to, co wcześniej było skrząco złote, bladoniebieskozielone czy kremowobiałe, teraz stawało się czarne i poskręcane; to, co było półprzezroczyste, teraz zmacił cień. Zamek, wcześniej tak cudowny, zamienił się w opuszczoną i zakurzoną pajęczynę, którą kiedyś rozciągnął pająk, a deszcz ozdobił kroplami. Piękno znikło, lecz zarazem w jakiś dziwny sposób pozostało.

Było tak samo. Było zupełnie inaczej. A Barrick wpadł w to jak wiatr wiejący w dół studni.

Zorientował się, że leży twarzą do podłogi wyłożonej płaskimi wypolerowanymi i starannie połączonymi czarnymi kamieniami, i zaraz usłyszał dziwne truchtanie, które się zbliżało i przeszło w ciche stąpanie.

Otworzył oczy i zobaczył koszmar. Ujrzał okropne twarze, oczy przewracające się jak u idioty i otwarte usta, z których wystawały kły. Głowy jedynie kształtem przypominały ludzkie. To było najgorsze.

– Ach, bardzo dobrze, kochani. Złapaliście intruza – powiedział gdzieś za nim zimny obcy głos.

Tajemnice i wybiegi

Inne plemię czarodziejskiego ludu opisane w Księdze Ximandra to Oszuści, czarodziejscy ludzie, którzy, jak się zdaje, doskonale umieją się targować w wielu ludzkich legendach. Tylko Ximander i nieliczni inni uczeni twierdzą, że cokolwiek wiedzą na ich temat, lecz ponieważ Ximander zmarł, zanim przeczytano jego księgę, jego źródła pozostają nieznane, a konkluzje niewiarygodne.

– z *Traktatu o czarodziejskich narodach obojga kontynentów Eionu i Xandu*

– Szczerze mówiąc, to wcale nie jest dziwne – rzekł wyraźnie ożywiony brat Antymon. – Język, którym posługuje się więzień, bardzo przypomina ten, w którym napisano *Gramatykę Skalenia*. Pewnie tego nie wiesz, ale *Gramatykę* spisano na arkuszach mikowych uformowanych z pojedynczych kryształów, na których zebrano opowieści Czasów Najstarszych, niedostępne nigdzie indziej...

Vansen chrząknął, by przerwać młodemu mnichowi zafascynowanemu tematem.

– To pięknie, Antymonie, ale musimy się dowiedzieć, co mówi teraz ten więzień.

Mnich zaczerwienił się tak mocno, że nawet Vansen był w stanie to zauważyć w słabym świetle tak uwielbianym przez Funderlingów.

– Wybacz...

– Rób swoje, synu – wtrącił się Cynober. – Porozmawiaj z więźniem, jeśli potrafisz.

Młody mnich spojrzał na drżące drowa, który zapewne sądził, że przyprowadzono go do refektarza, by poddać torturom. Brodatej istoty o zawziętym spojrzeniu pilnowało dwóch strażników gotowych do interwencji w razie konieczności, lecz Vansen był spokojny. Wielokrotnie widział przesłuchiwanym jeńców i wiedział, że drow tylko udaje odważnego i że szybko się załamie.

– Zapytaj go, dlaczego zaatakowali nas tutaj, w naszym domu – rzekł Vansen.

Z ust Antymona popłynął przerywany strumień niskich gardłowych dźwięków. Spojrzenia niektórych Funderlingów zdradzały konsternację, jakby usłyszeli znajome słowa, lecz dla Vansena były to tylko niezrozumiałe dźwięki. Gdy brodaty drow spojrzał na mnicha, niechęć wyzierała z każdej bruzdy jego brudnej twarzy. Nic nie odpowiedział.

– Zapytaj, dlaczego służą mrocznej damie. – Przez chwilę przeszukiwał zakamarki pamięci, by odnaleźć imię, które przekazał mu Gyir. – Zapytaj, dlaczego służą Yasammez.

Tym razem pytanie Antymona wywołało zdziwienie więźnia. Minęła chwila, zanim odpowiedział, krótko i z niechęcią, ale jednak się odezwał.

Antymon chrząknął.

– Mówi, że Pani Jeżozwierz, tak chyba brzmi jej imię... że ona cię zniszczy. Że zemści się na mieszkańcach kraju słońca. Chyba tak powiedział.

Vansen powstrzymał uśmiech. Puste frazesy – oto, co zwykle mówili więźniowie, którzy w rzeczywistości nie wiedzieli, dlaczego walczą.

– Antymonie, odejdę teraz – zwrócił się do mnicha. – Obaj z Cynobrem wypytajcie go, dlaczego drowy zwróciły się przeciwko swoim braciom Funderlingom.

Machnąwszy ręką, jakby w geście rezygnacji, Vansen odszedł w głąb pieczary. Cynober pochylił się i zaczął zadawać pytanie tłumaczone starannie przez Antymona. Vansen przypatrywał się z podziwem, jak Cynober powtarza niektóre obce słowa, jakie rozpoznał.

W ten sposób podkreśla łączącą ich więź: widzisz, drowie, praktycznie mówię twoim językiem!

Cynober kontynuował przesłuchanie, a Vansen czekał cierpliwie z tyłu, wierząc, że drow zrozumie, iż Funderlingowie są mu bliżsi niż przywódcy Qarów, którym służy. Więzień jednak nic nie powiedział.

Ach, gdyby udało się wywołać u niego choćby cień współczucia albo go zawstydzić... – pomyślał Vansen.

– Zapytaj, jak ma na imię.

Antymon spojrzał zdziwiony, ale przekazał pytanie. Drow odpowiedział burkliwym tonem, jakby zawstydzony.

– *Kronyuul*, tak powiedział, a to znaczy „Węgiel Brunatny” w starym języku.

– Dobrze – odparł Vansen cicho, żeby nie zwracać na siebie uwagi drowa. – Zapytaj więc, mistrza Węgla, po co Pani Jeżozwierz potrzebny jest nasz zamek. Co z nim zrobi, gdy już go zdobędzie? Dlaczego poświęciła życie tylu drowów, żeby go zająć?

Gdy drow usłyszał pytanie, zdumiony otworzył szerzej oczy. Dopiero po chwili zaczął coś mruzczyć i mówił jakiś czas. Młody mnich nachylił się, by nie uronić ani słowa.

– Mówi, że mroczna dama się rozgniewała. Król Qarów nie pozwolił jej po prostu wybić naszego niegodziwego ludu – nazywa nas „mieszkańcami słonecznego kraju” – i zmusił do zawarcia jakiegoś paktu. Mroczna dama starała się go dotrzymać, ale się nie udało. Jej... nie rozumiem tego słowa... jej krewny, może przyjaciel – coś jak u nas „członek klanu” – zginął, twierdzi więc, że pakt został zerwany. Obwinia o to czarodziejskiego króla, ale gniewa się też z powodu swoich ludzi. – Antymon wyprostował się i zaraz dodał: – Chyba nic więcej nie wie. W końcu jest tylko zwykłym żołnierzem tej podziemnej armii...

Serce Vansena nagle zabiło szybciej.

– Na młot Perina, niemożliwe. Pakt? Powiedział pakt?

Antymon wzruszył ramionami.

– Umowa, pakt, układ, znaczenie jest podobne...

– Cicho! Ach, przepraszam, ale nic nie mów przez chwilę, Antymonie. – Vansen gorączkowo próbował sobie przypomnieć. Tak, wszystko wydawało się pasować. – Zapytaj go, czy zna imię krewnego jego pani, tego, który zginął. Którego śmierć oznaczała zerwanie paktu.

Młody mnich, zaskoczony gwałtowną reakcją Vansena, odwrócił się do więźnia i przetłumaczył mu pytanie, drow zaś z każdą chwilą wydawał się coraz bardziej zdumiony i coraz mniej przestraszony.

– Chce wiedzieć, czy zamierzasz go zabić – powiedział Antymon, wysłuchawszy odpowiedzi więźnia. – I mówi, że ten krewny nosił imię Burzowa Latarnia.

– Wiedziałem! – Vansen uderzył dłońmi w kamienny blat stołu tak mocno, że więzień aż podskoczył.

– Powiedz mu, Antymonie, że nie zamierzamy go zabić. Wręcz przeciwnie, odzyska wolność, żeby mógł mnie zaprowadzić do swojej pani. Tak, pójdę z nią porozmawiać. Opowiem jej całą prawdę o Burzowej Latarni i pakcie. Bo ja tam byłem.

Mnich z pewnym trudem przetłumaczył więźniowi słowa Ferrasa Vansena. W niedużym pomieszczeniu zapadła cisza. Vansen rozejrzał się: Cynober, brat Antymon, Malachit Miedziak, a nawet drow – wszyscy wpatrywali się w niego, jakby postradał rozum.

Łóżko Chavena było nietknięte. Co więcej, nic nie wskazywało na to, że medyk w ogóle zachodził do swojej celi.

- Nie ma go tutaj – powiedział Krzemień poważnym cienkim głosem.
- Wiem – burknął Rogowiec. – Nie widziałem go od jakiegoś czasu, od dnia, w którym cię nie upilnował. Ale muszę z nim porozmawiać. Wspominał, dokąd się wybiera?
- Nie ma go tu – powtórzył Krzemień.
- Chłopcze, zaraz sprawisz, że moja głowa się zapadnie. – Rogowiec wyszedł z pokoju, prowadząc za sobą chłopca.

– Nie ma tu kapitana Vansena – oznajmił Cynober. – Przygotowuje się do wyprawy, podczas której będzie narażał swoje życie, by zrobić coś, czego do końca nie rozumiem, a co wydaje się i tak przegraną sprawą. – Funderling westchnął. – Mam nadzieję, że ty przynosisz nam lepsze wieści.

- Obawiam się, że nie – odparł Rogowiec. – Ani śladu Chavena.
- Cynober zmarszczył czoło.
- A to bardzo dziwne i niepokojące. Hendon Tolly nastaje na jego życie, po co więc wychodziłby na górę do zamku czy choćby tylko do Miasta Funderlingów?
- Miejmy nadzieję, że nie zapaścił się gdzieś sam i nie spadł – rzucił Malachit Miedziak. – Tu na dole jest dużo ciemnych miejsc, w szczególności za Pięcioma Łukami. Moglibyśmy nigdy nie znaleźć jego ciała.

Brat Nikiel był wściekły.

– Ostrzegłem cię, że będą z tego same kłopoty – obcy, który nie jest jednym z nas, chodzi sobie, gdzie chce, po terenie świątyni, a może jeszcze dalej! Wystarczy, że chłopak Rogowca Lideryta znalazł drogę do Tajemnic. A jeśli ten... powierzchniowiec, ten magik-kapłan postąpi podobnie? Jakie nieszczęście może na nas wszystkich sprowadzić?

- Po co Chaven miałby wchodzić do Tajemnic? – zapytał Rogowiec.
- A czemu nie? – Nikiel z trudem panował nad drżącym od gniewu głosem. – Wydaje się, że nagle wszyscy mają coś do zrobienia w naszych najświętszych miejscach! Powierzchniowcy, dzieci, a nawet czarodziejscy ludzie!

– Czarodziejscy ludzie? – Rogowiec ze zdziwieniem patrzył na Cynobra i Heliotropa Jaspisa. – Jak to? Nic o tym nie słyszałem.

– Jaspis i jego strażnicy udaremnił kilka prób wtargnięcia do tuneli pod poziomem świątyni – wyjaśnił Malachit Miedziak. – Jednak to jeszcze niczego nie dowodzi. Prawdopodobnie czarodziejscy ludzie szukali sposobu, żeby nas zaskoczyć. A potem, pokonawszy nas, mogliby zaatakować obrońców zamku, wychodząc z bramy Miasta Funderlingów już za jego murami.

– Oszukujesz samego siebie – rzekł Nikiel. – Oni tu pod ziemią szukają mocy. – Skierował gniewne spojrzenie na Rogowca, jakby rodzina Liderytów w jakiś sposób uczestniczyła w tym okropnym planie. – Chcą zapanować nad Tajemnicami.

– Dlaczego? Co by chcieli osiągnąć? Co by to w ogóle znaczyło? – Rogowiec spojrzał na zagniewane oblicze Nikla i dostrzegł na nim cień strachu, jakby zobaczył twarz dziecka przyłapanego na kłamstwie. – Chwileczkę. Tutaj dzieje się coś, czego nie rozumiem. O co chodzi?

– Powiedz mu albo ja to zrobię – rzekł Cynober. – Rogowiec zdobył nasze zaufanie.
– Ale magistrze... – oburzył się Nikiel. – Niedługo wszyscy poznają nasze sekrety!
– Upoważniony przez Cech sam podejmę decyzję, bracie. A poza tym może skończył się już czas tajemnic. – Magister westchnął i opadł na krzesło. – Mimo wszystko, niech mi wybaczą Starsi Ziemi, ale pragnę złożyć ten ciężar na barki kolejnego pokolenia.

Rogowiec spoglądał to na jednego, to na drugiego.

– Wciąż nic nie rozumiem. Czy ktoś mi wyjaśni, o co chodzi?

Pomimo względnie młodego wieku Nikiel miał twarz o wiele starszego Funderlinga, a w tej chwili wyglądał tak, jakby ugryził najbardziej piekącą rzodkiewkę z całej grządki.

– Bo to... to nie pierwszy raz... gdy Qarowie próbowali dostać się do Tajemnic. Przychodzili tam wielokrotnie.

Rogowiec patrzył z niedowierzaniem.

– Co?

– Jest tak, jak powiedziałem – odparł Nikiel. – Wspominają o tym już najwcześniejsze kroniki Braci Metamorficznych. Starszyczna Braci i Cechu wiedziała o tym i tolerowała ich wizyty, tak jakby, to bardzo złożona historia. Ale potem przestali się pojawiać i upłynęło dużo czasu, odkąd tu gościli. Jakieś dwieście lat albo więcej.

Rogowiec pokręcił głową.

– Wciąż nie rozumiem. Co robili w Tajemnicach?

– Tego nie wiemy – odparł Cynober. – Istnieje stara legenda o mnichach, którzy zakradli się do Tajemnic, żeby szpiegować czarodziejskich ludzi – czy też Qarów, jak sami siebie nazywają – i postradali zmysły. Czarodziejscy ludzie zjawiali się rzadko, nie częściej niż raz na wiek, i zawsze przybywali w małych grupach, więc może dlatego ich tolerowano. Gdy przed siedmioma wiekami powstał pierwszy Cech Kamieniarzy, tradycja ta była już mocno zakorzeniona. Zawsze przychodzili przez Bramę Wapienną, do której docierali najdłuższą drogą Burzowego Kamienia, tą prowadzącą na stały ląd. Zostawali przez kilka dni i nigdy nie zabierali niczego cennego ani nie wyrządzali nikomu krzywdy. Bardzo długo nasi przodkowie nie oponowali, a przynajmniej tak głosi opowieść. A potem, po bitwie na Zimnoszarym Wrzosowisku, Qarowie przestali przychodzić.

– Skoro znają drogę, to dlaczego nie wybrali jej i tym razem? – zapytał Rogowiec.

– Ponieważ po drugiej wojnie z czarodziejskim ludem zablokowaliśmy Bramę Wapienną – odpowiedział brat Nikiel i prychnął gniewnie. – Zawiedli nasze zaufanie. Dlatego teraz musieli dźżyć tunel z powierzchni. I dlatego tak bardzo się starają dotrzeć do naszych świętych Tajemnic!

Rogowiec potarł czoło, jakby chciał ugnieść to, co usłyszał, i nadać temu bardziej sensowny kształt.

– Nawet jeśli to prawda, to wciąż pytam dlaczego, Niklu? Czy nikt nie wie, co oni tam robili albo przede wszystkim dlaczego pozwalano im tam schodzić?

Cynober skinął głową.

– Prawda jest taka, że w odległej przeszłości Qarowie pomagali zbudować Tajemnice. Nie, wybacz, Niklu, nie chcę bluźnić. Chodziło mi o to, że pomagali budować tunele i sale w głębiach, a nie same Tajemnice.

– Na ryse i przełam! – Rogowiec poczuł się, jakby został uderzony kamieniem z osuwiska, które zaniósł go daleko od wszystkiego, co znał. – I dopiero teraz się o tym dowiaduję? Czy jestem jedyną osobą w całym Mieście Funderlingów, która o tym nie wiedziała?

– Dla mnie to też coś nowego – rzekł Miedziak. – Nie wiem, co powiedzieć.

– Dla nas wszystkich to coś nowego, nawet dla mnie – rzekł Cynober. – Mistrzowie Sard i

Nadkład Skalny, zanim mnie tu przysłali, wezwali do siebie i o wszystkim powiedzieli. Wiedzieli o tym tylko mistrzowie i garstka osób wybranych przez najściślejsze kręgi Cechu. Nikiel też nie wiedział.

– To prawda – potwierdził brat Nikiel. – Opat powiedział mi, dopiero gdy zachorował. „Nadszedł czas młodych – rzekł wtedy. – Jestem już za stary, by dusić w sobie te tajemnice”. – Mnich zmarszczył czoło. – W swoim życiu otrzymywałem już bardziej szczodre podarunki.

– Nie trzymamy na ścianie w pokoju topora Dziadka dlatego, że ładnie się tam prezentuje, mówi stare porzekadło – rzekł Cynober. – Niesiemy zaufanie wszystkich, którzy żyli przed nami i którzy przyjdą po nas. Musimy robić to, co słuszne.

– W takim razie trzeba się modlić do Pana Gorącego i Mokrego Kamienia, żeby twój kapitan Vansen nie postradał zmysłów – rzekł brat Nikiel. – Żeby uzyskać coś więcej niż własną śmierć. Bo inaczej może odeprzemy kolejny atak, może dwa, ale w końcu nas pokonają i zdobędą Tajemnice.

– Nie tylko Tajemnice – wtrącił Malachit Miedziak. – Jeśli nas pokonają, padnie też Miasto Funderlingów, a wtedy zdobędą zamek nad miastem.

– Co my robimy, ojcze?

Rogowcowi wciąż wydawało się dziwne, że chłopak zwraca się do niego tak, jakby odgrywał rolę posłusznego syna w jednym z misteriów.

– Boję się o Chavena i próbuję go odszukać – wyjaśnił. – Ale już nie popełnię tego błędu i nie zostawię cię samego. Na Starszych, jakże tęsknię za twoją matką!

– Ja też za nią tęsknię – powiedział Krzemień ze spokojem, który wyrażało także jego spojrzenie.

– Może powinienem odesłać cię do niej do Miasta Funderlingów. Byłbyś z dala od kłopotów, przynajmniej od tych związanych ze świątynią.

– Nie! – Po raz pierwszy chłopiec się ożywił. – Nie odsyłaj mnie, ojcze. Mam tu coś do zrobienia. Muszę tu być.

– Co ty wygadujesz, dziecko? Cóż ty możesz mieć tu do zrobienia? – Stanowczość Krzemienia wprawiła Rogowca w zakłopotanie. – Nie będziesz więcej myszkował po bibliotece, zrozumiano? Ani żadnych niespodziewanych wycieczek do Tajemnic. Bracia łaskawie nam wybaczli.

– Muszę zostać w świątyni – powiedział chłopiec stanowczym tonem. – Nie wiem dlaczego, ale muszę tu być.

– Porozmawiamy o tym później – rzekł Rogowiec. – Póki co, chodź ze mną. Ale nie odstępuj mnie ani na krok, dobrze?

W rzeczywistości Funderling bardzo się cieszył, że ma przy sobie chłopaka. Coraz bardziej martwił się o medyka, niemal przekonany, że Chaven nie zablądził tak po prostu. Albo został porwany przez Qarów, co stanowiło straszną ewentualność, albo znowu opanowało go lustrzane szaleństwo, co mogło doprowadzić do czegoś jeszcze gorszego. Rogowiec nie planował niczego szczególnie niebezpiecznego, choć żadne miejsce pod Miastem Funderlingów nie było bezpieczne po oblężeniu poprzedniego roku, lecz gdyby od ataku Qarów nie upłynęło kilka spokojnych dni, nie odważyłby się wyprowadzać chłopca poza granice świątyni. Mimo wszystko, wyruszając, wsunął za pas oskard i poręczny topór i zabrał więcej niż zwykle koralu do lampy.

Niech Starsi mają nas w opiece, pomyślał. Niech chronią chłopaka i mnie przed Opal, jeśli coś mu się stanie.

Tęsknił za żoną. Od czasu gdy czeladnikował u starego Kwarca Żelazistego, z którym podróżował aż do Settlandii, nie rozstawał się z nią na tak długo. Nie tęsknił za Opal tak samo jak zaraz po ślubie, gdy rozłąka z nią była wręcz bolesnym doznaniem, ponieważ nie mógł jej dotykać, droczyć się z nią czy całować; teraz brakowało mu jej tak jak części samego siebie, gdyby mu ją odebrano. Po prostu czuł się niekompletny.

Ach, staruszek, jakże mi ciebie brakuje! Wyznam ci to, gdy tylko się zobaczymy, zamiast się wygłupiać. Nie mogę się doczekać, kiedy znowu cię uściskam, tak jak ci obiecywałem. I bardzo pragnę cię usłyszeć, nawet gdybyś miała nazwać mnie głupcem. Wolę twoje połajanki niż pochwały mistrzów Cechu.

– Dobra kobieta z tej twojej matki – powiedział głośno.

Krzemień uniósł głowę.

– Nie jest moją prawdziwą matką, ale dobra z niej kobieta.

– A pamiętasz swoją prawdziwą matkę? – zapytał Rogowiec.

Krzemień szedł dalej przed siebie, lecz Rogowiec przywykł do milczenia chłopaka. Wiedział, że ten się zastanawia.

– Moja matka nie żyje – przemówił po dłuższej chwili głosem równie płaskim jak rozpołowiony łupek. – Umarła, próbując mnie ratować.

Po tym nagłym wyznaniu Krzemień nie potrafił przypomnieć sobie niczego więcej pomimo nacisków Rogowca. Po jakimś czasie, gdy Funderling uznał, że znaleźli się na tyle daleko od świątyni, że spokój jest lepszy niż niepotrzebna rozmowa, porzucił ten temat.

Obszukali ciemne zakamarki przy Kaskadowych Schodach i teren aż do tuneli na poziomie poniżej Słonego Stawu, a potem usiedli, by posilić się grzybami i wędzonym mołem, przysmakiem Rogowca. Najedzeni, poczuli pragnienie, więc wspięli się kawałek po schodach do miejsca, w którym w opadającej ścianie komory powstał naturalny otwór odpływowy nazywany przez Funderlingów Studnią Starszych. W przeciwieństwie do Słonego Stawu, który wlał się z zatoki i którego powierzchnia pozostawała zawsze na poziomie morza, Studnia Starszych miała świeżą wodę pitną, deszczówkę z Góry Midlana. W rzeczywistości takie otwory odpływowe umożliwiały życie na wielkiej skale zarówno Funderlingom, jak i dużym – jedni i drudzy kopali studnie w warstwach wodonośnych.

Przyglądając się Krzemieniowi, który kłęczał na skraju stawu, czerpiąc wodę rękoma, jak zawsze ogromnie skupiony, jakby robił to po raz pierwszy, Rogowiec zastanawiał się, jak to się dzieje, że w życiu najprostsze sprawy mogą tak się skomplikować. Oto woda. Załedwie kilkaset łokci nad powierzchnią słonej Zatoki Brenna. Oddziela je od siebie jedynie warstwa wapienia Góry Midlana, a gdyby to się zmieniło – na przykład z powodu drżenia ziemi, które wcześniej miały miejsce, choć nie za pamięci Rogowca – zmieniłoby się też wszystko inne: wody zatoki zatopiłyby wszystko poniżej Słonego Stawu, zabijając mnichów i wszystkich innych w świątyni. Także woda wielu źródeł nie nadawałaby się już do picia.

Choć ta równowaga wydawała się niepewna, życie toczyło się dalej, niemal niezmiennie, przez kolejne stulecia. Rogowiec, na drzewie genealogicznym rodu Liderytów, był w stanie prześledzić swoją linię do prawie dziesięciu pokoleń wstecz; przedstawiciele niektórych bogatszych i bardziej wpływowych rodów twierdzili, że mogą wymienić stu swoich przodków.

Tylko czy kolejne pokolenie będzie mogło powiedzieć to samo? Czy może będą recytować litanie swoich przodków w jakiejś nędznej norze po tym, jak Qarowie zniszczą ich starożytną siedzibę? Czy przyszłe pokolenia Funderlingów będą żyły dziko w nieobrobionych pieczarach,

podobnie jak ich przodkowie, jak utrzymują niektórzy bardziej ekscentryczni filozofowie?

Rogowiec otrząsnął się z zamyślenia i ze zdziwieniem zobaczył, że Krzemień stoi przed nim i wpatruje się w niego pełnymi spokoju ogromnymi oczami.

– Słyszałeś? – zapytał chłopak. – Wydawało mi się, że słyszałem jęk.

– Może Chaven?

Chłopiec pokręcił głową.

– Za głośny. Za niski.

– W takim razie to pewnie odgłosy ziemi. Wybacz, chłopcze. Rozmyślałem o wodzie i kamieniu, o których to rzeczach taki stary członek Cechu jak ja myśli coraz częściej.

– Mikryt – rzekł chłopak i podniósł blady, nieregularny kamień. – Rodzaj wapienia z muszelkami w środku.

Rogowiec roześmiał się zadowolony.

– Widzę, że nauka nie poszła w Głębie. Dobry chłopak.

Nie znalazłszy żadnych śladów Chavena ani niczego podejrzanego w okolicy Kaskadowych Schodów, poszli w dół obok świątyni i dalej przez Pięć Łuków do sieci licznych tuneli prowadzących do Labiryntu. Oczywiście Rogowiec nie zamierzał zbliżyć się do Tajemnic; za nic nie chciał zgubić chłopca w płataninie ciemnych korytarzy, lecz jeśli Chaven zgubił się gdzieś w głębiach pod świątynią, to przede wszystkim należało sprawdzić właśnie to miejsce. Sam Labirynt był jeszcze bardziej zagmatwany, więc jeśli medyk zapuścił się tak daleko, Rogowiec potrzebowałby pomocy braci, by dokładnie przeszukać teren – dobrze zapamiętał swoje przykre doświadczenia z tej mrocznej matni.

Jakąś godzinę później Rogowiec stał w rozwidleniu dwóch tuneli, coraz bardziej przekonany, że czas zaprzestać poszukiwań i wrócić do świątyni, jeśli chcą zjeść kolację, gdy nagle zorientował się, że jest sam.

Przerażony pobiegł z powrotem w głąb tunelu.

– Krzemieniu! – zawołał. – Chłopcze! Gdzie jesteś? – Przeklinając samego siebie, zaczął przeszukiwać boczne tunele, które wcześniej mijali. Wyglądało na to, że wszystko, co powiedziała o mężu Opal, nawet najbardziej niesprawiedliwe słowa, jest jednak prawdą – był skończonym cymbałem. Sprowadził chłopaka w miejsce, w którym już raz zniknął, w miejsce, w którym przeżył Starsi tylko wiedzą jak straszne chwile!

Sprawdzając szósty czy siódmy z poprzecznych tuneli, znalazł się w długim korytarzu, który wił się i opadał. Rogowiec biegł nim jakiś czas, lecz potem doszedł do wniosku, że traci zbyt dużo czasu na tę jedną króliczą norę. Miał już zawrócić do głównego korytarza, gdy niespodziewanie tunel się rozszerzył. Rozszerzenie kończyło się wielką szczeliną szerokości ramienia Funderlinga, lecz kilkakrotnie wyższą, co Rogowiec ledwo zauważył, gdyż w tym momencie zobaczył nieopodal skuloną na ziemi bladowłosą postać.

– Starsi miejcie nas wszystkich w opiece! – zawołał i przyklęknął obok Krzemienia. Poczuł ogromną ulgę, widząc, że chłopiec oddycha, a nawet zaczął się poruszać, gdy Rogowiec podniósł go niezgrabnie i przytulił do piersi.

– Och, dzieciaku, co ja zrobiłem? – jęknął Funderling. Krzemień drgnął w jego ramionach, najpierw lekko, a potem mocniej. Chwilę później Rogowiec poczuł ciepłą wilgoć na szyi i odchylił głowę do tyłu, szukając krwi... lecz to nie krew płynęła po twarzy chłopca. Krzemień płakał.

– Chłopcze? – spytał Rogowiec. – Dziecko, o co chodzi? Słyszysz mnie?

– Umieram... – powiedział Krzemień. – Umieram.
– Wcale nie! Nie mów takich rzeczy, bo ściągniesz na siebie gniew Starszych! – Przytulił mocniej chłopca. – Nie kuś ich, bo oni codziennie muszą napępniać duszami swoje wiaderka.

Krzemień jęknął.

– Ale ja czuję... och, papo Rogowcu, to tak bardzo boli...

– Nie bój się, chłopcze. Zniosę cię z powrotem.

– Nie, nie chodzi o mnie. To znaczy... – Krzemień szarpnął się w ramionach Funderlinga, który ledwo go utrzymał. – Jest tam. Czułem. Tam! – Pokazał na szczelinę. – Umiera – powiedział i jęknął, jakby pochwycony w szpony śmiertelnej choroby.

Rogowiec opuścił ostrożnie chłopca i podpełzł do szczeliny, rozjaśniając ją snopem światła latarni.

– Co masz na myśli? Czy tam coś jest?

– Coś... coś, czego ja nie... – Krzemień pokręcił głową. Rogowiec dostrzegł w świetle latarni lśniące kropelki potu na bladej twarzy chłopca. – Boję się tego. Boli. Och, proszę, papo, umieram...

– Nie umierasz. – Funderling poczuł dreszcz na karku. Kiedyś, gdy przebywali razem w rodzinnym grobowcu Eddonów, chłopiec zachowywał się podobnie, jeszcze przed tym, nim zniknął w Tajemnicach. – To tylko dziura, chłopcze, czy raczej szczelina na złączeniu dwóch ogromnych płyt. Dlaczego tak się jej boisz?

Krzemień tylko pokręcił głową z miną przestraszonego zwierzęcia.

– Nie wiem.

Rogowiec przysunął się jeszcze bliżej i teraz mógł zajrzeć w otwór, lecz w bladym żółtawo-zielonym świetle nie zobaczył niczego poza kamieniem. Pęknięcie miało szerokość dwóch dłoni.

– Nie widzę niczego szczególnego... – zaczął i wtedy zorientował się, że widzi coś znajomego. Jak to możliwe? Przecież to tylko dwie kamienne płyty oddzielone szczeliną... – Ten zapach – mruknął. Teraz, gdy był już go świadomy, zapach, choć słaby, stał się tak samo wyraźny jak dźwięk młotka na kryształach. – Czułem go już wcześniej...

Wspomnienie tamtej chwili spadło na niego gwałtownie niczym uderzenie – ciemna, ogromna pieczara Tajemnic, jezioro pełne migocącego metalu i sam Lśniący Człowiek...

– Na Pana Gorącego Mokrego Kamienia – zaklął, nie zdając sobie nawet sprawy, że powiedział coś tak okropnego przy chłopcu. – Stamtąd pochodzi... ten zapach... Pieczara. Rzęciowy staw. Morze w Głębiach! – Przypomniał sobie, jak się wtedy zastanawiał, któredy ulatuje powietrze, ponieważ opary rtęci są trujące, a przecież obaj z chłopcem – podobnie jak mnisi przez wszystkie te lata – wrócili żywi znad Morza w Głębiach. Teraz uzmysłowił też sobie, że sama rtęć nie ma zapachu.

Przysunął twarz do szczeliny i powąchał. Wyczuł też inną woń – podobną do zapachu morza, którą pewnie niesło powietrze z powierzchni – ale przede wszystkim czuł zapach, który kojarzył się z rzęciowym stawem. Będzie musiał zapytać Cynobra, co to może być.

– Chodź, chłopcze – zwrócił się do Krzemienia. – Wracajmy do świątyni.

Krzemień spróbował się podnieść, ale ledwo trzymał się na nogach. Był zbyt duży, by Rogowiec mógł go ponieść na plecach, lecz Funderling uznał, że jeśli pozwoli mu się oprzeć o siebie, dadzą radę pójść, choćby powoli. Spóźnią się na kolację. W innych okolicznościach Rogowiec czułby się rozgoryczony, lecz teraz, przepełniony obawą o chłopca i świadomy dziwnego zapachu Morza w Głębiach, stracił apetyt.

Po raz kolejny pomyślał o tym, jak dziwny jest ten mały świat pod Zamkiem Marchii Południowej; świat o wiele jednak większy i bardziej złożony, niż wyobrażali sobie duzi

mieszkający na górze; świat wykraczający nawet poza wyobrażenie samego Rogowca i innych Funderlingów. Jeśli powietrze znad Morza w Głębiach miało ujście na powierzchnię, jak się wydawało, to otwór musiał się znajdować gdzieś w obrębie murów zamku. I nie było w tym nic dziwnego, bo wapienna Góra Midlana była mocno podziurawiona, istniało też wiele podobnych pęknięć, które wentylowały Miasto Funderlingów i Głębie, bo inaczej nie mogłoby tam mieszkać tylu ludzi, lecz z zupełnie niezrozumiałego powodu świadomość tego, że między Lśniącym Człowiekiem a powierzchnią jest tylko powietrze, drażniła Rogowca jak ból zęba.

Gdy minęli Pięć Łuków, Krzemień odzyskał częściowo siły i szedł już samodzielnie, wspinając się po stopniach Kaskadowych Schodów, choć oddychał ciężko i często zatrzymywał się na odpoczynek.

– Wybacz, tato – odezwał się podczas jednego z takich postojów. – Ja... myślałem, że umieram. Ale też czułem, jakby odchodził ktoś ukochany, jakbyś odchodził ty albo mama Opal.

– Już dobrze, synu. Poczujesz się lepiej, gdy wlejesz w siebie trochę zupy. Nie ma się czego wstydzić, wszyscy wiedzą, jakie dziwne są tamte korytarze.

Gdy dotarli do świątyni ścieżką przez rytualne ogrody grzybne, ujrzeni przysadzistą postać na skrzyżowaniu dwóch drózek, wpatrzoną w siatkę sznureczków podtrzymujących grzyby, które tworzyły świętą motykę. Gdy podeszli bliżej, Rogowcowi wydało się, że rozpoznaje tę osobę.

– Chavenie? Czy to ty? Chaven! – Podbiegł do przodu. – Chwalić Starszych, znalazłeś się! Medyk odwrócił się i przywitał ich uśmiechem.

– Tak – rzucił zdawkowo jak ktoś, kto właśnie wrócił z krótkiego spaceru.

– Gdzie się podziewałeś?

Chaven patrzył nad ramieniem Funderlinga na Krzemienia, który zatrzymał się na środku ścieżki, jakby nie chciał podejść bliżej.

– Witaj, młodzieńcze. Hm, gdzie się podziewałem? – Medyk skinął głową, jakby uznał, że to mądre pytanie wymaga namysłu, a nie pospiesznej odpowiedzi. – Zaszedłem do tuneli za Pięcioma Łukami. Tak.

– Właśnie stamtąd wracamy. Jak to możliwe, że się minęliśmy? Dawno wróciłeś?

Oblicze medyka wciąż wyrażało łagodne zdziwienie.

– Ja... no wiesz, nie pamiętam dokładnie. Zgłębiałem pewne idee... pewne... myśli... które mnie intrygowały. – Zmarszczył brwi jak ktoś, kto przypomniał sobie, że ma jeszcze coś do zrobienia. – Tak, musiałem przemyśleć kilka rzeczy, no i trochę pobłądziłem.

Rogowiec zamierzał wypytać medyka, by uzyskać bardziej szczegółowe odpowiedzi zamiast tych ogólników, gdy na końcu ścieżki pojawił się jeden z mnichów, który zaczął wymachiwać rękoma wyraźnie podekscytowany.

– Liderycie, czy to ty? Przyjdź tu szybko! Inwazja.

– Inwazja? – Rogowiec poczuł wzbierające przerażenie. Czy już nigdy nie zazna spokoju? Czy to oznaczało, że Vansen poniósł porażkę?

– Tak – rzekł mnich. – To straszne. Kobiety. Wszędzie kobiety.

– Jak to? O czym ty mówisz?

– Kobiety z Miasta Funderlingów. Żona magistra i inne właśnie przybyły. Dziesiątki kobiet! Świątynia to nie miejsce dla nich!

Rogowiec odetchnął z ulgą i parsknął śmiechem.

– Tak, bracia, dostaniecie za swoje, biedni ciulacze. – Spojrzał na Krzemienia. – A to znaczy, że wróciła też nasza Opal. Idziemy, chłopcze.

Gdy szli za wzburzonym mnichem, Chaven został trochę z tyłu, wciąż zatopiony w swoich rozmyślaniach.

Krzemień nachylił się do Rogowca.

– On nie mówi nam prawdy – wyszeptał. Nie powiedział tego z wyrzutem, a jedynie stwierdził fakt. – A przynajmniej nie mówi wszystkiego. Skrywa przed nami coś ważnego.

– Też odniosłem takie wrażenie – mruknął Rogowiec. Przed kolumnadą świątyni kłębił się tłum mnichów, którzy przypominali myszy uciekające przed kotem. – Podobne wrażenie. I wcale mi się to nie podoba.

I znowu mam zbroję, pomyślał Ferras Vansen i uśmiechnął się smutno, poprawiając kolczugę. Ach, przynajmniej nie miałem czasu przyzwyczać się do wygod.

– Spakowałem trochę jedzenia, tak jak prosiłeś, kapitanie – powiedział brat Antymon. – Chleb, ser i kilka cebul. Och, dopisało nam szczęście, spójrz! – Mnich rozchylił worek. – Uszy Starucha!

Przez chwilę Vansenowi wydawało się, że jego żołądek podjedzie do góry i wyskoczy mu przez usta. Zaraz jednak zorientował się, że choć to, co pokazał mu Antymon, rzeczywiście przypomina mięsiste i pomarszczone uszy, to w rzeczywistości są to jakieś grzyby. Niemniej dziwnie pachniały, były ciemne i wilgotne, jakby stęchłe, dlatego Vansen nie potrafił wykrzesać z siebie zbyt dużo entuzjazmu.

– Tak. Wspaniale.

– Wciąż uważam, że to kiepski pomysł, kapitanie – zwrócił się do niego Cynober. – Weź ze sobą chociaż tuzin naszych ludzi. Jaspis jest gotowy.

– Tak, weź mnie, kapitanie. – Łysa głowa Jaspisa Młota była mocno poznaczona ranami i siniakami, jakby wyrzeźbiono ją w marmurze. – Chętnie spotkam się z tymi tancerzami z łąk. Tak, nie miałbym nic przeciwko temu, żeby zabić jeszcze kilku.

– Właśnie dlatego nie jest to misja dla ciebie – odparł Vansen. – Nie mógłbym zmarnować naszego najlepszego wojownika, skoro nie zamierzam walczyć. Tu jesteś bardziej potrzebny.

– Tak jak i ty, Vansen – rzekł Malachit Miedziak. – To najważniejsza prawda.

– Musicie mi zaufać, panowie, w ten sposób najlepiej się przysłużę naszej sprawie. Wolicie, żebym tu siedział i czekał na kolejny atak, czy też wyszedł na górę i spróbował zapobiec dalszym napaściom?

Cynober pokręcił głową.

– Te twoje zawile wywody... przecież istnieją nie tylko te dwie ewentualności. Możesz zginąć, nie zawarłszy żadnej umowy. A wtedy nie będziemy mieli ani obrońcy, ani negocjatora.

– Niezbyt optymistyczna myśl, magistrze. Zaryzykuję. Uwierz mi, jestem jedyną osobą, która może się tego podjąć. Jeśli zabiorę ze sobą zbyt wielu ludzi, wtedy nie dość, że osłabię waszą obronę, to jeszcze sprowokuję przeciwnika do podejrzeń, że przychodzimy ich zaatakować. Muszę wierzyć, że uda mi się spotkać z ich przywódczynią twarzą w twarz. – Odwrócił się do Antymona. – Zgrabnie obwiązałeś liną więźnia, bracie – bez wątplenia musi być do nas przywiązany – ale wolałbym, żeby przymocować mu linę do kostki u nogi. Jeśli spróbuje uciekać, będę mógł go zwalić z nóg. – Spojrzał surowym wzrokiem na drowa, który nie rozumiał jego słów, ale z tonu głosu z pewnością domyślał się, co on mówi. Mały brodacz skulił się przestraszony, obnażając sterczące żółte zęby.

Nie tracili czasu na długie pożegnania: Vansen wiedział, że Cynober i pozostali Funderlingowie nie popierają jego decyzji, a on sam czuł się paskudnie, zabierając ze sobą

lubianego przez wszystkich Antymona. Możliwe, że ktoś inny byłby w stanie tłumaczyć, lecz kapitan wierzył w młodego mnicha i wiedział, że nie straci on głowy w trudnych chwilach; z drugiej strony wiedział też, że mimo pewności, którą sam starał się okazywać, ma niewielką szansę na powodzenie.

Drow, który wciąż wyglądał, jakby spodziewał się jakiegoś podstępu ze strony Funderlingów, ruszył przed siebie z liną u nogi i poprowadził ich na górę do miejsca, w którym Qarowie wdarli się do korytarzy. Ludzie Cynobra już prawie skończyli łątać wyrwę, układając kamienie tak fachowo, że nie sposób było przedostać się na drugą stronę. Vansen patrzył zdumiony, ponieważ zapomniał, że już rozpoczęto naprawy. I jak się teraz dostaną do Qarów? Na pewno nie żadną drogą na powierzchni: jeśli strzępy chaotycznych wieści, które dotarły do Miasta Funderlingów i do świątyni, były prawdziwe, oblężenie tam na górze przeszło już pewnie w regularny atak. Nie przeżyliby z Antymonem takiej próby.

Z kolei potrzebowaliby wielu godzin, żeby usunąć kamienie – godzin, które Funderlingowie powinni spędzić na umacnianiu obrony, a nie na budowaniu i niszczeniu tego samego. Potwornie znużony Ferras Vansen oparł się o ścianę. Dowódca? Generał? Nie nadawał się nawet na swoje dawne stanowisko dowódcy straży.

Drow spojrzał uważnie na naprawioną ścianę, a potem skierował spojrzenie na Vansena i powiedział coś w swoim gardłowym języku.

– On... chyba mówi, że do jego obozu można się dostać inną drogą – przetłumaczył Antymon.

– Inną drogą? Qarowie znają inną drogę do naszych pieczar? – Vansen patrzył zdumiony na małego brodacza. – Dlaczego zdradził nam tę tajemnicę?

– Boi się, że gdybyśmy teraz wrócili, nasi ludzie straciliby cierpliwość i go zabili. Mówi, że ten bez włosów – Jaspis oczywiście – wykonywał... różne gesty. – Antymon opanował uśmiech. – Dał mu jasno do zrozumienia, że chętnie skrzyłby mu kark... albo zrobił coś jeszcze gorszego.

– Nie wątpię. – Vansen skinął głową. – Powiedz mu, że pozwolimy, żeby pokazał nam nowe przejście.

– Prosi tylko o jedno. Błaga, żeby nie mówić Pani Jeżozwierz, że wskazał ci drogę, której wcześniej nie znałeś. Mówi, że to by oznaczało jego koniec, straszliwszy nawet, niż ten bezwłosy potrafiłby sobie wyobrazić.

Dzieci w klatkach

Rhantys, który twierdził, że osobiście rozmawiał z czarodziejskimi ludźmi, mówi, że królowa Qarów jest nazywana Pierwszym Kwiatem, a to dlatego, że jest matką całej rasy. Uczony sugeruje nawet, że jej imię Sakuri pochodzi od słowa Qarów, które znaczy „Wiecznie Płodna”, lecz nie da się potwierdzić ani obalić tego twierdzenia, jako że nie istnieje gramatyka Qarów.

– z *Traktatu o czarodziejskich narodach obojga kontynentów Eionu i Xandu*

Nie można było powiedzieć, że Pinimmon Vash nie lubi dzieci. Zawsze miał ich dziesiątki w charakterze niewolników, w szczególności dla swoich bardziej skrytych potrzeb. Trzymał tylko chłopców oczywiście – dziewczęta nie dawały mu satysfakcji. Co nie znaczy, że w domu nie usługiwały mu młode niewolnice. Nikt nie mógł mu zarzucić, że ma coś przeciwko dzieciom. Lecz teraz zaniepokoiło go to dziwne polecenie dotyczące tych szczególnych dzieci.

Nie wspominając o ogromie pracy, jaka na niego spadła w związku z tą sprawą. Czym innym były zwykle kaprysy autarchy, jego nieoczekiwane pragnienie zjedzenia dziwnej potrawy, posłuchania egzotycznej muzyki albo chęć wypróbowania jakiejś starożytnej, niemal zapomnianej formy przesłuchania. Wszystko to mieściło się w zakresie obowiązków Vasha, a podobne usługi świadczył także dla kilku poprzednich autarchów. Szczycił się więc swoją umiejętnością odgadywania podobnych zachcianek i co najmniej rozpoczęcia ich realizacji. Lecz przy Sulepisie nawet jego dziadek Parak, człowiek znany ze swoich szalonych pomysłów, wydawał się równie stateczny jak najstarszy i najbardziej zramolały kapłan w wielkiej świątyni. A teraz...

– Udaj się z wojskiem na brzeg – polecił mu autarcha, gdy zatrzymali się w Orms, mieście w bagnistym Helobine, kraju położonym na południe od Brenlandii, by uzupełnić zapasy żywności i wody pitnej. – Wyjdźcie kilka mil za mury – nie muszą tracić czasu na walkę z tutejszą ludnością, a gdybym już wyprowadził swoich ludzi na ulice, musiałbym spuścić ich ze smyczy i siedzielibyśmy tu długie dni. Tak więc udajcie się na prowincję i przyprowadźcie dzieci. Żywe. Setka powinna wystarczyć...

Żadnych dodatkowych informacji ani instrukcji, jak to w przypadku autarchy.

Porwij setkę dzieci z ich domów. Sprowadź je na statek. Daj im dach nad głową, nakarm i utrzymaj przy życiu, możliwie w dobrym stanie. A czy ktoś mi powiedział dlaczego? Nie, oczywiście, że nie. Żadnych pytań, Vash. Może i jesteś najstarszym i najbardziej zaufanym doradcą autarchy, ale nie zasługujesz na żadne względy, pomyślał rozgoryczony. Po prostu rób, co ci kazano.

Pierwszy minister po raz ostatni przeszedł się wokół części ładowni odgradzonej kijami powiązanymi sznurkami, które tworzyły ściany klatki dla młodych więźniów. Kilkanaścioro dzieci umieszczono tutaj, pozostałe zakwaterowano na pokładach innych statków. Wyżywienie ich nie stanowiło większego problemu, pomyślał Vash, wodząc wzrokiem po bladych twarzach dzieci, ponurych, zdezorientowanych i sparaliżowanych strachem. Ale jak je utrzymać przy życiu, jak tego dokonać? Już kilkoro kasłało i pociągało mocno nosami. Klatka w ładowni nie

była najcieplejszym miejscem dla tuzina półnagich dzieciaków, ale czy autarcha potrafiłby zrozumieć, że nagła gorączka może zabrać wszystkie? Nie, nie zrozumiałby tego.

Po prostu skróci mnie o głowę, pomyślał Vash. Patrząc na pochlipującego chłopca, żałował, że nie może sięgnąć do klatki i zdzielić bachora, żeby przestał płakać. A nawet jeśli dopisze mi szczęście i uda mi się utrzymać je przy życiu, żeby Sulepis mógł zrealizować swój szalony plan, cokolwiek to jest, to co dalej? Co dalej, Pinimmonie?

Festiwal dziwnych kaprysów autarchy trwał. Z Hierosolu wypłynęli na pokładzie jednego statku, lecz wkrótce dołączyły do nich pełne żołnierzy okręty z Xis. Teraz, kiedy flotylla opłynęła Brenlandię i zostawiła za sobą Cieśninę Connorda, zacumowali w płytkiej odludnej zatoce wschodnich kresów Helmingsea. Decyzja ta zdumiała Pinimmona Vasha równie mocno jak rozkaz porwania setki dzieci. Coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że jego pan celowo utrzymuje go w mroku niewiedzy dotyczącej istoty tej dziwnej wyprawy.

Zdumiony zobaczył, że Białe Ogary, okrutne wojsko autarchy, wyprawiają się wraz z końmi łodziami na brzeg. Odjechali na zachód, znikli w lesie i już więcej ich nie widzieli, tymczasem autarcha nakazał kapitanowi podnieść kotwicę. Flotylla wciąż znajdowała się daleko od Marchii Południowej, miejsca ich przeznaczenia, dlatego Vash nie miał najmniejszego pojęcia, z jaką misją wysłano Białe Ogary.

– Bądźmy wobec siebie szczerzy, Olinie – powiedział Sulepis – choćby tylko jako ludzie uczeni i władcy. – Teraz, gdy znowu znaleźli się na morzu, sunąc wzdłuż wybrzeża do celu podróży, autarcha był w wylewnym nastroju. Stał tak blisko relingu – i tego przekłętego króla z północy – że Vash niemal fizycznie wyczuwał niepokój Lampartów z jego straży, obserwujących całą scenę nieruchomymi drapieżnymi spojrzeniami zwierząt, od których otrzymali przydomek. – Większość z tego, co nam mówią o bogach kapłani czy święte księgi, to bzdury – mówił dalej. – Bajki dla dzieci.

– Może tak jest, gdy chodzi o bajki o twoim bogu – odparł Olin oschłym tonem – ale to jeszcze nie znaczy, że tak po prostu odrzucę mądrość mojego Kościoła...

– A zatem wierzysz we wszystko, co napisano w *Księdze Trygonu*? W to, jak kobiety zamieniały się w jaszczurki, by udaremnić zaloty bogów? Albo jak Volos Długobrody wypił ocean?

– Nie nam osądzać intencje bogów ani to, czego potrafią dokonać, jeśli zechcą.

– Ach, tak. W tej materii się zgadzamy, królu Olinie. – Autarcha uśmiechnął się. – Nie interesuje cię zbyt ten temat, prawda? W takim razie pozwól, że poruszę bardziej konkretne sprawy. Twoja rodzina ma pewną niewidoczną... ułomność. Skazę, że tak powiem. Myślę, że wiesz, o czym mówię.

Olin był wyraźnie wzburzony, lecz zapanował nad głosem.

– Skaza? We krwi Eddonów nie ma żadnej skazy. Panie, to, że możesz mnie zabić, nie oznacza jeszcze, że masz prawo obrażać moją rodzinę i mój ród. Sprawowaliśmy rządy w Connord jeszcze przed przybyciem do Królestw Pogranicza, a i wcześniej byliśmy wodzami.

Autarcha wyglądał na rozbawionego.

– Żadnej skazy, twierdzisz? Na ciele czy charakterze? Dobrze, pozwól więc, że opowiem ci, czego się dowiedziałem. Jeśli potem wciąż będziesz utrzymywał, że się myłę, jestem gotów

cię przeprosić. To by było zabawne, co, Vash?

Pierwszy minister nie miał pojęcia, jakich słów spodziewa się po nim Sulepis, który spoglądał na niego wyczekująco.

– Bardzo zabawne, Złocisty. Ale wielce nieprawdopodobne.

– Najpierw jednak pozwól, że opowiem ci trochę o mojej podróży, Olinie. Może wtedy łatwiej ci będzie zrozumieć, do czego zmierzam. Ciebie też to zaciekawi, ministrze. Nikt inny poza Panhyssirem nie słyszał tej opowieści.

Na dźwięk imienia swojego rywala Vash poczuł się, jakby wrzucono mu za kołnierz rozgrzany węgiel, mimo to zmusił się do uśmiechu, który miał wyrażać wdzięczność. Przynajmniej nie stało się to w obecności najwyższego kapłana, bo wtedy upokorzenie byłoby o wiele dotkliwsze.

– Słucham uważnie, by usłyszeć mądrość, którą mój pan zechce się z nami podzielić.

– Pewnie, że słuchasz. – Sulepis najwyraźniej dobrze się bawił: jego szczupła, pociągła twarz marszczyła się w szerokich krokodylich uśmiechach, a niesamowite oczy wydawały się bardziej ożywione niż zwykle. – Pewnie, że słuchasz.

Już od szczenięcych lat wiedziałem, że nie jestem taki jak inne dzieci. I nie chodziło o to, że byłem synem autarchy, ponieważ wychowywałem się pośród dziesiątek innych dzieci, które twierdziły to samo. Już od wczesnych lat słyszałem i widziałem rzeczy, których nie potrafili zobaczyć inni. Z czasem uzmysłowiłem sobie, że spośród wszystkich moich braci tylko ja wyczuwam obecność samych bogów. Wprawdzie każdy autarcha twierdzi, że słyszy ich mowę, ale ja zdawałem sobie sprawę, że nawet w przypadku mojego ojca Parnada były to tylko puste słowa.

Ale nie dla mnie.

Czy to nie dziwne? Ja i wszyscy inni królewscy synowie byliśmy dziećmi boga-na-ziemi, lecz tylko ja potrafiłem odczuć obecność bogów! Jeszcze dziwniejsze wydaje się to, że poza tym skromnym darem nie otrzymałem żadnej większej mocy. Bogowie nie obdarzyli mnie większą siłą niż innych śmiertelników ani dłuższym życiem. Nic! Podobnie w przypadku mojego ojca i wszystkich jego przodków. Autarcha Xis był zwykłym człowiekiem! W jego żyłach płynęła pospolita krew. Wszystko, czego nas uczono, było kłamstwem, ale tylko ja miałem dość odwagi, by to przyznać.

Vash nie słyszał wcześniej tylu bluźnierstw wypowiedzianych jednym tchem, i to przez samego autarchę! Co to miało znaczyć? Jak powinien zareagować? Choć ogólnie obojętny wobec spraw religii, nie zapominał jednak, że jest ona bijącym sercem dworskiej etykiety w Xis, dlatego teraz aż się skulił, spodziewając się, że w każdej chwili sam wielki bóg może ich razić ognistymi promieniami. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że spełniają się wszelkie jego obawy dotyczące niepoczytalności autarchy!

– ...Tak więc postanowiłem dowiedzieć się czegoś więcej – mówił dalej Sulepis – o historii mojego rodu i o krwi bogów.

Najpierw poświęciłem się studiom dzieł zgromadzonych w bibliotekach Sadowego Pałacu. Odkryłem, że zanim moi przodkowie przybyli z pustyni i objęli tron w Xis, w mieście panowały inne rody, które przyznawały się do powinowactwa z innymi bogami. Im bardziej zagłębiałem się w przeszłość, tym bogatsze znajdowałem opisy przodków podobnych bogom. Czy uważano tak dlatego, że przebywali oni bliżej swoich boskich krewnych niż my, współcześni ludzie, i w ich żyłach płynęła święta krew jeszcze nierozwodniona? Czy może raczej wraz z upływem czasu coraz bardziej ubarwiano te opowieści? A jeśli starożytni monarchowie, samozwańczy potomkowie Argala czy Xergala, byli tak samo śmiertelni jak wszystkie tępe istoty wychowywane w moim pałacu, tak samo śmiertelni jak mój ojciec? Parnad może i był zawziętym

i przebiegłym człowiekiem, ale już dawno odkryłem, że nie miał dość rozumu ani zainteresowania dla spraw religii i filozofii.

Niektórzy kapłani rozpoznali we mnie coś, co można by nazwać bratnią duszą. Oczywiście mylili się, bo mnie nigdy nie interesowała wiedza ezoteryczna dla niej samej. Życie śmiertelnika jest zbyt krótkie na takie pozbawione ram studia. A mnie absorbowwała tylko jedna myśl. Bez prawdy nie miałem narzędzia, a bez narzędzia nie mogłem nadać światu takiej postaci, która by mnie bardziej zadowalała.

W każdym razie kapłani z biblioteki zaczęli wspominać o księgach, o których słyszeli, a których nigdy nie czytali, a ja wreszcie zrozumiałem, że istnieją pisma, jakich nie znajdę w księgozbiornicy Sadowego Pałacu, napisane w językach innych niż nasz, nigdy nie przetłumaczone na nasz ojczysty język! Wciąż się dziwisz, dlaczego moja hierosolina jest tak dobra, królu Olinie. Teraz rozumiesz. Opanowałem ten język, by dowiedzieć się, co starożytni uczeni z północy mieli do powiedzenia na temat bogów i ich czynów. Phayallos, Kotas z Mindan, Rhantys, a w szczególności ten ostatni... przeczytałem ich wszystkich, a także szukałem zakazanych ksiąg z południowego kontynentu. Wreszcie trafiłem na egzemplarz *Annalów wojny bogów* w świątyni w pobliżu Yisti, gdzie mój ileś-tam-pradziadek zburzył ostatnie miasta czarodziejskiego ludu na naszym kontynencie.

– Qarowie mieszkali na twojej ziemi? – Olin przerwał swoje długie milczenie, a jego głos, jak pomyślał Vash, zdradzał mimowolne zainteresowanie.

– Tak. A moi przodkowie zajęli się nimi. – Sulepis się zaśmiał. – Królowie z sokołem w herbie nie są tak sentymentalni jak wy, władcy z północy. Nie czekaliśmy, aż zaraza zniszczy połowę naszych królestw, i od razu wytepiiliśmy to czarodziejskie robactwo.

W poszukiwaniu prawdy w młodości odwiedziłem wiele dziwnych miejsc. Wykopałem cylindryczne księgi z węzowych grobowców Hayyidów, które tkwią na tamtejszych równinach niczym posągi pustynnych kotów. Targowałem się z *golya* przy ich ogniskach na pustyni, to ludożercy, a także, jak się mówi, zmiennokształtni, którzy podczas pełni księżyca przybierają postać hieny. Snuli dawne opowieści i pokazywali mi kamienne rzeźby, które zachowali od czasów, gdy po ziemi stąpali bogowie. Od nich to poznałem tajemnicę Przekleństwa Zhafarisa, klątwy śmiertelności, którą największy z bogów rzucił na ludzkość po tym, jak jego dzieci zwróciły się przeciwko niemu.

Zbzcześciłem nawet miejsce spoczynku moich ziomków, Orle Gniazdo ludu Bishakh, cmentarzysko pustynnych wodzów, moich praprzodków, na szczycie Góry Gowkha, gdzie ich zmumifikowane ciała złożono w gniazdach z kości niewolników, zwrócone twarzami na wschód, bo tam wszędzie Słońce Wskrzeszenia. Gdy na niebo wypłynął księżyc, a w pustynnych kanionach rozległo się zawroźnienie *golya*, wyrwałem kamienne tablice z zaciśniętych martwych dłoni moich przodków w poszukiwaniu boskich sekretów, nie bacząc na to, że moi strażnicy uciekli przerażeni.

Lecz wszelka nabyta wiedza tylko potwierdzała to, co już wiedziałem. Bogowie może i naprawdę istnieli, lecz ich moc zgasła i nie miał jej żaden człowiek, nawet autarchowie Xis. Może protoplastą mojego rodu był święty Nushash, sam pan słońca, ale nie potrafię oświetlić pokoju bez lampy ani zapalić jej bez krzesiwa.

I tak, podążając ścieżkami starożytnych uczonych, ścieżkami tak mrocznymi i strasznymi, że nawet kapłani z biblioteki mnie opuszczali, doszedłem do wniosku, że to, co było prawdą w odniesieniu do moich przodków, nie musi nią być, gdy mówimy o wszystkich ludziach. Mówiono, że niektóre rodziny zachowały boską krew, często dzięki *Pariki*, czarodziejskim ludziom, których wy nazywacie Qarami.

– Nie chcę dłużej tego słuchać – odezwał się niespodziewanie Olin. – Jestem znużony i

czuję się chory, proszę więc, bym mógł wrócić do swojej kajuty.

– Możesz sobie prosić, ile chcesz – odparł autarcha poirytowanym tonem – ale na nic się to nie zda. Wysłuchasz mojej opowieści, nawet gdybym miał cię skrepować i zakneblować, ponieważ mam ochotę ci ją opowiedzieć, a w końcu jestem autarchą. – Jego oblicze rozchmurzyło się nieco. – Nie, mam prostszy sposób. Jeśli nie zgodzisz się mnie wysłuchać, każę przyprowadzić tu jedno z uwięzionych dzieci i uduszę je na twoich oczach, Olinie z Marchii Południowej. Co ty na to?

– Bądź przeklęty. Wysłucham cię. – Głos władcy z północy zabrzmiał tak cicho, że ledwo docierał do Vasha przez szum morza.

– I zrobisz coś więcej – rzekł autarcha. – Bo widzisz, w twoich żyłach płynie taka krew, Olinie Eddonie, krew, która niesie z sobą boską moc. Dla ciebie to coś bezwartościowego, przekleństwo, lecz dla mnie znaczy wszystko. Już za kilka dni, gdy wybije ostatni dzwon przesilenia letniego, ja ci to odbiorę.

Ostatnie godziny nocy przed otwarciem bram miasta były straszne. Briony leżała skulona na dnie wozu, próbując zasnąć, lecz pomimo ogromnego znużenia sen nie nadchodził. Zdrada Feivala, okrucieństwo lady Ananki i głupi osąd króla Enandera – wszystko to spędzało jej sen z powiek, a wypowiedziane przez wrogów słowa dźwięczały w jej głowie niczym rój much.

Znowu jestem uciekinierką, pomyślała. I co udało mi się tu zdziałać? Nic, a właściwie jeszcze gorzej. Kolejne miasto zamknęło przede mną bramy, a ja straciłam wszelką nadzieję na sprowadzenie ze Syanu pomocy dla Marchii Południowej.

Finn Teodoros wszedł cicho do wozu.

– Wybacz – powiedział, gdy zorientował się, że Briony nie śpi. – Szukam piór. Czy Zakkas cię uszczypnął, księżniczko? Wyglądasz na bardzo zamyśloną.

Zmarszczyła brwi, słysząc to łagodne bluźnierstwo.

Wieszcz był patronem wróżów i obłąkanych, a przyływy proroczego natchnienia lub szaleństwa nazywano czasem „uszczypnięciami Zakkasa”.

– Jestem rozdrażniona, dlatego nie mogę zasnąć. Wszystko zepsułam.

Dramatopisarz usiadł przy niej.

– Ach, ileż to razy wyznawałem to przed sobą? – powiedział i się roześmiał. – Pewnie rzadziej niż powinienem. Rzadko widzę, co zepsułem, gdy jeszcze nie jest za późno. Dobrze, że od razu to zauważyłaś, ale nie pozwól, by ta myśl całkiem tobą owładnęła.

– Chciałabym zasnąć, ale oczy same mi się otwierają. Co będzie, jeśli czekają na nas przy bramie?

– Czekają na nas? Nie sądzę. Może... na ciebie. Dlatego zostaniesz w wozie.

– Przecież ktoś mógł was zapamiętać. Lord Jino jest bystry. Niby wyraził żal z powodu tego, jak mnie potraktowano, ale i tak robi, co do niego należy. Na pewno zapamiętał nazwę trupy.

– W takim razie ją zmienimy – odparł Finn. – A teraz spróbuj odpocząć, księżniczko.

Gdy schodził po małych stopniach, wóz się zakołysał, a Briony została sama z głosami swoich licznych niepowodzeń.

Gdy zbliżali się do bram miasta, Ludzie Makewella w niczym już nie przypominali

wędrowną trupę aktorską. Maski, wstążki i inne drobiazgi, które zazwyczaj wystawiali, by od razu było widać, kto jedzie, zostały schowane, a sami aktorzy przebrali się w zwykłe stroje podróżne. Mimo to z jakiegoś powodu zwrócili uwagę jednego ze strażników, co zaniepokoiło Briony. Czyżby jednak ktoś z zamku ich zapamiętał?

– Mówisz, że dokąd jedziecie? – zapytał żołnierz Finna trzeci czy czwarty raz z rzędu. – Nie słyszałem o takiej miejscowości.

– Studnia Wyroczni Finneth w Brenlandii. – Finn starał się zapanować nad głosem.

– A to są pielgrzymi?

– Na Trzech! – Pedder Makewell nawet w lepszych chwilach nie potrafił zachować cierpliwości. – To niesłychane...

– Zamknij się, Pedder – ostrzegł go Teodoros.

– Nie słyszałeś o Studni Finneth? – Nevin Hewney wysunął się przed Makewella. – Ach, szkoda, wielka szkoda. – Hewney był bardziej znany ze swojej twórczości niż aktorstwa, lecz teraz wpłynął gładko na scenę i rozpoczął improwizację. – Widzisz, młoda Finneth była córką młynarza, cnotliwą, czystą dziewczyną. Jej ojciec był niewierzący. Żyli w czasach, gdy Brenlandia i Connord były jeszcze pogańskie i nie potrafiły odróżnić Trzech Świętych Braci od pozostałych bogów. – Hewney przybrał minę gorliwego świętoszka, tak że nawet Briony, która obserwowała całą scenę przez szparę między deskami wozu, prawie uwierzyła w jego nawrócenie. – Jej ojciec wstydził się, że córka naucza świętego słowa Trygonu, do tego jeszcze go zadenujcowowała, gdyż żył z występłą kobietą bez ślubu zawartego w świątyni, jak się należy. – Hewney perorował dalej, a w pewnym momencie chwycił strażnika za łokieć i nachylił się do niego tak mocno, że mężczyzna odsunął się odruchowo. – Tak więc ojciec razem ze swoją występłą kobietą pochwycili Finneth we śnie i wrzucili ją między kamienie młyńskie, lecz te nie chciały się obrócić i nie wyrzuciły jej krzywdy. Więc zawlekli ją w nocy do studni i wrzucili do wody, lecz rano...

– Co ty mi tu mamrociesz? – Strażnik wyrwał łokieć.

– Opowiadam ci o wyroczni Finneth – odparł Hewney ze spokojem. – I o tym, że rano kobiety z wioski przysły do studni po wodę, a Finneth uniosła się ze studziennej głębi, lśniąca niczym bogini, i przemówiła do nich, przekazując całą prawdę o Trzech Braciach, o Sześciorakiej Drodze i o Doktrynie Dobroci wobec Zwierząt Udomowionych...

– Zamilknij, człowieku! – jęknął strażnik i gdy już się wydawało, że pozwoli im jechać, Briony poczuła, jak wóz podskoczył, i zaraz usłyszała trzask otwieranych drzwi. Rzuciła się na podłogę i przykryła kocem po szyję.

– A to co za jedna? – zapytał inny strażnik. Wszedł do wozu i stanął nad Briony, która jęknęła, ale nie otworzyła oczu. – Co tu robi ta dziewczyna? – dopytywał się mężczyzna. – Niech no ci się przyjrę.

Briony poczuła, jak zsuwa się z niej koc. Zasłoniła dłońmi brzuch, bardzo wydatny po tym, jak wsadziła pod lichą sukienkę kilka szmat.

– Proszę, panie, proszę! – rzekł Finn. – To moja żona. Wieziemy ją do studni wyroczni, żeby wyblagać pomyślne rozwiązanie. Żadne z naszych dzieci nie przeżyło...

– Prawda – rzucił Hewney zza pleców Finna. – Mój szwagier wiele wycierpiał. Z jego żoną jest coś nie tak. To biedna, zepsuta dziewczucha. Sądzimy, że cierpi na jakąś chorobę. Ostatnim razem wydała na świat jakieś czarne okropieństwo, które śmierdziało jak zepsuta ryba...

Pomimo strachu Briony omal się nie roześmiała, widząc, jak strażnik pospiesznie się wycofuje.

Gdy wreszcie stracili z oczu bramy miasta, księżniczka usiadła na stopniach wozu, który podskakiwał na Królewskim Gościńcu, a tuż obok połyskiwała w porannym słońcu szeroka rzeka

Ester.

– Dobroci wobec Zwierząt Udomowionych? – zapytała. – Zepsuta ryba...?

Hewney popatrzył na nią z wyższością.

– Znałem pewną kobietę w Greater Stell, która ciągle cuchnęła jak zepsuta ryba. Uwierz mi, nawet ona miała adoratorów.

– Nie wspominając o stadzie kotów, które nie odstępowały jej ani na krok – roześmiał się Finn. – Dobra robota, księżniczko. Widzę, że nauka nie poszła w las. – Poklepał się po wydatnym brzuchu. – „Ach, moje biedne dziecko! Och, ja biedna”. Bardzo przekonująco zagrane.

Briony się roześmiała. Po raz pierwszy od dłuższego czasu.

– Hultaje jesteście, jak jeden.

– Ale mimo wszystko aktorzy są bardziej uczciwi niż większość szlachetnie urodzonych – rzucił Hewney.

Oblicze Briony spoważniało.

– Z wyjątkiem Feivala.

Twarz Hewneya także spochmurniała.

– Tak, z wyjątkiem jego.

Nim zapadła noc, dojechali aż do Doros Eco, obwarowanego murami miasteczka wciśniętego między wzgórze powyżej rzeki. Wieczór był chłodny i wietrzny. Otulona płaszczem Briony przyglądała się Estir Makewell zajętej przygotowywaniem posiłku i pomyślała, że po raz pierwszy od miesięcy czuje się... wolna. Nie, niezupełnie wolna, nie czuła tylko ciężaru, który zdawał się ją przygniatać każdego dnia pobytu w Latarnianym Pałacu, ciężaru podejrzeń i oczekiwań innych ludzi. Wciąż się martwiła, wciąż była przerażona tym, co się stało z jej życiem i z ludźmi, których kocha, lecz tutaj, pod gołym niebem, otoczona osobami, które nie chciały od niej niczego, czego by im chętnie sama nie oddała, patrzyła na wszystko z większą nadzieją.

– Mogę ci pomóc, Estir? – zapytała.

Kobieta obrzuciła ją podejrzliwym spojrzeniem.

– A niby dlaczego, księżniczko?

– Bo chcę. Nie zamierzam siedzieć i patrzeć, jak ktoś inny coś robi. Przedtem ciągle tak było.

Siostra Peddera Makewella prychnęła.

– A to takie złe? – Pokazała na marchewki i wąsate cebule. – Proszę bardzo. Tam jest drugi nóż. Pokrój to.

Briony rozłożyła na kolanach chustę i zabrała się do krojenia warzyw.

– Dlaczego tu jesteś, Estir?

Kobieta nie podniosła wzroku.

– A co to za pytanie? Niby gdzie miałabym być?

– Dlaczego wędrujesz z aktorami? Jesteś urodziwą kobietą. Na pewno spotkałaś w swoim życiu mężczyzn, którzy... obdarzyli cię względami. Czy żaden z nich nie poprosił cię o rękę?

Spojrzenie Estir znowu wyrażało nieufność.

– I owszem, zdarzyło się, choć to nie twój interes... – Kobieta trochę pobladła. – Wybacz, Wasza Wysokość, zapomniałam...

– Proszę, Estir, zapomnij wszystko, co chcesz zapomnieć. Przecież prawie... prawie się zaprzyjaźniłyśmy. Czy nie może być tak znowu?

Estir Makewell ponownie prychnęła.

– Łatwo ci mówić. Mogłaś kazać mnie zabić, pani. Wystarczyło jedno słowo skierowane do właściwych ludzi, a wylądowałabym w wieży, czekając na odwiedzinę kata. Albo by mnie oćwiczili na rynku. – Pokręciła głową w zatroskaniu. – Nie żebym się spodziewała, że to zrobisz. Jesteś miłą dziewczyną... przyzwoitą księżniczką, to chciałam powiedzieć...

Briony doszła do wniosku, że zwyczajna rozmowa z tą kobietą jest niemożliwa, więc poddała się i wróciła do krojenia warzyw.

W miarę upływu czasu Briony poddawała się rytmowi podróznego życia. Aktorzy mieli jeszcze trochę jej pieniędzy, nie musieli więc dawać przedstawień, ale przygotowywali dekoracje, rekwizyty i kostiumy do sztuk, które Finn, Hewney i Makewell zamierzali pokazać po powrocie do Marchii Południowej. Ku zdumieniu wszystkich młody Pilney, sceniczny mąż Briony w jednej ze sztuk, zakochał się w córce karczmarza – nie zdrażliwego Bedoyasa, lecz właściciela Pławikonii – i został w Tessis, by się ożenić i pomagać teściowi. Między tą stratą a mniej przyjemną zdradą Feivala z Ulos Briony musiała występować w większości ról dziewczęcych i młodych chłopców. Bawiło ją to nawet, lecz tym razem nie potrafiła ani na chwilę zapomnieć, że jest to coś tymczasowego, że świat jest teraz znacznie bliżej niej, niż gdy podróżowali do Tessis.

Potwierdzały to chociażby wieści, jakie zdobywali w miasteczkach albo od innych podróżnych. W drodze na południe napotkali ludzie rozprawiali o wydarzeniach z Królestw Pogranicza, przekazywali pogłoski o wojnie z czarodziejskim ludem i zmianie rządzących na Zamku Marchii Południowej, a także o oblężeniu Hierosolu przez autarchę. Teraz wciąż rozprawiali o autarsze, lecz przekazywane wieści były bardziej chaotyczne i przepełnione strachem. Niektórzy mówili, że autarcha zrównał z ziemią Hierosol i teraz maszeruje na północ w kierunku Syanu. Inni twierdzili, że z jakiegoś powodu udał się do Mionu i zaatakował mieszkańców. Byli też i tacy, według których autarcha zmierzał morzem do Marchii Południowej, co przeraziło Briony, choć wydało jej się zupełnie bezsensowne. Czego taki potwór mógłby chcieć od jej maleńkiego państewka? Czy to mogła być prawda? Czyżby sytuacja skomplikowała się bardziej, niż ona podejrzewała? Oczywiście dręczyły ją też inne pytania: skoro Hierosol naprawdę upadł, to gdzie jest teraz jej ojciec? Czy w ogóle żyje?

Tak więc zrozumiałe wydawało się to, że Briony nie czerpała już takiej radości z aktorstwa jak kiedyś.

Hewney i Pedder Makewell wrócili z miasteczka mocno skwaszeni.

– Tutaj też już byli królewscy żołnierze – oznajmił Makewell, przepłukując gardło łykiem kwaśnego piwa. – Grupą lepiej się tam nie zapuszczać, najwyżej w pojedynkę albo we dwójkę.

Briony poczuła, że jej serce na chwilę zamiera. Nie miała specjalnej potrzeby udawania się do tej małej miejscowości, bo co by tam znalazła – salę w karczmie, w której i tak musiałaby przez cały czas chować twarz? Kilka straganów na targu, na których mogłaby kupić kilka świecidełek, gdyby miała pieniądze na zbyciu, a tak przecież nie było? Nie, niepokoiła ją świadomość, że król Enander poluje na nią z taką zawziętością. Jeszcze bardziej martwiła się tym, że jeśli zostanie schwytana, Finn i pozostali aktorzy ucierpią z jej powodu. Przykrył ją długi cień.

– Wyglądasz na smutną, księżniczko. – To był Dowan Birch, najwyższy z trupy, skazany

przez to na role wszelkich ogrów i ogromnych kanibali, mimo że zupełnie się one kłóciły z jego łagodną naturą.

Briony nie chciała niepokoić jego ani innych swoimi obawami. Sami wiedzieli, jak się rzeczy mają.

– To nic takiego. Dlaczego nie poszedłeś do miasta z Pedderem i innymi?

Birch wzruszył chudymi ramionami.

– Jeśli szukają Ludzi Makewella, to bardzo prawdopodobne, że mnie zapamiętali.

Zaskoczona Briony zakryła usta dłońmi.

– Och, Dowanie, tak mi przykro! Nie pomyślałam o tym. Chowasz się tu tak samo jak ja.

Uśmiechnął się smutno.

– To nic nowego. Dokądkolwiek pójde, ludzie gapią się na mnie, a ja mam już tego dość. Dobrze mi tutaj – zatoczył łuk wokół obozu niewiarygodnie długim ramieniem – gdzie nikt nie zwraca na mnie uwagi.

– Birch! – zawołał Pedder Makewell. – A co ty się tam objasz, zamiast wziąć się do cerowania?

Birch przewrócił oczami, a Briony się roześmiała.

– Już idę, Pedder.

– Chciałam cię o to zapytać – powiedziała. – Gdzie się nauczyłeś tak dobrze szyć?

– Zanim zostałem aktorem, uczyłem się na kapłana i mieszkałem z innymi akolitami w świątyni Onira Iarisa. Oczywiście nie było tam żadnych kobiet, więc wszystko musieliśmy robić sami. Niektórzy odkryli w sobie smykałkę do gotowania. Inni nie, choć myśleli, że im to dobrze wychodzi – powiedział i parsknął śmiechem. – Ostatecznie stwierdziłem, że całkiem nieźle władam igłą i nicią.

– Chciałabym to samo powiedzieć o sobie. Ojciec zwykł mawiać, że patrząc, jak wykonuję ścieg, widzi kobietę, która próbuje zabić miotłą pająka – łup, łup, łup... – Teraz Briony się śmiała, choć zarazem poczuła ukłucie w sercu na myśl o Olinie. – Boże, jakże za nim tęsknię!

– Mówiłaś, że żyje. Jeszcze się spotkacie. – Birch skinął powoli głową. – Zaufaj mi. Często miewam takie przeczucia i zwykle się sprawdzają...

– A zaraz poczujesz, że straciłeś swoje miejsce na ziemi, i będziesz musiał błagać o jedzenie – zawołał Pedder Makewell. – Zabieraj się do roboty, ty wielki szczudłowaty bocianie!

– W świątyni też mieliśmy takiego – szepnął aktor do Briony, wstając. – Którejś nocy wylaliśmy na niego kubel zimnej wody i wmówiliśmy mu, że się złał do łóżka.

Briony śmiała się, patrząc za odchodzącym mężczyzną, który w pewnym momencie odwrócił się do niej. Miał dziwnie nieobecny wyraz twarzy.

– Zobaczysz, księżniczko – zwrócił się do niej. – Jeszcze się spotkacie. Lepiej pomyśl o tym, co mu powiesz.

Qinnitan wreszcie poznała imię swojego dręczyciela, choć przypadkowo. Dowiedziała się też czegoś, co, jak sądziła, będzie mogła wykorzystać o wiele lepiej niż znajomość imienia.

Minęła co najmniej połowa dekanoksu od chwili, gdy przyśniło jej się, że Barrick odwrócił się od niej na szczycie wzgórza, i choć potem jeszcze wracał do niej w snach, nigdy już nie odpowiadał na jej wołanie, a za każdym razem wydawał się coraz bardziej oddalony. Beznadziejność sytuacji zaczynała osłabiać determinację Qinnitan. Godzinami siedziała wpatrzona w przesuwającą się w oddali linię brzegu, usiłując wymyślić plan ucieczki. Czasem mijały ich łodzie, lecz ona wiedziała, że gdyby zawołała, nikt by jej nie pomógł, a nawet gdyby

spróbował, nie pokonałby tego demona, Vo, więc milczała. Już naraziła Gołębia na utratę palców, po co więc narażać na śmierć niewinnych rybaków?

Tamtej nocy, gdy poznała imię Vo, długo leżała, pogrążona w myślach, zanim zasnęła. Potem obudziły ją ciche kroki. Skulona w chłodzie nocy, rozpoznała chód Vo, który spacerował po pokładzie. Leżała, nasłuchując, jak chodzi tam i z powrotem, po niedużej powierzchni, w której środkiem ona mogła się znajdować. Co jakiś czas słyszała niewyraźne słowa, które wznosiły się nad nieustanny chłopot fal uderzających o burty, i po chwili zorientowała się, że to jej ciemniejszy mówi do siebie w xiskim.

Odkrycie, że osoba o żelaznej woli mówi do siebie, napełniło ją strachem, gdyż świadczyło o tym, że Vo traci kontrolę nad sobą i poddaje się szaleństwu, a ona wiedziała, że choć bardzo się go boi, to przynajmniej zachowa życie do momentu, gdy Vo przekaże ją autarsze, jeśli zachowa trzeźwość umysłu. Ale Sulepis zostawił coś w jego ciele i jeśli to coś tak bardzo mu dokucza albo też krople, które zażywa codziennie, w jakiś sposób otepiają jego umysł, wszystko mogło się zdarzyć. Tak więc Qinnitan drżała w ciemności, nasłuchując kroków.

Wydawało się, że Vo prowadzi z kimś rozmowę albo przynajmniej mówi tak, jakby ktoś go słuchał. W dużej mierze były to kolejne skargi, a większość z nich nic nie mówiła Qinnitan – jakaś kobieta, która posłała mu szydercze spojrzenie, mężczyzna, który się nad niego wynosił, inny, który twierdził, że jest mądrzejszy. Wszyscy oni źle go potraktowali, zdawał się podpowiadać rozgorączkowany umysł Vo, który wyjaśniał to teraz jakiemuś wyimaginowanemu słuchaczowi.

– Obedrę ze skóry, każdego. – Jego syczący głos, zabarwiony triumfalną nutą, zabrzmiał tak zimno, że Qinnitan ledwo się powstrzymała od krzyku. – Obedrę ze skóry i wyłupię oczy, tak że będą płakać krwawymi łzami, pełzając w brudzie zaświatów. Bo Daikonas Vo nie pozwoli, żeby z niego sztydono...

Kilka chwil później zatrzymał się w pewnej odległości od Qinnitan. Ostrożnie uchyliła powieki, lecz nie widziała dokładnie, co robi mężczyzna: miał odchyloną do tyłu głowę, jakby właśnie opróżnił kielich wina, lecz ten ruch trwał tylko moment.

Trucizna, pomyślała. Cokolwiek miał w czarnej buteleczce, zażywał to także w nocy, a nie tylko rano, jak zaobserwowała wcześniej. Zawsze tak było? Czy też to jego nowy zwyczaj?

Gdy Daikonas Vo znowu podniósł głowę, zachwiał się i omal nie upadł, co zdumiało Qinnitan, bo dotąd zawsze się poruszał z drapieżną gracją. Usiadł na pokładzie oparty plecami o maszt i opuścił głowę na pierś, jakby od razu zapadł w głęboki sen.

Znajomość jego imienia nic nie dała Qinnitan. Odkrycie, jak ze złością mówi do siebie, napełniło ją jeszcze większym strachem, bo rzeczywiście sprawiał wrażenie kogoś, kto popada w obłąd. Za to dobrze zapamiętała ten widok, gdy jego ciało stało się bezwładne, zaraz po tym, jak zażył truciznę.

To było warte przemyślenia.

Syn Pierwszego Kamienia

Eenur, król czarodziejskiego ludu, jest ponoć ślepy. Według niektórych został okaleczony, gdy walczył po stronie Zmeosa Białego Ognia podczas teomachii, rażony ognistym piorunem z młota Perina. Inni twierdzą, że oddał oczy w zamian za możliwość przeczytania Księgi skruchy.

– z *Traktatu o czarodziejskich narodach obojga kontynentów Eionu i Xandu*

Z niewyraźnego cienia wynurzyła się postać w bladej szacie. Wokół niej płąsały trzy zwierzęcokształtne istoty, zachowujące się niczym ogary, choć te trzymające się blisko ziemi małpowate postacie w niczym nie przypominały psów myśliwskich.

Barrick zebrał się w sobie gotowy do obrony, lecz obcy stał tylko, spoglądając na niego z góry z wyrazem twarzy, który mógł wyrażać konsternację. W pierwszym momencie książę pomyślał, że przybysz jest człowiekiem, lecz teraz już nie był taki pewien: uszy obcego nie dość, że miały dziwny kształt, to jeszcze były osadzone zbyt nisko na łysej czaszce, także kształt jego twarzy był niezwykle – bardzo wysokie kości policzkowe, długa szczeka i nos, nieduża wypukłość nad dwoma rozcięciami nozdrzy.

– Czym...? – Barrick zawahał się. – Kim jesteś? I gdzie ja jestem?

– Jestem Harsar, sługa. Znajdujesz się w Domu Ludzi, to oczywiste. – Obcy poruszał ustami, lecz jego głos rozbrzmiewał bezpośrednio w głowie Barricka. – Czy nie tutaj zmierzałeś?

– Ja... chyba tak. Król. Król kazał mi tu przyjść...

– Właśnie. – Obcy wyciągnął rękę, zimną i suchą niczym łapa jaszczurki, i pomógł Barrickowi wstać. Towarzyszące mu trzy istoty płąsały przez chwilę wokół niego, a potem wybiegły w podskokach do oświetlonego niebieskim światłem korytarza, gdzie przycupnęły pod ścianą w wyczekujących pozach. Barrick dopiero teraz się rozejrzał i zobaczył, że znajduje się w pokoju udekorowanym z ponurym kunsztem, otoczony lasem pasiastych kolumn, zbyt licznych, by mogły mieć jakieś zastosowanie. Pod jego stopami, osadzony w podłodze z czarnego kamienia, jarzył się perłście duży krąg, jedyne źródło światła w tej dużej komnacie.

– Czy ja wciąż...? – Barrick pokręcił głową. – Nie może być inaczej. Czy ja nadal jestem za Granicą Cienia?

Łysa postać przekrzywiła głowę, jakby musiała się zastanowić nad tym pytaniem.

– Wciąż jesteś na ziemi Ludzi, tak, oczywiście, a to jest ich największy dom.

– A król? Czy jest tutaj? Muszę mu przekazać... – Zawahał się. Kto wiedział, jakie intrygi snuto pośród Ludzi Zmierzchu. – Muszę z nim porozmawiać.

– Właśnie – powtórzył Harsar. Możliwe też, że się uśmiechnął – przypominało to mignięcie języka węża. – Ale król odpoczywa. Chodź ze mną.

Dziwne małe istoty brykały wokół ich stóp, gdy opuszczali komnatę z rozjarzoną podłogą i wyszli do wysokiego holu, którego ciemność tylko trochę rozpraszało słabe turkusowe światło. Barrick czuł się potwornie zmęczony. Uzmysłował sobie, że wreszcie dotarł do miejsca przeznaczenia, do Qul-na-Qar, jak Gyir Burzowa Latarnia nazywał to miejsce. Nawet piętno, jakie mroczna kobieta wycisnęła na nim, a które z czasem przybrało postać nieustannego tępego

bólu, zostało wreszcie zatarte. Dokonał tego!

Ale co ja właściwie zrobiłem? Lecz gdy tylko poczuł satysfakcję, od razu pojawiły się wątpliwości. Co mnie tu spotka?

Wszystko dokoła było dziwne. Cała architektura zdawała się pozbawiona formy, każdy kąt prosty zniekształcony przez inny, mniej wyraźny kształt; nawet rozmiary korytarzy zmieniały się między jednym końcem a drugim bez przyczyny, którą Barrick byłby w stanie zauważyć.

I jeszcze to dziwne światło. Raz zanurzali się w całkowitą ciemność, a potem wstępowali na podłogę, której środkowe płyty jarzyły się pod ich stopami. Większość pomieszczeń oświetlały świece, lecz ich płomienie nie miały tradycyjnie żółto-białej barwy: niektóre były blado-niebieskie czy nawet zielone, co sprawiało, że długie korytarze przypominały podwodne grotty.

Barrick zwrócił też uwagę, że gdziekolwiek się znajdował, wszędzie otaczały go ciche odgłosy – nie tylko prawie bezdźwięczne mruknięcia małych istot płasających wokół nóg Harsara, lecz także westchnienia, szepty, cichy śpiew, a nawet łagodne dźwięki niewidocznych instrumentów, jakby unosił się nad nimi zastęp upiornych dworzan, którzy podążali za nimi w wędrówce przez dom. Barrick mimowolnie przypomniał sobie historię, którą się opowiada dzieciom w czasie Świąta Sieroty: o Caylorze, który jechał z torbą pełną wiatrów, w której zamknął wszystkie głosy świata, i o tym, jak niektóre z nich uciekły, doprowadzając go niemal do obłądu.

I tylko on powrócił, by przekazać tę opowieść... – pomyślał Barrick. Tak to się skończyło.

Wspomnienie tej słynnej historii sprowokowało inną myśl.

– Zaczekaj – powiedział. – Gdzie oni są? Ci, którzy przybyli tu ze mną...

Smukły przewodnik posłał księciu spojrzenie, które wyrażało umiarkowaną dezaprobatę.

– Byłeś sam.

– Chciałem powiedzieć, że przeszli razem ze mną przez Bramę Szachraja. Ze Snu. Mężczyzna o nazwisku... Beck i czarny ptak. – Przez chwilę nie potrafił przypomnieć sobie imienia kupca: ostatnie chwile spędzone we Śnie zdawały się bardzo odległe, nie w przestrzeni jednak, lecz w czasie.

– Wybacz, nie mogę ci pomóc – rzekł łysy sługa. – Musisz zapytać Syna Pierwszego Kamienia.

– Kogo?

Teraz wyraz dezaprobaty na obliczu sługi stał się bardziej wyraźny.

– Króla.

Szli dalej pustymi korytarzami. Barrick z trudem dotrzymywał kroku swojemu przewodnikowi, który poruszał się szybciej, niż się wydawało, ale księżę postanowił, że nie będzie narzekał.

W końcu przeżywał chyba najdziwniejszą chwilę swojego życia, jak pomyślał później – po raz pierwszy znalazł się w Qul-na-Qar, po raz ostatni oglądał to miejsce dawnymi oczyma, gdy widział i rozumiał wszystko na starą modłę. Kształt tej budowli stanowił dla niego coś zupełnie nowego. Dom miał na pozór logiczną i uporządkowaną konstrukcję, lecz była to logika, jakiej Barrick nigdy wcześniej nie spotkał: ściany pochylały się nagle ku wnętrzu albo kończyły w połowie pokoju, schody prowadziły do wysokiego sufitu, a potem schodziły po drugiej stronie pomieszczenia, jakby zbudowano je tam na wypadek, gdyby komuś przyszła ochota przechadzać się wysoko nad podłogą. Niektóre drzwi prowadziły do nicości lub w migocące światło, inne zaś stały niepołączone z żadną ścianą, samodzielne portale na środku komnaty. Nawet materiały, z których wzniesiono tę budowlę, wydawały się Barrickowi dziwaczne: w wielu miejscach ciemne, ciężkie kamienie współistniały z żywymi drzewami, które zdawały się wyrastać z wnętrza ścian z

gałęziami i korzeniami. Niektóre części murów zastąpiono, bez specjalnego planu, barwnymi pasami cudownie się jarzącego materiału podobnego do kamieni szlachetnych, czystego jak szkło, lecz grubością podobnego do granitowej płyty, co pozwalało zobaczyć widok na zewnątrz, lecz nie na tyle wyraźnie, by dostrzegać coś więcej niż niewyraźne postacie i cienie. Dom wydawał się opuszczony.

– Dlaczego nikogo tu nie ma? – zapytał Barrick.

– Ta część Domu Ludzi należy do króla i królowej – wyjaśnił sługa i zaraz zganił swoje stadko surowym spojrzeniem, sprawiając, że wszystkie trzy istoty przytruchtały posłusznie do jego nóg. – Król ma tylko garstkę służących, a królowa jest... gdzie indziej.

– Gdzie indziej?

Harsar ruszył przed siebie.

– Chodź. Czeka nas jeszcze daleka droga.

Puste korytarze i komnaty, przez które przechodzili, były umeblowane, niektóre zupełnie zwyczajnie, inne surrealistycznie, mimo to Barrick był w stanie dostrzec pewne podobieństwo w każdym meblu, od najprostszych do tych najbardziej wyrafinowanych, spójną wizję ukrytą w tle – nie mógł jej nie zauważyć, ponieważ było to coś zupełnie różnego od wszystkiego, co znał, jakby koty uszyły sobie ubrania albo żmije opracowały skomplikowany taniec. Krzesła, stoły, komody, relikwiarze – bez względu na to, jak proste czy ozdobne, były sprzętami, wszystkie łączyło oczywiste podobieństwo, którego Barrick nie potrafił do końca uchwycić, niepokojąca subtelność. Z pewnej odległości dywany na lśniących czarnych podłogach i tapiserie na ścianach wydawały się znajome, lecz gdy książkę oglądał z bliska ich wymyślne, złożone wzory, czuł, że kręci mu się w głowie, i mimowolnie przypominał mu się żywy trawnik, który strzegł Komnaty Szachraja. Ponadto mimo że czasami pokoje miały wysokie okna, przez które widać było zasnutę zmierzchem niebo, inne zaś, oświetlone setkami świec, ich nie miały, i choć w niektórych nie było ani świec, ani lamp, wszystkie wypełniało takie samo światło – przygaszone, wodniste, zmienne jarzenie. Podróż przez Qul-na-Qar przypomina pływanie, pomyślał Barrick.

Nie, poprawił się chwilę później, jest bardziej jak sen. Jakby ktoś śnił z szeroko otwartymi oczami.

Lecz spośród wszystkich niezwykłych doznań, których Barrick Eddon doświadczał, idąc po raz pierwszy przez Dom Ludzi, przebijają się uczucie, że wreszcie po długim wygnaniu wrócił do domu.

Gdy książkę już prawie zaczął się potykać z wyczerpania, jego przewodnik wprowadził go do niewielkiego ciemnego pokoju, najbardziej podobnego rozmiarami do ludzkich pomieszczeń, mogącego być czymś w rodzaju komnaty wypoczynkowej wyposażonej w krzesła z lśniącego drewna o prostym, choć zarazem obcym kształcie. Ściany komnaty wypełniały nisze podobne do plastra miodu. W każdym z małych zagłębień znajdowało się coś, co wyrzeźbiono ze lśniącego kamienia albo odlano z metalu, lecz Barrick nie rozpoznawał tych przedmiotów; w jego oczach wydawały się przypadkowe, jak resztki pozostawione po budowie bardziej sensownych rzeczy, a następnie pieczołowicie zebrane i wystawione na pokaz.

Harsar pokazał na łóżko, proste, ze zwykłą drewnianą ramą.

– Możesz odpocząć. Król cię przyjmie, gdy będzie gotów. Przyniosę ci coś do jedzenia i picia.

Zanim Barrick zdążył się odezwać, jego przewodnik odwrócił się i wyszedł w asyście swojej rozhasanej świty. W innych okolicznościach książkę może by zbadał dokładniej pokój, tak przytulny, a zarazem obcy, lecz czuł, że nie ma już sił stać na nogach. Wyciągnął się na łóżku i zanurzył w miłą miękkość jak ktoś zziębnięty, kto wchodzi do gorącej kąpieli. Po kilku chwilach zapadł w sen.

Gdy się obudził, leżał jakiś czas nieruchomo, usiłując sobie przypomnieć, gdzie się znajduje. Jego sny były stonowane i przyjemnie spokojne, podobne do płynącej z oddali muzyki. Przewrócił się na bok i usiadł, dopiero wtedy się zorientował, że nie jest sam w pokoju.

Na ustawionym niedaleko łóżka krzesło z wysokim oparciem siedział mężczyzna – a przynajmniej ktoś, kto wyglądał jak mężczyzna, lecz w innym miejscu nim nie był, uzmysłowił sobie Barrick. Obcy miał długie rzadkie siwe włosy mocno przyciśnięte do głowy przepaską, którą nosił na oczach. Nie miał innych ozdób, żadnej korony czy berła albo chociaż medalionu z herbem na piersi; jego szare ubranie było równie postrzępione jak pozszywany z kawałków strój Raemona Becka, lecz sama postawa i powaga tamtego podpowiadały Barrickowi, z kim ma do czynienia.

– *Odpuść?* – Słowa ślepego króla zabrzmiały w głowie Barricka melodyjnie niczym plusk wody wpadającej do stawu. – *Proszę, Harsar zostawił dla ciebie jedzenie.*

Barrick już wcześniej poczuł apetyczny zapach chleba i zaczął się podnosić z łóżka. Na niedużym stole czekał na niego talerz wypełniony smakołykami – okrągły bochen chleba, dzban miodu, mięsiste winogrona i inne małe owoce, których księżę nie rozpoznał, a także trójkątny kawał białego kremowego sera. Od razu zabrał się do jedzenia po korzenno-jagodowej diecie wszystko smakowało mu wybornie – i dopiero po kilku chwilach zreflektował się, że może poczęstunek jest przeznaczony nie tylko dla niego.

– *Nie* – odparł król, gdy Barrick zapytał go, czy też będzie jadł. – *Teraz jem bardzo rzadko, inaczej przypominałoby to wrzucenie całej kłody na dogasające węgle w nadziei, że ogień jeszcze się rozpali.* – Król roześmiał się słabo, co Barrick usłyszał normalnie, w uszach, a co przypominało powiew zimnego wiatru, potem zaś milczał aż do chwili, gdy Barrick pochwycił łapczywie skórę sera i zaczął nią wycierać z talerza ostatnie okruchy.

– *Jestem Ynnir din'at sen-Qin* – przedstawił się. – *Witaj w Domu Ludzi, Barricku Eddonie.*

Barrick zdał sobie sprawę, że aż do tej chwili nie skłonił głowy ani nie wykonał żadnego innego gestu przed tą dziwną, lecz budzącą respekt postacią, a tylko zadbał o to, żeby napęłnić sobie brzuch. Tak więc teraz, wytarłszy palce o ubranie, przyklęknął.

– *Dziękuję. Widziałem cię w moich snach, Wasza Wysokość.*

– *Nie dla mnie takie tytuły. Z kolei te, których używają moi ludzie, nie byłyby odpowiednie dla ciebie. Tak więc nazywaj mnie Ynnirem.*

– *Ja... nie potrafiłbym.* – Barrick mówił prawdę. To tak, jakby zwracał się do własnego ojca po imieniu.

Słaby uśmiech Ynnira był zaledwie cieniem rozbawienia.

– *W takim razie możesz nazywać mnie „panem”, tak jak zwraca się do mnie Harsar. Wyspałeś się i posiliłeś. Pozostaje jeszcze jedno do zrobienia, zanim wypełnimy obowiązki gospodarzy.*

– *Co masz na myśli?*

– *Jeśli przejdziesz do sąsiedniej komnaty, znajdziesz tam balię z gorącą wodą. Nie potrzeba wielkiej spostrzegawczości, by stwierdzić, że dawno już nie zażywałeś kąpieli.* – Król wyprostował smukłe palce. – *Idź. Zaczekam tutaj. Wciąż jestem znużony, a czeka nas daleka droga.*

Barrick podeszedł do drzwi w przeciwległym końcu pokoju, gdy nagle coś sobie przypomniał.

– *Na bogów, niemal zapomniałem!* – Zawahał się przestraszony, czy aby nie popełnił

bluźnierstwa, wspominając bogów w tym miejscu, lecz król siedział niewzruszony. – Przyniosłem coś dla ciebie, panie. Podarunek od Gyira Burzowej Latarni, coś bardzo ważnego!

Ynnir ponownie uniósł dłoń.

– *Wiem. Ukończysz swoje zadanie, dziecko ludzi, ale nie teraz. Czekaliśmy tak długo, że kolejna godzina nie będzie miała znaczenia. Idź i obmyj się z kurzu.*

Komnata za drzwiami nie przypominała żadnego pomieszczenia, jakie Barrick widział wcześniej, wypełniona parą i pozbawiona okien, za to oświetlona bursztynowym jarzącym się światłem kamieni osadzonych w ścianie. Na ciemnej podłodze pośrodku stała kamienna balia, a gdy książę sprawdził wodę, przekonał się, że jest cudownie gorąca. Szybko zrzucił z siebie podarte stare ubranie, po raz pierwszy od niepamiętnych czasów, i niemal wskoczył do balii.

Gdy jakiś czas potem z niej wyszedł, czuł, że nawet krew i kości pulsują mu przyjemnym ciepłem. Zdziwiony zobaczył, że zniszczone ubranie znikło, a na jego miejscu leży nowe. Jak to możliwe? Barrick był pewny, że nikt nie wchodził ani nie wychodził z pokoju w czasie, gdy on zażywał kąpieli. Obejrzał ubranie, zanim je włożył – spodnie i długa koszula z bladego jedwabistego materiału, do tego pantofle z miękkiej skóry, a wszystko pięknie wykonane, choć proste.

Wychodząc z komnaty kąpielowej, Barrick pomyślał, że skoro obcym są tu dostępne takie luksusy, to tym bardziej niewytłumaczalny jest lichy strój króla.

Ynnir wciąż czekał na swoim miejscu z brodą opartą na piersi, jakby spał. Bez wątpienia był to efekt dziwnych świateł w tym pomieszczeniu, lecz Barrickowi wydało się, że dostrzegł lawendowe jarzenie nad głową króla, słabe jak światło świecącego grzyba.

Gdy Barrick podszedł do Ynnira, ten poruszył się i jarzenie zgasło, jakby go tam w ogóle nie było.

– *A teraz chodź ze mną* – powiedział król do Barricka i odwrócił do niego niewidzącą twarz. – *Czas, byśmy postawili stopę na zwężającej się drodze, jak mówi mój lud.*

Ynnir podniósł się z krzesła. Okazał się wyższy, niż Barrick się spodziewał, wyższy niż większość ludzi, lecz naturalny wdzięk króla mącił, jak się domyślał książę, wiek albo zmęczenie, ponieważ Ynnir zachwiał się lekko i musiał podeprzeć o krzesło.

Król w jakiś sposób wiedział, co Barrick widzi i myśli.

– *Tak, jestem zmęczony. Myślałem, że cię straciłem w Pomiędzy, i zużyłem dużo sił, by pomóc ci znaleźć drogę tutaj, sił, których ledwie mi starczyło. Ale to już nie ma znaczenia. Wystarczająco długo czekaliśmy. Teraz musimy się udać do Komnaty Ostatniego Czuwania.*

Idąc u boku wysokiego króla, Barrick wreszcie zaczął dostrzegać innych mieszkańców wielkiego zamku. Trudno było zobaczyć coś wyraźnie w sennie ciemnych korytarzach – postacie poruszały się zbyt szybko albo były widoczne tylko przez krótką chwilę i znowu się rozplywały albo rozmazywały, a gdy już księciu udało się je zobaczyć, obraz był bardziej zagmatwany, niż gdyby ujrzał tylko cienie. Ale teraz było przynajmniej jasne, że zamek jest zamieszkały.

– *Ilu twoich ludzi, panie, tu mieszka?* – zapytał.

Ynnir zrobił kilka kroków, zanim odpowiedział na jego pytanie. Uniósł dłoń i złączył palce i kciuk, jakby trzymał jakiś drobiazg.

– *Większość poszła z Yasammez, ale już wtedy było nas o wiele mniej niż kiedyś. Została garstka, by służyć mnie i samemu Qul-na-Qar, a niektórzy, jak opiekunowie Głębokiej Biblioteki, nigdy nie opuszczają tego miejsca. Są też inni. Poznałeś już synów Harsara...*

– *Synów...?* – Przez chwilę Barrick nie wiedział, kogo ślepy król ma na myśli. A potem przypomniał sobie małe groteskowe potworki, które hasały wokół stóp sługi. – *Te istoty?*

– *Pierwszy Dar nie zawsze daje pomyslnie zmiany* – rzekł król, nic tymi słowami nie wyjaśniając. – *Ale dbamy o wszystkie dzieci Daru.* – Wykonał kolejny gest, który mógł wyrażać

rezygnację. – *Myszę, że nie więcej jak dwa tysiące moich ludzi pozostało we wszystkich tych licznych pokojach...*

Uwagę Barricka zwrócił widok za wysokimi oknami korytarza – po raz pierwszy zobaczył wyraźnie to, co znajdowało się na zewnątrz. Qul-na-Qar rozciągał się daleko lasem wież w dziesiątkach odcieni lśniącego czarnego kamienia, który zdawał się sięgać horyzontu, gdzie ginął we mgle. Iglice miały różne kształty i wysokości, lecz wszystkie wydawały się zbudowane według tego samego pomysłu: proste konstrukcje powtarzające się w nieskończoność, eksplodujące gwiazdy w odcieniach czerni i ciemnej szarości.

– Nie więcej jak dwa tysiące... we wszystkich tych pokojach...? – zdumiał się Barrick. W samym Hierosolu albo w Tesis musiało mieszkać sto razy więcej ludności.

– *Większość moich ludzi poszła na wojnę* – mówił dalej Ynnir. – *Na wojnę z twoim ludem, mówiąc ściślej. Wątpię, by ktokolwiek wrócił. Gorycz Yasammez jest zbyt zadawniona, zbyt głęboka...*

Dźwięk imienia i nagle wspomnienie przerażającej kobiety w czerni sprawiły, że Barrick zatrzymał się i wsunął dłoń pod koszulę.

– Mam to! – powiedział, mocując się z rzemieniem. – Lusterko...

Ynnir uniósł szczupłą dłoń.

– *Wiem. Czuję je niczym płonąca pochodnię. I to właśnie zamierzamy zrobić: posłużyć się nim, by przywrócić żar Ognistego Kwiatu. Ale nie dawaj mi go teraz.*

Myśli Barricka płynęły kaskadą, tak że najnowsze wypierały wcześniejsze, zanim miał okazję się im przyjrzeć.

– Dlaczego tu jesteśmy? Dlaczego ty... – Urwał zdezorientowany: na chwilę zapomniał, kim, a nawet czym jest. – Dlaczego Qarowie toczą wojnę z Marchią Południową?

– *Ponieważ twoja rodzina zniszczyła moją rodzinę* – odpowiedział król bez cienia wyrzutu. – *Jakkolwiek można też powiedzieć, że nasza rodzina sama się wyniszcza. A teraz zachowaj milczenie, dziecko. Dotarliśmy do przedsionka.*

Zanim Barrick w ogóle spróbował zrozumieć, co powiedział król w łachmanach, zorientował się, że wychodzą ze skąpanego w przyćmionym, choć niemal zwyczajnym świetle korytarza do pokoju, który zdawał się wykuty w surowej skale, z długimi serpentynami z bladego kamienia rozciągniętymi między sufitem a podłogą niczym pajęczyny – mimo że przecież znajdowali się w środku ogromnego pałacu.

– Co to za miejsce? – zapytał.

Król uniósł dłoń.

– *Teraz już żadnych pytań, dziecko ludzi. Muszę pójść przodem i sam odprawić rytuały, celebrysi nie przepadają za śmiertelnikami. Tak czy inaczej, nie jesteś gotów, by oglądać takie rzeczy, a przynajmniej nie własnymi oczyma i myślami. Zostań tu, a ja przyjdę po ciebie.*

Ynnir wszedł w ciemną niszę i zniknął. Barrick zrobił kilka kroków za nim, by przyjrzeć się miejscu, w którym rozplynął się król. Czy to były drzwi? Wyglądało to jak cień.

Czekał w kamiennej komnacie całe wieki, jak mu się zdawało, nasłuchując wszechobecnych cichych pustych głosów. Król niemal nazwał go mordercą, a przynajmniej członków jego rodziny, z drugiej strony – traktował Barricka jak oczekiwanego gościa. Jak to możliwe? I lusterko, które niósł tak daleko, pokonując tyle niebezpieczeństw – dlaczego król po prostu go nie wziął? Skoro ludzie są wrogami Ynnira, to dlaczego on ufa Barrickowi w kwestii czegoś tak cennego, za co Gyir oddał życie?

Ostatecznie dezorientacja i nuda wyparły cierpliwość. Barrick wrócił do miejsca, w którym zniknął król, i zaczął nasłuchiwać, lecz nic nie usłyszał: jeśli miał przed sobą otwarte drzwi, to po drugiej stronie panowała cisza. Wyciągnął rękę i poczuł chłód, lecz nic go nie powstrzymało,

więc zrobił krok i wszedł w zimny cień.

Przez chwilę – tylko chwilę – poczuł się tak samo jak wtedy, gdy wpadł do Komnaty Szachraja, i przeraził się, że zrobił coś strasznie głupiego. Zaraz jednak światło rozjaśniło się do wirującej szarości, co pozwoliło Barrickowi zobaczyć białą postać, powiewającą i postrzępioną, otoczoną wirem cieni, jak człowiek osaczony przez stado rozgniewanych ptaków. To był Ynnir, który stał z rękoma wzniesionymi wysoko i otwartymi ustami, jakby wołał o pomoc albo... śpiewał. Czarne postacie zawirowały i śmignęły. Barrick uchwycił strzęp nieziemskiej melodii, zanim zorientował się, że niektóre cienie opuściły króla i skierowały się w jego stronę. Z bijącym mocno sercem wycofał się znowu w zimną ciemność i dalej do pustej kamiennej komnaty. Gdy tam stanął, poczuł, że drży cały i jest pokryty lepkiem potem.

– Musisz się pokłonić Zsan-san-sis – poinstruował go Ynnir, gdy do niego dołączył. Jeśli nawet zauważył wtargnięcie Barricka, to o tym nie wspomniał. – *Jest o wiele starszy niż ja, przynajmniej w pewnym sensie, a jego lojalność wobec Ognistego Kwiatu pozostaje niekwestionowana.* – Król położył zimną dłoń na ramieniu Barricka i poprowadził go do ciemnych drzwi.

Tym razem komnata po drugiej stronie wydawała się inna, już nie był to chaos odcieni szarości, lecz cienista głębia, którą rozjaśniało jedynie żółto-zielone jarzenie widoczne w przeciwległym końcu. Gdy król podprowadził go bliżej, Barrick zorientował się ze zdumieniem, że jarzenie płynie z wnętrza kaptura szaty ciemnej postaci nieruchomej niczym posąg. A potem zakapturzona głowa się podniosła i przez chwilę Barrick widział surowe srebrzyste rysy twarzy. Maskę, pomyślał, to musi być maska. Z nozdrzy, oczu i ust sączyło się zielone światło. Istota wyciągnęła rękę w ich stronę, jakby na powitanie, i na chwilę na końcu rękawa zakwitła sześcioramienna gwiazda zielonego światła.

– *To jest Zsan-san-sis* – wyjaśnił Ynnir, zupełnie niepotrzebnie.

Barrick skłonił głowę tak nisko, jak potrafił. Wolał taką pozycję, niż patrzeć w to dziwne mdłe światło.

Coś powiedziano, a przynajmniej Barrickowi się wydawało, że usłyszał szept, choć nie tyle były to słowa, ile posykiwanie i bulgotanie. A potem rozjarzona i zakapturzona istota złożyła się w sobie i znikła. Gdy ściany wokół nich także się rozpląnęły, król poprowadził Barricka do miejsca, którego podłoga, sufit i ściany pokrywały nieustannie się przemieszczające różnobarwne plamki, dlatego wydawało się, że ciemność rozjaśnia tysiąc malutkich świateł.

Pomimo tej oślepiającej połyskliwości spojrzenie Barricka natychmiast powędrowało do postaci na środku małego niskiego pokoju, kobiety leżącej na owalnym łóżku, jakby pogrążonej we śnie. Gdy ujrzał blade i nieruchome oblicze, pomyślał, że to posąg, lecz król zaraz podprowadził go bliżej i Barrick poczuł chłód w sercu. Pewnie ta ciemnowłosa kobieta o dziwnie kanciastych rysach twarzy nie żyje – przybył za późno. Trup, piękny, o surowym obliczu, królowa wystawiona na widok publiczny.

– Tak mi przykro, panie... – Barrick wyjął lusterko ze skórzanej sakiewki i podał ślepemu królowi.

– *Wciąż żyje.*

Myśli króla były miękkie jak płatki śniegu. Jego długie palce zacisnęły się na lusterku, które podniósł i trzymał przed sobą na wysokości twarzy, jakby mu się przyglądał niewidzącymi oczyma przez opaskę. Jego czoło zmarszczyło się lekko.

– *Coś jest nie tak* – powiedział cicho. – *Czegoś brakuje.*

Barrick poczuł zimny dreszcz.

– Mój panie?

Król westchnął.

– *Spodziewałem się czegoś więcej, dziecko, nawet jeśli koniec Wynalazcy jest bliski. Ale to nie ma znaczenia. Obecna era sprowadza się do tego, co tu trzymamy, do esencji, którą nam przekazał. Nie pozostaje nam nic innego, jak użyć tego i modlić się, by przepływ nie był zbyt gwałtowny.*

Ślepy król chuchnął na lusterko, a potem przyłożył do piersi królowej.

Przez dłuższą chwilę wydawało się, że nic się nie zmieniło. Światło wciąż migotało bezgłośnie, a powietrze wydawało się napięte niczym wstrzymany oddech. A potem niespodziewanie twarz królowej ściągnęła się w grymasie bólu, jak się zdawało, i kobieta otworzyła usta, nabierając tchu. Jej oczy, zaskakująco czarne, bezdenne, otworzyły się gwałtownie, a spojrzenie najpierw dotknęło Barricka, a potem zsunęło się na Yinnira i na nim pozostało. W następnej chwili, niczym tonący, który wynurzył się na powierzchnię, by zaczerpnąć ostatni oddech, zanim się podda, królowa jakby zapadła się w siebie. Powieki jej zatrzepotały i znowu zamknęły się powoli, a dłoń, która wcześniej popęzła do piersi, jakby szukała lusterka, z powrotem opadła na łóżko.

Barrick poczuł, że mógłby zapłakać, lecz ból był zbyt zimny, zbyt skamieniały, by wycisnąć łzy. Nie udało mu się. Dlaczego on czy ktokolwiek inny myślał, że może być inaczej?

Król skłonił głowę i w milczeniu długo klęczał przy królowej. A potem wyciągnął rękę, która tylko trochę drżała, i zdjął lusterko z piersi władczyni. Podniósł je, jakby chciał coś sprawdzić, i o zgrozo, odrzucił przedmiot, który Gyir, a potem Barrick nieśli tak długo. Lusterko zagrzechotało, sunąc po podłodze, a ściany ożyły ruchem i dopiero teraz Barrick zobaczył, że połyskliwe łuski pokrywające wszystkie powierzchnie to mieniające się kolorami tęczy pokrywy skrzydeł chrząszczy.

– *Otrzymała kilka dodatkowych godzin, może dni, lecz w lusterku nie było dość mocy naszego przodka, by ją obudzić* – powiedział Yinnir przybitym głosem. – *Zostało mi tylko jedno. Chodź, dziecko ludzi. Muszę ci opowiedzieć o prawdziwych i strasznych rzeczach, żebyś mógł zdecydować... podjąć decyzję, o jaką nikogo z twojej rasy jeszcze nigdy nie proszono.*

– *Czy bogowie zawsze tu byli, czy też przybyli na te ziemie z innego miejsca, tego nie wiemy.* – Nawet myśli Yinnira płynęły powoli, jakby z wysiłkiem.

Obaj wrócili do pokoju, w którym Barrick wcześniej spał, i książkę zdał sobie sprawę, że pomimo ogromu pałacu i mnóstwa pokoi, to skromne pomieszczenie król wybrał na swoją komnatę wypoczynkową.

– *Twierdzą, że zawsze istnieli.* – Ynnir zamilkł, by napić się wody, co wydawało się dziwnie zwyczajną czynnością. – *Nikt z nas wtedy nie żył, więc nie sposób zaprzeczyć ich słowom...*

– *Bogowie twierdzą, że zawsze istnieli...?* – Barrick nie miał pewności, czy dobrze zrozumiał Ynnira.

– *Tak powiedzieli naszym przodkom. A właściwie to sam Szachraj, ojciec mojego rodu, wyznał to pierwszemu pokoleniu Ognistego Kwiatu, choć nawet on nie mógł mieć pewności. Oczywiście urodził się tutaj, podczas wojny bogów.*

Urodził się tutaj? Co król miał na myśli, zastanawiał się Barrick. I dlaczego Ynnir zadaje sobie trud opowiedzenia mu tego wszystkiego, skoro lusterko nie spełniło swojej roli, skoro sam

Barrick zawiódł?

– *Lecz gdziekolwiek się urodzili – mówił dalej król – bogowie byli tu w chwili przybycia Pierworodnych.*

– *Czy tak nazywacie swoich przodków?*

– *A także twoich, dziecko. Bo kiedyś byliśmy jednym ludem – Pierworodnymi. Część tamtej rasy posiadała Pierwszy Dar albo Dar Zmiany, jak niektórzy go nazywali. To oni dali początek naszym ludziom, a stało się to za sprawą wybryku natury i naszej krwi, który pozwalał nam przybierać różne postacie, wieść życie i istnieć na wiele sposobów, podczas gdy pozostała część Pierworodnych – twoi ludzie – pozostali niezmienni w swoich postaciach. Z czasem oba plemiona zaczęły się od siebie oddalać, aż zupełnie się rozdzieliły, moi ludzie i twoi, a czasem nawet nie pamiętali o wspólnych korzeniach. A przecież tak było, tak jest, i dlatego właśnie niektórzy z nas, w szczególności członkowie mojej rodziny, są tak bardzo do was podobni. Zmieniliśmy się, ale głównie wewnątrz. Zewnętrzna powłoka pozostała w dużej mierze niezmienną.*

Barrick skinął głową, potwierdzając, że rozumie to, co usłyszał, lecz od razu pomyślał o tym, jak wielkim świętokradztwem nazwałby słowa Ynnira Kościół Trygonacki!

– *Wybacz, że przekazuję ci to wszystko na skrzydłach myśli – rzekł Ynnir – ale mniej mnie to męczy niż mowa, jaką wy się posługujecie. – Westchnął. – Nim Pan Księżycyca i Bładolica uciekli do jego ogromnego domu, naszych narodów nie dzielił już tylko Pierwszy Dar. Większość twoich przodków mieszkała na południowym kontynencie, w pobliżu góry Xandos, wielbiąc Gromowładnego i jego braci. Mój lud zaś w dużej mierze osiedlił się tutaj, na północy, w okolicach warowni Księżycowego Pana, tak więc gdy Pan Księżycyca i jego bliscy zostali zamknięci w pierścieniu oblężenia przez klan Gromowładnego, stanęliśmy po stronie Pana Księżycyca i Białego Ognia...*

– *Pan Księżycyca, Bładolica... Ja... nie znam tych ludzi, panie... – rzekł Barrick.*

– *Nie ludzi, a bogów. Znasz ich dobrze, lecz pod innymi imionami. Nazwij ich Khorsem i Zorią, a ojca Zorii Perinem Gromowładnym, który wiedziony gniewem przystąpił do oblężenia księżycowego zamku kochanków. Khors zwrócił się o pomoc do swojego brata i siostry, Zmeosa i Zuriyal, którzy przybyli, by go wesprzeć. Mój lud związał swój los z nimi i nawet ci, którzy mieszkali bardzo daleko, ruszyli im na pomoc.*

Przez długą chwilę, gdy Ynnir zbierał myśli, Barrick próbował ogarnąć to, co usłyszał, lecz bez powodzenia.

– *Chwileczkę, panie, proszę. Twoi przodkowie przybyli... tutaj?*

– *Tak, to miejsce jest o wiele starsze niż mój lud – odrzekł Ynnir. – Zamek, w którym przebywasz, czy raczej zamek, który znajduje się pod i za zamkiem, w którym przebywasz, był niegdyś siedzibą samego boga księżycyca Khorsa Srebrzystego Błysku. Kiedy następnym razem będziesz patrzył na strzeliste dumne wieże, nie skupiaj uwagi na czarnym kamieniu, z którego budowaliśmy, lecz poszukaj pod nim błysku księżycowego kamienia. Uważne spojrzenie potrafi go dostrzec.*

Barrick rozejrzał się dookoła. Ten dziwny zamek naprawdę był Lodowym Pałacem, mroczną fortecą z opowieści?

– *Nawet najwięksi ignoranci spośród was wiedzą, jak się skończyła tamta bitwa, choć nie znają powodów – kontynuował Ynnir. – Khors zginął, a jego rodzeństwo zostało wygnane z ziemi. Jego żona – córka Perina, Zoria – uciekła i długo błądziła, aż znalazł ją brat Perina, Kernios, mroczny Pan Ziemi. Zabrał ją do domu i uczynił swoją żoną, nie licząc się z jej wolą.*

Lecz Zoria powiła dziecko podczas wojny, mądrego Kupilasa, którego ojcem był Pan Księżycyca. W miarę jak dorastało, rozwijało dar wymyślania różnych wynalazków, aż inni zaczęli się z niego śmiać, obchodząc się z nim brutalnie, a Perin i inni bogowie z Xandu zabrali Kupilasa

ze sobą, by służył im swoimi zdolnościami. On zaś wykonał dla nich cudowne rzeczy...

– Na przykład Gwiazdę Ziemi, włócznie Kerniosa – wtrącił Barrick, który przypomniał sobie opowieść Skurna.

– Tak, broń ta stałą się chwałą i przeznaczeniem Szachraja – rzekł Ynnir. – Ale nie mówmy o tym jeszcze. W każdym razie los Ognistego Kwiatu – który ciąży nam nawet teraz – zrodził się w dogasającej wojnie Bogów. Ostatecznie Szachraj uciekł od swoich ciemięży cieli. Podróżował po świecie, ucząc twoich ludzi i moich, a i sam poznał więcej, niż którykolwiek człowiek albo bóg się nauczył. W tym czasie nauczył się też chodzić drogami Pustki.

Barrick kiwnął głową, wracając pamięcią do kolejnej dziwnej opowieści kruka.

– Drogami jego prababki.

– Tak. Aż na koniec zamieszkał wśród moich ludzi, tutaj, w ruinach Księżycowego Zamku, i zakochał się w jednej z moich przodkiń, dziewczęciu o imieniu Summu. W tamtych czasach bogowie i śmiertelnicy wspólnie zamieszkiwali ziemię i nawet płodzili razem dzieci. Lecz w przeciwieństwie do innych bogów Szachraj, czy Kupilas, nie zostawił swoim potomkom w spuściźnie jedynie opowieści. Summu urodziła trójkę dzieci, dwie dziewczynki i chłopca, a wszystkie one przyszły na świat z darem, który my nazywamy Ognistym Kwiatem. Gdy Kupilas udał się, by wypełnić swój straszliwy los, odkryto, że jego potomstwo nie jest podobne do innych z ich plemienia, że życie w nich płynie mocniej. Jedną z tej trójki była Yasammez, wielka mroczna pani, którą spotkałeś, a która żyje przez wszystkie te wieki od tamtych czasów życiem niemal tak długim jak życie samych bogów. Jej brat i siostra, Ayann i Yasudra, posłużyli się swoim darem w inny sposób, choć na początku nie wiedzieli, że w ogóle go posiadają. Mimo że nie żyli dłużej niż nasi krewni, czyli kilka wieków, dar nie został przekazany im samym, lecz ich potomstwu.

Summu była najwyżej urodzona spośród nas wszystkich, tak więc jej najstarszy syn i córka, zgodnie z tradycją, której holdujemy do dzisiaj, pobrali się, by zachować czystość i siłę rodu. Lecz Ayann i Yasudra przekazali Ognisty Kwiat swoim dzieciom. Polegał on na tym, że gdy Ayann i Yasudra zmarli, a ich dzieci rządziły Ludźmi, miały one w sobie esencję rodziców – nie tylko ducha i krew, lecz esencję ich życia i całą pamięć. Dzieci te miały potem własne dzieci, wnuki Ayanna i Yasudry, które potem także się pobrały, otrzymując mądrość i myśli swoich rodziców i dziadków. I tak już zostało od tamtych czasów, że nasz król i królowa przekazują wszystko, czym są, następnemu pokoleniu. Jesteśmy żywą Głęboką Biblioteką, dzięki czemu posiadamy to, czego potrzebujemy do ochrony naszych dzieci w bólu Długiej Klęski. – Król pokiwał głową. – Nie wiesz, o czym mówię, dziecko ludzi, prawda? Nazywamy to Długą Klęską, ponieważ jest nas zbyt mało, by konkurować o świat z naszymi dawnymi kuzynami, śmiertelnikami, dlatego wiemy, że jesteśmy skazani na powolne wymieranie, tak że zostaną tylko wasi ludzie, choć oczywiście zbytnio upraszczam skomplikowane rzeczy.

Ale dochodzimy do trudnych prawd.

Ognisty Kwiat płynie nieustannie w żyłach Yassamez, ponieważ ona nigdy z nikim go nie dzieliła. Nigdy nie przyjęła żadnego ze swoich jako kochanka, więc nie osłabiła daru. Niektórzy twierdzą, że to z powodu egoizmu. Inni, wręcz przeciwnie, nazywają to ofiarą i twierdzą, że przyjęła boleśnie długie życie, by móc strzec kolejnych pokoleń swojego rodzeństwa. Bez względu na to, jak jest naprawdę, Yasammez jest tym, kim jest.

Ci spośród nas, którzy przejęli Ognisty Kwiat od rodziców i muszą przekazać go swojemu potomstwu, kroczą bardziej zawilą ścieżką. Bo każdorazowe przekazanie Ognistego Kwiatu, każdorazowe przekazanie pamięci poprzednich pokoleń następnej generacji, wymaga ogromnego wysiłku. Nie sposób znaleźć tyle siły w nas samych – koszt jest zbyt wielki. Istnieje tylko jedno miejsce, do którego możemy się udać, by zdobyć tę moc. Do samego Szachraja – czy też do miejsca, w którym pozostał ostatni ślad jego bytności na tym świecie.

Ostatni ślad boga widnieje pod zamkiem, który twoi ludzie nazywają Zamkiem Marchii Południowej, a który niegdyś był wejściem do domu Pana Ziemi Kerniosa. Jest to ostatni ślad strasznych przeszłych dni, kiedy wszyscy bogowie chodzili po ziemi.

Większość twoich ziomków nawet o tym nie wie, lecz ci, którzy mieszkają pod zamkiem, wiedzą. Nazywają go Lśniącym Człowiekiem.

– Ja nie... nie słyszałem o tym, panie.

– Ale wiedzą o tym drowy z waszego zamku. Cztili go i chronili przez lata, nie mając pojęcia, co naprawdę czczą.

– Drowy?

Król machnął ręką.

– Nazywacie ich „Funderlingami”, jak sądzę. Teraz to nie ma znaczenia, ponieważ dotarliśmy do sedna sprawy.

Przez lata miejsce, które nazywacie Zamkiem Marchii Południowej, było zamieszkane przez ludzi. Lokalni przywódcy i pomniejsi szlachcice sprawowali tam rządy na rozkaz innych królów i chociaż my, panujący ród Ludzi, nie mogliśmy przybyć tam otwarcie, wiedzieliśmy, jak dotrzeć do Lśniącego Człowieka i zdobyć moc, której potrzebowaliśmy, by utrzymać Ognisty Kwiat w swojej krwi. Razem z moją siostrą Saqri odbyliśmy pielgrzymkę za czasów świetności Syanu. Nasi pradziadkowie byli tam, kiedy Hierosol panował nad światem. Lecz potem przyszedł czas plagi i ludzie wypędzili nas ze swoich ziem, które kiedyś należały do nas, ale na których byliśmy już intruzami, budziliśmy strach i nienawiść, a największą stratę stanowiło dla nas miejsce, które nazywacie Zamkiem Marchii Południowej, gdzie Szachraj czekał na nas w głębi. Walczyliśmy, by utrzymać dostęp do niego, lecz zostaliśmy pokonani, w dużej mierze za sprawą waszego przodka Anglina, i musieliśmy się wycofać na swoje ziemie na północy, gdzie ludzie rzadko się zapuszczali.

I tak gdy oboje z Saqri z wiekiem podupadliśmy na zdrowiu, nie mogliśmy przekazać naszym dzieciom Ognistego Kwiatu. Upłynął wiek, a nasza sytuacja stała się dramatyczna. Yasammez, starsza siostra całej naszej linii, poradziła, żebyśmy wypowiedzieli wojnę ludziom i odzyskali zamek, lecz ja się obawiałem, że przegramy, a wtedy sprawy jeszcze się skomplikują. Moja żona stanęła po stronie naszej przodkini. Przez długi czas trwała dyskusja w rodzinie, co doprowadziło do podziału w całym Qul-na-Qar. Ostatecznie, ukrywając swoje myśli przed matką i przede mną, mój syn Janniya i jego siostra Sanasu wyruszyli sami do Zamku Marchii Południowej z niewielką świtą i garstką służących.

Dostali się jednak do niewoli i zostali postawieni przed Kellickiem, potomkiem Anglina, władcą Królestw Pogranicza. Twój przodek Kellick ujrzał Sanasu, moją piękną Sanasu... – Ynnir urwał i choć wyraz jego twarzy się nie zmienił, to przerwa w strumieniu jego łagodnych myśli była bardzo wymowna, jakby wybuchnął płaczem... – ...I zapragnął jej dla siebie – mówił dalej. – Śmiertelnik pożądał tej, która mogła zostać nieśmiertelną królową swojego narodu! I wziął ją sobie, tak jak wilk napada na pełną wdzięku łanię, nie dbając o to, jakie piękno niszczy, żeby tylko zaspokoić swój apetyt...

Tym razem król zamilkł z rozmysłem, a Barrick przyglądał się, pogrążony w czymś w rodzaju bezradnego snu, jak blada twarz władcy tężeje.

– Wziął ją. A Janniya, jej brat, jej wybranek – mój syn! – walczył o nią, lecz Kellick Eddon miał dość ludzi. Janniya został... zabity. Sanasu zniewolona. Ognisty Kwiat nie mógł zostać przekazany synowi i córce. Nadchodził koniec Ludzi.

Królowa Sanasu! Barrick przypomniał sobie wizerunek w sali portretowej, tak dobrze mu znaną twarz, udrećzone spojrzenie, ogniste włosy i bladą cerę. Ale ona... poślubiła króla Marchii Południowej? Czy naprawdę była Qarem?

– *Tamten straszny dzień* – kontynuował król – *był początkiem wojny, którą wypowiedziała ludzom Yasammez i inni. Na krótko nawet udało im się zdobyć miejsce, w którym Szachraj pokonał ostatnich bogów, lecz Kellick zabrał Sanasu i wycofał się w głąb terytorium ludzi, gdzie zebrał sprzymierzeńców, by kontynuować walkę. Będąc znowu w posiadaniu zamku, oboje z Saqri robiliśmy, co w naszej mocy, by umocnić swój wewnętrzny ogień, lecz wiedzieliśmy, że pozbawieni potomków tylko odsuwamy w czasie to, co nieuniknione. Ostatecznie ludzie pokonali nas i wyparli ze swojej ziemi, wyrzynając tylu naszych, że z pomocą resztek sił stworzyliśmy Płaszcz, zasłonę zmierzchu, która miała zniechęcić ludzi do zapuszczania się na nasze terytorium. I tak wiedliśmy życie przez ostatnie lata.*

Teraz oboje z królową umieramy. Użyczyłem jej tyle siły, ile mogłem, gdy czekaliśmy na wynik naszego przedsięwzięcia zwanego Paktem Lustra. – Podniósł lusterko. – Ale to nie wystarczyło. Ona już się nie obudzi. Chyba że oddam jej resztę siebie. Swoje życie.

Barrick słuchał zszokowany.

– Musiałbyś oddać życie? Przecież to by niczego nie zmieniło.

– *W każdej innej sytuacji, lecz Ognisty Kwiat rządzi się bardziej złożonymi i subtelnymi prawami. Być może istnieje sposób, by zapobiec nieuniknionemu końcowi naszego rodu – przynajmniej na krótko. Może to miała na myśli Yasammez, gdy cię tu wysłała. Chciałbym wierzyć, że kierowały nią inne intencje niż chęć wyszydzenia mnie.*

– Ja... nie rozumiem, panie.

– *Pewnie, że nie, bo jak mógłbyś to pojąć? Twój lud ukrywa prawdę o tym, co się stało. Ale pewnie w dzieciństwie zastanawiałaś się, może nawet przeczuwałaś, że coś... jest nie tak...*

Barrick poczuł zimny dreszcz, jakby opanowała go gorączka.

– Coś nie tak ze mną? Mnie masz na myśli?

– *Ciebie, twojego ojca i wszystkich tych, którzy kiedykolwiek dźwigali bolesną i niepokojącą spuściznę Ognistego Kwiatu, gdy płynął w ich żyłach. Tak, moje dziecko, ciebie mam na myśli. Jesteś potomkiem mojej córki, Saqri, a krew płynie wartko w twoim ciele. W pewnym sensie jesteś moim wnukiem.*

Zdumiony Barrick wpatrywał się w króla, a serce waliło mu w piersi tak szybko, że aż zakręciło mu się w głowie.

– Jestem... czarodziejskim człowiekiem?

– *Nie, nie całkiem... a zarazem kimś więcej. W twoich żyłach płynie krew Najwyżej Urodzonych, lecz do tej chwili przynosiła ci tylko smutek. Teraz jednak za jej sprawą mógłbyś się stać ostatnią nadzieją naszego starożytnego ludu, ale musiałbyś się poświęcić. Możesz mi pozwolić, bym przekazał ci Ognisty Kwiat.*

Barrick patrzył na króla, nic nie rozumiejąc. Oblicze Ynnira było tak samo spokojne jak przed godziną, zanim opowiedział to wszystko, co przewróciło świat Barricka do góry nogami.

– Chcesz... chcesz przekazać Ognisty Kwiat... mnie?

– *Żeby przedłużyć życie królowej, będę musiał użyczyć jej resztę swojej siły. Jeśli uda mi się przekazać ci Ognisty Kwiat – co może się okazać niemożliwe – przynajmniej ta spuścizna przetrwa. Ale nawet jeśli to przeżyjesz, już nigdy nie będziesz taki sam.*

– A jeżeli tak zrobisz, to... co się stanie z tobą?

Po raz pierwszy od dłuższego czasu Ynnir się uśmiechnął, był to słaby, zmęczony grymas.

– *Och, dziecko. Umrę oczywiście.*

Pierścienie, maczugi i noże

*Czarodziejscy ludzie zabici w bitwie pod Zimnoszarym
Wrzosowiskiem zostali pochowani we wspólnej mogile. Mimo że
tamtejsi mieszkańcy unikają tego miejsca, twierdząc, iż jest
nawiedzane przez mściwe duchy poległych Qarów, a mnie nie
udało się odnaleźć samego grobu, cały ten teren jest teraz pięknie
ukwieconą łąką.*

– z *Traktatu o czarodziejskich narodach obojga kontynentów Eionu
i Xandu*

Musieli się zatrzymać na rogatkach Ugenionu, ponieważ Gościniec Królewski został zablokowany przez kondukt pogrzebowy, który zmierzał do świątyni w mieście. Bez wątpienia żegnano kogoś bogatego: cztery konie ciągnęły wóz z trumną spowitą kirem, a za nim podążało tylu żałobników, że Briony zdecydowała się wyjść z wozu należącego do trupy i dołączyła do aktorów siedzących przy drodze.

– Kto zmarł? – zapytała idącą na końcu procesji kobietę z długą wierzbową gałęzią.

– Nasz dobry baron, lord Favoros – odpowiedziała kobieta. – Miał prawo, przeżył ponad sześćdziesiąt lat. Wcześniej stracił syna porwanego przez kanibali autarchy, a teraz zostawił chorowitą żonę i zbyt młodego dziedzica. Niech Bracia pobłogosławią jego ród. – Kobieta nakreśliła ręką znak Trzech.

Briony odwróciła się i odruchowo zrobiła to samo.

– Nigdy o nim nie słyszałam – powiedziała cicho do Finna Teodorosa. – Ale pewnie był dobrym człowiekiem, skoro aż tylu go oplakuje.

– Możliwe albo też ludzie się smucą, bo stracili coś znanego na rzecz nieznanego w niepewnych czasach. – Finn wzruszył ramionami. – Chyba masz rację, bo nie widzę zbyt wielu śledziowych płaczek.

– Śledziowych płaczek? – Briony parsknęła śmiechem, próbując sobie kogoś takiego wyobrazić. – Na bogów, a cóż to takiego?

– Ludzie, którzy idą w kondukcje pogrzebowym i głośno rozpaczają za kraba lub dwa, albo też za srebrnego śledzia wynajmuje się całą grupę. Musiałby to być bardzo kochany człowiek, gdyby rodzina nie musiała wynająć co najmniej kilku śledziowych płaczek.

Patrzyli za oddalającym się konduktem; chłopcy nieśli świece, na wozach wieziono chleb, wino i suszone ryby przeznaczone dla świątyni, w której zostanie wystawione ciało, a kapłani będą się modlić dzień i noc, by zapewnić zmarłemu szybkie przejście do Niebios. Gdy minęli ich ostatni żałobnicy, a także zaciekawieni gapie, Briony i Finn wrócili do wozu. Dowan Birch szarpnął lejce i ruszyli w stronę bram miasta, a za nimi pozostali aktorzy z trupy Ludzie Makewella.

Gdy już wynegocjowali przy strażnicy niedużą acz adekwatną łapówkę, mogli wjechać do Ugenionu. Podążyli za konduktem, który wspinał się powoli po stromej głównej drodze prowadzącej do świątyni w centrum miasta.

– Sądząc po tym, co widać, był też bogaty – rzekł Finn. Teraz mieli przed sobą cały kondukt rozciągnięty na drodze. – Ale nie słyszałem, by ktoś wspominał o pogrzebowych

turniejach, które zwykle organizuje się w tych stronach nawet po śmierci mniej znacznych ludzi. Może to ze strachu przed tym, co się dzieje na północy.

– I na południu – dodała ze smutkiem Briony. – Biedny Hierosol. – Wóz podskakiwał mocno na wybojach, więc odeszła od okna i usiadła na podłodze. Zastanawiała się, gdzie jest teraz jej ojciec. Czy żyje? Wciąż w niewoli? Jeśli Hierosol padł, to czy autarcha zechce wypuścić Olinę za okupem? Tylko jaka to różnica, skoro ani ona, ani Barrick nie mają dostępu do ich skarbcza?

Czy może być prawdą, że jej bliźniak wrócił do domu? Tylko to jedno byłoby dobrym wydarzeniem tej najmroczniejszej wiosny, jaką kiedykolwiek przeżyła Briony Eddon.

– Jesteś taka poważna, księżniczko – rzekł Finn. – Jakbyś знаła tego biedaka, którego niosą do świątyni.

– Ja tylko... wszystko jest takie niepewne. Wszystko. Co zrobię, gdy już dotrę do Marchii Południowej? A jeśli czarodziejscy ludzie zdobyli zamek?

Finn odwrócił się od okna.

– Wszystko będzie wyglądało zupełnie inaczej niż wtedy, gdy stamtąd wyjeżdżaliśmy. Nie da się przechrzyć Qarów, pani, bo oni nie są tacy jak my. Zrób mi tę przyjemność i uwierz w to, co mówię, w końcu znam ich trochę.

– Jak to? Czy ty... napisałeś o nich sztukę? – Briony chciała, by jej pytanie zabrzmiało żartobliwie, lecz nie potrafiła całkiem stłumić smutku i goryczy. – O ich elfickiej magii i o tym, jak ją wykorzystują, żeby porwać i mordować niewinnych ludzi?

Finn posłał jej pytające spojrzenie.

– Oczywiście wykorzystywałem postacie czarodziejskich ludzi w moich sztukach. Jeśli przesadziłem w ich charakterystyce, to raczej tak, że pokazałem ich bardziej tajemniczymi i strasznymi, niż są naprawdę, zamiast przedstawiać ich jako oryginalnych dostarczycieli magicznych pierścieni albo pocieszycieli głupich dziewczyc. W rzeczywistości zdobyłem pewną wiedzę o nich w dość osobliwy sposób jak na dramaturgów – prowadziłem studia na ich temat.

– Jak to?

– Dokładnie tak, jak powiedziałem, Wasza Wysokość. Bez obrazy, ale może odpoczniesz trochę, zamiast rozmawiać. Nie wydajesz się być w dobrym nastroju.

Briony zamknęła oczy i spróbowała uspokoić gotujący się w niej gniew, co jej się udało tylko częściowo.

– Wybacz, Finn. Nie odchodź. Mam powody do gniewu, tak jak i ty. Pomijając wszystkich moich poddanych, których skrzywdzili, także mój brat zaginął albo nie żyje za sprawą tych istot. Zabrali też jeszcze kogoś... – Zawahała się, zastanawiając, co powiedzieć o Vansenie. – Kogoś, kogo uważałam za przyjaciela. Podobnie jak mój brat, nie wrócił z Pola Kolkana. Rozumiesz więc, że nie jestem w nastroju do wysłuchiwanie pochwał na ich temat.

– Nie obawiaj się, Wasza Wysokość. Powiedziałem, że prowadziłem studia nad nimi, a nie że stałem się jednym z nich. Lord Brone polecił mi, żebym dowiedział się jak najwięcej o Spokojnych, jak się ich eufemistycznie nazywa. I dobrze mi zapłacił za moją pracę – więcej niż zarobiłem za którąkolwiek z moich sztuk, zarówno tych z czarodziejskimi ludźmi, jak i bez nich.

Briony roześmiała się mimowolnie.

– W takim razie powiedz mi, Finn, co o nich wiesz?

– Wiem tyle, że ich nie rozumiem, księżniczko Briony. Wiem też, że bardzo interesują się Zamkiem Marchii Południowej, ale nie znam powodu.

– Bo stoi im na drodze, czy nie tak? Anglin, protoplasta naszego rodu, otrzymał ten zamek, by pełnił rolę pierwszego bastionu na wypadek, gdyby wrócili czarodziejscy ludzie. Od tamtej pory uważaliśmy go za nasze święte dziedzictwo.

– A gdzie tym razem zaatakowali po raz pierwszy, Wasza Wysokość?
Briony przypomniała sobie żalostnego młodego Raemona Becka.

– Gdzieś na drodze do Settlanii. Napadli kupiecką karawanę.

– Skoro tam zaczęli, to dlaczego mieliby potem podróżować sto mil na wschód, żeby zaatakować Zamek Marchii Południowej? Mogli się udać na zachód do Settlanii, która jest o wiele słabszym celem, albo jeśli zależało im na łupach, mogli się skierować na południe do doliny rzeki Esterian, gdzie mieszka wielu bogatych kupców kiepsko chronionych przez króla Enandera. Odległość między północnym krańcem doliny a Tesis jest dwukrotnie większa niż ta, która dzieli miejsce napadu na karawanę od zamku.

– Do czego zmierzasz, Finn?

– Chciałem powiedzieć, że to, co zrobili, nie miało większego sensu, chyba że rozważymy dwie możliwości. Zaatakowali nas z zemsty, co wydaje się proste i logiczne, albo też spodziewają się większej korzyści z podboju Zamku Marchii Południowej – nawet nie całego kraju, a tylko samego zamku. Zniszczyli wszystko, co spotkali na swojej drodze, gdy zmierzali do waszej twierdzy, ale nie tknęli Daler's Troth, Kertewall i Silverside.

– Dlaczego? – zapytała czy raczej jęknęła Briony. Nie chciała nowych tajemnic. Starła się przeżyć każdy kolejny dzień w gąszczu pytań bez odpowiedzi dotyczących najbliższych jej osób.

– Dlaczego tak nas nienawidzą?

Finn wzruszył ramionami.

– Nie wiem, Wasza Wysokość.

– W takim razie się dowiedz. Oto twoje zadanie od tej chwili.
Gruby dramaturg spojrzał na nią zdumiony.

– Księżniczko...?

– Jeśli mój ojciec nie wróci – Zorio, spraw, by tak się nie stało – ale jeśli nie wróci, będę potrzebowała pomocy. Muszę zrozumieć sprawę, których ojciec i mój najstarszy brat uczyli się przez lata. Jest oczywiste, że jednym z tych zagadnień są Qarowie. Nie znam nikogo innego, kto by miał choćby taką wiedzę jak ty, Finn. Jesteś moim poddanym?

– Księżniczko Briony, oczywiście szanuję ciebie i twoją rodzinę...

– Jesteś moim poddanym?

Finn zamrugał zaskoczony gwałtownością księżniczki.

– Oczywiście, Wasza Wysokość. Jestem lojalnym obywatelem Marchii, a ty jesteś królewską córką.

– Tak i dopóki coś się nie zmieni, jestem księżniczką regentką. Pamiętaj, Finn, traktuję cię jak przyjaciela, ale to nie może działać w obie strony. Nie mogę znowu zamienić się w „Tima”. Już nigdy nie będę zwykłą aktorką, nawet jeśli teraz ukrywam się między wami. Naród mnie potrzebuje, a ja zrobię, co w mojej mocy, żeby mu służyć... i przewodzić.

Finn uśmiechnął się słabo.

– Oczywiście, Wasza Wysokość. Poczytuję sobie za zaszczyt, że mogę objąć stanowisko nadwornego... jak to nazwiemy? Historyka?

– Nim właśnie zostaniesz, Teodorosie, nadwornym historykiem. – Briony z zadowoleniem zobaczyła, że dramaturg aż zamrugał, wcale nie dlatego, że nie lubiła tego grubego mężczyzny, lecz z tego powodu, iż zależało jej, aby zrozumiał, jak się rzeczy mają. – Czy pojawią się inni, będzie zależało od tego, jak dobrze się spiszesz.

Wóz się zatrzymał, a Briony usłyszała podniesione głosy. Zaniepokojona sprawdziła noże,

które nosiła w rękawie. Minęło sporo czasu, a wóz wciąż stał. Wreszcie Estir Makewell wsunęła głowę do środka.

– Dlaczego się zatrzymaliśmy? – zapytał Finn.

– Pedder i Hewney rozmawiają z namiestnikiem i dwoma czy trzema zbirami – odpowiedziała. – Wygląda na to, że ludzie króla zaglądali tu już dwukrotnie w ciągu ostatniego dekanoksu, wypytując o pewnych podróżnych... – Spojrzała z niepokojem na Briony – ...Dlatego namiestnicy zatrzymują wszystkich obcych, których napotkają, i pytają o zawód, skąd jada, dokąd i takie tam.

– Mam wyjść? – zapytał Finn.

– Możesz, ale mój brat chyba dobrze sobie radzi. Tylko że może zechcą zajrzeć do wozu. Co wtedy?

– Pozwól im, oczywiście – rzekła Briony. – Finn, daj mi swój nóż, bo nie chcę wyjmować moich.

Estir i dramatopisarz wybałuszyli oczy.

– Och, dajcie spokój! Przecież nie rzucę się na namiestnika królewskiego! Chcę znowu obciąć włosy. – Zebrała włosy w garść i popatrzyła na nie ze smutkiem. – A właśnie zaczęły wyglądać jak dawniej. Ale dość próżności. Grałam już chłopca i znowu mogę to zrobić.

Kiedy w wozie ukazała się czerwona twarz obcego mężczyzny, Briony, ubrana w stary strój pasterski, kuciała przy nogach Finna Teodorosa zajęta naprawianiem paska przy jego bucie.

– Coś ty za jeden i dlaczego jedziesz w wozie, podczas gdy inni idą pieszo? – zwrócił się namiestnik do Finna.

– Też mógłbym zapytać, kim jesteś, panie?

– Puntar, namiestnik króla, każdy to potwierdzi. – Mężczyzna popatrzył na Briony, mrużąc oczy, a potem jego spojrzenie omiotło wnętrze wozu pełnego kostiumów, drewnianych rekwizytów i kapeluszy porozwieszanych w każdym wolnym miejscu. – Aktorzy?

– W pewnym sensie – odparł szybko Finn. – Lecz jeśli mój przyjaciel powiedział ci, że jest właścicielem tego wszystkiego, to kłamał. Pewnie jest pijany. – Zgromił Estir Makewell surowym spojrzeniem, zanim rozpoczęła wściekłą tyradę w obronie brata. – Biedak. Kiedyś cały ten kram należał do niego, ale już dawno temu wszystko przegrał. Miał szczęście, że pozwoliłem mu tu zostać, gdy to kupiłem.

– A ty kim jesteś? – zapytał namiestnik.

– Brat Doros z zakonu wyroczni Sembla, do usług.

– Jesteś kapłanem? I podróżujesz z kobietami?

Finn zawahał się na chwilę, lecz szybko zobaczył, że namiestnik pokazuje Estir Makewell, a nie Briony.

– Ach, ona. Jest kucharką i krawcową. Panie, nie martw się o jej trochę zużytą cnotę. Bracia to pobożni i życzliwi ludzie. Jeśli mi nie wierzysz, to spytaj tego brodacza, na którego wołamy Nevin, żeby ci opowiedział o męczeństwie Oni Pouty, gwałconej wielokrotnie przez krackich barbarzyńców. Słuchając go, człowiek nie potrafi powstrzymać łez, tak dokładnie zgłębił tę i inne nauki przekazane nam przez bogów.

Teraz spojrzenie namiestnika wyrażało całkowitą dezorientację.

– A te... wszystkie kostiumy? Jak możecie być jednocześnie kapłanami i aktorami?

– Nie jesteśmy aktorami, nie prawdziwymi – odparł Finn. – Odbywamy pielgrzymkę do Blueshore na północy, lecz nasz zakon wystawia sztuki dla pospólstwa, odgrywamy sceny z życia wyroczni i z *Księgi Trygonu*, tak by ludzie niewykształceni mogli zrozumieć rzeczy dla nich zbyt subtelne. Chcesz, żebyśmy odegrali scenę odzierania ze skóry Zakkasa? Wrzeszczy cudownie, a potem zostaje uratowany przez skrzydlate wcielenie bogów...

Namiestnik już zaczął się wycofywać, mrużąc coś pod nosem. Estir Makewell wyprowadziła go z wozu, lecz zanim zeszła po stromych stopniach, zatrzymała się i zgromiła Finna spojrzeniem.

– Wymyśliłeś to wszystko? – zapytała cicho Briony, gdy zostali sami. – Nie słyszałam większych bzdur!

– Więc, podobnie jak same wyroczone, mówiłem językami bogów – odparł Finn zadowolony z siebie. – Bo, jak widzisz, poszedł sobie i jesteśmy bezpieczni. A teraz zastanówmy się, gdzie możemy się zatrzymać i zakosztować uciech tego miejsca.

– Przecież oplakują śmierć barona – zauważyła Briony.

– Tym bardziej mamy powód, żeby cieszyć się tym, że my żyjemy, co odkryjesz, gdy dorośniesz.

Nie zawsze dało się przekonać miejscowe władze, że są pielgrzymami w drodze do Blueshore. W większych miastach wyciągali pierścienie do żonglowania i pozwalali Hewneyowi i Finnowi pobawić się nimi, dzięki czemu zarabiali kilka miedziaków, podczas gdy pozostali zbierali miejscowe plotki i nowiny na temat poważniejszych wydarzeń. Hewney na trzeźwo był całkiem zwinny, gruby Finn zaś okazał się prawdziwym mistrzem, który potrafił żonglować nawet pochodniami i nożami, nie czyniąc sobie krzywdy.

– Gdzie się tego nauczyłeś? – zapytała Briony.

– Nie zawsze wyglądałem tak jak teraz, Wasza Wysokość – odparł nadworny historyk, krzywiąc się lekko. – Od wczesnego dzieciństwa byłem w drodze. Zarabiałem na życie, mając się różnych prac, przeważnie uczciwych. Żonglowania nauczyłem się przede wszystkim od mojego pierwszego mistrza Kracjana Bingulou, nie spotkałem lepszego. Po jego występie ludzie szli prosto do kościoła przekonani, że bogowie obdarzyli go cudownymi zdolnościami...

Wszędzie, gdzie się zatrzymywali w dolinie rzeki Esterian, nieustannie powtarzano te same dwie pogłoski: że szańscy żołnierze wciąż ich szukają i że na północy dzieją się dziwne rzeczy. Gdy pytali ludzi, wielu, a w szczególności kupcy i żebrzący zakonnicy, którzy często tam podróżowali, opowiadali, że Królestwa Pogranicza spowiło coś na podobieństwo ciemności, i nie chodziło tylko o pogodę – choć wielu uważało, że niebo jest tam bardziej zachmurzone, niż można by się spodziewać o tej porze roku – ale o ciemność w sercach. Drogi opustoszały, opowiadali podróżni, a targowiska i jarmarki, niezwykle ważne wydarzenia w kalendarzu, były bardzo skromne, jeśli w ogóle się odbywały. Ludzie z miast niechętnie podróżowali, wieśniacy zaś, przynajmniej ci, którzy byli w stanie, przenosili się do miast dla bezpieczeństwa albo koczowali w cieniu ich murów.

Zarazem nawet ci, którzy dopiero co stamtąd przyjechali, jak na przykład druciarz, którego spotkali na północ od Doros Kallida, nie potrafili dokładnie opisać, co się dzieje. Wszyscy potwierdzali, że czarodziejscy ludzie przyszedli z północy spowitej mgłą, tak jak przed dwoma wiekami, i zniszczyli Candlerstown i kilka innych miejscowości w drodze do Marchii Południowej. Za to samo oblężenie, które rozpoczęli, jeszcze zanim Briony opuściła dom, było prowadzone w bardzo dziwny sposób, gdyż czarodziejscy ludzie po prostu rozłożyli się obozem za murami zamku, nie prowokując żadnych walk.

Ostatnio to się jednak zmieniło, wyjaśnił im druciarz, a przynajmniej tak słyszał od innych, których spotkał dalej na północy. W ciągu ostatnich kilku dekanoksów czarodziejscy ludzie zmienili taktykę i z północy nadeszły straszne, wręcz niewiarygodne wieści – gigantyczne istoty-drzewa burzą mury zamku, twierdza zewnętrzna w płomieniach, demony wyrzynające obrońców,

gwałcą i mordują bezradnych mieszkańców miasta.

– Teraz już pewnie jest po wszystkim, niech bogowie mają ich w opiece – zakończył swoją opowieść druciarz pobożnym tonem i wykonał znak Trzech. – Niemożliwe, by coś tam jeszcze zostało.

Słowa mężczyzny tak przybiły Briony, że przez resztę dnia prawie się nie odzywała.

– To tylko gadanie podróżnych, Wasza Wysokość – próbował ją uspokoić Finn. – Nie bierz wszystkiego do serca. Posłuchaj kronikarza, który wyłuskuje jedynie ziarna prawdy z takich opowieści. Pierwsze relacje, przekazywane przez ludzi, którzy nie byli naoczniymi świadkami, są zwykle bardzo krwawe i przesadzone.

– I myślisz, że to mnie uspokoi? – zapytała. – Zginęła tylko połowa moich poddanych, tak? I spłonęła tylko połowa mojego domu?

Pomimo starań Finna i pozostałych aktorów Briony chodziła mocno przygnębiona tamtego wieczoru i przez kilka następnych dni.

A jeśli Barrick rzeczywiście wrócił? – powtarzała w myślach. Czy po tym wszystkim straciłam go bezpowrotnie? Czy czarodziejscy ludzie go zabili? Przewracała się z boku na bok niemal do świtu, dręczona takimi myślami. Jeśli tak, to dopilnuję, żeby zabito wszystkie te bezbożne istoty.

– Mamy problem – oznajmił Finn, gdy zasiedli do duszonej baraniny. Estir, która przygotowała posiłek, nie żałowała ziarnistego pieprzu, tak by danie było chociaż rozgrzewające, jeśli już niespecjalnie pożywne z powodu skromnej porcji mięsa.

– Pewnie, że mamy – odparł Pedder Makewell. – Moja siostra wydaje wszystkie pieniądze na przyprawy korzenne i znowu jesteśmy prawie bez miedziaka.

– Głupiec z ciebie – warknęła Estir. – Wydajesz dużo więcej z naszych pieniędzy na wino niż ja na pieprz i cynamon.

– Ponieważ trunek stanowi pożywienie dla umysłu – oznajmił Nevin Hewney. – Gdyby nękać umysł artysty trzeźwością, byłby on zbyt słaby, by dalej uprawiać swój zawód.

Finn machnął ręką.

– Dosyć już, dosyć. Jeśli zachowamy umiar, wystarczy nam pieniędzy księżniczki Briony aż do domu, więc przestań psioczyć, Pedder, i ty też, Nevinie.

– W porządku, pod warunkiem że umiar nie oznacza picia wody – burknął Hewney.

– Mówiąc o problemie, miałem na myśli to, co usłyszeliśmy dzisiaj od wieśniaków – mówił dalej Finn. – Pamiętacie chyba? Twierdzą, że szańscy żołnierze obozują za murami Layandros. Jak myślicie, co tam robią?

– Zaprzyjaźniają się z miejscowymi owieczkami? – zasugerował Hewney.

Finn zgromił go spojrzeniem.

– Usta są twoją najcenniejszą częścią, mój stary przyjacielu, cenniejszą nawet niż sakiewka. Sugeruję, byś trzymał jedno i drugie mocno zamknięte. A teraz, jeśli już skończyliście zanieczyszczać powietrze oparami swojej ignorancji, posłuchajcie mnie. Żołnierze oczywiście szukają księżniczki Briony... i nas. Jak dotąd, dopisywało nam szczęście, choć w Ugenionie prawie nas dopadli, podobnie jak w kilku innych miejscach. – Pokręcił głową. – Obawiam się, że tym razem może nie pójść tak gładko. To zahartowani żołnierze Enandera, a nie miejscowe głupki i kapuściane głowy, które udawało nam się okpić. Wątpię, żebyśmy zdołali ich przekonać, że jedziemy z pielgrzymką.

– W takim razie jest tylko jedno rozwiązanie – wtrąciła Briony. – Musimy się rozstać, bo

oni szukają mnie.

– Piękne słowa bohaterki tragicznej opowieści – rzucił Finn. – Z całym szacunkiem dla twojej godności, księżniczko, jeśli w to wierzysz, jesteś głupia.

W pierwszym momencie Briony się najeżyła – co innego swobodna rozmowa, a co innego obelga ze strony kogoś z pospólstwa zaraz jednak przypomniała sobie, jak marnie się z nią obeszli wszyscy dworscy pochlebcy. Nie mogą mieć przyjaciół, którym nie wolno będzie mówić, co naprawdę myślą. Bo nie będą moimi przyjaciółmi, a jedynie sługami.

– Dlaczego nie mielibyśmy się rozstać, Finn? – zapytała. – Uciekając, złamałam królewskie prawo, postąpiłam wbrew wyraźnemu rozkazowi Enandera. Jestem pewna, że lady Ananka wciąż sący jad do jego ucha. Teraz jeszcze zapewne jestem winna utraty całego syańskiego imperium...

– Bez wątpienia twoja osoba interesuje ich najbardziej, moja pani – rzekł Finn. – Ale nawet przez chwilę nie myśl, że nas nie szukają. Jak myślisz, dlaczego tak często kazaliśmy Dowanowi, żeby składał nogi jak konik polny, i wciskaliśmy go do wozu razem z tobą? Bo z nas wszystkich jego najłatwiej rozpoznać. Nawet gdyby cię nie było z nami, księżniczko Briony, i tak by nam nie odpuścili. Z pewnością by nas zatrzymali i... nakłonili do wyjawienia miejsca twego pobytu. Wątpię, by potem którekolwiek z nas odzyskało wolność.

Briony poczuła przemożny smutek i ukryła twarz w dłoniach.

– Litościwa Zorio! Tak mi przykro. Nie miałam prawa wam tego robić...

– Teraz już nic na to nie poradzimy – rzekł Hewney. – Tak więc nie marnuj na nas łez. No, może na Makewella, który liczył na łatwe życie w Tassis, pełne osieroconych chłopców, ale został przegłosowany.

– Nie będę nawet próbował odpierać tak śmiesznego oskarżenia – odparł Pedder Makewell. – Powiem tylko, że moje zainteresowanie chłopcami ma charakter czysto obronny, jak że są jedynymi istotami, które na pewno nie mają kiły...

Finn przewrócił oczami, inni zaś wybuchnęli śmiechem.

– Bogowie, ale z was nieokrzesa banda. Zapomnieliście, że podróżuje z nami pani Królestw Pogranicza?

– Za późno, żeby się o nią martwić, Finn, mój stary kwiatuszku – rzekł Makewell. – Teraz ona klnie tak samo jak my. Słyszeliście, jak nawymyślała Hewneyowi tamtej nocy?

– I to bez szczególnego powodu – dodał dramaturg. – Po prostu wpadłem na nią w ciemności...

– Dosyć! – przerwał mu Finn. – Wciąż żartujecie, żeby nie rozmawiać o tym, co nas czeka. Gościniec Królewski nie jest bezpieczny. Ludzie króla czekają na nas u bram Layandros, a nawet gdyby udało nam się prześliznąć między nimi, będziemy mieć jeszcze kilka dni drogi do syańskiej granicy.

– A zatem co proponujesz, Finn? – zapytała Briony. – Mówisz, jakbyś miał w zanadrzu jakiś plan.

– Nie dość, że ona ma lepsze maniery niż wy, to jeszcze ma więcej oleju w głowie – powiedział olbrzym. – No ale trudno was nie pobić w tym względzie – dodał, spoglądając groźnie na Hewneya i Makewella. – Tak czy inaczej, kilka mil na północ stąd od głównego traktu biegnie na wschód droga. Wygląda niepozornie, zwykła wiejska droga, przynajmniej przez kilka pierwszych mil. Potem jednak łączy się z inną, większą. Nie taką jak te, którymi dotąd podróżowaliśmy, ale całkiem porządną, biegnącą skrajem lasu. Na jego drugim krańcu znajduje się opactwo Soterian, tak więc spędzilibyśmy w lesie tylko jedną noc, a następnego dnia skorzystalibyśmy z gościnności opata.

– Mielibyśmy jechać skrajem Czarnorzecznego Lasu? – zapytał Dowan Birch, który dotąd

milczał.

– Tak – odparł dramatopisarz. – Oczywiście.

– Nie wiedziałem, że ciągnie się tak daleko na zachód i że dotrzemy do niego już za dzień albo nawet wcześniej. – Jego pociągła twarz posmutniała. – To nie jest dobre miejsce, Finn. Jest pełne... złych istot.

– O czym ty mówisz? – zapytał Pedder Makewell. – Jakich złych istot? Masz na myśli wilki? Dziki?

Dowan pokręcił głową i nic więcej nie powiedział.

– Spędzimy tam tylko jedną noc – mówił dalej Finn. – Jest nas gromadka, mamy broń i ogień, a nawet jedzenie, więc nie trzeba będzie go tam szukać. Będziemy się trzymać razem i nic się nie stanie, zupełnie nic. No, naprawdę chcecie próbować szczęścia w spotkaniu z żołnierzami króla?

Jeszcze kilka osób próbowało dowiedzieć się od Bircha, czego się tak przestraszył, lecz olbrzym nic nie powiedział. Ostatecznie, z braku alternatywy, wszyscy przystali na plan Finna.

Dotarli do rozwidlenia następnego dnia, zanim słońce sięgnęło zenitu. Nieliczni inni podróżni jechali tą samą drogą, głównie mieszkańcy okolicznych miejscowości, i patrzyli zdumieni, jak wóz trupy Makewella skręca z głównej drogi na wyboisty leśny trakt.

Od kilku dni jechali przez coraz większe pustkowia, lecz teraz znaleźli się na zupełnym odludziu. Ogromny Gościniec Królewski biegł przeważnie przez otwarte tereny, a nawet jeśli nie, był na tyle szeroki, że rosnące po bokach drzewa nie zasłaniały słońca. Tymczasem gdy tylko skręcili, dęby i graby zaczęły się od razu ku sobie pochylać z obu stron, niczym gapie ciekawej, kto przybył w ich strony. Nagle słońce, ich stały kompan przez większą część podróży, zaczęło znikać na długie godziny. Nie było już słychać nawoływań wieśniaków witających podróżnych albo przywołujących krnąbrne owce lub krowy. Na nowym szlaku rozbrzmiewało tylko skrzypienie kół ich wozu, zawodzenie wiatru w koronach drzew i od czasu do czasu nieśmiałe ptasie trele.

Okazało się też, że Finn się trochę pomylił: wiejska droga z czasem upodobniła się bardziej do leśnego duktu dla zwierząt, pełnego dziur, w których grzęzły koła, tak że trzeba było wypychać wóz, by móc jechać dalej. Ledwo dotarli do skraju lasu, gdy słońce zaczęło się zsuwać za horyzont, kładąc długie cienie na ziemi.

– Nie podoba mi się tutaj – powiedziała Briony do Dowana Bircha, który szedł obok niej. Ponieważ droga była bardzo kiepska i nie podróżował nią nikt inny poza nimi, oboje szli pieszo, tak jak pozostali, gotowi przepchnąć wóz przez kolejną dziurę.

Miejsce to przypominało Briony coś, co słabo pamiętała, dni wędrówki po śmierci Shasa i pożarze domu Effira dan-Mozana. Coś w tym, jak poruszały się cienie, czy w złudzeniu, że drzewa obracają się powoli za nimi, a to za sprawą nierównego światła – wszystko emanowało aurą złowrogiej tajemniczości. Już jakiś czas wcześniej Briony wyjęła talizman Lisiyi i zawiesiła sobie na szyi.

Dowan wzruszył ramionami. Wydawał się jeszcze bardziej ponury niż Briony.

– Też mi się tu nie podoba, ale Finn ma rację. Co innego nam zostało?

– Dlaczego powiedziałaś, że... są tu złe istoty? – zapytała.

– Nie wiem, Wasza Wysokość. Słyszałem takie gadanie, kiedy byłem mały. – Spojrzał na nią trochę urażony, widząc, jak zakrywa usta dłonią, by nie parsknąć śmiechem.

– Kiedyś byłem mały.

- Nie w tym rzecz – odpowiedziała. – Nazwałeś mnie „wysokością”, a spójrz na siebie! Birch zmarszczył brwi, ale nie wyglądał na specjalnie niezadowolonego.
- Istnieją różne rodzaje wysokości.
- Wychowywałeś się w tych okolicach? Myślałam, że urodziłeś się w Marchii Południowej.
- Pokręcił głową.
- Bliżej Silverside. Ale dużo ludzi przyjeżdżało z prowincji na targ w Firstford, miasteczku nad rzeką. Ojciec podkuwał im konie, jeśli je mieli.
- To jak się znalazłeś w Marchii Południowej?
- Mara i Darę zabiła gorączka. Udałem się do wuja, ale on był dziwny. Słyszał głosy. Powiedział, że coś jest ze mną nie tak, bo wtedy zacząłem gwałtownie rosnać. Potem bogowie zabrali moich rodziców, ponieważ... dokładnie nie pamiętam, ale wuj powiedział, że to moja wina.
- To straszne!
- Olbrzym wzruszył ramionami.
- To z nim było coś nie tak. Jego głowa, rozumiesz? Bogowie zsyłali mu koszmary, nawet w dzień. Miałem do wyboru: uciec albo go zabić. No więc poszedłem z poganiaczami bydła aż do Marchii Południowej i tam mi się spodobało. Ludzie już się tak na mnie nie gapili. – Olbrzym się zarumienił, zanim podniósł głowę. – Czy mogę o coś zapytać, Wasza Wysokość?
- Oczywiście.
- Wiem, że jedziemy do Zamku Marchii Południowej. Ale co zamierzasz zrobić, gdy już tam przybędziemy? Skoro ci Tolly’owie wciąż zajmują tron? Skoro czarodziejski lud tam jest? Co zrobimy?
- Nie wiem – odpowiedziała szczerze Briony.

Rozbili obóz tuż przed zapadnięciem nocy. Aktorzy posilali się, zachowując się hałaśliwie, jakby żadne z nich nie chciało słuchać zbyt uważnie nocnych odgłosów lasu, a potem dość szybko pokładli się spać, co było czymś niespotykanym. Briony, wciśnięta między dające pewną osłonę ciepłe postacie Dowana i Finna Teodorosa, owinęła się szczelnie płaszczem i przycisnęła do piersi amulet Lisiyi.

Kilkakrotnie, niesiona prądem snu, słyszała, a przynajmniej tak jej się wydawało, głos półbogini, słaby i błagalny, jakby coś odciągało Lisiyę ze Srebrnej Polany w przeciwną stronę. Za którymś razem Briony wydało się, że widzi staruszkę: stała na nagim grzbiecie wzgórza i machała do niej. W pierwszej chwili Briony pomyślała, że półbogini próbuje przyciągnąć jej uwagę, lecz potem zrozumiała, że gesty Lisiyi mówią: „Odejdź! Odejdź!”

Briony obudziła się, drżąc w niemal nieprzeniknionej ciemności nocy, w której tylko dogasający żar ogniska podpowiadał jej, gdzie jest. Oczywiście miała mokre, chociaż nie pamiętała, żeby we śnie miała powód do płaczu.

Mogło być wczesne popołudnie, kiedy słońce stoi wysoko i świeci jasno, tymczasem świat wokół zaczął się zmieniać. Przez całą grupę przepłynęła fala przesądnego strachu i dopiero Nevin Hewney zauważył to, co wszyscy powinni spostrzec od razu.

- To burza – powiedział. – Chmury zasłoniły słońce.

Mimo że otaczały ich grube pnie drzew, las nie wydał im się dobrym miejscem na przeczekanie gwałtownej zawieruchy. Tak więc Ludzie Makewella i ich podopieczna przyspieszyli, licząc na to, że przed zapadnięciem ciemności zdążą dotrzeć do opactwa albo przynajmniej na jakieś wzniesienie. Droga tutaj była szersza, poprzecinana licznymi leśnymi duktami, co napełniało Briony nadzieją. Wierzyła, że zbliżają się do miejsca zamieszkanego przez ludzi.

To Finn Teodoros, kroczący ciężko obok niej, pierwszy dostrzegł twarze w lesie.

– Pst – syknął cicho. – Briony... Wasza Wysokość. Nie odwracaj się i po chwili spójrz na lewo za mnie. Widzisz coś dziwnego?

W pierwszej chwili nie dostrzegła niczego poza masą listowia poprzecinanego smugami promieni słońca; w szarości dnia trudno było powiedzieć, co jest grą światła, a co podłożem, ale w końcu Briony dostrzegła błysk, punkcik trochę jaśniejszy niż wszystko dokoła. Chwilę później punkcik rozlał się w plamę pomarańczowego futra z lśniącym czarnym okiem. I zaraz zniknął.

– Słodka Zorio, co to było? – wyszeptła. – Widziałam... coś podobnego do lisa. Tylko że wielkości człowieka!

– Nie wiem, ale widziałem ich więcej – rzekł Finn. Jego zwykle pogodny ton zupełnie zgasł zmrożony strachem. Przyspieszył trochę, nie rozglądając się na boki, po czym szepnął coś Hewneyowi do ucha i zaraz potruchał do Peddera Makewella, by z nim porozmawiać.

Obserwując go, Briony zauważyła kolejny ruch w słabym, tańczącym świetle, tym razem po drugiej stronie drogi, przed nimi. Zza drzewa wyłoniła się na krótką chwilę kolejna dziwna twarz podobna do zwierzęcego pyska i zaraz znikła, choć Briony gotowa była przysiąc, że zjawa po prostu wzbija się w powietrze. Przestraszona księżniczka potknęła się i omal nie upadła. Gobliny? Czarodziejscy ludzie? A może czujki czarodziejskiej armii, która zaatakowała jej dom?

W następnej chwili ludzie-bestie wypadli zza drzew po obu stronach drogi, wrzeszcząc jak demony.

– Do mnie, do mnie! – ryknął Pedder Makewell.

Księżniczka zobaczyła, jak chwycił siostrę i pociągnął ją za siebie, tak że miała wóz za plecami. Makewell trzymał nóż, licheski, dobry do obierania owoców i okrojania przerośniętej tłuszczem baraniny. Mimo to wyciągał go przed siebie, jakby to był miecz Caylora; patrząc na niego, Briony przez chwilę niemal go pokochała.

– Razem! – zawołał Finn Teodoros. Przez otwarte drzwi wozu wyrzucał wszelką broń, jaką posiadali, w większości rekwizyty.

Ludzie-bestie zatrzymali się na skraju lasu i teraz podchodzili powoli.

– Rzućcie to! – zawołał jeden z nich głośno i gniewnie. – Rzućcie broń albo zginiecie na miejscu.

Briony poczuła coś w rodzaju ulgi, gdy zobaczyła, że to nie jest żadna czarodziejaska istota, a człowiek w półmasce. Kilku innych miało łuki, a pozostali byli uzbrojeni we włócznie, topory i miecze.

– Bandyty – rzucił Nevin Hewney z obrzydzeniem.

Przywódca bandy podszedł do niego, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu pod lisią maską.

– Uważaj, co mówisz. Jesteśmy uczciwymi ludźmi, tylko czym są uczciwi ludzie bez pracy? Czym są uczciwi ludzie, których ziemie zostały zagrabione przez wielmożów uznających jedynie swoje prawo?

– Czy to nasza wina? – zaczął Hewney, lecz przywódca bandytów uderzył go grzbietem dłoni w twarz i przewrócił na ziemię.

Hewney podniósł się, przeklinając, z dłonią przyciśniętą do nosa, z którego płynęła krew.

Dowan Birch go przytrzymał.

– Bone, Hobkin, Col, pilnujcie ich – rozkazał przywódca. – Inni niech zabiorą im, co się da. I dobrze przeszukajcie wóz. No, ruszajcie się! – W tym momencie jego spojrzenie, błędzące dotąd po członkach trupy, wyraźnie się ożywiło, gdy spoczęło na Briony. – Zaczekajcie – powiedział cicho, lecz jego ludzie już się zabrali do roboty i nie usłyszeli. Podszedł do Briony, która stała obok Finna Teodorosa. – Co my tu mamy? Młoda ślicznotka, która... udaje chłopaka? – Gdy nachylił się do księżniczki, poczuła jego śmierdzący oddech. Ponieważ miał tylko kilka zębów, wyglądał na starszego, niż był. Pod lisią maską z górnej szczęki sterczały dwa pieńki; Briony uznała, że nie może znieść widoku tej gęby. Zamachnęła się nożem w brzuch mężczyzny, lecz on już od dawna żył ryzykownie, dlatego nie dał się zaskoczyć. Chwycił ją za nadgarstek i wykręcił rękę. Poczula przejmujący ból i ku swojemu wstydowi od razu wypuściła nóż.

Bandyta nie wiedział, że nóż Yistich jest prawdopodobnie więcej wart niż cały dobytek trupy, lecz i tak skupił całą uwagę na innej zdobyczy, która bardziej go pociągała.

– Na swój sposób jesteś całkiem ładna, dziewczyno – powiedział i przyciągnął Briony do siebie. – Naprawdę udało ci się oszukać tych kmiotków? Myśleli, że jesteś chłopakiem? Powiem ci, że Rudego Lope'a nie tak łatwo nabrać. Teraz należysz do prawdziwego mężczyzny.

– Zostaw ją... – warknął Finn, lecz bandyta uderzył go otwartą dłonią i dramatopisarz zwał się ciężko z nóg, a gdy zaczął się podnosić, Rudy Lope kopniakiem posłał go z powrotem na ziemię.

Briony wpatrywała się w przywódcę bandy i coś sobie uprzytomniła. Był bestią, złodziejem i zbirą, ale też kimś najsilniejszym i najmądrzejszym z nich wszystkich: i gdyby świat miał się toczyć dalej tak szalonym torem jak ostatnimi czasy, wielu jemu podobnych wyjdzie z cienia, a niektórzy zagarną całe królestwa.

To prawda, pomyślała. Paskudna prawda dotycząca królewskiego rodu, mojego i wszystkich innych. Ci, którzy mogą przejąć władzę, biorą ją, a potem przekazują swoim dzieciom...

Skończywszy zabawiać się z grubym Finnem, Lope znowu przyciągnął do siebie Briony. Bandyta wyciągnął brudną rękę, by pomacać piersi dziewczyny, i zaraz krzyknął z bólu i zatoczył się kilka kroków do tyłu. Nóż, który odebrał Briony, tkwił teraz w jego udzie.

– Sukinsynu! – wycedził Finn, plując krwią, i dźwignął się na kolana. – Zamierzałem ci to wsadzić między jaja!

Pozostali bandyci odwrócili się, słysząc krzyk przywódcy, i patrzyli, jak ich herszt zbliża się chwiejnym krokiem do dramatopisarza.

– Między jaja? To ja ci zaraz urwę twoje, jeśli w ogóle je masz, ty eunuchowata galareto. – Na jego znak podeszło dwóch ludzi i obezwładniło rzucającego się Finna. Potem przewrócili go na ziemię i przygnietli butami.

Rudy Lope wyszarpnął nóż z nogi i pokręcił głową, uśmiechając się pogardliwie.

– W udo. Ha! Widać, że nigdy nie walczył. – Nachylił się do leżącego. – Pokażę ci, co można zrobić mężczyźnie nożem...

– Nie! – krzyknęła Briony. – Zostaw go! Ze mną możesz zrobić, co chcesz!

Bandyta odpowiedział śmiechem.

– I zrobię z tobą, co zechcę, dziwko. Ale najpierw oporzadzę tego jak dobrą sztukę mięsa...

W powietrzu coś świsnęło i Lope zamilkł, a potem powoli się wyprostował. Podniósł rękę do twarzy, by zdjąć maskę, lecz stwierdził, że to niemożliwe, bo strzała, której pióra wciąż drżały, wbiła mu się w czoło nad okiem i przygwoździła maskę do czaszki.

– Ja... – wycharczał i zwał się do tyłu między drzewa.

– Brać ich! – zawołał ktoś.

Spomiędzy drzew wybiegło na drogę kilkunastu zbrojnych. Strzały śmigały we wszystkie strony niczym wściekłe osy. Jeden z mężczyzn, którzy przygwoździli Finna do ziemi, przyskoczył do Briony, lecz zaraz padł jak ścięty, a z jego piersi i brzucha sterczały trzy pierzaste strzały.

Po chwili kolejne śmignęły tuż obok Briony. Mężczyźni krzyczeli jak przestraszone dzieci. Jeden z bandytów objął drzewo, jakby to była jego matka, a potem osunął się po pniu, pozostawiając na nim krwawy ślad.

Briony rzuciła się na ziemię i nakryła rękoma głowę.

Syańscy żołnierze przyciągnęli ciało ostatniego z bandytów i dorzucili je na stos.

– Mamy wszystkich, kapitanie – rzekł jeden ze zbrojnych. – Więcej nie znaleźliśmy.

– A tamci?

– Jeden nie żyje. Pozostali tylko lekko ranni.

Briony podniosła się ciężko. Jeden nie żyje? Zobaczyła Estir Makewell, która szlochała, klęcząc. Briony ruszyła do niej, lecz jeden z żołnierzy przytrzymał ją za ramię.

Estir odwróciła się od ciała leżącego mężczyzny i pokazała gwałtownym ruchem na Briony.

– To twoja wina, twoja! Gdyby nie ty, nic z tego by się nie wydarzyło, a biedny Dowan by żył!

– Dowan? Dowan nie żyje? Ale... ja nie... – Briony nic więcej nie była w stanie powiedzieć. Nawet pozostali członkowie trupy, brat Estir, Nevin Hewney, także Finn, zdawali się spoglądać na nią z wyrzutem z miejsca, w którym zebrano ich razem.

Żołnierze nosili syańskie barwy, lecz Briony nie potrafiła rozpoznać herbu – groźnego rudego ogara. Kapitan podszedł i zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. Nosił długą, ale starannie utrzymaną brodę, a na jego wysokim hełmie kołysały się białe pióra. Briony stwierdziła, że mężczyzna ma minę, jakby uważał się za eleganta.

– Jesteś księżniczką Briony Eddon z Zamku Marchii Południowej, która niedawno gościła na dworze naszego króla w Syanie?

Briony wiedziała, że nie ma sensu zaprzeczać. Dość wyrządziła szkody.

– Tak. Co się stanie z moimi przyjaciółmi?

– Niech cię o to głowa nie boli, pani – odparł dowódca i z zaciętą miną potrząsnął głową. – Od dawna cię szukamy. Teraz chodź z nami i się nie opieraj. Aresztuję cię.

Polując na jeżozwierza

Ci spośród Qarów, którzy przeżyli drugą wojnę z ludźmi i uciekli na północ, rozciągnęli za sobą – aktem magii niespotykanej od czasów bogów – ogromny całun chmur i mgły nazwany później przez ludzi Granicą Cienia. Śmiertelnikom, którzy zapuszczają się poza nią, grozi w najlepszym wypadku utrata rozumu albo i śmierć. Nieliczni, którzy tam poszli i wrócili, twierdzą, że cień spowija teraz całą północ.

– z *Traktatu o czarodziejskich narodach obojga kontynentów Eionu i Xandu*

Zdaje się, że jestem skazany na przynależność do dziwnych trójek w dziwnych miejscach, pomyślał Ferras Vansen, idąc łukiem szlaku nazwanego przez Antymona Miedzianym Pierścieniem. Najpierw przeszedłem za Granicę Cienia w towarzystwie następcy tronu i pozbawionego twarzy wojownika Qarów, a teraz wędruję gdzieś pod ziemią razem z dwójką ludzików. Wtedy przeżyłem... choć ledwie... Jeszcze teraz Vansen nie potrafił powiedzieć, jak to się stało: dlaczego wpadł przez drzwi w próżnię za Granicą Cienia i znalazł się w Mieście Funderlingów pod Zamkiem Marchii Południowej?

Oczywiście nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Być może bogowie maczali w tym palce, choć nawet co do tego nie miał pewności. W całym tym szalonym roku jedna myśl zrodziła się w jego umyśle: chyba nawet bogowie nie są panami swojego losu.

Antymon i małe brudne stworzenie o imieniu Węgiel Brunatny kłócili się. Mnich przewyższał tamtego o głowę – był najwyższym Funderlingiem, jakiego Vansen spotkał, i sięgał głową do jego brzucha – za to ustępował drowowi w zapalczywości: mały brudas posykiwał jak kot zapędzony w ślepy róg. Dziwnie było tak na nich patrzeć, mogąc wyodrębnić różnice i podobieństwa, jakby jeden był dzikim kucem, szczeciniastym karłowatym konikiem, drugi zaś urodziwym solidnym farmerskim koniem.

– O co chodzi? – zapytał Vansen.

Antymon zmarszczył czoło.

– To jakiś podstęp albo pułapka. Chce nas poprowadzić Drogą Starego Kamieniołomu aż do Torby Tufu, a przecież byłem tam nie dalej jak wczoraj. Stamtąd nie ma wyjścia! Dlatego to miejsce nazwaliśmy torbą, bo można z niego wyjść tylko drogą, którą się przyszło.

Vansen odwrócił się do Węgla Brunatnego, który spoglądał na niego groźnie niczym borsuk wypędzony z nory.

– Czy on wyjaśnia, dlaczego chce, żebyśmy tam poszli, skoro to ślepy korytarz?

– Twierdzi, że tam jest wyjście. I jeszcze nazwał mnie ślepym głupcem, skoro się upieram, że jest inaczej. – Antymon zacisnął pięści. Pewnie by się rwał do bitki, gdyby dorównywał rozmiarami Węgłowi Brunatnemu.

– Przekonajmy się, dokąd nas zaprowadzi. Jeśli to pułapka, to trochę dziwnie próbuje to rozegrać. Z pewnością wie, że jeśli nas oszuka, zginie pierwszy. – Vansen pokazał drowowi topór. – Ale nie zaszkodzi mu o tym przypomnieć.

Węgiel Brunatny poprowadził ich w górę Drogi Starego Kamieniołomu, gdzie coraz

rzadziej mijali boczne odgałęzienia. Korytarz wyraźnie opadał. Przebyli jeszcze spory kawałek w milczeniu, aż dotarli do rozwidlenia.

Antymon pokazał na prawą odnogę tunelu.

– To jest Torba Tufu.

– A dokąd prowadzi to rozgałęzienie Drogi Starego Kamieniołomu? – zapytał Vansen, pokazując drugi z tuneli.

– Z powrotem do góry, gdzie łączy się z Miedzianym Pierścieniem po drugiej stronie Miasta Funderlingów. To jedna z dróg Burzowego Kamienia.

– Dlaczego ktoś chciałby tu wykuć ślepy korytarz?

– To był pierwotny przebieg Drogi Starego Kamieniołomu, lecz kopanie tutaj okazało się zbyt trudne – w tamtych czasach nie mieliśmy dość prochu wybuchowego. Dlatego zaczęli kopać tutaj – Antymon pokazał na lewą odnogę – gdzie kamień jest miększy.

Pomimo jawnej nieufności Antymona Vansen pozwolił Węgłowi poprowadzić ich wijącą się prawą odnogą. W wielu miejscach korytarz był tak niski, że Vansen musiał poruszać się w kucki. Wreszcie weszli w trochę szerszy odcinek tunelu. W bladzielistym świetle koralowej lampy Antymona Vansen zobaczył, że przewidywania mnicha okazały się prawdziwe: na końcu korytarza zobaczyli tylko odrapaną ścianę i stos gruzu. Droga się kończyła.

Antymon pokręcił głową z wyrazem ponurej satysfakcji, tymczasem Węgiel podszedł do przodu, schylił się i wsunął dłoń pod jeden z kamieni ze stosu pod ścianą. Po chwili podniósł się i stęknął. Vansen patrzył zdumiony, jak kilka kamieni się osuwa, lecz pozostałe podniosły się w jednym bloku. Kapitan podszedł szybko i zobaczył okrągłą tarczę drowów pokrytą czymś w rodzaju cementu, do którego przyklejono kamienie, tak że na pierwszy rzut oka widać było tylko stos gruzu.

– Na Młot Perina! – powiedział. – Tajemne przejście!

Węgiel Brunatny spojrział na swoich towarzyszy, posławszy im niemal bezżębny zwycięski uśmiech, i wsunął nogi do dziury pod tarczą. Przyciągnął do siebie linę, aż napięła się między jego kostką a bratem Antymonem, potem luźną część opuścił do otworu i sam się zsunął. Po zniknięciu drowa Antymon i Vansen przez chwilę po prostu gapili się w dziurę, patrząc, jak luźna lina się zsuwa, a potem wreszcie napręża.

– Na Starszych – odezwał się zszokowany Antymon – jest sam na dole! – Rzucił swój tłumok do dziury i szybko się do niej wsunął. Vansen wahał się przez chwilę. Nie podobała mu się perspektywa udania się do miejsca, którego nie widział i nie znał.

– Bracie Antymonie? – zawołał pochylony nad krawędzią otworu. – Jesteś tam? Wszystko w porządku?

– Zejdź, kapitanie Vansen. – Wydawało się, że głos mnicha dobiega z bliska. – Możesz zeskoczyć. Lądowanie jest bezpieczne, a tutaj jest... sam zobacz. Cudowne!

Głos Funderlinga rozwiał wątpliwości Vansena. Kapitan rzucił swoje rzeczy, a potem obrócił się i zsunął do otworu, osłaniając twarz rękoma.

Kolczuga nie ważyła dużo, ale trochę utrudniała mu ruchy, dlatego spadał mniej zgrabnie niż poprzednicy: zaczął się zsuwać, wyhamował, znowu się osunął, a potem w ostatniej chwili zdążył się obrócić, zanim wylądował na kości ogonowej na stosie kamieni.

– Na Gromowładcę! – zaklął i wstał, pojękując. – To nazywasz bezpiecznym lądowaniem?

– Popatrz tylko – rzekł Antymon. – Czy nie było warto tu spaść?

Vansen musiał przyznać, że jeśli się jest Funderlingiem, było warto. Opadający korytarz otwierał się po kilku niepewnych krokach, które Vansen musiał zrobić, by zejść ze stosu śliskich płytek. Migocące żłociste światło lampy koralowej ukazało ogromną pieczarę, której sklepienie pokrywały dziwne, podobne do chmur kształty, każdy wielkości Vansena, przez co wydawało

się, że wszyscy stoją pośrodku nieruchomego obłoku. Środek pieczary wypełniało jezioro, oświetlone własnym perlстым światłem. Jego nieruchoma powierzchnia przypominała kryształ. Gdy Vansen spojrział w głąb zbiornika, którego dna nie było w stanie dosięgnąć światło nawet najsilniejszej lampy, nagle zrozumiał, dlaczego Funderlingowie wierzą, że ich stwórca powstał na brzegu takiego jeziora.

– Czyż nie jest cudowne? – zapytał Antymon. – Kto by się domyślał, że coś takiego znajduje się po drugiej stronie Torby Tufu? Za to, że mnie tu przyprowadził, jestem niemal skłonny wybaczyć mu, że on i jemu podobni próbowali nas zabić. Tak pewnie wszystko wyglądało, gdy moi przodkowie po raz pierwszy przyszli, by zbadać Tajemnice!

Vansen nie miał pewności, czy rozumie, o czym mówi Funderling.

– Jasne, pięknie to wygląda, ale musimy iść dalej.

– Oczywiście, oczywiście. – Mnich powiedział coś do Węgla Brunatnego, a gdy otrzymał odpowiedź, odwrócił się do Vansena z mało radosnym uśmiechem na twarzy. – Żałuje, że musiał nam to pokazać, żeby ratować swoją skórę. Miał nadzieję, że ani my, ani Qarowie nie dowiedzą się o istnieniu tego miejsca i jego lud zatrzyma je dla siebie. Przynajmniej w ten sposób jest bliski nam, Funderlingom.

Drow i Funderling poprowadzili Vansena brzegiem podziemnego jeziora, które rozmiarami zdawało się dorównywać jednej z lagun na górze. Za każdym razem, gdy spoglądał w dół, Vansen nie widział dna, lecz raz czy dwa, patrząc pod kątem, zauważył w głębi jakiś ruch, jak mu się zdawało; za każdym razem próbował przekonać samego siebie – i bardzo chciał w to wierzyć – że to tylko złudzenie spowodowane grą światła lamp jego towarzyszy.

Węgiel poprowadził ich przez pieczarę i dalej na zewnątrz przez wąski żleb, utworzony pewnie w przeszłości przez wodę, który opadał jeszcze niżej. Szli tym niskim kanionem, starając się nie dotykać delikatnych kryształów podobnych do płatków śniegu w kształcie stożków, które były przylepione do ścian i rozsypywały się przy najlżejszym dotyku. Antymon wręcz się rozpląkał po tym, jak niechcący zniszczył jeden z większych okazów, który wystawał ze ściany niczym miniaturowe drzewko, którego pień rozgałęział się w cudowne gałązki półprzezroczystego kamienia. Drow przyglądał się rozpaczającemu mnichowi w milczeniu z twarzą wykrzywioną trudnym do odczytania grymasem.

W miarę jak ich grupka zagłębiała się w zespół dziwnych pieczar, Vansen napotykał rzeczy, których sobie nawet nie wyobrażał – komory poobwieszane czymś, co mogło być ogromnymi porożami, albo pieczary pełne kredowych słupów, które wyrastały pionowo z podłogi albo spuszczały się z sufitu, jakby dwa kawałki chleba posmarowano miodem, ściśnięto i powoli rozdzielono. Często piękno i niebezpieczeństwo występowały w parze, gdy szli wąskim szlakiem albo pokonywali delikatne konstrukcje podobne do mostów, pod którymi ziała czarna pustka.

Kto by się spodziewał, że kryje się tu cały podziemny świat? – pomyślał Vansen, gdy mijali staw, w którym pływały białe kraby bez oczu i ryby uciekające szybko na odgłos ich kroków. W niektórych większych pieczarach napotykali ogromne kolonie nietoperzy, a gdy raz spłoszyli stado, wrzeszcząca i trzepocząca skrzydłami chmura długo jeszcze się kotłowała. Częściej jednak Vansen podążał za swoimi przewodnikami ciasnymi korytarzami, w których musiał posuwać się na czworakach albo nawet się czołgać, wijąc się jak żmija przez przewężenia, dlatego wkrótce cały był pokryty warstwą brudu i błota.

Wreszcie zatrzymali się przed szczeliną tak wąską, że Vansen był przekonany, iż nawet jego towarzysze się przez nią nie precisną. Położył na ziemi plecak i przykucnął, by przyjrzeć się przejściu. Miało szerokość najwyżej łokcia!

– Nie precisnę się przez to – stwierdził.

Drow popatrzył na niego ze zrozumieniem i powiedział coś w swojej gardłowej mowie.

– Twierdzi, że musisz iść – przetłumaczył Antymon. – To ostatnie takie przewężenie. – Mnich zmarszczył czoło, słuchając kolejnych słów drowa. – Mówi, że właśnie z tego powodu nie zdecydowali się zaatakować z tej strony. Było za wąsko dla... – Antymon zamilkł. – Nazywa ich głębiakami, ale myślę, że ma na myśli olbrzymy, które my nazywamy ettinami. Nie mieścili się w tym tunelu, który był za długi, żeby go poszerzyć. Bali się, że ktoś usłyszy.

Vansen poczuł dreszcz.

– Nieważne. Nie zmieszczę się.

– Mówi, że w takim razie powinieneś wracać – tłumaczył dalej Antymon. – Nie ma innej drogi, żeby dotrzeć do mrocznej damy.

Vansen wiedział, że tylko on może z nią porozmawiać, tylko on ma szansę zakończyć to szaleństwo, zanim zostaną wymordowani wszyscy w Zamku Marchii Południowej, duzi i mali, na ziemi i pod ziemią.

– Dobrze – odezwał się wreszcie. – Spróbuję. Możesz wziąć moją zbroję i broń?

Antymon zastanawiał się przez chwilę.

– Nie dam rady, jeśli mam nieść jedzenie i wodę. Nie jestem dużo szczuplejszy niż ty. Nikiel mówi, że jem za dwóch albo trzech Braci Metamorficznych.

Vansen wysilił się na uśmiech, by pokazać, że docenia żart mnicha.

– W takim razie muszę zostawić zbroję, topór będę pchał przed sobą. Więc jak to zrobimy? – zapytał. – Mam iść ostatni?

– Nie. Jeśli jesteś tak ważny, jak twierdzisz, to nie chcę utknąć po drugiej stronie Miasta Funderlingów, niezdolny cię wyciągnąć i niezdolny do powrotu. Jeśli coś pójdzie nie tak, któryś z nas musi wrócić po pomoc. A ja jakoś nie ufam temu wybrykowi natury i nie chcę, żeby szedł pierwszy. Gdybyś rzeczywiście utknął, już nigdy byśmy go nie zobaczyli. Nie, obawiam się, że musisz pójść przodem, kapitanie Vansen. Za tobą pójdzie nasz mały przyjaciel, a na końcu ja.

Ferras Vansen zdjął kolczugę i pikowaną koszulę i od razu poczuł przenikliwy chłód, aż trochę zadzwonił zębami. Spojrzał na drowa, który obserwował go z zainteresowaniem.

– Nie pozwól, żeby mnie unieruchomił – zwrócił się do Antymona.

– Nie martw się, kapitanie – uspokoił go mnich i z zaciętym wyrazem twarzy zebrał linę więźnia. – Niech tylko spróbuje zrobić coś nie tak, wyrwę mu nogę.

– Dobrze, ale go nie zabijaj – rzekł Vansen. – Możemy go potrzebować po drugiej stronie. Mam się posuwać nogami czy głową do przodu?

– To zależy, czy chcesz podróżować w ciemności czy przy świetle. – Antymon pokazał na latarnię z koralem ze Słonego Stawu umocowaną na czole Vansena. – Nie, głową do przodu, kapitanie. W barkach jesteś najszerszy. Pamiętaj, żeby unieść ramiona, gdy będziesz chciał się precyzyjnie przesuwać. I nic się nie bój, będę w pobliżu.

Vansen wziął kilka głębszych oddechów, lecz wiedział, że nie może dłużej zwlekać. Podpełzł do dziury. Jak on się precyzyjnie?

– Jedno ramię w górę, drugie w dół, jeśli dasz radę – pouczył go mnich. – Wtedy będziesz miał większe możliwości ruchu i będziesz węższy.

Vansen wepchnął topór do tunelu i wpełzł za nim. Ze zdziwieniem przekonał się, że udało mu się przepchnąć przez pierwsze przewężenie barki i klatkę piersiową. Potem tunel trochę się rozszerzył, choć Vansen wciąż nie mógł opuścić ramion poniżej głowy, więc pchnął topór i poczołgał się za nim, wijąc się jak wąż.

Bardzo powolny, ślamazarny i przestraszony wąż, pomyślał.

Kapitan myślał z niechęcią o tym, że ma w ten sposób pchać się dalej w głąb ziemi. Nawet ciepłe i wilgotne powietrze, którym dotąd oddychał, zaczęło rzednąć. Wbrew jego nadziejom,

tunel wcale nie biegł prosto i powstał z przypadkowych przerw między pęknięciami kamiennych płyt. Pomyślał o wstrząsach, kiedy to ziemia wzrusza ramionami jak śpiący olbrzym. Gdyby to się stało w tej chwili, choćby najdrobniejsze przesunięcie, zostałby zgnieciony niczym ziarno pszenicy między młyńskimi kołami.

W którymś momencie, gdy kolejne przewężenie okazało się tak ciasne, że Vansen nie mógł do końca napełnić płuc powietrzem, musiał się mocno wziąć w garść, by opanować nagłe i zaskakujące przerażenie. Słabo słyszał Antymona, który mówił coś do niego, zapewne dodawał mu otuchy, lecz własne ciało Vansena i drow idący za nim tłumili większość słów Funderlinga, które brzmiały jak szept.

A może on wcale nie dodaje mi otuchy, pomyślał Vansen. Może przypomniał sobie coś, czego mi wcześniej nie powiedział, że gdzieś tu jest dół albo szczególnie wąskie miejsce... albo żebym uważał na żmije i jadowite pająki...

Unieruchomiony na ciasnym zakręcie, Vansen spróbował się wyswobodzić i boleśnie uderzył głową w ścianę tunelu. Poczawszy wilgotną strużkę na czole, domyślił się, że to krew. Chwilę później jego latarnia zamigotała i zgasła, pogrążając go w nieprzeniknionej ciemności.

Poczuł, że serce zabiło mocniej, a potem zatrzymało się i przez chwilę się wydawało, że już nie podejmie wysiłku. Vansen się dusił – dusił się unieruchomiony w ciemności.

– Przestań! – zgromił samego siebie, choć przypominało to bardziej czknięcie niż wypowiedziane słowo. Ale wciąż był to jego głos. Mógł oddychać. Nagłe uczucie, które sprawiło, że serce waliło mu jak młot, a czaszka zdawała się ściśnięta w monstualnej pięści, było zwykłym... strachem.

A jakie znaczenie ma ciemność? – zapytał się w myślach. I tak możesz tylko się czołgać, Vansen, cal po calu. Jesteś robakiem. A czy robaki boją się ciemności?

Myśl ta w dziwny sposób dodała mu otuchy i kilka chwil później poczuł, jak jego serce zwalnia. Nagle ujrzał siebie oczyma boga – boga z poczuciem humoru: Vansen był tylko małą istotą w miejscu, do którego nie należał, unieruchomiony w tunelu głęboko pod ziemią, jak wysuszone ziarnko grochu w trzcinie, z jakiej strzelał w braci i siostry w dzieciństwie. Ziemia go osaczyła, ale też tuliła. Nie miał wyboru, jak iść dalej. Gdy znowu utknie, po prostu zacznie się wiercić, aż się przecisnie i uwolni.

Do przodu. Tylko do przodu, powtarzał w myślach. Nic innego nie ma sensu.

Bogowie z pewnością mają niezły ubaw!

Spocony, zziębnięty, z oczami piekącymi od błota i drżący z wysiłku Ferras Vansen wreszcie wypełził ze szczeliny do małej pieczary, która wydała mu się równie przestronna jak wielka świątynia w Zamku Marchii Południowej. Za nim wyczołgali się Węgiel Brunatny i Antymon, który ścisnął w dłoni linę niczym dzieciak sznurek latawca. Zjedli i odpoczęli w milczeniu, a gdy Vansen wreszcie stanął pewnie na nogach, ruszyli dalej.

Potem napotkali jeszcze tylko kilka przewężeń, ale żadne nie było już tak ciasne jak ów morderczy tunel, więc po godzinie lub dwóch wspinaczki wyszli na galerię, która bez wątplenia została wydrążona przez istoty myślące; sklepienie podpierały proste kamienne kolumny, a długi szereg niskich komór przypominał ul albo ogrodowy labirynt. Kapitan zastanawiał się właśnie, kto i po co urządził coś takiego, gdy śmignęły strzały, które odbiły się od kamiennej ściany nad nimi. Vansen i Antymon padli na ziemię, a mnich pociągnął linę tak energicznie, że mały drow przewrócił się jak zabawka.

Napastnicy szybko wyczuli zasięg i kolejne strzały zaczęły lądować coraz bliżej. Kawalek

odłupanego grotem kamienia skaleczył policzek Vansena. Drow, który kucnął przy Antymonie, zaczął wrzeszczeć do niewidocznego wroga w swoim gardłowym języku.

– Powiedz, co mówi! – zwrócił się Vansen do mnicha.

– Nie rozumiem wszystkiego. – Antymon nasłuchiwał tego, co łucznicy odkrzyknęli do Węgla. Po chwili ten znowu coś do nich zawołał, wyraźnie zdesperowany. – Nasz drow mówi, że przychodzimy w pokoju porozmawiać z mroczną panią – przetłumaczył mnich. – Ale tamci, też drowy, mówią coś o linie, którą ma na nodze. Chyba mu nie ufają i sądzą, że zmusiliśmy go, żeby kłamał.

– Odetnij mu linę.

– Co?

– Słyszałeś, co powiedziałem! Odwiąż linę albo odetnij, jak chcesz. Ale puść go, żeby widzieli, że mówimy prawdę.

– Wybacz, kapitanie, oszalałeś? Co ich wtedy powstrzyma przed zabiciem nas?

– Nie rozumiesz, bracie? Nie możemy z nimi walczyć. Mają łuki, a my nie, i pewnie już posłali po posiłki. Puść drowa.

Antymon pokręcił głową, ale wykonał polecenie Vansena. Węgiel Brunatny otworzył szeroko oczy, gdy zrozumiał, co robi mnich. Gdy lina opadła, zaczął się powoli wycofywać.

– Niech przekaże swoim, że przychodzimy w pokoju.

Zanim Antymon skończył tłumaczyć słowa Vansena, drow zdążył się już oddalić na kilkanaście kroków i szedł w kierunku swoich z uniesionymi wysoko rękoma. Z cienia furknęła strzała, ale przeleciała tuż obok niego. Węgiel skierował pełne wyrzutu spojrzenie w stronę, skąd nadleciała.

– A teraz czekamy – rzekł Vansen.

– A teraz się modlimy – poprawił go Antymon.

Ferras Vansen zdążył się zwrócić do kilku różnych bogów, zanim wrócił Węgiel z oddziałem swoich ziomków odzianych w skórzane zbroje i jednakowe maski podejrzliwości na twarzach. Antymon patrzył z dezaprobatą, jak Vansen oddaje swój topór. Drow, który zgodził się go nieść, wyglądał jak dorosły zataczający się pod ciężarem wołowej półtuszy. Posługując się liną, którą wcześniej był uwiązany Węgiel, drowy związały Vansena i Antymona w nadgarstkach. A potem ich były jeniec powiedział coś krótko zdecydowanym tonem. Vansen nie potrzebował tłumaczenia, lecz mnich i tak mu je przekazał zrezygnowanym tonem.

– „Maszerować”, mówi.

Poszli w górę korytarzem. Co jakiś czas z cienia wynurzał się drow albo inna jeszcze dziwniejsza istota i niebawem podążał już za nimi całkiem spory tłum. Vansen poczuł się trochę jak kapłan prowadzący procesję, lecz mimowolnie przypomniał sobie, że w niektórych obrzędach na samym przedzie wiezie się zwierzę, które ma zostać złożone w ofierze.

Wreszcie dotarli do dużej wysokiej komnaty podobnej do wnętrza kopulastej świątyni. Wąska ścieżka biegła wzdłuż zewnętrznej strony ściany pieczary, a w jednym miejscu została poszerzona drewnianym chodnikiem umocowanym bezpośrednio do kamienia. Tam czekał na nich oddział wysokich żołnierzy o obcych surowych obliczach i błyszczących spojrzeniach odbijających się od ciemnych zbroi i Vansen pomyślał, że już dotarli do celu, lecz żołnierze się rozstąpili i kapitan zobaczył potężną postać siedzącą na kamieniu. Przez chwilę Vansen pomyślał, że to półbóg Jikuyin, i poczuł dreszcz przerażenia, lecz gdy drowy popchnęły go do przodu, zorientował się, że mężczyzna, choć ogromny, jest mniejszy niż potwór, który więził go w kopalniach Wielkich Głębi, a także mniej podobny do człowieka. Jego ciało pokrywała szorstka łuska podobna do skóry jaszczurki, a twarz o grubych brwiach tylko w przybliżeniu miała ludzkie rysy, jakby jakiś bóg stworzyciel pośpieszył się z jej wykonaniem.

Nawet siedząc, stwór patrzył z góry na przybyszy. Gdy Vansen podszedł bliżej, napotkał spojrzenie jasnych zaskakująco małych nieruchomych oczu.

– Antymonie – powiedział cicho kapitan – niech Węgiel mu powie, że przychodzimy w pokoju porozmawiać z mroczną damą...

– Mistrz Kronyuul już ci nie jest potrzebny – odezwał się olbrzym głosem, który zabrzmiał jak zgrzyt trących o siebie kamieni. – Jak widzisz, znam wasz język. Pani Jeżozwierz lubi, żeby jej generałowie dobrze poznali swoich wrogów. – Jego chichot przypominał uderzenia młotka o kamienną płytkę. Gdy wstał, przewyższał nawet swoich najwyższych żołnierzy. – Jestem Młotostopy z Pierwszych Głębi, wódz ettinów. A wy jesteście mordercami.

– Nie! – Vansen cofnął się o krok. – Przyszliśmy negocjować...

– Dlaczego nasza pani miałaby z wami negocjować? Niebawem zmieciemy was wszystkich, tych na ziemi i tych pod ziemią, dobrze o tym wiesz. Przychodzisz zdesperowany, licząc na to, że uda ci się zabić naszego generała. Nie martw się! Dostaniesz swoją szansę... ale dopiero, gdy mnie pokonasz.

– Co? – Vansen postąpił kolejny krok do tyłu. – Nie rozumiesz? Przychodzimy w pokoju!

– No, bierz swoją broń – rzucił Młotostopy. – Oddajcie mu topór. Ja będę walczył gołymi rękoma.

Jeden z drowów podszedł chwiejnie z toporem Vansena w rękach. Kapitan wziął go od niego, po części dlatego, żeby mu ulżyć, ale nie podniósł broni.

– Nie będę z tobą walczył – powiedział do olbrzyma.

– Daj spokój. Nawet wy, mieszkańcy kraju słońca, nie jesteście chyba aż takimi tchórzami? – zagrmiał Młotostopy i pochylił się do przodu, tak że jego skórzasta popękana twarz znalazła się na wysokości twarzy Vansena. – Pozwolę ci zadać pierwszy cios. Co, wciąż się boisz? Twoi przodkowie nie byli tacy niezdecydowani pod Qul-Girah, gdzie zabili mojego dziadka, oblewając go płonąca smołą. Czy w żyłach ich potomków płynie tylko woda?

Już od dzieciństwa, a i później, kiedy zaciągnął się do służby, spokój i opanowanie Vansena w obliczu gniewu przeciwnika często brano za tchórzostwo. Tylko kapitan Murroy dostrzegł jego wewnętrzny żar i wiedział, że Vansen potrafi zapanować nad każdą prowokacją, by uniknąć niepotrzebnej walki, i że będzie walczył jak osaczone zwierzę, gdy nie będzie innej możliwości. Mimo wszystko kapitan poczuł palący wstyd wobec wyzwania Młotostopego i ochryplego śmiechu Qarów, którzy rozumieli, co olbrzym powiedział.

– Zaprowadź mnie do mrocznej pani – powtórzył Vansen.

– Droga do niej prowadzi przeze mnie – rzekł Młotostopy. – Nie chcesz walczyć, bo nie masz zbroi? – Ettin odpiął ogromny napierśnik, a gdy go rzucił na podłogę pieczary, rozległ się odgłos podobny do świątynnego gongu. – No, chodź, mieszkańcu kraju słońca. Chodź i zgiń. Co, nie masz nawet odrobiny honoru?

– Kapitanie! – Głos Antymona wyraźnie drżał na granicy załamania.

Ferras Vansen czuł, że wszystko w nim krzyczy, by podjął wyzwanie, żeby zmyć uśmiezek z tej drwiącej twarzy kaskadą czerwonej krwi albo innej, jeśli taka płynęła w żyłach olbrzyma. Podniósł topór i wyważył w rękach. Młotostopy rozłożył szeroko ramiona, dając do zrozumienia, że nie będzie blokował jego uderzenia.

Vansen opuścił topór.

– Nie będę walczył. Skoro nie chcesz zaprowadzić mnie do swojej pani, równie dobrze możesz mnie zabić. Proszę tylko, żebyś pozwolił wrócić mnichowi. Węgiel potwierdzi, że Funderling przybył tu w dobrej wierze w charakterze tłumacza.

– Nie pertraktuję z mieszkańcami kraju słońca... – warknął Młotostopy i uniósł pięść podobną do pieńka.

– Nie zabijaj go, Głęboki Kopaczu – odezwał się nowy głos, lodowaty niczym wiatr Eimene. – Jeszcze nie.

– Niech Starsi mają nas w opiece – jęknął Antymon.

– Lady Yasammez! – Młotostopy był wyraźnie zdziwiony.

Vansen odwrócił się i zobaczył niedużą grupę schodzącą do pieczary krętym szlakiem. Prowadziła ją osoba, której nigdy wcześniej nie widział, lecz której tożsamości od razu się domyślił. Przewyższała go wzrostem i miała na sobie czarną płytową zbroję. Długi biały miecz, który wsunęła za pas bez pochwy, jakby to był tylko zapasowy sztylet, wydawał się jarzyć własnym światłem. Lecz uwagę Vansena przykuła przede wszystkim twarz kobiety, nieruchoma jak maska, twarda niczym wyrzeźbiona na sarkofagu. W pierwszej chwili Vansen dostrzegł oznaki życia jedynie w oczach podobnych do wypełnionych ogniem szparek. A potem kobieta zmrużyła powieki, a jej wąskie usta wygięły się w pozbawionym radości uśmiechu, i dopiero wtedy Vansen uwierzył, że rzeczywiście widzi twarz, całkowicie pozbawioną dobroci czy współczucia.

– Tyłu mam dzisiaj gości – powiedziała kobieta. – A wszyscy nieproszeni. – Podeszła bliżej. Nawet z zamkniętymi oczami Vansen poczuł jej bliskość jak nadciągającą zimową burzę. Stojący obok niego Antymon wydał dźwięk podobny do skomlenia. – Mam nadzieję, że zdołasz mnie przekonać, abyśmy się połączyli w obliczu naszego wspólnego wroga.

Vansen zamrugał. Czy miała na myśli Hendona Tolly'ego?

– Ja... ja nie... – Z trudem potrafił wytrzymać jej spojrzenie, lecz równie trudno mu było odwrócić wzrok. Czuł się jak óma okrążająca płomień świecy, przyciągana do niego wbrew swojej woli, choć wie, że najmniejszy dotyk zamieni ją w popiół. – Nie wiem, co masz na myśli, pani.

– W takim razie świat kręci się w jeszcze dziwniejszy sposób, niż myślałam – odparła. – Ta skromna delegacja przybyła, żeby mnie poinformować, że istota ludzka nazywana autarcha Xis niebawem wpłynie do zatoki z flotyllą okrętów pełnych żołnierzy.

Vansen otworzył szerzej oczy, gdyż dopiero teraz zauważył, że wraz z panią Yasammez przybyli nie tylko uzbrojeni strażnicy, lecz także trójka łysych długorękich mężczyzn o przestraszonych twarzach.

– Muskający Wodę! – zdumiał się Vansen. – Jesteście z Zamku Marchii Południowej? – zapytał, lecz tamci odwrócili spojrzenia, jakby powiedział coś, czego powinni się wstydić. Vansen ponownie spojrzał na mroczną panią. – Autarcha Xis jest najpotężniejszym władcą na obu kontynentach. Czego miałby tu szukać? – Rozejrzał się. Nawet w obliczu ogromnego niebezpieczeństwa odruchowo pomyślał ze zdumieniem, jak znany mu świat został rozbity na kawałki i ponownie złożony w to – czarodziejscy wojownicy, olbrzymy, Funderlingowie... a teraz jeszcze potwór z Xandu przybył, by wziąć udział w tych szalonych Zosimiach. – Ma najpotężniejszą armię na świecie – powiedział głośno, zwracając się w równej mierze do towarzyszy Yasammez, jak i do niej samej. – Nawet straszna Pani Jeżozwierz nie jest w stanie go pokonać. Nie bez pomocy...

– Głupcze. – Jej głos zabrzmiał jak trzask bicia poganiacza bydła. – Myślisz, że będę negocjowała pokój tylko dlatego, że niebawem moje wojsko znajdzie się między dwiema armiami ludzi? – Powiodła dokoła gniewnym spojrzeniem, jakby chciała sprawdzić, czy ktoś odważy się odezwać. Puste twarze i spuszczone oczy jej podwładnych mówiły jednak wyraźnie, że żaden nawet o tym nie pomyślał. – Prędzej umrę w błocie Bliższego Brzegu, niż zawrę jeszcze jeden pakt ze zdraźliwymi śmiertelnikami! – Spojrzała na ogromnego ettina. – Ta gadanina nie ma sensu. Młotostopy, kończ swoje zawody. Zabij ich szybko albo powoli, jak chcesz.

Antymon krzyknął przestraszony, lecz Vansen zrobił krok do przodu i zawołał:

– Zaczekaj! – W jednej chwili tuzin łuków skierowało się ku niemu. Zatrzymał się, gdyż wiedział, że może zginąć, zanim zdąży cokolwiek powiedzieć. – Pani Yasammez, wspomniałaś o pakcie. Ja wiem o takim nazywanym Paktem Lustra!

Zwróciła ku niemu kamienne oblicze.

– Dlaczego miałoby mnie to obchodzić? On już nie istnieje – Syn Pierwszego Kamienia zaryzykował i przegrał. Już nic, nawet ten płynący tu żalony czarnoksiężnik z południa wraz ze swoimi wojownikami... nic nie powstrzyma mnie przed spaleniem tego domu zdrady.

– Ale Pakt Lustra jeszcze obowiązuje!

Być może było to tylko złudzenie spowodowane grą światła pochodni i cienia, lecz przez chwilę Ferrasowi Vansenowi wydawało się, że postać mrocznej pani się rozrosła i najeżyła kolcami niczym czarny oset.

– Jak śmiesz tak do mnie mówić! – zawołała, a on poczuł w głowie zgiełk jej wściekłych słów. Opadł na kolana i objął głowę rękoma, niemal płacząc z bólu. – Mój ojciec nie żyje! Kupilas Wynałazca nie żyje! Uwięziony, pogrążony w samotności i bólu, jakiego nie potrafisz sobie wyobrazić, utrzymywał świat w pokoju przez kolejne wieki... lecz teraz nie żyje. Myślisz, że będę dyskutowała z takimi istotami jak ty – z tymi, którzy zniszczyli moją rodzinę? Niech tu przyplynie ten śmiertelny autarcha! Zastanie tylko ruiny. W imię mojego ojca i jego pamięci, a także pamięci wszystkich tych istnień, które wy, śmiertelnicy, nam skradliście, nie przeżyje tu nikt, a bogowie już na wieki pozostaną uśpieni na wygnaniu!

Kiedy Yasammez się odwróciła, Vansen dźwignął się na kolana i wyciągnął rękę w jej stronę. Czuł bolesne pulsowanie w głowie, a w ustach słonawy smak krwi spływającej z nosa.

– Zabij mnie, jeśli chcesz, pani Yasammez – zawołał – ale najpierw mnie wysłuchaj! Znałem Gyira Burzową Latarnię. Podróżowaliśmy razem za Granicą Cienia. Był moim... przyjacielem.

Kobieta obróciła się gwałtownie na pięcie i przybliżyła do Vansena w dwóch szybkich krokach z dłonią na rękojeści białego miecza.

– Gyir nie żyje. – Jej słowa dotarły do niego niczym lodowate kule gradu. – I nie był przyjacielem żadnego śmiertelnika. To niemożliwe.

– Czuję głębszy żal z tego powodu, niż sądzisz. Byłem przy nim w Wielkich Głębiach w jego ostatniej godzinie i nawet jeśli nie łączyła nas przyjaźń, to z pewnością byliśmy sprzymierzeńcami.

Gadzie spojrzenie Yasammez wbiło się w Vansena.

– Wątpię. Ale jakie to ma znaczenie, człowieczku? Gyir mnie zawiódł. Teraz nie żyje, a za chwilę umrzesz i ty.

– Możliwe, że się mylisz, pani. Istnieje szansa, że mimo śmierci Gyira jego misja może się powieść, a to dzięki podarunkowi, który wysłałaś królowi Qarów – Barrickowi Eddonowi, księciu Marchii Południowej.

Yasammez mocniej zacisnęła dłoń na rękojeści miecza. Vansen wiedział, że jest wystarczająco blisko, by jednym cięciem zakończyć jego żywot. Opuścił głowę, gotowy na wszystko.

– Gyir cię nie zawiódł, pani, lecz zginął, wykonując twoją misję. Pakt jeszcze nie został zerwany.

Czekał na cios, lecz nic takiego nie nastąpiło.

– Opowiesz mi wszystko, co wiesz o Gyirze Burzowej Latarni – powiedziała Yasammez. – Pożyjesz przynajmniej jeszcze tak długo.

W kościstobiałym blasku księżycy

Księga skruchy Qarów nie jest ich jedyną kroniką. Mówi się, że mają też zbiór przepowiedni zwany Wyroczniami Rzuconych Kości, które istnieją od wieków. Obie zaś są ponoć częściami większej księgi, opowieści albo pieśni zatytułowanej Ogień w Pustce, lecz żaden uczony, nawet Ximander, nie potrafi powiedzieć na pewno, co to za księga.

– z *Traktatu o czarodziejskich narodach obojga kontynentów Eionu i Xandu*

Briony wciąż nie mogła się nadziwić, jak ogromny jest obóz Syańczyków. Spodziewała się, że zobaczy grupę żołnierzy czekających na koniach, może penturę, która rozłożyła się przy Gościńcu Królewskim. Tymczasem po tym, jak dotarli na drogę i jechali z godzinę w deszczu, znaleźli się na łące zasłanej namiotami. Księżniczka była pewna, że są ich setki, cały obóz wojskowy zatłoczony piechurami, konnymi rycerzami i członkami ich świt. Gdy przejeżdżała, odwracali się do niej, a ona z niepokojem zauważyła, że spojrzenia wszystkich, nawet tych najsurowszych, wyrażają ciekawość. Czy zostanie stracona? Oczywiście, że nie – nie za zwykłą ucieczkę! Lecz wciąż miała w pamięci zimne spojrzenie lady Ananki. Briony wcześniej się nauczyła, że gdy się jest królewską córką, ludzie mogą cię nienawidzić, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

– „Pamiętaj, że w ich oczach nie jesteś całkiem prawdziwa – mawiał jej ojciec. – Jesteś zwierciadłem, w którym ludzie, a w szczególności twoi poddani, widzą to, co chcą zobaczyć. Kiedy są szczęśliwi, widzą cię w dobrym świetle. Gdy im się źle wiedzie, widzą w tobie swojego prześladowcę”.

Jeśli bogowie dotykają ludzi tylko we śnie, jak twierdziła Lisiya, to czy mogli zasiewać tam kłamstwa, a nie tylko prawdę? Czy jakiś zły bóg zwrócił przeciwko Briony Anankę i króla Syanu?

Posłuchaj sama siebie! – upomniła się w duchu. Nie dość, że jesteś dumna z tego, ilu żołnierzy wysłano, żeby cię pojmać i zawlec z powrotem do Tesis, to jeszcze sobie schlebiasz, twierdząc, że bogowie ci nie sprzyjają. Głupia, próżna kobieto!

Mimo wszystko Briony wiedziała jedno: nie da nikomu satysfakcji, żeby zobaczył, jak ktoś z rodu Eddonów płacze i prosi o łaskę. Nawet gdyby mieli ją oddać katu.

Kiedy dojechali do dużego namiotu w środku obozu, kapitan zsiadł z konia i z chłodną uprzejmością pomógł jej zsunąć się z siodła. Teraz, gdy miała okazję z bliska przyjrzeć się herbowi na jego opończy, zobaczyła, że rudy ogar jest przeraźliwie chudy, a jego zębra przypominają grzebień. Zadrżała.

Kapitan wprowadził ją do namiotu strzeżonego przez straż. Gdy już znaleźli się w środku, ścisnął jej ramię tak mocno, że aż zamrugwała, i przytrzymał w miejscu. Na środku stało łóżko zasłane mapami, nad którymi pochylało się kilku uzbrojonych żołnierzy. Żaden nie zwrócił uwagi na przybyłych.

– Za pozwoleniem, Wasza Wysokość...? – odezwał się po dłuższej chwili kapitan, nie mogąc się doczekać, kiedy przekaże dobre wieści i otrzyma pochwałę.

– Znalazłem ją, księżniczkę z północy, i aresztowałem.

Najwyższy z żołnierzy odwrócił się i otworzył szerzej oczy. To był Eneasza, syn króla Syanu.

– Briony... Księżniczko! – zawołał i zaraz odwrócił się do kapitana. – Co zrobiłeś? Powiedziałeś, że co...? Że ją aresztowałeś?

– Zgodnie z twoim rozkazem, Wasza Wysokość. Znalazłem ją i zatrzymałem. – Głos kapitana, jeszcze przed chwilą pewny i mocny, brzmiał coraz słabiej. – Ja... sprowadziłem ją... przywiozłem do ciebie...

Eneasza podszedł do nich z gradową miną na twarzy.

– Głupcze. Czy kiedykolwiek mówiłem, żebyś ją aresztował? Powiedziałem: znajdź ją. – Książę wyciągnął ręce do Briony i ku jej zdumieniu przyklęknął na kolano. – Proszę o wybaczenie, księżniczko, błagam. Wprowadziłem w błąd moich żołnierzy i tylko mnie można winić za tę pomyłkę. – Odwrócił się do kapitana. – Dobrze, że jej nie zakuleś w żelaza, kapitanie Linasie, bo mógłbym cię wychłostać. To kobieta szlachetnie urodzona, a my potraktowaliśmy ją wystarczająco podle.

– Ja... wybacz, księżniczko – wybąkał kapitan. – Nie miałem pojęcia... Skrzywdziłem cię...

Briony nie lubiła tego człowieka, ale też nie chciała patrzeć, jak go chłoszczą. A przynajmniej nie za mocno.

– Oczywiście, wybaczam ci.

– Powiadom innych, żeby odwołali poszukiwania. – Książę patrzył, jak skarcony kapitan opuszcza w pośpiechu namiot, a potem odwrócił się do pozostałych mężczyzn, którzy obserwowali całą scenę z pełnym rozbawieniem zainteresowaniem. – Lordzie Helkis, możecie odejść. Pragnę porozmawiać z księżniczką na osobności. – Przez chwilę zastanawiał się nad czymś i zaraz dodał: – Nie, zostańcie. Nie chcę, żeby reputacja tej biednej kobiety została do reszty zszargana. Dość już wycierpiała ze strony mojej rodziny, zupełnie niezasłużenie.

Przystojny młody szlachcic skłonił głowę.

– Jak sobie życzysz, książę – powiedział i usiadł na stołku w kącie namiotu. Briony wydawało się niemal, jakby dryfowała we śnie. W jednej chwili zastanawiała się, czy zostanie stracona, w następnej książę klęczał przed nią i całował w rękę.

– Proszę – rzekł Eneasza. – Nie spodziewam się, że wybaczysz mojej rodzinie, i nawet nie mam takiej nadziei, bo na to nie zasłużyliśmy, mimo wszystko jeszcze raz przepraszam. Zostałem wysłany z dworu niedługo po naszym powrocie z Podmościa. Zanim się dowiedziałem, co się stało, i wróciłem do Tesis, ty już wyjechałaś. – Spojrzał na Briony uważniej. – Dziwne, mógłbym przysiąc, że masz na sobie mój stary płaszcz podróżny, ale nieważne.

Książę opowiedział jej, jak poznał całą prawdę od posłańca Erasmiusa Jina, który go dogonił, gdy prowadził wojska południowym Gościńcem Królewskim w kierunku granicy. Briony żałowała, że nie może podziękować Jinowi, którego dobrej woli – albo przynajmniej lojalności wobec Eneasza – najwyraźniej nie doceniła.

– Gdy przeczytałem list, mimo że był środek nocy, wezwałem moje Świątynne Psy. Kazałem im zwinąć obóz i natychmiast zawróciliśmy do Tesis – mówił dalej Eneasza.

– Świątynne Psy?

– Widzisz ich tutaj. Moja osobista gwardia – wyjaśnił z wyraźną dumą. – Każdego wybierałem osobiście. Pamiętasz, jak cię wypytywałem o Shasa i jego nauki? Świątynne Psy mają za wzór tuańskich jeźdźców. Niech cię nie zwiodą głupie pomyłki Linasa, to najlepsi z najlepszych w Syanie. Wyszukoleni do szybkiej jazdy i walki, na drodze i w bitwie. Przykro mi, że poznaliście się w takich okolicznościach.

Briony pokręciła głową.

– Nie do końca były aż tak przykre, bo uratowali nas przed bandytami. – Przypomniała sobie bladą twarz Dowana Bircha, jego półotwarte niewidzące oczy. – Prawie wszystkich... – Jej chwilowa radość z ocalonego życia szybko przeszła w coś zimnego i ciężkiego. – Czy możemy posłać po moich towarzyszy, aktorów? Nie wiedzą, co się ze mną dzieje. Myślą pewnie, że zostanę stracona albo odwieziona z powrotem do Tesis. – Zamilkła zdezorientowana. – Wracam do Tesis? Co się ze mną stanie teraz, gdy jestem twoim więźniem, książe Eneaszu?

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Więźniem, pani? Nigdy. Nawet tak nie myśl. Możesz się udać, dokąd tylko zechcesz... chociaż, tak, proszę, żebyś pozwoliła zawieźć się z powrotem do Tesis. Oczyszcimy twoje imię z tych obraźliwych bezpodstawnych zarzutów. Choć tyle mogę dla ciebie zrobić.

– Ale twoja macocha, Ananka... ona mnie nienawidzi...

Oblicze Eneasza stężało.

– Ona nie jest moją macochą. Za łaską bogów ojciec niedługo zakończy ten niestosowny związek.

Briony wątpiła, żeby stało się to tak łatwo.

– A jednak dwoje ludzi z mojego bliskiego otoczenia zostało otrutyh przez kogoś, kto pragnął mojej śmierci.

– Byłabyś u mojego boku – rzekł Eneas. – Pod moją osobistą ochroną.

Myśl, żeby pozwolić komuś tak miłemu, silnemu i kompetentnemu jak Eneas zaopiekować się sobą, była bardzo kusząca, jako że Briony już od dawna musiała sama dbać o siebie. Bez ojca, bez braci, jakże byłoby miło tak po prostu odpocząć...

– Nie – odezwała się po chwili zastanowienia. – Dziękuję ci, Wasza Wysokość, ale nie mogę wrócić do Tesis.

Książę wysilił się na uśmiech.

– Jak chcesz. Ale mam nadzieję, że pozwolisz mi dowieźć się bezpiecznie tam, gdzie zechcesz się schronić. Przynajmniej tyle jestem ci winien za to, jak cię potraktowano na dworze mojego ojca.

– W takim razie zabierz mnie z powrotem do aktorów. Twój kapitan wie, gdzie są. I opowiedz wszystko, co widziałeś i słyszałeś od naszego ostatniego spotkania – poprosiła Briony. – Myślę, że bez względu na to, co usłyszę, nie zmienię zdania i wrócę do Marchii Południowej. Mój lud jest w potrzebie.

– Skoro tak zdecydowałeś – odparł Eneas z powagą – to cię tam zawiozę, choć na drodze stoją całe legiony czarnego Zmeosa.

– Nie mów, proszę, o bogach, a w szczególności o tych rozgniewanych – odpowiedziała zaniepokojona Briony. – I tak są zbyt blisko nas.

Gdy to się już stało, nastąpiło szybko.

Przez wiele dni kuter z uwięzioną Qinnitan płynął wzdłuż szańskiego wybrzeża w kierunku niższej Brenlandii i dalej cieśninami, które oddzielały Brenlandię od wyspy Connord i wielu mniejszych skalistych otaczających ją wysepek. Jako młoda kobieta, która znaczną część życia spędziła w Ulu albo w Królewskiej Samotni, Qinnitan niczego by się nie dowiedziała, lecz odkryła, że wczesnym rankiem, zażywszy wcześniej swoją miksturę, czy cokolwiek to było, Daikonas Vo raczył czasem odpowiadać na jej pytania. Najwyraźniej jego żelazna wola pękała, mimo to Qinnitan zagadywała go bardzo ostrożnie, bojąc się, by to niepewne źródło wiedzy nagle nie wyschło.

Już jakiś czas temu odkryła, że Vo zażywa swoje lekarstwo codziennie w nocy i rano: popołudniami stawał się bardziej nerwowy i uspokajał się dopiero po zapadnięciu zmroku, po zażyciu swojej mikstury. Nie rozumiała do końca, co to znaczy, ale ucieszyła się, że już nie jest tak czujny jak kiedyś, co dało jej czas na myślenie i pozwoliło przeciąć linę o żelazną poręcz.

Przez jakiś czas Qinnitan widziała za burtą jedynie przesuwające się skaliste przylądki i strome klify, na które gwałtownie napierały fale podobne do żebraków szturmujących zamknięte drzwi. Lecz tego dnia, gdy Vo przechadzał się po pokładzie, a stary Vilas pilnował rumpla w towarzystwie swoich synów, nieruchomych u jego stóp jak kamienie, kuter minął ostatni wał wzgórz. Skalisty mur skończył się nagle i Qinnitan ujrzała ogromną połąć mokrego piasku upstrzoną tu i tam wielkimi okrągłymi kamieniami podobnymi do zabawek upuszczonych przez dzieci olbrzymów. Za terenami zalewowymi ziemia wybrzuszała się w trawiaste wzgórza, na których gdzieś sterczały kępy drzew o białej korze; dalej rozciągał się las podobny do ciemnozielonego koca, którym przykryto widoczne w oddali wzgórza.

Tej nocy, pomyślała Qinnitan. Jeśli to w ogóle ma nastąpić, to właśnie tej nocy. Bo potem znowu zaczną się skaliste klify, o które rozbiłby się nawet bardzo dobry pływak. To musi być tej nocy.

Trudno było nie zasnąć, ale jeszcze trudniej było pozostawać w bezruchu. Qinnitan zmusiła się do tego, by nie otwierać oczu, tłumiąc w sobie chęć sprawdzenia, czy księżyc, który dopiero co widziała, wciąż świeci równie jasno.

Vo mrucał do siebie, co było dobrym znakiem. Kiedy ostatnim razem odważyła się na niego spojrzeć, drapał się po ramionach i szyi, chodząc po pokładzie, i pocierał dłonią po brzuchu, jakby go bolał.

– ...Budzi się – powiedział wtedy, a potem z jego ust popłynął strumień przekleństw w wulgarnym xiskim dialekcie, na dźwięk których jeszcze rok wcześniej Qinnitan strasznie by się zaczerwieniła. – Podstęp! – warknął. – Wcale nie śpi. Obaj mnie oszukali! Wiedzieli! Oszukali mnie!

Wreszcie przestał chodzić, a Qinnitan znieruchomiła, starając się nie oddychać. Po dłuższej chwili zaryzykowała i uchyliła powiekę. Vo stał odwrócony do niej plecami i lizał igłę, na którą zawsze nabierał swoje lekarstwo. Zaskoczona zobaczyła, że ponownie zanurza igłę w buteleczce, a potem przysuwają do ust.

Polizał igłę trzykrotnie w ciągu dnia! Czy to dobry znak, czy zły? Qinnitan zastanawiała się przez chwilę i uznała, że dobry. Teraz jeszcze trudniej było czekać, lecz bogowie jej sprzyjali: niedługo potem Vo osunął się i usiadł na pokładzie.

Obserwowała go spod przymkniętych powiek, aż księżyc zsunął się za maszt. Wtedy wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze, po czym przeturlała się na drugi bok, zerwała do końca linę i popęzła do pogrążonej w cieniu postaci przyklejonej do masztu.

– Akar – wyszeptła, używając xiskiego słowa, które znaczy „pan”. – Akar Vo, słyszysz mnie? – Wyciągnęła rękę i potrząsnęła nim delikatnie. Jego głowa opadła bezwładnie. Usta miał lekko rozchylone, jakby zamierzał coś powiedzieć, co ją przestraszyło, lecz zobaczyła, że oczy ma zamknięte.

Potrząsnęła nim jeszcze raz, a potem wsunęła dłoń między fałdy jego płaszcza. Po chwili wymacała sakiewkę i wyjęła. Była cięższa, niż się spodziewała, wykonana z mocno naoliwionej skóry. Wepchnęła do środka kawałki twardego chleba, które zachowała, i znieruchomiła w przerażeniu, gdyż Vo poruszył się i zaczął mamrotać. Gdy znowu zastygł w bezruchu, Qinnitan

przywiązała szybko sakiewkę do rzemienia, którym przewiązywała zniszczoną sukienkę służącej z Hierosolu. Serce biło jej bardzo szybko. Naprawdę odważy się to zrobić?

Oczywiście, że tak. Nic innego jej nie zostało. Teraz, gdy Gołab odszedł, jej życie nie należało do nikogo. Jeśli umrze, próbując uciec, no cóż, lepsze to niż los, jaki by ją czekał, gdyby wróciła do autarchy, co do tego Qinnitan nie miała wątpliwości.

Jeszcze raz wsunęła dłoń pod płaszcz Vo i gdy trafiła na buteleczkę, zacisnęła na niej mocno palce i ją wyjęła. Zawahała się na chwilę. Gdyby sama to wypila, skończyłyby się wszystkie jej problemy, a przynajmniej te, które dręczą żyjących. Ciemność z wnętrza buteleczki wołała do niej, kusiła snem, z którego nie musiałaby się już budzić...! Jednak powstrzymywało ją wspomnienie młodzieńca o imieniu Barrick, jej przyjaciela ze snu. Czy rzeczywiście się od niej odwrócił? Czy też coś mu się stało... i może potrzebuje jej pomocy? Nigdy się nie dowie, jeśli teraz zakończy swoje życie.

Powziąwszy ostateczną decyzję, Qinnitan wyciągnęła korek ze szklanego naczynka, skierowała modlitwę do złocistych pszczoł Nushasha, którymi się opiekowała tak długo, a potem przechyliła buteleczkę nad ustami Vo.

Długo nic się nie działo, ponieważ ciecz nie wypłynęła swobodnie jak woda, lecz ściekała powoli, jak syrop z granatu, i zaledwie kapnęła odrobina, gdy Vo zaczął się wiercić. Udało jej się jednak wlać mu do gardła co najmniej łyżeczkę, zanim obudził się na dobre i ją odtrącił, krztusząc się i kaszląc. Wytrącił jej z ręki buteleczkę, która potoczyła się po pokładzie, lecz Qinnitan się tym nie przejęła. Była pewna, że dała mu kilkanaście razy większą dawkę mikstury, niż sam zażywał, co powinno go zabić.

Oczywiście nie zamierzała czekać, żeby się przekonać. Na pokładzie byli też Vilas i jego głupi okrutni synowie; starszy pilnował rumpla, a dwaj pozostali spali. Za chwilę nawet ten głupek przy rumplu zauważył, co się dzieje. Popędziła do niskiego relingu od strony lądu i przrzuciła ciało. Gdy minął pierwszy szok po zetknięciu z zimną wodą, wynurzyła się na powierzchnię i zaczęła płynąć ku pogrążonemu w ciemności odległemu brzegowi. Gdy oddaliła się trochę, obejrzała się na łódź. Zobaczyła coś ciemnego, co wzniosło się nad burzę i wpadło z pluskiem do lśniącej blaskiem księżyca wody. Serce dziewczyny zamarło na moment. Czyżby Vo ją gonił? Czy nawet solidny łyk trucizny go nie zabił?

Może się potknął i wypadł za burzę, pomyślała i zaczęła szybciej płynąć. Może już utonął.

Odpląnęła od kutra zaledwie na odległość długiego rzutu kamieniem, a już poczuła się zziębnięta i wyczerpana, a momentami wydawało jej się wręcz, że woda odciąga ją od brzegu, jakby Efiyal, niegodziwy stary bóg morza, robił wszystko, by ją pokonać.

Ja nie... – pomyślała, choć nie miała pewności, czemu się opiera, do tego trudno jej było zebrać myśli. Śmierć? Bogowie? Daikonas Vo? Ja nie...!

Pracowała mocno ramionami, rozchlapując wodę, i wiedziała, że z pewnością widzą ją z kutra, ale nie płynęli za nią. Czy to oznaczało, że Vo nie żyje? Czy raczej, że są pewni, iż ona utonie?

Teraz to nie miało znaczenia. Mogła tylko płynąć z całych sił. Oczy ją piekły od wody, która wlewała jej się też do ust. Księżyc wisiał nad nią niczym ogromne oko, falując za każdym razem, gdy Qinnitan zanurzała głowę pod wodę i ją wychylała. Ciężkie jak kamienie nogi ciągnęły ją w dół, bez względu na to, jak mocno nimi pracowała, usiłując wyrwać się z uścisku oceanu. Znużenie rozlewało się po jej ciele, lecz podczas gdy do niedawna przypominało strumień ognia płynący w jej żyłach i płucach, teraz zaczęło się zmieniać w coś innego – zabójcze zimno, które obejmowało jej ciało kawałek po kawałku, aż zdrętwiały jej kończyny, tak że ich nie czuła i nie wiedziała, gdzie jest dół, a gdzie góra, czy żyje, czy tonie, czy widzi księżyc, który wisi nad nią, czy też dostrzega jego odbicie w głębi wody...

Stopy Qinnitan dotknęły piasku i gładkich kamieni, a potem straciły z nimi kontakt. Kolejnych kilka fal i brzeg znowu był pod nią, tym razem na dobre. Jej stopy oparły się o dno, a woda sięgała jej tylko do szyi... a potem do piersi... do pasa.

Gdy już nie czuła dotyku wody, opadła na mokre kamienie plaży i poszła za księżycem w ciemność.

Obudziła się drżąca w kościanobiałym blasku księżyca. Nie widziała nigdzie Vo ani kutra, ale czuła się strasznie odsłonięta na plaży, smagana zimnym, porywistym wiatrem. Wyjęła sukienkę, na ile to było możliwe, a potem ruszyła powoli w kierunku wzgórz. Stopy miała tak zdrętwiałe, że prawie nie czuła ostrych kamieni, po których szła.

Po jakimś czasie stanęła w morzu wysokich traw kołysanych wiatrem i szepecących jak niespokojne dzieci. Nie miała siły iść dalej. Opadła na kolana i posunęła się jeszcze kawałek, usiłując przekonać swój umęczony i pogrążony w odrętwieniu umysł, że zmierza ku bezpieczeństwu, że niebawem dotrze do miejsca, w którym nikt jej nie zobaczy. Ostatecznie zanurzyła się w szepcie wysokich traw i już nie czuła gorącego kąsania wiatru, a świat znowu jej uciekł.

– Szkoda, że obcięłaś włosy, księżniczko – rzekł Eneasz, pomagając Briony włożyć kolczugę. – Choć przyznaję, że ta fryzura bardziej pasuje do tego stroju.

– Ludzie robią różne dziwne rzeczy, gdy uciekają, by ratować życie.

Książę oblał się rumieńcem.

– Oczywiście, pani, nie chciałem...

Briony zmieniła temat.

– Ta kolczuga jest bardzo lekka, o wiele lżejsza niż się spodziewałam. – W rzeczywistości w zbroi czuła się prawie tak samo jak w jednej z oficjalnych sukien, które musiała nosić na dworze, nie wspominając już o gorsecie, krochmalonym kołnierzu i kilku warstwach hałek, jakie musiała zawsze wkładać. Kolczuga dobrze leżała na pikowanej koszuli i sięgała Briony prawie do kolan, ale miała rozcięcia z boków, co ułatwiało jazdę konną.

– Tak. – Książę był wyraźnie zadowolony, że zauważyła ten szczegół. Briony pomyślała, że Eneasz jest ujmujący, gdy tak się cieszy za każdym razem, kiedy ona okaże zainteresowanie bronią lub zbroją, nieco większe niż inne kobiety. – Jak już ci mówiłem, jest wzorowana na strojach Tuńczyków i Mihańczyków, szybkich jeźdźców pustyni, którymi dowodził twój nauczyciel Shaso. Teraz powolni rycerze nie stratują wroga. To, co w czasach naszych dziadów utrudniał długi łuk, strzelba niebawem całkiem uniemożliwi. Nawet najcięższa zbroja zatrzyma pocisk tylko z pewnej odległości, ale jeździec jest w niej nieporadny na grzbiecie konia i zupełnie bezradny, gdy z niego spadnie... – Książę znowu się zarumienił. – Mówię bez końca. Pozwól, że pomogę ci z opończą. – Eneasz i jego giermek wsunęli opończę, gdy Briony uniosła ramiona, a potem książę się wycofał, być może by zachować względy przyzwoitości, a młody giermek zajął się wiązaniem troczków.

– No – rzekł książę. – Teraz jesteś jak Świątynny Pies!

Briony się roześmiała.

– Czuję się zaszczycona, nawet jeśli to tylko na pokaz. Tylko czy to konieczne już teraz?

– Do Marchii Południowej jeszcze szmat drogi, księżniczko, a cała północ jest niespokojna

i najeżona niebezpieczeństwami. Za armią czarodziejskich ludzi płynie fala bezprawia. Bandyci, których zabił kapitan Linas i jego ludzie, to nie jedyni, jakich można spotkać. Nawet w granicach naszego królestwa jest wielu, którzy nie pałają sympatią do mojego ojca czy Syanu.

– Ale chyba nikt nie odważy się zaatakować tak dużego oddziału!

– Z pewnością masz rację, co nie znaczy, że ktoś nie zechce strzelić do nas z ukrycia. – Podniósł hełm z kolczym kołnierzem zasłaniającym kark. – Dlatego włożysz także to, księżniczko.

– A mogę to zrobić dopiero po wyjściu z namiotu?

Wreszcie Eneas z się uśmiechnął. Briony musiała przyznać, że ma bardzo miłą aparycję – dużą otwartą twarz i silnie zarysowaną szczękę.

– Oczywiście, pani. Ale potem zdejmiesz go dopiero, gdy dotrzemy do Marchii Południowej. Nie, wtedy też nie.

Księżę nakazał swoim ludziom przygotować się do podróży na północ, podczas gdy on sam, Briony i jego osobisty strażnik udali się do miejsca, w którym aktorzy wciąż pozostawali pod strażą szańskich żołnierzy.

– Po raz kolejny dzięki tobie uniknęliśmy wielce nieprzyjemnego losu, księżniczko – rzekł Finn Teodoros.

– Który by was nie spotkał, gdyby nie ja – odparła. – Postaram się wam to jakoś wynagrodzić. Jak się mają inni?

– Jak się pewnie domyślasz – odpowiedział Finn. – Oczywiście oplakują śmierć Dowana Bircha. Wszyscy go kochaliśmy, ale zdaje się, że Estir darzyła go głębszym uczuciem, niż zdawaliśmy sobie z tego sprawę.

Briony westchnęła.

– Biedny Dowan. Zawsze był dla mnie taki miły. Jeśli kiedyś odzyskam tron, każę wybudować teatr i nazwę go jego imieniem.

– To byłoby miłe, ale nie wspominałbym o tym teraz, bo rany są zbyt świeże. – Finn pokręcił głową. – Nawet nie wiesz, jak mi się ciężko zrobiło na duszy, gdy cię zabrali, Wasza Wysokość, i oto znowu jesteś! Zaiste, prawdziwie epickie przeżywasz przygody, a podejrzewam, że poznałem zaledwie połowę.

– Teodoros może wychwalać cię pod niebiosa – odezwał się głos za plecami Briony – lecz ode mnie tego nie oczekuj.

Briony odwróciła się i zobaczyła Estir Makewell, która wpatrywała się w nią, potargana, z przekrwionymi oczami.

– Estir, tak mi przykro...

– Czyżby? – Kobieta wydawała się zamknięta w sobie, a zarazem napięta jak zwierzę gotowe do ucieczki. – Naprawdę? To dlaczego nie poszłaś oddać ostatniej usługi Dowanowi zaraz po przybyciu tutaj?

– Zamierzałam...

– Jasne. – Estir chwyciła mocno Briony za ramię, jakby chciała ją zaatakować. – No to chodź. Chodź i zobacz go.

– Estir... – odezwał się Finn Teodoros ostrzegawczym tonem.

– Dobrze, pójdę – uspokoiła go Briony. – Oczywiście, że pójdę.

Pozwoliła, by Estir pociągnęła ją za sobą przez drogę i trochę dalej, gdzie zaczynał się las i gdzie zostali napadnięci. Ciało olbrzyma leżało na ziemi, a jego pierś i twarz zakrywał jeden z

jaskrawych płaszczy, w którym występował, odgrywając boga Voliosa.

– Patrz – powiedziała Estir. – Tyle mi z niego zostało. – Ściągnęła płaszcz i odsłoniła pociągłą i bladą jak brzuch ryby twarz Dowana. Wcześniej zamknęła mu oczy i obwiązała szczękę kawałkiem materiału, lecz wbrew temu, co ludzie zawsze powtarzali, łagodny olbrzym wcale nie wyglądał, jakby spał. Bardziej przypominał zwykłą rzecz, zepsutą i niepotrzebną.

Tak samo jak biedny Kendrick, pomyślała Briony. W jednej chwili krew rumieniła jego policzki, w następnej była tylko zasychającą plamą na podłodze. Jesteśmy niczym, gdy życie z nas uchodzi. Nasze ciała są niczym.

– Płaczesz? – zapytała Estir. – Oplakujesz mojego Dowana? Księżniczka czy nie, jesteś bezczelna. Masz w sobie dumę bogów, skoro potrafisz go oplakiwać, ty, która sprowadziłaś na niego śmierć. – Pokazała na brzydką pustą twarz olbrzyma. – Spójrz na niego! Spójrz! Był wszystkim, co miałam! Miał mnie poślubić, gdy uzbieramy trochę pieniędzy! A teraz jest... jest tylko... – Zachwiała się i opadła na kolana, szlochając. – Niech Kernios odprowadzi cię bezpiecznie i przyjmie cię, drogi D-D-Dowanie...

Briony dotknęła ramienia Estir, lecz ta odtrąciła jej rękę.

– Nie! Inni mogą sobie piąć z zachwyty nad tobą, ale to była twoja wina! Wcale cię nie obchodziliśmy, ani przez chwilę.

– Estir, głupoty gadasz – powiedział Finn i podszedł szybko do Briony. – Księżniczka nie miała z tym nic wspólnego...

– Właśnie, że miała – warknęła Estir Makewell. – Tylko że nikt nic jej nie powie, bo ona przecież należy do przeklętej przez bogów rodziny królewskiej! A co mnie to obchodzi? Mój ukochany nie żyje, moja ostatnia szansa! Ostatnia... – Osunęła się i szlochając, leżała z głową opartą o pierś zmarłego. – Dowanie...

– Chodź, księżniczko – rzekł Finn. – My cię nie winimy.

Briony zwróciła uwagę, że inni aktorzy nie przyszli się z nią przywitać – Nevin Hewney i Pedder Makewell, podobnie jak pozostali, obserwowali ją z pewnej odległości, jakby za sprawą jakiegoś zaklęcia zamieniła się w coś innego, trochę groźnego.

– Dopilnuję, by miał godziwy pogrzeb w Layandros – powiedziała do Finna. Spojrzała na księcia Eneasza, który czekał ze swoimi ludźmi trochę dalej, tak by mogła się rozmówić ze swoimi przyjaciółmi, za jakich uważał aktorów, podobnie jak ona. – Tyle przynajmniej mogę zrobić.

– Powtórzę: nie obwiniaj się o nic, księżniczko. W dzisiejszych czasach drogi są niebezpieczne, a my prawie całe życie spędziliśmy w podróży. To mogło się przydarzyć zarówno z tobą, jak i bez ciebie.

– Ale podróżowaliście ze mną, Finn, a ja nie dałam wam wyboru. Gdyby nie było mnie z wami, Dowan mógłby żyć. Pewnie by osiadł gdzieś na gospodarstwie razem z Estir.

– I padł od zarazy albo został ugodzony przez byka. Nie jestem pewny, czy wierzę w bogów, lecz Los jest czymś innym. – Finn pokręcił głową. – Śmierć nas znajdzie, księżniczko – moja, twoja, Estir Makewell – żebyśmy nie wiem jak się przed nią ukrywali. Śmierć Dowana znalazła go tutaj, to wszystko.

Briony długo milczała. Ciężar wszystkiego, co utraciła, i tego, czego nie zdołała dokonać, zdawał się przygniatać ją tak bardzo, że z trudem oddychała.

– Dzię-dziękuję ci – odezwała się wreszcie. – Dobry z ciebie człowiek, Finnie Teodoros. Żałuję, że wpłatałam cię w swoje kłopoty.

Teraz to dramatopisarz zamilkł, lecz jego milczenie wydawało się płynąć raczej z namysłu niż z nadmiaru emocji.

– Odejdźmy trochę na bok, zanim nas opuścisz, księżniczko Briony – zwrócił się do niej po

dłuższej chwili.

Wrócili na drugą stronę drogi i zatrzymali się w pewnym oddaleniu od Eneasza i jego żołnierzy, lecz wciąż w zasięgu ich wzroku, a także odpowiednio daleko od rozpaczającej Estir Makewell, tak by Briony mogła oddychać swobodnie.

– Jeśli chcesz czegoś, prosz – rzekła Briony. – Drogi Finnie, jesteś jednym z niewielu ludzi na tym świecie, którzy okazali mi samą dobroć. – Przypomniała sobie, z jaką władczością odniosła się do niego wcześniej, i aż zamrugła, gdy pomyślała, jak musiała go przestraszyć. – Tak jak mówiłam, zostaniesz moim historykiem, ale mam nadzieję, że pozostaniesz także przyjacielem.

Wydawało się, że dramaturg – po raz pierwszy od dnia ich spotkania – nie wie, co powiedzieć, ale i tym razem można było odnieść wrażenie, że chodzi o coś innego niż uczucia, które nie pozwalają mu mówić. Wreszcie potrząsnął głową, jakby chciał się pozbyć czegoś irytującego.

– Muszę z tobą porozmawiać, księżniczko.

– Zdumiewasz mnie, mistrzu Teodorosie. Czyż nie rozmawiamy?

– Mam na myśli szczerą rozmowę. Prawdziwie szczerą. – Teodoros przełknął ślinę. – Wiele wycierpiałas dla swojego ludu i jeszcze więcej ryzykowałas, Wasza Wysokość. Wysłuchaj mnie teraz. Ci, których uważasz za przyjaciół i sprzymierzeńców... no cóż, niektórzy nie są przyjaciółmi. Ani trochę.

Dawet mówił podobnie dawno temu, jeszcze w Syanie. Wtedy zabrzmiało to dla Briony jak wieść z innego świata.

– Co masz na myśli? Nie zamierzam z ciebie drwić, ale trudno mi znaleźć takich, którzy by nie zawiedli zaufania mojej rodziny – Tolly'owie, Hester z Jellonu, król Enander...

– Nie, miałem na myśli kogoś, kto jest bliżej ciebie. – Rozbawiony cynizm, którym Teodoros zwykł okraszać swoje słowa, zupełnie zniknął. – Wiesz, że od dawna służyłem lordowi Brone'owi, jako uczonego, a także w charakterze szpiega.

– Wiem i kiedyś poproszę cię, żebyś mi opowiedział o tamtych dniach, o swoich zadaniach. Sam Brone wytykał mi, że jestem zbyt ufna, że powinnam znaleźć sobie własnych szpiegów i informatorów, ale muszę przyznać, że niewiele wiem o podobnych grach...

Teodoros uniósł dłoń, lecz zaraz się pohamował, wiedząc, że nie należy okazywać zniecierpliwienia księżniczce.

– Wybacz, księżniczko, ale to właśnie Brone'a miałem na myśli.

Dopiero po chwili dotarło do niej znaczenie słów dramaturga.

– Brone? Twierdzisz, że Avin Brone jest zdrajcą?

Nalana twarz Teodorosa wyrażała cierpienie.

– To jest dla mnie trudne, pani. Lord Brone zawsze był wobec mnie sprawiedliwy. Wasza Wysokość, i nigdy nie powiedział przy mnie niczego, co by mogło sugerować, że nie jest lojalny wobec ciebie... lecz kiedyś zostawił mnie samego w pokoju wypoczynkowym, gdy niespodziewanie przywieziono jednego z jego pozostałych szpiegów z Gościńca Południowego, gdzie został raniony strzałą...

– Rule. Nazywał się Rule – wtrąciła Briony. – Litościwa Zorio, pamiętam tamtą noc. Byłam wtedy u Brone'a.

– A ja siedziałem nieopodal, w pokoju, w którym lord załatwia swoje interesy. – Finn rozejrzał się, by się upewnić, że nikt ich nie słyszy. – Jestem... ciekawski, co chyba nie stanowi dla ciebie zaskoczenia. Na Zosima Wielolicego, to nie moja wina, w końcu jestem pisarzem! Nigdy wcześniej lord nie zostawiał mnie samego ze swoimi rzeczami, tak więc... no cóż, muszę wyznać, że skorzystałem z okazji, by zerknąć na jego papiery. Niektóre były dla mnie

niezrozumiałe – jakieś mapy, listy z nazwiskami, inne zaś okazały się zwykłymi raportami jego licznych szpiegów z działań w Summerfield, Hierosolu, Jellonie i w innych miejscach. Lecz na samym spodzie pliku dokumentów złożonych na sekretarzyku znalazłem coś w welinowej oprawie, opatrzone godłem Eddonów, coś, co nie było zapieczętowane.

– Wiesz, że nie powinieneś tego nawet dotykać – powiedziała Briony. – Gdyby cię przyłapano, mógłbyś zostać skrócony o głowę. – Powiedziała to lekkim tonem, lecz głównie dlatego, że nie chciała usłyszeć, co Finn ma jej jeszcze do powiedzenia.

– Jak już mówiłem, księżniczko, jestem pisarzem, co, jak wszyscy wiedzą, stanowi synonim głupca. Podszedłem do drzwi, nasłuchując, czy nikt nie nadchodzi, i uniosłem okładkę. W środku była lista osób – wśród nich rozpoznałem nazwiska zaufanych agentów lorda Brone’a – które w odpowiednim czasie, na dany sygnał, miały zabić lub uwięzić członków rodziny królewskiej. Planowano też później skonsolidować władzę i utrzymać lud w ryzach. Wszystko spisane ręką Brone’a. Jego charakter pisma znam równie dobrze jak własny.

– Co...? – Briony nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. – Chcesz powiedzieć, że Brone planuje nas zamordować?

Finn Teodoros wyglądał na bardzo nieszczęśliwego.

– Być może się pomyliłem, Wasza Wysokość. Może to był tylko kolejny raport, jakiś spisak odkryty przez lorda, może nawet udaremiony i opisany jego ręką. Albo coś zupełnie innego. Nie chcę oskarżać lorda Brone’a tylko na podstawie tego, co widziałem, a potem mieć go na sumieniu. Ale przysięgam, że było tak, jak mówię, księżniczko. Własnoręcznie sporządził tamtą listę, która bardzo przypominała plan zdrady i zabójstwa – plan przejęcia tronu Marchii Południowej. Chciałbym, żeby było inaczej, ale to właśnie widziałem.

Łączka przy drodze nagle wydała się Briony równie chwiejna jak pokład statku. Przez chwilę się bała, że straci grunt pod nogami i zemdleje.

– Dlaczego... dlaczego mówisz mi to teraz?

– Ponieważ niebawem się rozstaniemy – odparł Finn. – Nie nadażymy za żołnierzami księcia i nawet tego nie chcemy. Nie jesteśmy wojownikami, a bogowie wiedzą, że przed wami walka. – Finn skłonił głowę, jakby chciał uniknąć spojrzenia Briony. – Mówię to też dlatego... że okazałaś mi życzliwość, księżniczko. Lubię cię. Jak sama powiedziałaś, chciałbym myśleć o tobie jak o przyjaciółce, ale nie ze względu na władzę, jaką można zyskać, będąc blisko członka rodziny królewskiej. Wcześniej udało mi się przekonać samego siebie, że się mylę, że to nie moja sprawa. Teraz jednak... znam cię zbyt dobrze, Briony Eddon. Księżniczko. Taka jest prawda.

– Ja... muszę pomyśleć. – W tym momencie Briony poczuła się jeszcze bardziej samotna niż w dniu, w którym odjechał jej brat. Świat, i tak już niebezpieczny i zagmatwany, okazał się teraz pozbawiony środka i wszelkiego sensu. – Muszę pomyśleć. Proszę, zostaw mnie samą.

Teodoros uklonił się i odszedł. A gdy księżę Eneas zbliżył się, wyczuwając, że coś jest nie tak, Briony odprawiła go gestem dłoni. Wiedziała, że towarzystwo innych ludzi nie przyniesie jej żadnej pociechy. Przynajmniej nie teraz. Może już nigdy.

Pokonać armie?

W żyłach pewnych śmiertelników, jak twierdzą niektórzy, wciąż płynie krew Qarów, szczególnie tych na ziemiach wokół legendarnej Góry Xandos na południowym kontynencie, a także wśród Vutów i innych, którzy niegdyś żyli na dalekiej północy. Ilu nosi tę skazę i jak ona wpływa na tych śmiertelników? Nie znalazłem żadnych naukowych dowodów, które by to wyjaśniły.

– z Traktatu o czarodziejskich narodach obojga kontynentów Eionu i Xandu

Olin Eddon stał przy relingu. Był przywiązany do jednego ze strażników, a dwóch innych stało w pobliżu. Autarcha może się nie przejmował tym, co może zrobić zdesperowany skazaniec, ale Pinimmon Vash miał inne zdanie, dlatego w końcu zarządził pewne środki bezpieczeństwa wobec króla z północy. Przecież Olin w najlepszym razie mógł się rzucić za burtę i pokrzyżować plany, jakie wobec niego miał pan Vasha. Pierwszy minister nie miał pojęcia, dlaczego Sulepis się tym nie martwi, choć autarcha ogólnie zachowywał się tak, jakby był nieomylny. Jak dotąd nie popełnił żadnego błędu, lecz Vash, nauczony doświadczeniem, wiedział, że gdyby coś poszło nie tak, wina spadłaby na niego, a nie na jego pana.

– Nie wyglądasz dobrze, Wasza Królewska Mość – rzekł Vash.

– Bo nie czuję się dobrze. – Król z północy był blebszy niż zwykle i miał podkrążone oczy.

– Nie spałem zbyt dobrze ostatnimi czasy. Nękają mnie złe sny.

– Przykro mi to słyszeć. – Cóż za dziwny taniec muszą tańczyć, pomyślał Vash. Wszyscy na statku wiedzieli, że los tego człowieka jest przesądzony, mimo to autarcha oczekiwał, że Olin będzie traktowany z uprzejmością, jak gość. – Dobrze, że wyszedłeś na pokład. Mówią, że morskie powietrze leczy wiele dolegliwości ducha.

– Obawiam się, że nie to. – Olin pokręcił głową. – Pogorszy się jeszcze, w miarę jak będziemy się zbliżać do domu.

Vash nie wiedział, co powiedzieć – słuchając ich rozmów, nie potrafił orzec, czy to król Olin, czy też jego pan nie jest całkiem zdrowy na umyśle. Spojrzał na zamek na skalistym cyplu. Na wieży powiewała flaga, lecz byli zbyt daleko, żeby zobaczyć coś więcej poza barwami – czerwień i złoto.

– Znasz tamto miejsce?

– Tak, to Landsend. Dom jednego z moich najstarszych i najbardziej zaufanych przyjaciół.

– Uśmiech Olina bardziej przypominał grymas. Vash widział wyraźnie, że król z północy ukrywa dotkliwy ból, lecz nie potrafił powiedzieć, czy to cierpienie fizyczne, czy też spowodowane jakimś wspomnieniem. – Nazywa się Brone. W pewnym sensie pełnił funkcję mojego pierwszego ministra, tak jak ty u autarchy.

I założę się, że traktowałeś go lepiej niż mnie Sulepis, dla którego jestem tylko czymś trochę więcej niż użytecznym zwierzątkiem. Vash zdziwił się własnym rozgorznięciem.

– Ach, wolisz może zostać sam?

– Nie, twoje towarzystwo jest mile widziane, lordzie Vash. Szczerze mówiąc, liczyłem na to, że będziemy mieli okazję porozmawiać... tylko my dwaj.

Vash poczuł mrowienie na karku.

– Co masz na myśli?

– Tylko to, że uważam, iż łączy nas więcej interesów, niżby się to mogło wydawać na pierwszy rzut oka.

Czy ten głupiec sądzi, że uda mu się namówić Pinimmona Vasha do zdrady autarchy Xis? Nawet gdyby się nie bał swojego pana – a bogowie tylko wiedzą, jak bardzo Sulepis go przeraża – to Vash nigdy by nie zdradził tronu. Jego rodzina służyła Xis od pokoleń!

– Z pewnością moglibyśmy porozmawiać o wielu interesujących rzeczach, Wasza Królewska Mość, ale doprawdy nie przychodzą mi do głowy żadne interesy, które mogłyby nas łączyć. Niestety, przypomniałem sobie o kilku sprawach, które muszą zostać załatwione jeszcze rano, tak więc nasza rozmowa musi poczekać.

– Nie bądź taki pewny, że nie łączą nas wspólne interesy – rzekł Olin, gdy Vash odwrócił się, by odejść. – Żaden z nas nie zna całej prawdy. My, śmiertelnicy, zamieszkujemy dziwny świat, co jest zarazem moją największą pociechą i najpoważniejszą obawą.

Gdy Vash spotkał króla z północy następnym razem, Oliną prowadzono na dziób statku, gdzie miał dotrzymać towarzystwa Sulepisowi, podczas gdy kapłani, intonując pieśń, wylewali za burtę zawartość dwóch złocistych muszel pełnych krwi autarchy, by oczyścić fale i oznaczyć nowe terytorium przejęte przez Xis. Sulepis zdawał się tryskać zdrowiem pomimo lnianych bandaży na przedramionach, dlatego gdy Olin w asyście straży się do niego zbliżył, kontrast między mężczyznami stał się od razu widoczny.

– Vash mówi, że nie czujesz się dobrze – odezwał się autarcha. – Jeśli morze ci nie służy, to uzbrój się w cierpliwość. Jak się pewnie domyślasz, za godzinę lub dwie rzucimy kotwicę.

Olin nie odpowiedział. Ignorując przedstawienie Panhyssira i jego kapłanów odprawiających ceremonię błogosławieństwa morza, odwrócił się i spojrzał na pokład. Żołnierze i marynarze przygotowywali się do zejścia na ląd, kołowroty skrzypiały pod ciężarem wojskowego sprzętu. Niezwykle było to, że rozpoczęto rozładunek, zanim statek przybił do portu. Vash nie miał wątpliwości, że Sulepis się spieszy.

Z tyłu, w dalszej części zatoki, płynęła pozostała część flotylli, prawie połowa statków, jakie autarcha sprowadził na północny kontynent, dlatego wydawało się, że nad wodą frunie ogromne stado złocistych sokołów widocznych na żaglach. Ogromne mury zewnętrzne Hierosolu zostały zdobyte w ciągu kilku dni. Jak długo może się opierać takiemu mocarstwu jak Xis o wiele mniejsza Marchia Południowa?

Władca z północy bez wątpienia myślał o tym samym.

– Sprowadziłeś tu imponującą siłę – rzekł, odwracając się do autarchy. – A to mi przypomina historyczne wydarzenia. Jesteś czytany człowiekiem, Sulepisie. Słyszałeś o Szarych Drużynach, które nękały te ziemie przed trzema wiekami?

Autarcha rozcapierzył palce zakończone złocistymi paznokciami, jakby podziwiał, jak lśnią w słońcu.

– Słyszałem o najemnikach, oczywiście – odpowiedział. – W moim kraju nie byłoby miejsca na nic takiego. W Xis bandytów nabija się na pale i wystawia na widok publiczny. Moi ludzie wiedzą, że ich obserwuję.

– Och, co do tego nie mam wątpliwości – odparł Olin. – Lecz widok twojej flotylli i ogromnej armii na jej pokładach nasunął mi na myśl czasy Szarych Drużyn, a w szczególności dokonania słynnego lokalnego przywódcy Davosa zwanego „Kapłanem”.

Rozbawiony autarcha spojrział na Olina.

– Kapłan? O nim nie słyszałem.

– Pewnie dlatego, że skupiłeś się na późniejszych dziejach mojego rodu.

– Naprawdę był kapłanem o takim imieniu?

– Do niego należał dochód świątyni, ale to jeszcze nie znaczyło, że jest prawdziwym kapłanem. Imienia też nie zdobył dzięki swoim dobrym uczynom. Niektórzy twierdzą, że nie było większego złoźcy na całym Eionie... choć inni temu zaprzeczają.

Śmiech Sulepisa zdawał się wyrażać szczerą radość.

– Och, bardzo dobrze, Olinie! Dopiero teraz okrzyknięto go złoźcą, to chciałeś powiedzieć.

Władca z północy wzruszył ramionami.

– Naprawdę myślisz, że potrafiłbym być tak nieuprzejmy wobec równie domyślnego gospodarza?

– Mów dalej. Słucham z zainteresowaniem.

– Wiesz, jak Szare Drużyny pojawiły się tu na północy w czasach chaosu, jaki nastąpił po pierwszej wojnie z czarodziejskim ludem. Nękały te ziemie po bitwie na Zimnoszarym Wrzosowisku – bandy żołnierzy niemających dokąd pójść. Na początku byli gotowi walczyć dla każdego pana, który im zapłaci, ale potem zabrali się do plądrowania i rabowania. Najgorszym z nich – i najpotężniejszym – był syn szańskiego szlachcica, Davos z Elgi. Ponieważ dysponował dochodem świątyni, a może za sprawą długiego czarnego płaszcza, jaki nosił, nazwano go „Kapłanem”. W zawierusze tamtych dni Davos popierał mnóstwo spraw i splądrował wiele miast, lecz wielki przywódca jest jak jeździec dosiadający wściekłego odyńca – boją się go wszyscy z wyjątkiem samego odyńca, dlatego zawsze musi pamiętać, żeby nakarmić bestię. Kapłan był zmuszony prowadzić swoją wojnę nawet wtedy, gdy skończyła się większość działań po wycofaniu się Qarów. W miarę jak kolejne miasta północy były ograbiane, wygłodniali mieszkańcy, którzy zostali przy życiu, nie mieli gdzie się podziać, więc przyłączali się do najeźdźcy, i tak armia Kapłana rosła. Ostatecznie zajął całą Brenlandię i znaczne obszary Syanu. Jego ludzie plądrowali także mój kraj, najeżdżając Marchię Południową i Zachodnią. Rabowali i mordowali, aż podniósł się krzyk uciśnionych błagających o ratunek. Tą, której przypadło ich wesprzeć, była moja przodkini, prawnuczka króla Anglina, Lilia Eddon.

– Ach, tak – rzucił autarcha. – Kobieta, która rządziła całym narodem! Znam to imię.

– Zasłużyła na sławę. Jej mąż zginął w walce z jednym z bandytów Kapłana, a syn poległ u jego boku. Sama więc musiała sprawować rządu, a wielu spośród przestraszonych ludzi uważało, że powinna zostać usunięta z tronu, na którym widziano raczej kogoś ze znacznych rycerzy. Lecz Lilia była takim samym wojownikiem jak rycerze z jej dworu, bo w jej żyłach płynęła gorąca krew Anglina. Nie dała się usunąć.

Kapłan długo podziwiał Marchię Południową, nie tylko z powodu jej młodej królowej. Ziemia tego kraju była żyzna, a zamek prawie nie do zdobycia. Davos zwrócił się do królowej Lilii z propozycją małżeństwa. Nie miała męża ani syna. Kapłan przedstawił się jako mąż bogaty i silny i obiecał, że jeśli Lilia go poślubi, to jego wielka armia będzie odtąd służyła Królestwom Pogranicza. Wielu namawiało ją, by przyjęła jego propozycję. Bo na co innego mogli liczyć?

Tymczasem Lilia wysłała list do Davosa Elgina, Kapłana w czarnym płaszczu – pana, jak mówiono, setek tysięcy żądnych krwi żołnierzy – w którym napisała: „Królowa Lilia żałuje, że nie może przyjąć twojej propozycji, albowiem będzie zajęta tępieniem szczerów, które rozplenili się na jej ziemi”. I zrobiła tak, jak powiedziała. – Olim podniósł wzrok. – Nudzę cię, Sulepisie?

– Ani trochę! Świetnie się bawię, co zdarza się bardzo rzadko. – Autarcha nachylił się do obcego króla. Vash pomyślał, że ze swoją pociągłą i chudą twarzą o długim nosie i niepokojąco

jasnych nieruchomych oczach Sulepis bardziej niż kiedykolwiek przypomina człowieka o twarzy sokoła. – Mów dalej, proszę.

– Lilia wiedziała, że Szare Drużyny nie przetrwają, nie mając czego plądrować – spustoszyły już inne ziemie, przez które przeszły – tak więc rozesała swoich agentów, żeby namówili ludność do wycofania się. Nie tylko tych, którzy znaleźli się na drodze przemarszu Kapłana, lecz także okoliczną ludność, nawet mieszkańców miejscowości pozornie niezagrażonych. Poleciała ludziom, żeby zabrali ze sobą wszystko, co mogą, a resztę zniszczyli. Obiecała im, że jeśli dotrą do Zamku Marchii Południowej, obejmie ich swoją ochroną. A potem wysłała własną armię, zahartowaną w wojnie z czarodziejskim ludem, żeby nękała znacznie większe siły Kapłana, nie dopuszczając do bezpośredniej konfrontacji.

I tak, gdy najemne armie weszły do Królestw Pogranicza, zastały opustoszałe i spalone ziemie, żadnych szlachciców, za których można by wziąć okup, żadnych kosztowności do zrabowania i nic do jedzenia. Co jakiś czas pojawiali się mieszkańcy Królestw Pogranicza, którzy atakowali ich i znikali jak cienie. Nigdy nie zabijali zbyt wielu żołnierzy Kapłana, ale zawsze pozostawiali po sobie strach przed niespodziewanym atakiem. Czasem ograniczali się do poderżnięcia gardła tylko jednemu najemnikowi, który spał pośród swoich kamratów, co napawało strachem jego kompanów, gdy znaleźli trupa, przekonanych, że równie dobrze mógłby to być któryś z nich. Ludzie królowej Lilii tępił żołnierzy Kapłana na wiele sposobów, mniej lub bardziej subtelnych, osłabiając mosty, zatruwając wodę pitną czy jedzenie albo po prostu podpalając ich namioty podczas snu. Wymordowano tylu strażników Davosa, że jego pikiety zaczęły nalegać, aby pełnić straż w grupach trzy lub czteroosobowych, co oznaczało, że duże połacie zajętego przez nich terenu pozostawały praktycznie niestrzeżone.

Wreszcie, gdy jego ludzie zaczęli się oglądać na każdy cień, Davos postawił wszystko na jedną kartę i zdecydował się na bezpośredni atak na Zamek Marchii Południowej. Na brzegu zatoki powstało wiele prowizorycznych domostw wybudowanych przez ludzi, którzy wcześniej uciekli przed najeźdźcami, a którzy nie zmieścili się w przepelnionym zamku. Gdy najemne wojska podeszły bliżej, wszyscy uchodźcy schronili się w pieczarach i na zalesionych wzgórzach przyłądków. Ludzie Davosa weszli do miasta, spodziewając się zasadzki. Poczuli dym i zobaczyli pierwsze płomienie – całe miasto na brzegu zatoki zostało podpalone. Najemnicy popatrzyli po sobie przestraszeni. Przekonali się, że tutejsi ludzie woleli spalić wszystko, niż oddać im choćby piędź ziemi. Jak pokonać takie szaleństwo?

Ludzie Kapłana zobaczyli też wysokie mury Zamku Marchii Południowej na drugim brzegu zatoki i zrozumieli, że trzeba by roku albo i więcej czasu, by zdobyć tak mocną twierdzę. Byliby przy tym narażeni na głód, gdyż okolice zostały zniszczone, a spichlerze stały puste. Nawet najwierniejsi żołnierze Davosa, którzy wzbogacili się u jego boku i z bandytów awansowali na szlachciców, odmówili wykonania jego rozkazu. Zupełnie stracili wolę walki. Wielu porzuciło broń i uciekło, by nie oglądać niezdobytego zamku i całej Marchii.

Lecz Lilia pozostawiła w zamku tylko symboliczne siły. Znaczna część armii przeprowała się statkami na brzeg Landsend i ruszyła na południe. Tak więc gdy co najmniej jedna czwarta wojsk Kapłana zdezerterowała, a pozostali klócili się między sobą, spadła na nich armia Marchii Południowej.

Napastnicy byli mniej liczni, za to najedzeni i zdeterminowani bronić swojej ziemi. Zaatakowani na plaży najemnicy krótko się bronili, bo ich siły szybko zostały podzielone na pół. Jednych wepchnięto w zimne fale zatoki i mogli się poddać albo zginąć. Druga grupa próbowała podążyć za kompaniami, którzy uciekli wcześniej, lecz większość została schwytana, gdy próbowała wspiąć się na klif. Łucznicy królowej strzelali do nich jak do ptaków na gałęzi, aż na dole powstał ogromny stos ciał i od tamtej pory taki bezładny stos nazywamy „stosem kapłana”.

choć niewielu dzisiaj pamięta, skąd się wzięło to określenie.

Sam Kapłan, Davos z Elgi, utonął w zatoce, naszpikowany strzałami, próbując przedostać się przez wodę do zamku.

Widzisz więc, że Królestwa Pogranicza przeżyły najazd Syanu, Hierosolu, Kracji i najemnych Szarych Drużyn. Sami Qarowie atakowali nas trzykrotnie. Dwa razy odparliśmy atak, zadając im dotkliwe rany, i teraz też to zrobimy. Także i ty, Sulepisie, pomimo całej swojej pewności siebie i mocy, staniesz się niebawem kolejnym imieniem w historii mojego kraju, jeszcze jednym najeźdźcą, któremu się nie udało, jeszcze jednym człowiekiem, którego duma przyćmiła rozsądek.

Mimo że tylko Vash, sam autarcha i Panhyssir znali język Olina na tyle dobrze, by go rozumieć, ton głosu władcy z północy, gdy skończył opowieść, nie pozostawiał wątpliwości: stojący wokół lektyki spoglądali ze strachem na swojego władcę – Złocisty został obrażony!

– Bardzo dobrze – rzekł autarcha. – Doskonale, Olinie. Opowieść z morałem! Jakkolwiek sądzę, że mogłeś zaufać swojemu rozmówcy, by sam sobie dopowiedział koniec, trochę przesłodziłeś ciasto, jeśli wiesz, co mam na myśli, ale i tak bardzo dobrze. – Skinął głową, jakby tknięty nową myślą. – A twoja rada jest bardzo cenna. Z pewnością nie byłoby rozsądnie wprowadzać do zatoki wszystkich statków z całym wojskiem, gdyż nie wiadomo, jaką niespodziankę przygotowali dla mnie Qarowie. Nachylił się do przodu, jakby zamierzał wyznać sekret. – Tak więc zaraz wysadzimy na ląd część naszych żołnierzy i poprowadzimy ich na zamek od strony lądu, podczas gdy flotylla zaatakuje z wody. I co ty na to, królu Olinie? Ponieważ to twój pomysł, czy będziesz mi towarzyszył? Być może to dla ciebie jedyna okazja, by poczuć pod stopami ojczystą ziemię – a przynajmniej by stanąć na niej pod gołym niebem. – Autarcha się roześmiał i zawołał do kapitana okrętu flagowego: – Przygotujcie się do zejścia na ląd!

Sulepis się oddalił, a jego słudzy rozpierzchli się niczym mrówki. Oczywiście Pinimmon Vash musiał towarzyszyć Złocistemu, ale miał dużo do zrobienia, gdyż zaskoczyła go nagła decyzja o opuszczeniu statku. Gdy się obejrzał, zobaczył, że Olin Eddon wciąż stoi w tym samym miejscu, otoczony przez strażników, a jego blade, zmęczone oblicze nie wyrażało niczego, co Vash potrafiłby nazwać.

Chcąc zachować uczciwość, Pinimmon Vash musiałby przyznać, że Olin Eddon wprowadził go w zakłopotanie. Dotąd minister spotkał tylko dwa rodzaje monarchów, a z pewnością wszyscy autarchowie należeli do jednej lub drugiej grupy – tych, którzy byli nieświadomi swoich słabości, albo tych, którzy im ulegli. Ci najokrutniejsi, jak dziadek obecnie panującego autarchy, Parak, należeli do tej drugiej grupy. Parak Bishakh am-Xis VI dopatrywał się spisków w każdym szepcie, w każdym spuszczonej spojrzeniu. Sam Vash ledwo przeżył jego rządy, a głowę zachował tylko dlatego, że w sposób bardzo subtelny kierował uwagę władcy ku innym celom. Mimo to w tamtych koszmarnych czasach dwukrotnie był aresztowany, a raz spisał testament. Co nie znaczy, że gdyby Vasha stracono, Parak by go uznał: chętnie dopatrywał się zdrady, ponieważ majątek zdrajcy zawsze był konfiskowany przez koronę.

Obecny autarcha należał oczywiście do drugiej grupy władców, tych, którzy uważają się za nieomylnych. W rzeczywistości młodemu autarsze tak dopisywało szczęście, że Vash zaczął skłaniać się ku przekonaniu, że za sukcesem Sulepisa stoją same Niebiosy.

Ale król z północy, Olin Eddon, nie był podobny do żadnego z monarchów, jakich Vash poznał w swoim życiu: właściwie jego wyważony ton i rzeczowa obserwacja tego, co się wokół

dzieje, przypominały Pinimmonowi Vashowi jego ojca. Tribunis Vash był głównym zarządcą Sadowego Pałacu, pierwszym, któremu udało się przeżyć całą służbę, bo wszyscy jego poprzednicy zmarli, wykonując swoje obowiązki, albo zostali straceni przez niezadowolonych autarchów. Już jako dorosły, nawet wtedy gdy otrzymał stanowisko pierwszego ministra, najwyższy szczebel, na jaki mógł się wspiąć ktoś niepochodzący z rodu królewskiego, Pinimmon wciąż czuł się onieśmielony w obecności ojca, jakby starzec potrafił przejrzeć na wylot to, co na innych robiło duże wrażenie, jakby przez szatę urzędu potrafił zobaczyć drżącego chłopca.

– On nie żyje od dziesięciu lat, a ty wciąż oglądasz się przez ramię, jakby cię obserwował – powiedział kiedyś do Vasha jego młodszy brat.

A przecież Tribunis Vash nie był okrutnym ani nawet szczególnie oschłym człowiekiem, a jedynie osobą wyważoną, z rezerwą; zawsze myślał, zanim coś powiedział, i mówił, zanim zaczął działać. Pod tym względem Olin Eddon bardzo go przypominał. Obaj odzywali się z namysłem i zdawali się dostrzegać i słyszeć rzeczy niezauważane przez innych. Różniło ich może tylko wrażenie, jakie wywierali na obserwatorze: ojciec Pinimmona Vasha zdawał się unosić ponad tumultem pełnego zdrad dworu Xis, majestatyczny niczym boski posąg w świątynnym ogrodzie. Natomiast król Olin sprawiał wrażenie pochylonego pod ciężarem wielkiego, lecz tajemniczego smutku, wobec którego wszystko inne w życiu, nieważne jak piękne czy straszne, wydawało się trywialne. A jednak mimo aury porażki, jaka spowijała Olina, było w nim coś, co sprawiało, że Vash w jego obecności czuł się nieswojo. Tak więc teraz, gdy Olin stał obok niego na skalistej plaży zatoczki, do której dowiozły ich łodzie, Vash poczuł, że to on jest czemuś winny, a nie więzień.

– Już niedługo – rzekł pierwszy minister. – Ruszymy, zanim słońce zacznie się obniżać.

Olin wydawał się obojętny na wszystko i nawet nie spojrzał na Vasha, a tylko przyglądał się żołnierzom, którzy przygotowywali się do wymarszu. Jedni nosili słoje i skrzynie przywiezione statkami, inni składali wozy, które przetransportowano w kawałkach z ładowni, albo zakładali uprzęż koniom i wołom mającym ciągnąć wozy.

– Chciałbyś odbyć tę rozmowę teraz? – zapytał niespodziewanie Olin, nie patrząc na Vasha.

– Jaką rozmowę? – Czy on jest tak zdesperowany, czy tylko głupi? – Patrz, idzie Złocisty. Z nim odbądź tę rozmowę, królu Olinie.

Jakieś sto kroków od nich autarcha z połączanej łodzi został przekazany na plecy kilkunastu pochylonych niewolników, a potem na tron w lektyce, którą niewolnicy zaraz ponieśli dalej na plażę. Złocisty liść zdobiący lektykę migotał tak jasno w wiosennym słońcu, że rzeczywiście się wydawało, iż to słoneczny rydwan.

Dowódcy oddziałów postawili na baczność żołnierzy, którzy czekali w słońcu. Zanim ostatni odmaszerują, tabory będą gotowe, by wyruszyć za nimi.

Vash wciąż klęczał, gdy lektyka zatrzymała się przy nim.

– Ach, tu jesteś – zawołał do niego autarcha. – Nie zauważyłem cię, bo czołgasz się po piachu. Wstań.

Vash szybko wykonał polecenie, starając się stłumić jęk, do którego zmuszały go bolące stawy. Szaleństwem wydawało się to, że znalazł się w tej barbarzyńskiej dżicy narażony na bogowie tylko wiedzieli jakie choroby i szkodliwe opary. Powinien siedzieć w Xis i nadzorować sprawę królestwa, ferując sprawiedliwe wyroki z Sokolego Tronu pod nieobecność autarchy, jak przystało na jego wiek i urząd...

– Żyję, by ci służyć, Złocisty – powiedział, gdy już się dźwignął na nogi.

– Pewnie, że tak. – Sulepis, ubrany w zbroję, spojrzał wzdłuż plaży na czekających żołnierzy. Kilka tysięcy zbrojnych i prawie tyle samo ludzi do pomocy, do tego niemal drugie

tyłe na statkach czekających, aż ci dotrą do Zamku Marchii Południowej Olin. Vash wiedział, że mieszkańcy północy nie są w stanie nawet wyobrazić sobie mocy autarchy, rozmiarów jego imperium, a co dopiero wytrzymać jego atak: Złocisty mógłby z łatwością sprowadzić armię dziesięć razy większą niż ta, gdyby zaszła taka potrzeba, nie przerywając oblężenia Hierosolu i zapewniając jednocześnie dostateczną obronę Xis.

Oczywiście sam autarcha wiedział to wszystko: jego twarz rozjaśniał szeroki uśmiech kogoś, kto patrzy, jak wreszcie urzeczywistnia się wizja droga jego sercu.

– A gdzie Olin? – zawołał. – Ach, tutaj. Ustaliliśmy, że będziesz mi towarzyszył, tak więc podejdź i usiądź u mych stóp. To przecież twój kraj. Jestem pewny, że macie tu wiele osobliwości i dziwnych zwyczajów, które możesz mi opisać.

Olin spojrzawszy ponurym wzrokiem na Sulepisa siedzącego w lektyce.

– Owszem, mamy wiele dziwnych zwyczajów. A skoro już o nich mówimy, to czy wolno mi iść pieszo? Po długich tygodniach spędzonych na statku odczuwam potrzebę ruchu.

– Jak najbardziej, tylko będziesz musiał mówić głośno, żebym cię tu słyszał. Trafna uwaga, co? Ostrzega, żeby nie oddalać się zbyt od swoich poddanych! – Sulepis się roześmiał, a jego wysoki chichot przyprawił o dreszcze niektórych niewolników, tak że lektyka zachwiała się lekko. Vash poczuł, że serce podchodzi mu do gardła. Z każdą godziną autarcha stawał się coraz bardziej szalony i nieprzewidywalny.

Odezwały się dzwony i rogi. Ogromna armia ruszyła, połyskując zbrojami w popołudniowym słońcu, i wydawało się, że migocące fale wystąpiły z brzegów i rozlały się po ziemi jak okiem sięgnąć. Vash czekał razem z Olinem, jego strażą, Panhyssirem i innymi kapłanami, a także liczną świtą dworzan i urzędników, a wszyscy oni starali się zmieścić w cieniu niesionej wysoko lektyki.

– Zdaje się, że nie dokończyliśmy naszej rozmowy o czarodziejskim ludzie – powiedział autarcha, gdy dotarli do przybrzeżnej drogi i szeregi ludzi i zwierząt skręciły, kierując się na południowy zachód w kierunku Zamku Marchii Południowej. – Mówiliśmy o twoim niezwykłym dziedzictwie, Olinie, zgadza się?

Władca z północy oddychał ciężko już po krótkim podejściu z plaży, a trupią błądź na jego twarzy zastąpił żywy rumieniec. Nie odpowiedział.

– Tak – mówił dalej Sulepis. – Czarodziejski lud – albo Parikowie, jak ich nazywamy w Xandzie – został wyparty z większości naszych ziem dawno temu, nawet z wysokich gór i gęstych lasów na południu. Lecz gdy na samym początku wędrowali po naszym kraju, bywało, że kopulowali z samymi bogami. Czasem też ze śmiertelnikami i zdarzało się, że z tych związków rodziły się dzieci. Tak więc nawet gdy bogowie odeszli, a czarodziejscy ludzie zostali wypędzeni, boska krew przetrwała w niektórych rodzinach śmiertelników, o czym oni sami czasem nie wiedzieli przez pokolenia. Lecz krew bogów jest silna i zawsze kiedyś się ujawnia.

Zgłębiając temat, dowiedziałem się, że wasi północni Parikowie, Qarowie, nie zostali nigdy całkowicie wypędzeni i w rzeczywistości wciąż zajmowali znaczną część północnego kontynentu. Co więcej, odkryłem, że skrzyżowali swoją krew z jednym z królewskich rodów Eionu, i co ciekawsze, że tamten Qar twierdził, iż pochodzi w linii prostej od boga Habbilego... tego, którego wy nazywacie Kupilase, jak sądzę. Tak, Kupilas Wynałazca. Wyobrażasz sobie, jak bardzo mnie to zainteresowało, gdy się dowiedziałem, że na północy żyją śmiertelnicy, w których żyłach płynie krew samego Habbilego. Wiesz, który ród mam na myśli, Olinie, prawda?

Władca z północy zacisnął pięści.

– Cieszysz się, mogąc wyszydzać przekleństwo Eddonów? Ponury figiel, jaki splatali nam bogowie?

– Ach, drogi Olinie, i tu właśnie się mylisz! – zachichotał autarcha. Vash nigdy wcześniej nie widział króla-boga w takim dziwnym nastroju, który upodabniał go do perwersyjnego dziecka. – To wcale nie jest przekleństwo, a raczej największy dar, jaki można sobie wyobrazić!

– Wciąż drwisz ze mnie! – Sam ton głosu Olina sprawił, że Lamparty autarchy poluzowały sztylety w pochwach. Vash ucieszył się, że nie zamierzali strzelać z muszkietów z tak bliskiej odległości. Strzały wpędzały go w nerwowość, do tego widział kiedyś odstrzeloną przypadkiem głowę pewnego wezyra podczas parady Lampartów. – Więzisz mnie, Sulepisie, czy to ci nie wystarczy? Musisz jeszcze drwić ze mnie? Zabij mnie po prostu i skończ z tym.

Vash przyzwyczał się już do tego, że autarcha traktuje Olina jak rozrywkę i toleruje zniewagi i opór króla z północy, co w przypadku kogoś innego już dawno skończyłoby się torturami i śmiercią, mimo to wciąż się dziwił temu łagodnemu traktowaniu.

– To naprawdę jest dar, Olinie, nawet jeśli o tym nie wiesz.

– Ten dar, jak powiedziałaś, zabił moją żonę w połogu. Sprawił też, że zepchnąłem małego syna ze schodów, okaleczając go na resztę życia, a mnie zmusił do tego, żebym się ukrywał nocami przed rodziną, ponieważ się bałem, że jeszcze kogoś mogę skrzywdzić. Schwytany w jego kleszcze, wylem do księżycy jak wasi ludzie-hieny! To samo przekleństwo, które teraz płynie w moich żyłach i w żyłach moich dzieci – a jeśli bogowie dalej będą nas tak nienawidzić, to kiedyś popłynię niczym trucizna w żyłach moich wnuków – z każdą godziną, gdy mnie tak ciągniesz do domu, jest coraz mocniej wyczuwalne. Bogowie, jakby wypełniał mnie ogień! Byłem też więźniem Ludisa Drakavy, ale w Hierosolu pozostawałem przynajmniej wolny od tego przekleństwa. Niech cię przeklną Niebiosy! Byłem od tego wolny! A teraz znowu czuję ogień w sercu, ogień w kończynach i w umyśle!

Vash omal nie uciekł. Jak ktoś mógł mówić do Żywego Boga na Ziemi w ten sposób i jeszcze żyć? Chociaż autarcha zdawał się prawie nie słyszeć słów Olina.

– Pewnie, że czujesz – rzekł Sulepis. – Ale to jeszcze nie powód, żeby nazywać to przekleństwem. Twoja krew czuje zew przeznaczenia! Masz w sobie dar boga, ale zawsze próbowałaś być zwykłym człowiekiem, Olinie Eddonie. Lecz ja nie jestem takim głupcem.

– Co to znaczy? – zapytał władca z północy. – Mówiłeś, że w twojej rodzinie nie ma niczego takiego, że ty i twoi przodkowie niczym się nie różnicie od innych ludzi.

– Tak, w naszych żyłach płynie zwyczajna krew. Ale pod pewnym względem jestem zupełnie inny niż zwykły człowiek, Olinie. Widzę to, czego żaden z was nie potrafi zobaczyć. A oto, co zobaczyłem: krew twojej rodziny pozwoliła ci targować się z bogami, lecz ty tego nie zrozumiałaś. Nigdy nie posłużyłaś się tą mocą... a ja to uczynię.

– Co to za bzdury? Przecież powiedziałaś, że nie masz boskiej krwi.

– Ty też jej nie będziesz miał, gdy wycieknie z ciebie w święto przesilenia letniego – rzekł autarcha, szczerząc zęby w uśmiechu. – A twoja krew pomoże mi zdobyć moc nad samymi bogami, a właściwie uczyni mnie bogiem!

Król Olin milczał, idąc coraz wolniej, aż jeden ze strażników ujął go pod łokieć i popchnął lekko. Za to autarcha najwyraźniej czerpał ogromną przyjemność z rozmowy: jego pociągła twarz była bardzo ożywiona, a oczy lśniły tak samo jak pozłacane płyty drogiej zbroi. Wcześniej tego roku Vash omal nie stracił głowy, gdy musiał poinformować autarchę, że nie da się wykonać jego zbroi tylko ze złota, że taki ciężar przygniecie nawet króla-boga. Nauczył się wtedy tego, co teraz zaczynał rozumieć Olin: że nie da się przekonać Sulepisa Złocistego, można było tylko modlić się co rano, żeby oszczędził człowieka jeszcze przez jeden dzień.

– Daj spokój, Olinie, nie bocz się! – rzucił autarcha. – Już wcześniej ci to mówiłem: żal mi

będzie zakończyć naszą znajomość, czerpię szczerą przyjemność z naszych rozmów, ale bardziej jesteś mi potrzebny martwy niż żywy.

– Jeśli spodziewasz się, że będę cię błagał... – zaczął cicho Olin.

– Ależ nie! Szczerze mówiąc, byłbym rozczarowany, gdybyś to zrobił. – Autarcha wyciągnął rękę z pucharem, a niewolnik klęczący u jego stóp natychmiast napełnił go trunkiem ze złotego dzbana. – Napij się wina. Dzisiaj nie umrzesz, więc ciesz się wspaniałym popołudniem. Zobacz, jak jasno i mocno świeci słońce!

Olin pokręcił głową.

– Nie gniewaj się, ale nie napiję się z tobą.

Autarcha przewrócił oczami.

– Jak chcesz. Ale gdybyś zmienił zdanie, proś od razu. Mam ci jeszcze sporo do powiedzenia. Zaraz, na czym to skończyłem...? – Zmarszczył brwi, udając, że się zastanawia, a Vash poczuł, że ściska go w dołku na widok tej wesołej miny. Czy to może być prawda? Czy jest możliwe, żeby moc bogów przeszła na Sulepisa, szaleńca, który już dysponuje największą mocą na ziemi?

– Ach, tak – mówił dalej autarcha. – Twój dar.

Z ust Olina wydobył się cichy dźwięk, coś w rodzaju bolesnego westchnienia.

– Wiesz, oczywiście, w jaki sposób nabyłeś swój dar. Kobieta Qarów, Sanasu, pochwycona przez twojego przodka Kellicka Eddona... dzieci, które spłodzili i które były twoimi przodkami... Och, dobrze się przyjrzałem historii twojej rodziny, Olinie. Dar odzywa się najsilniej u tych, u których objawia się znak Ognistego Kwiatu, włosy koloru ognia zwane „kosmykiem Szachraja” albo „znamieniem Habbilego”, jak się mówi w naszym języku. Podejrzewam, że dar jest we krwi wszystkich potomków Kellicka, nawet tych, którzy nie mają zewnętrznego znamienia...

– Tak nie jest – zaprzeczył Olin ze złością. – To przekleństwo nigdy nie dręczyło mojego najstarszego syna ani mojej córki.

Autarcha uśmiechnął się, zadowolony jak dziecko.

– A twój pradziad, Anglin trzeci? Wszyscy wiedzą, że cierpiał na dziwne ataki, miał prorocze sny, a raz omal nie zabił gołymi rękami dwóch służących, mimo że uchodził za bardzo łagodnego człowieka.

– Naprawdę dobrze poznałeś... historię mojej rodziny.

– Twoja rodzina jest obiektem zainteresowań w pewnych kręgach, Olinie Eddonie. – Autarcha nachylił się do władcy z północy. – Na pewno wiesz, że choć twój dziadek Anglin wykazywał wyraźnie to... inne zabarwienie krwi... nie był jednym z rudych Eddonów. Miał płowe włosy twoich północnych przodków, tak jak twoja córka i najstarszy syn.

– Kpisz ze mnie. Moja córka nie ma tej skazy – zaperzył się Olin.

– Nieważne, ona mało mnie interesuje – odpowiedział autarcha. – Mam to, czego mi trzeba, dzięki Ludisowi, to znaczy ciebie czy raczej... twoją krew. W jednej rzeczy nawet najstarsi i najbardziej godni zaufania gawędziarze obu kontynentów się zgadzają, podobnie jak alchemicy i cudotwórcy z moich stron, którzy przeprowadzali potajemnie eksperymenty i przeżyli na tyle długo, by je opisać – wszyscy oni twierdzą, że krew Habbilego – waszego Kupilasa – może otworzyć drogę do śpiących bogów. Dlaczego to jest takie ważne? Bo jeśli uda się otworzyć tę ścieżkę, będzie można obudzić śpiących bogów, których Habbili wygnał dawno temu, i ich uwolnić.

– Jesteś szalony – rzekł Olin. – Ale nawet gdyby to było prawdą, po co miałbyś to robić? Skoro żyliśmy bez bogów tak długo, dlaczego chciałbyś pozwolić im znowu chodzić po ziemi? Myślisz, że jesteś w stanie stawić im czoło, choćby z całą swoją armią? Na Trzech Braci, człowieku, maleńka kropelka ich rozcieńczonej krwi w moich żyłach przewróciła moje życie do

góry nogami! Za swoich dni bogowie burzyli góry i kopali oceany gołymi rękami! Dlaczego ty, który tak bardzo kochasz władzę, miałbyś uwolnić tak strasznych rywali?

– Ach, widzę, że nie jesteś tak całkiem naiwny – powiedział autarcha z uznaniem. – Pytasz przynajmniej, „a gdyby to było prawdą, to co dalej?” Oczywiście, że byłbym głupcem, gdybym uwolnił wszystkich bogów. A jeśli jest tylko jeden? A co ważniejsze, co ty na to, jeśli potrafię zapanować nad tym bogiem? Czy wtedy jego moc nie przeszłaby na mnie? Przypominałoby to panowanie nad jednym ze starożytnych *shanni*, tyle że tysiącrotnie potężniejsze! Cała moc boga należałaby do mnie.

– I to zamierzasz uczynić? – Olin wpatrywał się w autarchę. – Taki głód większej władzy i bogactw u kogoś, kto już tyle posiada, jest absurdalny... chory...

– Nie, chodzi o coś więcej. Chodzi o to, dlaczego jestem tym, kim jestem, podczas gdy inni, nawet królowie tacy jak ty, są ledwie... byłem. Ponieważ ja, Sulepis, nie oddam tego, co mam, gdy Xergal, pan zmarłych, przyjdzie po mnie z tym swoim tchórzowskim hakiem. Jaki jest sens w podbijaniu całej ziemi, skoro ukąszenie kobry albo kawałek kamienia z procy może wszystko zakończyć w jednej chwili?

– Każdy umiera – rzekł Olin. W jego głosie zabrzmiała nuta pogardy. – Tak bardzo boisz się śmierci?

Autarcha pokręcił głową.

– Przypuszczałem, że mnie nie zrozumiesz, Olinie, choć z drugiej strony liczyłem na to, że magiczna moc w twojej krwi sprawi, że będzie inaczej. Czym jest człowiek, który sięga po to, co jest mu dane? To nie człowiek, a prymitywne zwierzę. Pytasz, czego jeszcze może pożądać człowiek, który już ma władzę nad całym światem? Czasu, by mógł się nacieszyć tym, co ma, a potem, gdy już mu się to znudzi, by mógł wszystko to zburzyć i zbudować coś innego. – Sulepis wychylił się tak mocno, że Vash się przestraszył, iż wypadnie z lektyki. – Mały królu z północy, zabiłem dwudziestu braci, kilka siostr i Nushash jeden wie ilu innych, nie żeby zająć tron, lecz raczej żeby go przekazać komuś innemu za kilka krótkich lat.

Rozległy się krzyki i niewolnicy zaczęli opuszczać lektykę.

– A zatem zbliżamy się do tego starego domu, Olinie. Rzeczywiście, nie wyglądasz najlepiej. Miałaś rację, że jesteś chory. – Autarcha się zaśmiał. – Masz jeszcze jeden powód, żeby mi podziękować, bo zadbam o to, żebyś nie cierpiał zbyt długo.

– Złocisty, dlaczego się zatrzymaliśmy? – zapytał Vash. Wyobrażał sobie, że zaraz z krzaków wypadną ludzie Olina, którzy zorganizowali zasadzkę.

– Bo jesteśmy niedaleko miejsca, w którym ta przybrzeżna droga wychodzi z lasu – odparł autarcha. – Wysłaliśmy zwiadowców, żeby się rozejrzeli, gdzie mamy rozbić obóz. Bardzo prawdopodobne, że najpierw będziemy musieli usunąć Qarów, którzy od miesięcy oblegają zamek naszego przyjaciela Olina. Nie mają dużej armii, ale są podstępni! – zaśmiał się radośnie jak chłopak pędzący na szybkim koniu.

– Ale po co w ogóle tu przyplłynęliśmy? – zapytał Olin. – Skoro uważasz, że musisz mnie zabić, by zrealizować swoje szalone plany, po co było podróżować tak daleko? Żeby ukarać tych z mojej rodziny i poddanych, którzy jeszcze się o mnie troszczą? By zdrwić z ich bezradności?

– Drwić? – Autarcha, który cieszył się jak dziecko, w tym momencie przybrał obrażoną minę. – Przybyliśmy tu, żeby ich uratować! A gdy już przegnamy Qarów i załatwię swoje sprawy, twoi następcy będą mogli robić, co im się żywnie spodoba.

– Przybyłeś tu, by ratować mój lud? To kłamstwo.

Po raz kolejny autarcha ze spokojem przyjął oskarżenie Olina.

– Przyznaję, że nie powiedziałem ci wszystkiego. Jesteśmy tutaj dlatego, że bogowie, gdy ich wypędzono, znaleźli się w tym miejscu. Tutaj, pod budynkami, które wzniesiście, znajduje

się brama pałacu Xergala – czy też Kerniosa, jak go nazywacie wy, mieszkańcy północy. Tutaj też Habbili walczył z nim i go pokonał, a potem wypędził z tego świata na zawsze. Tutaj musi zostać odprawiony rytuał.

– Ach – westchnął Olin. – A zatem jest tak, jak podejrzewałem. Wszystko to wiąże się jedynie z twoimi szalonymi planami.

Autarcha popatrzył na niego niemal ze smutkiem.

– Nie jestem zachłanny, Olinie, cokolwiek o mnie myślisz. Gdy już posiadę moc bogów, nie będę się handryczył o ten czy tamten zamek. Odbuduję niebiańskie pałace samej góry Xandos!

Olin i Vash wpatrywali się w autarchę, zdumieni i przerażeni, tyle tylko że pierwszy minister starał się ukryć swoje uczucia.

Minęła prawie godzina, a oni siedzieli bez ruchu na środku drogi. Olin milczał, autarcha zaś wydawał się bardziej zainteresowany pić wina i obmacywaniem jednej ze swoich młodych służek. Vash wykorzystał postój, by sprawdzić różne dokumenty, gdyż wiedział, że będzie miał mnóstwo pracy, kiedy już dotrą na miejsce obozu. W którymś momencie do lektyki zbliżył się jeden z generałów i poprosił o rozmowę. Po krótkiej wymianie zdań, prowadzonej szeptem, autarcha go odesłał. Milczał długą chwilę, a potem się roześmiał.

– O co chodzi, Złocisty? – zapytał Vash. – Wszystko w porządku?

– Nie mogło być lepiej – odparł autarcha. – Sprawy przybrały szczęśliwszy obrót, niż się spodziewałem. – Machnął dłonią, połyskując złocistymi paznokciami, i platforma z lektyką znowu się wzniosła uniesiona przez postępujących cicho niewolników. – Sam zobaczysz.

Upłynęło trochę czasu, zanim Vash zrozumiał, co miał na myśli autarcha. Gdy dotarli do zakrętu drogi, niewolnicy odsunęli zasłonki, co na moment przeraziło Vasha, gdyż poczuł się zupełnie bezbronny, ale chwilę później zorientował się, dlaczego to zrobili.

Ujrzał podzamecz na brzegu Zatoki Brenna – całkowicie wyludnione. W większości zostało spalone, a tu i tam wciąż widać było dymy i ogień, lecz nic innego poza tym się nie ruszało. Ani śladu żywej istoty i nawet zamek, widoczny po drugiej stronie wody, zdawał się pusty, choć Vash nie wątpił, że za jego murami schroniło się wielu ziomków Olina, którzy teraz ostrzą broń, by rozlać krew przybyszów z Xis.

– Widzicie? – spytał autarcha triumfalnym tonem. – Brzeg jest nasz, Qarowie odeszli. Nie chcieli dać się złapać między naszą armię i zatokę. Już nie zależy im na Lśniącym Człowieku!

Vash usłyszał za sobą jakiś głos, co go zaniepokoiło, lecz autarcha nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Sulepis wodził wzrokiem po mieście i zamku z wyraźną satysfakcją, jakby właśnie zobaczył swój dawno utracony dom, a nie siedzibę Olina.

Dopiero po dłuższej chwili Pinimmon Vash zorientował się, że słyszy głos króla Olina, który modlił się, wpatrzony w niemy zamek.

Kolejny zakręt w rzece czasu

Niektórzy twierdzą, Że Qarowie są nieśmiertelni, inni zaś utrzymują, że tylko żyją dłużej niż śmiertelnicy. Ale kto ma rację albo co się dzieje z czarodziejskimi ludźmi, kiedy umierają, tego nikt nie wie.

– z Traktatu o czarodziejskich narodach obojga kontynentów Eionu i Xandu, napisanego przez Finna Teodorosa dla jego lordowskiej mości Avina Brone'a, hrabiego Landsend

Przez całe życie Barrick Eddon modlił się, by to wszystko, co sprawia, że jest inny niż reszta ludzi – jego niesprawne ramię, nocne koszmary i napady niewyjaśnionego żalu, cała ta spuścizna po szaleństwie ojca – miało jakieś znaczenie, żeby jego prawda okazała się czymś więcej niż zmarnowanym, pozbawionym znaczenia życiem. Teraz jego modlitwy zostały wysłuchane, co go przerażało.

Nie uratowałem królowej. A jeśli zawiodę też w sprawie królewskiego Ognistego Kwiatu? Jeśli mnie nie przyjmie?

Stał na balkonie komnaty wypoczynkowej króla. Nad zamkiem właśnie przeszła burza; wieże i strome dachy wystawały niczym grobowce na zatłoczonym cmentarzu, dziesiątki różnych odcieni wilgotnej, lśniącej czerni. Od jego przybycia tutaj niebo nad Qul-na-Qar wciąż było mokre, spowite mgiełką albo ociekające mżawką lub ulewą, jakby ta prastara twierdza była statkiem, który płynie przez wiecznie szalejące sztormy.

A jednak miejsce to cechował spokój i nie wynikało to z tego, że było prawie puste: pozornie nieskończony labirynt korytarzy spowijała cmentarna cisza, lecz był to cmentarz, którego duchy zbyt długo już nie żyły, by niepokoić żyjących. Wiedział, że w zacienionych zakątkach czają się istoty, których powinien się bać, a jednak czuł się jak w domu w tej boskiej rezydencji pełnej niesamowitych obcych. Dziwne wręcz było to, jak raczej nie tęsknił za swoją przeszłością – za domem w kraju słońca, za siostrą, za ciemnowłosą dziewczyną ze snów. Wszyscy oni wydawali się bardzo odlegli. Czy istniało coś, do czego warto było wracać?

Wreszcie Barrick poczuł, że irytuje go migotanie mokrych dachów i jego powracających myśli. Wyszedł z pokoju i szedł stromymi schodami z popękanego białego kamienia, które prowadziły do zadaszonych podcieni na skraju ociekającego deszczem pustego ogrodu. Nawet tutejsza dziwna roślinność wydawała się mieć przygaszone kolory, zielenie bliskie szarości, kwiaty tak blade, że ich róże i żółcie były widoczne tylko z bliska, jakby deszcz wypłukał ich żywe barwy. Z dołu liczne wieże zamku mniej przypominały cmentarne nagrobki, a bardziej wyglądały jak skomplikowane twory natury pełne abstrakcyjnych powtarzających się kształtów – słupów, prętów i zygzaków podobnych do tych, jakich śmiertelni szlachcice używali w swoich herbach, by wyróżnić swój ród spośród innych, a które tutaj były powtarzane w nieskończoność jak łuski węża. Obfitość tych podstawowych wzorów dawała ukojenie oku, ale też mąciła spojrzenie, dlatego po krótkim spacerze Barrick poczuł, że nawet jego myśli są coraz bardziej zmaćcone.

Dlaczego dałeś mi wybór, Ynnirze? – pomyślał. Nigdy nie dokonywałem dobrych wyborów...

Jakby w odpowiedzi wiatr zagarnął za róg kupkę liści, które zaraz opadły z powrotem w tym samym momencie, gdy w podcienie wszedł król w postrzępionym ubraniu i stanął przed Barrickiem, zupełnie niespodziewanie, jakby wyłonił się z powietrza.

– *Nie mogę dłużej znieść zawodzenia celebrantów* – powiedział, a jego myśli pomknęły do Barricka tak samo jak liście niesione przez wiatr – *więc sprowadziłem moją siostrę – moją ukochaną – z Komnaty Ostatniego Czuwania. Jakąkolwiek podejmiesz decyzję, Barricku Eddonie, muszę dać jej swoją siłę, jeśli ma zachować życie. Wyczuwam, że Wynalazca nas zawiódł. A moja siła słabnie. Niebawem dar lustra także zawiedzie Saqri, a wtedy nie będzie miało znaczenia, co zrobimy.*

Chodź ze mną.

Barrick poszedł w milczeniu za wysokim królem. Obaj opuścili mokry ogród i wrócili do rozbrzmiewających echem korytarzy. Gdy szli, z cieni wynurzały się różni służący Ynnira, szepcząc cicho, istoty o wielu kształtach i rozmiarach, które podążały za nimi w odpowiedniej odległości. Barrick czuł się niepewnie, widząc dziwne twarze wyzierające z cienia, ponieważ miał świadomość, że to jest ich miejsce, a nie jego.

– Nie wiem, co zrobić – odezwał się wreszcie. – Nie wiem, co się stanie.

– *Gdybyś wiedział, dokonywałbyś selekcji, a nie wyboru.* – Ynnir zatrzymał się i odwrócił do niego. – *Posłuchaj, dziecko. Coś ci pokażę.* – Dotknął delikatnie przepaski, która zakrywała jego oczy. – *W miarę upływu lat, gdy los mego ludu wciąż się pogarszał, coraz bardziej skłaniałem się ku swemu wnętrzu w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby nas uratować. Niemal przez cały czas przebywałem z przodkami, z Ognistym Kwiatem i Głęboką Biblioteką, a także podróżowałem w myślach do miejsc, których nazw byś nie rozumiał. Tak mocno zagłębiłem się w tym, co mogłoby być, i w tym, co było, że przestałem widzieć to, co przede mną. Minął cały wiek, zanim zauważyłem, że moja żona, moja ukochana siostra, umiera.* – Ynnir rozwiązał przepaskę i pozwolił jej opaść. Jego oczy były białe jak mleko. – *Ostatecznie naprawdę straciłem wzrok. Twarz ukochanej widziałem już tylko we wspomnieniach. Nigdy nie poznam twej twarzy, chłopcze, a jedynie jej obraz w umysłach innych. A wszystko przez to, że próbowałem zobaczyć, co będzie. Przez to, że starałem się nie popełnić błędu.*

– Ja... chyba nie rozumiem.

– *Jedna z naszych wyroczni mówi: „Spada deszcz, wstaje rosa. Pomiędzy jest mgła. Pomiędzy jest wszystko, co jest”. Niech to ci wystarczy za odpowiedź, dziecko. Nie rozmyślaj zbyt dużo o tym, co było, i nie zamartwiaj się też zbyt tym, co ma nadejść. Między tym mieści się wszystko, co najważniejsze – wszystko, co jest.*

Ynnir ponownie zawiązał sobie przepaskę na oczach i ruszył przed siebie. Barrick go dogonił i szedł za królem w milczeniu, zastanawiając się.

– Czy mógłbyś to zrobić nawet wtedy, gdybym nie chciał? – zapytał wreszcie. – Czy potrafiłbyś to na mnie wymusić?

– *Nie rozumiem. Czy potrafiłbym cię zmusić do przyjęcia Ognistego Kwiatu?*

– Właśnie. Czy mógłbyś mi go dać, nawet gdybym nie chciał go przyjąć?

– *Cóż za dziwne pytanie.* – Ynnir wyglądał na zmęczonego: poruszał się wolniej niż w pierwszych godzinach ich spotkania. – *Nie wyobrażam sobie czegoś takiego. Czemu miałbym to robić?*

– Ponieważ musisz to zrobić, żeby twój lud przetrwał! Czy to nie dostateczny powód?

– *Jeśli przyjmiesz Ognisty Kwiat, Barricku Eddonie, nie będzie to oznaczać, że sami ludzie przetrwają, a jedynie że przetrwa to, co poznali.*

– Ale czy mógłbyś mnie do tego zmusić?

Ynnir pokręcił głową.

– *To... ja nie... wybacz, dziecko, ale myśli zabarwione twoim językiem nie wyrażą tego znaczenia. Ognisty Kwiat jest naszym największym darem, który przekazał nam Szachraj i który odróżnia nas od wszystkich innych. Ci, którzy go poniosą, czekają na niego całe życie, a otrzymujemy go dopiero wtedy, gdy umierają nasze matki lub ojcowie. A potem, gdy już go mamy, przez resztę życia przemyślimy, jak go przekazać potomkom, dzieciom z naszych ciał. Zmusić cię do przyjęcia go... nie znajduję słów, by to wyjaśnić, w każdym razie mój umysł tego nie obejmuje. Albo go przyjmiesz, a wtedy zobaczymy, co się stanie, albo nie, i mój lud będzie dalej zmierzał ku końcowi, gdzie nie ma Ognistego Kwiatu. Tak toczą się kolejne dni Wielkiej Porażki aż do snu Czasu. – Zamilkł. – Dotarliśmy do komnaty, w której czeka Saqri.*

Ogromne ciemne drzwi były otwarte. Król przekroczył próg, a Barrick za nim, tylko oni dwaj. W środku paliło się wiele świec, lecz przestrzeń między rzeźbionymi krokwiami wypełniała ciemność pomimo świec i lamp, które wywarły największe wrażenie na Barricku. Ciemność i lustra.

Po obu stronach komnaty, tak daleko, że Barrickowi się wydało, że zapadł w sen, gdy tak szedł, na ścianach wisiały owalne lustra najróżniejszych rozmiarów, a żadne dwa nie miały takiej samej ramy. W każdym mieszkaly światło i cień i w każdym przedstawiały one coś innego, dlatego Barrickowi zdawało się, że nie patrzy na odbicia, lecz zagląda w okna, które pomimo swojej bliskości otwierają się na tysiąc różnych miejsc. Czuł się zupełnie zdezorientowany i przytłoczony tym widokiem... ale chodziło o coś jeszcze.

– Ja... ja już tu byłem.

Ynnir pokręcił głową, lecz w pierwszej chwili nic nie powiedział. Gdy wreszcie się odezwał, jego głos zabrzmiał jeszcze słabiej niż wcześniej.

– *Nie byłeś tutaj, dziecko. Żaden śmiertelnik...*

– W takim razie śniłem o tym miejscu. Ale na pewno je widziałem – lustra, światła... – Barrick zamyślił się na moment. – Tylko wtedy było tu wiele różnych postaci, a na końcu komnaty... na jej końcu...

Tak bardzo zaabsorbowało go wszystko, co widział, że dopiero teraz dostrzegł postać na końcu komnaty. Wydawało mu się, że obaj z królem zmierzają w jej stronę poprzez migotanie, jakby szli w roziskrzony letni dzień, a przecież w komnacie panował chłód. Gdy się zbliżyli, Barrick zobaczył, że królową posadzono na jednym z kamiennych tronów; jej ciało było bezwładne jak ciało trupa. Drugi z tronów był pusty. Wydawało się to makabryczne, że król ją tak zostawił, dziwne i pozbawione szacunku zachowanie. Barrick miał ochotę podejść i posadzić ją prosto na tronie, by przyjęła pozycję, jaka przystoi istotce o tak osobliwej elegancji.

– Dlaczego ona... mój panie?

Ynnir zatrzymał się i opadł na kolana. W pierwszej chwili Barrick sądził, że to wyraz szacunku albo żałoby, lecz zaraz się zorientował, że król z trudem łapie oddech. Barrick przysunął się niezdarnie i próbował pomóc mu wstać, lecz król był zbyt słaby. Ostatecznie księżę przykucnął i objął Ynnira, zdziwiony, że w ogóle wyczuwa mięśnie i kości pod postrzępionym ubraniem. Król, pomimo całego swojego niesamowitego majestatu, był w końcu tylko istotą z krwi i kości, a teraz umierał.

Świat, kraj cienia, a nawet sala pełna luster skurczyły się w umyśle Barricka i znikły. Pozostał tylko król, on sam i jego wybór.

– Tak – powiedział. – Podjąłem decyzję i mówię... tak.

Ynnir zaczął oddychać spokojniej i po chwili rzekł:

– *Musisz mieć pewność. Nic takiego wcześniej się nie zdarzyło, a przyjęcie Ognistego Kwiatu może cię zabić. Ale gdy już go przyjmiesz, tylko śmierć będzie mogła go z ciebie usunąć. Będziesz żywym pomnikiem, nawiedzany przez wspomnienia wszystkich moich królewskich*

przodków, aż do twojego ostatniego tchnienia na ziemi.

Teraz Barrick z trudem oddychał.

– Rozumiem – rzucił. – Jestem pewny.

Ynnir pokręcił głową ze smutkiem.

– *Nie, mój synu, nie rozumiesz. Nawet ja do końca nie rozumiem tego, co nam dał Szachraj, a przecież przeżyłem z tym całe swoje życie.* – Król dźwignął się na nogi, lecz gdy Barrick zaczął wstawać, Ynnir pokręcił głową i dał mu znak, by pozostał w pozycji siedzącej. – *Ale wtedy to musiało być, a teraz to wszystko też musi się stać. Saqri, ja sam, nici głupiego wyboru i dziwny wypadek, który połączył nasze rodziny.*

– Co mam zrobić? – Barrick poczuł nagle strach, ale nie przed bólem, jaki może mu przynieść Ognisty Kwiat, lecz z obawy, że może zawieść Ynnira, że nie będzie dość silny, by przyjąć dar.

– *Nic.*

Komnatę wypełniło niezwykle jarzenie podobne do purpury gasnącego dnia. Chwilę później Barrick zorientował się, że światło nie rozlewa się na całą komnatę, a jego źródło jest całkiem blisko – rozjarzony blask spowijał głowę Ynnira jak mgła otulająca wierzchołek góry. Wysoki król pochylił się i przyłożył dłonie do głowy Barricka, a potem przycisnął chłodne i suche usta do jego czoła, trochę powyżej oczu, dokładnie między nimi. Barrick odniósł wrażenie, jakby łagodne światło wsącżyło się w niego, ponieważ wszystko dokoła – Ynnir, zakurzone lustro, krokwie wyrzeźbione na kształt konarów obrosłych listowiem i owocami – przyjęło ten sam fioletowy odcień.

– Co? – Barrick zamrugał. Usłyszał bicie dzwonu – to musi być dzwon, brzmi tak głośno, tak nisko! Co mam... – Znowu odezwał się dzwon. Ale to nie może być dzwon, uzmysłowił sobie księżę, ponieważ ten dźwięk jest bezgłośny. A jednak czuł dzwonienie przenikające jego drżące kości.

– *Śpij, dziecko* – rzekł Ynnir, wciąż trzymając dłonie na jego głowie. – *Zaczęło się.*

A potem Barrick słyszał już tylko powolne własne myśli, bicie serca głośne jak szum lodowatej wody pulsującej w żyłach góry, ból podobny do zimnego ognia i drżenie czaszki w rytm echa uderzeń serca...

Wreszcie, wyczerpany walką, przebity nieskończoną agonią, przeniósł się do miejsca pełnego ciemności i ciszy.

Pozbawiona włosów podobna do człowieka postać patrzyła na niego z góry, a po jej twarzy pełgały cienie rzucane przez migocące światła lamp. Nie, to nie była jedna istota, było ich więcej, wiele, a wszystkie lekko przezroczyście.

Coś szepnęło do niego, bezdźwięczny głos muskający jego myśli:

– *Harsar, tak wierny sługa, ale nigdy do końca nie można mu wierzyć. Kamienny Krąg stracił zbyt dużo w Wielkiej Porażce...*

Teraz głos w jego myślach ucichł, a postać przed nim nabrała kształtu – sługa króla, Harsar. Przez długą chwilę oszołomiony Barrick nie potrafił się zorientować. Co się stało? Gdzie jest?

– Wciąż w Komnacie Luster – odpowiedział mu Harsar, mimo że Barrick nie wyartykułował pytania. Widział, jak sługa porusza ustami, słyszał w uszach jego monotony głos, lecz słyszał go też w swoich myślach, a tam jego słowa brzmiały trochę inaczej. – Pierwszy Kamień śpi. Córka Pierwszego Kwiatu cię prosi.

Bezgłośny szept znowu przetoczył się przez niego.

– *To sukces, że żyje, lecz jesteśmy bezowocni, rzucamy nasienie na wiatr tak samo, jak rzucamy kości.* – Nie był to po prostu głos w głowie Barricka, raczej... idea, cicha jak trawa wyciągająca się do słońca. Barrick spróbował usiąść. Dlaczego leżał na ziemi? Dlaczego wydawało mu się, że jego głowa to worek napełniony do granic możliwości żwirem, podczas gdy wszystkie te myśli, *słowa idee zapachy*, trzeszczały w niej niczym strzelające w ogniu sosnowe sęki? Przyłożył dłonie do czaszki z obawy, że mu pęknie. Wreszcie wszystko to trochę ucichło, choć Barrick wciąż czuł, że ma głowę nieprzyjemnie przepelnioną, a świat wokół niego wydawał się pełen duchów, jakby oglądał wszystko przez przydymione szkło.

– Zbliź się – powiedział Harsar. – Córka Pierwszego Kwiatu...

– *Sagri, Siostra, Prawniczka, Potomkini...* – szeptały bezdźwięczne głosy w jego głowie.

– ...czeka na ciebie.

– *W Miejscu Zwiężenia. W Sali Krzyżujących się Dróg. Pod ciernistymi konarami, tak jak za czasów Pierwszych Dni, gdy Ludzie byli młodzi...*

Barrickowi wydawało się, że w głowie ma rój pszczoł, i z trudem się powstrzymał, by nie unieść dłoni i spróbować rozpedzić kłębiących się myśli.

– A co z królem... gdzie jest Ynnir?

– Syn Pierwszego Kwiatu jest w Sali Rozstania – powiedział głośno.

– ...*Przeszedł do Serca Tańca Zmiany* – przemówiły jego myśli.

– Chodź powiedział głośno. – Ona zaprowadzi cię do niego.

Potem Barrick nie był w stanie już nic powiedzieć: podążył za Harsarem, a jego myśli wirowały niczym drobiny kurzu porwane wirem zawieruchy – imiona, chwile, błyski podobne do wspomnień, lecz były to wspomnienia rzeczy, których nigdy nie widział, jak mu się zdawało, i których nie rozpoznawał. Lecz wszystkie te dręczące go okruchy znaczenia to jeszcze nie wszystko: przedmioty w komnacie ławki, lustro na ścianach, pełne zawijasów wzory na kamiennej podłodze – wydawały się emanować własnym światłem, blaskiem realności niepodobnej do niczego, czego wcześniej doświadczył. Nawet najbardziej znajomych przedmiotów z dzieciństwa nie odbierał tak bardzo jako części siebie jak krokwi nad swoją głową, z ciemnego prastarego drewna, wyrzeźbionych liści kolczastego ostrokrzewu i wijących się pnączy. Wszystko miało swoją fakturę i kształty, których nie dało się zignorować, wszystko snuło swoją opowieść. I jak wszystko inne w Qul-na-Qar, sama komnata była opowieścią, wspaniałą opowieścią Ludzi.

I wtedy ją zobaczył, czekającą w migotliwie białej szacie.

Już sam jej widok wdarł się do jego wnętrza niczym fala oceanu, miażdżąc wszystkie zmysły, zalewając umysł wspomnieniami, których nie pamiętał – las pełen czerwonego listowia, gładkie ramię, blade jak kość słoniowa, jej wyprostowana postać na siwym koniu w płaszczu oblepionym płatkami śniegu.

Sagri.

Wietrzna Siostra.

Ostatnia z rodu.

Ukochany wróg.

Utracona i odzyskana.

Królowa Ludzi...

Kolejne wspomnienia wypełniały umysł Barricka, aż nie zostało już z niego nic, a zarazem naparło na niego coś o wiele potężniejszego i czystsze, jakby snop najjaśniejszego światła ugodził jego oko w tej samej chwili, w której serce przeszła srebrzysta strzała.

Zachwiał się. Nie mogąc dłużej ustać na nogach, opadł przed nią na kolana i zapłakał.

Saqri była najpiękniejszym widokiem, jaki kiedykolwiek oglądał, tak potężnym i złożonym, że samo patrzenie na nią sprawiało ból: w jednej chwili wydawała się utkana z pajęczej nici, babiego lata i suchych gałązek, które mogły się rozsypać przy najlżejszym dotyku, a zaraz potem zdawała się posągami wyrzeźbionym z twardego lśniącego kamienia. I jeszcze jej oczy tak czarne i głębokie! Patrząc w nie, oszołomiony Barrick czuł, że wpadnie w ich głębię i nigdy nie dotknie dna.

Królowa też spojrzała na niego. Jej twarz, nieruchoma jak maska, bardziej obca, a zarazem bardziej znajoma niż wszystkie znane mu twarze. Ledwo widoczne wygięcie w kąciu jej ust mogło sugerować uśmiech, lecz jej spojrzenie i jego obce wspomnienia temu zaprzeczały.

– A więc to zostało z bezcennej krwi mojej córki Sanasu? – przemówiła głośno, jakby nie mogła znieść dotyku jego myśli. Jej głos był pozbawiony ciepła. – Ten żart, ten strzép dziwnego utraconego materiału, tylko tyle powraca do mnie pod koniec dni?

Barrick wiedział, że powinien się rozgniewać, lecz nie miał na to siły. Jej obecność była zbyt przytłaczająca. Czy chodziło o nią, czy może to Ognisty Kwiat, który wypełniał jego głowę kolorami, głosami i gorącem?

– Jestem tym, czym uczynili mnie bogowie. – Tylko tyle zdołał z siebie wydusić.

– Bogowie! – Saqri prychnęła, a dźwięk ten mógł być śmiechem albo szlochem, lecz jej oblicze pozostało nieporuszone. – Czy oni uczynili dla nas cokolwiek, co by nie miało ostrej krawędzi? Nawet największy dar Szachraja okazał się torturą.

Wydawało się, że nawet cienie się skurczyły, jakby porażone strasznym bluźnierstwem. Jakaś część Barricka wyczuła, że królowa przemówiła z głębi udreki, której on nie rozumiał.

– Przykro mi... jeśli cię rozczarowałem, pani. Nie przyszedłem tu z własnej woli i nic nie mogłem poradzić na to, że taka krew płynie w moich żyłach. Cokolwiek uczynili ci moi przodkowie, nie zrobili tego za moją radą.

Przyglądała mu się długo, a on z trudem wytrzymał spojrzenie jej ciemnych dzikich oczu.

– Dość – powiedziała. – Już nic nie mów. Muszę opłakiwać męża.

Zeszła z podwyższenia lekkim krokiem, jakby niesiona wiatrem, a jej powiewające szaty ledwie muskały podłogę. Gdy Barrick ruszył za nią, tysiąc czarodziejskich królowych i tysiąc śmiertelnych książąt odbitych w lustrach na ścianach popędziło ku wyjściu. Niektóre z odbić Barricka odwróciły się nawet, by na niego spojrzeć. Niektóre twarze ani trochę nie przypominały jego oblicza, lecz jego bardziej zaniepokoił widok tych najbardziej do niego podobnych.

Wyszli do wielkiej komnaty sąsiadującej z Komnatą Luster, wypełnionej czarodziejskimi ludźmi najróżniejszego rodzaju, zjawami, których Barrick ani trochę nie rozpoznawał, a które zarazem w jakiś sposób wydawały mu się znajome – *czerwonogłowi, tunelowcy, trawy wysokie jak drzewa*. Wiedział nawet, że miejsce, w którym czekają, nosi nazwę Komnaty Zimowej Biesiady. Gdy królowa minęła ich wszystkich, a za nią Barrick, dołączyły do nich płaczące kobiety i mali mężczyźni o zwierzęcych oczach, skrzydlate cienie i inni o twarzach podobnych do nieobrobionych kamieni. Ogromna procesja wypełniła korytarze poza zasięg Barricka, rzeka niesamowitego życia.

Podążał za Saqri labiryntem nieznanego mu korytarzy, lecz imiona i idee zdawały się przemykać przez nie niczym świetlne refleksy tańczące na nieruchomej tafli stawu – *Oparcie Smutnego Dudziarza, Jęczący Solar, miejsce rozstania Ostrożności i Pływającego Ptaka*. Wreszcie stanęli pod niebem i poszli przez ogród kamiennych poskręcanych postaci, jakby zastygłych w niespokojnym śnie, a deszcz zwilżył twarz i włosy Barricka. Było to doznanie tak stare i tak dobrze mu znane, że przez chwilę pozostałe myśli go opuściły i znowu był po prostu sobą, Barrickiem, którym był zawsze, zanim przekroczył Granicę Cienia, zanim spotkał Śniących, zanim otrzymał pocałunek Ynnira.

Co się ze mną stanie? Teraz nie bał się tak jak wcześniej, mimo to utrata napawała go smutkiem. Nigdy już nie będę tą samą osobą?

Na końcu ogrodu – *Ogrodu Bezsenego Żuka*, podszeptęły mu własne myśli, w którym *Deszczowy Sługa uwięził Króla Ptaków i powiedział mu, jaki będzie koniec świata* – weszli do ogromnej komnaty wypełnionej ciemnością, poza niedużym kręgiem świec ustawionych na podłodze. Nie było tam nic poza świecami i ciałem złożonym pośrodku na płaskim kamieniu.

Oczy Barricka napełniły się łzami. Domyślał się, kto tam leży. Teraz chór szeptów w jego głowie rozbrzmiewał tylko po to, by zmącić jego myśli. Ten, który leżał przed nim, w ciągu jednego dnia stał się kimś w rodzaju jego ojca – nie, kimś więcej: Ynnir okazał mu samą dobroć i wyrozumiałość.

Królowa patrzyła na ciało męża. Oczy Ynnira, teraz odsłonięte, były zamknięte, jakby spał. Barrick podszedł bliżej i powoli uklęknął, z trudem dźwigając ciężar chwili.

– *Syn Pierwszego Kamienia, Skaczący Jeleń, Mądry Słabeusz...* – Chóralny szept przypominał gruchanie gołębi. – *Zdrajca! – nie, Szachraja...!*

– *Spójrz na mnie* – powiedział inny głos, podobny do płynącego z oddali westchnienia. – *Taki mały. Taki zagubiony w obecnej chwili!*

Barrick rozejrzył się zdumiony.

– Ynnir? – To był głos króla, Barrick nie miał wątpliwości. – *Nie opuszczaj mnie!* – Posłał swą myśl za myślami króla. Pozostałe wspomnienia, głosy, duchy, liczne cienie i strzępy zrozumienia, które go nękały, rozpięchły się przed jego wołaniem, lecz cokolwiek z prawdziwego Ynnira go dotknęło, znowu znikło.

– Stary głupiec – powiedziała cicho królowa, spoglądając na bladą nieruchomą twarz króla.
– Piękny ślepy stary głupiec.

Kondukt pogrzebowy Pana Wiatrów i Myśli przepłynął przed zmysłami Barricka niczym rwąca rzeka, toń pełna rzeczy, które stały się nierozpoznawalne. W ciemnej wypełnionej szeptami komnacie zebrały się wokół ciała króla liczne postacie, a wszystkie one płakały albo śpiewały, a czasem wykonywały gesty i wydawały dźwięki, których Barrick nie potrafił przypisać do żadnych ludzkich emocji. A potem wszystkie znowu się rozpięchły. Niektóre z żałobnych ceremonii były rozbudowane jak całe przedstawienia czy świątynne rytuały i zdawały się trwać długie godziny, inne zaś przypominały krótki trzepot skrzydeł nad nieruchomą postacią Ynnira. Barrick słyszał przemówienia i rozumiał każde słowo, a nie pojmował sensu całości. Inni żałobnicy czuwający przy zwłokach króla wypowiadali tylko jedno obce słowo, które w umyśle Barricka przybierało postać całej księgi równie obszernej jak opowieści bardów w *Nocy Sieroty*, snute od zachodu aż do świtu.

I wciąż przybywali nowi.

Szczury, tysiące albo i więcej, żywy szkarłatny dywan falujący wokół Ynnira, i zaraz znikły; płaczące cienie; ludzie o oczach czerwonych jak żar; a nawet piękna dziewczyna z patyków i pajęczyny, która zaśpiewała królowi głosem podobnym do szeleszczenia słomy. W miarę upływu kolejnych godzin, podczas gdy wiatr i deszcz chłostały dachy, a płomienie lamp strzelały w komnacie czuwania, Barrick zaczął rozumieć, choć nie w pełni, znaczenie tego, co się działo w komnacie, jakie to wszystko ma znaczenie dla kogoś z tamtych ludzi. Pojął, że cała ta procesja to coś więcej niż pojedyncze osoby i to, co mają do powiedzenia, albo gesty, którymi wyrażają smutek. Zrozumiał, że to zbiór postaci i głosów pojawiających się w odpowiedniej chwili, każdy osobny, a zarazem wpasowany w całość jak litery w słowie albo słowa w

opowieści. Sam czas był tu medium i w jakiś sposób – to był tylko przeblýsk zrozumienia podobny do malutkiej ryby w strumieniu, która znika natychmiast, gdy spróbuje się ją chwycić – Ludzie, Qarowie, żyli w czasie tak, jak śmiertelnicy, tacy jak Barrick, nie potrafili. Pochodzili z czasu i zarazem byli poza nim. Oplakiwali zmarłego, ale też mówili: *Taka jest żaloba i taka powinna być. To jest taniec, a to są kroki.* Uczynienie z tego czegoś mniej lub czegoś więcej oznaczałoby wyjęcie z czasu, tak samo jakby wyjąć rybę z rzeki. Zdechłaby. Rzeka nie byłaby już tak piękna. Nic innego by się nie zmieniło.

Wreszcie świece zgasły. Zapalono nowe, długie i cienkie, i już samo to zdawało się być kolejną częścią tańca, kolejnym zakrętem rzeki. Barrick pozwolił, by wszystko to płynęło nad nim i przez niego. Czasem wiedział – zanim ktoś przemówił lub zaśpiewał, zanim złożył milczący hołd – kto to jest i co przyniósł. W innych chwilach czuł się zagubiony w dziwności tego wszystkiego, tak jak w dzieciństwie, gdy słuchał zawodzenia wiatru w kominie i pod dachem domu, przytłoczony możliwością znaczeń, których, jak wiedział, nigdy nie uchwyci, ogarnięty frustracją śmiertelnika, tak malutkiego wobec obojętnej przepastności nocy.

Wreszcie wynurzył się z ciemności pełnej cichnącej pieśni i blednącego cienia. Ogromna komnata była pusta. Znikło ciało króla. Pozostała tylko królowa.

– Gdzie... gdzie on jest...?

Saqri, wciąż nieruchoma jak posąg, stała wpatrzona w puste podwyższenie.

– Jego łupina... jest oddawana. A co do prawdy Ynnira... zdecydował się oddać mi resztę swych sił, bym mogła się obudzić, lecz on i jego przodkowie odeszli od nas bezpowrotnie.

Barrick stał oszołomiony.

– A zatem musimy postąpić kolejny krok ku końcowi rzeczy – powiedziała królowa, odwracając się do niego, jakkolwiek wydawało się, że wcale go nie widzi i mówi do siebie. – Jakie ma być w tym twoje miejsce, śmiertelniku? Co jest zapisane w Księdze dla ciebie? Może twoim przeznaczeniem jest utrzymać przy życiu cień naszej pamięci, tak byśmy mogli całkiem zniknąć, chociaż niewyraźne, zagmatwane wspomnienie mogłoby przysporzyć kłopotu zwycięzcom. Czy sprawiamy ci kłopot? Czy masz choć blade pojęcie o tym, co zniszczyłeś?

– *Takie przenikliwe, takie jasne jak ogień!* – szeptał głos w jego głowie, lecz Barrick był zbyt rozgniewany, by zwracać na niego uwagę.

– Niczego nie zniszczyłem – odpowiedział królowej. – Cokolwiek uczynili moi przodkowie, nie ma to ze mną nic wspólnego, a tylko i na mnie rzuciło cień przekleństwa! Nie przyszedłem tu z własnej woli, a zostałem przysłany przez... kobietę jeżozwierza, Yasammez. – Jego dezorientacja nagle ustąpiła, jakby ktoś stał warstwę brudu ze starego błyszczącego przedmiotu. – Nie, rzeczywiście sam postanowiłem tu przyjść, a przynajmniej w jakiejś mierze. Ponieważ chciał tego Gyir. Ponieważ wezwał mnie król, prosił mnie... ponaglał. W ogóle nie prosiłem się na ten świat, a już na pewno nie chciałem się urodzić z krwią Qarów płynącą w moich żyłach. Doprowadziła mnie niemal do obłądu!

Wyraz twarzy królowej, idealnej i delikatnej jak skorupa jajka, nie zmienił się, ale kobieta milczała długą chwilę.

– To ona cię wybrała – moja ukochana, moja miłość, moja przodkini? – Saqri przybliżyła się o krok do Barricka, uniosła dłoń i musnęła jego twarz. – Co takiego zobaczyła? – Mimo że smukła jak trzcina nie była wyższa od niego, książę ledwo się powstrzymał, żeby się nie cofnąć przed jej dotykiem. Dotyk palców na jego czole, tak jak pocałunek męża królowej, był chłodny i suchy. – Czy Yasammez chciała go tylko rozdrażnić? Nigdy nie obchodził jej mój mąż, nie tak

jak mnie. Uważała, że jest zbyt spolegliwym protektorem Ludzi, że wołał robić to, co słuszne, niż to, co konieczne.

– *Przecież to jest to samo* – powiedział głos w myślach Barricka.

Królowa jak oparzona gwałtownie odsunęła dłoń od jego głowy.

– A co to za sztuczka? – zapytała i zaraz jej dłoń zbliżyła się błyskawicznie jak żmija i z zadziwiającą delikatnością nacisnęła miejsce na środku czoła Barricka. – Co to za...?

Chwilę później zatoczyła się do tyłu i był to jej pierwszy ruch pozbawiony gracji, jaki zobaczył księżę. Otworzyła szerzej oczy.

– Nie. To niemożliwe!

W tym miejscu prastarej wiedzy i wiekowego rytuału tak bezpośrednio okazane uczucie przestraszyło Barricka.

– O co chodzi? Czemu mi się tak przyglądasz?

– On... on jest w tobie! Czuję go, choć nie mogę go dotknąć!

Coś, co teraz żyło we wnętrzu Barricka, pozostało niewzruszone konsternacją królowej, wręcz rozbawione.

– Powiedział, że spróbuje przekazać mi Ognisty Kwiat.

– Nie! – krzyknęła wręcz, choć chwilę później Barrick zdał sobie sprawę, że jedynie porzuciła swój zrównoważony ton, którym dotąd przemawiała. – Jesteś śmiertelnikiem. Szczenięciem istot, które nas pogrążyły... wymordowały!

– *Wszyscy jesteście dziećmi dobra i zła, które istniało przed nami.*

– *Ynnir? Czy to ty?* – Barrick spróbował uchwycić tę myśl, lecz znowu mu się wymknęła. Zorientował się, że królowa stoi tuż przed nim, a jej spojrzenie wyrażało takie napięcie, że niemal bolało, gdy się patrzyło jej w oczy. Chwyła Barricka za ramię, a był to zdumiewająco silny uścisk.

– Co czujesz? Czy on tam jest, mój brat... mój mąż? Czy mówi w tobie? A Przodkowie, czy ich obecność też odczuwasz?

– Ja... nie wiem... – Wtedy Barrick poczuł, jak to wynurza się z głębi i przez chwilę jego kończyny, język i głowa nie należały do niego. – *Jesteśmy tutaj, wszyscy* – powiedziały jego umysł i usta, lecz nie sam Barrick. – *Nie tego się spodziewaliśmy i wielu z nas jest dezorientowanych... wielu zagubionych. Nigdy wcześniej nie przekazano Ognistego Kwiatu w ten sposób...* – A potem obca obecność odeszła i Barrick znowu odzyskał panowanie nad sobą, lecz wiedział, że teraz wszystko się zmieniło. Wszystko było inne i takie miało zostać.

Królowa wciąż wpatrywała się w niego, lecz jej spojrzenie było nieobecne. A potem nagle pochyliła się, szeleszcząc białą szatą, i osunęła na ziemię. Z kątów i zakamarków ogromnej komnaty wynurzyły się cienie, służący, którzy przez cały czas czekali w milczeniu i bezruchu. Wszyscy otoczyli ją, podnieśli i zabrali z pokoju.

Barrick patrzył, jak odchodzą, sam z całym plemieniem nieogarnionych rozumem obcych, którzy mieszkali teraz w jego krwi i w jego myślach.

DODATEK

OSOBY

- A'lat** – xandyjski kapłan
Anamesiya Tinwright – matka Matta Tinwrighta
Ananka – z Jellonu, kochanka królów Hespera i Enandera
Anglin – wódz connordzki, który otrzymał tron jednego z Królestw Pogranicza po bitwie pod Zimnoszarym Wrzosowiskiem
Anglin III – król Marchii Południowej, pradziadek Briony i Barricka
Anissa – królowa Marchii Południowej, druga żona Olina
Antymon – Funderling, młody brat świątynny
Argal Mroczny – bóg z Xis, wróg Nushasha
autarcha – Sulepis Bishakh am-Xis III, władca Xis, najpotężniejszego państwa na południowym kontynencie Xand
Avidel – pomocnik Therona
Avin Brone – hrabia Landsend, lord konstabl
Axamis Dorza – kapitan statku z Xis
Ayann – brat Yasammez, mąż Yasudry
Ayyam – Qar, przodek Kayyina/Gila
Barrick Eddon – księżę Marchii Południowej
Baz'u Jev – xandyjski poeta
Bingulou Kracjan – pierwszy mistrz Finna
Bone – bandyta
Bracia Metamorficzni – zakon Funderlingów
Brambinag Kamienne Buty – mityczny ogr
brat Okros – duchowny medyk z Akademii Marchii Południowej
Brennas – wieszcz, którego głowa żyła podobno jeszcze trzy lata po jego egzekucji
Brigid – szynkarka z Kuźnicy Quillera
Briony Eddon – księżniczka Marchii Południowej
Caradon Tolly – księżę Summerfield, młodszy brat Gailona
Caylor – legendarny rycerz i księżę
Cheshret – ojciec Qinnitan, pośledni kapłan Nushasha
Clemon – słynny historyk ze Syanu, zwany też Clemonem z Anverrin
Col – bandyta
Conary – właściciel Kuźnicy Quillera
Conorowie, Sivonowie i Jellowie – „prymitywne” plemiona, które zamieszkiwały Eion, zanim został podbity przez władców południowego kontynentu Xand
córka młynarza – postać z *Opowieści wiejskiego kapłana*
Cynober – Funderling, magister
Dachowcy – mało znani mieszkańcy Zamku Marchii Południowej
Daman Eddon – mąż Merolanny, brat króla Ustina
Davos z Elgi, zwany też Davosem Kapłanem – słynny najemnik, dowódca Szarych Drużyn
Dawet dan-Faar – poseł z Hierosolu, wcześniej mieszkający w Tuanie
Dolomit – mistrz Cechu Kallikanów z Podmościa
Donal Murroy – były kapitan straży królewskiej w Marchii Południowej
Dumin Hauyuz – antypolmarcha sił ekspedycyjnych autarchy skierowanych do Marchii Południowej
Duny – przyjaciółka Qinnitan, nowicjuszka z Ula
Durstin Crowel – baron Graylock
Dziadek Siarka – jeden ze starszych Braci Metamorficznych Funderlingów
Dzieci Szmaragdowego Ognia – plemię Qarów

Eilis – pokojówka Merolanny
Elan M’Cory – szwagierka Caradona Tolly’ego
Ena – młoda dziewczyna rasy Muskających Wodę z klanu Tyłem-do-Odptywu
Enander – król Syanu
Eneasza – syn Enandera, księżę Syanu i następca tronu
Erasmias Jino – markiz Athii, doradca króla Enandera
Erinna e’Herayas – dama dworu w Tessis
Erivor – bóg wód, znany też pod imieniem Efiyal albo Egye-Var
ettin – olbrzym na usługach Qarów
Ferras Vansen – kapitan straży królewskiej Marchii Południowej
Finlae – kapłan z Settlandii, niewolnik w domu Qu’arusa
Finn Teodoros – dramaturg
Finneth – wyrocznia z Brenlandii występująca w opowieści Hewneya
Funderlingowie – czasami nazywani „kopaczami”, rasa małych ludzi, którzy zajmują się obróbką kamienia
Gailon Tolly, książę Summerfield – kuzyn Eddonów
golya – „jedzący ludzkie mięso”
Gregor ze Syanu – słynny bard
Gyir – Qar, kapitan Yasammez, znany też jako Gyir Burzowa Latarnia
Harsar – doradca Ynnira
Hasuris – bard z Xis
Hayyidowie – starożytny lud z Xandu
Helkis, lord – zastępca księcia Eneasza
Hendon Tolly – najmłodszy z braci Tollych
Hesper – król Jellonu, zdradził króla Olina
Hiliometes – legendarny półbóg i heros
Hobkin – bandyta
Iaris – wyrocznia Kerniosa, otoczona czcią
Iola, królowa Syanu, Tolos i Perikalu – królowa z czasów syańskiego imperium i Wojny Trzech Przysług
Ivgenia e’Doursos – młoda córka wicehrabiego Teryonu
Jaspis Młot – dowódca strażników w Mieście Funderlingów
Jeddin – dowódca Lampartów autarchy, znany także jako „Jin”
jedwabiny – istoty zamieszkujące krainę cienia
Jenkin Crowel – poseł z Marchii Południowej na dwór w Tessis
Kallikanie – syańska nazwa Funderlingów
Kamień Niechętnych – Qar z plemienia Strażnik Żywiołów
Karal – król Syanu zabity przez Qarów w bitwie pod Zimnoszarym Wrzosowiskiem
Kayyin – Qar, syn Yasammez, znany też jako Gil, pomocnik karczmarza
Kaşliwe Duszki – bardzo mali Qarowie
Kellick Eddon – prawnuk Anglina, pierwszy władca Królestw Pogranicza z rodu Eddonów
Kendrick Eddon – nieżyjący książę regent Marchii Południowej, najstarszy syn króla Olina
Kernios – bóg ziemi, nazywany też Xergalem
Khors – bóg księżyca, mąż Zorii, brat Zmeosa, ojciec Kupilasa
Kofas z Mindanu – filozof z Ulos
Kreas, król – legendarna postać
Kreda – kallikański kapłan opiekujący się bębnowcami
Kupilas – bóg uzdrawiania, znany pod imionami Wynałazca, Habbili, Szachraj, Kioy-a-pous
Kwarc – jeden z pierwszych mistrzów Rogowca
Lander III – syn Karala, król Syanu, znany też jako Lander Dobry, Lander Postrach Elfów
Lazuryt Miedziak – zwany też Burzowym Kamieniem, słynny mistrz Cechu Funderlingów
Likwidatorzy – fanatyczni przeciwnicy Qarów, którzy ich prześladowali z powodu Wielkiej Śmierci
Lilia – prawnuczka Anglina, królowa, która dowodziła wojskami Marchii Południowej w czasach Szarych Drużyn
Linas – kapitan Świątynnych Psów Eneasza
Lindon Tolly – ojciec Gailona, były pierwszy minister Królestw Pogranicza
Lorick Eddon – starszy brat Olina, który zmarł w młodości
Lud Kamiennego Kręgu – plemię Qarów
Ludis Drakava – protektor Hierosolu

Ludzie Zmierzchu – inna nazwa Qarów
Luian – ważna Wybrana w Samotni, wcześniej znana jako Dudon
Lukos Garnarcz – ojciec Therona
Lupek – zmarły Funderling
Malachit Miedziak – przywódca Funderlingów
Malamenas Kimir – aptekarz z Agamid
Mały Cyna – mnich
Marvin – niewolnik Qu'arusa
Massilios Złotowłosa – legendarny bohater (wspominany przez Barricka)
Matthias Tinwright – poeta, znany także jako Matt
Melarkh – na wpół legendarny król Jurr
Meno Strivoli – znany syański poeta
Meriel – pierwsza żona Olina
Merolanna – stryjeczna babka bliźniąt Briony i Barricka, pochodzi z Fael, wdowa po Damanie Eddonie
Mesiya – bogini księżycy
Mlotostopy – etnin, dowódca walk prowadzonych w Pierwszych Głębiach
Moina – jedna z dam dworu Briony
Muskający Wodę – lud, który żyje blisko wody będącej jego źródłem utrzymania
Nevin Hewney – dramaturg
Niccol Opanour – herold na dworze Hespera
Nikomakos, lord – syn syańskiego hrabiego
Numannyn – król Qarów w czasach bitwy pod Drżącą Doliną mający przydomek „Ostrożny”
Nushash – bóg ognia, patron autarchów, nazywany też Zmeosem albo Białym Ogniem
Olin Eddon – król Marchii Południowej i Królestw Pogranicza
Opal – kobieta rasy Funderlingów, żona Rogowca
Oszuści – plemię Qarów
Panhyssir – wielki kapłan Nushasha
Parak – były autarcha Xis, dziadek Sulepisa
Parnad – ojciec obecnego autarchy Sulepisa, czasem nazywany Czuwającym
Pedar Vansen – ojciec Ferrasa Vansena
Perin – bóg nieba, zwany Gromowładnym albo Argalem
Pędzik – Dachowiec
Phayallos – filozof i alchemik
Phimon – hierarcha Tessis
Piaskowcy – rodzina Funderlingów
Pinimmon Vash – pierwszy minister w Xis
Pouta – wyrocznia, prawdopodobnie wymyślona przez Finna Teodorosa
Prasiolit – ojciec Opal
Prusus – skotarcha Xis, czasem nazywany Chromym
Puntar – namiestnik królewski
Pysk – strażnik Qarów
Qarowie – rasa, która niegdyś zamieszkiwała znaczną część Eionu
Qinnitan – nowicjuszka w Ulu, później narzeczona autarchy, która zbiegła z Samotni
Qu'arus – Ten, Który Nie Śpi
Raemon Beck – kupiec z Helmingsea
Rafe – Muskający Wodę, przyjaciel Eny, z klanu Kadłub-Trze-o-Piach
Rhantys z Kalebrii – autor dramatu *Agonia prawdy wyrzeczonej*
Risto, markiz Omaranth – syański szlachcic i dowódca
Rogowiec (Lideryt) – Funderling, mąż Opal
Rose – jedna z dam dworu Briony, bratanica Avina Brone'a
Rudy Lope – przywódca bandytów
Rule – informator Avina Brone'a
Saletzak – Funderling odpowiedzialny za proch
Sanasu – wdowa po Kellicku Eddonie, nazywana też Płaczącą Królową
Saqri – królowa Qarów, nazywana też Pierwszym Kwiatem
Selia – pokojówka Anissy, która także pochodziła z Devonis

Sembla – wyrocznia, prawdopodobnie wymyślona przez Finna Teodorosa
Seris – córka księcia Geli przebywająca na dworze w Tesis
shanni – spełniające życzenia duchy z Xis
Shaso dan-Heza – naczelny wódz Marchii Południowej
Silas z Perikalu – na wpół legendarny rycerz
Skaleń – poległy strażnik Funderlingów
Sól Kamienna – Funderling
Starsi Ziemi – opiekuńcze duchy Funderlingów
Strażnicy Cechu – Funderlingowie pełniący rolę strażników w Mieście Funderlingów
Strażnik Żywiołów – plemię Qarów
Summu – matka Yasammez, „narzeczona” Kupilasa
Surigali – bogini z Xis, nazywana też Zuriyal
Surówka – strażnik Funderlingów
Sveros – dawny bóg nocnego nieba, ojciec bogów Trygonu, znany też jako Zhafaris
Szare Drużyny – najemni albo nieposiadający ziemi wojownicy, którzy zostali bandytami po Wielkiej Śmierci
Śpiący – odłączyli się od Tych, Którzy Nie Śpią, nazywani też Śniącymi
Talia – młoda pokojówka Briony w Tesis
Theron – przewodnik pielgrzymów
Tibunis Vash – ojciec Pinimmona Vasha
Trygon – połączone kultury Perina, Erivora i Kerniosa
trygonarcha – pierwszy kapłan Trygonu, główny kapłan Eionu
Turley Długopalcy – przywódca Muskających Wodę z klanu Tyłem-do-Odplywu
Tyne Aldritch, hrabia Blueshore – sprzymierzeniec Marchii Południowej
Ustin – ojciec króla Olina
Utta – kapłanka Zorii i nauczycielka Briony
Vais – legendarna „królowa wiedźma” z Kracji
Vanderin Ugenios – syański poeta
Vaspis Mroczny – autarcha Xis
Vilas – perikalski rybak
Vo Jovandil – nazwisko rodziny Daikonasa Vo
Volos Długobrody – bóg
Yasammez – szlachetnie urodzona kobieta Qarów, nazywana Panią Jeżozwierz albo Biczem Drżącej Doliny
Yasudra – bliźniacza siostra Yasammez
Ynnir, ślepy król – władca (Jarów, Ynnir din’at sen-Qin, Pan Wiatrów i Myśli, Syn Pierwszego Kamienia
Wiecznie Ranna Dziewica – legendarna postać
Wielka Buła (Lideryt) – ojciec Rogowca
Wijce – xiska nazwa Qarów
Wyciskacze Lez – słynny legion Yasammez
Zagadka – błazen na dworze Eddonów
Zhafaris – xiskie imię Sverosa, zwanego też Zmierzchem, ojcem bogów
Zmeos – bóg, nemezis Perina, zwany też Białym Ogniem, Nushashem
Zoria – bogini mądrości, nazywana także Suyą, Bładolicą, Kwiatem Świt
Zosim – bóg pisarzy i pijaków, nazywany też Oszustem albo Salamandroszem

MIEJSCA

Agamid – miasto w północnym Devonisie
Akaris – wyspa między kontynentami Xand i Eion
aleja Latarniana – główna ulica w Tesis
Blednia – rzeka, główny szlak wodny w mieście Sen
Brama Bazyliżkowa – główna brama Zamku Marchii Południowej
Brenlandia – niewielki kraj na południe od Królestw Pogranicza
Brenna Zatoka – opływa Zamek Marchii Południowej, nazwana imieniem legendarnego bohatera Brennasa

Candlerstown – miasto w Daler's Troth
Czarnorzeczny Las – las w północnej części Syanu
Dom Lez – lochy w pałacu Broadhall
Doros Eco – miasto w Syanie
Droga Starego Kamieniołomu – odnoga drogi Miedzianego Pierścienia
Drymusa – ufortyfikowane miasto na południowej granicy Hierosolu
Drżąca Równina – miejsce wielkiej bitwy Qarów
dwór Summerfield – siedziba rodu Tollych
Dziedziniec Świątynny – dzielnica w południowo-zachodniej części twierdzy wewnętrznej Zamku Marchii Południowej
Eion – północny kontynent
Esterian – miasto w pobliżu Tesis
Fael – naród zamieszkujący środkową część Eionu
Głęboka Biblioteka – miejsce w Qul-na-Qar
Gościniec Jarmarczny – jedna z głównych dróg Marchii Południowej
Gościniec Klinowy – ulica, przy której mieszkają Rogowiec i Opal
Gościniec Królewski – czasem nazywany Traktem Króla Karala
Gościniec Marchii Północnej – dawna droga łącząca Marchię Południową z Północną
Gościniec Owczego Wzgórza – biegnie u stóp Owczego Wzgórza przed Nowym Murem Zamku Marchii Południowej
Góra Gowkha – miejsce pochówku królów pustynnych plemion w starożytnym Xis
Góra Midlana – skała w Zatoce Brenna, na której wzniesiono Zamek Marchii Południowej
Góra Xandos – mityczna ogromna góra, która znajdowała się w miejscu obecnego Xandu
Granica Cienia – granica oddzielająca ziemie Qarów i ludzi
Gremos Pitra – stolica Jellonu
Helobine – bagienny kraj na południe od Brenlandii
Hierosol – niegdyś najpotężniejsze imperium świata, teraz straciło na znaczeniu; jego symbolem jest złocista skorupa ślimaka
Jama J'ezh'kral – miejsce z mitów Funderlingów
Jedwabne Drzwi – miejsce pod Miastem Funderlingów
Jedwabny Las – las za Granicą Cienia
Jellon – królestwo, niegdyś część imperium syańskiego, teraz połączone z Jaelem
Jurr – starożytne miasto-państwo na kontynencie Xand
Kamieniopod – starożytna osada Funderlingów pod Hierosolem
kaplica Erivora – rodzinna kaplica Eddonów
Kaskadowe Schody – w Głębiach Funderlingów
Kertewall – jedno z Królestw Pogranicza
Komnata Lenna – przylega do sypialni Briony hierosolskiego
Kracja – konfederacja miast-państw, niegdyś część imperium hierosolskiego
Królestwa Pogranicza – pierwotnie obejmowały Marchię Południową, Wschodnią i Zachodnią, lecz po wojnie z Qarami zostały ograniczone do Marchii Południowej i Dziewięciu Krajów (wśród nich Summerfield i Blueshore)
Krucza Brama – prowadzi do twierdzy wewnętrznej Zamku Marchii Południowej
Kwietna Łąka – największy rynek w Tesis
Labirynt – w Głębiach Funderlingów
Laguna Muskających Wode – laguna w obrębie Zamku Marchii Południowej, łączy się z Zatoką Brenna
Landsend – część Marchii Południowej, lenno Brone'a; barwy czerwona i złota
Layandros – miasto w północnym Syanie
Marash – prowincja na kontynencie Xand, gdzie uprawia się paprykę
Marchia Południowa – siedziba Królów Pogranicza, czasem nazywana Marchią Cienia
Miasto Funderlingów – podziemne miasto rasy Funderlingów w Marchii Południowej
Most Gościńca Jarmarcznego – most nad kanałem oddzielającym dwie laguny w Marchii Południowej
Oblężenie Wiecznej Zimy – mityczny zamek
obserwatorium – rezydencja Chavena
Orms – miasto w Helobine
Oscastle – miasto w Marrinswalk

Pellos – rzeka w Silverside
Pierwsze Głębie – miejsce na terenach Qarów
plac Fontanny Devony – w Tesis
Pod Butami Borsuka – karczma w Marchii Południowej
Podmoście – Miasto Funderlingów (Kallikanów) w Tesis
Pod Pławikoniem – tawerna w Tesis
Przewierty – klasztorna samotnia za Pięcioma Łukami
Qul-na-Qar – starożytna siedziba Qarów zwanych Ludźmi Zmierzchu
Rynek – najważniejsze miejsce publiczne podzamcza Marchii Południowej
Sala Księżycowego Kamienia – w Głębiach Funderlingów
Settlandia – nieduży, górzysty kraj położony na południowy zachód od Królestw Pogranicza; sprzymierzeniec Marchii Południowej
Sfera Żarokamienia – w Głębiach Funderlingów
Słony Staw – podziemny zbiornik wodny w Mieście Funderlingów
Srebrzysty Szlak – rzeka na Drżącej Równinie
Studnia Finneth – miejsce wielu pielgrzymek w Brenlandii
Syan – niegdyś dominujące imperium, obecnie wciąż silne królestwo w środkowej części Eionu
Tesis – stolica Syanu
Tolos – królestwo, obecnie wchłonięte przez Syan
Torba Tufu – ślepa odnoga drogi Starego Kamieniolołu
Torvio – naród zamieszkujący wyspy między Eionem i Xandem
Trzej Bogowie – trójkątny plac w obrębie Zamku Marchii Południowej w gęsto zaludnionej dzielnicy
Tuan – rodzinny kraj Shasa i Daweta
Ugenion – miasto w północnym Syanie
Ul – świątynia w Xis, dom Świętych Pszczół Nushasha
ulica Czarnej Lampy – droga za granicami Miasta Funderlingów prowadząca do Drogi Burzowego Kamienia
ulica Klamrowa – ulica w obrębie twierdzy zewnętrznej Zamku Marchii Południowej
Wapienna Brama – część drogi prowadzącej ze stałego lądu do Domu Pana, jak Kallikanie nazywają Miasto Funderlingów
Whitewood – las na granicy Silverside i Marrinswalk
Wieża Chmurnego Ducha – wieża w Qul-na-Qar
Xand – kontynent południowy
Xis – największe królestwo w Xandzie, którego władcą jest autarcha
Yist – niegdyś miasto czarodziejskiego ludu w Xandzie
Zachodni Klif – starożytne miasto Funderlingów w Settlandii
Ziemie Żebraka – kraina za Granicą Cienia
Zimmoszare Wrzosowisko – miejsce legendarnej bitwy, nazwa pochodzi od słów Qarów *Qul Girah*
Zuczy Trakt – ulica w Mieście Funderlingów

PRZEDMIOTY, ZWIERZĘTA I RÓŻNE POJĘCIA

Annaly wojny bogów – zagubiona i zakazana księga
antypolmarcha – generał xiskich wojsk
astion – symbol władzy u Funderlingów
basiphae – nazwa zwierzęcia, które połknął Vo
Berlo – inna nazwa Góry Xandos
Biały Ogień – miecz Yasammez, także imię Zmeosa
Cechowy Targ – miejsce dorocznych spotkań Funderlingów
Dni Chłodu – legendarna era w historii i mitologii Funderlingów
Dzień Pierwszego Kopania – święto Funderlingów
Gromotrask – młot Perina
hierosolina – język Hierosolu, a także wielu praktyk religijnych i książek naukowych
iktis – tchórz, nieduże zwierzę z rodziny łasicowatych
jesiotr – srebrna moneta dwukrotnie większa niż rozzwiazda

Kodeks Shakh Xis – normy dla sprawujących rządy w drugim i trzecim imperium xiskim
korzeń błękitniaka – ulubione przez Funderlingów ziele na herbatę
korzeń szkarlatnego węzowca – trucizna
Księga skruchy Quarów – święta księga Qarów
Księga Trygonu – późna adaptacja oryginalnych tekstów o trzech bogach
Kuźnica Quillera – tawerna w Marchii Południowej
Latarniany Pałac – rezydencja Enandera, króla Syanu
lodowa lilia – kwiat
Lśniący Człowiek – istota z Tajemnic Funderlingów
lulkowa korona – rytualne nakrycie głowy autarchy
Miedziany Pierścień – droga biegnąca obrzeżem Miasta Funderlingów
Motyka – symbol władzy zakonu Braci Metamorficznych
muszle nautilusa – symbol zakonu Erivora
Noc Szalonej Pieśni – świąteczny wieczór znany też pod nazwą Wigilii Zimy
Oko Perina – wzór w sali tronowej w Tesis
Onir Plessos – świątynia w Summerfield
Opowieść wiejskiego kapłana – sztuka
opzymarcha – stopień wojskowy, mniej więcej odpowiednik majora
penturia – oddział składający się z pięćdziesięciu żołnierzy
Poroźnina – rodzaj lasu w kraju cienia
Procesja Pokutna – święto
Rogi Zmeosa – gwiazdna konstelacja, nazywana także Starym Wężem
rozwiazda – nieduża srebrna moneta
rozwodnik Aeliana – trucizna
Samotni – inna nazwa skrików
skriki – strażnicy miasta Sen
Święto Onira Zakkasa – uroczystości trygonackie, podczas których ludność nosi wianki ze złotowłosa
Święto Wezbrania – święto obchodzone w Xis na koniec pory deszczowej
tygrykuta – trucizna z soku lodowej lilii
wątrobiec Zakkasa – ziele
Wiecznie Ranna Dziewica – słynna opowieść
Wielka Śmierć – zaraza, która zabiła znaczną część ludności Eionu
wimmuai – tak nazywają ludzi-niewolników Ci, Którzy Nie Śpią
Wojna Dziewiątego Roku – słynna rozstrzygająca wojna w Xis
xawadis – nazwa oazy używana w Xis
Yanedan – górzysta wyspa na morzu południowym
znak odżegnania zła – gest mający odpędzić nieszczęście